

Krzysztof Cieślak



Flora



Źródło



Wschód słońca nad Arkoną



Zapach wiosny

Ypsilon kwartalnik literacko-artystyczny

• nr 13 •



Szanowni Czytelnicy,

Witamy w trzynastym numerze Ypsilon – wydaniu, które łączy literaturę, sztukę i refleksję nad współczesnym światem. Jak zawsze przygotowaliśmy dla Was bogaty wybór poezji, prozy, esejów i recenzji, a także rozmowy z ludźmi kultury i sztuki.

W środku znajdziecie inspirujący wywiad z Tomaszem Raczkim – o wolności, kinoterapii i odwadze, która pozwala burzyć mury. Przypominamy również nieco dziś zapomnianego pisarza Ireneusza Iredyńskiego, przybliżamy sylwetkę malarza Krzysztofa Cieślaka, a wesejach biograficznych wspominamy Agnieszkę Osiecką, Brunona Schulza i Antoniego Słonimskiego, którego – w 130. rocznicę urodzin – Sejm RP uhonorował, ogłaszając rok 2025 Rokiem Antoniego Słonimskiego.

Pośród recenzji znajdziecie m.in. rozważania nad książkami Anny Czartoszewskiej, Ewy Szelburg-Zarembiny i Małgorzaty Kulisieckiej, a także nad niezwykłą wystawą Jolanty Kuśmierskiej „Wojna Światów – Nowa Nadzieja”. Nie zabrakło również prozy pełnej emocji, ironii i filozoficznej zadumy – od subtelnych miniatur po opowiadania o odwadze przetrwania i sile słowa.

Okładkę numeru zdobi obraz Krzysztofa Cieślaka, którego nastrojowa kompozycja doskonale oddaje klimat jesiennego Ypsilon: spokoju, głębi i artystycznego namysłu.

Życzymy przyjemnej lektury – zapraszając do wspólnego odkrywania znaczeń i współtworzenia z nami kolejnych numerów.

Redakcja czasopisma Ypsilon

ypsilon



Krzysztof Cieślak - Kiss



Krzysztof Cieślak - Oznaczone w pamięci

Jeśli miałbyś ochotę wesprzeć działalność
literacko-wydawniczą czasopisma Ypsilon
Numer konta:
PL 76 2530 0008 2016 1059 1487 0004

Redaktorzy i Autorzy pracują pro bono publico

Dochód w całości zostanie przeznaczony
na papierowe wydania kwartalnika.

Redakcja

Redaktor naczelna:
Agnieszka Modrzejewska

Sekretarz redakcji:
Beata Poczwardowska (Maria Ćma)

Współpraca organizacyjna:
Sylwester Kurowski

Redaktor graficzny:
Grzegorz Misiak

Redaktorzy
Dariusz Chrobak

Okładka
Krzysztof Cieślak

Kontakt do redakcji Ypsilon:
redakcja@ypsilon.org.pl
www.ypsilon.org.pl

Wydawca:
Fundacja Ypsilon Art
www.ypsilonart.org.pl
e-mail: s.kurowski@ypsilon.org.pl
tel. 736 848 444

ISSN 2720-3123



Rozmowa z aktorem Tomaszem Raczkim

Rozmawia Sylwester Kurowski



„Každy mur da się zburzyć”.

Tomasz Raczek o wolności, kinoterapii i odwadze

Tomasz Raczek – krytyk filmowy, publicysta, redaktor, radiowiec, autor książek, wydawca. Od lat obecny w polskiej debacie o kulturze – znany zarówno z ostrych sądów, jak i z deklaracji, że „sztukę ocenia z miłości”. Współtwórca kultowych „Pereł z lamusa”, dziś rozwija własne formaty w Radiu Nowy Świat i w sieci. Rozmawiamy o roli krytyka w epoce streamingu, o warsztacie, etyce i o tym, jak mówić o sztuce z czułością.

Kiedy widzieliśmy się ostatnio, był Pan w trasie – częste spotkania autorskie, rozmowy, autografy, zdjęcia z publicznością. Skąd czerpie Pan na to energię?

– Paradoksalnie – z planowania. Właśnie układałam wyjazd na Pomorze i pierwsze, co robię, to obcinam proponowane trasy. Odmawiam dwóch spotkań dziennie, choć wielu autorów tak pracuje. Moje spotkania trwają około trzech godzin i

składają się z rozmowy z publicznością oraz podpisywania książek. To jest spektakl, który czasem określam mianem stand-upu publicystycznego albo kinoterapeutycznego. Po takim występie adrenalina trzyma mnie jeszcze przez godzinę i dopiero potem następuje odcięcie prądu.

Dlatego odbywam jedno spotkanie dziennie i trwa to nie dłużej niż pięć dni z rzędu. Muszę wracać do nagrywania: wideorecenzji na YouTube, wywiadów, do domu i do psa. Krótko mówiąc – do życia. A odpowiedź na pytanie: „Po co to wszystko?” – jest chyba oczywista: po prostu to lubię.

Pewnie słyszał Pan to pytanie wielokrotnie, ale może jeszcze nie wszyscy wiedzą, skąd w ogóle wzięło się Pańskie zamiłowanie do filmu, recenzji i publikacji?

– Skąd się to wzięło, tego nie wiem, bo zawsze to we mnie było. Od dziecka pisałem recenzje na różne tematy i zawsze byłem dziennikarzem. Już chyba w piątej klasie szkoły podstawowej założyłem gazetkę. Od tamtego momentu zawsze byłem redaktorem naczelnym jakiegoś pisma. Ta pierwsza gazetka miała format A4 i była podzielona na kilka pól składających się z maleńkich notatek, więc tak naprawdę była to po prostu jedna kartka przyspilona do tablicy ściennej w klasie.

Potem te artykuły stawały się coraz dłuższe, aż zacząłem wydawać gazetę pod tytułem „Zbliżenia”. Jej dystrybucja polegała na tym, że puszczałem ją w obieg

i jeden drugiemu pożyczał. Krążyła po klasie jak wypożyczana książka. Było to więc wreszcie słowo drukowane.

Już od szkoły podstawowej pisałem recenzje, które wysyłałem do różnych gazet, np. do harcerskiego tygodnika „Na Przełaj”. Byłem zresztą też harcerzem, choć zdobyłem tylko jedną sprawność. A to dlatego, że harcerskie życie nie pociągało mnie szczególnie, ale wtedy była to jedyna organizacja, która oferowała coś takim dzieciakom.

A tą moją jedyną sprawnością był właśnie dziennikarz.

Krótkotrwale zostałem też poetą, gdy opublikowano mój wiersz w tzw. „Okienku Lirycznym”, czyli na ostatniej stronie tygodnika „Stolica”.

A kiedy byłem w ósmej klasie, wygrałem konkurs ogłoszony w „Na Przełaj” na recenzję „Czterech festiwali” piosenki. Nagrodą był wyjazd do Opoli jako akredytowany wysłannik. Od tego momentu wiedziałem już, że krytyka to mój żywioł.

Wróćmy jeszcze do tej młodzieńczej poezji. O czym Pan wówczas pisał?

– Jako warszawiak i osoba należąca do Klubu Miłośników Warszawy, napisałem wiersz o moim mieście pod tytułem „Ona”, który został opublikowany w „Stolicy”. Zaczynał się od słów:

Szła jak burza,
rosła w siłę potężna.

Nie poddała się wrogom, niepokonana.
Nasza jedyna Warszawa

Drugi raz napisałem wierszyk pt. „Obraz”, który został wydrukowany w „Na Przełaj”, z czego byłem niesłychanie dumny. Po konkursie powstała z niego antologia

poezji polskiej, w której mój wiersz również się znalazł. Ale nawet nie to było moim głównym powodem do dumy. Znacznie ważniejsze było to, że mój wiersz został zamieszczony naprzeciwko utworu Tadeusza Różewicza, który był i pozostaje moim ukochanym poetą. Uważam, że Tadeusz Różewicz to największy polski poeta. Byłem więc niesłychanie dumny, że zestawiono nas obu – aż do momentu, gdy kolega uświadomił mi, że autorzy są tam ustawieni alfabetycznie.

I wszystko zepsuł.

– I wszystko mi zepsuł. Ale właściwie tylko ta anegdota pozostała dzisiaj z mojej żalości.

A jak to było z konkursem „Czterech festiwali”?

– „Na Przełaj” ogłosiło konkurs, na który wpłynęło pięćset prac, spośród których wybrano moją. Nagrodą był wyjazd ze mną, zdjęcie na okładce „Na Przełaj” oraz wyjazd w kolejnym roku, w czerwcu, na festiwal w Opolu – jako specjalny, akredytowany wysłannik „Na Przełaj”.

W tamtym momencie, gdy byłem już absolwentem szkoły podstawowej i uczniem pierwszej klasy liceum, poczułem, że klamka zapadła. Wiedziałem, że mam do tego dryg, oraz że ani poetą, ani pisarzem nie będę, ale dziennikarzem mogę być. A już krytykiem – na pewno. Bo to, co robię w tej dziedzinie, zawsze jakoś zwraca uwagę. I albo wygrywam konkurs, albo ktoś się na to powołuje. A to, jak jest przyjmowane przez innych, jest najlepszą metodą sprawdzenia, czy ma się do czegoś talent, czy nie. Bo jeśli ktoś koniecznie chce pisać, niezależnie od tego, czy chcą go czytać, czy nie, to jest grafoman.

Chciałbym porozmawiać o słynnym, czy jak się dziś mówi – kultowym – programie

„Perły z lamusa”, który prowadził Pan wspólnie z Zygmuntem Kałużyńskim. Czy jest coś, co szczególnie utkwiło Panu w pamięci z tego czasu? Albo jakaś rada, której udzielił Panu Zygmunt Kałużyński?

– To był taki typ człowieka, który zupełnie nie miał w sobie instynktu mentorstwa, to znaczy przekazywania wiedzy w stylu: „Pójdź, chłopcze, ja cię uczyć będę!”. Wielu starszych kolegów, którzy lubili dzielić się doświadczeniem, proponowało mi swoją opiekę – ale Zygmunt w ogóle tego nie miał. I prawdopodobnie właśnie dlatego od niego czerpałem najwięcej.

Tym, którzy oferowali mi pomoc – na przykład Danielowi Passentowi, który wówczas był już wicenaczelnym „Polityki” – odpowiadałem, że dziękuję, ale nie skorzystam. Dam sobie radę sam. Podobną opiekę proponował mi również Jerzy Waldorff, ale znów odmówiłem. Natomiast Zygmunt nigdy mi niczego nie narzucał, a mimo to – często nawet nieświadomie – czerpałem od niego najwięcej. Fascynowała mnie jego postawa.

Podobało mi się, że zawsze, gdy pytałem go, co w życiu jest najważniejsze, odpowiadał zgodnie z tym, co ja czułem: że wolność. Nie ma żadnej innej idei ważniejszej od wolności. I w tym się całkowicie zgadzaliśmy. Wolność oznacza także luźny stosunek do przepisów, zasad, a nawet prawa, które – o czym nigdy nie zapominam – jest przecież zmienne. Za mojego życia wiele uregulowań prawnych już się zmieniło. Oczywiście jestem lojalistą i przestrzegam prawa, ale nawet jeśli go przestrzegam, nie znaczy to, że uważam je za słuszne. Wiele przepisów uważam za głupie albo niesłuszne i nie mam do nich człobitnego stosunku. To nie jest świętość.

I tu znowu byliśmy z Zygmuntem tego samego zdania – mieliśmy w sobie element anarchii, sprzeciw wobec władzy, z ciągłą świadomością, że władza jest chwilowa, przejściowa, a jej decyzje zmienne i zaprzeczalne. Przychodzi kolejna władza i robi odwrotnie niż obecna. Jak więc poważnie traktować takie decyzje i ustawiać swoje życie pod przepisy ustanawiane przez ludzi, których się nie szanuje?! Wśród tych, którzy tworzą prawo, jest wielu takich, których nie sposób szanować z powodu tego, kim są, jak się zachowują i co mówią. To prowadzi do podskórnej anarchii, buntu i poczucia: niech sobie mówią, co chcą, a prawo moralne i tak jest we mnie. Wiem przecież, co jest słuszne i dobre.

Gdyby Zygmunt był typowym mentorem, który mówiłby, że trzeba robić tak i tak, natychmiast odpadłbym. Ale on mówił: „Každy mur da się zburzyć” – więc to był mój człowiek.

Taka mała dygresja dotycząca wywiadu, który przeprowadził Pan z Danielem Passentem dla Canal+. Podziwialiśmy w redakcji kunszt oraz przestrzeń, jaką udało się wówczas stworzyć, by gość, będący skądinąd człowiekiem dość skrytym, tak dalece otworzył się przed Panem.

– To prawda. Bardzo się cieszę, że Pan wspomniał o tym wywiadzie. Zygmunt Kałużyński, który dobrze znał Daniela Passenta i przyjaźnili się jeszcze z czasów „Polityki”, po obejrzeniu programu powiedział: „Czy wiesz, że to jest najlepszy wywiad, jakiego Danek udzielił?” Był z tego bardzo dumny i zawsze mi go przypominał, gdy miałem chwilę wątplenia. Mówił: „Ale przypomnij sobie ten świetny wywiad z Passentem”.

Warto też wspomnieć, jaka była wtedy moja relacja z Passentem. Otóż kiedy

pracowaliśmy razem w „Polityce”, zaoferował mi pomoc, którą odrzuciłem. Był tym obrażony i poczuł się urażony, nie mogąc zrozumieć mojej decyzji. Otworzył przede mną serce i chciał mi pomóc, a ja odpowiedziałem, że tej pomocy nie potrzebuję, bo chcę wszystko zrobić sam.

Niedawno pewien młody dziennikarz, z którym współpracuję, otrzymał nową możliwość pracy. Zacząłem mu radzić, co i w jaki sposób powinien zrobić, żeby jak najszybciej stworzyć sobie dobrą pozycję w programie, który ma prowadzić. Odpowiedział jednak: „Ja wszystko wiem, nie chcę twoich rad”. W pierwszej chwili zachnąłem się, myśląc: „Co za chamidło!” Ale po chwili się rozczuliłem, bo przypomniałem sobie, że dokładnie tak samo kiedyś zareagowałem i postąpiłem wobec Passenta.

Passent był oburzony. Robił mi różne drobne złośliwości, ale ja chciałem wyjść poza ramy krytyka teatralnego, którym byłem w „Polityce”. Przygotowałem więc tekst rozszerzony, dotyczący kultury w szerszym aspekcie, powstały po mojej wizycie w Nowym Jorku i dotyczący filmu amerykańskiego. Passent, nie czytając go, powiedział: „Nie wydrukujemy tego. Ma pan pisać o teatrze, a nie o innych sprawach”. Odpowiedziałem: „Mam 24 lata. Czy przez całe życie mam pisać tylko o teatrze? Toż umarłbym z nudów. Chcę pisać na różne tematy”. On: „Czytelnicy „Polityki” nie są zainteresowani tym, co pan ma do powiedzenia o innych tematach niż teatr”. Ja: „A skąd pan wie?” On: „Wystarczy, że ja tak uważam. Ma pan wrócić do recenzji teatralnych”.

Zapytałem wówczas, czy mogę ten artykuł opublikować gdzie indziej, na co Passent odpowiedział: „Tak, byle nie w „Przeglądzie Tygodniowym”, bo to konkurencja”. Poszedłem więc natychmiast z tym tekstem do „Przeglądu Tygodniowego”.

Pokazałem im artykuł i powiedziałem: „Napisałem go dla „Polityki”, ale Passent nie chce go wydrukować”. Wydrukowali go na pierwszej stronie. Passent się wkurzył. Zakazał wszystkim dziennikarzom „Polityki”, publikować poza „Polityką”, w jakimkolwiek innym piśmie, bez specjalnej zgody redaktora naczelnego. No i robił mi coraz więcej różnych takich drobnych złośliwości. W pewnym momencie powiedziałem, że przenoszę do „Przeglądu Tygodniowego” i wymówiłem pracę. A on się poczuł tym tak dotknięty, że wziął mnie na rozmowę i zapytał: „Czy pan wie, że z „Polityki” nie odchodzi się na własną prośbę?! Z „Polityki” można jedynie zostać wyrzuconym”. No to mówię: „To w takim razie, ja będę pierwszym, który odszedł na własną prośbę”. I on był tym tak oburzony, że napisał felieton na mój temat. Pamiętam, że swoje felietony publikował w „Polityce” na ostatniej stronie. To była jeszcze ta „Polityka” wydawana na płachtach. Zygmunt Kałużyński i ówczesny redaktor naczelny Jan Bijak chodzili do Passenta i prosili, żeby nie drukował tego felietonu, bo się ośmiesz. I że co to w ogóle znaczy, żeby naczelny nie mógł przeboleć tego, że dziennikarz odchodzi. Tłumaczyli, że to jest niepoważne. Ale on to bardzo przeżywał. Ostatecznie ten felieton nie został wydrukowany, ale ja go przeczytałem.

Mijały lata. Odszedłem z „Polityki”. Obserwowaliśmy się gdzieś z daleka... Ja w międzyczasie trafiłem do telewizji, gdzie zostałem dyrektorem. Potem przeszedłem do Canal+, w którym miałem właśnie ten program „Siódme Niebo”. No i pomyślałem sobie wtedy, że trzeba jakoś załagodzić ten nasz konflikt, tzn. w ogóle skończyć już z tym. Wpadłem więc na pomysł, że zaproszę go na taki duży wywiad, w którym dam mu okazję, żeby wszystko to, co chciał mi przekazać jako mentor, powiedział na wizji.

Pomyślałem, że pewnie się nie zgodzi, ale mimo wszystko złożyłem mu tę propozycję, a on się jednak zgodził.

Wobec tego usiedliśmy trochę jak takie stare, rozwiedzione małżeństwo, ponieważ mieliśmy za sobą tę swoją historię, ale w związku z tym traktowaliśmy się poważnie. I on chyba poczuł się wtedy jakoś wyjątkowo bezpiecznie i zaczął się otwierać. Mówił takie rzeczy, że poczułem, iż to jest właśnie dowód zaufania i szacunku. Też bardzo cieszyłem się z tej rozmowy.

A puenta zjawiała się jeszcze parę lat później, kiedy Passent przeszedł na emeryturę i skupił się na działalności fundacji „Okularnicy”, która wydawała wszystkie dzieła Agnieszki Osieckiej. Ktoregoś razu zadzwonił do mnie i mówi: – Dzień dobry, panie Tomku, Passent mówi. Na co ja: – No jakże, poznaję oczywiście. A on: – Bo ja mam dla pana taką propozycję. Będziemy przygotowywali tom Agnieszki ze zbiorom jej recenzji filmowych – bo ona przecież pisała recenzje do „Sztandaru Młodych”. Nie wiem, czy pan je czytał?

Odpowiedziałem: – No, jedną czy dwie. – To ja bym panu podesłał cały ten zbiór. I mam taką prośbę... bo wymarzyłem sobie, żeby pan napisał wstęp do tego tomu.

– Ja? – spytałem. – Dlaczego ja? – Bo nikt tego lepiej od pana nie robi – odpowiedział. No i oczywiście się zgodziłem. Przeczytałem wszystkie te, swoją drogą naprawdę świetne i bardzo oryginalne recenzje, i napisałem wstęp.

Pomyślałem wtedy, że to właśnie puenta naszych dawnych potyczek – i dowód jego dobrych myśli skierowanych w moją stronę. Właściwie wróciliśmy do punktu wyjścia. Kiedyś, gdy nie chciałem jego opieki, powiedział mi: – Pan, jak tam pana obserwuję, jest trochę podobny do

mnie. Popełnia pan te same błędy, które ja popełniałem w pana wieku. Mógłbym pana przed nimi uchronić. A ja wtedy odpowiedziałem krótko: – Nie chcę. Chcę mieć prawo do własnych błędów, bo człowiek uczy się właśnie na nich. I tak było. W końcu wróciliśmy do naprawdę dobrych relacji.

Dlatego bardzo mi miło, że wspomniał pan właśnie Passenta.

Zacytuję Leslie Mitchell: „Patrz w oko kamery jak w oczy przyjaciela”. Czy ta lekcja wpłynęła na Pana sposób prowadzenia rozmowy?

– Absolutnie tak. Zawsze o tym pamiętam, kiedy rozmawiam – i właściwie w każdej rozmowie, nie tylko telewizyjnej, szukam oczu. Kiedy prowadzę kinoterapię, czyli najpierw oglądamy film, a potem rozmawiamy o tym, kto i co poczuł podczas seansu, bez oceniania i recenzowania – skupiamy się na sobie i mówimy o własnych emocjach oraz odczuciach np. ktoś mówi: „Nie wiem dlaczego, ale chciało mi się płakać, choć wszyscy inni się śmiali, ja tego nie rozumiem”. I wtedy właśnie zaczyna się rozmowa.

Inna bliskość, inne interakcje.

– Tak, absolutnie. Ja nigdy nie siedzę przed ekranem w foteliku, a obok jest stolik z wodą czy kawusią — to nie moje klimaty. Robię to na stojąco, chodząc z mikrofonem po sali. Wchodzę między rzędy, nawet jak ktoś siedzi w środku, bo to przecież kino. Bardzo często jest tak, że albo siadam obok, jeśli jest miejsce, albo na oparciu foteli, żeby być blisko i patrzeć w oczy – bo wtedy ludzie inaczej mówią. Jeśli ktoś siedzi naprzeciwko i patrzy w oczy, to nie chce się kręcić ani mówić takich ogólnych, okrągłych zdań, które nic nie znaczą – bo jakby nie wypada. I wtedy jest inna

rozmowa: inna bliskość, inne interakcje.

Pamiętam też to, o czym Leslie Mitchell powiedział — naprawdę często sobie to przypominam i kolegom też powtarzam, bo uważam, że to wielka prawda. To jest w ogóle klucz do wszystkiego.

Czy są jakieś konkretne filmy, które ukształtowały Pana gust i wrażliwość?

– Są takie filmy, które stały się dla mnie bardzo ważne — powiedziałbym nawet: kształtujące. Jednym z takich filmów, o który zresztą strasznie się kłóciłem jeszcze w szkole, był „Kabaret” Boba Fosse’a. Zupełnie mnie olśnił, bo w ogóle nie sądziłem wtedy, że można w taki sposób zrobić musical. Że można tak poważną historię o faszyzmie opowiedzieć w kabaretowy sposób.

Olśniewający byli Liza Minnelli i Joel Grey, ale w ogóle cała choreografia Boba Fosse’a i muzyka Kandra — to było coś niezwykłego. To był bardzo dziwny przypadek, bo ja ten film zobaczyłem trzy razy pod rząd. Oglądałem go w kinie „Palladium” w Warszawie — teraz to jest sala koncertowa „Palladium”. Zupełnie zwariowałem, gdy wyszedłem. Wychodziło się wtedy z tyłu kina, więc wyszedłem, obszedłem budynek dookoła i znowu stanąłem w kolejce do kasy, bo wtedy przecież były kolejki. I nawet nie jestem pewien, czy na ten drugi seans kupiłem bilet w kasie, czy od konika. W każdym razie kupiłem ponownie, wszedłem i obejrzałem drugi raz. Była półgodzinna przerwa między jednym a drugim seansem. Wyszedłem więc drugi raz — i pełna eureka. Otworzyły się drzwi do innego pojmowania kina. Wszedłem znowu i to już na pewno ten trzeci seans był z biletem kupionym od konika. I obejrzałem „Kabaret” po raz trzeci. To jedyny raz w moim życiu, kiedy coś takiego mi się zdarzyło.

Potem napisałem recenzję właśnie do mojej licealnej gazetki. I pamiętam, że mój polonista przybiegł do mnie z entuzjazmem — mówił, że to świetne, że dostaję za to piątkę do dziennika, bo to wybitne i tak dalej. Posypało się mnóstwo komplementów. Ale to było naprawdę napisane sercem. Gorącym sercem, jeśli mogę tak powiedzieć.

A drugi film, który zrobił na mnie gigantyczne wrażenie i który obejrzałem z dziesięć razy — a to jest o tyle istotne, że ja zwykle nie oglądałem filmów drugi raz. Uważam, że życie jest za krótkie, nie ma czasu na to, żeby powtarzać coś, co już się przeżyło. No i pomimo tego, że tak uważam i że generalnie nie oglądałem żadnego filmu ponownie, ten akurat widziałem już dziesięć razy — i jeśli byłaby okazja, obejrzę po raz jedenasty. To jest niemiecki film *Okręt* (Das Boot) w reżyserii Wolfganga Petersena, zrobiony w 1981 roku. Największa niemiecka superprodukcja o okręcie podwodnym, który w czasie II wojny światowej próbuje przedrzeć się z Morza Śródziemnego przez Cieśninę Gibraltarską na Ocean Atlantyczny i jest śledzony przez alianckie niszczyciele próbujące go zatopić. W pewnym momencie okręt kładzie się na dnie, na piasku, i próbuje przeczekać atak — te bomby głębinowe, które są wciąż zrzucone. A my jesteśmy cały czas w środku tego okrętu. Patrzymy, co tam się dzieje, obserwujemy marynarzy, którzy właściwie przygotowują się na śmierć. Widzimy ich reakcje. To młodzi chłopcy, bo to już druga część wojny — ci wcześniej wyszkoleni żołnierze nie żyli. Hitler kierował wtedy do wojska, a więc także do marynarki, nastolatków — członków Hitlerjugend. Byli słabo przygotowani i w ogóle siłą wcielani do armii. Ten film ma, moim zdaniem, wymiar pacyfistyczny i jest głęboko antywojenny. Ale to przecież film niemiecki — pokazujący wszystko

od strony Niemców. I właśnie o ten film kłóciłem się z Zygmuntem Kałużyńskim, bo okazało się, że „Okręt” nie był pokazywany na polskich ekranach w 1981 roku. Stało się tak dlatego, że specjalna komisja zatwierdzająca zakup zagranicznych filmów odrzuciła tę produkcję. Wtedy strasznie pomstowałem na tę komisję. Pytałem nawet: — Kto tam siedział w tej komisji? A Zygmunt na to: — No ja byłem między innymi. Mówię: — No dobrze, ale ty na pewno nie głosowałeś przeciwko temu filmowi. A on: — Głosowałem. Ja na to: — Jak mogłeś głosować?! Przecież wiesz, że to jest dobry film. A on spokojnie: — Wiem. — To dlaczego głosowałeś przeciwko? — Właśnie dlatego, że to jest dobry film. Niemiecki film o Niemcach. A to byli nasi wrogowie. To byli ci sami marynarze, którzy zatapiali nasze statki, którzy zatopili ORP Orzeł i tak dalej. Wobec tego ten film wywołuje sympatię do niemieckich żołnierzy. A polscy widzowie nie powinni odczuwać sympatii do wrogów. Taka była jego koncepcja. A ja mówię: — Zygmunt, no ale bądź humanistą! Zresztą jesteś humanistą. Przecież ten film jest antywojenny. Co za różnica, czy dajesz antywojenny przekaz z tej strony, czy z drugiej? Chodzi o to samo — przeciwko wojnie, bo wojna jest złem! A czy mówi to polski żołnierz, czy niemiecki, chodzi o to, żeby nie musieli walczyć. A on mówi: — Tak, ale sympatia jest po ich stronie. I tak się spieraliśmy — gdzieś od lat dziewięćdziesiątych, bo wtedy zaczęliśmy o tym rozmawiać. Film został wydany na kasecie VHS pod koniec lat osiemdziesiątych. Jako że wtedy zaistniał w polskiej kulturze, zaproponowałem rozmowę na jego temat. I w trakcie tej rozmowy wszystko to wyszło.

Mieliśmy takie rozmowy właśnie w „Perłach do lamusa” — o nowych rzeczach, które są dobre lub niedobre, i które kierowaliśmy do lamusa lub nie.

Ta rozmowa towarzyszyła nam w sposób niezakończony aż do śmierci Zygmunta. Jeszcze na łożu śmierci wrócił do tego tematu i powiedział: — Wiesz, ja tak myślę, że i ty masz rację, i ja mam rację. Bo ty możesz sobie być humanistą i patrzeć na to z lotu ptaka, widzieć, że to jest film antywojenny, a ja jestem z innego pokolenia. Szedłem z armią, zdobywaliśmy Wał Pomorski, straciłem wtedy prawie wszystkich kolegów. I ja o tym nie mogę zapomnieć. Nawet gdybym bardzo chciał być humanistą ponad tym wszystkim, to to jest moje życie. Ja nie mogę mojemu życiu zaprzeczyć. Ja nie mogłem inaczej myśleć ani zrobić.

To jest bardzo głęboko osadzone.

– Tak, to był film, który formował myślenie i stosunek do świata — definiował, czym jest humanizm, a czym patriotyzm. Bardzo ważny.

Ten film można już, na szczęście, zobaczyć.

– I jest on do tego jeszcze świetnie zrealizowany. Tam Jürgen Prochnow gra jedną z głównych ról. Jest też znakomita muzyka, która tak szarpie, buduje napięcie.

No to właśnie takie dziwne filmy lubię, nieoczekiwane. Nie jakieś wielkie arcydzieła — to znaczy, jeden i drugi jest bardzo dobrym filmem, ale to pewnie nie są filmy, które znalazłyby się w takich filmoznawczych listach rankingowych pięćdziesięciu najlepszych filmów w historii kina.

Interesuje mnie Pański warsztat, zastanawiam się, czy już w trakcie oglądania filmu, notuje Pan swoje wrażenia, od razu na gorąco? Jak wygląda ta droga od seansu do publikacji?

– Nie, nie robię notatek. Może to źle, że nie robię, ale nie mam tego w naturze. Nawet parę razy zmuszałem się, wiedząc, że starsi koledzy to robią, mają specjalne długopisy z latarkami i robią notatki nawet w czasie filmu. Dziś byłoby to łatwiejsze, bo jest komórka, są różne tablety podświetlane, można by to zrobić, ale nie. Po prostu jestem wtedy na tyle pochłonięty filmem, że nie mam głowy do notatek. I decyduję się na to, żeby po prostu potraktować naturę za mojego przewodnika. To znaczy, to, co zostanie mi w pamięci, uznaję za odfiltrowane i rzeczywiście dla mnie ważne, a to, co zapomnę, uznaję za nieistotne. Trochę sobie dorabiam filozofię do tego.

No, ale oczywiście po filmie potrzebuję z kolei czasu na przetrwanie. Nigdy nie piszę recenzji tego samego dnia. Najwcześniej następnego, a najlepiej dwa, trzy dni później, bo mam długi okres takiego nasiąkania filmem. Ten film łączy się wtedy z różnymi moimi skojarzeniami, wspomnieniami, emocjami, które wyciszają się dopiero po jakimś czasie. Czasem jeszcze szukam informacji o tym filmie w jakichś wywiadach, żeby sobie wyjaśnić rzeczy, które pozostają niedokończone w mojej głowie. I dopiero wtedy siadam do recenzji.

Moim recenzjom zwykle trochę brakuje szczegółowości, bo gdybym notował, miałbym więcej szczegółów pod ręką. Natomiast myślę, że z kolei odróżniają się na korzyść w stosunku do innych takim lepszym widzeniem z góry. To znaczy lepszym ustawianiem proporcji — co tam rzeczywiście było ważne. Przez to, że nie jestem obciążony szczegółami, mam wrażenie, że czasem dotykam istoty rzeczy, którą szczegółami łatwo jest zabić albo zasłonić.

Czy sposoby mówienia o filmie różnią się w zależności od rodzaju mediów i czy na

przykład na YouTube operuje się innymi narzędziami niż w radiu?

– Troszeczkę. W radiu generalnie jest większe skupienie, bo słuchacze, gdy koncentrują się tylko na dźwięku, bardziej słuchają słów i nie rozpraszają się oglądaniem. I dlatego intymność zawsze lepiej wychodzi w radiu. Jeśli chce się coś takiego psychologicznie delikatnego zrobić, to w radiu zawsze to lepiej wyjdzie. Łatwiej jest osiągnąć taki kontakt i taki moment zatrzymania, że ktoś, nawet gdy w tym momencie gotuje czy robi coś innego, nagle stanie i zacznie słuchać bardzo intensywnie. W internecie tego nie ma, ponieważ tam robi się wiele rzeczy naraz. Ma się po kilka otwartych okien: tu gada, tam sprawdza pocztę, tu jakiś news przylatuje, tam odpowiada na sms. Mam wrażenie, że jest to bardziej rozproszone oglądanie, ale za to można dodać elementy wizualne. Zygmunt nauczył mnie, że to jest ważny element. Wobec tego u mnie są takie stałe elementy jak kubek miedziany czy misa tybetańska. Wymyśliłem sobie te akcesoria, bo pamiętałem z naszych rozmów w „Perłach z Lamusa”, że widzowie bardzo to lubią. Lubią być przywiązani do stałych elementów. Tak jak na meczu piłkarskim są tak zwane stałe elementy gry, np. rzut karny, rzut wolny, aut i tak dalej. I wszyscy wiedzą w takich sytuacjach, co się dzieje, jak to może być; czekają na nie — że będą rzuty karne na końcu, przy remisie, i tak dalej. Tak samo jest w recenzji. Wiadomo, że będzie przerwa między główną recenzją a moim premium, czyli taką bardziej osobistą impresją. Że będą trzy łyki wody z miedzianego kubka, czyli moment takiego oddechu. Czekają więc. Jak raz zapomniałem, to od razu pisali, dlaczego nie było kubka. Dlatego to robię. Zygmunt z kolei robił takie „pa pa”, kłaniał się głęboko, i jeśli czegoś takiego nie zrobił, natychmiast przychodziły listy, że to jest w ogóle nieważne, bo nie było tego

głębokiego ukłonu.

Wiem, że to jest ważne, bo taka recenzja na YouTube czy w telewizji jest widowiskiem. Chcemy tego czy nie — tam, gdzie jest wizualność, jest też widowisko. Wobec tego widowisko ma swoje prawa, i na przykład z tego powodu w radiu to jest kompletnie nieważne. Do radia poszedłbym tak, jak stoję, a jak siadam do wideorecenzji, to wymyślam oprawkę okularów, która odnosi się do filmu lub jakiś t-shirt z nadrukiem, który można potraktować jako komentarz, albo jakąś lekką stylizację, która nada charakter, bo jest np. żartobliwa. Czyli krótko mówiąc, trochę traktuję siebie jako narzędzie. Zgodnie z tym, co mówił McLuhan, środek przekazu też jest przekazem. „The medium is the message”. No i ja siebie tu traktuję jako element środka przekazu, czyli YouTube’a. To, jak wyglądam, też jest przekazem — nie tylko to, co mówię. A w radiu? Nie, no w radiu ważne są tylko słowa.

A czy krytyk powinien czasem powściągnąć siłę własnego zasięgu? Bo podobno, jak w przypadku choćby „Kac Wawa”, Pana recenzje miały realny wpływ na film.

– Tak twierdził producent. Ja wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście tak było, ale on był przekonany i chciał mnie podać do sądu, że pozbawiłem go dochodów.

Uważam, że jeśli coś jest złe, to trzeba wyrażnie to powiedzieć. Po pierwsze po to, żeby ostrzec ludzi, aby nie wydawali pieniędzy i nie tracili czasu, a jeżeli już, to na własne ryzyko. Po drugie, musi być jakiś rodzaj nacisku na filmowców, czy w ogóle na twórców, którzy zabierają się za takie działania bezczelne. I to jest taka bezczelność, która wynika na przykład ze zdania, które często słyszę wśród artystów robiących komercyjne rzeczy:

mówią – ludzie są debilami i tak tego nie rozumieją, trzeba dla „ludożerki” coś zrobić. Widzowie są nazywani „ludożerką”, w czym wyczuwalna jest pogarda. A jak ja czuję pogardę wobec widza, dla którego niby jest to zrobione i dzięki któremu oni w ogóle żyją, to uważam, że to jest nie fair. I po prostu czuję się w obowiązku pokazać to palcem – że to jest nie fair, że to jest nieuczciwie robione.

Można to chyba nazwać wewnętrzną odpowiedzialnością.

– Higieną, powiedziałbym. Jak już śmierdzi i jest brudno, to trzeba umyć. Ja jestem od tego.

Porozmawiajmy teraz o Chopinie. Jest Pan zafascynowany postacią Chopina?

– Tak, jestem.

Ale na temat najnowszego filmu o kompozytorze „Chopin, Chopin”, chyba niezbyt pochlebne ma Pan zdanie?

– Nie. Nie lubię tego filmu

Był Pan w Antoninie na Plenerowym Kinie Letnim i oglądał Pan kilka filmów o Chopinie, jaka była ich przewaga nad tym najnowszym?

– To zależy. Był taki stary niemiecki film, taka łzawa opowieść w stylu międzywojennym, bardzo słabej jakości. Różne są więc filmy. Także te polskie: „Młodość Chopina” w reżyserii Aleksandra Forda, w którym grał Wołłejko, „Błękitna nuta” Żuławskiego, albo „Chopin. Pragnienie miłości” Antczaka – tych prób było wiele. Moim zdaniem żadna nie była tak naprawdę sukcesem.

Ale w tym ostatnim filmie Michała Kwiecińskiego „Chopin, Chopin” – bo tam się nie mówi „Szopen”, tylko

„Szope” – widzę dużo kalkulacji i nie czuję w ogóle miłości do muzyki, a już do muzyki Chopina w szczególności. I kiedy zapytałem reżysera o to, to on powiedział, że chciał się skupić na tym, żeby pokazać takie strony Chopina, które nie były dotychczas naświetlane, czyli żeby opowiedzieć o Chopinie to, czego jeszcze o nim nie wiemy.

Uważam, że to nie jest do końca dobre założenie, ponieważ mamy ciągle nowe pokolenia, którym trzeba tę biografię po prostu dobrze opowiedzieć. Nadrzędne jest to, żeby było to z artystycznego punktu widzenia wybitne. Natomiast ten scenariusz powstał ze zlepków wielu przeczytanych książek oraz listów Chopina, do Chopina i o Chopinie pisanych między różnymi osobami. Tak zostały wyciągnięte, wyfiletowane różne informacje, które wydawały się interesujące, a nie tak bardzo znane. I z tego został sklejony skrótowy scenariusz, który na początku zaplanowano jako polski wariant „Amadeusza”.

Miało to zostać pokazane trochę na przykładzie takiej walki, przeciwstawienia Chopina i Franza Lista, który był jego przyjacielem, a którego postawiono w roli Salieriego. Trochę to miało zadziałać w ten sposób – chciano użyć tego schematu dramaturgicznego. Ale to się nie udało, nie wyszło, ponieważ List nie był Salierim, był wybitnym kompozytorem, ale nie był wrogiem Chopina. W ogóle to zestawienie było absurdałne i to nie wyszło. Oni sami – scenarzysta i reżyser – zorientowali się, że tak się nie da.

Wobec tego jeszcze przez jakiś czas, na początku filmu, widać, że coś próbowali, a potem porzucili ten pomysł i zaczęli po prostu opowiadać, dodawać. Jeszcze taką rzecz się dowiedziałem, że odwracają uwagę od muzyki. I ta muzyka, nawet jeśli brzmi, nie jest podmiotowa, tylko

przedmiotowa. To znaczy, gra się ją, ale nie ma ani jednej próby opowiedzenia, pokazania, z czego ta muzyka się wywodzi, skąd wzięła się właśnie taka. Bo powiedzieć, że on był genialny, to sorry, ale to za mało i nie o to chodzi. Warto byłoby opowiedzieć, dlaczego ona tak brzmi, na czym polega ten element polskości.

Prawie cały film jest po francusku, raz jedyny Chopin mówi do króla, że jest z Polski i tego nigdy się nie pozbędzie. No i to jest koniec elementu polskiego pierwiastka. Jeśli robimy polski film, jeden z najdroższych w ostatnich latach, a w trakcie konkursu chopinowskiego jest jego premiera, to byłoby dobrze, gdybyśmy orientowali się, że to w zasadzie tak, jakbyśmy wstydzieli się tego, że mamy okazję do pokazania polskości w muzyce Chopina. Cała akcja dzieje się we Francji. Okej, tam mieszkał w drugiej połowie życia, oczywiście, jasne. Dotyczy choroby i jego salonowego bywania. Ale nie wiadomo, skąd ta muzyka się bierze.

Na zasadzie trochę tak jak Mozart, który tam siedział i się piekł, był niezdolny. Dokładnie to jest przeniesione: to samo, że jest niezdolny facet o geniuszu, którego wszyscy są dookoła przekonani, ale on jest chory i na pewno się zabije. No i tak jak zmarł chory młody Mozart, tak samo Chopin. Za dużo tutaj zostało wplecionych tych sztucznie wykreowanych porównań, a w gruncie rzeczy w ogóle nie ma Chopina.

Film reklamuje za to piosenkę Dawida Kwiatkowskiego.

Pańskim zdaniem problemem, który trawi polską kinematografię, jest pośpiech, niskie kompetencje, czy też może brak odwagi artystycznej?

– Brak odwagi, czyli tchórzostwo. Omija się trudne tematy. Ja ciągle nie widzę nikogo poza Wojciechem Smarzowskim

i Agnieszką Holland, która jest trochę taką obywatelką świata, oczywiście Polką i podkreśla tę polskość, ale ona jest niezależna, bo jak w Polsce nie robi filmu, to robi za granicą. Ma dziesiątki możliwości zrobienia filmu, więc nie jest zdana na polskie władze kulturalne, które przez wiele lat odmawiały jej jakiegokolwiek wsparcia. No ale ona jest absolutnie odważna, a z kolei Smarzowski, który jak nie dostaje wsparcia od PISF-u, to szuka własnych pieniędzy, w każdym filmie ma zawsze całą listę sponsorów prywatnych. Dodaje grosz do grosza, żeby móc wyprodukować to, w co wierzy. I jest odważny, wierzy w trudne tematy. Porusza takie tematy, że potem słyszy, jak widzowie mówią: „Ja na to nie pójdę, bo to za mocne, nie mam nerwów, ja się boję”. Jurorzy regularnie pomijają jego filmy w konkursach i na festiwalach. Znowu tak się stało z „Domem Dobrym” w Gdyni. Żadnej nagrody nie dostał. Film, który naprawdę jest znakomity, z wybitnymi rolami. To po prostu jest coś tak zdumiewającego.

Natomiast reszta środowiska robi uniki. Ciągłe robi uniki i wymyśla różne tematy, które są bezpieczniejsze. A ja uważam, że dziś najważniejsze jest, żeby umieć opisywać współczesność, naszą rzeczywistość, która jest bardzo ciekawa. Widać zresztą, że Amerykanie już to robią, próbują. Nie zawsze to wychodzi, nawet powiedziałbym, że raczej rzadko wychodzi, ale trzeba próbować, bo na naszych oczach dzieje się zmiana cywilizacyjna. I robienie filmów ciągle o tym samym: o jakichś samotnikach, albo o młodości zrewoltowanej trochę i o narkotykach – no wszystko dobrze, ale cały czas uciekamy od najważniejszego. Może niech zrobią dobry film np. o sztucznej inteligencji. Ja wiem, że to może być trudne. No, może być trudno napisać scenariusz, żeby to było interesujące dramaturgicznie, ale trzeba próbować, to zrobić...

Gdyby żył Wajda, to pewnie chciałby zrobić film o tej walce PIS-u z PO. On tyle razy chwycił się za trudne, aktualne tematy. Raz mu wychodziło lepiej, raz gorzej, ale zawsze próbował, bo to jest obowiązkiem kultury – dawać odwzorowanie w kulturze tego, co się dzieje. Nie zostawiać tego tylko historykom. A póki co nie ma chętnych do tego.

Pamiętam, że gdy byłem w jury festiwalu dokumentalnego w Krakowie i był taki jeden film o zajściach ulicznych 11 listopada, to bardzo długo musiałem przekonywać jurorów, żeby w ogóle dopuścić ten film do puli nagród, bo oni mówili: „No ale on jest taki reportażowy”, „No ale tu mamy piękną, wysmakowaną opowieść o dwojgu starych ludzi, którzy smołę palą, czy co tam się z nią robi – gotują”. „Smolarze” to się nazywa. A tu mamy piękny film o Tatrach. No to ja mówię: „Dobra, ale tu się dzieje historia”. To tak samo, jak był film „Robotnicy 80”. Tu mamy coś w tym guście, nawet jeśli nie jest doskonałe, to jednak jest i trzeba pokazać, że my tym jesteśmy zainteresowani. I pamiętam, że wtedy, jak byłem w tym jury, doprowadziłem do tego, że ten film został nagrodzony. Nawet nie wiem, czy nie główną nagrodą. Ale w pierwszej chwili było: „Nie, nie, tu jest piękny, wysmakowany film o wietrze w Tatrach”.

Proszę powiedzieć, jaki jest bilans korzyści i strat po spotkaniu z Kanałem Zero?

– Nie ma żadnego bilansu. Dla mnie to jest kolejny bardzo ciekawy i ważny element w moich peregrinacjach. Jest coś, na czym mi zawsze najbardziej zależy, gdy coś ciekawego dzieje się w mediach, a uwielbiam media we wszystkich ich odsłonach, więc lubię przy tym być. Lubie być pionierem i być przy tym, jak to się tworzy. Po to, żeby potem wiedzieć swoje,

a nie żeby się opierać na tym, co mi ktoś powiedział albo napisał. Byłem tam, wiem, jacy tam byli ludzie, wiem, jak jest to zarządzane przez Stanowskiego. Wiem też, jakie audytorium było na początku i jak ono zmieniało się w ciągu miesięcy, jak narastała ta grupa subskrybentów. Ja to wszystko wiem, ponieważ w tym uczestniczyłem. I to jest w zasadzie moja główna idea – żeby przy tym być.

Tak jak teraz ktoś odnalazł z okazji jubileuszu TVN-u taki filmik – 28 lat temu, 3 października, była inauguracja TVN-u – i na tym filmiku patrzę i sobie przypominam. Oczywiście ja startowałem TVN, bo była taka impreza, którą ja prowadziłem z okazji otwarcia TVN-u, i w pewnym momencie wystartował program „Fakty” TVN. I pamiętam, że ja z estrady mówiłem: „Uwaga, mamy teraz wielką chwilę, startuje nowa polska telewizja TVN. Uwaga, startujemy. Trzy, dwa, jeden, start”. I poszła czołówka „Faktów”.

No więc, oczywiście, anegdotycznie o tym mówię, że startowałem TVN, no ale taka jest prawda – to ja odliczałem, ja prowadziłem tę imprezę i byłem strasznie dumny, że byłem przy początku i wiem, jacy to byli ludzie, w co wierzyli, jak wyglądał TVN na starcie. I nie potrzebuję tego, żeby mi ktoś opowiadał, bo to jest moje doświadczenie.

Byłem też przy tym, jak zakładali sieć Multikina i wmurowywałem kamień węgielny pod pierwsze Multikino w Polsce. Było to w Poznaniu. Jak się w tym uczestniczy, to jest to wiedza prawdziwa, nie książkowa. Więc ja chcę być po prostu wszędzie, a jak mi ludzie mówią: „Nie idź tam czy tam, bo to zdrada, bo coś tam”, to ja wiem swoje. Jak uznam, że jest coś nie tak, to odejdę. Także nie, nie żałuję ani nie robię żadnego bilansu.

gdzieś iść lub nie iść, że powinienem zgolić albo ufarbować brodę, bo staro wygląda taka siwa, jest mnóstwo. Niech mówią, że nie powinienem wyglądać staro, że nie powinienem być owłosiony, nie powinienem iść do „Kanału Zero”. Ja wiem swoje, co należy robić.

W „Kinopassanie” pisał Pan o ważnym oglądaniu. Jak to interpretować i jak stosować takie ważne oglądanie?

– Oglądać z takim wejrzeniem w siebie, na spokojnie. Nie pożerać filmów, tak jak robią to „kinożercy” skupieni na fabule. I nie połykać jednej fabuły za drugą. Bo to jest tak, jakby człowiek łykał jedzenie i od razu wyrzucał z siebie – taka bulimia. Wtedy od razu robi się miejsce na następne jedzenie, prawda? Trzeba to, co się zjadło, strawić, a na to trawienie potrzebny jest czas.

Wobec tego trzeba móc pozwolić tym filmom wsiąknąć w naszą psychikę, połączyć się z naszym doświadczeniem, wyzwolić w sobie różne myśli i uczucia: od poczucia radości po poczucie niepokoju. Pozwolić sobie w wyniku tego na poszukanie jakichś treści, które rozjaśniałyby nam sytuację, albo które po prostu nagle uznajemy za ciekawe i chcemy się czegoś więcej dowiedzieć. Porozmawiać o tym filmie z innymi, może nawet pokłócić się, pozwolić po prostu, żeby ten film zaistniał w nas, a nie żeby przeleciał tylko przez nas, jak przez rurę.

Od początku naszej rozmowy zastanawiam się, czy w jakimkolwiek sposób identyfikował się Pan z ruchem hipisowskim?

– Tak, to jest najbliższy mi ruch.

Poczucie wolności, sprzeciw wobec rzeczy, które są poza naszą hierarchią wartości oraz uparte dążenie do tego

pomimo różnych perturbacji po drodze są dla mnie niezwykle istotne.

– To mi przypominało, że trzecim filmem, który powinienem wymienić obok „Kabaretu” i „Okreśtu”, jest „Hair” Miloša Formana, który, notabene, oglądałem na późnym seansie w kinoteatrze Dominion przy Tottenham Court Road i Oxford Street w Londynie, bo wtedy tam mieszkałem. Film skończył się późno, a ja byłem znowu w takiej euforii, jak po „Kabarecie”, ale to była inna euforia – euforia wolności. Bo to było jeszcze za komuny, więc wtedy w Polsce był PRL.

I pamiętam, że było już po północy, a Oxford Street była wtedy pusta, bo wszystkie sklepy były pozamykane. A ja biegłem środkiem ulicy, nie chodnikiem, tylko jezdnią Oxford Street. Tak biegłem i krzyczałem: „Jestem wolny, jestem wolny!” I miałem wtedy największe w życiu poczucie wolności. Także przez to, że byłem w Londynie i czułem, że mogę wszystko. Mogłem np. oglądać filmy, które do Polski wówczas nie docierały. Zresztą po to między innymi wtedy pojechałem. A byłem w trakcie studiów, bo pisałem pracę magisterską właśnie o telewizji. I to był ten czas, kiedy poznałem Leslie Mitchell.

A, w którym to było roku?

1979/80.

Nie miał Pan ochoty zostać tam i już nie wracać?

– Proponowano mi, ale nie. Zorientowałem się, że nie jestem lingwistą, nie jestem w stanie opanować obcego języka w sposób na tyle perfekcyjny, żeby mówić jak autochton. Zawsze będę mówił z akcentem, będę mówił z inną składnią i po prostu myślał po polsku. I zrozumiałem, że w żadnym języku nigdy nie wyrażę siebie tak, jak bym chciał i jak mogę to zrobić po

polsku. A jako że chcę pracować ze słowem, mogę to robić tylko w Polsce. Niezależnie od tego, jaka tu będzie władza, to jest moje miejsce do życia, działania i przeżywania świata.

Dostałem nawet propozycję pracy w firmie Richarda Bransona, Virgin Records, jako specjalista do spraw współpracy z Europą Wschodnią, w firmie płytowej, która bardzo mi się podobała, a Brunson był fantastycznym szefem, tylko że ja nie chciałem pracować w wytwórni płytowej. Mogło mnie to bawić przez parę miesięcy, przez rok, i mogłem woleć pracować tam niż zmywać gary w restauracji, co też robiłem wcześniej. No, ale nie było to do tego stopnia kuszące, żeby budować na tym swoje życie. Chciałem wrócić, być dziennikarzem i pracować w telewizji.

Ale kiedy byłem trochę w BBC, zorientowałem się, że dobrze, jeśli będę trochę obcy, trochę inny. Nie mam jednak wielkich szans, żebym osiągnął w BBC tyle, ile mogę osiągnąć w Polsce.

Bardzo dziękuję za spotkanie. Wolność, która w Panu wybrzmiewa i odwaga, z jaką idzie Pan pod prąd, są bardzo inspirujące.

– Dlatego często podkreślam, jak ważna jest odwaga, ale musi to być taka cywilna odwaga, którą opłaca się trenować w sobie. Bo co do tego, żeby trenować mięśnie na siłowni, nikt nie ma wątpliwości, ale w dziedzinie myślenia i w dziedzinie emocji też jest potrzebna siłownia, bo inaczej jest się po prostu emocjonalnym flakiem. Żeby przeżyć życie w sposób naprawdę wartościowy, muszę się konfrontować. Nie da się brać tylko tego, co łatwe.

Dziękuję za rozmowę.

– Dziękuję za ciekawe pytania.

Ireneusz Iredyński - czyły bluźnierca?

Agnieszka Modrzejewska

O Ireneuszu Iredyńskim usłyszałam po raz pierwszy wiele lat temu, będąc z wizytą na Podlasiu, gdy koncertujący tam wówczas Jerzy Połomski, przed każdą z wykonywanych przez siebie piosenek, opowiadał o niej niezwykle elokwentnie i zajmująco (był wówczas we wspaniałej formie erudycyjnej, nie miał jeszcze kłopotów z pamięcią, które towarzyszyły mu podczas koncertów w ostatnich latach życia). I właśnie tam zapowiadając piosenkę: „Moja miła, moja cicha, moja śliczna”, wspominał, że autorem słów jest Ireneusz Iredyński, a także o tym, że gdy stała się jednym z przebojów, wielokrotnie próbował odnaleźć Iredyńskiego, by ten znów napisał dla niego jakąś piosenkę, ale niestety Iredyński przepadł jak kamień w wodę i rzekomo nikt nie wiedział, gdzie się podziewa... A Irek był już wówczas w zakładzie karnym w Sztumie. Ale zaczniemy może od początku...

Dzieciństwo

„Nikt z ludzi, z którymi spędziłem wiele dni, miesięcy, lat, nie unikał tak bezwzględnie, wręcz demonstracyjnie rozmów o rodzicach jak Irek. Nie mówił o rodzeństwie, rodzinnym domu czy mieście, z którego przyjechał do Warszawy. [...] Iredyński jakby wychynał z przestrzeni bezimiennej, z nieistniejącego krajobrazu, i nikt go nie wychował, a nawet nikt go nie urodził. To znaczy nikt, do kogo chciałby się przyznać”[1] – pisał o Iredyńskim jego przyjaciel Roman Śliwonik”.

Ale nawet ktoś, kto tak bardzo nie chce wracać do czasów dzieciństwa, ma przecież jakichś swoich przodków, swoje korzenie i genealogię.

Ireneusz Andrzej Iredyński urodził się 4 czerwca 1939 r. w Stanisławowie (dziś to miasto nazywa się Iwano-Frankowsk i należy do zachodniej części Ukrainy), jego rodzicami byli: Aleksandra z Zioteckich Iredyńska i Antoni Iredyński. Gdy chłopiec miał dwa lata, ojciec

wyrzucił z domu żonę, która była pochodzenia żydowskiego, ponieważ uważał, że im zagraża. Kobieta zaginęła w wojennej zawierusze i nigdy nie zdołano ustalić, czy zginęła w obozie, czy też udało jej się wyjechać z kraju. Krążyły niepotwierdzone plotki o tym, jakoby znalazła się po wojnie w Stanach Zjednoczonych lub w Izraelu.

Ojciec Irka został wcielony do wojska i służył w armii Andersa.

Irek przez całą wojnę mieszkał z babcią po mieczu – Marią Harz oraz siostrami ojca: Marceliną (zwaną przez bliskich Cecylią) Hendrychowską (w dokumentacji szkolnej Irka została podana, jako jedyna jego prawna opiekunka), Stanisławą Schweisser oraz Eugenią Iredyńską.

8 lutego 1946 r. sześciopółletni wówczas Irek przyjechał do Bochni, gdzie wraz z babcią i ciotkami zamieszkał przy ulicy Białej, a następnie w domu Kosturkiewiczów przy ul. Solnej 3.

Ojciec, który przeszedł z Andersem cały szlak bojowy, początkowo zatrzymał się w Londynie, a następnie chciał osiąść (być może na stałe, o ile coś w tych pełnych zamieszania latach powojennych, pojałtańskich, można określić stałym) w Foxley. Ostatecznie jednak w 1948 r. wrócił do Polski.

Co do tego, jakimi opiekunkami były dla Irka ciotki, zdania są podzielone, natomiast co do tego, jakim tyranem był jego ojciec, biografowie są absolutnie zgodni.

Przyjaciel Irka, pisarz, Marek Sołtysik twierdzi, że Irek był „od dzieciństwa wychowywany w czułości przez kobiety”[2]. [...], „Z kobietami dzielnymi, niekiedy nadopiecznymi, czy raczej nadczułymi”[3]. Zawsze też o nich pamiętał. „Przyjechał z Warszawy swoją fiestą [...] do Bochni, [...] żeby na cmentarzu

odwiedzić groby ciotek, babci, kobiet [...] wyjątkowo mu bliskich. Te panie, jak z bajki, wyobrażone na podstawie jego prywatnych opowieści, naszkicowane w prozie, zaistniały także w słuchowiskach, te istoty, dzięki którym dzieciństwo chłopca, długo wychowywanego się bez rodziców, upłynie pod znakiem dobrej opiekuńczości”[4] – wspomina dalej Sołtysik.

A tak przedstawia to w swojej książce Jadwiga Staniszkis: „Ojciec Irka szybciej musiał wrócić, bo Irek jako dziecko został po prostu sam. Ciotki, które się nim opiekowały, umarły, matka gdzieś zniknęła w czasie wojny. Ojciec Irka musiał wrócić, zdać się na łaskę władzy, za co miał do Irka pretensje, odgrywał się na nim. [...] Irek był fizycznie za słaby, żeby się dobrze bić. Ale to też była reakcja na słabość, na złamanie ojca, który po powrocie z Zachodu zaczął pić i bił Irka, każąc go za to, że musiał przez niego wrócić do Polski”[5].

Nie jest to cała prawda, ponieważ w 1948 r., gdy Antoni wrócił do Polski, zarówno jego matka, jak i siostry jeszcze żyły. Podaje się, że ojciec powrócił, bojąc się, iż syn wychowywany wyłącznie przez kobiety, zniewieścicie. Postanowił go wychować po męsku, w dyscyplinie i wojskowym drylu. Bił, katował, upokarzał. Irek szczerze go nienawidził i gdy miał zaledwie 14 lat, odszedł z domu, od tamtej pory radząc sobie samodzielnie.

Inny Stanisławowianin, dziennikarz i publicysta Daniel Passent (ocalał z obozu zagłady w Bełżcu) określał swoje dzieciństwo mianem amputowanego, natomiast Iredyński napisał: „Patrz, oto zniknęło dzieciństwo jak łza”[6].

Edukacja Irka

W roku szkolnym 1946/1947 r. Irek rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej im. Stanisława Jachowicza w Bochni. Podobno ogromny wpływ miała wówczas na niego założycielka tamtejszej Miejskiej Biblioteki Publicznej – Maria Bielawska.

Naukę kontynuował w Liceum im. Karola Wielkiego w Bochni, gdzie języka polskiego uczyła prof. Stanisława Sierpińska, która

zaraziła go miłością do literatury i teatru. Miała nowatorskie pomysły i była zaangażowana w swoją pracę: wystawiała z uczniami sztuki, zapraszała ich do domu. Szkołę tę jednak porzucił.

Technikum elektryczne w Tarnowie – także zostało przerwane.

Z elitarnego I Liceum Ogólnokształcące im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie, popularnie nazywanego nowodworkiem, Irek został wyrzucony, podobnie jak z technikum księgarskiego mieszczącego się w Zespole Szkół Poligraficzno-Księgarskich (od 2014 r. to Zespół Szkół Poligraficzno-Medialnych).[7]

Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie – podobno ukończył w 1957 roku, bez matury – czy to prawda, czy kolejny mit?

Irek wielokrotnie był relegowany ze szkół za złe stopnie, za lekceważenie i arogancję wobec nauczycieli oraz za nieobyczajne zachowanie.

Nauka nie była tym, co interesowało Irka, jednak książki (na każdym etapie swojego życia) czytał nałogowo, wręcz je pochłaniał.

Pojawiają się także głosy, jakoby po opuszczeniu Bochni, nie kontynuował już nauki nigdzie indziej.[8]

Kobiety

W jakich kobietach gustował Irek? Na pewno pięknych, inteligentnych, kulturalnych, subtelnych i wykształconych, choć jednocześnie: „Nie lubił kobiet niezależnych, dominujących, apodyktycznych. Był kiedyś z taką kobietą związany, znaną na dodatek i piękną. Bardzo ją kochał, mimo to szybko się rozstali, bo jak mówił – drzazgi szły. Chciał, żebym nie pracowała, była wyłącznie jego żoną”[9] – wspominała w wywiadzie jego druga żona, Teresa Iredyńska.

Jak na kogoś, kto nie lubił kobiet niezależnych, zaskakującym może wydawać się fakt, że głównie (jeśli nie wyłącznie) takie kobiety wybierał na partnerki.

Jak zwykle przewrotny, niejednoznaczny i kontrowersyjny Ireneusz, do żony pisze w telegramach: „Jaśnie Wielmożna Pani

Iredyńska. Z miłością. Iredyński”[10], podczas gdy w wywiadzie udzielonym dziennikarce „Kobiety i Życia”, Ilonie Konrad, na pytanie: *A jak pan traktuje kobiety?*, odpowiada: *Ja? Jeszcze normalnie – jako naczynie na spermę. No i rusza lawina publicznego oburzenia i zgorszenia.*

Ale potrafił też mówić z czułością: „Uwielbiam kobiety. Nie lubię Women Liberation, albowiem są to mężczyźni. Uważam, że kobiety, przez uczuciowość uwarunkowaną biologią, przenoszą tradycję dobra, będąc matkami i żonami, kochankami zdradzającymi bądź zdradzającymi. Są tymi, które przenoszą dobro z pokolenia na pokolenie. I wszystkich czynią nas lepszymi...”[11].

Masza Kapelińska (1932-2019)

Pierwszą żoną Irka została malarka, plastyczka i scenografka – Maria Józefa Kapelińska zwana przez wszystkich Maszą. Ślub cywilny zawarli 9 sierpnia 1957 r. w Krakowie. Pan młody miał wówczas zaledwie 18 lat, naręczona był od niego 7 lat starsza. Urodziła się 10.II.1932 r. Do ślubu poszli w codziennych ubraniach, bez specjalnych przygotowań, nie było kwiatów ani prezentów, świadkowie (którymi byli: przyjaciółka Maszy, rzeźbiarka, Zofia Bielawska i kolega Irka, wówczas student Politechniki – Bartłomiej Siewarga) złożyli się na butelkę wódki. Już podczas ceremonii Irek błaznował, udając głuchego, by urzędnik musiał powtarzać mu kilkakrotnie słowa przysięgi.

Iredyńscy wiedli skromne życie w kawalerce przy Krupniczej 22 w Krakowie, żyjąc głównie ze stypendium artystycznego Maszy. Z czasem także Irek otrzymał stypendium ze Związku Literatów Polskich, ale swoje zwykle przepijał. Problem stanowiły nie tylko pieniądze, czy też raczej ciągły ich brak, ale też manipulacje, zdrady, alkoholizm Irka, a także wyższa pozycja zawodowa Maszy, czego Irek nie lubił, choć jak pokazało dalsze życie, właśnie takie kobiety go pociągały i takie wybierał.

Rozstali się w 1958 r. Masza wróciła do rodziców (Heleny i Józefa Kapelińskich), do Łazienka k. Aleksandrowa Kujawskiego, a Irek pozostał w Krakowie. Oficjalnie rozwiedli się jednak

dopiero po wyjściu Irka ze Sztumu – 14.01.1972 r. Dopóki odbywał tam wyrok, Masza wspierała go emocjonalnie i finansowo, regularnie jeżdżąc także na widzenia. Uważała to za swą powinność, skoro wciąż jeszcze, przynajmniej formalnie, byli małżeństwem. Według niej obowiązkiem żony było wspieranie męża w trudnym położeniu, w jakim się wówczas znalazł.

Masza powiadomiła również listownie swojego teścia o wyroku Irka, na co ten odpisał, że właściwie dobrze się stało, bo może Irek w zakładzie karnym zda wreszcie maturę. Przy okazji Antoni chciał też ubić własny interes, proponując Maszy zakup pawich piór do teatru (w którym pracowała), na co Masza nie przystała i kontakt się urwał.

Nie przeszkodziło to jednak ojcu Irka kilka lat później wystąpić na drogę prawną i zażądać alimentów, gdy synowi zaczęło się lepiej powodzić, a jego utwory zaczęto tłumaczyć i wydawać za granicą. Mimo braku więzi i kontaktu między panami Iredyńskimi, sąd zasądził owo świadczenie i Irek płacił je ojcu aż do śmierci pana Antoniego.

Masza miała dosyć, gdy po wyjściu ze Sztumu Irek zaczął, jak dawniej w Krakowie, sprowadzać prostytutki, w tym tę podobno najbardziej znaną – Iżę Drabinę.

Ona sama nigdy już nie związała się z innym mężczyzną, bo jak mówiła: „Któż miałby się z nim równać?”[12] i do końca swoich dni przedstawiała się jako Masza Iredyńska.

Alina Piechowska (ur. w 1937 r.)

Z Irkiem poznali się przypadkowo, jadąc razem w windzie, w warszawskiej „Estradzie”.

Alina była kompozytorką, wspólnie napisali znaną piosenkę, przez szereg lat wykonywaną właśnie przez Jerzego Połomskiego: „Moja miła, moja cicha, moja śliczna” oraz drugą równie liryczną pt. „Jestem cała w twoich rękach” wykonywaną przez aktorkę Barbarę Brylską, a wcześniej także przez piosenkarkę Lilianę Urbańską (dziś matkę znanej wokalistki i reżyserki Marii Sadowskiej).

Ireneusz dość niespodziewanie wprowadził się do sublokatorskiego mieszkania Aliny przy Armii Ludowej, gdzie równie szybko zadomowił się i rozgościł. Mieli poważne plany na wspólną przyszłość, a Irek pojechał nawet do Częstochowy, by w rodzinnym mieście Alicji poprosić o jej rękę.

Niestety wciąż pił, jego knajacka natura raz po raz dawała o sobie znać, a Alicja (jak wszystkie jej poprzedniczki i następczynie) szukała go po lokalach i spelunkach. Ratowała. A miała przecież własne zawodowe ambicje i plany, robiła właśnie dyplom z kompozycji – oratorium „Róża wiatrów” do słów Irka. Podjęła decyzję o rozstaniu, mimo że była wtedy w ciąży, o której Irkowi nie powiedziała. Podała się aborcji, której Irek podobno się domyślił i wpadł w rozpacz. Nigdy więcej się do niej nie odezwał.

Po dyplomie wyjechała na stypendium do Paryża i tam już pozostała, zawsze podkreślając, że Irek był największą miłością jej życia.

Jadwiga Staniszkis (1942-2024)

Kiedy się spotkali, oboje byli już ludźmi po przejściach, Irek miał za sobą rozwód z Maszą Kapelińską i burzliwy związek z Aliną Piechowską, a Jadwiga była po rozwodzie z pierwszym mężem Markiem Lewickim. Uwikłana nieco w przyjacielsko – romantyczną znajomość z Aleksandrem Smolarem, postawiła jednak na bliskość z Iredyńskim.

Związek Jadwigi i Ireneusza trwał około trzech lat, był burzliwy, intensywny i emocjonalnie trudny – pozostawił w niej ślady, o których później mówiła publicznie z dużą szczerością.

Poznali się w grudniu 1970 r. w prestiżowej jak na lata 70-te chińskiej restauracji Szanghaj w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 55/73, która słynęła z neonów w kształcie smoków, orientalnego wystroju (białych obrusów, czarnych talerzy, parawaników oddzielających stoliki) i długich (nawet kilkugodzinnych) kolejek oczekujących tam na stolik.

Jadwiga rozmawiała wówczas z filozofem Jerzym Niecikowskim, a po sąsiedzku siedział Irek, który jako że znał Niecikowskiego, postanowił się do nich przysiąść. Tak zaczęła się ich znajomość.

Staniszkis po latach twierdziła, że zapamiętała nawet, jak była ubrana tamtego wieczoru: „Miałam takie czerwone podkolanówki, buciki na obcasach i czarną sukienkę – świetnie się tam bawiłam, ale byłam jednak trochę za mało wesoła, żeby założyć czerwoną. Więc czerwone tylko podkolanówki do tej czarnej sukienki. Irek zawsze wspominał, że byłam wtedy taka <<rumiana>>...A on ciągle widział wyłącznie blade kobiety.[...] Wydawałam się taka normalna, a jednocześnie niegłupia. Zupełnie niepodobna do tych dziewcząt, co się wokół Irka i w ogóle, wokół pisarzy kręciły, poświęcały, zapijały razem z nimi” [13].

Po trzech tygodniach od poznania Irka, Jadwiga obroniła doktorat z socjologii.

„Irek, kiedy już byliśmy ze sobą, powiedział mi, że wtedy, w tej restauracji <<Szanghaj>>, zwrócił na mnie uwagę właśnie dlatego, że nie byłam doskonała, miałam w sobie jakiś feler, parocentymetrową bliznę, która pozostała mi po wypadku w Anglii”[14] – twierdziła Staniszkis.

W 1971 r. zamieszkali wspólnie przy Alejach Jerozolimskich 46 (nad herbaciarnią Gong).

A tak te ich wspólne początki wspomina sama Staniszkis w jednej ze swych książek: „Pamiętam pierwszą rzecz, którą zrobił, kiedy się do mnie wprowadził. Kupił czarne, grube zasłony z rysu na okna, żeby się odciąć od świata, żeby nie widzieć tego, co na zewnątrz”[15].

Irek uwielbiał wywoływać burdy i skandale, co za pewne przyczyniło się do kresu jego związku ze Staniszkis. Ona sama także wspominała, że Irek albo wracał z kompanami w nocy ze SPATIF-u, przedstawiał Jadwigę jako swoją pielęgniarke, prosił, by szła do jakiejś meliny kupić im wódkę, a potem biesiadowali w jej mieszkaniu do rana, albo też któryś z jego przyjaciół prosił, by pojechała po Irka do takiej czy innej knajpy, bo on nie jest już w stanie opuścić jej samodzielnie. Robiła to... do czasu.

Coś zaczęło w niej pękać, kiedy Ireneusz dostał stypendium w Berlinie Zachodnim, a ona nie mogła mu towarzyszyć, ponieważ nie dostawała wizy. Irek bez skrupułów dzwonił wtedy do niej i kazał rozmawiać z prostytutkami, z którymi sam nie mógł się porozumieć, gdyż nie znał żadnego

obcego języka. To ją złamało.

A po powrocie Irek oskarżał ją jeszcze o zdradę z Jerzym Ekelem, który był tylko jej znajomym.

Po którejś z awantur Irek kazał Jadwidze wybrać sobie karę, zresztą wcześniej też już dochodziło do rękoczynów, podczas których Irek bił Jadwigę smyczą lub pękiem kluczy. Jak sama przyznawała, po niektórych uderzeniach zostawały blizny. Pewnie te w sercu niemniejsze. Znosiła to, usprawiedliwiała – określała nawet taką wzajemną grą.

„Nazywał mnie kauczukową piłką, która po odkształceniu zawsze wraca do pierwotnego kształtu. Ale to tylko pozór – kształt na zewnątrz ten sam, ale – aby go utrzymać – cała konstrukcja wewnątrz musiała ulec zmianie”[16].

Jadwiga samodzielnie wychowywała córkę z pierwszego małżeństwa, pracowała, pisała, przygotowywała się do habilitacji. Ciągłe zarywanie nocy na poszukiwanie Irka, ratowanie go, niańczenie, obrywanie, przywożenie do domu, nie sprzyjało prowadzeniu normalnego życia rodzinnego, jakie zapewne chciała wieść dla siebie i dziecka.

„W pewnym momencie spakowałam jego rzeczy i powiedziałam, żeby się wyprowadził. I on to zrobił”[17]– pisała. Jadwiga na kilka miesięcy wyłącza telefon, bo Irek potrafi dzwonić w środku nocy lub nad ranem.

Ich drogi rozchodzą się.

Jadwiga po latach podsumowuje: „Po doświadczeniu życia z Irkiem sama stałam się silniejsza, bo dostrzegłam zalety mojej niewrażliwości na <<intersubiektywność>>”[18].

Anna Mackiewicz primo voto Kaczanowska

Anna była lekarzem psychiatrą. Kobieta rzekomo uprowadzoną, siłą przetrzymywaną i zgwałconą przez Ireneusza. Tyle, że najprawdopodobniej była to jedynie wersja stworzona dla męża Anny, znanego malarza Witolda Kaczanowskiego, ponieważ romans ten wcale się wówczas nie zakończył.

A zdaniem Stanisława Brejdyganta, przyjaciela pisarza, Anna była największą miłością Irka. I

kiedy ten dostał stypendium w USA, spotkali się na miejscowym cmentarzu, w miasteczku na styku granicy Stanów i Kanady. Kobieta zaprosiła go wówczas do swego domu w Sherbrooke na pół roku. Irek rozważał wtedy małżeństwo z Anną, pisał o tym nawet do Brejdyganta, ale świadomy swych wad, nałogów i ograniczeń, w końcu wrócił do Polski sam. Potem ona zachorowała na Alzheimera i nikogo już nie poznawała.

Do historii ich znajomości powrócimy jeszcze w dalszej części tej opowieści.

Teresa Polkowska (1933 – 2000)

Z domu Kolankowska (córka Wacława i Jadwigi Kolankowskich), primo voto Świerzy, secundo voto Iredyńska.

Irek poznał Teresę w domu swoich przyjaciół i sąsiadów, Jagi i Jonasza Koftów, gdy ona – wraz z mężem, znanym malarzem plakacistą, Waldemarem Świerzym – była gościem na przyjęciu imieninowym pani domu, a on wpadł tam przypadkiem, w nocy, na rauszu.

Jak później wspominała, zakochała się od razu, można rzec od pierwszego wejrzenia i na zabój, choć Jaga Kofta, znająca dobrze Irka, (jego problem alkoholowy, nawyki i traktowanie ludzi) z całego serca odradzała przyjaciółce ten związek. Przeciwna była również szesnastoletnia wówczas córka Teresy. Na miłość jednak nie ma rady. Teresa opuściła dom i pierwszego męża, z którym pozostawiła latorośl. Po otrzymaniu rozvodu ze Świerzym, poślubiła Irka. Zamieszkali wspólnie w domu na warszawskich Grotach, przy ul. Spychowskiej, weekendy i lata spędzając w dacy na Mazurach, w miejscowości Bredynki. Obie te nieruchomości były własnością Irka.

Do ślubu z Teresą poszedł w stylu wojskowym: w zielonych bojówkach, koszulce moro i kurtce khaki z pagonami. Ona miała na sobie tego dnia długą, lejącą suknię w kolorze gołębic i bukiet z mieczyków.

W jednym z nielicznych wywiadów jakich udzieliła Teresa, twierdziła, że Irek pił przez trzy – cztery miesiące w roku, a przez pozostałych osiem – dziewięć pracował i był po prostu jej Irkiem. „Bo kiedy pił, nie był mój”[19]– mówiła.

Irek po raz pierwszy miał prawdziwy, ciepły, normalny, może nawet mieszczański (co nie tylko zdawało się mu nie przeszkadzać, ale wręcz go uszczęśliwiało) dom. To chyba wtedy sam zrozumiał i upewnił się, że tego właśnie potrzebuje. Małżonkowie wspólnie gotowali, wędzili, chodzili na grzyby i długie spacerzy z psami. „Kiedy nie pił, znakomicie nam się żyło – spokojnie, zwyczajnie, normalnie.[...] Był domatorem, lubił bardzo swoje dwa domy [...]. Ciągłe coś do nich kupował, zmieniał, urządzał.[...] Ubóstwiał też gotować, narzekał, że wygryzłam go z kuchni i pralki. Piekł w prodiżu wspaniałe mięsa, robił pikle, które budziły zachwyt gości”[20]– mówiła Teresa. Gdy złamała prawą rękę, przejął pełną opiekę: karmił, obsypywał prezentami, woził na rehabilitację. Miał też gest, np. na imieniny podarował Teresie auto – małego fiata. Gdy leżała w szpitalu, przekupił personel i, mimo oficjalnego zakazu, wniósł tam pół kwiaciarni. Nigdy też nie pozwalał jej sprzątać ani w domu na Grotach ani na Mazurach, zawsze wynajmował i opłacał panie do sprzątania, mimo że Teresa nie pracowała już wówczas zawodowo. A z zawodu była pielęgniarką, kiedyś pracowała nawet w szpitalu, a potem w domu dziecka, ale wszystko to do czasu poznania Irka. Potem zgodnie z jego wolą została w domu, by mu w nim towarzyszyć i współtworzyć tę oazę ciepła i spokoju.

Kiedy Irek źle się poczuł, Teresa natychmiast wezwała pogotowie. W karetce krzychał: *Teresko, ratuj mnie*, ale pośmiertna legenda głosi, że prosił, by podano mu w kropłówce wódkę. Pewnie cieszyłby się z tej wersji, wołałby taką, byłaby bliższa jego kontrowersyjnemu wizerunkowi, który latami pieczołowicie tworzył i któremu niezmiennie pozostawał wierny.

Irka w postaci udomowionego dżentelmena – znali jedynie najbliżsi, Irka obrazoburcę – niemal wszyscy. Takim go zapamiętano, jakim prawdopodobnie chciałby zostać zapamiętany.

Żona i pasierbica podkreślały, że to nie prawda, iż nie chciał już żyć. Leczył się, dotarł nawet do dr Luby Szawdyn, znanej psychiatry i psychoterapeutki, która specjalizowała się w terapii uzależnień, niestety organizm był wycieńczony wieloletnim piciem. A zapijał

biedę i brak domu od wczesnych lat młodości, niemal od dzieciństwa.

Irek i Teresa byli małżeństwem przez osiem lat, aż do jego nagłej i niespodziewanej śmierci.

Gdy odszedł, Teresa zajęła się trojgiem wnucząt: Antkiem, Jasiem i Helenką, a także pomagała w schronisku dla zwierząt w Milanówku. Dzięki temu udało jej się przetrwać najtrudniejsze chwile po śmierci męża.

Dorota Marczevska, pasierbica Irka, która zmarła 10 grudnia 2023 roku w wieku 59 lat, do końca wypowiadała się o Irku i drugim małżeństwie swojej matki bardzo pochlebnie.

Córka

Jedynym, nieślubnym, dzieckiem Irka jest córka – Karolina Ochab, urodzona w 1972 r.

„Przyznał się, że ma nieślubne dziecko z koleżanką żony, o czym ona nie wie, kobietą samotną, która nie chce od niego materialnej pomocy”[21]– czytamy w notatce Bruno Hallera[22].

Maryna Ochab[23], córka peerelowskiego dygnitarza, nie tylko nie chciała finansowego wsparcia ze strony ojca swojego dziecka, ale nawet (być może pod wpływem własnego ojca i reszty rodziny) nie chciała utrzymywać z Irkiem kontaktu. Nie uczestniczył on więc w życiu i wychowaniu swojej jedynej biologicznej córki.

Kobieta w dorosłym życiu związała swoją drogę zawodową z teatrem.

Łobuzerskość

Ireneusz Iredyński – wrażliwy skandalista czy nieczuły cham?

Kim byłeś Irku? – aż korci zapytać.

Jaskiniowcem, przemocowcem, chuliganem, hulaką, perwersyjnym demonem, manipulatorem, prowokatorem, ekscentrykiem, obrazoburcą, buntownikiem, moralnie zepsutym alkoholikiem, awanturnikiem, seksoholikiem, kobieciarzem – czy też może głęboko wrażliwym, skrzywdzonym człowiekiem?

Obroną Irka najczęściej bywał atak.

Irek bił się z przyjaciółmi, w SPATIF-ie z aktorami: Janem Świdorskim i Ludwikiem Pakiem, na ulicy z nieznanymi sobie ludźmi, a w redakcji nawet z Antonim Krauze, który prowadził dział plastyczny i uchodził za człowieka niezwykle spokojnego, którego nie da się sprowokować. Cóż, jak widać, Irkowi się udawało...

Nie oszczędzał nikogo. Podczas kolegium redakcyjnego miał zwyczaj wpadać i wyciągać stamtąd na wódkę, ku rozpaczy współpracowników, wybitnego teatrologa i eseistę, Konstantego Puzyrę.

Obory

Dom Pracy Twórczej w Oborach koło Konstancina powstał z inicjatywy trojga literatów: Ewy Szelburg-Zarembiny, Leopolda Lewina i Aleksandra Wata, którzy w grudniu 1947 r. wystąpili z oficjalną, pisemną prośbą w tej sprawie do Prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich – Jarosława Iwaszkiewicza, co spotkało się z jego zrozumieniem i poparciem. Swoje podwoje Obory otworzyły dla pisarzy już we wrześniu 1948 r., a w Księdze Pamiątkowej ukazał się wpis przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej – Jana J.: „W ciszy i spokoju – twórcie i wypoczywajcie! A w swoich pracach wiele słońca potomności dajcie...!”[24]. Irek najwyraźniej nie umiał wytrwać w tej ciszy i spokoju, ponieważ we właściwym sobie stylu, uwielbiał ją w Oborach zakłócać. A gościła tam wówczas cała literacka śmietanka towarzysza: Słonimski, Herbert, Newerly, Strykowski, Jastrun, Przyboś, Hen, Bocheński, Hertz, Hłasko, Broniewski, Hartwig, Brzechwa, Grochowiak, Jan Nepomucen Miller, Brandys, Andrzejewski i Przymanowski[25].

W księdze oborskiego domu pozostał poetyki wpis Stanisława Marczaka-Oborskiego:

„Przysięgam...
...na Iredyńskiego męki
Pieszczoty Muz Jarosława
Miłosza odległe jęki
na Bratnego samosęki
na Szymborskiego Wisława
– przysięgam: Chwała i sława...

Sława i chwała
nam!!!”[26]

Podobno nawet już Jerzy Andrzejewski i Janusz Przymanowski, jak pisze o nich Kotlińska, byli od Iredyńskiego i jego przyjaciół spokojniejsi: „jeden i drugi lubili popić sobie, ale nie hałasowali, ludzi nie obrażali, jak Iredyński czy [Andrzej przyp. red.] Brycht; ci to lustro kiedyś potłukli w apartamencie (w całej oficynie tylko owo dwupokojowe pomieszczenie miało łazienkę z wc), na klombie przed pałacem Brycht fikołki urządzał, na rękach stawiać próbował, i to w samych tylko kąpielówkach”[27].

Bardziej dosadnie opisuje Irkowe ekscesy w Oborach Joanna Siedlecka: „Sąd Koleżeński, pod przewodnictwem Ireny Krzywickiej, zawiesił kolegę Iredyńskiego za chuligańskie awantury [...], a w 1963 r.[...] za karczemną awanturę w Domu Pracy Twórczej w Oborach podczas zabawy sylwestrowej, w czasie której potłukł naczynia szklane i porcelanowe, połamiał 2 krzesła. Zdjął z siebie wierzchnie ubranie, pozostając w półnagi, jedynie w spodniach, budząc zgorszenie bawiących się”[28].

Irek odwołał się od tego wyroku, a czując się niesprawiedliwie potraktowany, napisał: „Zwyczajowe picie na sylwestra w Oborach (w osobnej sali), które zakończyło się potłuczeniem naczyń i złamaniem krzesła, nie było chuligańską awanturą. Również krzyki pewnej pani (w hoteliku ZLP) nie są moją winą. Zachowała się histerycznie z powodów prywatnych. Zarzuty, iż zorganizowałem coś w rodzaju domu publicznego, <<Spelunki>> i <<bandy chuligańskiej>>, są dowodem (dla mnie) pasji stylistycznej sądu”[29].

„Iredyński rozbił po pijanemu jakieś naczynie z wyposażenia, a gdy pisarz Jan Maria Gisges z Zarządu ZLP wezwał go i przedstawił mu rachunek za stratę, Irek wytkócał się dość zdecydowanie, idąc w zaparte co do ... liczby kieliszków stojących na obrusie, a stłuczonych podczas ogólnej orgii. Okazało się, że kierowniczką domu w Oborach rzeczywiście dopisała kilka kieliszków na jego konto”[30].

Inne ekscesy, rozróby i skandale Irka

Rozrabiał nie tylko w Oborach, ale właściwie wszędzie, w tym również np. w krakowskiej Piwnicy pod Baranami, gdzie rzucał w ściany żarówkami (i to nie jedną czy dwiema, lecz kilkudziesięcioma), aż publiczność kryła się pod stolikami.

31.01.1959 r. Irek, w warszawskim lokalu o nazwie „Pod manekinem”, podczas zakrapianego sówicie alkoholem spotkania z Jerzym Andrzejewskim, Wilhelmem Machem i Grzegorzem Lasotą, wykrzykiwał hasła, które nie mogły spodobać się władzy i ująć jej uwadze: rżnąć komunistów i wyrwać im zębami włosy.

Bił się ciągle, w zwady wdając zarówno z wrogami jak i z przyjaciółmi. Pobił się z Grzegorzem Lasotą, co zakończyło się zgaszeniem papierosa w uchu kolegi, w bramie przy Brackiej bił się z pisarzem Markiem Nowakowskim, przy lokalu o nazwie Ściek przy ul. Trębackiej z Krzysztofem Mętrakiem, który pokonał Irka ciosem z główki, a gdy ten załaził się krwią, wytarł ją w poły jasnego, flauszowego płaszcza Krzysztofa. Z Witoldem Migoniem bił się w Manekinie przy rynku staromiejskim, gdzie pokonał przeciwnika kopiąc go w kolano. Bił się nawet z Andrzejem Brychtem, który miał posturę i ringowe doświadczenie zawodowego boksera, a mimo to Irek pokonał go sprytem i szybkością. W Bristolu dał też w mordę prokuratorowi, który śmiał zająć Irka stolik.

Irek uwielbiał manipulować, prowokować i wywoływać skandale. To dawało mu pewien rodzaj życiodajnej energii. Lubiał też wcielać się w geja, a jedną z takich historii przytacza Mętrak: „Irek, lekko wstawiony, ciągnie mnie na Starym Rynku do apteki. Pieczołowicie ustawia mnie na końcu dłuższej kolejki, wykrzykując specjalnie głośno, aby wszyscy słyszeli: <<[...]Stój tu i nie łuszaj się, twój ciapciusz załaz włóci>>...Cała kolejka na nas patrzy. Irek podchodzi do okienka i na pełny regulator pyta: << – Czy są kondoniki dla małych dzieci?>>. I tańcząc – wynosi się z pomieszczenia. Cała kolejka patrzy na mnie. Do dziś czuję na sobie ten wzrok”[31].

Kochał wywoływać burdy i skandale, uważał je za autoreklamę. Lubiał mieć publiczność

– na przykład otwierał butelkę na ulicy, pod budynkiem wybranej przez siebie danego dnia redakcji, i zaczynał pić z gwinta dopiero wtedy, gdy nabierał pewności, że redaktorzy, a zwłaszcza redaktorki, patrzą na niego z okna.

Lubił także grać w pokera na pieniądze – np. od znanego aktora Mieczysława Voita wygrał kilkadziesiąt tysięcy i złoty zegarek marki Tissot, a z Magdaleną Samozwaniec przegrał.

Wrogowie

Lista osób, którym Irek wyraźnie się naraził, podpadł, czy też nacisnął na odcisk, była pokaźna, a niektórzy z tych ludzi wpływowi i żądni zemsty. Najprościej można by przypisać wrogość trzem środowiskom: literackiemu (częściowo), władzy komunistycznej PRL-u i prowokowanym przez Irka mężczyznom, których żony (mniej lub bardziej – zwykle bardziej – skutecznie) uwodził.

Począwszy od Grzegorza Lasoty – dziennikarza, twórcy i prowadzącego kultowy w PRL-u program „Pegaz” – którego Irek 26 lutego 1960 roku pobił w kawiarni klubu ZSP w Warszawie, gasząc mu na koniec papierosa w uchu. Od tamtej pory Lasota ponoć zapalał żądzą zemsty.

Ale mówiąc eufemistycznie, Irek nie był także ulubieńcem władzy, zwłaszcza towarzysza Wiesława Gomułki, którego nazywał szmaciakiem[32]. Drażnił swoją niepokorną twórczością i stylem życia, które stały w sprzeczności z oficjalną linią partii. Podczas obrad XIII Plenum KC PZPR, w lipcu 1963 r., Gomułka sam będący z zawodu ślusarzem i nie znający się na literaturze, po raz pierwszy zaatakował środowisko literackie, wywołując do tablicy konkretne nazwisko. I było to nazwisko Iredyński. „Ten człowiek żyje tak, jak pisze – wrzeszczał, wymachując i wałąc z wściekłością o mównicę jego <<Dniem oszusta>>”[33]. Dodatkowo niechęć Gomułki do pisarzy i artystów wynikającą z poczucia niższości i braków w wykształceniu, podsycał jeszcze będący jego doradcą Zenon Kliszka. Ten ostatni miał zresztą również osobiste powody do niechęci względem Iredyńskiego. Był bowiem wujem[34] Witolda Kaczanowskiego, artysty malarza, męża Anny, którą w 1961 r. Irek podobno

uwiódł. I według zeznań obojga Kaczanowskich siłą przetrzymywał w mieszkaniu przy ul. Wiejskiej w Warszawie. Rozbieżność pojawia się jednak w tym, że według pani Anny do niczego wówczas nie doszło, natomiast według jej męża doszło do przemocy fizycznej i gwałtu. Kaczanowski do końca podtrzymywał wersję, iż: „55 lat temu Ireneusz Iredyński pobił i zgwałcił jego narzeczoną Annę Mackiewicz i za to poszedł siedzieć, nie za sprawy polityczne”[35].

Nie jest to prawdą, albowiem wyrok za gwałt, czy też raczej usiłowanie gwałtu, który Iredyński i Brejdygant otrzymali, dotyczył zupełnie innej kobiety.

Ireneusz podpadł również kolejnemu luminarzowi ówczesnej władzy, a mianowicie Jerzemu Urbanowi, któremu także uwiódł żonę – wówczas dziennikarkę „Polityki”, Wiesławę Grochołę.

Ale Irek miał też wrogów w osobach wybitnych pisarzy: Stanisława Lema i Sławomira Mrożka, którzy w swojej korespondencji wielokrotnie dawali temu wyraz, pisząc:

Mrozek:

„Iredyński urósł fizycznie, rozrósł się i podwyższył, tak więc jest tego świństwa parę kilo więcej, materiał, masa, ciężar zła powiększyły się w sposób sprawdzalny laboratoryjnie[...]”[36].

Lem:

„Słyszałem, że Ireneusz, którego razem nie ukochaliśmy, jakiegoś dziennikarza niezbyt dawno obustronnie skopał i go milicja szukała”[37].

„Zwracam uwagę na Kolegę i Somsia Waszego [...], Szalenie Zdolnego Kurwipółcia, Jebura Ontologicznego, Super-Maciornika I.I., którego <<Jasełka>> takie moderne przeczytałem wczoraj”[...] Widzę doraźną potrzebę objebania I.I. za tę sztukę, ale pewno będzie akurat na odwrót: zaraz cmokiery mu Zadek Genialny Obliżaj, Mu wleżaj, że taki Zdolny...”[38].

„Talent? Nie umiem powiedzieć. I.I jest bez porównania twardszy od bohatera, no i pisze. Ale wyosobnił z siebie swoją cieklinę, ciekączkę.

Swoje luzy, luźną bylejąkość wszarza, który wymigiwaniem się, unicestwianiem każdej sytuacji, w którą wchodzi i która się stwarza, unicestwianiem przez dorobienie jej nie gęby, lecz dupy cuchnącej”[39].

Mrozek:

„Nawiasem mówiąc, muszę Cię rozczarować. On się nie zapije i nie zniknie, a w każdym razie nie teraz. [...] Nie licz na to”[40].

Siedlecka w filmie „Errata do biografii” twierdzi, że po debiucie Iredyńskiego Lem w „Twórczości” porównywał go do Dostojewskiego. Skąd zatem tak wielka późniejsza niechęć? Czyżby jednak z zawiści?

Lem:

„Boże, stworzyłeś mnie Polakiem, więc dlaczego nie stworzyłeś mnie Iredyńskim”[41].

Ewidentnie obaj literaci, w tym Mrozek, który rzeczywiście mieszkając w Krakowie, był sąsiadem Iredyńskiego i jego pierwszej żony Maszy, mieli z nim jakiś problem. Była to piorunująca mieszanka zawiści, może nawet obsesji, nienawiści, podziwu i zazdrości.

Syfon i inne prowokacje

W 1962 r. nad Irkiem zaczynają się zbierać ciemne chmury, czego on sam zdaje się nie być wówczas świadomym. Najpierw zostaje oskarżony o pobicie scenografa Andrzeja Sadowskiego[42] lub Andrzeja Gadowskiego[43] ciężkim syfonem w głowę, ale jedyny rzekomy świadek – gospodyni mieszkania, w którym miało dojść do zdarzenia, niczego nie potwierdza, a sam rzekomy pokrzywdzony nie wykonuje obdukcji, więc z braku dowodów i świadków sprawa zostaje umorzona. Milicja jednak nie odpuszcza, dalej szukają haków na Irka. Twierdzą, że posiadają dowody, z których jasno wynika, iż Iredyński namawiał swego kolegę, niejakiego Stanisława Augustowskiego, do napadu rabunkowego na mieszkanie pisarza Tadeusza Kubiaka na Mokotowie. Odstąpiono jednak od dalszego śledztwa, ponieważ sam Kubiak wyrażał się o Iredyńskim pochlebnie i przyjaźnie, a zdarzenia takiego nie zgłaszał, gdyż nie miało ono miejsca.

Nie udała się prowokacja z pobiciem ani z rabunkiem, więc próbowano jeszcze z gwałtem. Pierwszy dotyczył Anny Kaczanowskiej, drugi Kaliny Jędrusik. Żadna z pań jednak nie potwierdziła zdarzenia, ani też nie złożyła oficjalnej skargi. Jędrusik przyszła z własnej woli, korzystając po prostu z zaproszenia, natomiast nie chciała grać w rozbieraną butelkę, do czego niektórzy uczestnicy balangi usiłovali ją zmusić. Wtedy krewka aktorka walnęła któregoś w łeb wazonem, a ten w odwecie ją pobił.

Ale wreszcie udało się Irka dopaść.

Gwałt czy prowokacja?

12 grudnia 1965 r. Irek (wówczas dwudziestosiedmioletni) oraz jego dwaj przyjaciele, reżyserzy: Edward Bernstein[44] (wtedy trzydziestoletni) i Marek Piwowski (także trzydziestoletni) spotkali się w lokalu „Pod Arkadami” przy Placu Unii Lubelskiej, z poznaną przez Irka wcześniej (tj. 30.11.1965 r.) w pociągu z Sopotu do Warszawy, dziewiętnastoletnią dziewczyną. (Rzekoma pokrzywdzona w zeznaniach podaje, że była tam jeszcze jedna osoba, ale jej tożsamość nigdy nie została ujawniona. Nie wiadomo nawet, czy była to kobieta, czy mężczyzna). Następnie, już bez Piwowskiego, który opuścił ich towarzystwo, udali się we troje na ul. Nowowiejską 10/6, do mieszkania przebywającego wówczas za granicą kompozytora i dyrygenta – Jerzego Semkowa. Mieszkaniem tym pod nieobecność przyjaciela, miał się opiekować Iredyński. Ledwie weszli na górę (było to trzecie piętro), gdy dziewczyna poprosiła o możliwość skorzystania z toalety. Zaraz po tym, jak Irek wskazał jej to pomieszczenie, skierowała tam swoje kroki, a prosto z łazienki wybiegła naga na ulicę, gdzie czekała już milicja. Swoje ubrania (sukienkę i bieliznę) złożyła w kostkę i zostawiła na stołku w łazience. Była to córka, a dokładnie rzecz ujmując pasierbica, pułkownika SB niejakiego Brzeskiego. Piotr Müldner-Nieckowski[45] powołując się na informacje pozyskane od Janusza Głowackiego, publicznie wyznaje, że Irek poznał tę młodą kobietę przez Piwowskiego, który ze spotkania nagle i tajemniczo się ulotnił.

27.01.1966 r. zapadł wyrok – trzy lata za gwałt, a raczej jego usiłowanie na dziewiętnastoletniej

Małgorzacie Brzeskiej, zamieszkałej w Warszawie przy ul. Świętokrzyskiej.

Środowisko literackie (może nie całe, bo jak zwykle rozwarstwione, ale z pewnością w znacznej większości) uważało, że Iredyński został wrobiony, ukuto nawet powiedzenie, że wsadzono go za napad z chujem w rękę. Jerzy Giedroyc był przekonany o niewinności Iredyńskiego, czemu dał wyraz w listach do Jerzego Stempowskiego, a Stefan Kisielewski wystąpił nawet z ramienia ZLP jako pełnomocnik prawny Ireneusza.

Zastanawiano się tylko, komu najbardziej mogło zależeć na zniszczeniu Irka, a na giełdzie nazwisk pojawiło się wiele czołowych postaci życia PRL-u: Gomułka, Kliszko, Moczar, Urban, Ochab, Lasota, Lem, Mrozek, Kaczanowski...

Sztum

Było to bardzo ciężkie więzienie, na które skazywano recydywistów, więźniów kryminalnych skazanych na najcięższe wyroki, czyli na dożywocie i karę śmierci, a także, niewygodnych dla władzy, więźniów politycznych. Przez pewien czas Iredyński odbywał nawet wyrok w jednej celi z Jackiem Kuroniem, ale panowie oględnie mówiąc, nie przypadli sobie do gustu, bowiem bardzo się różnili.

Choć Irek nawet tam umiał zadbać o swoje potrzeby: potrafił zdobywać alkohol, książki i pieniądze, to jednak po wyjściu przyznał, że bardzo go ten Sztum przeorał i pozamykał. Nie był już tak odważny jak wcześniej.

Bernstein wyszedł na wolność po ośmiu miesiącach (wyrok za ten sam czyn, a jednak różna długość wyroków), bo jak mówiono, to nie o niego chodziło. I od tamtego momentu używał już nazwiska Żebrowski.

Zwierzęta

Poza wspólnym wyrokiem Iredyńskiego i Bernsteina „łączyła także miłość do psich bied – Bernstein, podobnie jak Iredyński, brał zwierzęta ze schronisk lub blukające się przy stacjach benzynowych, mimo że w domu już czekała na niego psia czereda”[46].

Tu znów kolejna rozbieżność.

Niby Irek kochał zwierzęta, ale niektórzy przywołują też przykre incydenty. Gdzie zatem leży prawda? Czyżby tam gdzie zwykle, czyli gdzieś po środku?

Redaktor „Iskier”, Adam [Anatol] Leszczyński[47] po wizycie Iredyńskiego i Śliwonika w mieszkaniu żony przy Hożej 19 m.19 w Warszawie, z niepokojem dopytywał tego drugiego, czy Irek mógł coś zrobić ich kotu, bo biedaczek po tej wizycie – od wielu dni – nie wychodzi spod tapczanu i przeraźliwie miauczy. A gospodarz pamięta, że gdy Irek wyszedł do sąsiedniego pokoju, by kota pogłaskać, słychać było – dobiegające właśnie stamtąd – okropne, przeciągłe miauczenie.

Natomiast pasierbica, Dorota Marczevska mówiła w „Erracie...”, że dopiero jej mama, czyli druga żona Irka, stworzyła mu prawdziwy dom: taki z psami, kotami, spokojem. Jej zdaniem Irek w głębi duszy był dżentelmenem, który miał pewne zasady, a mianowicie: staruszek, dzieci i zwierząt nie krzywdził.

Jak to się ma do następujących legend miejskich?!

„Kolega z celi, który wychodził na wolność, dał Irkowi skórki z kota, które ponoć najlepiej grzały nerki”[48].

Czyżby zatem miłośnik kotów, ale w ich martwej postaci? Ten makabryczny żart pewnie spodobałby się Irkowi, który przecież w makabresce i legendzie się lubował.

„W książce <<Každy szczyt ma swój Czubaszek>> autorka wspomina swoje wesele, na którym był Iredyński. Przysiadł się do jej nobliwej matki i w rozmowę wplatał słynne <<kułwy>> (nie wymawiał <<r>>). Zachwycona nim matka nawet nie protestowała...Czubaszek pisze: <<Gdyby przyjęcie potrwało trochę dłużej, Iredyński przekonałby ją i do kułwy i do wódki. Niewykluczone, że nauczyłby ją, jak zamrozić kota. Bo krążyły plotki, że kiedyś to zrobił i poczęstował gości>>”[49].

Zgoła odmienny obraz Irka, jako miłośnika zwierząt, przedstawia Teresa: „Kochał

zwierzęta, tak samo jak ja. Mieliliśmy cztery psy oraz kota, którego początkowo nie chciał, miał uprzedzenia, podrapał go kiedyś w dzieciństwie. W końcu się zgodził, wiedział, że robi mi przyjemność. Szybko go bardzo polubił i nie wyobrażał sobie życia bez kota. Chciał go nazwać Fergusonem[50], ale ponieważ nie wymawiał „r”, ochrzcił go Lokomotywką, bo głośno mruczał. Irek kupował jedzenie dla naszych zwierzątek. Nawet w stanie wojennym, gdy musiał stać w kilkugodzinnych kolejkach. Był bardzo cierpliwy [...]”[51].

Kres życia

Irek wiedział, że jest chory, był świadomy swoich problemów z trzustką, nazywał to jej zwapnieniem. Na krótko przed śmiercią powiedział w wywiadzie radiowym: *Každy litr wypitej wódki, to dla mnie gra do jednej bramki*[52].

Jednak „Zupełnie się śmierci nie spodziewał. Pisał kiedyś życiorys, oczywiście w jednym egzemplarzu, poprosiłam więc, żeby zrobił to przez kalkę, a nuż kiedyś się przyda. <<Po co?>> – obruszył się – <<przecież nie umieram, a wszystko pamiętam!>>. Wiedział niby, że ma już zniszczony przez alkohol organizm, nigdy jednak, że aż tak. Przeciwnie, do końca wierzył, [...] że ma końskie zdrowie, że jest z żelaza. Że jest wańką-wstańką”[53] – wspominała po śmierci Irka Teresa.

Do końca utrzymywał fasadę łobuzerskiego chama, podtrzymując w ten sposób swoją legendę. Udało się. Stefan Kisielewski w „Alfabecie” napisał, że jeszcze w karetce pogotowia prosił o wódkę – tyle legenda. Tymczasem prawda była taka, że mówił wtedy: Teresko, ratuj mnie.

Zapytany o to, czyje sztuki ceni w polskiej literaturze, odpowiedział: *W pierwszej lidze gra Mrozek, ja i Różewicz ewentualnie. Kilku pisarzy lubię, kilku uważam za wicechujów i tyle*[54].

Ireneusz Iredyński zmarł 9 grudnia 1985 r. w Szpitalu Wolskim w Warszawie, w wieku zaledwie 46 lat. Zgodnie z jego wolą ciało poddano kremacji i pochowano w katakumbach na Powązkach (rząd 109-3).

- [1] R. Śliwonik, Portrety z bufetem w tle, Warszawa 2001, s.85
- [2] M. Sołtysik Ireneusz Iredyński Listy z więzienia, Warszawa 2015, s.168.
- [3] Tamże, s.54
- [4] Także, s.35
- [5] J. Staniszkis, Życie umysłowe i uczuciowe, Warszawa 2010, s.54-55
- [6] Cytat pochodzi z wiersza „Pan przed parawanem” z tomu „Muzyka konkretna”.
- [7] Szkoły te podaje M. Sołtysik w Listach z więzienia, Warszawa 2015, s.46
- [8] <https://dziennikpolski24.pl/bochnia-iredynskiego/ar/2908268>, dostęp 22.09.2025
- [9] J. Siedlecka, Wypominki, Łódź 1996, s.187
- [10] Tamże, s.191
- [11] Wypowiedz pochodzi z „Głosu Wybrzeża” z 21.01.1978, a zamieszczona została w książce: M. Raduchy, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.136.
- [12] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.59
- [13] J. Staniszkis, Życie umysłowe i uczuciowe, Warszawa 2010, s.112
- [14] Tamże, s.261
- [15] Tamże, s.60

- [16] J. Staniszkis, Ja. Próba rekonstrukcji, Warszawa 2008, s.17
- [17] J. Staniszkis, Życie umysłowe i uczuciowe, Warszawa 2010, s.118
- [18] J. Staniszkis, Ja. Próba rekonstrukcji, Warszawa 2008, s.37
- [19] J. Siedlecka, Wypominki, Łódź 1996, s.185
- [20] Tamże, s.185
- [21] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.125
- [22] Bruno Haller- pseudonim operacyjny Jerzego Gajdy.
- [23] Maryna Ochab, właśc. Maria Danuta Ochab – ur. 12 maja 1946 w Warszawie – córka Edwarda i Rozalii Ochabów, polska tłumaczka, głównie z języka francuskiego i angielskiego.
- [24] K. Kotlińska, Parnas w Oborach, Warszawa 2000, s.8
- [25] Janusz Przymanowski – pisarz, poeta, dziennikarz, autor powieści „Czterej pancerni i pies”, którą pisał właśnie w Oborach.
- [26] K. Kotlińska, Parnas w Oborach, Warszawa 2000, s.25
- [27] Tamże, s.18
- [28] J. Siedlecka, Obława, Warszawa 2005, s.384
- [29] Tamże, s.384
- [30] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.83
- [31] Tamże, s. 70
- [32] Twórcą tego określenia był jednak nie Irek, lecz

- poeta i satyryk- Janusz Szpotański.
- [33] J. Siedlecka, Obława, Warszawa 2005, s.379.
- [34] Feliks Kaczanowski (ojciec Witolda) został szwagrem Zenona Kliszki, gdy ten poślubił jego siostrę Annę Joannę Kaczanowską.
- [35] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.106
- [36] Tamże, s.72
- [37] M. Sołtysik, Listy z więzienia, Warszawa 2015, s.11
- [38] Tamże, s. 14-15
- [39] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.92
- [40] M. Sołtysik, Listy z więzienia, Warszawa 2015, s.255
- [41] Tamże, s.12
- [42] J. Siedlecka, Obława, Warszawa 2005, s.381
- [43] M. Raduchą, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.72
- [44] Edward Bernstein po odbyciu ośmiomiesięcznego wyroku w Sztumie zmienił nazwisko na Edward Żebrowski.
- [45] Piotr Müldner-Nieckowski – poeta, językoznawca, lekarz, jeden z przyjaciół Iredyńskiego.
- [46] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.110
- [47] Prawdziwe nazwisko – Dawid Langer – zmienione na Adam Leszczyński w czasie wojny, dla ratowania życia. Był drugim mężem Haliny Joanny Munk-Leszczyńskiej, starszej siostry reżysera Andrzeja Munka, swojej pierwszej miłości, w której zakochał się jeszcze jako nastolatek, gdy oboje byli wówczas uczniami szkoły muzycznej.
- [48] M. Raducha, Gra w butelkę, Warszawa 2015, s.128
- [49] M. Szmałt, Człowiek epoki – Ireneusz Iredyński [w] Moja Przestrzeń Kultury 2020, nr 5., s.20.
- [50] W innej swojej książce pt. „Obława” J. Siedlecka podaje tę samą opowieść, ale z wersją imienia – Zetor.
- [51] J. Siedlecka, Wypominki, s.186
- [52] https://www.youtube.com/watch?v=LH-uuM7_p50&t=242s, dostęp 14.09.2025
- [53] J. Siedlecka, Wypominki, s.182
- [54] https://www.youtube.com/watch?v=LH-uuM7_p50&t=242s, dostęp 14.09.2025



Laura Alszer

Substancja

poezja nie zawsze jest piękna
czasami składa się z liter
oblepionych gęstą substancją
sklejone w wyrazy
krzyczą do ciebie
uciekaj!

skutek jest odwrotny
nic bardziej nie przyciąga
niż swąd nadpalonych wersów
pachnących jak włosy
czarownicy płonącej na stosie

wyciągam papierosa
odpalam
a ty kaszlesz

oczy patrzą zachłannie
zlizują litery
zardzewiałe podskakują
chrzęszczą
stają ci w gardle

gaszę papierosa na ostatniej strofie
ucieka z dymem
czujesz niedosyt

wiem
wrócisz po więcej

Iluzja

w świetle neonów połyskuje pustka
przykładam dłoń do gładkiej struktury
szukam odbicia
idę przez lustrzany labirynt
zagubiona chcę odnaleźć siebie

nagle go widzę
czarne oczy przeszywają
jak zardzewiała pinezka papier
gdy śmieje się szkło pęka

biegnę
jest tuż za mną
nie ucieknę
ślepa uliczka sprowadza na manowce
ściany napierają z każdej strony
gdzie jest powietrze?

błysk ostrych zębów przegryza ciemność
ręce miażdżą szyję
chcę oddychać
chcę tylko oddychać
mdleję

gdy otwieram oczy
znowu widzę lustro
mój krzyk rozdziera je na kawałki
rozpadają się jak
zraniona męska duma

skrawki przecinają skórę
krew ścina z nóg
ostatnie co pamiętam
to śmiech diabelski śmiech

otwieram oczy
czarna tkanina zasłania tafle
on stoi z boku
więzi mnie wściekłym spojrzeniem
nie odwracam wzrok

im wyższy puls tym on jest większy
zachowuję spokój
podchodzę bliżej
uśmiecham się a on maleje

wyciągam rękę
jest coraz mniejszy
przytulam go
zrywam zasłony

patrzę na swoje odbicie

Glock

wtulona w chłód ulicy
rozpłaszczam się
wnikam w chodnik
ludzie przechodzą

nie widzą
klapki spadają z balkonu
iloraz zdarzeń i wyłupanych ptasich oczu

rozrzucona kostka brukowa uwiera
za śmietnikiem kamienicy
nastolatek dopala papierosa

jakaś kobieta
przechodzi po mnie w szpilkach
boli
podnoszę się twardsza
mrok krąży w żyłach

glock pasuje do dłoni jak sutanna do księdza
wychodzącego z kościoła
módlmy się
jest niedziela

prostuję ręce
lekką zginam w łokciach

Danuta Chmielewska

Mój maraton życia

mijane znaki drogowe szepczą:
wycofaj się
zrezygnuj
nie dla ciebie ten bieg
życie można przeżyć lekko
na krótkich dystansach
ale ja wybrałam maraton
i dobiegnę do końca
choćby ostatnia....

Katarzyna Bomba

Thanatos pięknie wygląda w maju

też był maj
 lubiła patrzeć w te dni roku pamiętnego
 dwa tysiące czwartego
 na kartce z kalendarza
 obraz Malczewskiego w oknie
 starzec nie dowiemy się
 czy przed chwilą ujrzał co widzimy
 i my i zjeżony przestrachem ostatecznego pies
 - kobietę w półnagiej czerwieni

też był maj
 lubiła patrzeć na fioletowe i białe krzewy
 przytulone do framugi i złożoną w niej
 spokojem snu bżowego głowę
 w oknie drewnianej chałupy
 firanka ku nam powiewa
 i daje znak posągowej kobiecie
 z odkrytym pośladkiem
 że już

też jest maj
 roku zwykłego dwa tysiące dwudziestego trzeciego
 stoi w spokoju zachodu
 pod ścianą bloku
 patrzy na bez fioletowy i biały
 czeka my wiemy że
 nie na kształtną kobietę z kosą
 chce by po nią wystali smukłego młodzieńca
 w przeciętnej odzieży z niepewnym uśmiechem
 na żółtym rowerze przywiezie ją na ramie
 przez ten mur przy ulicy
 po więcej bzu

Martyna Antonina Cicha

Ścinanie skażeń

Dyryguję historią. Estetycznie zakodowaną falą zastrzyków, ołówków wbitych pod skórę i ugryzień dzikich pszczoł rozstawionych jak szpilki na mapie szklanego rysunku powietrza. Boję się, że już nigdy nie wysnuję żadnego związku człowieka z Jego omsknętym w czerń nadgarstkiem. Chciałabym myśleć, że tego wymaga nasze światło, ale ci chłopcy z zamaskowanymi kciukami i zabliźnione biodra dziewcząt każą mi sądzić, że wszystkie napuchłe śmiechem ulice nie są już bezpiecznym miejscem na skok. Być może pomyślisz, że mylę się, przyskrzyniona wiecznością, ale gdy oddechem o tobie kołyszę puls w płucach jedynym, co potrafię pomyśleć jest dzikość, która wieńczy nas w przepaść.

Trzaskanie ustami

Walka o pozostanie cudzą:
 wołaniem cię przeczekuję
 wściekłość. Jak sen w zmurszałym kręgosłupie dłoni wdusza mnie
 w krew tak twoja naga naga twarz którą całuję i zrastam zamyka się
 w jedynym celu: połknąć ten wieczny ogień i zmusić go wstecz tym
 pięknym, podniebnym jutrem, które marzy nam się pomiędzy
 stopami

włóknienie i drży.

Wojciech Czubatka

Dzieje

Myślę, iż Bóg zdawał sobie sprawę,
 Że gdyby chciał,
 Pochylić się nad umierającą pszczołą,
 To Jego stopa,
 Zmiażdżyłaby kontynenty i
 Wzburzyła oceany.

Dlatego stworzył człowieka.

A potem były już
 Ule,
 Pasieki,
 Pańszczyzna
 I
 Obozy koncentracyjne.

Beata Ewa Okoń

jesteś dla mnie jak woda
 wiejący halny wiatr
 suche ziarno piasku
 ogień knot świeca
 już nie istnieje
 wokół świat

Mądrość chowasz za miotłą
 Cicho tłumisz gniew
 Gorycz przeżywasz z cukrem
 Walczysz nie poddając się

Kasia Dominik

Szeptucha

Mieszkała na skraju wsi, wśród malin i pokrzyw.
 Nie używała zegarka, znała czas po słońcu.
 Do niej chodziło się z bólem, strachem i duszą.
 Szeptala do wody, do ognia, do ziemi.
 Nigdy nie brała pieniędzy, tylko jajka albo chleb.
 Miała oczy jak popiół, a dłonie jak korzenie.
 Nie pytała, skąd się jest, tylko gdzie boli.
 Znała imiona chorób nieodnotowanych w księgach.
 Dzieci przestawały płakać, zanim dotknęła czoła.
 Nie była święta, zła też nie – była potrzebna.
 Wieś mówiła, że lepiej ją szanować.
 Bo są rzeczy, które rozumie tylko cisza.

Dybuk

Wchodzi przez sen, przez cień na ścianie.
 Nie puka, nie prosi.
 W oczach człowieka robi miejsce dla siebie.
 Głos staje się obcy, ale znajomy.
 Zna wspomnienia nieopowiedziane.
 Przemawia w języku, którego nie uczono.
 Dybuk nie krzyczy – przypomina.
 Zostaje w spojrzeniu, w drgnięciu dłoni.
 Czasem milknie, gdy ktoś płacze długo.
 Nie boi się kadzidła, tylko prawdy.
 Znika wtedy, gdy jest już niepotrzebny.
 Ale nikt nie wie, czy na pewno.

Zjawiska

Nad lasem unosiło się światło bez źródła.
 Psy wyły, choć nie było księżyca.
 Dzieci mówiły o kobiecie z błękitnymi stopami.
 Ktoś widział cienie bez właścicieli.
 Lustra w starym domu pokazywały inne odbicia.
 Raz zniknął kot – wrócił z zielonymi oczami.
 Ludzie nie pytali, tylko spuszczały rolety.
 Bo co powiesz, gdy świat przestaje być logiczny?
 Radio szumiało słowami z przeszłości.
 Rzeczy zniknęły i wracały inne.
 Naukowcy się śmiali.
 Ale latarkę trzymali blisko.

Szymon Florczyk

Synestezja

głaszczę skrzydła ważki czy tylko mi się wydaje
że odbłyskują głosem najcichszej
z twoich próśb o niezmiennosc i
wtedy moją jest każda z ważek
ukrytych we włosach o znajomym zapachu

fioletowieje zmrok zagłusza melodię
fałdami aksamitnej tkaniny i nagle
świt niczym kamień wsunięty pod poduszkę
jak mielizna w obcym morzu
na obrazie anonimowego twórcy

jest czarnym kotem.
pochłania światło, przemykając wąską smugą
zza uchylonych drzwi; kto wie, czy słyszy
mój głos, kiedy goni za piszczącym posiłkiem
lub tylko umyka przed wzrokiem. powidoku
miękkiego kształtu na dłoni, czy twoja skóra pamięta
ciepło? o kim tak mruyczysz w pradawnym dialekcie?

najczarniejszy z kotów, stąpasz znów bliżej
i coraz bardziej się boję, że chcę wiedzieć.

Kamienny wiersz

że w twardej skorupie ten sam sen ma władzę
nic nie poradzę
nie chcę wypalić do sadzy
półnადziei przeliczeń
odmniemać
tych znaczeń

nie słowem lecz dźwiękami opity na amen
i lity jak bezruch czekając mielę mantrę
zaklinacz okazji rozwiązań bądź doznań
ja nie chcę nie muszę zamiennych szczęść
poznać

jak w ciemnej jaskini wykute w dół stopnie
lub posąg kaleki a śmieszny od moknień
w kamiennym uporze wciąż tonę
lecz błyszczę
w dręczącej pieszczącej
malignie

nie znikniesz

Jacek Furmański

Zimą w Chinach
spadł śnieg
pogrzebowych prześcieradeł.
Potem to samo zjawisko
obserwowano
na wielu innych obszarach kuli ziemskiej.
Nie wiadomo dlaczego
w niektórych miejscach
opady wyraźnie przybierały na sile.
Świat dał się zaskoczyć
- zamarł z przerażenia.

Stoję na stacji.
Semafor zdarzeń
nie pozwala jechać dalej.
Wczorajsi pasażerowie,
niecierpliwie wyglądają przez okna.
Tor zapomnienia
wyłania się powoli z gęstej mgły.
Ktoś już przestawił zwrotnicę.

Piotr Gajda

Sklepienie. Saga

Czy to ważne, że niebo upadnie? Wszak niczemu
nie jest winne, gdy człowieczego projektu jest jego chwiejna
konstrukcja. Czy będziemy rozpaczać, że spadając, wciśnie

ludzkość w ziemię do ostatniej kropli krwi? Nie, bo w ostatniej
chwili uważniej przyjrzy się Słońcu, które od zawsze było
bogiem pośród fałszywych proroków i samozwańczych architektów.

Nie jedynym, jeżeli na krańcach Wszechświata istnieją galaktyki,
które rozświetla miliard innych słońc. Zatem załamię się dach,

duch, runie strop a z nim wszystko, co zostało upchane na strychu:
martwy Pan Zastępów, ołów – nie gołębi puch. Natura odrodzi się
po katastrofie. Nie ujrzy się tak na niebie, jak i na Ziemi cudu

innego niż życie. Kosmiczny złom na orbicie nową koroną królów!
Władców tu i teraz, nigdzie i nigdy.

Agata Gołębek-Polus

Taniec

Z nostalgią przyglądam się ptakom
ich taniec wolności
napawa mnie dumą
czuję wewnętrzną harmonię
ktoś mówi mi
że gołębie
to skrzydlate szczury
a te jako pierwsze
uciekają
z tonącego okrętu

boję się

Dziecko

matka siedzi na podłodze
niemowlę w jej ramionach ssie pierś
i spogląda ufnie
w jej zmęczoną dumą twarz

matka gładzi je po główce
kręci kótecza palcem
po niesfornych kosmykach
zastanawia się, czy będą się układać

dziecko posapuje cichutko
prawie zasnęło, jest mu
bezpiecznie, ciepło
i błogo

matka już zdążyła
wymyślić mu przyszłość
zniełubić synową i odchować wnuki
a mówili, że
chłopcy rodzą się na wojnę

Niedziela

pan dobrodziej rzuca spojrzenie jak psu kość
jest cicho i dobrze

ale cisza bywa zdradliwa
i nieporadna
czasem tak zabawnie
miota się między ścianami
szybko i bezwiednie
gdy w niedzielę niebieska koszula ma zagięty
kołnierzyk

ale to nic dobrodziejku niczym się nie przejmuję
cisza bywa też kojąca
jak wtedy gdy
odprasowani
ramię w ramię
punkt dwunasta
stajemy obok siebie
biały baranek i brudna świnia

Waldemar Jagliński

Wody Niebios

I . Morze

„Niebo jest poruszone tym nieposłuszeństwem!
Stan taki musi godzić w dusze istnień zdrowych.
Uskrzydleni zburzyli mury swego księstwa,
zeszli nisko, by uwieść ziemskie białołowy!..” -
słowa Króla. A potem „na tym też padole”
panowały Olbrzymy – dzieci rebeliantów.
Kochały swe pałace, wielbiły swawole,
władzę, wino i jadło oraz blask brylantów.
Moc odwieczna, ta, która gwiazdom świecić każe
wstrząsnęła światem panów, aż trysnęły wody!
Fale ziemię zalały, pałace mocarzy,
w deszczu padali wielcy niczym martwe kłody!
Lecz nie wszystkie istoty miały zginąć w wodzie:
wybrańcy już zajęli izby wielkiej arki
z licznymi zwierzętami o wszelkiej urodzie.
Losy statku i ludzi spoczęły na barkach
sędziwego już męża i bożego sługi,
który arkę zbudował wierząc słowom Pana.
A ów miał zamiar spuścić lodowate strugi
bo i Olbrzym i człowiek nie zgięli kolana
przed Odwiecznym Włodarzem gwiezdnych wysokości.
Garstka ludzi jedynie, na czele ze sługą,
życie miała zachować, aby przenieść kości
na Łąd Nowy, gdzie owca i orzeł z papugą
znajdą przystań zieloną i uwiją gniazda.
Osiem dusz – oto ziarno lub zaczyn ludzkości,
snów początek, błysk łaski albo Pańska Gwiazda.
To rodzina żyjąca w nieziemskiej czułości,
strażnicy inwentarza zebranego w pary.

II . Walka

Chociaż wody zalały gór skaliste szczyty,
ponad fale spienione podniósł się głos stary.
Głos donośny i gniewny, dotąd w wodach skryty,
wystrzelił na powierzchnię z nutą pełną żalu.
Wśród tonących Olbrzymów ciągle żyła duma,
godność gniewem płonąca jak ostrze ze stali!

Krzyk ginących mocarzy z zaćmieniem rozumu.
Sił ostatkiem natarli na wysoką arkę,
tłukli w bramy pięściami – żelaznym taranem!
Lecz osłabli w kipieli i przegrali walkę.
Wybrańcy odetchnęli, dziękowali Panu.

III. Dnie i noce

Tymczasem sługa boży o imieniu Noe
doglądał pracy synów przy mnogiej zwierzynie.
A Sem, Cham oraz Jafet w codziennym mozole
nosili wory warzyw, przenosili skrzynie
wypełnione po brzegi mięsem oraz zbożem.
Pomagały im dzielnie trzy dorodne żony,
walczące ze zmęczeniem, nocą oraz morzem.
Stary Noe był wdzięczny i zadowolony.
Tak mijały dni szare i noce głębokie,
a statek znów kołysał ludzi i zwierzęta.
Noe przytulał żonę, wodząc bystrym okiem.
I o swoich wybrańcach Pan Niebios pamiętał!
Docenił służbę męża i pracę młodzieży –
deszcz zatrzymał, a wody zaczął chować w ziemi.
Wiedział już gdzie Łąd Nowy w odmętach wciąż leży,
wierzył jednak w człowieka między Skrzydlatymi.
Kilku z nich posłał na dół nad wody spienione,
by fale niepokorne nie zniszczyły arki.
A Noe, widząc góry, wierzył w łąd zielony,
szukał więc mocnych skrzydeł w statku zakamarkach.

IV. Kruk

W szóstym miesiącu rejsu Noe wybrał ptaka,
był nim czarny zwiadowca, silny i wytrwały,
odpowiedni do lotu na męczących szlakach;
ludzie przed „Wielką Wodą” krukiem go nazwali.
Postaniec wzleciał w niebo częściej jaśniejące,
a statek mijał skały pokryte trupami.
Obrazy niepokornych, tak duszę gnębiące,
pozostały za rufą smagane falami.
Zdawało się chwilami, że martwi mocarze
leżący pośród ludzi na skalnej nagości,
poruszają się jeszcze, krzywiąc straszne twarze!
Złudą to pozostało, znakiem czarciej złości.
Kruk tymczasem powrócił, bo nie znalazł ziemi,

która byłaby piękna jak świat sprzed potopu.
Noe bardzo żałował ze swymi bliskimi,
że ptak ten nie odnalazł odpowiednich tropów.

V. Gołąb

A siódmy miesiąc rejsu przyniósł dobre zmiany,
dni jaśniejsze odkryły więcej górskich szczytów.
Stanął Noe na arce mocny i kochany,
i wypuścił gołębia – wybrańca zenitu.
Ptak powrócił nazajutrz z gałązką nadziei,
ludzie tańczyć zaczęli, chwaląc wysłannika!
Całowali Noego wszyscy po kolei,
widząc już świat pasterzy, dzieła ogrodników.

VI. Nowa Ziemia

Nowy Łąd błysnął nagle, niczym łąka w wodzie
zwieńczona szarą skałą – znakiem wielkiej góry.
Ziemia ta lśniła w słońcu we wszelkiej urodzie
i nie było już nad nią nawet jednej chmury!
Statek osiadł na lądzie pod wodą ukrytym,
zajęczały pokłady, zaskrzypiały burty,
kiedy grunt się ukazał sadzawką pokryty.
I złamano pieczęcie, otworzono furty.
Słońce suszyło glebę, wiatr omiatał trawy,
wyszły z arki zwierzęta, wyleciały ptaki.
Wyszedł też stary Noe krainy ciekawej
i zerwał dla swej żony pierwsze polne maki.

VII. Giganci

Wybrańcy promienieli, arka pustoszała –
zwierzyna zajmowała pagórki, doliny
i szła dalej, gdy tylko woda pozwalała.
Obawiano się trochę o liczne rodziny,
choć lwy czy tygrysy dostały jedzenie.
Dzień tymczasem niechybnie zbliżał się do końca.
Wtedy to na niezwyklej, przedwieczornej scenie
stanął mocarz sękaty, błyszcząc w świetle słońca,
które wody dotknęło rozpaloną tarczą.
Przez dnie całe i noce siedział on na górze,
drzemiąc z głową nad wodą i na ryby warcząc.
Trwał tak długo, choć sił temu waligórze
ledwo już wystarczało, a sen z nóg go zwał...

Wreszcie wody opadły i Olbrzym odpoczął.
 Łapał ryby w bajorach na niewielkich halach;
 wtedy też trupy braci na zboczach zobaczył...
 W końcu dostrzegł on skrzynię albo „dom na morzu”,
 potem – mnóstwo zwierzyny na niedużych plażach.
 Gniew w nim ogniem zapłonął, gdy wybrańcy boży
 wyszli wolno ze statku z radością na twarzach.
 On, książęcy potomek, dziecko Uskrzydłonych
 upodlony i brudny, walczący o tchnienie,
 a tymczasem „te prochy z ziemi uczynione
 zasłużyły na arkę i na ocalenie!”
 Olbrzym ruszył po zboczu tratując zwierzęta,
 a rodzina Noego zbladła przerażona!
 Arka była wciąż blisko, potężna i święta.
 Może gigant jej bramy nigdy nie pokona?
 Ludzie biegli do statku, tam, gdzie smolne wrota
 i belki jak pień dębu i rygle potężne.
 Wtedy krzyk usłyszeli pośród łąk i błota,
 drugi gigant się zjawił; prężny, niebosiężny!
 I walka rozgorzała na halach tej góry,
 i okrzyki, i jęki sękatych mocarzy...
 Nagle – jeden z nich runął, odarty ze skóry
 na piersi owłosionej i szerokiej twarzy!
 Zwycięzca, który przybył z sąsiedniego szczytu,
 upadł wnet na kolana patrząc w błękit nieba.
 Ludzie stali jak wryci z odczuciem zachwytu
 i zamarła w nich raptem ucieczki potrzeba.
 Właśnie wtedy płaszc nieba przeciął blask anielski,
 a przestrzeń ozłociły najpiękniejsze słowa:
 „Ten tu mąż jest od dzisiaj dobry, przyjacielski,
 bo Pan dla swych wybrańców pomoc przygotował”.

VIII . Nowy Dzień

Łądy z wód wyrastały, obrastały trawą,
 kwitły chabry i maki, kobierce stokrotek.
 Piękny dom odbudował ludziom Pan łaskawy,
 dał ostoję zwierzynie i słoneczny dotyk.
 Rody ziemię zajęły i wzniosły pałace.
 Dobry Olbrzym Noego wnet został otruty...
 Człowiek sobą pozostał, choć miał żyć inaczej,
 więc pod Znakiem Przymierza* nie było pokuty.

* - tęcza boża jako gwarancja nienaruszalności nowego porządku.

Urszula Kalecińska-Kucik

jak skreślane zdanie

wyobraź sobie że jesteś
 zdaniem kreślonym wielokrotnie
 zmienianym poprawianym skracanym
 dopasowywanym do wygodnych
 w danej chwili okoliczności

gdybyś była zwykłymi literami alfabetu
 nie bolałoby nie byłoby ran
 bo przecież papier wszystko przyjmie
 nie poprosi o nic ani się nie zbuntuje

nie trzeba mu wyjaśniać
 ani z niczego się tłumaczyć
 można go zmiąć wyrzucić albo spalić.
 przecież nie ma serca ani pamięci

a twoje bóle promieniają
 na wszystkie strony świata.
 każde dotknięcie czujesz
 jak zarysowanie ostrą stalówką
 po tkance osierdzia.

ostatnia korekta boli najbardziej
 wydaje się najmniej zrozumiała
 kilka grubych kresek zasłoniło treść i sens
 i spadły kleksy z wilgoci rzęs

po całym zdaniu została jedynie kropka,
 a ta i tak wieńczy koniec
 jej w zasadzie skreślić się nie da
 zostanie
 jak wyrzut
 sumienia

pamięć

pamięć mojej mamy
 misternie chowa się w ściegach koronek

wychodzi popatrzeć na mnie wieczorem
 gdy piszę o niej wiersze
 pamięć mojej mamy
 jest delikatna i czuła
 gdy zimno
 zarzuca mi na ramiona
 szal ciepły wełniany
 który sama kiedyś zrobiła
 pamięć mojego taty czuwa
 sprawdza czy wszystkie drzwi i bramy
 zamknięte na zasuwę
 potem przysiadła na swoim krześle
 przy swoim stole
 które teraz są w moim pokoju
 i milczy i milczy
 a ja wszystko rozumiem

tworzenie

wieczorny spokój
 cisza pióro i ciepłowość kartki

znowu potknęłam się o drugi wers
 upadłam stłukłam kolana i serce
 i popłynęło parę łez

to ty nieświadomie podłożyłeś mi nogę
 gdy tak bardzo chciałam zapomnieć

już nie możesz mi pomóc
 ani podać ręki
 bo nie jestem na jej wyciągnięcie

powracająca fala

są takie traumy
 które wracają jak bumerang
 dawno zapomniane
 zracjonalizowane

a jednak potrafią sobie
wyłuskać spod warstw czasu
taki zapalnik
słowo zapach
obraz dźwięk
podobieństwo osób i sytuacji

nie pomaga naciąganie rękawów
odrzućcie
zdrapywanie do krwi
zamykanie oczu

jeden moment
i dostajesz jak obuchem w głowę
sprytny mózg ma sposoby

by działać po swojemu
choć nie ma żadnego
racjonalnego powodu
do takich powrotów
bo ścieżka dawno zarośnięta

a jednak
nie śpisz wycofujesz się
na kilometry pod wilgotne rzęsy
a ucisk w sercu
powoduje fizyczny ból

już wiesz że oblewa cię powracająca fala
i nienawidzisz siebie że to czujesz

tańczyłaby gdyby nie musiała
wiązać końca z końcem
zaczynać od początku

Concertina

znalazłam się w sobie
to jest bezmiar
tęsknię to znaczy
odkrywam połączenia
odpruwam nerwy z brzucha
fastryguję kosmos
są w nim ślady stóp
ślady słów ślepo migrujących z ust
ślady milczenia

drut żyłkowy granic, w który wikłają się znaczenia

Tajemnica

Jeszcze bardziej południowy wschód istnieje
prowincja sięga głębiej, i głębiej
niż jakiegokolwiek jej wyobrażenia
prawy górny róg mapy
ramię i obojczyk ciała ojczyzny

jeszcze nigdy nie była tak młoda jak teraz
ojcowizna, o której istnieniu nie mieliśmy pojęcia
po przesiedleniach
leżała ugięta przez dziesięciolecia,
dzicząc pięknie, wydając dziwne kwiaty,
splątana roślinność, czekała.

Teraz zgadnij które
zabijają,
kogo, które leczą
serce, nic więcej
nie trzeba
żeby odkryć ten rozmach
istnienia
zakodowany w pulsie,
przeczuwany w snach

Aleksandra Karmelita

Bardzo spokojna osoba

(linii żeńskiej od strony mamy, z życzeniami pomyślnego rozwiązania)

nie wiadomo gdzie się kończy gdzie zaczyna
nie wie co zrobić z rękami kłuje ją
w plecach rwa ciągnie w biodrze
gniecie w obojczyku czuje
jakby cała była posznurowana
niewidzialnymi cienkimi nitkami cienkimi
a mocnymi które trzymają jej zbudowane
z czegoś ciężkiego bardzo spokojne
ciało
a gdyby ktoś przeciął jedną z nich
to by się wszystko rozsypało.

ciągle tylko (się) pilnuje żeby nie powiedzieć
za dużo ani za mało
dobrze wiąże koniec z końcem
związuje dłońmi supetki dni one ciągle pękają ona jest zmęczona

Katarzyna Anna Koziorowska

Warstwy

Karminowe słowa łaszą się do ust.
Pośpna nadzieja -
bujająca gdzieś pod stropem -
nie odmawia
posłuszeństwa ciszy.

Znów obieram Twoje serce
ze zbędnych warstw,
przytwarzam do ściany zbyt mglistej,
aby miała znaczenie.

Nie chcę być prawdą,
co wyzywa kłamstwo na pojednanie.
Wciąż doskwiera mi
minione lato, przez które biegnie
ślepa uliczka.

Wiesz, czarne są Twoje wspomnienia,
moje pragnienie - jeszcze bardziej
zagubione.
Przychodzę, by nieść lekkość
Twoim skrzydłom, żebyś i Ty
mógł odszukać własne słońce.

To tylko słowotwórstwo, próżnia,
wyrzeczenie - nic więcej.
Urodzaj, którego tak brakuje.
Czułość, jakiej się nie spodziewam.

Na granicy ust

Nigdy więcej nie chcę pamiętać
o Twoim smutku - zbyt nachalnym,
zbyt chciwym.
Nie chcę litować się nad przyszłością,
przymilającą się do tęsknoty.

Pomalowałam na zielono
Twój dzisiejszy uśmiech - niech tli się
niby ostatnia noc lata, skrępowana namiętnością,

krzyk bez odpowiedzi.

Uszyłam dla Ciebie nową duszę -
poprzednia stała się zbyt powszednia,
żeby zasłużyć na radość,
liczyć na spełnienie modlitw.

Wyobraźnia przymierająca nadzieję
to tylko zdradzone uderzenie
serca, spełnienie wygasłego marzenia.
Pielęgnuję w sobie
Twoją namiętność, odbitą
w krzywym zwierciadle - nie pamiętam,
kiedy ostatnio tak bardzo tęskniłam
za gwiazdami,
za zbyt rozległymi pytaniami.

Czuję na granicy ust
piętno niepowtarzalnego słowa - oddalam
się,
choć gdzieś obok szemrają łzy,
choć dedykujesz mi
niepowstrzymaną pokutę.

Ciężko się wyrzec

Gdzieś między nami płynie wartka droga.
Gdzieś pośród naszych ciał
czai się trwoga, jakiej tak ciężko
się wyrzec.

Moja rzeczywistość
szuka wyjścia
ze snu - cienka jest granica
między nadzieją a zwątpieniem.

Współczesny czas
kojarzy się z przyszłością,
na jaką zawsze przychodzi pora.

Pieszczę bez ceregieli
przesuszoną skórę kalendarza - niebo

staje się dachem, nieosiągalnym
dla zapracowanych stóp.

Wiem, że zadam Ci
z premedytacją ten pocałunek -
przykleję do cytrynowych warg,
zostawię na nieco dłużej niż zwykle.

Przed kolejną godziną

Moje ciało pozostawało głuchonieme
przez zbyt długi czas.
Przeczcucia, przed chwilą poczęte,
ginęły bez krzyku, wbrew czułości,
na przekór szeptaniu.

W sercu, rozchełstany niby usta,
które karmiły mnie
świeżymi, ciepłymi słowami, czało się
pojednanie, dominowała pokuta.

Usiłowałam ukryć wykradziony lęk -
subtelność
dostatecznie krótkotrwałą,
aby pobudzić piękno, odkryć pożądanie.

Nagi wiatr usiłował wydrzeć krzyk,
lecz wiem: żądza nie kojarzy się
z uwielbieniem,
nie przypomina czasu,
który powstrzymał się na moment
przed kolejną godziną.

Nauczyłam się oddychać, moje serce
podkocha się w gwiazdach -
czy to niewinna garść
ognia sprawia, że omijam przyszłość,
nie przyznając się do czystości?

Poranek zasłużył na zderzenie
dwóch dusz - nie jestem już tą czarną
rzeką,
niosącą spełnienie niewierzącym,
wyrozumiałość dla wyobraźni.

Krzykliwa godzina

Nie wiem, od jak dawna śni mi się
zaprzeczła wieczność.
Nie rozumiem, ilu gwiazd potrzeba,
aby wskrzesić w sobie
pragnienie jutra.

Jestem pewna jednego: ciszy
zbyt bujnej,
by wsiąkły w nią łzy,
poczęte o niewłaściwej porze.

Przybyłam całkiem przypadkowo,
wbrew drogowskazom,
na przekór milczeniu nieba.
Zajaśniała we mnie noc,
z jaką tak trudno dłużej żyć.

Nie chciałam, aby czas był wyjątkowy -
brakowało mi paru westchnień
serca, garści odpowiedzi
z okazji śniadania.

Cieszyłam się spełnieniem, zesłanym
przez Twoje strzeliste dłonie -
dotyk był takim samym wspomnieniem,
jak pozostałość
po rzeczywistości.

Czas, krnąbrny uzdrowiciel,
pozostawił po sobie
kilka łapczywych wzruszeń - modlitwa
stanie się mantrą, której pragniesz
pozostać wierny.

To tylko zbyt krzykliwa godzina,
nic więcej. Pocziwa, zbyt dorosła ła.

Sylwester Kurowski

Ukraina - krwawy kurz

Krwawy kurz unosi się nad ziemią
Świat płonie i strach się zbliża
Cienie na murach się kładą
Nikt o nas nie pyta

Niedziela w Sumach
to tylko pomyłka, jak mówi wódz
zdarza się coś
żyjemy dalej złudzeniami
i już
Życie na wojnie

Tu nie ma snów
ani spokoju
Ziemia krzyczy
Nie zna przebaczenia
Každy krok to taniec na krawędzi
życie bez zapomnienia

Skrzypiące buty w marszu po zgłiszczach
Serca z kamienia
tyle wspomnień z wczoraj
bo jutra już nie ma
Życie na wojnie

Tu nie ma snów
ani spokoju
Ziemia krzyczy
Nie zna przebaczenia
Každy krok to taniec na krawędzi
życie bez zapomnienia

Kiedyś może przyjdzie świt
Gdzieś za horyzontem
A teraz w błocie topi się krzyk
gdy oddech krótki i piach w gardle
Czekamy na cud
Choć wiemy
Że to żart

Tu nie ma snów
ani spokoju
Ziemia krzyczy
Nie zna przebaczenia
Každy krok to taniec na krawędzi
życie bez zapomnienia

Poezja jest czasem niestosownie piękna

wyobcowana
często niebezpieczna
zbyt blisko twego ciała

banalnie prosta i zawiła czasem
jest jak platoniczna miłość
iluzoryczna

gdy ją chwytam
i opłacam myślą, słowem lub czynem
ginie
czai się w mroku, ginie

a kiedy otulam ją
otwieram drzwi
i chcę więcej
czeka, obserwuje
chwytą oddech
łapie rytm i śmieje się

jak szpak gwizdże na mnie
i stroi się w oddali
łap mnie, goń
szepce

ucieka

poezja jest czasem niestosownie piękna
wyobcowana
często niebezpieczna
zbyt blisko twego ciała

Sny

Sny czasami są niesforne mgliste,
jak twoje włosy, rozwiane nad ranem,
gdy noc zaplata je echem wyzwań
wspomnień niejasnych

Sny mijamy, jak ulice zgięte w łuki
półświatów splątanych
są jak milczenie wyspy na mapie
twarze odbite w lustrze
i kosmykach włosów,
nieutulone

Sny pachnące deszczem i ciszą

tkaniną zmierzchu
gdy noc wplata w nie swoje przestanie
niespokojne
i błyskawic światów rozdartych tysiące

Sny, jak ty tańczą na wietrze
jak ścieżki w lesie, co znikają w oddali
i zostawiają zapach tęsknoty
za czymś nieznanym
migocą i gasną

Snów i ciebie nikt nie dogoni

nie dogoni

Dorota Płoszczyńska

rzewnie

w moim zakątku
nie ma słońca cienia
długa szata zakrywa ruch
woskowych figur

w pamiętnikach
wietrzonych listami rozdzieliłam Ja od Ty

dzieci urosły zmieniły formę zabawy w
lekarza

kilka szmacianych lalek
kolekcjonuje kurz
zmarszczki pokrywa bruzdami

pudła z książkami
zapadły w sen i coraz częściej stąpom boso

w nocy z piątku na sobotę
po długich rozmyślaniach
o redukcji słowa na
rzec obrazu
powstał wiersz
rozebrany do naga
asamblaż,
wpuszczany do ucha
przypadkowym przechodniom

Przedwiośnie

Jeszcze śnieg
zmarli zielenieją
pną się do oczu

Kazimierz Kyrz Jr

Przy pocztowym okienku

nadać na nowo znaczenie
słowom
ideom
deklarowanej życzliwości

punk Ogito się nie stara

i tym oto sposobem
wyjątkowo
zalicza się do większości

Wiedza wiodąca donikąd

rzekomu znawca tematu rzek
które unikają wpadania do morza
wedle opiniotwórczego tabloidu
okazał się oportunistą

znudzony tą porażającą nowiną
punk Ogito ziewnął szeroko
i sprawdził prognozę pogody

jak zwykle była dla bogaczy

Tłumnie

wieści rozeszły się jak
małżeństwo pragnące rozgłosu

bez orzekania o winie
za to powtarzalnie

Sekret poliszynela

prawdę zdradzono o świecie
by bezimienne zera mogły
używać życia

dopóki nie dostaną
pożegnane kopa
w dupę

Punk Ogito martwi się o martwych

za życia wieścili
że dzień śmierci to
święto uwolnienia

wątpliwe by dostąpili
świętości

wątpliwe by się
uwolnili

Do przodu

punk Ogito zazdrości optymizmu
staruszkowi z balkonikiem

przebijającemu się przez chodnik
z werwą lodołamacza na dopalaczach

głośno powtarzającego wszem i wobec
oby do przodu oby do...

Asekuracja

stara sąsiadka z wiekiem
staje się coraz bardziej przebiegła

diabłu przez lata oddawała co ziemskie
ale Pana Boga też uwzględniła
w testamencie

punk Ogito wątpi
czy ten numer przejdzie

Świeże spojrzenie

niczego nie dodawać
nie ujmować nikomu

nie mnożyć nie dzielić
na czworo

wszak włosy i tak nie odrosną

Na miejscu

marny koniec spotyka wszystkich bez
wyjątku
większe dobro zbyt często puchnie od
poczucia wyższości

nie idźcie w tę stronę
— powiedział punk Ogito do nikogo
spoglądając na klucze żurawi
malujące drogowskazy na niebie

Ewa Niezgoda-Gierszewska

w szklanej kuli

w prawej dłoni
obracam Venus
księżyc marszczy brwi
wskazującym palcem
zakrywam usta Jowiszowi
pewna jutra
rozpędzam się
na ziemskiej bieżni
zaskoczone gwiazdy
mieszają galaktyką
a wzburzone oceany
nucą tsunami
płacz greckich bogów
to kolejna powódź
nie poddaję się
jeszcze chwila
i znów wzejdzie muza

Bal

wciągnął mnie Matejko
w ramy czasowe
ubrał w błękitną suknię
zaprosił na królewski bal
sam ukrył się w czerwieni ciszy
splótł ręce
zatrzymał zegar i bicie serc
a rozbawieni goście tańczą nadal
zupełnie nieświadomi
Komety Iskonu
bezsilna jej królewska moc Bona
poprawia uśmiech
muszę szybko przerwać tę melancholię
dopić wino
wyciągnąć na parkiet Błazna
i zapobiec tragedii zanim
na zawsze pozostanę
w odmętach ciemnej zieleni
tego płótna

Lidia Izabela Lachowska

wcale nie trzeba wierzyć w horoskopy
by wiedzieć że to coś więcej niż przypadek
niech pani nie pyta
dlaczego zawsze pada
kiedy zapomni się parasola
pech to umiejętność życia
tak samo jak talent aktorów z *komedii pomyłek*
ale przecież wiadomo
że kto go nie ma
ten nie potrafi docenić
słońca wschodzącego za rogiem
więc
on jest jak wiersz
którego nie potrafisz dokończyć
albo rysa na płycie winylowej
gdy wciąż napływają te same słowa

kasandry

na skraju boru gdzie mech rodzi głosy
siedzą ślepe jak wróżba z rozlanej kawy
ich ręce są z mgły ich języki z miodu i krwi
wiedzą że człowiek to tylko zapach duszy

z glinianych naczyń piją księżyc
oszronione palce zanurzają w gorąccze
warkocze pełne zakłębć czarne jak sierść kota
co wydeptuje granicę między snem a zejściem

matki bez dzieci dzieciątka bez matek
one zbierają wszystko co zgubiło imię
modlitwa w ich ustach to nóż w białym chlebie
to sól co pali gardło Boga

brzęczenie much to ich muzyka
szmery modlitw wiją się jak dym
nie dla świętości lecz dla przetrwania
bo nawet Bóg klęka przed nimi w popiele

patrz ci w oczy i widzą twój zmierzch
nie pytaj je o miłość
z miłości rodzi się ból
a one znają tylko ten język

szeptucha

nie skończyła medycyny
nie nosi stetoskopu
choć czasem przykłada ucho
do chorego czoła

zna łacińskie słowa
ale nie z podręczników
szepcze *Pater noster*
i czosnek zawija w chusteczkę

widzi więcej niż powierzchnię
ktoś mówi urok
ona kiwa głową
jakby to był wynik

czyni krzyż w powietrzu
jak lekarz receptę
nie pyta o PESEL
lecz o imię matki

wyleczyła babkę sąsiadów
tę co to na serce
chłopca który nie mówił
kota z nogą

nie chce refundacji
tylko jajka chleb czasami miód

przychodzą do niej ci
którzy przestali wierzyć w białe fartuchy
a jeszcze nie stracili nadziei
w moc zwykłego szeptu

Sławomir Łęga

Plastykowy portret

Serce bije w uniesieniu
Zmęczone wysiłkiem wspomnień
Maluję plastykowy portret emocji
Zamkniętymi ustami wykrzykuję
Wątpliwości stojąc na krawędzi życia

Zakuty w sidła kolczastego drutu
Wycinam drzewa dźwigające grzechy
Zwątpienie przenika głęboko do ciała wysysając
powietrze z wnętrza płuc

Potykam się o kamienie bezsilności
Tracę płynność w labiryncie myśli
Otrzeputując resztki mijającego czasu
Klęczę pośród wytartych kropel wiary

Poczuć wilgotny smak nadziei
Zapisać krwią niedokończone wersy
Uderzam palcami w klawiaturę marzeń
Łamiąc własne zasady pożerając wzrok

Obojętność w oczach

Cierpienie przetarte do gołej skóry
Nad zasklepionym opatrunkiem
Rozbudza ból przygniatając duszę
Płomień pali uczucia z haftowanego ognia
Zaczynając oddzielać łyż od popiołów.

Smak na ustach podparty dłonią milczącego rozma-
rzenia pragnie stoczyć ostatnią walkę zanim powieki
zakryją znaczenie życia.

Bije moje serce rytmem tanga
W amfiteatrze pozbawionym światła
Pomiędzy szeptem rumieńców
Ciemność obiegła los ramionami.

Na twarzy pozostały tylko łyży
I ta obojętność w oczach

Patrząca na ciągle cierpienie
Pośród posklejanych ziarenek łez
Odarte z wilgoci wgłębiania uczuć
Zaczęły cerować części ciała zakłębte w
trzewiach.

Wola przetrwania

Wola przetrwania w gardle wydiera
Bolącym krzykiem niehumanitarne zmysły,
Rozlewa żale w mym sercu teraz
Dające siłę łzom nienawistnym.

Niedbale zszyta wyciąga język
Ubrany cierniem podświadomości,
Pożyciem tchnięta wiję się pręży
W szkarłatnej żyłce smutek zagościł.

Bezwolnym cichym chłodem ponurym
Próbuje znaleźć drogę donikąd,
Prośby zostawia idące z góry
W zmrożonych bliznach słyszące chichot.

Cisza

Zbroczonym słowem niezręczna cisza
Rozlewa w progu bóle po kątach,
Rozrywa gardło wciąż krzycząc znikaj
Próbuje moje myśli wysprzątać.

Rozwiera usta ostrzejszym nożem
Zatruta hejtem łez niezawistych,
Cynizmem duszy w czarnym kolorze
Przekuwa cierniem niehumanitarne zmysły.

Zaciska w pięści codzienne cienie
Spijając nektar z odwiecznych lęków,
Raz bywa szczęściem a raz więzieniem
Wiążąc kajdanki na moim ręku.

Magdalena Łubkowska

Bezimienna

O świcie przychodziła pod starą
wierzbę. Nikt nie znał jej imienia.

Szare ptaki siadały na wątlach ramionach,
dni parowały wzajemną tęsknotą.

W głowie pękały ziarna słów,
karzyła nimi plectwo. Martwe pory
roku układały się pod skórą.

Pamięć łuszczyła się w dłoniach
wygładzających stare zdjęcie.
Powietrze gęstniało od zimnych snów.

Ślady jej samotnych stóp
zostawały na mokrej ziemi.

O zmierzchu prowadziły ją do domu.

o zmierzchu z jej oczu
wylatują ptaki

pod zamkniętymi powiekami
noc przychodzi dużo wcześniej

w poprzednim życiu
dotykała nieba

nie wiedziała tylko
że piekło jest tuż obok

szepty pod skórą

boi się zasypiać

ze snów wychodzą cienie
i wyją do księżycy

kiedy dotykają jej wątłego ciała
powietrze gęstnieje

wtedy ucieka do lasu
modli się pod drzewem
szepcze słowa odkupienia
jak mantrę

chodzi na palcach wokół
żywiółów

głowa wyrwa się ku niebu
reszta ciała wrasta w twardą
ziemię

noc zostawia ciemne ślady
na jej wargach
i szepty pod skórą

inna

M. zawsze była inna

nosi w sobie strach
i czarne ziarna skarg

każdego poranka
szuka w lesie wiedunki
która obiecała jej sny
bez lęków

obserwuje puste oczy
drzew

ucieka nad rzekę
modlić się o odpuszczenie
win

Zaklinanie

Zmierzch nadchodził ciszej
niż zwykle. Bała się ciemności,
gałęzie wierzby przypominały długie,
czarne palce.

Nuciła melodię, której nauczyła
ją stara szeptunka. Liście drżały pod jej
spojrzeniem, jakby wyczuwały ten strach.

Puste gniazda kosów przypominały o tym,
co minęło. Niebieskie żyły nocy wchodziły
w każdą bliznę na jej ciele.

Jej oczy były głodne świtu.
Nieruchome niebo traciło duszę.

Jedynie dotyk babiego lata przynosił ulgę,
a cmy prowadziły ją do domu.

Bogdan Stangrodzki

Nenufar

z ostrołuków otwartych ust
unoszą się akty strzeliste
odbicie w wodzie
niezachwiane rechotem żab
jaskrawością ważki

czy wiesz co to samotność
nenufarze
czy kiedykolwiek doświadczyłeś rozłąki

czy zdołam pochwycić twoje spojrzenie
płynąc na drugi brzeg
mijając miejsca nienazwane

... w mroku
pod kloszem utkanym z gwiazd

Powołanie

Chcąc nie chcąc wiele rzeczy
wyniosłeś z domu
lokalną rozgłosność oryginały i kopie
smutek i radość przodków
a kiedy zbliżyła się ostatnia pora roku
i dom zaczął nagle płonąć
wyniosłeś rzecz najcenniejszą
- piękno które spoczywało na dnie
serca napotkanych ludzi niczym
w sejfie zamknięty testament-
piękno szarego człowieka
i stanąłeś za nim

za progiem bezgłośnie
nie czekając na ewangelię
usłyszałeś
- Pójdź za Mną

Artur Marciniszyn

Duchologia

Niewidzialni jak duchy
w przewidywalnym świecie.
Martwi za życia.
Martwi ich wszystkich
wszystko i wszyscy.

To nie duchy bez ciała,
to ciała bez duchów
są najstraszniejsze,
bo pełne pustki
krzyczą głuchą ciszą.

Piękno jest niewidzialne,
to, które nie przemija.
Prawda jest najcenniejsza,
jej nie da się kupić
za wszystkie kłamstwa świata.

Zamknij oczy i otwórz serce.
Najbardziej dotyka to,
czego nie da się dotknąć,
najbardziej porusza to,
czego nie da się poruszyć.

Jawa pełna snów

My -
Żyjący na jawie pełnej snów,
My -
Wbrew dni szarości marzyciele,
My -
Obserwatorzy porannych zórz,
My -
Natchnień wieczornych tropiciele,
My -
Bijące w nas namiętne serca,
My -
Jak strony ksiąg ławopalni,
My -
Poszukiwacze wieczni szczęścia,
My -
Jak ten świat cały przemijalni.

Strachy

Popatrz w ich oczy
Wielkie i puste,
Martwe i czarne,
Nie ma w nich nic.

Za tobą kroczą,
Widujesz w lustrze
Cienie ich marne,
Strzepnij ich pył.

Palone słońcem,
Morzem topione,
Rozwiane wiatrem,
Ziemią przykryte.

Nowym początkiem
Pożegnaj koniec,
Odetnij matnie
Strachów zużyte.

Beata Małgorzata Moniuszko

Uczucie

czasem łokciem trąci lub muśnie po plecach
filuternie kokietując zmąci spokój
albo przemknie cichcem zajdzie od zaplecza
i ni stąd ni zowąd (ot tak) zbije z tropu

wtargnie nieproszone czemu samo nie wie
by nadrobić to co dotąd odkładane
wbije pazur sponiewiera stłamsi w gniewie
wyprowadzi na manowce gdzieś w nieznane

rzuci się na oślep (spuszczzone ze smyczy)
ruszysz w pościg drwiąc ukrywa się po kątach
wciąż nieokiełznane nie porównasz z niczym
jak pstrąg z sieci nie potrafisz się wyplątać

wzniesi pożar sparzy stli powieje pustką
nie zatrzyma skrytych marzeń pełna głowa
samo sobie wbrew (nie spojrzaj nawet w lustro)
trzaśnie drzwiami i nie piśnie ani słowa

W cieniu manekinów

pod mosiężną tabakierą
spełniającą rolę szezlonga dla teatralnych marionetek
zmarszczki kartek skrywają
zakamarki myśli wypowiedzianych
językami świata

gdyby je dotknąć
skrzeszyłyby się pod palcami

Joanna Nowocień

Totemiczny sen

zadumana twarz przewodnika
błogosławi niezwykłą transformację
włosy sięgają krańców białego snu
w którym roznieca nową formę

ćma w odcieniach indygo
jak wielki jastrząb
wykluwa się z oka nestora
nabiera sił by tańczyć
w stronę lunarne światła

podąży promieniem księżyca do wyraju
w nocnym płasie
pokona setki kilometrów
rozwojowego cyklu
z poczwarki dziewicy
aż po starą szamanę

Bogini nocy odchodzi w sen

to czas kiedy heroizm
spotyka się z bojażnią
sacrum i straganowy kicz
przystają na cmentarnej płycie
w dualnych pętlach
aby doświadczać światła i mroku

Lilith zdejmuję koronę
i odchodzi w długi sen

a kiedy śni
zanika prastary demon
dzieło mężczyzny wypluwane przez stulecia
kiełkuje wybaczenie
mariaż światów spiżu i jedwabiu

bogini nocy zapisana w ciałach kobiet
odradza się z modlitwą

wreszcie cień dopełnia się jasnością
a jasność rozpoznaje swój cień

Babcia na Drodze Mlecznej

wymyka się konwenansom
lubi szpilki tęczowe sukienki
a w nocy pisze wiersze
zamiast gładzić koraliki różańca

odegrała już wiele ról
teraz wplata gwiazdy
w Warkocz Bereniki
i jeździ skuterem po Andromedzie

nie będzie babcią z reklam
ale może nauczyć
jak kochać siebie

Barbara Orlowski

wyspy pamięci

są takie miejsca których nigdy nie da się zapomnieć
i wymazać z pamięci

te letnie wspomnienia zakotwiczyły na wydmach
i tworzą nowe wyspy pamięci

to rozpaczliwe czekanie na szczęście, na podanie ręki
na miłość czy na sens życia... są jak szepty w tłumie wibrujących myśli

czasem wszystko zaczyna się od wewnętrznej zmiany
a myśli które dryfują w głowie jak wielkie żaglówki

stają się realne - natomiast cisza i milczenie rozrywają łańcuchy
i przywracają słowa – słowa otuchy

nie kontroluj i nie zmuszaj ich to przyjdą
zamieszkają w duszy gdy przestaniesz je gonić

- po rozpaczliwym czekaniu zaczną pisać monografie

Rezygnacja – Paul Heyse, 1897

Och, ten ulubiony sen
którego się nie mogę tak łatwo wyrzec
Jak to drzewo figowe tam
wciąż orzeźwia mnie swoimi owocami!
tł. Barbara Orlowski

Sen

nie mam nic do powiedzenia
myślę że powiedziałam już wszystko
teraz chcę posłuchać gry na skrzypcach
ten ostatni takt usłyszeć

rozbijają się o ścianę dźwięki
zasypiam na jawie słyszę znajomą melodię
kiedyś słyszałam ją w młodości
w krainie z której pochodzę

chcę śnić w pełnym spokoju
nie mogę się go tak szybko wyrzec
uwielbiam słodki zapach ananasa
i świeży egzotyczny zapach tropiku

po cichu do tej nocy mówię
jak mam ci wytłumaczyć co czuję
przewracam dla ciebie świat do góry
nogami
twoja postać doprowadza mnie do szału

ta krótka sukienka w kwiatki bardzo mi pasuje
podkreśla talię i hipnotyzuje
w połączeniu z czerwoną szminką
świetnie to wygląda tak do mnie pasuje

nie będę więcej marnować czasu
twoje spojrzenie otacza mnie jak kwiaty
zapach twoich perfum zatyka mi oddech
a twoja osobowość rozświetla pokój

chcę śnić w pełnym spokoju
nie mogę się go tak szybko wyrzec
nie mam nic do powiedzenia
myślę że powiedziałam już wszystko

Resignation - Paul Heyse, 1897

Ach, auf diesen Lieblingstraum
Kann ich nicht so leicht verzichten,
Wie daß dort der Feigenbaum
Mich noch labt mit seinen Früchten!

Gobeliny wspomnień

czas wydaje się stać w miejscu
szepcze historie o przeżytym życiu
zawiłe detale - zachęcają do wspomnień
do zatrzymania się - choćby na chwilę

zachęcają do marzeń
pełnych nieskończonych możliwości
w przestrzeniach minionej epoki
opowiadają niepowtarzalne historie

dusze znajdują miejsce na wędrówki
kolorowymi szlakami - celebrując przeszłość
rzucając delikatny blask
w ponadczasową chwilę

inspirowane stylem vintage
szukają sanktuariów
przypominających o niedoskonałości życia
w utkanych gobelinach wspomnień

Anna Partyka-Judge

Krąg

w katedrze lasu brzoźowego
wyśpiewam cichą modlitwę
niech wzleci w bezmiar

zakreślę magiczny krąg
i ożywię niezgłębioną mandalę
a nietrwałe drobinki czasu
zastąpię murlątem

w rytmie mantry rozkołyszę biodra
wniknę w magię drzew
niczym szeptucha

dobrostan podaruję ziemi
i przywołam echo
minionych stuleci

wydobędę z niepamięci
drzemiące we mnie dziecko

Decyzja

w kalejdoskopie
życiowego science fiction
wypełniasz kadry
zwyczajową bytnością

tylko jeden most
pozwoli ci przejść
i połączyć brzegi myśli
wzmocnić intencję
by pasja nie utonęła
w grząskim sitowiu

wystarczy odważny krok
by obudzić w sobie wirtuoza
i wybrzmieć popisową frazę

powołanie zadźwięczy
harmonijnym interfejsem
scali popękane ogniwa
i nada pożądany format

symfonia popłynie
błękitem w przestworza
a ty zmienisz bieg własnej historii

Dzwony wszystkich dni

zabrzmiały jednocześnie
przyspieszyły potoki
hukiem zamroziły stawy
budząc zawieruchę

w łoskocie zagubiłam kompas
podarowany przez pramatki

jestem naga
lecz palce oblane lukrem
uchylają drzwi piernikowego snu
który gościnnie tuli twarz
wyrzeźbioną emocjami

kakofonia niespiesznie
zamiera diminuendo

Pozwól

księga chwil
nie będzie kompletna
bez współbrzmienia przeciwności
i wszelkiej przeciwwagi

bez asymetrii i harmonii
godności i upadku
bez ucieczki i pogoni
zgniłych liści w umęczonej ziemi
i gorliwych przebiśniewów

promienistość ciał niebieskich
nie zrodzi się
bez nocnych mgławic
a podłość nie zazna szlachetności

myśl powróci morską falą

więc pozwól wybrzmieć
dwoistości chwili
nieoczekiwanej codzie
akordu wszystkich zdarzeń
niech ból
nie będzie zaskoczenie

Lilianna Pawełkiewicz-Mustafa

Mówili że gdy patrzyła w oczy
wykrawała część duszy
jak kawałek tortu

zostawiała na deser
zawsze w piątek trzynastego
zjadała do ostatniej kruszyny

a ty uboższy o tę część
wypełniałeś to miejsce tęsknotą

Cienie

Jak wspomnienia przemykają
zmarłych cienie
w jednym geście tak jak w lustrze
znalezione
i w postaciach gdzieś na mieście
zawsze lekko pochylonych
w ulic rozgadanym tłumie

czasem dźwiękiem się odbijają
od melodii
która wryła się jak pacierz
w twoją pamięć
albo wonią znów poruszają
szóste zmysły
kiedy chlebem tym z dzieciństwa
zacznie pachnieć
i w pośpiechu gdy nerwowo
chwytasz w ręce swą codzienność
gdy się z czasem wciąż pogodzić nie potrafisz

jak wspomnienia przemykają
zmarłych cienie
w szybach okien starych domów
na zrobionej jakby wczoraj
fotografii

W Snach

Czasem zaglądasz w niezbadane światy
przekraczasz progi tajemniczych drzwi
odwiedzasz moje zagmatwane sny
szcztujesz znaki

na drogach kręte rozwidlenia
na krańcu świata nie wiadomo gdzie
jak meteoryt zjawiasz się we śnie
w chwilach zwątpienia

otwierasz dla mnie bizantyjskie bramy
innym zostawmy ich ścieżki utarte
jeśli te sny są czegoś warte
to w nich zostanmy

Szumi Wiatr

Nie zakradaj się do moich snów
twoje oczy niepokojąco czułe
zatapiają gwiazdy w oceanie mroku
szumi wiatr
nie słyszę twoich słów

nie zaglądam w czarne jeziora nocy
one zdradliwe jak studnie bez dna
gdy raz się pochylisz nie oderwiesz wzroku
jak mały kamyk
w czeluść się potoczysz

ja w szarościach brzasku
wejdę w nowy dzień
niebo spąsowiło nie ma już odwrotu
szumi wiatr
zostań tam gdzie sen
przed granicą świtu
pod żaglami rzęs

Księżyc nad Bobolicami

Nad niebem gasną zachodnie zorze
chmury już ciągną zasłonę zmierzchu
wyłynął księżyc w bladym kolorze
zawisł nad wzgórzem w cichym powietrzu

stare zamczysko zmienia swe kształty
gdy mrok się wdziera w jego wgłębienia
a srebrny księżyc krążek uparty
światło roztacza wokół wzniesienia

w okienka baszty wciska się smuga
gładzi poświatą prastare mury
bo przecież jego to jest zasługą
że nocą widać zamku kontury

i plecie szeptem dziwne opowieści
którymi raczy całą okolicę
zaprağnął światu bezzwłocznie obwieścić
starą legendę Zamku Bobolice

bo jak wieść niesie kto zbłądzi w te strony
idąc krętą dróżką gdzie strome wzniesienie
ujrzy często obraz mrokiem zniekształcony
na murach warowni snujące się cienie

a gdy na przedzamczu księżyc też zaświeci
usłyszemy dźwięki średniowiecznej lutni
tam ukradkiem przemyka od wielu stuleci
postać białej damy w powłóczyściej sukni

Łukasz Szaruga

Rusałka

Nim się spostrzegłem, na oka chwytnie mgnienie
roztrzepotane chichotliwie, lubieżne tchnienie
skokiem chyżo przypadła i kostycznie
fibr skóry każdy poczęta drażnić, w obłęd
mnie rzucając paroksyzmów, wikła skręt
bezzadny podległości wstydlivej, bezliczne
gilgoty kładąca na ciele wziętym w karb
perwersji niemocy, okrzyków mimo i skarg
litanii, okrucieństwa oczom na skrzydłach
swych hektyczne sączy rubiny. Gdy płomień
pełga na podmuchu bezwolny, tak ja na skrach
jej dotyku spalam się na wstydu popiół, a jak drga
struna pod wolą przemożną, tak w histerii się wiję
śmiechu udręki, a ona chichotem szyderczym się zanosi
bez ustanku, w plugastwie celująca w tyle zostawia żmiję -
nie szczędzi, a wzmaga katusze tego, co o zmiłowanie prosi.

Ściany jaskini szare, gładkie, upstrzone kroplami rosy.

Magdalena Pawłowska (sensorduszy)

fazy

rankiem

wietrzę w pościeli
naskórek twojej natury

w południe

przewieszam przez poręcz
by odświeżyć pamięć

nocą

nie czuję już nic

wiara

wyrosłam z ziemi
nie dorosłam do nieba

jedynie

związek ogranicza
jedynie tego

komu zależy na wszystkim
z wyjątkiem miłości

widok

stoję w oknie
widzę jak słońce znika za halą

co za tchórz

on podchodzi do okna
słońce wciąż jest wysoko

cóż za wytrwałość

czas zmienić mieszkanie
czy punkt widzenia?

Amelia Pudzianowska

Sacrum

za kulistość ziemi cierpię
kładę oczy pod ręcznik
nie chcę nowych kopuł

pod sercem mam strzelistość ganków
okrągłe okna nie chcą mi wybaczyć
dlatego nie wchodzę w Jego ramiona
dlatego nie biorę go w moje niebo

to jest taniec ze złotą skórą
to jest uciekanie przed orłem z mosiądzu
to jest umieranie za brak perspektyw
nie daj mi spłonąć bez herbu

i znów się zaciął między windą a chlebem
nie mam rąk by uratować wszystkich
obstukuje auto bo nie ma innych dróg
tylko święci nie doceniają wyboru

Staw

nigdy nie będę ładna
nigdy nie będę mądra
zarybiam sobie głowę ideami
karp raz do roku to jeszcze nie szczęście

dłoń to taki dzbanek w który wkłada się kwiaty
moja linia życia jak tatuaż dla biednych
dziewczyny na koparki!
zasypmy w sobie proch

Lucyna Siemińska

Na przedmieściach

na przedmieściach
dzień zaczyna się koło południa
zgrzytem klucza w zardzewiałym zamku

czarny kot wygina grzbiet na szczycie dachu
spluwamy przez lewe ramię trzy razy
zanim dosięgnie pech

na przedmieściach
kamienice otrzepują tynki z fasad
obnażają ceglane blizny ze śladami po kulach

w zakurzonych oknach usychają pelargonie
głucho stukają wiekowe okiennice
wiatr roznosi plotki po bramach

na przedmieściach
kochamy pośpiesznie pijemy za dużo
na zdrowie i za lepsze jutro

uciekamy w sen przed światem
wielkim odlotem byle jakich wspomnień
nie zaczynających się od dzień dobry

Drugie dno

zaplanowałem lądowanie na księżycu
jako kosmonautę intrygowała mnie
wyprawa po srebrny pył

lepiej mieć go w garści
na przekór ziemskiej grawitacji
i pokerowym blefom

z łatwością można wtedy
sypnąć nim w oczy oszczercom
z poziomu nieważkości

może spłynie srebrnymi łzami
albo przylgnie brokatem
do złotoustych konturów

w każdym razie będą błyszczeć
podczas publicznych przemówień
w świetle jupiterów tak jak lubią

wtedy jeszcze raz się przekonam
przejrzę w ich obliczach
jak w weneckim lustrze

bez trudu odnajdę drugie dno
zdecydowanie inne niż to
wystawione na sprzedaż

Iwona Danuta Startek

druga strona

nie śpię wspominam
księżycowa pełnia toczy
smak jabłek i krzyk żurawi
pędzel nocy rozcina
swojską przestrzeń
nadaje rzeczom kształty
od nowa formuje istnienie

nie śpię pamiętam
jak pod kuchenną blachą
w czerwonych szyszkach
płonęły ziarna czasu
na niewidzialnych niciach
snują się myśli
poszarpane jak babie lato
podpływają do okien
srebrne dachy na stodołach

nie śpię czekam
aż w pajęczych sieciach
zaświecą krople rosy
i popłyną pod powieki

gdy świecą sny

gdy zamiast księżycy świecą sny
jak szron na jesiennych liściach
smakują słono jak krew
bieląc kośćmi zaciśniętych palców

co noc cierpliwie rzeźbią
nasze twarze zastygając pytaniem
czy to koniec już
czy może dopiero początek

i przerażeni jesteście
że nadejdzie świt

poranek w hotelowym pokoju

poranek w hotelowym pokoju budzi się długo i
powoli
deszcz stuka o parapet zamglony widok za
oknem
płacze wymiary i utrudnia rozpoznanie
lustro nie pomaga
odbija się w nim nieznajoma twarz kogoś
kto zgubił tożsamość i szuka dla siebie imienia
esy-floresy na płytkach w łazience
przybierają kształty drzew i zwierząt
nad nimi lewitują w błękicie chagallowscy
zakochani
każde osobno nie mogąc się spotkać
po dwóch łykach kawy wyłaniają się punkty
odniesienia
koniec hotelowej doby już blisko
za progiem czeka świat który nigdy nie śpi

w taki dzień jak dziś

w taki dzień jak dziś nie kupisz pomarańczy
ktoś przeszedł drogą ostatni raz zostawił cień
w oknie na pelargoniach na igłach opuncji motyl
buczący trzmiel kołuje nad wielkim łopianem

w taki dzień jak dziś nie znajdziesz słów
na wypełnienie ciszy
w piwnicznych bukłakach klaruje się wino
nieśpieszne soki czerwienią oblewają parapety

w taki dzień jak dziś policzysz książki na pół-
kach
wiedząc że żadnej nie przeczytasz po raz drugi
i nie spotkasz nikogo z dawnych lat kto pamięta
jak byłeś małą dziewczynką

w taki dzień jak dziś nie pomyślisz o jutrze

mistyka kamieni

zawsze tak samo twarde
anonimowe
deptane przez miliony
nieznanych nóg

nie szukają znajomości
nie zawierają przyjaźni
nie oczekują współczucia

ścierają się toczą
spadają kruszą
wietrzeją
większe okazy
stają się mniejsze
i nadal są

nie tracą energii
nie karmią się nadzieją
nie toczą walki
na śmierć i życie

umieranie świata
ich nie dotyczy

nie dostąpią zmartwychwstania
nie zaśpiewają w chórze
ani nie zostaną potępione

Urszula Stępień-Daszkiewicz

Co zrobi czarny kot
gdy biały człowiek przebiegnie mu drogę?

Mrrra! (na psa urok ...)

Bez balastu zbędnych uprzedzeń,

ponownie,
niespiesznie
będzie celebrował szczęście.

Kikimora

wyszarpana z logicznego tła
wilgotna od śliny

ptasim puchem oblepiona
okrakiem na Twoje kolana sfrunę

bezkształtna ale z zamiarem ciała kobiety
wczepię się w cień falujących drzew

i metodycznie
w oparcie siedzenia

z szyją rozdętą krzykiem do wewnątrz
obiecuję!
oswoić każdą pełnię księżyca
obiecuję!
uleczyć uderzenia serca
i uderzenia w twarz

wcale nie czerwony lakier z paznokci schodzi
ma zapach maków
i metaliczny posmak miesięcznej krwi

Madwoman

Czerwona na niej sukienka, czerwona w sercu udreka.
Agnieszka Osiecka „Wariatka tańczy”

Czarnym łukiem zlatują na pochmurne czoło.
Zagnieżdżają się jazgotem, przenikają do rdzenia

Staranny retusz waterproof mascara black.

Maluje uśmiech
w podkówkę
i powieki jak kwiaty na chałupach z Zalipia.

Płacze na zawołanie, na zlitowanie, na czas, na pokaz.

Krokodyle trzy leje
rozgoryczona.

Manipulantka, pożał się Boże.

Niesie swój krzyż
na masaż i rehabilitację.

Piekielne kręgi upycha w gorsecie.

Na różańcu z jarzębin rozważa wszystkie nie swoje tajemnice.

Dorota Szawdzianiec

Wśród nocnej ciszy

Ciemność nocy spowija niebo
ostatnie auta spływają
tętniącymi chwilę temu arteriami miasta
do serc domów
rozchodzi się
po ulicach uliczkach
alejach i parkach
cisza jak spokojny oddech dziecka.

I tylko gdzieś w ciemnych zaułkach
w osiedlowych śmietnikach
pod mostem rzeki
i w tunelach dworca
słysząc jak chrzęści
potłuczone czyjeś życie.

Leży tam w embriony skulony
poszukiwacz niedojedzonych kanapek tropiciel i odkrywca ciepłych miejsc
przesiąknięty dymem
kolejnego wypalonego jak znamię dnia
i próbuje zasnąć nie zamykając oczu.

W kieszeni dzwonią klucze zimne
niepasujące już do drzwi domu
i różowa spinka do włosów córeczki
którą gładzi palcami czule
jak jej kręcone blond włosy
kiedy szła pierwszy raz do szkoły.

A pod głową uwiera
kolorowa jakby na przekór reklamówka wypchana po brzegi
latami wzajemnych zdrad
pretensji o nic
kłótni bez powodu
i kilkoma parami ciepłych skarpet
dorzuconymi z troski.

Moje serce

Znalazłam na drodze
po której Bóg nie chodził
już od dawna
serce z kamienia
leżało wdeptane w ziemię
przez wiarę nadzieję
i miłość.

Szare
zimne
i ciężkie od nienawiści
nie patrzyło w oczy
i nie mówiło
jakby się bało
że nie uwierzę w jego historię.

Zabrałam je ze sobą
ściskając w ciepłej dłoni
i poniosłam
w głąb siebie
oswajając na nowo
niczym dzikie zwierzę
z życiem
które za mną
i przede mną.

A ty przeciw sobie

Jeszcze przy tobie zasypiam
oczy mrużę i słucham
łopotu skrzydeł twoich myśli
jeszcze zanurzam się
w oceanie twoich oczu
i szukam swojego odbicia.

A ty daleko
gdzieś po drugiej stronie mostu
nie na mojej łące
zbierasz rumianki
jej uśmiechu
i buszujesz w zbożu złotych włosów.

Jeszcze w objęciach twoich ud
kołyszę się w rytmie

wczorajszej melodii
i rozpaczliwie szukam cię
w mężczyźnie
który leży tuż obok.

List do ciebie

Wierzyłam że kiedyś
utulę
ukołyszę
zaśpiewam
nocą wstawać będę
gdy zapłaczesz.

Że pokażę ci
jak rosną drzewa
a gdy z pierwszym krokiem
poczujesz chłód zielonych traw
poprowadzę za rękę
przez życia łąk rozkołysany łąn.

Że czekać będę
roztrzęsiona
patrzac w okno
od nocy czarne
gdy ty wzlatując
na nieopierzonych skrzydłach
smakować będziesz
świat zachłannie.

Że każdą łzę
którą mi przyniesiesz
pobity przez los
przygarne
w słońcu nadziei wysuszę
i w radość zmienię
byś spróbował raz jeszcze
i jeszcze
i jeszcze.

Katarzyna Zając

Werniks. Powojenni (I)

Pasowali do siebie jak dwie srebrne tyżeczki –
jeszcze młodzi, a już oprószeni kurzem dziejów.
Zapowiadany koniec świata nie nastąpił:
zamieszkali w poniemieckim domu,
spali w obcych łóżkach, jedli przy obcym stole.
Sniąc kotysali się w bydłych wagonach,

drżeli podczas bombardowań, iskali włosy z gnid.
W grudniową noc powiła córkę. Zbyt wcześnie.
Dziecko kwiliło cicho – jeszcze niepewne
czy może zostać na dłużej. Akuszerka powiedziała,
że jeśli przetrwa noc, to może coś z niego będzie.
Na szybach kwitły lodowe kwiaty. Po rzekach

skutych lodem sunęły płozy sań. Nie spała całą noc.
Okryła małą gęsim puchem. Karmita mlekiem –
kropla po kropli. Oddechem ogrzewała szyby.
Hulał wiatr. W zadymce wirował jak biały płatek
zaprzęg Królowej Śniegu. Coraz bliżej dźwięczały
dzwonki. Śpiewała pradaśną kotysankę.

Czuwała, aby nie zgasł ogień.

Werniks. Kolorowy ptak (II)

Na obcej ziemi drzewa rodziły owoce.
Po trawie turlały się jak słodkie ulęgałki córki.
Na krzakach dojrzewał kwaśny i mechaty agrest –
krzepcy synowie. Tamtej zimy potajemnie czytała
Krystynę, córkę Lavransa. Kiedy akuszerka chrzcila
małe chuchro, nadano jej to imię. Krystyna wbrew

obawom rosła jak polne ziele – na przekór światu
wyrośtemu na zgłiszczach i złęknionym rodzicom.
Jedyna spośród dzieci była ciemnowłosa, cała na opak:
nie lubiła lalek i zabawy w dom, grała w piłkę,
wspinała się na drzewa. Jako jedyna dziewczyna
poszła do technikum mechanicznego.

Kreśliła na desce maszyny, zębatki i trybiki. Kochali się
w niej chłopcy. Przyjmowała róże i odprawiała adoratorów.
Skaranie z nią pańskie! – mówiła matka. Krystyna kupowała
płótna, farby i pędzle. W tajemnicy na strychu malowała
kobiety z obrazów Van Gogha i baletnice Degasa.

Marzyła o studiach na akademii. Paliła papierosy,
kręciła papiloty i tańczyła rock and rolla.

Werniks. Współcześni (III)

Czerwone wino oplata werandę. Jesienniej.
W blasku słońca nakładają się: czasy, miejsca, rysy
twarzy i powtarzane gesty. Na włosach Krystyny
błyszczą nitki babiego lata. Kiedy poprawia okulary,
po raz pierwszy zauważam, że jest podobna do babci.
Te same zmarszczki w kącikach ust i uśmiechy.

Babciu, ściany zapełniają namalowane obrazy,
na regałach mieszkają książki, na fotelu wisi
szydełkowa chusta. Nie, nie zdała na akademię.
W tamtych czasach zabrakło właściwego pochodzenia.
Krystyna ma rękę na temblaku. Opowiada,
że wczoraj próbowała zatańczyć rock and rolla

i prawie się udało. Babciu, zaczyna cię wspominać.
Znowu widzę, że lepisz knedle, wychodzisz z domu
w czółenkach i kapeluszu jak na spacer po łązienkach.
W szarych czasach nosisz kolorowe sukienki
i czytasz romanse. Skaranie z nią pańskie! – mówisz,
gdy przyjeżdża córka. Krystyna nie wyszła za męża.

Gładzi futro kota. Martwi się, że przez rękę nie zacznie
sezonu na morsowanie. Kilka dni później wysyła mi
na Messengera zdjęcie w wodzie.

Przejścia

Mówiłaś, że kiedy odejdziesz na drugą stronę,
odwiedzisz każdego z nas. Nie wierzyłam w opowieści
o stukaniu w szybę, odgłosach kroków i przedstawianiu
garnków w kuchni. We śnie widziałam wyraźnie twarz
i niepokój. I co teraz? – pytałaś, jakbyś nie wiedziała,

w którą pójść stronę albo co robić późną jesienią,
kiedy nie można zapalić nocnej lampki i usiąść
z książką. Jesteś – w wirujących kolorami liściach,
siwym szronie na trawie i zapachu szarlotki. Ostatnie
lata spędziłaś przykuta do łóżka. Unosi cię wiatr.

Odwiedzisz córki, aby spleść figla. Poczują przeciąg,
mroźny powiew na twarzy, nagle spadnie szklanka.
Przejdiesz przez sad, mgłą otulisz jabłonie.
Wędruję wśród klimatycznych kamienic, zaułków
i witryn: Kłopotowskiego, Targowa, Ratuszowa.

Wirują liście, twoje kroki szeleszczą. We śnie jechałaś
ulicami Pragi na wózku inwalidzkim. Szukałaś rodzinnego
domu, który zbombardowano w czasie wojny. Po złamaniu
biodra uwiłaś gniazdo przy piecu. Przestraszona jaskółko,
skuliłaś skrzydła, zamknęłaś drzwi w klatce.

Wywiad z malarzem Krzysztofem Cieślakiem

Grzegorz Misiak



Krzysztof Cieślak

Krzysztof Cieślak (ur. w 1962 r. w Golubiu-Dobrzyńniu) – artysta malarz, grafik, fotograf, projektant. Od 1992 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków (okręg toruński). Zaczynał od kopiowania mistrzów malarstwa holenderskiego XVII wieku, by później stworzyć własny język malarski, oparty na symbolice, klasycznej formie i refleksji nad ludzkimi relacjami.

W swojej twórczości szuka harmonii pomiędzy klasyką a nowoczesnością, dyscypliną a emocją.

O początkach kariery, buncie twórczym, pracy w reklamie, czatowni dla ptaków i muzyce, która towarzyszy mu w pracowni, opowiada w rozmowie dla naszego magazynu.

W latach 90. założył studio graficzne „Wena”, które zyskało ogólnopolskie uznanie w branży reklamowej i wydawniczej. Po trzydziestu latach przerwy powrócił do malarstwa z nową energią, łącząc fascynację antykiem z refleksją nad współczesnym człowiekiem. Jego cykl „Spatia Antiqua”, wystawiony w 2019 r. w Galerii Sztuki Współczesnej we Włocławku, zapoczątkował nowy etap jego twórczości.

Artysta ma na koncie 19 wystaw indywidualnych i ponad 30 zbiorowych, a jego prace znajdują się w kolekcjach prywatnych i muzealnych, zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Kiedy zaczęła się twoja przygoda ze sztuką?

– Właściwie dopiero pod koniec liceum — i to bardziej od fascynacji historią sztuki niż samym jej tworzeniem. W młodości bardziej interesowały mnie dawne dzieła niż to, co nazywano wówczas „sztuką współczesną”.

A czym zajmowałeś się zawodowo po ukończeniu szkoły?

– Pracowałem jako plastyk w muzeum we Włocławku. Zarobki były niewielkie, więc

wynajmowałem pracownię, w której malowałem kopie holenderskich mistrzów z XVII wieku. Te kopie szły jak woda — oprowadzałem je i zanosłem do galerii PSP, gdzie sprzedawały się błyskawicznie. Dzięki nim nauczyłem się warsztatu i poznałem technikę laserunkową. To była prawdziwa szkoła rzemiosła.

Kopie to jednak nie sztuka autorska. Kiedy więc zacząłeś tworzyć własne obrazy i co Cię do tego skłoniło?

– To zrodziło się z buntu. Szef galerii PSP, pan Zieliński, zaproponował mi wystawę kopii holenderskich.

Wziąłem się do pracy, ale przy jednej z kopii coś we mnie pękło. Zacząłem rozmazywać farbę, chlapać, niszczyć to, co przed chwilą namalowałem. Wyszedłem z pracowni zły i zmęczony. Następnego dnia spojrzałem na obraz — i pomyślałem: „To jest dobre!”. Zapytałem w galerii, czy mogę pokazać swoje prace zamiast kopii. Zgodzili się. Wernisaż odbył się we wrześniu 1989 r. — wszystko się sprzedało. Został mi tylko jeden obraz.

Jak potoczyła się twoja kariera po tym debiucie?

– Wystaw było coraz więcej — Włocławek, Toruń, Sopot, Szwecja, Francja — ale sprzedaż stawała się trudniejsza. W 1992 r. zostałem przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków w Toruniu. Żeby się utrzymać, zacząłem projektować reklamy: panele świetlne, foldery, ulotki. Nauczyłem się obsługi komputera i programów graficznych. W końcu założyłem firmę „Studio Wena”, by móc wystawiać faktury. Malarstwo musiało poczekać — farby trafiły do piwnicy.

„Wena” działała przez kilkanaście lat i zdobywała nagrody. Jak wspominasz ten okres?

– To był intensywny, ale piękny czas. W pierwszym konkursie „Złote Orły ’98” dostałem dwa wyróżnienia w kategorii reklamy prasowej — rozdanie odbyło się w warszawskiej Zachęcie, a przewodniczył mu Ryszard Horowitz.

Zacząłem też wydawać albumy. „Skarby Włocławka” miały cztery dodruki, potem przyszła „Księga zamków państwa krzyżackiego w Prusach”, nagrodzona pierwszym miejscem w ogólnopolskim konkursie

PTTK. „Wena” zdobywała kolejne wyróżnienia, a ja wprowadziłem modę na kalendarze tematyczne — na przykład „egipski” dla Anwilu i Drumetu. Ale po 16 latach działalności zamknąłem. Wiedziałem, że czas wrócić do sztuki.

Ale w międzyczasie pojawiła się także fotografia i... ptaki?

– Tak. Moim hobby stała się fotografia przyrodnicza, zwłaszcza ptaków drapieżnych. Mam własną czatownię — taki mały domek w lesie, z którego wystają tylko obiektywy. Wchodzi się tam o świcie i wychodzi po zmroku, by nie spłoszyć zwierząt. Fotografie publikuję na Facebooku, na stronie „Czatownia Orle Pióro”. Organizuję też warsztaty fotograficzne, na które przyjeżdżają ludzie z całej Polski. To świetna odskocznia od sztalugi, taki „Discovery Channel” na żywo. Pamiętam pewną historię — zasnąłem w czatowni, gdy nagle obudziła mnie wrona. Za nią, na gałęzi, siedział orlik grubodzioby — w Polsce istnieje ich zaledwie dziesięć par! Gdyby nie ta wrona, przespałbym jeden z najpiękniejszych momentów w mojej fotograficznej przygodzie.

Jak wyglądał powrót do malarstwa po tylu latach przerwy?

– Tęsknota narastała. Podróżowałem po świecie antycznym, odwiedzałem muzea, fotografowałem rzeźby. W 2017 roku, po cichu, zacząłem malować. Kiedy miałem siedem obrazów, zaprosiłem do pracowni prof. Grzegorza Bieniasa z ASP. Powiedziałem: „Ty decydujesz — malować dalej czy przestać?”. On odpowiedział: „Maluj dalej”. Wystawa, którą planowałem jako fotograficzną, ostatecznie stała się malarską. Wernisaż odbył się 8 marca 2019 r. w GSW

we Włocławku. Pokazałem 26 obrazów, połowa to duże formaty. Przerwa w wystawach trwała dokładnie 30 lat.

Dlaczego malujesz właśnie takie obrazy – z antykiem w roli głównej?

– Uwielbiam rzeźbę antyczną. To dzięki niej tworzę relacje między postaciami, które tylko z pozoru są kamienne. Zaczynam od plam abstrakcyjnych, przypadkowych, z których rodzi się forma. Rzeźby, które fotografowałem w muzeach, stają się punktem wyjścia. Lubię pracować ze szczegółem, bo nauczyło mnie tego kopiowanie mistrzów. Tak naprawdę maluję własne życie i relacje z ludźmi. Odbiorcy często odnajdują w moich obrazach siebie.

Malujesz przy muzyce, czy w ciszy?

– Zawsze przy muzyce. Zakładam słuchawki i odcinam się od świata. Słucham Bacha, Mozarta, Chopina, Góreckiego, ale też muzyki filmowej: Zimmera, Oldfielda, Vangelisa, Tangerine Dream. Muzyka mi pomaga – to rytm pracy, emocjonalne tło. Choć Spotify to wygoda, najbardziej lubię słuchać muzyki z mojej starej wieży Technicsa z tonsilowskimi kolumnami. Ma duszę.

Masz na koncie imponującą liczbę wystaw i nagród. Które z nich są dla Ciebie najważniejsze?

– Każda wystawa jest ważna, ale najbardziej – ta ostatnia. Mam 19 wystaw indywidualnych i ponad 30 zbiorowych: Włocławek, Toruń, Sopot, Malmö, Kielce, Inowrocław... No i oczywiście wspomniana „Spatia Antiqua” w GSW.

Zdobyłem 16 nagród w konkursach lo-

kalnych i ogólnopolskich – za malarstwo, grafikę komputerową i fotografię. To miłe, ale nie nagrody są celem. Najważniejsze, że znów mogę malować.

Jak postrzegasz dzisiejszą sztukę współczesną?

– Zajmując się techniką laserunkową, kopiowałem mistrzów XVII wieku. Wiele tajemnic zdradził mi nieodżałowany Roman Galiński.

Patrzę na współczesną sztukę z dystansem – często widzę w niej brak warsztatu, pośpiech i prowokację dla samej prowokacji. Lubię prowokację, ale z sensem. Na przykład obraz przedstawiający izbę gmin w Londynie z obradującymi małpami – to była prawdziwa metafora naszych czasów.

A jakie jest Twoje przesłanie w malarstwie?

– Maluję swoje życie. Skupiam się na relacjach międzyludzkich, emocjach i doświadczeniach współczesnego człowieka.

Rzeźba antyczna jest dla mnie tworzywem – przypomnieniem, że ludzkie relacje nie zmieniły się od tysięcy lat.

Najbliżej mi do neo-symbolizmu, choć coraz częściej zbliżam się do surrealizmu. Wiem, że mam rozpoznawalny styl – a to dla artysty najważniejsze.

Na zakończenie zapytam jeszcze, czym jest dla Ciebie sztuka?

– Sztuka to dla mnie wolność. Moment, w którym znikają granice między przeszłością a teraźniejszością, między człowiekiem a jego wyobraźnią.

Rzecz o patologii

Walentyna Karwowska

Słowo patologia pochodzi od gr. pathos – cierpienie, uczucie, doznanie i logos – nauka, słowo, rozumowanie.

Ma kilka znaczeń:

patologia - jako nauka medyczna (zalicza się do niej m.in. histopatologię, cytopatologię i patomorfologię);

patologia społeczna – jako zachowania niepożądane, szkodliwe i odbiegające od przyjętych norm;

oraz patologia w medycynie (w kontekście biologicznym) – definiowana jako zmiany strukturalne komórek, tkanek i narządów np. patologiczne zmiany w wątrobie.

Każdy rodzi się z pewnymi predyspozycjami i zdolnościami do przyswajania wszechstronnej nauki, również tej dotyczącej postępowania.

Zaburzenia psychiczne, ograniczona sprawność umysłowa, a myślę, że także fizyczna, są przyczyną patologii postępowania. Jeżeli przyjmie się zaburzenia psychiczne za patologię, będzie to już patologia organiczna.

Czy można zatem uznać za patologię: alkoholizm, narkomanię, przestępczość, dewiacje seksualne, przemoc? I czy są to bardziej objawy czy skutki patologii organizmu?

Mianem patologii określa się każde postępowanie, które odbiega od norm i wartości uznanych za społecznie właściwe i akceptowalne. Podejmuje się również różne próby walki z patologią. Czy wyznaczanie norm jest dobrą metodą walki z nią? Słowo walka zresztą w odniesieniu do patologii organizmu nie jest słuszne; trzeba ją bowiem leczyć, a najlepiej zapobiegać jej. Walka, polegająca na wyciąganiu konsekwencji z powodu choroby, jest karaniem chorego organizmu. Czy osoby, które ponoszą kon-

sekwencje, po ukaraniu stają się zdrowsze? Jeżeli odnosimy takie wrażenie, to tylko nasuwa wniosek, że osoby te posiadają najtańszą postać choroby. Przy głębszych dolegliwościach psychofizycznych dochodzi do bardzo poważnych zaburzeń zachowań, a w ich następstwie do poważnych kar, przy czym kara nie jest ani skutecznym środkiem zapobiegawczym ani leczniczym.

Warto zauważyć, że poza wrodzonymi skłonnościami do patologii, istnieje również patologia nabyta na skutek warunków życia, związana np. z zasobnością rodziny lub rodzajem środowiska, w którym dana jednostka wyrastała i kształtowała swoją osobowość. Wrodzone skłonności i trudne warunki życia mogą prowadzić do patologii społecznej, czego przejawem jest najczęściej: alkoholizm, narkomania, przestępczość pod różnymi postaciami (napady, kradzieże, zabójstwa, wszelka przemoc: psychiczna, fizyczna, seksualna i ekonomiczna).

Jaka powinna być prewencja, by z tym nie walczyć, ale do tego nie dopuścić?

Patologiczne zachowania są karane, ale czy zmniejsza to zapadalność na patologię?

Dobrze byłoby móc wdrożyć leczenie i zapobieganie jak najwcześniej, może nawet od poczęcia lub jeszcze wcześniej. Jest to możliwe, jeśli zwróci się uwagę na zdrowie i warunki życia rodziców. Ważna jest bowiem profilaktyka (szybkie rozpoznawanie zagrożeń), edukacja (wyrównywanie szans dostępu do nauki, skuteczne programy resocjalizacyjne), wsparcie społeczne (realna, kontrolowana pomoc finansowa) oraz sprawnie działający system opieki zdrowotnej i psychicznej (leczenie uzależnień, interwencje kryzysowe).

Patologia człowieka tworzy patolo-

giczne społeczeństwo. Ale skoro godzimy się z patologią człowieka, to niestety musimy zgodzić się także z patologią społeczną, co zresztą robimy i w konsekwencji żyjemy w strachu, cierpieniu i bólu. Rozum człowieka wręcz potęguje patologię, nieustannie dążąc do pozornie tylko koniecznej poprawy warunków życia, które w efekcie stają się szkodliwe. Człowiek nie chce zatrzymać się ani ograniczyć tzw. postępu prowadzącego do dużego zanieczyszczenia środowiska i dlatego sam ze sobą walczy. W tej patowej sytuacji, ponownie potrzebna jest zgoda na ułomność człowieka. A przyjmując tę ułomność, należałoby uznać, że zarówno człowiek jak i społeczeństwo, w tym co czynią, są niewinni, co spowodowałoby wzrost patologii.

Wygląda na to, że normy są panaceum na wszystko. Coś, co nie mieści się w normach, nazywa się patologią, która objęta normami, nie przestaje jednak nią być.

Dużo mówi się o patologii rodziny, a rodzinę tworzy ten sam człowiek. Czy jest zatem na ziemi człowiek wolny od patologii? Czy jest on, bezspornie i z całą pewnością, zdrowy psychicznie? Bez zastosowania norm, nie da się odpowiedzieć.

Z patologią (ze sobą?, ze swoją naturą?), człowiek walczy od wieków, a co z efektami? Czy wojny nie są zjawiskiem patologicznym, które co gorsza mnożą patologię? Jednocześnie człowiek potrafi cieszyć się z osiągnięć i sukcesów wojskowych. Potrafi czerpać radość z kosztownej produkcji uzbrojenia, obniżającej poziom życia społeczeństwa. Obawiam się, że wojny objęte są normami, które dopuszczają wszelkie patologie, które, o zgrozo, są nawet nagradzane.

Czy patologia, jako naturalne zjawisko, ulega zmianom, zmniejsza się? Chciałabym, aby tak było, ale trzeba godzić się na istnienie patologii i z tą zgodą żyć w patologicznym społeczeństwie i świecie.

Naturalna patologia jest przez postęp cywi-

lizacyjny pogłębianą, czyli człowiek działa na jej rzecz, sprzyja jej. Przyjmując normy, patologia nie zmienia się, ale istnieje w zgodzie z normami.

Mózg skłonny do patologii, bierze udział w patologiach przez siebie wytworzonych. Nie potrafi prowadzić selekcji, nie eliminuje, ale poszerza zakres ich występowania.

Kradzież czy oszustwo internetowe, to również patologia. Hejt nazywany cyberprzemocą, stalkingiem (chodzi o natrętne śledzenie i nękanie kogoś np. telefonami), sextingiem (to udostępnianie czyichś intymnych zdjęć bez zgody tej osoby, często połączone z szantażem), catfishingiem (podszywanie się pod kogoś w sieci) i inne, prowadzą ofiary do zaburzeń i chorób psychicznych, a także do samobójstw. Naruszają granice psychiczne, emocjonalne i cielesne drugiego człowieka. Ten wirtualny świat, utrudnione ściganie, anonimowość, zachęcają hejterów do przestępstw, które są przecież objęte normami prawnymi.

Jeżeli człowieka ze skłonnościami do patologii stworzyła natura, to czy ta natura stała się normą? Jeżeli ktoś będzie szukał przyczyn w kosmosie, to również w naturze. Patologiczny człowiek jest zatem winny czy nie? I jak oskarżyć naturę?

Dobrze byłoby, gdyby człowiek w naturalny sposób nie szkodził sobie, żeby mógł się zatrzymać i dokonać wyboru. Człowiek jednak lubi pędzić, ścigać się z drugim, wyzwalać negatywną energię, która prowadzi do patologii. W chorym środowisku patologia dobrze się rozwija, a człowiek biorący w tym udział, zadaje sobie mnóstwo pytań, starając się temu zapobiegać poprzez tworzenie norm.

Kiedy powstały normy? Międzynarodowa Organizacja ISO powstała w 1947 r., (choć decyzja o jej założeniu zapadła już rok wcześniej), a to, że w ogóle normy powstały jest skutkiem zapotrzebowania na nie, dla osiągnięcia korzyści zainteresowanych stron.

Być może kiedyś uzna się, że patologia znika dzięki normom i takiej normalizacji nikt już nie będzie oczekiwał. Czy warto takiemu zanikaniu przeciwdziałać?

Patologia nie wynika z samego rozwoju i postępu, ale z braku umiaru w nich, z braku wrodzonych zdolności do zachowania umiaru. Tu jest źródło niemocy i zła. Normy nie zastąpią umiaru. Na naszej planecie są różne źródła niemocy i jednocześnie naturalną patologią są np. gejzery, wulkany, tornado, susze, powodzie. W nich, w świetle potrzeb człowieka, jest brak umiaru, chociaż częściowo człowiek je łagodzi. Natomiast wyraźnie po stronie winy człowieka należy zapisać brak umiaru, jakim jest zachłanność na wszystko, co daje korzyści, w tym agresywne sporty walki bez reguł, dążenie do kariery za wszelką cenę, hazard, walki z udziałem ludzi i zwierząt, dążenie do podnoszenia plonów poprzez stosowanie trujących nawozów i pestycydów.

Czy dążenie człowieka do ciągłego wzbogacania się, oparte na zachłanności, jest słuszne? Czy można wyeliminować lub ograniczyć zachłanność człowieka? Są podejmowane takie próby, ale to walka z naturą. Wynalazki, które mają przynieść wygodę, ułatwić życie, ale i przynosić wymierne korzyści finansowe, stają się, z powodu braku zachowania umiaru, szkodliwe. Brak umiaru to poważna choroba cywilizacyjna.

Czy zatem mózg człowieka potrafi czynić cokolwiek bezinteresownie? Szukam. Jeśli znajdzie się taki przykład, to będzie on tylko zaprzeczeniem.

Czy walka z patologią jest słuszna? Tak się wydaje. Człowiek lubi mieć przeciwnika, więc mimo że nie jest to partner człowieka, jest konkurentem i rywalem. Człowiek podejmuje tę walkę, łudząc się wygraną, bo nie umie pogodzić się z porażką, niepowodzeniem, stratą lub chorobą bliskich osób. Co przynosi brak tej zgody? Niestety, tylko cierpienie. Generalnie wpływ człowieka na

swoje własne życie bywa znikomy lub żaden. Czy to znaczy, że patologię trzeba polubić? Nie. Trzeba ją czasowo zaakceptować, gdy nie można niczego w danym momencie zmienić ani zniwelować. Patologia w rodzinie to jej dysfunkcja, dużo się o niej mówi i trochę czyni. A patologia w szkołach, miejscach pracy? Czy do wszelkich dysfunkcji prowadzi patologia, czy też patologie prowadzą do dysfunkcji? Nie jest możliwe życie człowieka bez chorób i patologii, które są najgroźniejszym jego przeciwnikiem.

Czy nierówność, niesprawiedliwość to patologia? A czy równość, to nie patologia? Patologiczny człowiek rozwija patologię.

Skoro walka z patologią jest tym samym, czym walka o zdrowe środowisko, czyli fikcją, to po co walczyć? Walka z nią jest dążeniem do idealnego życia, które nie istnieje. Gdzie zatem szukać pomocy? Niektórzy włączają w nią Boga. Każda pomoc, byle owocna, jest mile widziana, bo człowiek mimo odczuwania cierpienia, chce jednak żyć, a mimo patologii, na całej długości swojego życia, jest w stanie poznać różne jego smaki, projektując je i ścigając się, potrafi czerpać radość. Jak będzie dalej? Okaże się.



Odchodzenie dla życia.

O wystawie Jolanty Kuśmierskiej „Wojna Światów – Nowa Nadzieja”

Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)

Rozdarte betonowe konstrukcje, dramatycznie poskręcane stalowe pręty, zanurzone w atramentowym zapadlisku - a może w akcie epifanii, wnoszące się po raz wtóry ku światłu z fuzji kolorów ziemi i bezmiaru studni mazi pamięci, w nieustannym poszukiwaniu tożsamości odmiennej. W kolejnej odśrodku płonące bolesną łuną czerwieni schyłku, przykryte kurtyną - na podobieństwo purpury całunu skrywającego to, co niewypowiedziane - nadal przeobraża się.

Inspiracją do mojej twórczości stały się ruiny Cementowni Grodziec. Ich skala – kosmiczna, ich dramatyczne piękno, zawsze przerażały mnie, a jednocześnie kusiły. Z lękiem, dziesiątki, setki razy przekraczałam dziurawe ogrodzenie, by wkraczać w przestrzeń, która unosiła w stronę nieznanego i uruchamiała świat nieograniczonej wyobraźni - Jolanta Kuśmierska 2025

W przestrzeni wystawowej eksplodują kształty barw emocji, wyczuwalnie pulsujące w energii pociągnięcia pędzla, skonstruowane światłem cienia przekraczają ramy obrazów, kreśląc fantasmagorie horyzontu splątanych istnień postindustrialnego krajobrazu. Siła niemej ekspresji. Obecność. Osaczają, napierają z każdej strony, tną, przyprowadzają o drżenie - nie byciem fizycznością, a czuciem, zobrazowaną historią przebytej drogi doświadczania, dotyku egzystencjalnego przemijania. Przejmujący obraz świata będący zapisem głębokiego, żywego dialogu artystki, która nie zatrzymuje się na kształtach, na ich rozpoznawalnej mimice, ale wsłuchuje się, schodzi do głębin skrywanych, bardziej mrocznych w poszukiwaniach, które



„Wojna Światów - Nowa Nadzieja”
Jolanta Kuśmierska - plakat

pozwolą na zdefiniowanie nowego szlaku, pierwotnej istoty uniwersalnych okoliczności będących manifestacją nieubłaganych sił nieprzerwanego odpływu, wskażą drogę kolejnego powrotu.

„Wojna Światów – Nowa Nadzieja” to autorska wystawa Jolanty Kuśmierskiej w Galerii Białej MOK w Zawierciu, składająca się z trzech cykli prac artystki, wykonanych w różnych technikach plastycznych, powstałych w latach 2017 - 2025. Pierwszy cykl to „Wojna Światów - Nowa nadzieja”, do którego inspiracją stały się ruiny Ce-

mentowni Grodziec. Kolejny to „Spotkanie z Innym - spotkanie z Sobą”- przestrzenne kolaże, obiekty fraktalne. I najmłodszy cykl będący cały czas w trakcie realizacji, to „Suknia panny młodej - ślubu nie będzie”, łącznie dwadzieścia obrazów i trzy obiekty przestrzenne.

Sposób aranżacji wystawy przywodzi na myśl symbolicznie wyizolowaną strefę, zasiedloną zobrazowanymi - w porządku grafiki wektorowej - ożywionymi artefaktami. Na ścianach obrazy, zestawione w geometrii po cztery, uruchamiają emisję codziennego widoku przez okna ze szprosami - na postindustrialny krajobraz, rozmyty przez firanę mgły pamięci cementowego pyłu. Mimo że arealne okna pozostają zamknięte, drapieżne szkielety ruin wdzierają się, imperatywnie emigrując do wnętrza, odwzorowując namacalnie obecną, ucieleśnioną cementownię i nieważne, że już od lat jest ona nieczynna; czuciem z dziś na obrazach Jolanty Kuśmierskiej jest to tak różna, ale nadal pamięcią energii bycia - tożsama, monumentalna Cementownia Grodziec. Po przekątnej z półcienia kreacji zaułka przestrzeni ekspozycji nieśmiało wymyka się z ram obrazu zwiewna „Suknia panny młodej”, na podobieństwo białej pajęczyny wprowadza nas w migotliwą srebrzystość ulotnego piękna pierwszego wiosennego lotu z cicha przepoczwargowego motyla. Subtelnie; jakby w opozycji do niszczycielskiej, ekspansywnej fizycznej degradacji artystka chciała w te złowrogie szkielety ruin tchnąć życiodajny oddech. Koronkowa suknia, wykonana na kanwie powtarzalnych mandali, wyszydełkowanych misternie z włóczki pozyskanej z pociętych jednorazowych reklamówek, rozwieszona jest za pomocą odciągów w przestrzeni wystawy. Ażurowy, biały tren sukni Panny Młodej wizualnie wyodrębnia umowną, nadpowietrzną ścieżkę prowadzącą w kierunku wizerunków ruin cemen-

towni, w geście zwrotnego drogowskazu wskazuje symboliczną drogę ku nadziei.

Suknia panny młodej - ślubu nie będzie(...) Opowiada o skomplikowanych relacjach zachodzących w przestrzeni otaczającej człowieka oraz w nim samym, jednocześnie niesie pozytywne przesłanie i budzi nadzieję - Jolanta Kuśmierska 2025

W przeciwległym narożniku sali wystawowej, jakby wchodząc w interakcje na podobieństwo cięciwy z „Suknią panny młodej”, przyciąga uwagę rozbudowany wielopłaszczyznowo obiekt składający się z geometrycznych elementów. Ta przestrzenne rozplanowana forma utrzymana w czarno-białej kolorystyce, to cykl zatytułowany „Spotkanie z Innym - spotkanie z Sobą”. W strukturze złożony z powtarzalnych kształtów trójkątów równobocznych i elementów przestrzennych powstałych na bazie prostokątów, nawiązuje w kompozycji do form architektonicznych i geometrii fraktalnej. W swym powtarzalnym uporządkowaniu, szlachetności subtelnej linearnego reliefu, mimo że tak odmienny, w sposób nieoczywisty jest kompatybilny z pozostałymi pracami zaprezentowanymi na wystawie. Zobrazowana gama skryzalizowanych emocji. Patrząc na obiekty odnosi się wrażenie, że emitują w przestrzeń falujący rytm, subtelnie harmonizując nagromadzone spektrum doświadczonych doznań, jednocześnie splatając cykle przedstawione na wystawie w zrównoważoną, zbalansowaną jedność.

Używając terminu „spotkanie z Innym” mam na myśli nie tylko spotkanie z Innym w nas, spojrzenie w samego siebie i dostrzeżenie tam tego, co głęboko skrywane, ale także zobaczenie Innego – człowieka (...). Każde takie spotkanie budzi lęk i niepokój. Jednakże tylko poprzez spotkania z Innym możemy poznawać siebie, uczyć się siebie - Jolanta Kuśmierska 2025

Na wystawie „Wojna Światów – Nowa Nadzieja” Jolanta Kuśmierska łącząc wizje i działania w sposób metonimiczny, kreuje miejsce w przestrzeni dla ruchu wielokierunkowego po równoległych terytoriach. Poprzez zestawienie przedstawień imperatywnie wyrazistych z odśtonami delikatnymi i metaforycznymi buduje na poziomie narracji coś na kształt bardzo intymnego, a zarazem wielowymiarowego fresku. Za pomocą kolażowo połączonych płócien, kolejnych odśton oblicz ruin Cementowni Grodziec, obleczonych w pierwiastek alegorii symbolicznej, otwartych sekwencji „Suknia panny młodej - ślubu nie będzie”, struktur geometrycznych obiektów fraktalnych w cyklu „Spotkanie z Innym - spotkanie z Sobą”, artystka tworzy zobrazowania, którym daje głos. Głos w dążeniu do wyodrębnienia uniwersalnego i ponadczasowego archetypu postawy i zachowania w kontekście wyzwań, skomplikowanych relacji zachodzących w przestrzeni otaczającej człowieka i znajdujących interakcje w nim samym. Powracającego wielogłosem pytania o kondycje człowieka w obliczu istoty okoliczności, zmian zachodzących we współczesnym świecie.

Jolanta Kuśmierska - artystka multidyscyplinarna, wielowymiarowa, urodziła się w Będzinie. Ukończyła studia na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Śląskiego (filia w Cieszynie), gdzie w 2002 roku otrzymała dyplom z wyróżnieniem. Następnie podjęła studia podyplomowe na kierunku grafika komputerowa Uniwersytetu Śląskiego (z filią w Cieszynie). Kolejne studia to Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Malarstwa, gdzie w 2018 roku uzyskała stopień doktora sztuki za pracę „Przestrzenie emocjonalne. Twórczość jako reakcja na wojnę światów – natury i kultury” pod kierunkiem prof. Zbigniewa Bajka na Akademii Sztuk Pięknych w Kra-

kie. Brała udział w licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i zagranicą m. in. w USA, Niemczech, Irlandii, Indiach, Korei Południowej czy Turcji.

W wytyczaniu szlaku dla swojej drogi twórczej wytrwale i konsekwentnie eksploruje nowe terytoria sztuki. Uprawia malarstwo, grafikę komputerową, rysunek, fotografię. W swej twórczości łączy elementy konstruktywizmu z mocną, kontrastową, a zarazem oszczędną w ilości użytych barw kolorystyką, zacierając granice pomiędzy abstrakcją i rzeczywistością. Jej prace cechuje linearne, geometrycznym podejście do struktury formy. W dążeniu do zobrazowania poszukiwań twórczych balansuje pomiędzy różnymi mediami i, zestawiając je, tworzy wielowątkowe, narracyjne obiekty. Jej prace niosą mocny, wielopłaszczyznowy ładunek emocjonalny, wchodząc w sugestywny i wyrazisty dialog z odbiorcą. W obliczu jej dzieł, na podobieństwo zobrazowanego źródła, często we fragmentarycznym rozcłunkowaniu, obecne są postindustrialne, ukształtowane w kontekście przemysłowego i cywilizacyjnego postępu kadry klimatów Zagłębia, przypominające o tym, jak fundamentalny wpływ na kształtowanie dojrzałości twórczej ma uкорzenie. Do źródeł swoich inspiracji zalicza człowieka, jego związek z naturą i kulturą oraz podróżę.

* Wystawa „Wojna Światów – Nowa Nadzieja”
Jolanta Kuśmierska. Kurator wystawy Karolina
Kindler-Skowronek, Galeria Biała MOK „Centrum” -
14.02-30.03.2025 ul. Piastowska 1 Zawiercie



Arcywarszawski pisarz, Pro-rok, Antoni Słonimski.

Mirosława Stojak

Stonimski był nie tylko poetą, ale również prozaikiem, dramatopisarzem i felietonistą, którego Józef Hen określił mianem pisarza arcywarszawskiego. Jego życie wypełniała literatura. Był współzałożycielem kabaretu literackiego „Pod Picadorem” (dwaj pozostali założyciele to: Julian Tuwim i Jan Lechoń) mieszczącego się w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 57 oraz współtwórcą grupy poetyckiej „Skamander” w skład, której wchodził także: Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński, jak również tak zwani satelici: Kazimiera Iłkowiakówna, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Stanisław Baliński.

Stonimski współpracował z „Wiadomościami Literackimi” (1924-1939) publikując tam swoje felietony pod wspólnym tytułem „Kroniki tygodniowe”, z tygodnikiem satyrycznym „Cyruлик Warszawski” (1930-1934), z piśmie „Skamander” (1920-1928 i 1935-1939), miesięcznikiem „Pro arte et studio” (1917-1919) oraz z tygodnikiem „Sowizdrzał” (1913-1919). Należał do Związku Literatów Polskich, a w latach 1956-1959 pełnił w nim nawet funkcję prezesa. Był głosem inteligentkiej Warszawy – bronił jej przed cenzurą, głupotą, przemocą polityczną i tandetą kulturową. Znany z ironii, celnych spostrzeżeń i zaangażowania społecznego był aktywnym uczestnikiem życia kulturalnego aż do lat 70. XX w..

Stonimski był zakochany (choć niebez-
krytycznie) w Warszawie, w której przyszedł na
świat w 1895 r., w której mieszkał i tworzył, ni-
gdy właściwie nie opuszczając na dłużej, wręcz
uosabiał to miasto, poświęcając mu wiele pięk-
nych utworów.

Na chwilę zatrzymajmy się właśnie przy twórczości poświęconej stolicy, bo ta wzrusza szczególnie. Warszawa, w oczach Słonimskiego, jawiła się jako archetyp kobiety - kochanki. W jednym z felietonów napisał: „Warszawa jest brzydka, kochana, pusta i pełna – jak stara kochanka, którą się zna z każdej strony, a bez niej żyć nie można”.

Nawet stara i zniszczona wzbudzała tkliwe

uczucia.

W rodzinnym mieście Tolek znał każdy kąt i każdą ulicę. Wiedział gdzie, co można kupić, gdzie mieści się zakład krawiecki, gdzie przy Placu Mirowskim i Karcelaku handlowali Żydzi, gdzie stały stragany i jak dojść do Pomarańczarni w Łazienkach, a także gdzie znajdowały się bary, restauracje i kawiarnie, w tym ta najważniejsza - Ziemiańska, w której spotykali się Skamandryci.

W wierszu: „W Warszawie” podmiot liryczny, którego można utożsamiać z samym poetą, tęskni za beztroskim dzieciństwem w pięknej Warszawie, natomiast w utworze „Wśród parków i ulic” wierzy, że zniszczona przez Niemców Warszawa, odżyje, podźwignie się i znowu będzie lśnić między zielonymi parkami: „Co było stare i rzewne/Nie zginie/ Będzie piękniejsze/ Jak młodość we mgle wspomnienia”.

Utwór „Warszawa” ukazuje zaś kontrast między miastem sprzed wojny i tym po niej, kiedy obraz zniszczeń przytłacza Słonimskiego: zburzone budynki i gruzy; ale także pozostawia nadzieję na nowe. Autor jako uchodźca cierpi i jednocześnie wzywa do pamięci o ofiarach wojny.

Ulubionym i często odwiedzanym przez Antoniego przed wojną miejscem, był Ogród Saski, w pobliżu, którego mieszkał, opisany w wierszu „Tu kiedyś była ścieżka”, „gdzie kasztany i czarne fabledzie”.

W „Spacerze Krakowskim Przedmieściem” poeta prezentuje wiosnę, która nie zgadza się ze śmiercią, spieszy się, wybucha pękami i kolorami, by wyprzedzić i pokonać rywalkę. „Patrzeć, jak przeciw śmierci/ Bunt się czai w gałęziach i pękach”.

Sronimski z wielkim bólem patrzył na zburzoną Warszawę, widział porośnięte na gruzach i zgłiszczach osty i żółte łubiny, które krzyczały, że wciąż tli się tam życie. Jego serce rozpadało się, gdy nie rozpoznawał, dawniej tak dobrze sobie znanych, ulic i budynków.

Nigdy jednak nie przestał wierzyć, że Polacy

podniosą to miasto z ruin. W tym przypadku także okazał się prorokiem.

„Mogła nieznanego mieszkańca Warszawy” – to utwór oddający hołd cywilnym ofiarom powstania warszawskiego. Tym, których imiona nie są znane. Wiersz ten stał się inspiracją do powstania mozaiki, złożonej z 33. tysięcy kamieni, autorstwa Michała Zadary „Tu spoczywa nieznaną mieszkanka Warszawy”, jako symbolicznego grobu dla wszystkich bezimiennych ofiar.

Wiersz „Popiół i wiatr” należący do twórczości wojennej Słonimskiego jest patriotyczną refleksją nad historią i kondycją narodu polskiego. To także przejmująca opowieść przepełniona troską o los ojczyzny. Autor ukazuje bolesne oblicze burzonej stolicy. Tam, gdzie wokół leży popiół, dmucha wiatr, który nie wiadomo co przyniesie. Utwór jest bolesną tęsknotą i ogromnym smutkiem, jaki towarzyszył Słonimskiemu podczas spacerów niewiadomymi ulicami, gdy zastanawiał się, co wydarzy się w przyszłości.

A przecież jeszcze nie tak dawno określano Warszawę - Paryżem Północy. I choć były piękniejsze od niej miasta, miała swój niepowtarzalny klimat i urodę. Pomimo biedy na peryferiach, centrum prezentowało się nowocześnie, kosmopolitycznie i europejsko.

Antoni w dzieciństwie początkowo uczył się w domu, pod okiem prywatnych nauczycieli, korepetytorów i guwernantek zatrudnianych przez ojca, a następnie (przez pewien czas) kontynuował naukę w gimnazjum im. Jana Kreczmara, aż ostatecznie ukończył warszawską Szkołę Sztuk Pięknych, był malarzem, grafikiem i twórcą rysunków. Swoje prace wystawiał na kilku zbiorowych i indywidualnych prezentacjach. Także w tygodniku „Sowizdrzał” pracował jako grafik, choć z czasem zaczął w nim również publikować swoje utwory literackie.

Matka Słonimskiego była postrzegana jako osoba praktyczna, zajęta sprawami domowej codzienności, skupiona na prowadzeniu domu i porządkach. Relacja syna z matką miała w jego wspomnieniach wymiar dystansu uczuciowego – nie było w niej emocjonalnej bliskości, którą doceniał u ojca.

Zadedykowany jej wiersz „Hiacynty”, to piękna opowieść w kontekście miłości, zazdrości i pamięci. Hiacynty, jako kwiaty wiosenne, mogą

symbolizować odrodzenie, ale także kruchość i ulotność. Autor wspomina matkę, której już nie ma, stwierdzając, że hiacynty są symbolem subtelnej nostalgii za dniami dzieciństwa, ale także smutku i zazdrości. To również pamięć o zmarłych i przemijaniu: „Najpiękniej pachną w zimie, w imieniny matki/Wtulone między torty słodkie i pomadki”.

Pro-rok to literacki pseudonim Słonimskiego, który wziął się z błyskotliwej publicystycznej przenikliwości i trafnych przewidywań politycznych. Celnie ukazywał przywary społeczne i ostrzegał przed zagrożeniami. Z czasem jego umiejętność przewidywania wydarzeń stała się wręcz legendarna.

Podczas II wojny przebywał w Paryżu (1939-1940), a następnie w Londynie (1940-1946), dobrze znając sytuację Żydów w okupowanej Polsce. Czynnie protestował przeciwko niemieckiej agresji, opowiadając się początkowo za sojuszem Polski z ZSRR; jednak po zbrodni katyńskiej zmienił nastawienie do Sowietów. W latach 1942-1946 redagował pismo „Nowa Polska” – był jego współtwórcą i redaktorem naczelnym, pisał także do innych czasopism emigracyjnych, takich jak: „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” oraz „Polska Walcząca”.

Poezja Słonimskiego pachnie miłością: do kobiety, do Warszawy, do jej mieszkańców, do ulicy Niecałej, szczególnie tej pod numerem szóstym, gdzie poeta mieszkał do czasu śmierci ojca (później przeprowadził się na Niecałą 4). Ta poezja to tęsknota za krajem, za rodzinnym domem, za chlebem i gwieździstym niebem, pod którym spokojnie się śpi.

W wierszu „Oczy” wyraża fascynację oczami ukochanej, za których widokiem tęskni podczas swoich podróży. Jest to wyznanie miłosne, będące świadectwem wielkiego uczucia podmiotu lirycznego do bliskiej osoby.

Wiersz „Kotysanka” utrzymany w spokojnym tonie, zawiera głębokie refleksje nad życiem i śmiercią. Autor z nostalgią wspomina przeszłość, zauważając, że czas płynie nieubłagannie.

Wiersz „Liryka” to wiersz miłosny o osobistych uczuciach i nastrojach autora. Jest pełen ulotnych metafor i obrazów poetyckich. To refleksja nad istotą poezji lirycznej, a autor czerpie inspirację z otaczającej przyrody i jej piękna: „Liści zapach, śpiew słowików, krzak bzu

kwitnący”.

Jest jeszcze inny piękny i bardzo liryczny wiersz Słonimskiego „Sny”, w którym autor pisze o lękach i marzeniach w obrazie metafizycznym. Ta „nocna podróż” poety, we śnie, do ukochanej, mówi o jego pragnieniach i obawach. Widzimy parę zakochanych, płynących łodzią po jeziorze, potem następuje rozbitcie łodzi, co symbolizuje lęk i ulotność sytuacji, czy może nawet całego życia.

Wszystko, co w twórczości Antoniego Słonimskiego istotne (od debiutu po ostatni utwór) związane jest z Warszawą. Pierwsze dziecięce poezje ukazały się w „Kurierze Warszawskim” (1910), a dojrzały debiut literacki w warszawskiej „Chimerze” (1918). Pierwsza komedia satyryczna to „Murzyn warszawski”, pierwszy wiersz podczas wojny też jest związany ze stolicą, to „Alarm dla miasta Warszawy”. Ostatnia książka to „Wspomnienia Warszawskie”. Wszystko poświęcone ukochanemu miastu. Warszawie poświęca także wiersz o zegarze na Zamku Królewskim i jest to symboliczny hołd dla Warszawy i jej historii. „Właśnie dlatego, że stary/Szacunek mu się należy/Chociaż są starsze zegary/Lecz ten był z Królewskiej Wieży”.

Ważnym wierszem, z uwagi na poruszany temat niemożności powrotu do ukochanej ojczyzny, jest wiersz „Notes”. To analiza cierpienia jednostki w obliczu doświadczeń osobistych, a także refleksja nad kondycją człowieka w czasach wojny. Wyraża ogromne poczucie osamotnienia. „Znalazłem w starym notesie/Numery telefonów/Umarłych przyjaciół/Adresy spalonych domów/Cyfrę nakręcam Czekam/Telefon dzwoni/Ktoś podnosi słuchawkę/Cisza Oddech słyszę/A może szept ognia”.

Wielki ból, jaki towarzyszył Słonimskiemu na obczyźnie, sprawił, że autor krzyczał do współbraci w wierszu „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”. Wersy są jakby ostrzeżeniami o nalatach. Wiersz ten, niezwykle ekspresyjny, nawiązuje do września 1939 r., gdy na stolicę spadały pierwsze niemieckie bomby. To wołanie z głębi rozpacz i miłości do ojczyzny brzmi jak dzwon na trwogę. Łapie za serce!

Ważnym utworem, o którym warto wspomnieć jest elegia „Śmierć Piłsudskiego”, znana też jako „Na śmierć Piłsudskiego”. Wiersz ten wyraża szacunek wobec marszałka, a także podkreśla znaczenie tej postaci dla Polski. Poeta

doceniał jego rolę w odzyskaniu niepodległości i kształtowaniu państwa, a elegia jest wyrazem narodowego żalu po jego śmierci. Jest to utwór łączący uczucia patriotyczne i historyczne.

Dla Słonimskiego ważne były zasady równości i wolności. Był zwolennikiem Polski: wielokulturowej, wielojęzycznej, tolerancyjnej i demokratycznej. Przeciwstawiał się snobizmowi i ideologiom totalitarnym.

Innymi wierszami o ludziach wielkiego ducha i uznania ze strony Słonimskiego były wiersze poświęcone: prezydentowi - „Na śmierć prezydenta Narutowicza”, pisarzowi - „Na śmierć Żeromskiego”, pedagogowi - „Pieśń o Januszu Korczaku”, poecie - „Jan Lechoń” oraz wieszczowi - „Mickiewicz”.

Antoni Słonimski dużo podróżował. W 1923 roku odwiedził Bliski Wschód, Brazylię i wielokrotnie Anglię. Był także we Włoszech, Grecji i Egipcie. Jego ulubionym miejscem był Londyn, ale chętnie zatrzymywał się także w Paryżu. W 1932 roku odwiedził Rosję, dwukrotnie USA (lata dwudzieste i trzydzieste XX wieku) oraz w 1956 roku Izrael. W tym okresie powstało wiele wierszy i innych tekstów. Są to np. wiersze: „Smutno mi Boże”, „Droga na Wschód”, „Z dalekiej podróży”, „Wiosna londyńska”, „Moja podróż do Rosji w 1932 roku”, „Rzym”, „Neapol”, „Capri” czy „Jeruzalem”.

„Wiosna londyńska” to opis tęsknoty spowodowanej oddaleniem od ojczyzny, ale także próba opiewania piękna obcej ziemi, która – choć zachwycająca – nigdy nie była Słonimskiemu tak bliska jak Polska.

W wierszu „Jeruzalem” opisuje piękno Izraela: Dolinę Jozafata, Morze Martwe, złociste Jerycho i muchy, które podobnie jak na polskiej wsi, brzęczą w Jeruzalem.

Natomiast z podróży do Rosji powstał reportaż literacki „Moja podróż do Rosji w 1932 roku”, opisujący wrażenia Słonimskiego z tej podróży. Nie zawsze były one, w jego ocenie, pozytywne. Autor pokazuje funkcjonowanie sowieckiego systemu i jego wpływ na jednostkę i społeczeństwo. Natomiast z podróży do USA powstały listy i relacje, opublikowane w „Wiadomościach Literackich” oraz w książce „Pod zwrotnikami”.

Poezja Antoniego Słonimskiego jest jak oce-

an: obszerna i głęboka, choć opisuje zwykłe życiowe sytuacje, dzięki niemu nabierają one niezwykłego sensu. Było to związane z jego troską o wolność, społeczną sprawiedliwość i demokrację w kraju nad Wisłą. Tematami jego utworów były przede wszystkim: codzienność, przyroda, ale także wojna, polityka i rola Polski w świecie.

Przejmującym wierszem jest „Rozmowa z rodakiem”, refleksyjny utwór pochylający się nad konsekwencjami wojny i adaptacją do nowej rzeczywistości. To opis traumatycznych przeżyć w świetle kondycji psychicznej i dostosowania się do nowego. W jego tle znajduje się Ogród Saski, ciągle taki sam, choć czasy już inne...

Utworem, który rozrywa serce, jest „Elegia miasteczek żydowskich”. To lament nad zniszczeniem i utratą żydowskich sztetli w Polsce, które były ważną i nierozdzielalną częścią naszego krajobrazu. Wiersz jest nostalgiczny i wyraża żal, a nawet rozpacz za utraconym światem, za wielokulturowym życiem w Polsce. „Próżno byś szukał w oknach/zapalonych świeczek/I śpiewu nasłuchiwał z/drewnianej bóżnicy”. To bolesna refleksja nad tragedią Zagłady.

Antoni Słonimski to także doskonały prozaik, autor powieści: „Teatr w więzieniu” i „Torpeda czasu”, opowiadań, felietonów i wspomnień. Jego twórczość charakteryzuje się ironicznym spojrzeniem na otaczający świat. Z humorem, inteligentnie i przenikliwie opisywał rzeczywistość i niejednokrotnie krytykował ludzkie zachowania.

Poza tym należy zauważyć, że Słonimski był prozaikiem oryginalnym i wszechstronnym, który w charakterystycznym stylu łączył elegancję języka z potocznością, hołdował precyzji i klarowności wypowiedzi, dobierając słowa z rozwagą i dbałością o poprawność. Jego proza charakteryzowała się zręcznym warsztatem, nienagannym stylem i klasycznie wyważoną formą. Słonimski był znany także jako krytyk literacki, teatralny i filmowy.

Do Polski Słonimski powrócił wraz z żoną, Janiną Konarską, w 1951 roku, by służyć ojczyźnie swoją osobą i literacką twórczością. W 1957 r. tak swój powrót podsumował: „Pytano mnie się wtedy:—Czy to prawda, że pan wrócił na dobre?—Dlaczego zaraz na dobre? Powiedz-

my na średnie. A raczej na dobre i na złe— odpowiedziałem. Nie wiem, co jeszcze zdarzyć się może, co nam los przyniesie, ale wiem, że decyzja powrotu do kraju była słuszna. Warto było godzić się na drobne kompromisy, doznawać upokorzeń i rozczarowań, aby walczyć i walczyć w Warszawie”. Walczyć piórem—dajmy.

W wierszu „Przywróćcie nam słowo” autor apeluje, aby oddano Polakom wolność słowa, którą zabrali społeczeństwu komunści. Bojkotuje cenzurę i indoktrynację, wspomina o obawach przed represjami w PRL-u.

W marcu 1964 roku Antoni Słonimski złożył w kancelarii premiera Józefa Cyrankiewicza tzw. „List 34”, protestujący przeciwko ostrzegającej się cenzurze i ograniczeniom w dostępie do papieru na druk książek i czasopism. List podpisało 34. wybitnych przedstawicieli polskiej kultury i nauki.

Po wydarzeniach Marca 1968 skierowanych przeciwko Żydom, Słonimski stał się ofiarą antysemitów, a jego nazwisko zniknęło z przestrzeni masowego przekazu. Cenzura była tak silna i bezwzględna, że nawet po jego śmierci nie pozwolono umieszczać klepsydr z informacją o pogrzebie. Autor został pochowany obok swojej żony, w rok po jej śmierci, na cmentarzu leśnym w Laskach pod Warszawą. Poetę pożegnali przyjaciele, czytelnicy i sympatycy. Zmarł 4 lipca 1976 roku w wyniku obrażeń poniesionych w wypadku samochodowym w Konstancinie. Miał 80 lat.

Uchwałą Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 24 lipca 2024 roku ustanowiono - Rok 2025 - Rokiem Antoniego Słonimskiego. To akt wdzięczności i szacunku narodu dla tego wielkiego poety, pisarza, publicysty, krytyka i rysownika. Człowieka wielu talentów.

Bibliografia- źródła:

1. T. M. Lerski, Warszawa Antoniego Słonimskiego. Portret miasta w zwierciadle literatury”, PIW 2016
2. A. Słonimski „Wybór poezji” — Czytelnik. Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1983
3. A. Słonimski „Poezje” — Czytelnik, Warszawa 1954.
4. A. Słonimski „138 wierszy” — PIW., Warszawa 1973.
5. A. Słonimski „Gwałt na Melpomenie” — WAiF., Warszawa 1982.

Czy media to fabryki emocjonalnej manipulacji?

Agnieszka Modrzejewska

*Nauka. Dla jednych jest boginią niebiańską, dostojną,
dla drugich — dostawczynią masła — krową dojną.*

Fryderyk Schiller

Patocielebryci/ patoidole

Kiedyś, zdaje się, że w epoce nie tak znów odległej (a jednak chyba na zawsze minionej), czyli jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu, autorytetem był człowiek nauki, talentu, osiągnąć lub idei. Dziś może to być nawet... burdelmama. Szyborska, choć niektórzy przypisują autorstwo tych słów także aforyście (tak, tak kiedyś naprawdę istnieli aforyści, nie jak dziś tylko aferzyści) Stanisławowi Jerzemu Lecowi, pisała: „Ludzie głupieją hurtowo, a mądrzeją detalicznie”. Obecnie to już całkiem nieaktualne, teraz co prawda nadal głupiejemy hurtowo, ale trwale zastygamy w tym stanie. Inteligencja stała się anachroniczna i passe.

Dagmara K. szerzej znana jako Królowa Życia, eks-gangster pruszkowskiej mafii Jarosław S. pseudonim Masa oraz Blanka L. celebrytka, była pracownica KSW (MMA) i sopockiej Zatoki Sztuki, która ze sztuką zawsze miała tyle wspólnego, co picie w Szczawnicy ze szczaniem w piwnicy - są to obecnie osoby znane, rozpoznawalne i robiące karierę w mediach. Co ich łączy? To patocielebryci, którzy piszą i wydają książki, występują w telewizji i internecie, kreują się na gwiazdy, na opiniotwórczych ekspertów mających często rzesze młodocianych fanów i naśladowców. Czy to jest normalne?

Kiedy zupełnie przypadkowo (w listopadzie 2022 r.) znalazłam się w warszawskim Blue Cite podczas odbywającej się tam promocji książki Dagmary K., były tak dzikie tłumy, osoby w każdym wieku i obojga płci, choć przeważały kobiety. Było to zadziwiające.

O ile jeszcze mogliśmy się tego spodziewać po internecie, bo on wciąż jest przestrzenią nieokiełznaną i niekontrolowaną, o tyle od telewizji oczekiwać moglibyśmy promowania jakichś głębszych wartości czy treści. Niestety telewizja krocząc przed upadkiem, ślepo

podąża za internetem, naśladuje jego płytką i płynnie ku pieniądządom.

To, że patocielebryci w mediach mainstreamowych, publicznych zrobili karierę, zwłaszcza Dagmara (udział w pólatsowskich „Królowych życia” 2016/17-2022 oraz tvn-owskim hicie przeniesionym do Polsatu „Taniec z Gwiazdami” - edycja 14-ta w 2024), zdaje się być niepokojące. Czy dzisiaj telewizja stawia sobie jeszcze jakieś cele poza zarabianiem pieniędzy? Czy ma misję? Czy ważny jest dla niej walor i poziom prezentowanego programu bądź zapraszanego gościa? Czy naprawdę liczą się już tylko wskaźniki oglądalności i klikalności?

Masa

Kim jest Jarosław S. Masa? Skruszonym mafiozem, kluczową postacią dzięki, której w 2000 r. doszło do rozbicia mafii pruszkowskiej, byłym ochroniarzem i zaufanym człowiekiem Andrzeja K. Pershinga, wreszcie współpracującym z organami ścigania świadkiem koronnym, czy od 2018 roku ponownie działającym aktywnie gangsterem, który usłyszał zarzuty: wyłudzenia kredytów na kwotę 650 tysięcy zł, łapownictwa, korupcji i składania fałszywych zeznań?

W latach 90-tych w strukturach tzw. grupy pruszkowskiej Masa zajmował się: m.in. wymuszeniami, haraczami, przemytem i handlem kradzionymi autami.

W latach 2014 – 2020 przeszedł metamorfozę i stał się nagle pisarzem, który (z Arturem Górskim) wydał pięć książek, będących cyklami wywiadów rzek:

„Masa o kobietach polskiej mafii” (2014) – opowieści o rolach pań w świecie przestępczym: żonach, kochankach i matkach gangsterskiej elity;

„Masa o pieniądzach polskiej mafii” (paździer-

nik 2014) – kulisy finansów pruszkowskiej grupy, kontrabandy, korupcja i luksusowy styl życia gangów;

„Masa o porachunkach polskiej mafii” (maj 2015) – opisy działań przestępczych, przemocy i rywalizacji między bossami;

„Masa o bossach polskiej mafii” (listopad 2015) – sylwetki czołowych postaci: Pershinga, Słowika, Para-sola, itp.

„Masa o życiu świadka koronnego” – szczególnie osobista opowieść o życiu po przejściu na współpracę z prokuraturą: ochrona, codzienność, zmiany tożsamości.

Cała seria dostępna jest zarówno w wydaniach papierowych jak i audiobookach. I jak podaje Piotr Pytlakowski z tygodnika „Polityka”, Masa zarobił dotąd na honorariach za współautorstwo ponad 2 mln zł.

Jarosław S. odnajduje się także w formacie telewizyjnym, wprawdzie nie prowadził dotąd jeszcze własnego programu, tzn. nigdy nie był jego gospodarzem, ale występował jako gość w różnych medialnych produkcjach i projektach (Alfabet Mafii, TVN 2004 czy Skandaliści, Polsat News / Polsat Box Go 2017).

Według Pytlakowskiego Masa jest także współwłaścicielem internetowej telewizji.

Kiedy czytam, że aktywnie prowadzi swój fanpage na Facebooku, nie dowierzam. Bo fanpage to jednak, jakby nie patrzeć strona fanowska! Czyli w naszym kraju gangster może legalnie prowadzić stronę służącą do kontaktu z fanami, zamieszczać tam dowolne treści i zdjęcia, a nawet co gorsza takich wielbicieli, obserwatorów czy naśladowców w ogóle posiadać. To prowadzi do wniosku, że można: wymuszać haracze, kraść i przemycać, działać w zorganizowanej grupie przestępczej, po czym, jak gdyby nigdy nic, pewnego dnia zacząć pisać o tym książki (owocnie monetyzując, a nawet romantyzując swoje poczynania).

W październiku 2024 r. sąd I instancji wydał wyrok: 6. lat pozbawienia wolności i 55 tys. zł grzywny, ale ponieważ wyrok jest nieprawomocny, Masa pozostaje nadal na wolności i czeka na rozstrzygnięcie apelacji. Nie odbywa obecnie kary, gdyż sąd wybrał zastosowanie środków wolnościowych na czas procedury odwoławczej.

Sam Masa w jednym z podcastów (w wywiadzie udzielonym Monice Sławeckiej w „Pętli zbrodni”) przyznał, że „W internecie, na stronach poświęconych tematowi kryminalnym, prym wiodą kryminaliści”. „Zrobiła się moda na bycie kryminalistą. O zgrozo! Myślę, że to przejdzie. Widać to już u młodzieży” – mówił. Kreuje się na bohatera, Janosika, dzięki któremu skarb państwa zaoszczędził swego czasu 2 miliardy zł, które, rzekomo bez jego pomocy, trafiłyby do szarej strefy.

Chętnie opowiada o tym, jak mafia nielegalnie handlowała dziełami sztuki np. z biskupem krakowskiej kurii, który sprzedał im (tzn. mafii pruszkowskiej) kolekcję obrazów Potockich za trzysta kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

„Porozmawiamy o czasie, gdy prowadził pan hulaszczy tryb życia” – prosi dziennikarka. „Ja całe życie prowadziłem hulaszczy tryb życia” – odpowiada Masa. I dodaje: „Byłem rozpasany”. A nieco później dopowiada: „Trochę mnie wyhamowało to pół roku, które siedziałem [...] i jak siedziałem to też sobie tam kupowałem funkcjonariuszy. I na przykład nie pasowały mi hiszpańskie winogrona, tylko musieli dla mnie ściągać argentyńskie”.

Niektórzy twierdzą, że Masa już swoje odsiedział – odpokutował, zesocjalizował się, posypał głowę popiołem; ale jego wypowiedzi wcale o tym nie świadczą.

Czy to aby na pewno jest materiał na idola?

Królowa seksu i łez

Dagmara K. to przykład osoby, która przyciągnęła uwagę opinii publicznej zarówno swoją osobistą historią, jak i medialną kreacją — od reality show przez aktorstwo po autobiografię, budując rozgłos dzięki kontrowersjom.

W 2009 roku została skazana najpierw na 4 lata więzienia, po czym zmniejszono jej wyrok do 3 lat, z których odsiedziała 21 miesięcy. Wyrok wydano za sutenerstwo, stręczycielstwo, zmuszanie młodych kobiet do prostytucji, zlecenie gwałtu na swojej pracownicy oraz za pobicie ciężarnej kobiety.

Przebieg jej kariery medialnej:

Znana z udziału w reality show „Królowe życia” (TTV 2016–2022);

Gościnne występy w programach „Poznaj swoje prawa” i „Pamiętniki z wakacji”; Reality show „Made in Maroko” (2018) – dokument podróżniczy z jej udziałem;

Autorski program „Dagmara szuka męża” (Super Polsat od grudnia 2023), emitowany w dwóch seriach, ale usunięty z ramówki i VOD po kontrowersjach.

Uczestniczka 14. edycji „Tańca z Gwiazdami” (Polsat), w której występowała od marca do kwietnia 2024. Podobno zrezygnowała z udziału w programie z przyczyn zdrowotnych, choć według niektórych źródeł została usunięta przez stację, o czym miałyby świadczyć nie pojawienie się jej w ostatnim finałowym odcinku, w którym pokazują się wszyscy uczestnicy danej edycji.

Wystąpiła także w filmach Patryka Vegi: „Kobiety mafii 2” (2019) oraz „Pętla” (2020), a także w serialowych adaptacjach tych produkcji. Następnie także w filmach „Ślicznotka” (2022) i „Ślicznotka. Początek” (2023). Za rolę w „Ślicznotce” otrzymała nawet nagrodę dla najlepszej aktorki drugoplanowej na Europejskim Festiwalu Filmowym w Koszalinie.

Ta głośna, nadmiarowa, wulgarna (nie tylko w języku), charakterna, bezpośrednia, przebojowa, apodyktyczna, niewykształcona kobieta – wkroczyła na salony gwałtowniej niż sam Dyzma, tyle, że on udawał elitę, a ona – przy najmniej zdaniem niektórych – stała się nią.

Jest takie miejsce u zbiegu dróg,
Gdzie się spotyka z zachodem wschód...
Nasz pępek świata,
Nasz biedny raj...
Jest takie miejsce,
Taki kraj.¹

Gdzie ludzie całkiem stracili głowy i wyżej cenią kurtyzany nad białogłowy.

Blania

Blanka Lipińska zanim zdobyła sławę jako autorka erotycznej trylogii „365 dni”, pracowała

¹ Jan Pietrzak – słowa, Zbigniew Raj – muzyka, Jest takie miejsce, 1988.

w zupełnie innych branżach – w tym od 2012 r. w Federacja KSW, gdzie jak sama twierdzi, odpowiadała za rekrutację i szkolenie tzw. ring girls (kobiet pojawiających się między rundami walk MMA) oraz była menadżerką klubu nocnego w Sopocie The Roof, w którym zarządzała rezerwacjami łoża i sprzedając wejściówek premium w latach 2015-2017. Wszystko to brzmi niewinne, jednak klub The Roof to mieszcząca się na dachu słynna część sopockiej Zatoki Sztuki. Co prawda sama Blanka wielokrotnie podkreślała, że zaczęła tam pracować już po medialnych aferach związanych z Zatoką Sztuki i nigdy nie była zaangażowana w sprawy dotyczące przestępczości nieletnich, o których dowiedziała się dopiero z dokumentów i mediów; a jednak podjęła pracę w miejscu okrytym złą sławą i spędziła tam kilka lat. Jak twierdzi, nie była świadoma ani tragedii ani żadnych nielegalnych działań w klubie. Wydaje się to jednak wręcz niemożliwym, aby przez cały ten czas nie odkryła w jak drapieżnym i patologicznym miejscu się zatrudniła. Wyraziła jedynie ogólny sceptycyzm, co do kondycji moralnej branży: Kluby to nie są grzeczne miejsca (przyznała w rozmowie z Kubą Wojewódzkim i Piotrem Kędzierskim).

Zatoka Sztuki w Sopocie, na której dachu mieścił się klub nocny The Roof, nabrała bardzo złej reputacji, jako miejsce skażone seksualną przestępczością, praniem pieniędzy i powiązaniami biznesowo-politycznymi. Zatoka Sztuki stała się synonimem mrocznej afery, w której centralną rolę odegrał Krystek – oskarżony o wykorzystywanie seksualne nieletnich – a sam klub i jego partnerzy mieli czerpać z niej korzyści. Choć lokal początkowo promowano jako kulturalną wizytówkę Sopotu, dość prędko okazało się, że stał się miejscem kryminalnych działań. Cała sprawa doprowadziła do wyroków sądowych: Krystek został skazany na 15 lat więzienia, a Marcin T. (właściciel klubu) na 6 lat.

Debiutancka seria Lipińskiej „365 dni” budziła poważne zastrzeżenia dotyczące promowania erotyki z elementami gwałtu i porwaniami jako formami spełnienia seksualnego. Choć znaczna część czytelników się tym fascyno-

wała, krytycy podnosili zarzuty o deprawowanie młodzieży, a także obrazę uczuć religijnych (m.in. plakatami filmu na podstawie książki, które w niektórych miastach zostały objęte cenzurą i zakazano ich wieszania w przestrzeni publicznej).

Lipińska często podkreśla, że jej książki (trylogia „365 dni”) są tworzone z myślą o rynku i komercyjnym sukcesie, a nie jako dzieła literackie. Dla niej pisanie to forma produktu medialnego, a nie wyraz artystycznych aspiracji.

„Nie jestem pisarką, bo nie piszę dla sztuki. Jestem autorką, bo tworzę coś, co się sprzedaje” — takie podejście prezentowała zawsze w wywiadach.

Blanka sama przyznała, że nie ma klasycznego warsztatu pisarskiego — nie studiowała literatury, nie ma redakcyjnego doświadczenia. Zaczęła pisać książki jako osoba spoza środowiska literackiego, zatem nie chce rościć sobie tytułu pisarki, który dla wielu oznacza kogoś z dorobkiem artystycznym i głębszym zapleczem literackim. Określenie siebie jako autorki zamiast pisarki pozwala jej lepiej kontrolować swój wizerunek: bardziej jako celebrytki, influencerki i osoby medialnej niż typowej przedstawicielki środowiska literackiego.

Jest to chyba pierwszy znany przypadek, gdy autor publicznie przyznaje się, że nie umie pisać, nie ma warsztatu, a książkę traktuje wyłącznie jako wyrób komercyjny.

Czy istnieją w ogóle jeszcze jakieś granice do przekroczenia, czy już ostatni „ideał – sięgnął bruku!”?

Manipulacja

Medialna manipulacja nie jest ani czymś nowym, ani też pojawiającym się wyłącznie na naszym rodzimym gruncie. Przyjrzyjmy się zatem prekursorom - Stanom Zjednoczonym.

JonBenét Patricia Ramsey, zaledwie sześciolatka, śliczna dziewczynka, nazywana przez media Małą Miss Ameryki, została zamordowana w swoim domu w Boulder w nocy z 25 na 26 grudnia 1996 r. Do dziś ta sprawa pozostaje nierozwiązana i mimo stawiania wielu hipotez oraz przesłuchania licznych podejrzanych, których wykluczono, mimo iż przyznawali się do jej popełnienia (jak Gary Oliva czy John Mark Karr)

nadal nie wiadomo, kto dopuścił się tego okropnego czynu. Niestety policja, do czego sama się przyznaje, popełniła, zwłaszcza na początkowym etapie śledztwa, szereg błędów, a nawet z pomocą mediów dokonała swoistego linczu na rodzicach zamordowanego dziecka. Prasa przez lata oskarżała Ramseyów o utrudnianie śledztwa lub wręcz winę za śmierć JonBenét.

Czy to, co spotkało Ramseyów po morderstwie ich córki, było naginaniem przez policję i media faktów do z góry powziętego osądu? Czy tak zaczęła się nagonka i pierwszy hejt medialny na zrozpaczonych rodziców?

Mimo że już 15 stycznia 1997 r., czyli zaledwie 20 dni po dokonaniu zbrodni, policja ogłosiła wyniki testów DNA (wymazy i wyskrobiny), wykluczające wszystkich członków najbliższej rodziny jako podejrzanych w sprawie, to jednak...

Funkcjonariuszka policji, śledcza, która jako pierwsza odpowiedziała na zgłoszenie z Departamentu Policji w Boulder, niejaka Linda Arndt w wywiadzie telewizyjnym udzielonym stacji ABC (na ekranie w prawym górnym rogu widnieje: Time Tunnel) w programie „Good morning America” 19 kwietnia 1999 r. oskarżyła o śmierć dziewczynki jej ojca, Johna Ramsaya. Twierdziła, że pozawerbalnie czuła się w jego obecności zagrożona, liczyła naboje w kaburze przed dotarciem wsparcia innych policjantów i dziwiło ją, że John przegląda pocztę (co on sam tłumaczył potem tym, że sprawdzał, czy nie otrzymali dalszych instrukcji od porywaczy).

W stacji CNN w programie „Larry King Live”, dwukrotnie (w marcu i 31 maja 2000 r.) wystąpili rodzice zamordowanej Małej Miss, John i Patsy Ramseyowie oraz detektyw policji w Boulder w Kolorado - Steve Thomas, który na wizji oskarżył kobietę o zamordowanie córki. Działo się to na oczach milionów widzów, w dodatku bez wskazania żadnych dowodów. Detektyw Thomas nie poprzestał jednak na tym i jeszcze w tym samym roku 2000 wydał książkę, w której nadal oskarżał Patsy o zamordowanie córki. Jego hipoteza zakładała, że matka miała się rzekomo znerwować na JonBenét za to, że ta w nocy zmoczyła łóżko. Zdjęcia i opisy pokoju dziewczynki nie potwierdziły jednak takiego zdarzenia, a więc była to czysta konfabulacja. Steve Thomas po-

biegł z tym do mediów, poruszył temat morderstwa, w którym wciąż toczyło się śledztwo, co już samo w sobie uznać można za mało profesjonalne, i nadal nie mając dowodów przeciwko rodzicom, oskarżał ich (głównie matkę dziewczynki) publicznie. Ramseyowie pozwali autora i wydawnictwo o zniesławienie.

18 i 19 września 2016 r. (emisja dwuczęściowa) stacja telewizyjna CBS przygotowała program „The Case of: JonBenét Ramsey”, tym razem oskarżając o śmierć JonBenét jej brata, Burke’a Ramsey’a. Program ten był bardzo kontrowersyjny, ponieważ do studia zaproszono dziesięcioletniego chłopca (tyle lat miał bowiem Burke w chwili śmierci swojej siostry), którego zadaniem było zainscenizowanie morderstwa na głowie lalki—manekina w blond peruce, i tym samym przekonanie widzów, że dziecko jest w stanie zabić. Rzekomym motywem tej zbrodni miało być zjedzenie przekąski z ananasa, którą—jakoby—dziewczynka miała podkraść bratu, ściągając w ten sposób na siebie jego niepokonany gniew. Burke pozwał stację CBS za zniesławienie.

Prokuratura oczyściła go z zarzutów, gdyż doskonale wiedzieli, że to nie jego charakter pisma widniał na liście z żądaniem okupu oraz że nie byłby w stanie samodzielnie stworzyć garoty. Ale media ferowały wyroki, w dodatku pochopnie, w sposób niezwykle krzywdzący i niszczący reputację tej (i tak już zrozpaczonej i) skrzywdzonej rodziny.

Jak widać cała rodzina Ramseyów po kolei (John w 1997 r., Patsy w 2000 r., a Burke w 2016 r.) była oskarżana w mediach przez policję i same media. Jak łatwo przyszło im rozsiewać oskarżenia i ferować wyroki... w dodatku bez dowodów, opierając się na spekulacjach i manipulacjach faktami.

Sama policja także była w tej sprawie mocno podzielona.

9 lipca 2008 roku prokurator okręgowa Mary Lacy oficjalnie oczyściła rodzinę Ramseyów - Johna, Patsy (zmarłą w 2006 roku) i ich syna Burke’a - z podejrzeń o udział w morderstwie JonBenét Ramsey. W swoim liście do rodziny przyznała, że najnowsze badania DNA wykazały obecność materiału genetycznego należącego do nieznanego mężczyzny, który nie pasował do żadnego członka rodziny ani osób znanych śledczym. Lacy

przeprosiła także rodzinę Ramseyów za to, że zostali oni niesprawiedliwie uznani przez opinię publiczną za podejrzanych, głównie z powodu błędów popełnionych na wczesnym etapie śledztwa. Decyzję o oczyszczeniu rodziny oparto na nowoczesnych analizach DNA z wykorzystaniem technologii Touch DNA.

Niektórzy policjanci nadal uważają, że to oczyszczenie rodziny Ramseyów nastąpiło zbyt pochopnie i przedwczesne.

Jednak nawet mimo oczyszczenia rodziny z zarzutów w 2008 r., (osiem lat później) w 2016 r. nie powstrzymało to telewizji przed wyemitowaniem programu „The Case of: JonBenét Ramsey”, forsującego teorię o winie Burke’a.

W marcu 1997 r., (a więc już trzy miesiące po morderstwie JonBenét) detektyw z Colorado Springs, pracujący wcześniej także w hrabstwie El Paso, niejaki Andrew Louis Lou Smit nazywany amerykańskim Sherlockiem Holmesem, ponieważ sam rozwiązał ponad 200 spraw zabójstw, został poproszony o pomoc przez prokuraturę hrabstwa Boulder (a konkretnie przez prokuratora Alexa Huntera), na co przystał, mimo że w 1996 r. przeszedł już na emeryturę. To on pierwszy wykluczył sprawstwo, a nawet jakkolwiek udział w morderstwie członków rodziny Ramseyów. Wiedział, że nie popełnili tej zbrodni, opierał się na obecności obcego DNA pod paznokciami i na bieliźnie dziewczynki. Obalił też wcześniejszą tezę policji, jakoby nie doszło do włamania, udowadniając (sam kilkakrotnie tego dokonał), że przez okienko w piwnicy może przecisnąć się dorosły mężczyzna, co inni śledczy wykluczyli. Zwrócił także uwagę na garotę, która wskazywała na kogoś z doświadczeniem w uprowadzaniu lub znęcaniu się. Nie pojawiała się w tak zwanych zbrodniach rodzinnych. Nie każdy potrafiłby ją przygotować czy użyć. No i jako jedyny zauważył i dowiódł, że okrągłe ślady na ciele dziewczynki pochodziły z paralizatora, którym prawdopodobnie ją obezwładniono, a który sprawca zabrał ze sobą.

Lou Smit do końca życia (zmarł w 2010 r.) wspierał Ramseyów i stawał w ich obronie, działał poza mediami i był odporny na próby wywierania na nim presji.

Niestety 7 września 1998 r., po 18 miesiącach

śledztwa zrezygnował, ponieważ policja w Boulder mocno forsowała tezę o winie rodziców dziewczynki, z czym absolutnie się nie zgadzał. Argumentował swoją rezygnację tym, że nie może współpracować przy prześladowaniu niewinnych, a w jego ocenie John i Patsy Ramsey byli niewinni. Smit doszedł do wniosku, że śledztwo zmierza w stronę polowania na kozła ofiarnego, a nie rzeczywistego poszukiwania prawdy.

Dlaczego zatem media (prasa i telewizja) tak bardzo, niemal obsesyjnie koncentrowały się na domniemanej winie Ramseyów? Dla słupków oglądalności i klikalności?

Śledztwo ugrzęzło, nie było nowych dowodów ani podejrzanych, a Ramseyowie zawsze byli pod ręką, stali się łatwym celem. Media ciągle do nich wracały. Mieszkali w pięknym, dużym domu, byli zamożną rodziną, Patsy była byłą miss, kobietą elegancką i stylową – to idealnie nadawało się do tabloidowego spektaklu, telewizyjnego show. To brutalne i okrutne, ale lepiej sprzedaje się historia pt. Matka zabiła córkę niż Ktoś obcy włamał się do domu. Media były głodne winnych, a Ramseyowie byli widoczni, chłodni w emocjach, milczący i bogaci — czyli idealni do roli tych złych.

Czy media miały prawo zgotować tej rodzinie dodatkowe piekło?

Korona z lajków, cień z Darknetu

Spróbujmy przyjrzeć się jeszcze najmłodszej fabryce manipulacji, czyli internetowi.

Kiedy piętnastoletnia youtuberka Piper Rockelle miała pod swoimi filmikami 2 miliony wyświetleń tygodniowo, czołowy amerykański kanał informacyjny CNN miał tych wyświetleń 200 tysięcy. W półtora roku udało jej się pozyskać milion subskrypcji, co dawało: znaczne zasięgi, gwarantowało rozpoznawalność oraz pieniądze z reklam i samego YouTube. Tak jak inni dziecięcy influencerzy zarabiała setki tysięcy dolarów miesięcznie. Pokazywała codzienne życie swoje i garstki zmieniających się przyjaciół. Jeden z nich wyznał przed kamerą, że jako czternastolatek z ekipy Piper zarabiał nawet 50 tysięcy dolarów miesięcznie.

Jak naprawdę wygląda ta odnoga przemysłu

rozrywkowego i czym różni się od kręcenia telewizyjnych filmów z dziecięcymi gwiazdami? Jedno i drugie to biznes, branża i monetyzacja, ale prawo nie nadąża za szybkością zmian we współczesnym, cyfrowym świecie.

Czy influencerstwo to praca, główne bądź jedyne źródło dochodu, czy wciąż tylko hobby?

W Kalifornii oraz Illinois obowiązuje prawo Coogan Law, które chroni dziecięcych aktorów, a od 2023 r. zostały nim objęte także młode gwiazdy internetu: influencerzy i youtuberzy. Zabezpiecza ono przed nadużyciami finansowymi i przeciwdziała sytuacjom, w których rodzice lub menadżerowie wykorzystują dziecko jako źródło dochodu. 15% zarobków dziecka musi trafić na konto powiernicze, z którego może być wypłacone dopiero po osiągnięciu przez gwiazdę pełnoletności.

Ekipa Piper Rockelle kręciła dziennie od 10 do 15 filmików wrzucanych na YouTube, nagrywając dzieciaki od 11.00 rano do 1.00-2.00 w nocy, przy czym nie było wyznaczonych przerw, często nawet tych na posiłki czy regenerację.

W świecie celebrycko-influencersko-youtuberskim obowiązuje pewne niepisane reguły, które bardziej precyzyjnie można określić jako emocjonalny haczyk, wabik, tak zwany crush.

Kiedy na ekranie pojawia się chłopak i dziewczyna – widzów to przyciąga, z jakiegoś powodu lubią to obserwować, lubią zastanawiać się nad zauroczeniem czy ewentualnym podkochiwaniem się tych osób w sobie, co dobrze się sprzedaje i generuje większą liczbę wyświetleń. A to z kolei pociąga za sobą tak zwane shipowanie, czyli kibicowanie tej parze, nawet jeśli jest to tylko para stworzona na potrzeby danej serii filmików. To powoduje wyobrażenie sobie relacji łączących twórcę i widza. I stanowi potężną siłę w popkulturze.

Z tego doskonale zdawali sobie sprawę twórcy kanału Piper Rockelle: całą ekipę dzielono na pary, a każdą odchodzącą z niej osobę natychmiast zastępowano kimś możliwie jak najbardziej podobnym do niej fizycznie.

Podobnie postępują producenci seriali, gdy widz przyzwyczaja się do postaci, a aktor chce odejść, więc nie jest to niczym zaskakującym czy no-

wym.

Są jeszcze pranki, czyli żarty, psikusy, dowcipy, celowo zaaranżowane sytuacje mające zaskoczyć, rozbawić lub wkręcić inną osobę – często w sposób niewinny, ale czasem też kontrowersyjny.

Choć nie mówi się o tym powszechnie i głośno, występuje także seksualizacja. Na miniaturowych zdjęciach i afiszach graficy nawet nastolatkom powiększają: piersi, torsy, pupy i uda, a także umieszczają fotki, na których te dziecięce gwiazdy wyglądają i zachowują się prowokacyjnie, wyuzdanie, wulgarnie, czasem obscenicznie i kontrowersyjnie, bo to przyciąga odbiorców, dzięki którym pozyskują: lajki, subskrypcje i falowersów, czyli idące za tym wymierne korzyści w postaci kontraktów i współprac.

Czy trzynastolatka w bikini na filmikach to tylko niewinne dbanie o zasięgi w sieci, czy nadużycie?

I kto właściwie to ogląda? Czy tylko dzieci, rówieśnicy? Otóż nie.

Znane platformy takie, jak: Tik Tok, Snapchat, OnlyFans, BrandArmy opierając się na twórczości indywidualnej i relacji twórca-odbiorca, zezwalają zaistnieć w sieci od 13 roku życia, ale subskrybentów przyjmują od 18 roku życia. Paradoks? Czy to aby właściwy kompas moralny, nieprowadzący do nadużyć?

Badania przeprowadzone w Australii w 2015 r. (w grupie wiekowej 10-15 lat) dowodzą, że aż 60% zgłoszonych przypadków groomingu (próby uwiedzenia dziecka przez osobę dorosłą) zdarzyło się na platformach społecznościowych oraz że 50% zdjęć na pedofilskich forach pochodzi z social mediów rodziców.

Gazeta „Wall Street Journal” oraz niezależni badacze (Stanford University i University of Massachusetts Amherst) opublikowali raporty, w których postawili krytyczny zarzut wobec Instagrama: algorytmy tej platformy rzekomo wspierają sieci pedofilskie i promują konta publikujące materiały seksualizujące dzieci, a dowodem na to jest choćby fakt, że dziecięce i młodzieżowe: sportsmenki, tancerki, cheerleaderki i gimnastyczki mają wśród swoich obserwujących zadziwiająco duży odsetek (według tego raportu jest to aż 92%) dorosłych

mężczyzn, którym zdarza się pisać do nich obsceniczne czy sprośne komentarze bądź wiadomości.

Czy zatem Instagram wspiera pedofilię?

„Wall Street Journal” twierdzi, że tak, skoro algorytmy sprzyjają łączeniu kont dziecięcych z dorosłymi o seksualnych zainteresowaniach, promując je w rekomendacjach i sugerując kolejne konta podobnego typu. Nie oznacza to jednak, że Instagram świadomie wspiera pedofilię, ale że system rekomendacji działa w sposób niezamierzony, który może prowadzić do użytecznego dla pedofilów efektu.

Darkinternet

Często określany także jako Darknet lub Dark Web – to zamknięta, ukryta część internetu, która nie jest indeksowana przez tradycyjne wyszukiwarki (takie jak Google czy Bing) i wymaga specjalnego oprogramowania, konfiguracji lub uprawnień do uzyskania dostępu. Istnieje, by zapewnić anonimowość użytkownikom i stronom, kojarzona jest z działalnością przestępczą oraz handlem niedozwolonym i niedostępnym w standardowym internecie. Nie będę się o niej szeroko rozpisywać, jednak pragnę uczulić i przypomnieć, że ona istnieje naprawdę, nie jest bajką o żelaznym wilku. Kwitnie tam: handel narkotykami, bronią, wyłudzenie danych, ataki i usługi hakerskie, a także pornografia nieletnich.

Dlatego nim wrzucimy do sieci (najczęściej w dobrej wierze) zdjęcia nasze i naszych dzieci z wakacji nad morzem czy basenem, pomyślimy przez chwilę przed czyje oczy może ono trafić i na jakie konsekwencje narazić.

A media, pod płaszczykiem udostępniania treści edukacyjnych, nowości wydawniczych i filmowych, promowania oraz popularyzowania nowoczesności, potrafią także – głównie oczywiście dla korzyści finansowych – ogłupić i zmanipulować. Na szczęście wciąż mamy jeszcze wpływ i wybór co do tego, czy, i ewentualnie w jakim zakresie, im na to pozwolić.



Robert Musil „Człowiek bez właściwości”, Warszawa 1971

Bożena Ciesielska



Lektura „Człowieka bez właściwości” austriackiego pisarza Roberta Musila jest ogromnym wyzwaniem nawet dla wytrwałego czytelnika. To obszerne dzieło składa się z czterech tomów, obejmujących łącznie 1912 stron.

Oprócz tej powieści powstały także inne utwory takie jak: „Niepokoję wychowanka Törlessa”, „Połączenia” i „Trzy kobiety”.

Ponadto Musil przez ponad 40 lat prowadził „Dzienniki”. Po ukończeniu studiów technicznych pracował najpierw jako bibliotekarz i redaktor, a następnie jako urzędnik państwowy. Brał udział w I wojnie światowej. Pod koniec życia przez cztery lata mieszkał na emigracji w Szwajcarii. Pisarz wykorzystał w powieści „Człowiek bez właściwości” wątki autobiograficzne (osobiste doświadczenia, przeżycia, fakty, refleksje, przekonania). Robert Musil żył 62 lata. Swoje największe dzieło pisał przez 21 lat, a więc przez jedną trzecią życia. „Człowiek bez właściwości” nie został przez autora skończony, dlatego czytelnik nie pozna wszystkich wydarzeń z życia bohaterów. W IV tomie część rozdziałów zawiera informacje podane w nawiasach „Fragment” lub „Szkielet”. Na ich podstawie Robert Musil planował dokończyć swoje dzieło, czyli poszerzyć opis wydarzeń.

Książka „Człowiek bez właściwości” zaczyna się następującymi zdaniami: „Nad Atlantykiem stał niż barometryczny, który przesunął się na wschód ku zalegającemu nad Rosją wyżowi i na razie nie zdradzał ochoty wyminięcia go kierując się ku północy. Izotermia i izotermia czyniły swoją powinność”. Mnie ten wstęp zachęcił do lektury. Wydarzenia rozpoczynają

się pewnego pogodnego sierpniowego dnia 1913 roku w Wiedniu, a kończą w 1914 roku, w przededniu wybuchu I wojny światowej, o czym przedstawiona na początku książki para bohaterów - Ermelinda Tuzzi i Paweł Arnheim - jeszcze nic nie wie. Akcja powieści toczy się przez blisko rok. Fabuła jest znacznie dłuższa i szersza, gdyż obejmuje wszystkie zdarzenia dziejące się przed akcją i po jej zakończeniu. W fabule opisane zostały fakty dotyczące dzieciństwa i pobytu rodzeństwa Agaty i Ulricha w szkołach. O dwóch małżeństwach bohaterki czytelnik dowiadyuje się, gdy Agata opowiada o nich bratu Ulrichowi. O zdarzeniach dziejących się przed 1913 rokiem wiemy ze wspomnień bohaterów, ich rozmów lub opowiadań, a także z relacji narratora.

Wydarzenia dzieją się w Wiedniu oraz w miastach i miejscowościach, które nie są nazwane. W jednym z takich miast urodził się Ulrich i jego siostra Agata. Do końca życia mieszkał w nim ich ojciec. Można by sądzić, że chodzi o każde duże miasto. W książce znajduje się fragment dotyczący zarzewia I wojny światowej. Nie musiało to być koniecznie Sarajewo — równie dobrze mogło to być Essen, Creusot, Pilzno albo inne miasto, w którym rozwijał się przemysł zbrojeniowy. Podobnie, gdy Agata i Ulrich wyruszyli w podróż zwaną „Podróżą do rajów”, również nie wiadomo dokładnie, gdzie się wtedy znajdowali: „Było to gdzieś w Istrii, czy na wschodnim wybrzeżu Włoch, czy też nad Morzem Tyrreńskim. Sami zaledwie się w tym orientowali. Wsiadali do pociągów i jechali.” Przebywali także w Ankonie. „Zjedli zabaglione już w łóżku i wypili mocną kawę, której gęstość była wzmocniona pianą z ubitego żółtka, nadającego jej wprost niebiański smak. Odpoczęli i marzyli”.

Można by mniemać, że dotyczyło jakiegoś ważnego wydarzenia, a tymczasem chodziło po prostu o chorobę morską, która bardzo ich zmęczyła, pozostawiając w niedyspozycji i senności.

W powieści pojawiają się inne miejscowości. Klarysa jedzie do Włoch i wynajmuje hotel w Wenecji.

Pisarz nie przywiązuje zbytnej wagi do miejsc, ale zwraca uwagę na opisy przyrody i zajęcia ludzi. „Tu, gdzie się zatrzymali, od wąskiej plaży pomiędzy dwoma ramionami nadbrzeżnych skał - niczym przyciśnięta do piersi girlanda kwiatów i krzewów - wspinał się, opasany ścieżynkami łagodnie i powoli wiodącymi do góry, rodzaj dzikiego ogrodu aż do małego, białego, ukrytego na zboczu i wyludnionego o tej porze hoteliku”.

Pierwszymi osobami, z którymi zapoznaje się odbiorca, są Ermelinda Tuzzi (na kolejnych stronach zwana Deotymą lub przez niektórych mężczyzn „boską Deotymą”) i Paweł Arnheim (jej znajomy, a potem przyjaciel). Kolejną postacią jest Ulrich - kuzyn Deotymy. W miarę czytania pojawiają się inne osoby takie jak: mąż Deotymy Tuzzi, Agata, małżeństwo Klarysa i Walter, hrabia Leinsdorf, generał von Stumm, Leo Fischel, Gerda, Hans Sepp, profesor Hagauer, zbrodniarz Moosbrugger, filozof Meingast, profesor Lindner, Rachela - pokojówka Deotymy, Soliman - służący Arnheima, ojciec Agaty i Ulricha, Bonadea i inni. Wiodącą postacią jest Ulrich. Nie założył rodziny, co nie przeszkadzało mu korzystać z przyjemności i uroków życia. Świadczy o tym znajomość i zażyłość z szansonistką Leoną czy z mężatką Bonadeą. Ma przyjaciół, których często odwiedza. Nie stroni od różnych znajomości. Lubi także odwiedzać rodzinę Fischlów i ich córkę Gerde, która jest w nim zakochana.

Ulrich bierze udział w naradach dotyczących Akcji Równoległej, ale nie angażuje się zbyt, choć poproszony o pełnienie funkcji sekretarza, wyraża zgodę. Podczas spotkań w domu Deotymy i Tuzziego występuje w roli obserwatora, śledzi przebieg spotkań, ocenia ludzi i dyskutuje. Można go nazwać „człowiekiem bez właściwości”, który stoi z boku, bacznie się wszystkiemu przygląda, krytykuje, ma swoje zdanie i cechuje go sceptycyzm. Stara się jednak być niezależnym i wolnym człowiekiem. Jest pełen dynamizmu. Zarówno on, jak i inni bohaterowie zostali ukazani i scharakteryzowani jako osoby niejednoznaczne i skomplikowane. Często uwięzione w sytuacji, które je przerastają lub sami na własne życzenie wklajają się w sytuację

bez wyjścia. Z bohaterami, których w tej powieści jest bardzo wielu, czytelnik zapoznaje się, śledząc ich losy. Z czasem niektórzy z nich znikają, a na ich miejsce pojawiają się inni. Gdy już prawie zapomni się o kimś, on nagle się zjawia i dalej toczą się wydarzenia z nim związane. Nie przeszkadza to jednak w zrozumieniu treści.

W związku z tym, że powieść jest wielowątkowa, czytelnik nie wie, jak potoczą się losy bohaterów. Nie wiemy, co stało się z Agatą, czy poniosła konsekwencje pomijając męża, któremu należał się spadek po teściu, pokojówką Rachelą, mordercą Moosbruggerem czy Meingastem... Ulrich na wieść o wybuchu I wojny światowej postanowił zaciągnąć się do wojska. Inna z bohaterek Gerda Fischel zdecydowała się na pracę w szpitalu polowym. Narzeczony Gerdy Hans Seep służący w wojsku wybrał zupełnie inną drogę... Losy pozostałych potoczyły się różnie. Czytelnik może zaobserwować rodzącą się chorobę umysłową, która dotknęła Klarysę. Jej szalone pomysły, takie jak uwolnienie ze szpitala psychiatrycznego zbrodniarza Moosbruggera i obarczenie pokojówki Racheli opieką nad nim, a potem kompletne zapomnienie o ich losie, są godne potępienia.

W powieści splata się ze sobą wiele różnych wątków. Jednym z najważniejszych jest przygotowanie Akcji Równoległej w związku z 70. rocznicą panowania cesarza Franciszka Józefa. Uroczystość ma się odbyć dopiero w 1918 roku. Nad organizacją wydarzenia czuwa specjalnie powołany komitet złożony z ważnych osobistości. W tym celu organizowane są spotkania, przyjęcia, narady, obrady i dyskusje. Inicjatywa musi być spektakularna. Hrabia Leinsdorf proponuje hasło: „Cesarz pokoju”. Świat musi „się zarumienić ze wstydu”, zobaczywszy jak honoruje się cesarza. Wszyscy zainteresowani są podminowani przygotowaniami. Właśnie temu wydarzeniu, które uznano za priorytetowe, pisarz poświęcił dużo miejsca w powieści. Również dyskusje o idei, moralności, duszy, miłości psychicznej i fizycznej zajmują w niej wiele miejsca. Traktaty filozoficzne, dysputy i rozważania są trudne w odbiorze i

wiele razy zniechęcały mnie do czytania, stanowiąc dla mnie pewną przeszkodę.

Innym wątkiem są losy młodego małżeństwa Klarysy i Waltera. Bardzo ciekawie przedstawiono postać Klarysy i jej stopniowe popadanie w obłąd. Jej chęć odwiedzania szpitala dla osób umysłowo chorych oraz podróże koleją bez określonego celu budzą niepokój i przerażenie. Jest zainteresowana zbrodniarzem Moosbruggerem, którego chce wydostać z więzienia, co też jej się udaje. Osobnym wątkiem są relacje rodzeństwa Agaty i Ulricha. Ze względu na sytuację rodzinną nie wychowywali się razem. Dopiero po śmierci ojca zbliżyli się do siebie, na nowo poznali i odkryli. Odnaleźli się po latach i zamieszkali razem w domu Ulricha. Ich relacja komplikuje się, gdyż Agata zakochuje się w bracie.

W powieści zachwycają opisy uczuć. Szczególnie sposób przedstawienia Ulricha i Agaty na tle przyrody przypomina prozę poetkę i może urzec czytelnika. „Następnego ranka Ulrich i Agata wyszukali sobie miejsce wysoko wśród skał, a potem znów w dole malutką kotlinkę z białym piaskiem między skałami. Doszedłszy tam doznali uczucia - jak gdyby jakaś istota, która tam żyła, czekała na nich i szukała ich wzrokiem - że tutaj nikt już o nich nic nie wie. Przyszli małą, dziką ścieżką na miejsce, gdzie brzeg nagle skręcał, i przekonali się w samej rzeczy, iż białe lśniący hotel znikł im z oczu. Była tam wąska i długa, oświetlona słońcem kamienna płyta pokryta piaskiem i szczątkami skał. Rozebrali się”.

Powieść może być odczytywana na różne sposoby. Jeden czytelnik zwróci uwagę na losy bohaterów, innego zaciekawią traktaty filozoficzne i wywody na tematy poruszane w dyskusjach. Niektóre wątki mogły - i nadal mogą - budzić kontrowersje, jak historia bliskiego związku rodzeństwa Agaty i Ulricha. Zapalali do siebie uczuciem, choć nie przekroczyli pewnej granicy. Jeszcze inny odbiorca zainteresuje się sytuacją polityczną, gospodarczą i społeczną opisywanego cesarstwa Austro-Węgier, zwanego przez pisarza Cekaną. Uważny czytelnik prześledzi narastanie nastrojów narodowościowych. Powieść daje obraz życia ówczesnego społeczeństwa, osadzonego w konkretnym czasie i przestrzeni.

Oddaje atmosferę minionej epoki.

Wiele fragmentów powieści przypomina eseje, wykłady czy rozważania filozoficzne, takie jak ten fragment: „Ludzie skupiają się w grupy, ponieważ posłuszeństwo pozwala na robienie wszystkiego tego, czego by się z własnego przekonania od dawna już robić nie mogło, a wzajemna wrogość tych grup obdarza człowieka nigdy nieustającą gotowością do krwawej wendety, podczas gdy miłość wkrótce zapadłaby w sen. Wszystko to ma o wiele mniej wspólnego z zagadnieniem, czy ludzie są dobrzy, czy źli, niż z tym, że utracili zdolność odróżniania tego, co wzniosłe, od tego, co podłe. I tylko inną, pełną sprzeczności konsekwencją tej dezintegracji jest przeładowana intelektualna ornamentyka, w którą stroi się dzisiaj nieufność wobec ducha: zespolenie światopoglądu z czynnościami, które mogą znieść to tylko w drobnych dawkach, jak na przykład polityka; powszechna tendencja do przekształcania od razu każdego poglądu w zasadę i uznawania każdej zasady za pogląd; potrzeba zoilów najróżniejszej maści, aby poznanie, jakie osiągnęli, powtarzać niczym lustrzany gabinet”.

Mam osobistą satysfakcję z przeczytania tej niełatwej książki, którą równie trudno opisać, scharakteryzować czy usystematyzować. Często ze względu na obszerność nazywa się tego typu powieści monumentalnymi. To lektura wymagająca zarówno chęci, jak i czasu oraz cierpliwości. Warto jednak zmierzyć się z dziełem życia Roberta Musila. Trzeba tylko czytać niespiesznie, zanurzając się w akcji książki - trudnej, ale wartej przeczytania. Przybliżenie tematyki powieści Roberta Musila nie wyczerpuje zagadnienia. Po jej lekturze można dojść do wniosku, do jakiego doszedł jeden z bohaterów, Leo Fischel, mówiąc, że: „Z biegiem czasu wcale się ludzie lepiej nie rozumieją”.



Recenzja tomiku Anny Czartoszewskiej „Utkana z pieśni i światła”

Wojciech Janisio

Kiedy dotarł do mnie pocztą nowy tomik poezji Anny Czartoszewskiej, pomyślałem od razu, że tytuł to idealne dla niej samej określenie – „utkana z pieśni i światła”. Ale może jednak to nie o niej samej, a o poezji? A może o tej dziecięcej sielskiej arkadii, którą wspomina w rozdziale „Od świtu do zmierzchu”? Jedno jest pewne – tych wierszy wystarczyłoby śmiało na co najmniej trzy oddzielne tomiki! Może stąd obawa, że mógłbym coś przeoczyć z tego bogactwa... smaków. Bo tą poezją naprawdę można się delektować, a jej smakowe florytury zadowolą na pewno najbardziej wyrafinowane podniebienia odbiorców – i to zarówno pod względem różnorodnej formy, jak i wyszukanej, powiedziałbym nawet delikatnej, a jednocześnie wyrazistej, gdzie trzeba ostrej, w smaku metafory. No cóż, tak to ja mam tylko z... chałwą – ta najlepsza, tylko pozornie wydawać się może na początku słodka jak ta poezja o świetlistym tytule – wręcz sielska, pełna tęsknoty, by nagle wybuchnąć wręcz z całą mocą... organoleptyczno-olfaktorycznymi doznaniem cierpkich smaków i zapachów. I tu dopiero zaczyna się prawdziwa uczta, po której zawsze już czegoś brakuje, a... lektura tomiku niepostrzeżenie się kończy... Nareszcie tomik wrócił do mnie (pożyczony tylko na chwilę) i cieszę się, że był ze mną szczególnie w tym majowym – przedmaturalnym czasie.

Jakże jest mi osobiście bliska tęsknota za przemijającym światem, „kiedy zbiera się człowiekowi na wiersz”, z „kocimi łbami”, z „zazdrością miastowym, którzy i mi zazdrościli”... Jakże znajomy wydaje się ten widok z okna serca, z panoramą wspomnień, które w nim stają. Zaiste:

„Wszystko przemija -
życie jak ta chwila



staje w oknie”

póki: „Bóg okna nie przymknie”.

Obraz odchodzącego w niebyt wiejskiego świata tradycji, oswojonego przez babcię i mamę, w którym teraz nawet „sady kwitną obcymi gwarami”, a „postęp tłumaczy język masy” i „ludzie, jak (Gombrowiczowskie) rasowe psy, szczekają nawet na kota sąsiada” boli... I... sielanki koniec! „Zasypaliśmy źródło”.

„Gdzie jesteś?” – tym powtarzanym pytaniem do „życiowych piromanów” poetka próbuje z nami na nowo określić tożsamość w życiu, które „prowadzi nas jak na krowim powrozie”. Tu „wodociąg” faktycznie „wszystko zmienia”, ale czy uda się jeszcze z niego „czerpać... życie do ostatniej kropli, choć pocałunkiem rosy nie napełnisz zwierzęcia ani człowieka” zaiste? W tej poezji Matką jest także Ziemia – „Pamiętaj, matka jest jedna! Nie czekaj, aż zabraknie jej i tęsknota wypełni wszystko!”. Przesłanie, że „Człowiek z każdym oddechem uczy się szczęścia”, brzmi w tym kontekście wręcz eschatologicznie. Ojcowie także znajdują tu coś dla siebie – choćby myśl o rodzinnych priorytetach i miłości... Tej ostatniej raczej do czegoś niż do bliskich. A potem następuje kolejne skażenie sielanki – alkoholowymi oparami i ot, człowiek już „niebieski”...

Tu „przepaście” już faktycznie „kroczą za nami”, a nie „my nad nimi”, a „ludzie-liście potrafią zgasić płomień innych”. Czy uda nam się w tych liściach nie zagrzebać, nie zmarnować życia? Nawet śmierć jest już skażona przez „ochy i achy nad pięknym pomnikiem zamiast modlitwy” – jak przystało na... „zaduszki-wydmuszki”. Faktycznie „Prawda i kłamstwo bolą nawet po śmierci”, chociaż ta pierwsza dosłownie „wdeptana w piach”.

Odkryją Państwo w tym tomiku także inny ob-

raz wojny – widzianej przez pryzmat ofiar – tej sprzed lat i tej tuż obok nas, kiedy tak „trudno być człowiekiem, gdy staje się pożywieniem dla wilków”. A „wydawało się nam, że pokój jest wieczny”... tylko „świat się rozpędził w złą stronę”.

Może miłość? Może dobro i piękno? – gdyby nie one: „świat byłby przedpiekłem, piekłem i wielkim grobem bez światła pieśni, gałązki wierszy, chryzantemy słowa”...

Ale „zakrwawione lustra” mówią co innego. Wciąż „piłujemy nawzajem gałęzie, na których siedzimy”, by w końcu „spaść z drzewa szczęścia”. Toczy nas wciąż „rak wojen”, że (nawet) „krew ma kolor brudu i złości”, a „żaden parasol nie uchroni od śmierci”.

Znajdziecie tu Państwo echa pandemicznych chwil, o których chcielibyśmy zapomnieć, w cyklu „Sonetów pisanych łokciem” i przypominacie sobie, jak trudne są powroty do „normalności”, choćby stały się... „noworocznym postanowieniem poety”.

Jesteśmy „Delikatni jak negatyw”, „wtopieni w tło”, „uwikłani w sieci miłości, której zbyt wcześniej mówiliśmy na ty”, „ścigamy wciąż szczęście”, „przeturlani przez życie” jak... jabłko. Nasza codzienność gnije w wazonie jeszcze świeżych wspomnień – Anna Czarotyszewska nie oszczędza nas.

Aż naszło mnie w tym miejscu pytanie, gdzie tu owo tytułowe światło?! Czy jesteśmy już tylko „wyciśniętą torebką herbaty”? I wtedy zrodził się mój bunt, spotęgowany jeszcze słowami o „miłości jako o kwiecie paproci, którego nikt nie widział”. Czy na pewno „jest dobrze, jak jest”?!

Czarotyszewska wprost igra z czytelnikiem, z naszymi odczuciami, wprowadzając niepokój tak ontyczny, jak i aksjologiczny jednocześnie, targając naszym jestestwem i osadzając w bezwolnej roli „plamy po herbacie na serwecie życia” i wikłając znów w inną sieć – tym razem „internetowego obłądu”. „Nie mamy na wszystko czasu – mami nas tylko zepsuty zegar z kukułką”.

Zeby odkryć tu promyk nadziei, trzeba do rozdziału na nie pogodę, do spacerów aleją Miłości, czerwieni, w której tak ładnie kobietom. I choć jesień życia zdaje się im tak natrętna (pisze młoda kobieta!), to przecież (o tak!) jesteśmy jak drzewa (ale absolutnie nie

zgadzam się z tym, że już tylko „do ścięcia”!) – wraz „z wiosną wypuszczamy młode pędy, a w rozlewisku brodzi znów uwolnione serce w kocich baziach szczęścia”.

Uwiódł mnie szczególnie ostatni rozdział – Głos Wiersza. Zdecydowanie „utkany z pieśni”! By „wyjść z szuflady” wraz z nią „na lepszą życia stronę”, w „oryginalnej niedoskonałości”. Poetka przywołuje w nim postaci Melanii Burzyńskiej i swojej mentorki, Elżbiety Daniszewskiej. Jest Osiecka, jest German – to z nimi poszukuje miejsc „Pani od Wierszy” (czyżby o sobie tak?). Taka Czarotyszewska przywraca mi nadzieję odkrycia na nowo radości życia (pomimo zła!), bo ona ma naprawdę w sobie światło – swoje wiersze! Flirtuje z Szymborską raczej niż ze Słowackim, pisząc swój testament, wspomina Norwida – no cenię, ale zdecydowanie być bym nie chciał. Oby ten „Anioł Stróż od Jej wierszy” znajdował jej kolejnych czytelników, niech ze zdwojoną mocą „wieje weny wiatr”, „bez napinania na wiersz”! (wszak sam wspomina, że „im wyżej, tym oddychać trudniej”. Niech Jej „świta”, by potem i nam „wierszem”!

Wiadomo, że „cudzych smutków nie zmierzy się własną miarą”, ale autorce przecież udaje się skutecznie je rozgonić! Zatem niech żyje z nami o... „każdy wiersz w sam raz”, byśmy razem z Nią umieli „smakować teraźniejszość”! Prawda, że smacznie? Jak ta chałwa, którą lubię mieć zawsze pod ręką – zupełnie jak ten tomił – moje lekarstwo na egzystencjalne bóle, czego i Państwu życzyć z całym przekonaniem, nawet jeśli... nie lubicie... chałwy. No bo przecież... wierszy Czarotyszewskiej nie można nie lubić!

Na koniec, za Jej Mistrzem – ks. Januszem St. Pasierbem – przytoczę znamienne słowa:

„Człowiek zbudowany jest z nadziei. Ona jest jego siłą i motorem”.

To tę nadzieję dają wiersze Anny Czarotyszewskiej, bo tylko: „Doświadczenie nocy, doświadczenie ciemności – dopiero one pozwalają nam dostrzec wartość światła”.



Wywiad z ukraińską aktorką Iren Rozdobudko

Natalia Chintalian

Iren Rozdobudko – znana ukraińska pisarka, scenarzystka, dziennikarka, wykładowczyni dramaturgii filmowej na Uniwersytecie Kijowskim im. Iwana Karpienki-Karoho, a także kilkukrotna laureatka międzynarodowej, prestiżowej nagrody „Koronacja Słowa”, nazywanej także literackim Oscarem Ukrainy.

O dzieciństwie i początkach twórczości

Czy Iren to Pani prawdziwe imię?

Tak, to moje pełnoprawne imię nadane mi przez rodziców. Nie jestem Ireną, lecz Iren. Zawsze tego pilnowałam i nadal pilnuję. Mój ojciec był zakochany w bohaterce powieści Johna Galsworthy’ego „Saga rodu Forsyte’ów” – Iren Forsyte. Mama była nawet swego czasu zazdrosna o tę bohaterkę (śmiech). Gdy rodzice poszli mnie zarejestrować w USC, doszło niemal do bójki – w Doniecku nie było wtedy imienia Iren, zwłaszcza bez „a”. Ojciec postawił jednak na swoim po godzinnej kłótni. Czasami ludzie sądzą, że to mój pseudonim, ale nie – to moje prawdziwe imię.

Czy utożsamiała się Pani kiedyś z tą bohaterką?

Kiedy mama przeczytała losy Iren Forsyte, zrozumiała, że to kobieta niezwykła, o trudnym losie. Uważała, że imię może kształtować przeznaczenie. Myślę, że miała rację. Moje życie prywatne też pełne było dramatów i namiętności. Tak, to imię z pewnością niejedno mi przyniosło. I dziś jestem z niego dumna.

Czy będąc dzieckiem, lubiła Pani słuchać opowieści rodziców?

Raczej to ja byłam typem opowiadaczki. Mówiłam bez przerwy. Nawet sama do siebie, gdy dzieci nie było na podwórku. Tworzyłam historie o kwiatach i ziołach. A kiedy moja siostra była chora, czytałam jej „Kandyda” Woltera – najpierw wiernie tekst książki, a potem, gdy mnie to znudziło, wymyślałam własną fabułę. Miałam wtedy siedem lat! (uśmiech). W pewnym momencie siostra zorientowała się i spytała: Zaraz,

tego chyba nie było?! Musiałam przyznać, że reszta pochodziła z mojej wyobraźni.

Czy już wtedy rodziła się Pani jako pisarka?

Nie, wtedy chciałam... robić lody! Obok nas był lokal gastronomiczny, w którym kobieta w białym fartuchu włączała maszynę, z której płynęła do szklanek biała słodycz. Marzyłam, żeby też móc to robić. Moje dzieciństwo nie było bez troskie. Rodzice przez kilka lat pracowali w Niemczech, a ja mieszkalam wtedy z babcią. Gdy wrócili, byli mi niemal obcy. Wiele sytuacji wymuszało na mnie obserwację, refleksję i samodzielność. To mnie ukształtowało.

Dlaczego porzuciła Pani poezję?

Pisałam po rosyjsku, publikowano moje utwory w „Komsomolcu Donbasu”, uczęszczałam do studia literackiego im. W.M. Sołsiury. Wiersze były dla mnie sprawą życia i śmierci. Mówiłam mamie: To nie radość, to ból. Mogę się zapisać, mogę umrzeć jak Mandelsztam, jak Cwietajewa. Z czasem przyszła fascynacja twórczością Liny Kostenko i Mikołaja Winhranowskiego.

W Kijowie pojawiła się potrzeba samoidentyfikacji – kim jestem?, dlaczego mówimy po rosyjsku, choć jesteśmy Ukraińcami? Poezję się słyszy, nie konstruuje. Prozę można budować. Ukraiński to dla mnie morze, w którym czuję każdą falę. Rosyjski – jest jak nóż w masło. Zbyt gładki. To mnie już nie interesowało.

Debiut i droga twórcza

Czy pamięta Pani pierwszą publikację książkową?

Bałam się iść z rękopisem do wydawnictwa, więc wysłałam anonimowo tekst na konkurs „Koronacja Słowa”, tzn. podpisałam się tam męskim nazwiskiem. Zdobylam pierwsze miejsce ex aequo – to był debiut („Pułapka na żar-ptica”, w 2000 roku została wydana pod tytułem „Mercie”). Potem jakoś tak naturalnie przyszła książka, publikacja. Paradoksalnie, dzisiaj bardziej boję się premier swoich książek — odbieram je jako publiczny striptiz duszy. Oczywiście czekam na premierę, ale równocześnie myślę: Niechby jeszcze trochę nie wychodziła. Czuję się wtedy odstonięta.

Czy po debiucie zamknęła Pani wcześniejszy rozdział zawodowy?

Nie, wszystko działo się naturalnie i przechodziło płynnie. Najpierw pracowałam jako konferansjerka w cyrku, później jako dziennikarka, filmowałam też fabryki.

Dziś młodzi mają plany i strategie, uczą się jak promować książki, budować komunikację z wydawcą. Kiedyś tego nie było – działaliśmy intuicyjnie. Trochę im nawet zazdroścę – oczywiście w pozytywnym sensie. My nie wiedzieliśmy, jak to robić.

Z którym z wielkich pisarzy chciałaby Pani móc się spotkać?

Z Kunderą – ale przez bohaterkę mojej powieści „Dwanaście, albo wychowanie kobiety w warunkach nieprzyjaznych życiu”; nie osobiście, nie jako Iren Rozdobudko. Nie lubię wchodzić w rolę fanki. Miałam kiedyś okazję spotkać się ze swoim idolem-poetą i po tym kiedy nas sobie przedstawiono... uciekałam do toalety (śmiech).

Dlaczego?

Chciałam być równorzędnym partnerem, na takich samych prawach; nie kimś z ulicy. Przed spotkaniem z Margaret Atwood chciałabym,

żeby wiedziała, kim jestem.

Czy ktoś z Pani rodziny został w Doniecku?

Mamę zabrałam w 2014 roku. Zostali tam tylko brat i bratowa mamy. Wujek jest starszym, schorowanym człowiekiem, jeździ na wózku, nie chciał się przeprowadzać. Nie rozmawiamy też na tematy polityczne.

Co wpłynęło na Pani decyzję o przeprowadzce do Kijowa?

Zawsze byłam samodzielną. Kiedy rodzice się rozstali, mama dała mi dużo wolności. Już w siódmej klasie podejmowałam własne decyzje. Byłam posłuszna, ale miałam silny charakter – to mnie nieraz ratowało.

O słowie, młodych pisarzach i melodii języka

Czym jest dla Pani słowo?

Słowo to Bóg, muzyka, zapach, ruch. Kiedy wybieram książkę, muszę poczuć dreszcz już przy pierwszym akapicie. Dla mnie słowo jest jak żywa istota, z którą należy rozmawiać z szacunkiem. Gdy piszę, mam wrażenie, że to ono prowadzi mnie – nie odwrotnie.

I to jest piękne.

A co sądzi Pani o młodych pisarzach?

Są fantastyczni – zorganizowani, wspierający się, wiedzący, czego chcą. Kiedy jestem w ich środowisku, czasem mam wrażenie, że są dojrzałsi ode mnie (śmiech). Brakuje w nich naszej dawnej buntowniczości – ale to dobrze. My musieliśmy się buntować, oni mogą po prostu tworzyć.

Jaki jest Pani stosunek do audiobooków?

Jestem za, jeśli nie są pirackie. Świat się zmienił, ludzie słuchają książek, będąc w ruchu. Dzięki audiobookom książki żyją.

Szkoda tylko, że autor nie ma z tego ani grosza. Niektórzy słuchają ich w samochodach, na spacerach – cieszę się, że moje słowa im wtedy towarzyszą. To nowy rodzaj intymności.

Czy można dziś żyć z pisania?

Nie lubię słowa pisarz. Żeby się utrzymać, trzeba mieć inne źródła dochodu. Inaczej można stać się karykaturą samego siebie. Zawsze trzeba mieć zapasowe lotnisko. Wtedy loty są bezpieczniejsze.

Jak zatem określiłaby Pani swoją profesję, skoro nie mianem pisarki?

Jestem człowiekiem, który mówi do innych poprzez litery na papierze (uśmiech). Jeśli powiem, że jestem pisarką, Bóg może zakręcić kurek weny, lepiej więc mówić ciszej i pisać dalej.

Kino, scenariusze, wykłady

Czy miała Pani kiedyś do czynienia z sytuacją, w której ktoś naruszył Pani prawa autorskie?

Tak, choć to wiązało się bardziej z brakiem etyki i lojalności. Przykład? Na podstawie mojej powieści „Tu i teraz” powstał ośmioodcinkowy serial pod roboczym tytułem „Serce wie”, którego scenariusz został sześciokrotnie przerobiony przez cztery zatrudnione w tym celu osoby. Jako autorka dialogów współuczestniczyłam w procesie jego powstawania. Producent zdobył fundusze dzięki mojej pracy. Byłam w szoku. Gdyby choć zadzwonili, pogratulowali, byłoby inaczej. Serial wielu się podobał, mnie nie. Wystarczyłoby zachować ludzką przyzwoitość.

Dlaczego nie występuje Pani już w filmach?

Nie jestem aktorką. Zagrałam epizodycznie w „Guziku”, pojawiałam się też w „Tajemniczej wyspie”, choć nie w rolach mówionych. Kiedyś, w młodości chciałam zagrać Marię

Stuart, znałam nawet wszystkie monologi Schillera, do dziś potrafię je wyrecytować; ale teraz – nie. Wolę być po drugiej stronie kamery.

Jak doszło do tego, że została Pani wykładowcą akademickim?

Poznałam kierownika katedry reżyserii i dramaturgii filmowej uczelni Karpienki-Karoho, Valentyna Witalijowycz Marčenkę, który zapytał: Masz cztery dobre filmy, czemu nie uczysz? Otrzymałam taką propozycję. Najpierw odmówiłam; ale potem się zgodziłam. Tak to się zaczęło. Dziś uczę z pasją, ale też z odpowiedzialnością, bo młodzi słuchają bardzo uważnie tego, co mówię.

Jakie rady daje Pani studentom?

Czytać, słuchać dobrej muzyki (najlepiej klasycznej), oglądać dobre kino... i być sobą! A także nie bać się przyznać do niewiedzy. Mówić, jeśli coś jest nie tak. I nie kopiować, nie przejmować: ani cudzych pomysłów, ani cudzych lęków.

Czy jest coś, czego Pani zdaniem, brakuje dziś ukraińskiemu kinu?

Profesjonalizmu i teorii. Mamy czternaście struktur scenariuszowych – kto o nich pamięta? A to właśnie te narzędzia pozwalają robić kino głębsze i bardziej wyraziste. Ale to wszystko jeszcze przed nami.

Wojna, wolontariat i nowe książki

Jak zmieniło się Pani życie po 2022 roku, czyli po wybuchu wojny?

Nie zmieniła się moja codzienność – zostałam w Kijowie, prowadziłam zajęcia, starałam się trzymać wszystko w ryzach. Pomagałam tam, gdzie mogłam – bez rozgłosu. Piątego dnia wojny wysłałam książki dla dzieci ewakuowanych na Litwę. Sta-

ram się częściej angażować w podobne akcje – inni pisarze robią nawet więcej. Uważam, że o wojnie można pisać tylko wtedy, gdy samej się ją przeżyło.

Czy nadal pisze Pani scenariusze?

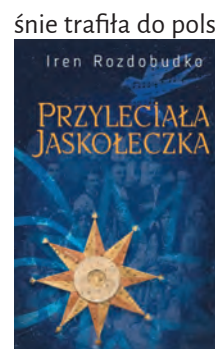
Tak, ale rzadziej. Czekają na realizację u dobrych producentów, a ponieważ są trudne i kosztowne, trzeba najpierw pozyskać na nie środki. Scenariusz to rzemiosło. Teraz bardziej chcę się skupić na pisaniu książek. I to takich, które się przykleją do duszy.

Czy „Rajskie jabłuszka” to książka dla dzieci?

Niezupełnie. To książka o okupacji Kijowa, o codziennym życiu w obliczu wojny oraz o doświadczeniach mieszkańców Donbasu. Ale choć jest to zbiór opowiadań wojennych, który przedstawia też ciężkie przeżycia; to chciałam, żeby mimo wszystko była optymistyczna. Anioły na okładce to moje szkice na szkłe. Maluję, kiedy nie mogę pisać.



Czy tłumaczenie na język polski powieści „Przyleciała jaskółeczka”, opowiadającej o słynnej melodii ukraińskiego kompozytora Mykole Leontowycza, było Pani inicjatywą?



Nie. To prezent od wydawnictwa. Książka właśnie trafiła do polskich księgarni. Cieszy mnie to, bo Polska w sensie kulturowym zawsze była mi bliska.

Które z Pani książek wkrótce się ukaza?

Nowa powieść została

oddana do wydawnictwa Vivat i o ile wiem, jest już w przedsprzedaży. Jej fragment stał się kanwą filmu „Po ludzku”, nagrodzonego w 2023 r. w Kanadzie na Toronto International Women Film Festival. Pracuję też nad kolejną książką, ale to na razie tajemnica, mogę zdradzić tylko tyle, że będzie bardzo osobista.

Jaka jest misja Pani twórczości? Co chciałaby Pani przekazać czytelnikom poprzez swoje książki?

Nie piszę książek tylko po to, żeby po prostu były. Świat jest dziś z jednej strony bardzo emocjonalny, a z drugiej – obojętny. Twórczość w XXI wieku powinna pełnić jakąś rolę, być narzędziem zmiany. To nie są tylko litery, które przeczytasz i zaraz zapomnisz.

Czy chciałaby Pani mieć prywatną bibliotekę?

Nie. Ale marzę o kawiarni przy trasie. Nazywałaby się „Omlet”. Może z dystrybutorem paliwa obok. Samotność i jednocześnie ruch dookoła (śmiech).

Przyjaźń w środowisku literackim

Czy prawdziwa przyjaźń istnieje w świecie literackim?

To zależy od człowieka; nie od środowiska. Ostatnio ktoś mi powiedział: Nie myśl, że ci nie zazdrościsz – zazdrościsz. Ale ja tego nie zauważam. Mam przyjaciółki, które bardzo cenię: Lesię Voronynę i Galinę Wdowyczenko. Mogę do nich zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Są też wierni towarzysze i ludzie, których sukcesy mnie cieszą.

Co budzi Pani irytację?

Złe pisanie. I jeszcze coś... Otóż mam podejrzenie, że sztuczna inteligencja zaczyna niektórym pomagać. Teksty są zbyt gładkie. Dlatego piszę inwersyjnie – żeby żaden al-

gorytm się nie wcisnął.

Czy literatura, Pani zdaniem, powinna unikać kontrowersji?

Nie. Jeśli poddamy literaturę poprawności, nie będziemy mieli własnych Palahniuków czy Millerów. Pisarz może pisać o wszystkim, a czytelnik zdecyduje, co wybiera. Ważne, by nie utożsamiać autora z bohaterem. Jeśli pisarz zacznie się autocenzurować, to nie jest wolność.

Jak odebrała Pani sprawę z udziałem Lesi Voroniny?

Przypomnę, chodziło o to, że podczas prezentacji Pani książki przyjaciółka miała niefortunnie wypowiedzieć się o 12-letnim chłopcu z autyzmem. Półżartem, półserio powiedziała wtedy, że jest on „istotą, która przyciąga uwagę”, co wywołało kontrowersję i szeroką falę krytyki, ponieważ wypowiedź miała miejsce podczas dyskusji o literaturze dziecięcej i integracji osób z różnymi potrzebami. Voronina publicznie przeprosiła i wyjaśniła, że nie zdawała sobie sprawy ze stanu zdrowia chłopca w momencie wypowiedzi.

To mną wstrząsnęło. Przeżywałam to z nią bardzo. W naszym społeczeństwie wystarczy iskra. Uczę studentów: jeśli czegoś nie widziałeś i nie słyszałeś – nie oceniaj! Nie komentuj wprost. Nie bądź okrutny.

Życie prywatne

Jak poznała Pani swojego męża, Ihora Zhuka, który jest bardzo wszechstronnym człowiekiem?

Przypomnę: to bard, poeta i autor piosenek, dramaturg teatralny i filmowy, a także fizyk i projektant. Wielokrotny laureat Nagrody im. Wasyla Stusa (1997). Zdobywca I nagrody Ogólnoukraińskiego Wernisażu Poetyckiego „Róże i winogrona” im. Mykoły Ryłskiego (2006) oraz laureat Ogólnoukraińskiego

Konkursu „Koronacja słowa” (2019) – I miejsce w kategorii „Poezja śpiewana”.

Pierwszy raz zobaczyłam go w telewizji, będąc jeszcze małą dziewczynką. Minęły lata. Przypadkowe spotkania, wspólna praca, znajomi – tak się poznaliśmy. Jakby ta historia była napisana wcześniej...

Czym dla Pani jest macierzyństwo?

To bycie z dzieckiem zawsze: w radości i w smutku. Mam trzy córki, ale szczególną więź mam z Janą. Przeszliśmy wiele. Zawsze byłam po jej stronie, nawet jeśli farbowała włosy na zielono. Innymi słowy – dałam jej swobodę, a ona sama wybrała dla siebie niezależne życie.

Dziękuję za rozmowę.

Na zakończenie wiersz Iren Rozdobudko

Poetę zabić – sprawa nie jest trudna.
On sam idzie na zew, jakby z więzienia,
Chory czy zdrow, gna w noc, wzywając wozaka,
W kłębku zapomnienia, w rozpacz – bez tchu.
Gdy nie ma koni, a czas się rozmywa,
Myje kufle w karczmie dla hulaków,
Deklamując poematy ladacznicom.
A gdy i to mu się znudzi – odchodzi.
Zostaje wybór: rozkosz czy wieczność.
Wśród kłamstw i próżniactwa poeta
Znajdzie pogodny sposób na wolność...
I wieczna droga – przez sny i obozy.
I wieczny strach – służyć chamowi.
I wieczny ciężar – mówić ze światem.
I wieczna miłość – nad wieczność wyżej...

Portrety osobowościowe Brunona, Juny i Jerzego w książce „Narieczona Schulza” Agaty Tuszyńskiej

Mirosława Stojak

Mam wrażenie, że jestem w amoku, ale takim, który nie wynika z silnego wzburzenia i nie jest kojarzony z agresją czy przemocą, lecz wynika z podniecenia, a właściwie przejęcia i głębokiego przeżywania. Od zawsze byłam wielbicielek twórczości Brunona Schulza, szczególnie literackiej, chociaż jego rysunek także podziwiałam. Pochłaniało mnie jego życie: narzeczeństwo z Józefiną Szelińską i tragiczny los, który sprawił, że stał się ofiarą nazistów, jak miliony Żydów. Przeczytałam wiele książek na temat Schulza. Wszystkie ciekawe, interesujące, otwierające okna do jego świata.

Ostatnia książka, którą właśnie skończyłam czytać, to „Narieczona Schulza” pani Agaty Tuszyńskiej. Sprawia, że płaczę jak dziecko. Płaczę i nie mogę się uspokoić.

Bruno - geniusz, a geniuszy się nie ocenia. Juna - kobieta kochająca Bruna miłością największą i do końca swoich dni. Jej też się nie ocenia, bo miłość jest bezwarunkowa, a w jej przypadku także ponadczasowa.

Jerzy - to Jerzy Ficowski, poeta wielkiego formatu, badacz i propagator twórczości Schulza, miłośnik ich obojga: Bruna i Juny, ale przecież nie tylko...

Zaczynam od niej, bo to jej poświęcona jest książka. Józefina Szelińska, nazywana przez narzeczonego Juną, nad wyraz piękna, dystygowana i elegancka. O wyraźnej urodzie: kruczoczarnych włosach i śniadej cerze. Dumnie krocząca, znająca swoją wartość, może nawet lekko wyniosła. Bardzo dobrze

wykształcona jak na kobietę tamtych czasów, polonistka, nauczycielka, bibliotekarka. Poniewierana za czasów Gomułki. Zdegradowana ze stanowiska dyrektorki do stanowiska szarej urzędniczki. W późniejszych latach stroniąca od ludzi, nawet od nielicznych przyjaciół.

Tragizm czasów i wydarzeń, jakie miały miejsce w jej życiu, spowodował, że już nigdy nie pogodziła się z życiem. Nie zrezygnowała jednak, pomimo wielu zarzutów i wątpliwości wobec swego



narzeczonego, z miłości do niego. Niestrudzenie zabiegała o pamięć i rzetelną opinię o jego wielkości. Stawiała sobie za główny cel: wyniesienie Schulza na piedestał, jako twórcy wyjątkowego, którego twórczość - jak i on sam - pozostała nieśmiertelna.

Juna to przyjaciółka państwa Ficowskich. Długie rozmowy i prowadzona latami korespondencja - zaczęte, gdy Jerzy był młodym, początkującym poetą, i trwające aż do czasu, gdy jego nazwisko stało się rozpoznawalne w elitach artystycznych ówczesnej Polski, sprawiły, że przyczynił się do stworzenia głębokiej analizy nie tylko utworów Schulza, ale także jego kształtu osobowościowego. Józefina dawała informacje o ich związku, ale Jerzy był cierpliwym i bardzo dyskretnym słuchaczem, który w końcu wydobywał z niej to, co zechciała mu przekazać.

Bruno - skomplikowany,

wielowątkowy i pogmatwany. Niezbyt przystojny, ale też nie brzydki. Jednak to nie jego uroda przyciągała kobiety, lecz dziwność i intelekt. Bardzo inteligentny i elokwentny, zdolny w wielu dziedzinach: poczynając od literatury, poprzez rysunek i malarstwo, aż po matematykę i fizykę. Wspaniały gawędziarz: wymyślał bajki i niestworzone opowieści na poczekaniu. Był jak mag. Nie było w nim żadnej małostkowości, dążył do sławy, bo tylko ona mogła poprawić komfort jego życia i wynieść ponad przeciętność. Człowiek bardzo nieśmiały i skryty, zanurzony w swoim świecie, niezbyt towarzyski. Można by rzec introvertyk.

Juna była jego muzą, stymulowała go i wskrzeszała do życia. Dyskutowali dużo i na wszystkie tematy, choć zwierzać wolał się Nałkowskiej i innym kobietom, nie jej. Lubił ją portretować, kiedy mu na to pozwalała, a kiedy nie, szukał muz-modelek wśród prostytutek, z których usług sam ponoć korzystał.

Był mężczyzną o wstydliwych popędach i potrzebach seksualnych, na które jego narieczona przymykała oczy. Do czasu jednak. Wiedziała i domyślała się po jego rysunkach, że potrzeby i marzenia Bruna nie należą do zwykłych ludzkich spraw. Podniecały go kobiece stopy i dominacja bata nad nagim mężczyzną. Bruno był niezdecydowany, bał się odpowiedzialności, dlatego ciągle odkładał ich ślub, a nawet wspólne zamieszkanie w Warszawie. Nie znalazł w sobie wystarczających sił, by zamieszkać z narzeczoną. Odwiedzał ją, a ona ciągle się łudziła.

Bruno utrzymywał także siostrę i jej dzieci, co też nie było dla niego łatwe.

Ostatecznie się rozstali. Ona chciała pożegnać się z tym światem na zawsze, zrozpaczona połknęła garść tabletek, ale lekarzom udało się uratować jej życie. On być może nawet o

tym nie wiedział.

Nigdy już nie byli razem. Ich narzeczeństwo trwało 4 lata, ale w tym czasie zdążyła już poznać jego słabości, talenty, wady i zalety. Wszystkiego było po trochu, ale kochała go takim, jakim był: koślawym, cichym, czasem wystraszonego. Kochała jego ułomności, drobną posturę, listy, książki, rysunki na skrawkach papieru. Kochała jego „Sklepy cynamonowe” i później napisaną książkę „Sanatorium pod Klepsydrą”, którą, zgodnie z obietnicą, zadedykował jej. Chociaż czułości w dedykacji już zabrakło.

Wiedziała, że jej miłość do niego była silniejsza niż jego do niej, o czym on sam także pisał do swoich przyjaciół.

Jego śmierć zdawała się być nieunikniona, bo z hitlerowskim planem całkowitej eksterminacji narodu żydowskiego, wszyscy Żydzi byli na nią skazani. Nie skorzystał z możliwości ucieczki, a Juna przez całe swoje dalsze życie zastanawiała się: dlaczego? Przecież wszystko było przygotowane. Kiedy jednak przeanalizowała wszystkie za i przeciw, zrozumiała, że nie leżało w jego naturze, pozostawienie na pastwę losu najbliższych.

A może zwyczajnie nie zdążył, kiedy już wracał z bochenkiem chleba do domu i nagle dwa strzały esesmana położyły kres jego życiu...

Jerzy Ficowski niestrudzony poszukiwacz, pasjonat, człowiek wielkiego serca. Przyjaciel. Wybitny poeta. Olśniony twórczością i osobowością Schulza od samego początku.

Co łączyło tych dwóch mężczyzn? Metafizyka, dusze, wrażliwość?

Przecież się nie znali, nie zamienili ze sobą słowa. Minęli się w życiu jak dwa tramwaje. Kiedy Bruno miał trzydzieści kilka lat, Jerzy dopiero przyszedł na świat. Połączyła ich jednak miłość

do słowa: wielka, gorąca, pęczniająca czystością i zmysłowością. A potem „Sklepy cynamonowe” i „Sanatorium pod klepsydrą”. Jakże nie kochać takich słów, dzwonek pieśni i melodii wierszy?! Jak nie kochać kogoś, kto pisze najpiękniej, inaczej niż wszyscy i jakby nie z tego świata?!

Jerzy dojrzywał, by zostawić ślady wielkości Schulza: zbierał informacje, materiały i ciągle czytał geniusza. Słowo za słowem, wers za wersem. Rozkoszował się ich prostotą i głębią, które i jemu były bliskie. Odwiedzały go w dzień i w nocy. Ten geniusz zaraził go swoją magią, czarem, poświatą i zwykłością.

Byli jak bracia. Wielu ludzi podejrzewało ich o koligacje rodzinne. Tyle ich łączyło, nawet wygląd zewnętrzny, nie mówiąc już o skromności, skrytości i cichości obu

panów. Jednakowo czuli, przeżywali, dociekali. Jerzy szukał, drążył, sprawdzał i pisał, dużo pisał, ciągle coś nowego, co udało mu się odkryć, dowiedzieć, zdobyć.

Wybrał się nawet śladami geniusza. A nuż ktoś coś opowie, dopowie. Może pamiętają, może... Może jakimś cudem uda mu się odnaleźć listy, które Juna ukryła w willi swoich zamordowanych rodziców podczas ucieczki stamtąd... może!

Drohobycz stał się jego miastem. Szedł ulicami, po których chodzili kiedyś Schulz i Juna. Był tu i tam: w Janowie pod Lwowem, Jarosławiu, Truskawcu. Teraz i on wtopił się w ślady czasu. Był blisko nich, a może nawet z nimi... Bo to była miłość aż po grób.

Na lipę. Miłości Agnieszki Osieckiej.

Mirosława Stojak

Agnieszka Osiecka była obiektem westchnień wielu mężczyzn i sama także do wielu wzdychała, jednak zawsze twierdziła, że należy wyłącznie do siebie.

To miało się zmienić, gdy zbliżyli się z Jeremim Przyborą, z którym, co prawda nie od razu, lecz z upływem czasu, zaczęła romansować na lipę, zakochując się znacznie wcześniej w jego listach niż w nim samym.

Poznali się w 1964 roku, kiedy Agnieszka miała 28 lat, a Jeremi 49. Ona była młodą, ale już rozpoznawalną poetką i autorką piosenek, on – dojrzałym, uznanym artystą kabaretu „Starszych Panów”. Ich znajomość to jedna z najbardziej niezwykłych i subtelnych historii miłosnych polskiej kultury XX wieku – pełna poezji, dystansu, liryzmu i niespełnienia. To uczucie nie trwało długo (niespełna dwa lata) i nie rozegrało się spektakularnie, ale zostawi-

ło po sobie jeden z najpiękniejszych zapisów korespondencji miłosnej w języku polskim. Mowa tu oczywiście o „Listach na wyczerpanym papierze”.

To była trudna miłość, przechorowana przez oboje. Agnieszka twierdziła, że przywiązała się do Jeremiego jak pies. Kochała go, ale nie umiała zrezygnować z wolności, która dawała jej szczęście. W niepamięć poszły „Pokrzywy nad Brdą”, wspólne włóczenie się po mieście, gorące noce, jego opowieści o Tomaszu Manie i śmiech.

A i Jeremi, starszy od Agnieszki o niemal 20 lat, miał już wówczas dzieci i był uwikłany w inne zobowiązania, co z pewnością także wpłynęło na losy ich relacji, która zaczęła przybierać charakter namiętnego romansu, by wreszcie wygasnąć. Żyli w różnych światach, mieli inne potrzeby, obowiązki, rytmy dnia. Ją wciąż gna-

ło do przodu, podczas gdy on lubił niespieszność.

Miłość pobudzała Agnieszkę do życia, stymulowała do tworzenia, była jej absolutnie niezbędna, rozniecała w niej płomień, który rodził ekscytację, pożądanie i węgę. To właśnie miłość była dla Osieckiej czymś fundamentalnym, czymś, co rozpałało ją twórczo i emocjonalnie.

Kochała Saską Kępę, Pragę II, a przede wszystkim mężczyznę, który miał być na lipę.

Osiecka nie znosiła samotności, lubiła i łaknęła towarzystwa, nieustannie ciągnęło ją do ludzi.

Ciągle szukała miłości, jej życie uczuciowe pełne było tęsknot, miłosnych perypetii oraz emocjonalnego głodu.

Z dwoma mężczyznami weszła w związki małżeńskie, które jednak nie przetrwały próby czasu, ani ten z filmowcem Wojciechem Frykowskim (zawarty w Zakopanem w 1963 r.), ani ten z reżyserem teatralnym Wojciechem Jesionką (zawarty w Warszawie w 1966).

Życie uczuciowe Agnieszki było burzliwe, szczególnie wtedy, kiedy spotykały się dwie energetyczne dusze, dwoje ludzi o wielkich intelektach.

Z pisarzem Markiem Hłaską poznali się w drugiej połowie lat 50., gdy oboje byli bardzo młodzi – Osiecka studiowała wtedy reżyserię w łódzkiej filmówce, a Hłasko był już znany, choć dość kontrowersyjnym pisarzem. Połączyła ich młodzieńcza fascynacja i intensywne, ale krótkotrwałe uczucie, które dość szybko się wypaliło. Była to relacja namiętna, intensywna emocjonalnie, ale też trudna i właściwie skazana na rozpad. Hłasko był impulsywny, nieprzewidywalny, czasem destrukcyjny. Osiecka – wrażliwa, ale niezależna. Uczucie wypaliło się – prawdopodobnie z powodu różnic charakterów i stylu życia.

Z Danielem Passentem poznali się w

latach 60., gdy oboje byli już osobami znanymi w warszawskim środowisku literacko-dziennikarskim. Łączył ich wielowymiarowy związek, oparty na miłości, przyjaźni, fascynacji intelektualnej, a od 1973 r., gdy na świat przyszła ich córka Agata, również na rodzicielstwie; ale i ta relacja okazała się nietatwa, pełna napięć, wzlotów i rozczarowań.

Tworzyli rodzinę, wspólnie mieszkali, ale nigdy się nie pobrali. Ich pożar we krwi, jak nazywał ten związek Daniel, wypalił się po dziesięciu latach, gdy Agnieszka poznała innego mężczyznę.

Był to o piętnaście lat młodszy od niej dziennikarz, Zbigniew Mentzel. Nastąpił czas twórczego rozkwitu, ale i trudności. Związek, jak wiele jej miłości, okazał się intensywny, choć niestabilny. Relacja ta była bardziej znajomością opartą na spotkaniach, wspólnych wyjazdach i wymianie myśli, niż na tradycyjnym życiu domowym. Nigdy w ciągu czternastu lat trwania ich intymnej zażyłości nie zamieszkali wspólnie.

Mężczyzną, z którym Agnieszka spędziła trzy ostatnie lata życia, do końca wspólnie pracując nad sztuką „Darcie pierza”, był reżyser, popularyzator kultury żydowskiej i twórca Teatru Atelier w Sopocie, André Hübner-Ochodlo, 27 lat młodszy od Osieckiej, który do końca czuwał przy jej szpitalnym łóżku.

Agnieszka chciała kochać i być kochaną. I choć miłość wielokrotnie ją zdradzała, rozczarowywała, gubiła, niszczyła, to i tak zawsze była ważniejsza od wszystkiego i wciąż poszukiwana na nowo.

Pięknie pisała o miłości, ale jakby do wyobrażonej przez siebie, często także i wyidealizowanej, wersji ukochanego mężczyzny. To nie była miłość, która mogła przetrwać próbę prozy życia, więc tak, u Agnieszki – bywało na lipę, ale jaka to była piękna lipa.

Źródła:

1. Beaty Białej, Osiecka. Tego o mnie nie wiecie, Warszawa 2020.
2. Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze – ułożyła i opatrzyła przedmową i komentarzami Magda Umer, Warszawa 2010.

Na podstawie reportażu Kaliny Błażejowskiej „Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych”

Mirosława Stojak

Szumiące prysznice

Szpital Psychiatryczny w Gostyninie-Zalesiu ma długą historię. Długą, ale też trudną i kontrowersyjną za sprawą nazistowskich Niemiec. W czasie II wojny światowej stał się jednym z głównych ośrodków, dotkniętych nazistowską akcją T4. W szpitalu tym mordowano ludzi chorych i niepełnosprawnych, którzy w opinii oprawców, zaliczali się do grupy „nie zasługującej na życie”. Proceder ten dotyczył w dużej mierze także dzieci, bez względu na ich narodowość, wiek czy stadium choroby. Mordowano więc z zimną krwią dzieci: polskie, żydowskie i niemieckie.

Dziś to Wojewódzki Samodzielny Zespół Publicznych Zakładów Opieki Zdrowotnej im. prof. Eugeniusza Wilczkowskiego, który udziela świadczeń zdrowotnych stacjonarnych i całodobowych dla dorosłych w zakresie: opieki psychiatrycznej i psychoterapeutycznej, leczenia uzależnień, rehabilitacji, a także świadczeń opiekuńczo-leczniczych dla dorosłych, młodzieży i dzieci.

Ośrodek położony jest na terenie kompleksu parkowo-leśnego, wśród zieleni i śpiewu ptaków, co sprzyja rekonwalescencji chorych. Zespół ma do dyspozycji 361 miejsc dla pacjentów na różnych oddziałach. Należą do nich oddziały: psychiatryczny, psychogeriatryczny, rehabilitacji, leczenia uzależnień i inne. Wśród wielu z nich widzę także: Poradnię Psychologiczną dla Dzieci i Młodzieży oraz Poradnię Zdrowia Psychicznego dla Dzieci.

Szpital został uruchomiony w 1933 roku, choć budowę obiektu (finansowaną ze składek skarbu państwa i składek powiatowych związków komunalnych) rozpoczęto już w 1929 roku. Ówczesnym dyrektorem placówki został dr n. med. Eugeniusz Wilczkowski. Po dwóch latach odnotowano, że w szpitalu prze-

bywało 240. pacjentów, natomiast pierwszy wyleczony pacjent został wypisany do domu w lutym 1934 roku. Szpital powiększano, powstawały nowe budynki, stanowiące nierozdzielalną część obiektu, takie jak obora, chlewnia czy rzeźnia, wykorzystywane na potrzeby szpitala. Powstała także pracownia analityczna, gabinet fizjoterapii i pracownia psychologiczna. Założono sąd. Szpital korzystał z własnej studni głębinowej oraz energii elektrycznej, szwalni, zakładu krawieckiego i szewskiego, w których to pracowali sami pacjenci, pokrywając w ten sposób koszty swojego leczenia.

Czas wojny to czas bestialstwa i mordowania pacjentów szpitala. Pierwszych dziecięciu chorych Niemcy wywieźli w lutym 1940 roku. Miesiąc później przejęli zarząd nad szpitalem. Rozpoczął się etap cichego wywożenia pacjentów. Pierwsza grupa liczyła 70 osób, które zostały wywiezione, pod opieką niczego niepodjęrzejawiających pielęgniarek, do Zakładu dla Ubogich w Śremie, a stamtąd 56. chorych wywieziono do lasu w okolicy Mosiny i tam zamordowano. Stało się codziennym zwyczajem, że małe grupki chorych rozpyływały się jak kamfora, nie wiadomo gdzie, i ślad po nich ginął. Zaczęto domyślać się prawdy, lecz wszyscy mocno zastraszeni, milczeli jak grób.

Książka pani Kaliny Błażejowskiej „Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych”, okładką i tytułem od razu zwróciła moją uwagę. Autorka apeluje w niej o pamięć dla Pomordowanych, a jej krzyk dociera do mnie. To wzruszająca historia Szpitala Psychiatrycznego w Gostyninie-Zalesiu i jego podopiecznych z czasów II wojny światowej, a więc czasu, kiedy szpital ten był pod jurysdykcją niemieckich okupantów.

Sądziłam, że na temat terroru, okrucieństwa i bestialstwa nazistów wiem dużo, jednak po przeczytaniu książki stwierdzam, że nie tak bardzo, skoro ciągle jestem zaskakiwa-

na nowymi okropnościami. Książkę czytałam z przerwami na łzy, bo to o czym czytam, bardzo boli i porusza serce. Boli jak diabli.

Pensjonariusze szpitala szli na rzeź, cicho, nieporadnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co ich czeka ani dokąd idą. Potulni, przestraszeni, bezbronni. Niektórzy jakby przeczuwając, że ten spacer skończy się źle, wrywali się, wierzgali, krzyczeli i zapierali się nogami. Ale wszyscy oni trafiali ostatecznie tam, skąd powrotu nie było. Jedni do rzekomej kąpieli pod szumiące prysznice, z których wydobywał się gaz, drugim aplikowano zastrzyki rzekomo na uspokojenie, a ostatecznie i tak - jedni i drudzy - trafiali do pieców krematoryjnych firmy Kori z Berlina, która po zakończeniu II wojny światowej nadal produkowała swoje piece, z tą różnicą, że nie palono już w nich ludzi.

Z dziećmi obchodzono się nieco inaczej. Zachowywano pozory ich rzeczywistej choroby, chociaż wśród zamordowanych tylko pięć procent stanowiły dzieci autentycznie chore psychicznie. Ta śmierć pozornie wydawała się humanitarna, bo przecież dzieci poddawane były różnym medycznym doświadczeniom, zmierzającym do ich rzekomego wyleczenia, ale i tak pomoc lekarzy okazywała się złudna. Jak naprawdę wyglądało owo leczenie dzieci? Z rdzenia szyjnego pobierano płyn, a wpuszczano powietrze. Faszrowano dzieci dużymi pastylkami i wstrzykiwano im w uda zastrzyki z luminalu. Efekty były prawie natychmiastowe. Dzieci dostawały wysokiej gorączki, wymiotowały, dostawały drgawek i konwulsji, traciły siły i powoli umierały. Te wycieńczone i wychudzone istotki były jak podeptane kwiaty w ogrodzie, ogołocone z dzieciństwa, radości, miłości i bezpieczeństwa. Nie dostawały szansy na wyleczenie, na opiekę ani rekonwalescencję. Nie dostawały najmniejszej szansy na dalsze życie, nie pozwolono im żyć. Zostały przeznaczone do eksterminacji. Trzeba zaznaczyć, że wśród pacjentów gostynińskiego szpitala w czasach niemieckiej okupacji i niemieckich rządów, były także dzieci sieroty, niepokierujące się po ulicach, żebrzące z głodu, odrzucone z powodu upośledzenia umysłowego, epilepsji albo niezgrabności fizycznej, te które były balastem dla rodziny,

niechciane. Ginęły wszystkie.

Czy ktoś przeżył? Tak, ale skutki doświadczeń, jakie przeprowadzano na pewnym chłopcu, były obecne w całym jego powojennym życiu. Bóle głowy i kości męczyły go każdego dnia, a trauma pourazowa zadomowiła się na stałe. Ten dorosły dziś człowiek ma dzieci, mówi, że są całkiem zdrowe, zatem jego dolegliwości nie są genetyczne ani dziedziczne. On sam przeżył tylko dlatego, że w owym szpitalu pracowała jego daleka kuzynka, która nie podawała mu tabletek i nie robiła zastrzyków. Czasami podrzuciła mu też coś do jedzenia, bo w szpitalu tym również głodzono dzieci.

Niemiecka doktor Hecker kochała swoją pracę aż nadto. Była posłuszna Hitlerowi. A akcja T4 - polegająca na fizycznej eliminacji „życia niewartego życia” - należała do jej wewnętrznych przekonań. Z szaloną i sumienną starannością wykonywała rozkazy, jakie przychodziły z samego Berlina. Wiadomo, jakie to były rozkazy, ale ona wierzyła głęboko, że rasę aryjską należy oczyścić z jednostek podejrzanych, słabych, kalekich i kruchych. Chwytała się różnych sposobów, by dzieci nie wychodziły wyleczone ze szpitala, by przeciągać w nieskończoność ich pobyt w jednostce, tym bardziej, że zainteresowanie tymi dziećmi ze strony rodzin nie było duże. Prowadząc korespondencję z rodzicami, którym los ich dzieci nie był obojętny i wymuszając na nich różnego rodzaju zezwolenia na dodatkowe badania (doświadczenia) w celu rzekomego poprawienia stanu zdrowia, doprowadzała do ich śmierci, najczęściej zaraz po fakcie oporu i determinacji niektórych rodziców chcących zabrać dzieci do domu.

Po śmierci małego pensjonariusza spisywano akt zgonu z podaniem przyczyny śmierci, która była jednym wielkim fałszerstwem. Była tam wpisywana grypa albo zapalenie płuc, obok takich przyczyn jak: schizofrenia, otępienie, niepoczytalność czy płasawica Huntingтона. Dzieci rzekomo chowano na cmentarzu zakładowym, ale w rzeczywistości były to doły, w których umieszczano po kilkadziesiąt ciałek. Z czasem roznosił się po okolicy smród, a leśne zwierzęta roznosiły fragmenty zwłok. Wówczas postanowiono palić ciała w piecach. Nikt nigdy nie odnalazł tam żadnego grobu. Za

to popiół, jaki wysypywał się z pieców firmy Kori, zalegał w gostynińskich lasach i rzekach: Osetnicy i Skrwie Lewobrzeżnej.

W książce został jeszcze opisany Szpital Psychiatryczny w Lublińcu, który również skrupulatnie przestrzegał hitlerowskiej polityki „niszczenia życia niezdolnego do życia”, i w którym pracowali lekarze-oprawcy. Były w nim także „tante” (ciocie), które znęcały się nad niesfornymi dziećmi, długotrwale polewając je zimną wodą lub owijając ich ciała w mokre prześcieradła bądź koce. Wśród chorych dzieci były też zdrowe, ale niegrzeczne, nadpobudliwe, moczące łóżko, które należało zniszczyć, bo jak mniemano, nic dobrego z nich wyrosnąć nie może.

W lublinieckiej klinice rządził dr Buchalik, który po wojnie będzie prowadził dostatnie i wygodne życie, i nigdy nie zostanie osądzony za swoje zbrodnie.

Podobnie będzie z dr Hecker oraz innymi niemieckimi lekarzami czy pielęgniarkami. Niesamowite jest to, że po wojnie nadal będą pracować w szpitalach z chorymi dziećmi. Czy tam też będą podawać tabletki i zastrzyki z luminalem?

W szpitalu prowadzona była haniebna praktyka: wyjmowano zmarłym dzieciom mózgowie i rdzeń kręgowy, które następnie wysyłano do Breslau (do Wrocławia), gdzie doktor Scherer – mfody, zdolny neuropatolog z Instytutu Neuropatologicznego badał je dla rozwoju i chwały nauki. Zresztą nie tylko on. Takich było wielu, w tym także dr Sandi. Z pasją kroili dziewczynki i chłopców dla własnego naukowego rozwoju, który nierzadko przynosił im rozgłos i pieniądze. Nie mogli przecież pozwolić, by taki materiał badawczy zmarnował się w ziemi...

Żeby wszystko przebiegało zgodnie z prawem, obok szpitala znajdowała się szpitalna kostnica, a trumny były otwierane w przypadkach, gdy rodzice zdawali się być rozczarowani i mocno naciskali na dyrektora. Pozory zostały zachowane, a każda istota ludzka odnotowana w czarnym zeszycie, który będzie czekał przeszło 20 lat, by udowodnić, że mordowane dzieci skrupulatnie zaznaczano czarnym krzyżykiem przy nazwisku. Oczywi-

ście wszystkie dane osobowe zostały zapisane zgodnie z niemieckim porządkiem. 293. dzieci, tyle samo imion i nazwisk. I to ciągle nic, za mało, by udowodnić winę mordercom.

Warto jeszcze nadmienić, że dzieci umieszczane były na oddziałach A i B. Oddział A – to oddział przejściowy, a B – likwidacyjny. Nie trzeba chyba tłumaczyć, który do czego służył.

Dziś w miejscu dawnego szpitala znajduje się Hotel Zamek, zapraszający w swoje progi wszystkich, którzy potrzebują odpoczynku i relaksu. Wokół rozwieszone są plakaty reklamujące miły pobyt wśród zieleni. Miły i spokojny. Niedaleko znajduje się cmentarz, a na nim jedna zbiorowa mogiła, ku pamięci pomordowanych dzieci. Jedna? Przecież dzieci chowano w pojedynczych grobach. Jak to możliwe? – Tak łatwiej było upamiętnić wszystkie zamordowane dzieci – mówi ktoś. Na ogół mieszkańcy nie wiedzą, co wydarzyło się na zamku podczas wojny, może tak im wygodniej, w końcu nawet prospekt hotelowy nie wspomina o niecnej przeszłości tego miejsca podczas wojny.

Niewiedza? Głupota? Bezdusznosc? Jak to określić?

Niemcy prowadzili badania, by ustalić czy dzieci umieszczane w szpitalu psychiatrycznym chorują na imbecyizm dziedziczny, czy nabyty. I to było w porządku. Nikt nie pofatygował się po wonie, by sprawdzić jaki imbecyizm reprezentowali niemieccy oprawcy, choć mogłyby to być imponujące wyniki badań dla całej ludzkości.

Uważa się, że w latach wojny, a więc od 1939 do 1945 ogółem zabito około 200 000 ludzi upośledzonych, niepełnosprawnych i niesamodzielnich, głównie poprzez rozstrzelanie, zagazowanie bądź otrucie. Dokładne dane nie są znane, ponieważ akcja miała charakter półoficjalny, a z czasem podlegała utajnieniu.

Reportaż Kaliny Błazejowskiej „Bezdusznici. Zapomniana zagłada chorych”, to dzisiejsze przypomnienie o nierozliczonej wczorajszej winie.

Zza ekranu – recenzja tomu poetyckiego Małgorzaty Kulisiewicz „Kinoptycznie”

Marcelina Koncewicz

Spotkanie z poezją, które proponuje Małgorzata Kulisiewicz w swoim tomie pt. „Kinoptycznie”, stanowi inspirującą propozycję dla wszystkich amatorów kina i literatury. Niepozorna, czarno-biała okładka skrywa ponad 80 utworów, a każdy z nich to fascynująca filmowa zagadka.

W utworze, od którego tytułu powstała nazwa tomiku, autorka formułuje swoje credo. Deklaruje, że świat postrzega w kategoriach filmu, jej oczy „filmują”, a nie patrzą, „żrenice jak kamera” rejestrują obraz, zaś życie to „czyjaś opowieść”. W tym theatrum mundi sprawczą rolę odgrywa właśnie podmiot postrzegający owo „ja”, które dzieli się swoimi refleksjami za pomocą filmowych metafor. W podróży po świecie kina czytelnikowi towarzyszą frapujące tytuły rozdziałów: „Ekran miasta”, „Fabryka snu”, „Miriady” i „Zwarcie”. Uwagę zwraca szczególnie ten ostatni – czy słowo „zwarcie” oznacza tu po prostu podsumowanie poetyckich refleksji czy też odkrywanie zgrzytów, dysonansów w otoczeniu autorki? Na taki trop mogą naprowadzać nawiązania do obecnej sytuacji politycznej, m. in. wojny w Ukrainie. Przejmująco los zabitych opisuje „Ballada ukraińska”, będąca współczesną wersją Mickiewiczowskiej „Romantyczności”. Niezwykle sugestywny jest także obraz zbombardowanego miasta, odbierany z perspektywy psa, którego pan zginął w trakcie wybuchu („Głodujący pies”).

Pocieszenie podmiotowi lirycznemu przyniesie brutalną rzeczywistość, przynosi ucieczka w przeszłość kina – złotą erę Hollywood. W wierszach Małgorzaty Kulisiewicz można znaleźć nawiązania do wielu filmów z tamtego czasu, takich jak chociażby „Casablanca”, „Przeminęło z wiatrem” czy „Śniadanie u Tiffany’ego”. O ponadczasowej wartości sztuki filmowej mówi utwór pt. „Nowoczesne czasy”, w którym możemy przeczy-

tać: „Kino nie przemienie/w ciemnej sali/zawsze będziemy wyświetlać/nasze marzenia”. Te wersy niosą za sobą nie tylko przekonanie o nieśmiertelności kina, ale także trafną obserwację, że najbardziej na wielkim ekranie lubimy oglądać to, czego skrycie pragniemy i o czym śnimy.

Poza inspiracją filmem w „Kinoptycznie” przebiega motyw miasta. Chodzi tu oczywiście o Kraków, miejsce zamieszkania autorki. Wspomina ona „nowohuckie gołębie” („Mleczny ząb”) albo uwielbiane przez poetów Planty („Do utraty oddechu”). Tematem wierszy Małgorzaty Kulisiewicz czyni także sam proces pisania. Dzieje się tak na przykład w utworze pt. „Pod-teksty”, gdzie padają słowa: „zdzieram znaczenia/wspinam się/ i schodzę w głąb”. Niewątpliwie jest to niezwykle trafny opis własnej poetyckiej metody. Autorka „Kinoptycznie” nie zadowala się podstawowym, najbardziej intuicyjnym znaczeniem słów i stara się odkrywać ich najgłębsze sensy, jednocześnie cały czas wspinając się po szczeblach poetyckiego rozwoju.

Otwarcie tomiku Małgorzaty Kulisiewicz jest jak naciśnięcie przycisku play na odtwarzaczu DVD – dajmy się zabrać w tę sentymentalną podróż do świata kina.



„I otwały się drzwi... O bracie Eliaszu medytacje” Ewa Szelburg-Zarembina

Bożena Ciesielska



Powieść „I otwały się drzwi...” należy do cyklu franciszkańskiego i chyba do najtrudniejszych utworów Ewy Szelburg-Zarembiny. Druga część tytułu książki wyjaśnia, że będzie mowa o bracie Eliaszu i medytacjach na jego temat. Powieść

wydano w 1971 roku („Zakochany w Miłości” 1961 rok, „Imię jej Klara” 1964 rok).

Gdy pada słowo „medytacja”, od razu myślimy o rozważaniach, przemyśleniach i refleksjach. I tak jest w istocie, gdy narratorka snuje rozmyślenia o postaci brata Eliasza, o jego czynach, postępowaniu, relacjach z innymi ludźmi i pracy oraz o szczególnej więzi łączącej go z Franciszkiem z Asyżu. W niektórych fragmentach opowieści mówi o sobie sam Elias. On jest głównym bohaterem. Wydarzenia nie są przedstawione chronologicznie. Stąd może wynikać trudność w ułożeniu ich po kolei. Skoro jednak mamy do czynienia z medytacjami, nie muszą chyba być opisane według chronologii. Najbliższym współpracownikiem i przyjacielem Eliasza był Franciszek zwany Francuzikiem. Elias jest jego uczniem. Na zestawieniu tych dwóch osób opierają się opisane wydarzenia.

Elias Bombarone był synem właściciela składów wełny i warsztatów tkackich. Urodził się na przedmieściu Asyżu. Poznał się z Franciszkiem podczas bitwy na Rocca. Nie walczyli, gdyż byli za młodzi. Pomagali

kopać rowy i grzebać zabitych. Potem dorosli i cieszyli się swobodą, muzyką, śpiewem i zabawą. Mieli przyjaciół, z którymi spędzali beztroski czas.

Rozważania narratora polegają na stawianiu wielu pytań. Jaki byłby los Eliasza, gdyby nie poznał Franciszka? Jakie byłoby życie Franciszka, gdyby nie znajomość z Eliaszem? Obaj wywróżyli sobie przyszłość z mszału w kościele. „Sprzedaj, co masz i rozdaj biednym” - prostota życia. Czy dla nas żyjących w XXI wieku byłby do przyjęcia i zaakceptowania taki sposób życia? Brat Elias wzorował się na Franciszku, obserwował jego czyny, sposób mówienia do innych, ale i oceniał, i zapamiętywał, i analizował. Uwielbiał go, był nim zafascynowany, a wręcz zakochany.

Nie zawsze podobało mu się zachowanie Franciszka. Opowiadając o losach głównego bohatera, narrator trzyma czytelnika w napięciu. Zapowiada, że wydarzą się pewne fakty. Dowiadujemy się z ust Eliasza, że był wyklęty aż trzy razy. Nie wiemy z jakiego powodu. Dopiero stopniowo odkrywa się tajemnica wydalenia ze społeczności chrześcijańskiej, a potem powrót na łono kościoła. O tym, jakim był człowiekiem Elias, świadczy fragment: „Więc - budowa. Wszędzie. Zawsze. Na wszelkie sposoby. To właśnie znaczy - żyć. To - rządzić. I to właśnie znaczy - służyć. Znaczą - być wiernym. Nareszcie wiedzieć, że było się, jest - wiernym. Do ostatniego tchu! Do ostatniego”. Ideą życia Eliasza było wznoszenie świątyń. Poświęcał się tej pasji z upodobaniem. Był bardzo aktywny, niezwykle energiczny, o praktycznym umyśle, uparty, zdeterminowany, dynamiczny, zręczny w czynach i skuteczny. Budowane kościoły

miały uczcić postać Franciszka i zachować o nim pamięć. Elias i Franciszek są do siebie podobni pod niektórymi względami, ale też zarazem bardzo różni. Narrator zestawia ich obu na zasadzie kontrastu. Franciszek uwielbiał ubogie i małe kościółki. Elias przyjął inny sposób. Należy budować kościoły z rozmachem, tak żeby nie były opuszczone czy zniszczone. A przy tym miały zachwycać oglądających.

Gdy odbyły się kolejne wybory, nie wybrano Eliasza. Przeżył ten fakt boleśnie. Miał zasługi, dobre imię i szacunek ludzi. Mógł się wycofać z życia i poświęcić czas na budowę i wystrój kościołów. Zaczęły pojawiać się oskarżenia, że nie przestrzega cnoty ubóstwa, niszczy dzieło Franciszka i nie realizuje jego testamentu. Jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że zastępcę Franciszka wyklęto i potępiono? Dlaczego brata Eliasza obłożono klątwą? „Zaznawałem podziwu - podziw rozdził zawiść. Zaznawałem szacunku - szacunek powodował zadrażnienia małostkowych ambicji. Zaznawałem nieograniczonego posłuchu - posłuch zrodził bunty i zdrady. Zaznawałem spokoju - spokój prowokował do kalumnii” - mówi Elias. Czy zbyt dużo czasu poświęcał na sprawy papiesko-cesarzkie? Czy nie powinien być wierny papieżowi? Czy uwikłanie się, między cesarzem a papieżem, zaszkodziło Eliaszowi? Czytelnik nie znajduje odpowiedzi na te pytania.

Powieść „I otwały się drzwi... O bracie Eliaszu medytacje” Ewy Szelburg-Zarembiny stanowi wyjątkowy obraz brata Eliasza. Pokazuje skomplikowany charakter człowieka średniowiecznego, patrzącego w przyszłość - wizjonera. Dzięki opisom poznajemy ówczesny świat i ludzi. Podejmowane krucjaty w obronie Grobu Jerozolimskiego budzą przerażenie.

Kunszt pisarski Ewy Szelburg-Zarembiny ujawnił się w wielu jej powieściach. Także w tym świetnie napisanym utworze o

bracie Eliaszu. Często dominują równowagi niki na przemian ze zdaniami: „Ciężar na ciężar. Siła przeciw sile: oboma posłużył się był. Wtedy. Teraz...”. Pisarka stosuje wielokropki („Gdyż próba to była, chociaż ty... ty błogosławienia jej straszliwości nieświadom... chyba nie... na pewno nie...”), zadaje szereg pytań („Bo komu innemu? Na co by? W jakim celu?”), używa powtórzeń i porównań („Bo zwinny zwinnością łasiczki, jak łasiczka sprężysty i jak owo stworzonko przymilnie śmiały aż do ostrości”, „Na ziemi twardej twardo stanąć”) oraz różnego rodzaju epitetów („łaki kwiciste”, „drzewne zagaje”, „ptactwo pierzaste”, „słodkiej ziemi”). Posługuje się metaforami: „Jako że Stwórca i tę potrzebę uwzględnił w człowieku, dając oczy ku patrzeniu na piękno barw i kształtów, uszy ku słuchaniu harmonii dźwięków, węch, smak, dotyk - wspomagające przy postrzeganiu oraz wchłanianiu piękna, które, gdy czystość zamierzenia je materializuje - całe jest czystością”. Tworzy też neologizmy („Zewszyskąd”).

Czas znajomości twórczości pisarki - chyba - już dawno przeminął. Mało kto czyta jeszcze jej powieści, choć szkoda, że stała się autorką zapomnianą. Nadal pokutuje opinia, że pisała tylko utwory dla dzieci. Nawet wznowienie jej książek dla dorosłych na niewiele się zda. Zresztą można je kupić na Allegro lub wypożyczyć w bibliotekach, które nie wyrzuciły jej utworów. Są jeszcze drukowane książki dla dzieci takie jak „Najmilsi”. Czy znajdują się wielbiciel prozatorskiego talentu Ewy Szelburg-Zarembiny? Oby!

Szczęściara

Danuta Sut-Karykowska

Trzynastego maja o godzinie trzynastej trzynaście autobus numer 103 z impetem przejechał obok przystanku o wdzięcznej nazwie: 17. południk. Kinga odetchnęła z ulgą. Fatum feralnej trzynastki zostało podwójnie przełamane. Szczęśliwie południk był siedemnasty, a autobus miał numer 103. Do 113 albo – co gorsza – do 13 nigdy by nie wsiadła. Wystarczy, że już od samego rana prześladował ją pech. Najpierw stłukł jej się ulubiony talerzyk i stłukł się było jedynym słusznym sformułowaniem, ponieważ mogłaby przysiąc, że nawet go nie dotknęła, tak samo jak prawie nie tknęła spiętrzonej na suszarce do naczyń porcelanowo – fajansowo – szklanej konstrukcji z kilku poprzednich dni. Później nie mogła znaleźć swojej szczęśliwej bluzki, specjalnie przeznaczonej na takie trudne dni i okazje. Nie pomogła nawet żarliwa modlitwa do świętego Antoniego, przeplatana aktami strzelistymi w stylu: Noszkur, akurat dzisiaj?!, czy Przecież musi gdzieś być, do cholery!. A na koniec, na parking, okazało się, że ma flaka w tylnym, lewym kole. Oczami wyobraźni widziała szalejącego po osiedlu psychopata, który przebijał opony najpiękniejszym mieszkankom bloków... Ale winna okazała się jakaś mała, zakrzywiona blaszka, na którą musiała wjechać wracając z pracy.

Dlatego właśnie mknęła prawie pustym autobusem w kierunku centrum, ściskając między nogami reklamówkę z biedry (ale ekologiczną, wielokrotnego użytku!), z wypchaną indyczką w środku. No właśnie. Chociaż raz chciałyby być taka jak wszyscy, normalna, a nie oryginalna lub – mówiąc wprost – dziwna! Ale Wszechświat zdecydował inaczej i właściwie już się z tym pogodziła. Trzeba przyznać, że udawanie

normalnej szło jej bardzo dobrze: skończyła studia, znalazła pracę i zamieszkała w odziedziczonym po ciotce mieszkaniu. Fakt, że ciotka była bardziej szalona od niej, trochę ją pocieszał. Podejrzewała zresztą, że to w ramach jakiejś wieźmowej solidarności zapisała jej to mieszkanie w spadku. Mieszkanie było małe, ale po niewielkim remoncie wystarczało na potrzeby mało towarzyskiej singielki. Tylko ta indyczka. Kto normalny umieszcza w sypialni, na półce na ścianie, centralnie naprzeciwko łóżka, wypchaną indyczkę? Indyczka była stara, nieco wypłowiała i dawno wylądowała by na śmietniku, gdyby nie zapis w testamencie, że Kindze nie wolno jej wyrzucić. Mina notariusza podczas odczytywania ostatniej woli ciotki – bezcenna. Kinga natomiast nie była specjalnie zdziwiona tą ekstrawagancją. Przewidywała, że wcześniej czy później i tak pozbędzie się mało urodziwego prezentu. Nie przeszkadzał jej jednak zbytnio w codziennej egzystencji, z czasem stając się niejako substytutem towarzystwa i niemym rozmówcą. Mówiła do ptaka, żeby nie było, że mówi do siebie. Indyczka królowała więc w sypialni, dopóki nie przestraszyła pewnego wrażliwego amanta Kingi, który stwierdził, że nie może się z nią kochać, kiedy to ptaszysko patrzy na niego i śledzi go wzrokiem, i uciekł. Po tym przykrym incydencie Kinga ściągnęła indyczkę z półki, wytarła ją z kurzu i stwierdziła, że rzeczywiście, miała ona wyjątkowo przenikliwe spojrzenie – jeśli można tak powiedzieć o wypchanym zwierzęciu z parą czarnych koralików zamiast oczu. Przeniosła ptaka do aneksu kuchennego, ustawiając go na lodówce.

- Będzie ci tu dobrze – mówiła, jakby chcąc się usprawiedliwić. – To dobry punkt ob-

serwacyjny. Będiesz wszystko widzieć, a przynajmniej nie będziesz mi odstraszała absztyfikantów. Ty rzeczywiście wyglądasz, jakbyś śledziła wszystko wzrokiem!

I tak mieszkaly sobie razem aż do dnia, gdy Kinga znalazła w skrzynce na listy ulotkę z napisem: „13 maja kupię wypchane ptaki. Dobra cena.”, z podanym adresem i hasłem: PALINDROM. Dziwne – pomyślała, ale kusiła ją możliwość dodatkowego zarobku oraz pozbycia się niechcianego prezentu, bez pogwałcenia ostatniej woli ciotki. Przecież nie wyrzuci indyczki, tylko ją sprzeda! Może trochę naciągane, ale przyda się parę groszy.

Nic się nie martw. Na pewno trafisz do jakiegoś zapalonego kolekcjonera. Może nawet trochę ci odpicuje, bo – szczerze mówiąc – nie wyglądasz najlepiej – tłumaczyła indyczce i mogłaby przysiąc, że ta patrzyła na nią z wyrzutem. Spakowała ją więc do reklamówki, żeby była gotowa na następny dzień i żeby nie gryzło jej sumienie...

Szesnastopiętrowe wieżowce przy ulicy Czarnieckiego lata świetności dawno miały za sobą. Kiedyś drapacze chmur z wielkiej płyty zachwycały nowoczesnością, ale Kinga była zbyt młoda, żeby to pamiętać. Widziała tylko wyblakłe kolory, odpadający tynk, brudne ściany i grożące zawaleniem balkony. Co za melina, pomyślała wchodząc do bramy. Wybrała numer na domofonie, w którym po chwili odezwał się piskliwy, męski głos:

- Słucham?

- Ja w sprawie ogłoszenia – odpowiedziała Kinga.

- Hasło! – usłyszała.

- Palindrom – powiedziała.

- Hasło – powtórzył głos.

- Palindrom – powiedziała głośniej.

- Palindrom to nie jest palindrom – zniecierpliwiony głos zabrzmiał jeszcze bardziej piskliwie.

Ach, więc o to chodzi! Kinga zaczęła gorącz-

kowo szukać w myślach i po chwili wyrecytowała jedyny palindrom, jaki przyszedł jej do głowy:

- Kobyła ma mały bok.

- Słabe. Ostatnie piętro – zapiszczał głos i prawie równocześnie dało się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi.

W tle Kinga słyszała coś jeszcze – dziwny hałas, jakby pisk, ale po wejściu na klatkę schodową musiała się zmierzyć z innym wyzwaniem. Straszny smród, połączenie uryny i zaduchu, sprawił, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Nienawidziła jeździć windą, ale przeraziła ją wizja wchodzenia na szesnaste piętro. Na samej górze czekał na nią niski, starszy mężczyzna w białym fartuchu, prawie łysy, o szczupłej twarzy i małych, ptasich oczkach.

- Zapraszam, zapraszam – powtarzał z wymuszonym uśmiechem. – Gdzie jest ta ptaszyna?

Świdrował Kingę wzrokiem i utkwiał wzrok na reklamówce.

- Mogę zobaczyć naszą dziewczynkę? – wyciągnął rękę.

Miał w niej jakiś szpikulec. Zawstydzony cofnął dłoń i wyciągnął drugą. Kinga odruchowo zrobiła krok w tył i poczuła coś miękkiego pod stopami. Spojrzała w dół i zobaczyła, że stoi na piórach. Zresztą pierze unosiło się w powietrzu, gospodarz miał je na resztkach siwych włosów. Było wszędzie. Dziewczyna poczuła, że drapie ją w gardle i utrudnia oddychanie. Staruszek przestał się uśmiechać, a Kinga zauważyła czerwone plamy na jego fartuchu. Krew?? I ten pisk, dobiegający przez uchylone drzwi mieszkania naprzeciwko... Mężczyzna musiał zauważyć jej wzrok i zamierzył się na nią szpikulcem. W obronnym odruchu Kinga zastoniła się reklamówką, w efekcie czego to indyczka zebrała cios przeznaczony dla niej.

Drzwi windy zdążyły się już zamknąć, ale wystarczyło wcisnąć guzik, żeby otwo-

rzyły się z powrotem. Kinga błyskawicznie wskoczyła do środka i gorączkowo wciskała przyciski. Roztrzęsiona i spocona, wybiegła z budynku.

- Co to było?! – krzyknęła. Do siebie? Do indyczki w reklamówce? Do grupki młodych ludzi przed bramą, którzy patrzyli na nią jak na wariatkę?

Od tego czasu dużo się zmieniło. Kinga i indyczka jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły. Nie rozmawiały o wydarzeniach tamtego strasznego dnia. Czasem tylko spoglądały na siebie porozumiewawczo, jakby mówiły: My wiemy, co się mogło stać.

Kinga zrozumiała, dlaczego ciotce tak bardzo zależało, by nie rozstawała się z przyjaciółką. Przestała też tak bardzo bać się znaków, przesądów i dziwnych zjawisk.

Zabrała indyczką do profesjonalnego taksydermisty. Był trochę zdziwiony, że klientka nie chce zostawić ptaka w zakładzie i domaga się renowacji na miejscu, ale - w myśl zasady klient nasz pan - podjął się zlecenia. Indyczka została naprawiona, odzyskała świeży wygląd, a nawet dostała imię: Szczęściara.

Déjà-vu

Danuta Sut-Karykowska

Wybieram szczęśliwe liczby i skreślam toto-lotka. Kończę i patrzę na wypełniony kupon. Nagle mam déjà-vu: już widziałam ten obraz i znam te myśli. Zamykam oczy. Usiłuję przypomnieć sobie dalszy ciąg. Przyszłość z przeszłości... Czy wygrałam? A może lepiej nie wiedzieć? Jeśli nie wygrałam, stracę nadzieję na wygraną i to, co robię teraz będzie pozbawione sensu. A jeśli wygrałam, to może tylko w tamtym, innym świecie, a nie tu i teraz. Zżera mnie ciekawość, ale nic z tego. Przebłysk trwał krótką chwilę i nie chce odsłonić tajemnicy. Czy w krainie déjà-vu jestem tą samą osobą? Czy ty też tam jesteś? A może w tamtej rzeczywistości już nie żyję? Może umarłam zaraz po wypisaniu kuponu? Co za dziwne, niepokojące, a zarazem niezwykle i intrygujące uczucie...

Otwieram zaciśnięte powieki i ze zdumieniem patrzę na uśmiechniętą postać,

która siedzi naprzeciwko mnie. To chyba ja! Chociaż jakby trochę inna. Jakaś bardziej promienna i szczęśliwsza? Ktoś chrząka znacząco, więc spoglądam w bok i po swojej prawej stronie widzę mojego kolejnego sobowtóra. Ten widok mniej mi się podoba: blada, smutna, z oczami podkrążonymi bardziej niż moje. Instynktownie zerkam w lewo. Jest i trzecia! Najbardziej odjechana i szalona, z jakimiś kolorowymi kokardkami we włosach i w czerwonych okularach. Wszystkie trzy zjawy wpatrują się we mnie uważnie, jakby czekały na moją reakcję.

- Jesteście mną? – pytam niepewnie. A moje awatary, cokolwiek to jest, przytakuja głowami.

- Z przeszłości? Z przyszłości? – moje kolejne pytania wzbudzają pobłażliwe uśmiechy.

- Raczej z równoległych światów – odpowiada Szczęśliwa, podczas gdy Szalona do-

powiada: – Jest nas więcej. Smutna nic nie mówi, tylko opuszcza głowę.

- Wiedziałam! – triumfuję. – Czułam, że coś takiego istnieje! Tyle razy miałam déjà-vu i nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć. Opowiadajcie! Jak tam jest u was?

- Jest tak, jak zdecydujesz. Za każdym razem. Ty jesteś Matrycą – mówi Smutna. I wyczuwam w tym lekki ton wyrzutu.

- To ja decyduję, czy wygram w lotto???

Teraz Szalona patrzy na mnie z ironicznym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: I kto tu jest szalony, ale odpowiada uprzejmie:

- Nie, tu akurat decyduje rachunek prawdopodobieństwa, ale twoje decyzje determinują bieg zdarzeń. Na przykład nasza siostra – wskazała na Smutną – po wygraniu miliona stwierdziła, że chce być wolna i korzystać z życia. Zostawiła męża i dzieci i wyjechała w podróż do ciepłych krajów. Pieniądze szybko się rozeszły i nawet chciała wrócić, ale wszyscy odwrócili się od niej, a jej miejsce zajęła życzliwa koleżanka. Została sama i trochę źle to znosi.

- Która koleżanka? – podchwytyuję chwilowo najważniejszą informację.

- A o RODO słyszałaś? – karci mnie Smutna i wzdycha głośno. Widać, że ulżyłoby jej wyjawienie imienia zdrajczyni.

- Rodo-srodo – mamroczę ze złości pod nosem.

- A ty czemu jesteś cały czas taka zadowolona? – atakuję w odwecie Szczęśliwą.

- Bo osiągnęłam w życiu równowagę, odnalazłam siebie i nie ma we mnie negatywnych emocji – odpowiada, jakby recytowała wyuczoną lekcję.

- Taaa, akurat! Nie ze mną te numery! A nasza, powiedzmy, jeszcze bardziej wesoła siostra? Co ją tak cieszy? – gryzę się w język, żeby nie nazwać Szalonej wariatką.

- Ja niczym się nie przejmuję, czerpię z życia pełnymi garściami i żyję chwilą. Ale tak po prawdzie to my nie jesteśmy twoimi siostra-

mi. Ty jesteś Matrycą, czyli taką, jakby naszą matką. Szalona najwyraźniej osiągnęła dar mówienia bez ogródek.

- Wypraszam sobie. Jestem za młoda na to, żeby być waszą matką – protestuję z godnością.

No proszę, one są siostrami, a ja mam być ich matką? A w ogóle, co to za teksty pełne frazesów, jak z podręczników do bycia szczęśliwym? Coś mi tu śmierdzi...

- A czemu w ogóle zawdzięczam waszą wizytę? – znowu wszystkie trzy przybyszki patrzą na mnie uważnie.

- Potrzebujemy twojej pomocy. Równowaga pomiędzy światami została zachwiana i tylko ty możesz nam pomóc – mówi poważnie Szczęśliwa.

- Jesteś naszą ostatnią nadzieją – dodaje płaczącym tonem Smutna.

- Wystarczy, że podasz nam login i hasło do swojego konta w bankowości elektronicznej, a my zajmiemy się resztą – rzuca bez troski Szalona.

- Cooo? Kompletnie wam odbiło? Ja tu się cieszę z historycznego spotkania między światami, a wy chcecie mnie oskubać z pieniędzy, których w dodatku nie mam? Co za podłość! – uderzam pięścią w stół i... nagle budzę się. Jest już całkiem ciemno i jestem zupełnie sama. Musiałam przysnąć na siedząco, z głową opartą o stół. Od uderzenia w blat boli mnie ręka, ale czuję ulgę, że nie dałam się nabrać na nowy – po metodach: na wnuczka, na policjanta i na pracownika banku - rodzaj przekreślenia: na déjà-vu. Brrrr. Aż mnie ciarki przeszły. Ja wiedziałam, że to déjà-vu to nic dobrego.

Do woja marsz!

Jan Chruśliński

Miasteczko dyszało upalnym wrześnieniem, barwiło się owocami w sadach i na straganach ciągnących się kolorowym sznurem wzdłuż targowiska. Od Regi biegł rozprężonymi ulicami wilgotny powiew, rozpraszając między domami osłabiony odległością warkot maszyn czerpiących piasek z dna rzeki. Gmach gorzelni czerwonym monumentem wynosił się ponad bujną zielenią skweru oddzielającego go od drogi biegnącej do Drawska Pomorskiego. Oko biegłokup przeciwległemu brzegowi rzeki; nad jaśniejącą mieliznami wodą unosiła się nienazwana melodia szczęścia i radości; wibrowała pieśnią wygrywaną na akordeonie przez Edka Dulkę i śpiew dziewcząt i chłopców cieszących się swoją młodością. Gdzieś plusnęło opalone, brązowe ciało, gdzieś zabrzmiał okrzyk radosny czy przywołujący. Fale rzeki pluskały głucho o dna czerniejących smołą łodzi rybackich. Na prawo widoczny most okraczał swoim przęsłem dwie części miasta, leżące na dwóch przeciwległych brzegach rzeki. Miasto jaśniało w blaskach słonecznych promieni i strzelało w niebo ostrą, późnogotycką wieżę kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Skwer tonął w kwiatach i krzewach różnorakich, pogmatwanych wzajemnie gałęziami. Na ławce młoda mama wpatrzona w kolorowe pismo, poruszając rytmicznie nogą wprawiała wózek z dzieckiem w przyjemne kołyszące drgania.

[1]

Na innej ławce leżał Wojtek Mrówka, czytając z książki otwartej nad głową. Od Regi szedł, ulotny, nieuchwytny, a jednocześnie ciężki, nawiewany przez wiatr, niezwykle zapach rzeki. Na chwilę

odłożył książkę.

Wczoraj otrzymał kartę powołania do wojska. Dlatego do końca września widział tylko jedną chmurkę na jasnym niebie: niepewność, co go tam czeka i jak to wszystko przyjmie Krystyna. Gdyby był sam... Albo raczej, gdyby był tym samym chłopakiem, co przed spotkaniem Krystyny, nie miałby żadnych obaw. A teraz? Wczoraj rozmawiali o tym w przeświadczeniu, że niebawem, najpóźniej w czasie przysięgi, znów się spotkają. A potem, za dwa lata, będą już na zawsze razem.

Nagle ciszę przerwał natarczywy terkot i z cienistej ulicy Kościuszki wytonił się mały chłopiec z kółkiem. Z wysuniętym językiem przebiegł z przenikliwym zgrzytem, naciskanej fikuśnie wygiętym drutem żelaznej fajerki.

Chłopiec miał na imię Michał – ponoć po pradziadku. Świat Michała ograniczał się do ciasnego mieszkanka, pachnącego naftaliną szpitala, w którym pracowała jego mama, gdzie wszyscy byli zabiegani i śmierć przechadza się po korytarzach, zostawiając za sobą niemiły odór środków dezynfekujących. Było jeszcze podwórko z jednym dogorywającym w milczeniu drzewkiem, więc nie warto było się tam bawić. Lepiej tworzyć swój świat, po którego powierzchni można się było po prostu miękko prześlizgiwać, nie budząc zainteresowania.

Obrazek ten sprawił, że przed oczyma Wojtka stanęła przywołana pamięcią i sercem scena sprzed kilkunastu lat. Jakże inne było jego dzieciństwo.

Wstał z ławki i spacerowym krokiem skierował się do swojego mieszkania.

Z każdym kłapięciem stóp po chodniku coraz bardziej się rozluźniał. Gdy dotarł do żwirowanych alejek parku, oddychał głęboko i czuł się zrelaksowany. Park pachniał żywicą, chrzęściło pod stopami wyschnięte igliwie i otwarte do światła miodowo złote szyszki. Przypominały dzieciństwo. Zbierał je do domu na opał. Buzowały wtedy w kuchennym piecu, trzaskały, pachniały lasem, mieszając się z wonią grzybowej zupy z koprem, gotowanej na kolację. Usiadł pod starą sosną, opierając się o jej chropowaty pień. Patrzył na młode świerczki, przeświecające świeżutką zielenią między starymi pniami sosen. Cieszył się tą chwilą samotności, chociaż obraz Krystyny prześladował go nieustannie. Wrócił do mieszkania. Wziął prysznic i wciągnął luźne spodnie i golf. Ich niezmaczona czerń podkreśla jego wzrost. Na ramiona narzucił miękki jasnoniebieski dres.

Najbliższą niedzielę spędzili razem z Krystyną, w jego pokoju, na niekończącej się rozmowie. Wspominali początki swojej znajomości i rozmawiali o przyszłości.

W pewnym momencie Krystyna westchnęła, niby to rozbawiona, ale była w tym kropla gorzkości.

– Posmutniałaś. Dlaczego?

– Bo nadszedł czas naszego pożegnania – odezwała się sięgając po torebkę z białej skórki, na długim pasku.

Odprosił ją do domu.

Deszcz powoli cichł. Na poczerniały wilgocią asfalt skapywały z drzew ostatnie krople. Wiatr przeganiał po niebie obłoki, ukazując skrawki błękitu. Uśmiechnął się do niego promiennie, chociaż tak naprawdę nie było mu wcale wesoło.

Obydwoje nie przypuszczali, że była to ich ostatnia taka rozmowa ani że nigdy więcej się nie spotkają.

Nazajutrz była całonocna jazda koleją w zatłoczonym wagonie. Obce miasto, szare

i smutnawe, skąpane było w porannej, październikowej mgle, gdy zobaczył przejście przez bramę koszar, przy której stał na warcie młody żołnierz z karabinem i bagnetem zadzierzyscie sterującym ku górze. Specjalnością bojową jednostki wojskowej, do której go wcielono, była piechota – ta szara piechota – uważana za chlubę każdej armii, opiewana przez poetów i ukochana przez wszystkich, a zwłaszcza kobiety, bo przecież: za mundurem panny sznurem... Wytrawny piechur – wiadomo – przejdzie przez wodę, ogień i... śmierć.

Tuż za bramą czekali na poborowych podoficerowie. Pokrzykiwali, wydawali komendy, dla tych pierwszych trudne jeszcze do wykonania. W końcu uformowali ich w kolumnę marszową. W tym momencie padła komenda:

– Naprzód marsz!

Ruszyli, ich kroki zabrzmiały, jakby ktoś rzucił garść kamyków na blaszaną płytę. Ktoś komuś nadepnął na piętę, ktoś się zachwiał, jeszcze inny zaklął.

– Ach, wy ofiermy! – Chodzić nie potraficie! – nie wytrzymał starszy sierżant Blaszką, a oficer dyżurny tylko pokiwał głową.

W izbie chorych stanęli przed komisją lekarską. Jedni spokojnie czekali na przegląd lekarski, nie zwracając uwagi na nagość swoją i innych, a drudzy obserwowali ukradkiem gołe ciała. Niektórych można było podziwiać: ich dobrze rozwinięte mięśnie, mocne nogi, zgrabne sylwetki. Wśród pozostałych wyróżniał się jeden – Edek, tak się Wojtkowi przedstawił – cherlawy, nad miarę chudy. Każde żebro dokładnie zaznaczało mu się pod skórą. Ręce także miał niezbyt umięśnione, a w dodatku chude, cienkie, z dużymi dłońmi, które wstydliwie zaślaniały jego nagość.

Któryś spojrzał na niego i krzyknął rozbawiony:

– Ej, prawiczek, co tak sobie zaślaniasz? Boisz się, żeby ci nie pofrunął ten twój ptaszek?

Huknęli śmiechem i zgrupowali się wokół niego. Jeden taki – kawał byka – przeciągnął mu palcami po żebrach. Wystają ci jak klawiatura; można ci na żebrach grać jak na harmonii!

– Chłopaki, a może to dziewczynka, trzeba sprawdzić, co tam tak zaślania.

– Słuchaj, dupku – odwal się od niego – odezwał się dobrze zbudowany i umięśniony jak kulturysta chłopak, potrząsając pięścią przed nosem temu, który się naigrywał. – I obchodź go z daleka, bo będę musiał ci przypomnieć, że ze mną nie ma zabawy. A teraz zadzieraj kiecę i spadaj, bo inaczej moja noga pozna twoje cztery litery i nie będzie mogła o tym szybko zapomnieć. Zrozumiałeś?

– Coś taki obrońca? – odwarknął.

Nagle drzwi poczekalni otworzyły się. Stał w nich kapral Nowak. Od razu spostrzegł zamieszanie.

– Kurwa, co tu się dzieje? – wrzasnął. – Ustawić się w kolejce – rozkazał. Raz dwa, nie tracić czasu...

– Wał się – mruknął Wojtek cicho do siebie, zajmując miejsce w kolejce.

– Poborowy – krzyknął w jego kierunku. – Nawet jak mamroczenie, musicie dodawać obywatelu kapralu!

Zbliżył się do niego.

– No, posłuchajcie – patrzył z bliska groźnym wzrokiem. – Tym razem

wam się upieczcie, bo dopiero was wcielono, ale uważajcie, bo następnym razem nie będę już taki pobłażliwy. Rozmowę ze mną, potraktujcie jako ostrzeżenie i dobrze wykonujcie swoje zadania. My, wasi dowódcy, będziemy dbać o wasze potrzeby, będziemy wam szli na rękę, a wy już na początku postępujcie wbrew. Tak nie może być, musicie się starać i wtedy

czeka was nagroda: wyróżnienia, urlopy, listy gratulacyjne... Jest o co się starać, choć służba wojskowa w naszym pułku jest ciężka i trudna. Rozumiecie to, prawda?

Sapał jeszcze przez chwilę i rozpoczął wydawanie komendy.

Starali się dobrze wykonywać jego polecenia. Przypadek spowodował, że Wojtek znalazł się tuż za kulturystą. Pierwsi wchodzili już do gabinetu. Lekarz oglądał ich, osłuchiwał, mierzył, ważył. Na ogół byli zdrowi, choć wielu było niedożywionych.

Przed wejściem do gabinetu kulturysta obejrzał się na kolegę. Niespodziewanie puścił perskie oko i powiedział:

– Dobra jest, to było niezłe z tym dupkiem. Kazik jestem.

– A ja Wojtek.

Weszli do środka. Nie zdążyli jeszcze ochłonać, kiedy Wojtek usłyszał:

– No, podejdź bliżej, nie bój się, krzywdy ci tu nikt nie zrobi – mówił lekarz.

Spod niedbale narzuconego kitla wyglądał mundur, na wieszaku wisiła czapka z dystynkcjami kapitana.

Wykonywał wszystkie czynności, które mu kazano: przysiady, wdech i wydech, zważono go i zmierzono. Kapitan czynił wszystko mechanicznie, spieszył się, bo za drzwiami stała jeszcze długa kolejka, a chciał zbadać wszystkich przed kolacją.

– No szybciej, szybciej – popędzął. Jesteś zdrowy, tylko za chudy, słabo się odżywiałeś synu, ale w wojsku się odkarmisz... Będzie z ciebie dobry wojak... No to zmykaj. Siostró, proszę zanotować: zdolny do odbycia służby wojskowej... Następny... Nazwisko...

Już Wojtek otwierał usta, żeby coś powiedzieć, zapytać, gdy zorientował się, że stoi przed młodą, piękną dziewczyną. Jej widok przypominał pejzaż z zachodzącym słońcem, rudozłote wijące się, lśniąco włosy, mądre

patrzące oczy koloru miodowego, karnacja przypominająca w kolorze i gładkości owoc brzoskwini. W tym momencie uświadomił sobie, że jest nagi, jak go Pan Bóg stworzył. Zacerwienił się. Odruchowo skrzyżował dłonie poniżej brzucha. Dziewczyna zdawała się tego wszystkiego nie widzieć. Zapamiętał jej twarz w czarującym, zagadkowym uśmiechu. W tej kobiecie dostrzegał niezwykłą dziś i najważniejszą dla niego cechę – dar dawania miłości. To spowodowało, że niepowtarzalny obraz jej twarzy zachował w pamięci na zawsze.

Do poczekalni przyprowadzono następną grupę poborowych. Chłopcy rozpytywali, jak wyglądają badania. Właśnie z gabinetu lekarskiego wyszedł poborowy Józek, który dał się już poznać jako barwny gawędziarz i pytającemu, z dużą dozą emocji, zaczął opowiadać:

– Po wejściu kazali mi się rozebrać do bokserów. Wtedy facet w białym kitlu, kazał mi zrobić pięć kroków do przodu i z powrotem po białej linii pomalowanej na podłodze. Potem kazali mi usiąść na taborecie i jeden młoteczką stukał mnie w kolano, a drugiemu stojącemu obok powiedział, że odruchy są całkiem prawidłowe, na co ten drugi pokręcił głową i sam zaczął stukać mnie w kolano, podczas gdy pierwszy rozchyłał mi powieki i oglądał źrenice. Po badaniu wzroku i słuchu idziesz za parawan. A tam taka śliczna pielęgniarka każe robić skłony i mówi: spodenki w dół, w połowie ściągania mówi: spodenki w górę, potem przychodzi jeszcze jakaś lekarka, kładziesz się, a ona cię osłuchuje. Na koniec podchodzisz do stołu pełnego lekarzy i wojskowych, którzy oświadczają, żeś zdolny, i wypad za drzwi.

– Ze mną było podobnie, tylko za parawanem ta śliczna dziewczyna powiedziała: pokaż te swoje klejnoty, zobaczymy czy wszystko masz w porządku. To ja wyłożyłem interes na stół. Lekarze

bardzo długo mu się przyglądali... Jeden podszedł, pomacał, żeby się upewnić, że w mosznie jest komplet. Drugi podnosił jądra długopisem, po czym w geście kontemplacji wziął ten długopis do buzi i długo mi się przyglądał. – Nie martw się przeżyjesz.

– A mój kolega Andrzej chciał wyłgać się z wojska na wzrok i kiedy okulista zasiadający w komisji, zapytał go:

– Czy widzicie tam jakieś litery?

– Nie widzę.

– A widzicie w ogóle tablicę?

– Nie widzę.

– I bardzo dobrze, bo tam nic nie ma! Zdolny!

Chłopcy słuchali tego wszystkiego oszołomieni, nie bardzo wiedząc, co się wokół nich dzieje. Wtem ogłoszono zbiórkę. Kiedy podano komendę: na wprost marsz, Wojtek obejrzał się odruchowo i w drzwiach gabinetu lekarskiego raz jeszcze spostrzegł pielęgniarkę z pięknym, czarującym uśmiechem na twarzy.

I wreszcie wielka hala sportowa. Zaczęto przerabiać ich na żołnierzy. Najpierw strzyżenie. Od razu na zero! Potem rozbierali się do naga i pakowali cywilne ubrania do worków, z których trzeba było zrobić paczkę do domu. I łaźnia. Nadzy i łysi pod prysznicami z ledwie letnią wodą. Teraz Wojtek już zupełnie nie mógł poznać nowych kolegów. Byli grupą anonimowych golasów.

Z łaźni przeszli do hali sportowej, w której w kilku punktach wydawano bieliznę, umundurowanie i oporządzenie osobiste. Sierżant taksował wzrokiem kolejnego delikwenta i wykrzykiwał: buty nr 43!, sorty mundurowe nr 2!, czapka rozmiar 56! Następny! Na każdą skargę typu: buty za duże, spodnie za krótkie czy czapka za mała, odpowiadał zawsze to samo: Na kompanii sobie wymienicie – spierdalaj, następny! I znów komenda: Biegiem marsz!

Wojtek do tej pory sądził, że bieg i marsz to są dwa zupełnie niezależne od siebie sposoby przemieszczania się ludzi, ale po zastanowieniu się, pomyślał, że chyba jest w błędzie, skoro istnieje taka komenda – no, chyba że jest to szczytowe osiągnięcie intelektu dowodzącego nimi kaprała. Ale nie, bo właśnie zobaczył, jak naprzeciw nich maszerują biegiem dwie niezależne od siebie drużyny z innej kompanii.

Wychodzili z hali obładowani wyposażeniem szeregowca. Drzwi były szeroko otwarte, bo na dworze panowała piękna, ciepła, jesienna pogoda. Las, który dotykał niemal ogrodzenia koszar, mienił się niezwykle kolorami jesieni: od ciemnozielonego do złotego i purpurowej czerwieni. Stamtąd, zza wierzchołków drzew, świeciło ukośnie słońce. Promienie ukłuły ich boleśnie. Mrużyli oczy. Dopiero po chwili oswoili się z tym potokiem światła i mogli patrzeć swobodnie.

Przed nimi rozciągał się obszerny plac alarmowy, otoczony białymi budynkami. Od strony bramy dolatywały słowa komendy, słychać było twardy stukot podkutych butów o beton. Stukot ten urywał się nagle, padały słowa komendy i znowu rozlegał się rytmiczny odgłos marszu. Ćwiczyła tam jakaś kompania piechoty.

Koszary pułku zajmowały rozległy obszar, na zachód od centrum miasta, po wschodniej stronie ulicy Wojska Polskiego. Był on w całości ogrodzony, z główną bramą od ulicy Kościuszki oraz dwoma wejściami od ulicy Traugutta.

Pierwszy budynek od bramy, gdzie mieściło się dowództwo pułku i kompania wartownicza pilnująca całego obiektu, był starannie zagospodarowany. Przed frontem budynku stał wysoki drewniany maszt, na którym przez cały dzień powiewała białe – czerwona flaga. Na ziemi, tuż przy maszcie, żołnierze ułożyli, z kamyków i drobno potłuczonej cegły, białego orła na

czerwonym tle.

Zachowany był tu charakterystyczny prosty układ ulic i budynków. Główna ulica koszarowa przebiegała na linii wschód-zachód: od głównej bramy przy ulicy Kościuszki do bramy wjazdowej na teren pułku. Od niej odbiegały równolegle na północ i południe boczne ulice, przy których stały budynki koszarowe. Wśród zabudowy dominowały budynki pokryte jasnym, wpadającym w biel, tynkiem. Były one dwu – i trzykondygnacyjne, większość z nich cechowała się specyficznym, jednolitym stylowo wystrojem. Tuż obok głównej bramy, przy ulicy o tej samej nazwie, działał wybudowany w stylu socrealistycznym duży gmach Garnizonowego Klubu Oficerskiego, z nawiązującymi do stylu renesansowego arkadami na elewacji frontowej, przeznaczony na uroczystości i cele kulturalne – była tu między innymi biblioteka i sala kinowa. Sporą część koszar zajmował plac alarmowy i tereny zielone, a szczególnie szeroki pas drzew i krzewów, mający charakter parku. Reszta koszar, składających się z kilkunastu dużych budynków przeznaczonych na garaże i warsztaty, prezentowała się mniej elegancko.

Koszary nie spały nigdy. W nocy były olbrzymim, niespokojnym monstrum, które w każdej chwili mogło otworzyć oczy i ruszyć do ataku. Koszary pułku piechoty ciągnęły się na długiej przestrzeni, składały się z wielu murowanych bloków. Tkwiły w nich okna, z których część była oświetlona. Światło wskazywało nie tylko izby, w których żołnierze po capstrzyku[2] wykonywali ostatnie czynności przed snem, ale też paliło się na długich korytarzach, w izbach podoficerów oraz na wartowni. Dwie duże latarnie oświetlały bramę koszarową, przy której wartownik kontrolował przepustki.

Nareszcie dotarli do bloku koszarowego, gdzie kapral wzięwszy się pod boki, stanął

rozkraczony w ulubionej pozie Mussoliniego i oznajmił:

– Za dziesięć minut odbędzie się zbiórka na korytarzu kompanii w pełnym umundurowaniu. Czapka garnizonowa na głowie, pas zapięty regulaminowo, a buty się świecą jak psu jaja! Kierunek kompania biegiem... rozejść się! Wpadli do izb żołnierskich i... takiego bajzlu nikt z nich nie widział chyba od początku świata. Dziesięć minut wydłużyło się do dwudziestu, te przeszły w następne i kolejne, a połowa chłopaków ciągle jeszcze czegoś nie miała. Niektórzy skakali w jednym dopasowanym bucie i z dzikim wzrokiem poszukiwali tego do pary, a inni stojąc na przeciw siebie w samych gaciach, wymieniali się po raz piętnasty portkami. Wojtek robił się z każdą chwilą coraz bardziej nerwowo, bo na niego nic, ale to dosłownie nic, nie pasowało. Wreszcie, po godzinie, ogłoszono zbiórkę, chłopaki zaczęli wybiegać na korytarz. Kapral stał wciąż w tej samej pozie i kiedy zobaczył Wojtkę w kalesonach, to wybuchnął: Jak patrzę na was żołnierzu, to widzę dobrego wojaka Szwajka z książki Jarosława Haśka, zresztą Szwajk chyba jest nadal w naszej armii, bo wszystko, co tam jest opisane, pasuje do nas jak przysłowiowa dupa do majtek. Może ciasna, ale jak się człowiek zawężmie, to się zmieści.

W tym momencie żołnierz stojący obok Wojtkę wyskoczył przed szereg i wrzasnął:

– Obywatelu kapralu, proszę o zgodę dla szeregowego Mrówki, na udanie się do magazynu mundurowego, bo na jego dupę, głowę i nogi nic nie pasuje – wszystko jest albo za duże, albo za małe. Wrócimy za dziesięć minut!

– Jakie dziesięć! Jakie kurwa dziesięć minut!!! – zapienił się kapral. – To ma się odbyć błyskawicznie! Do magazynu mundurowego biegiem marsz!

Popędzili, maszerując biegiem i po dwudziestu minutach powrócili z

regulaminowo ubranym Wojtkiem. Kapral nic nie powiedział, więc zrozumieli, że te jego dziesięć minut, nic nie znaczy, a jeśli nawet coś znaczy, to chyba tylko dowolny kawałek czasu wykrojony z całej godziny, albo z jeszcze większego kawałka. Wojtek zaczął łąpać rytm i coraz lepiej mu szło. Wprawdzie kapral cholerował ich bardziej i dłużej, ale tym razem można już było mieć nadzieję, że do zakończenia służby pojmie na czym polega służba wojskowa.

Gdy ubrali się w mundury, otrzymali pierwszą naukę, jak sznurować buty. Oto metoda:

Początek wiązania sznurówek powinien być przewleczony pod bocznymi skórkami buta. Sznurówki należy zawiązać w kokardkę, a pętelki schować za boczki buta tak, aby nie było ich widać spod opinacza. Pokazano jeszcze, jak najszybciej zawiązywać onuce (coś nieprawdopodobnie trudnego!), a potem kazano im usiąść na długiej drewniane ławce i czekać, aż ktoś po nich przyjdzie. Oczekiwanie strasznie się dłużyło. Co jakiś czas podchodzili do nich kaprale i wywoływali po kilku poborowych, których odprowadzali do swoich plutonów. W końcu Wojtek na ławeczce został sam. Z zamyślenia wyrwał go nagle głos kaprała.

– Szeregowy Mrów... – próbował nieudolnie odczytać nazwisko, ostatecznie dał jednak za wygraną i skrócił – ty- wskazał na niego ręką – pójdziesz ze mną. Weszli do izby żołnierskiej mieszczącej się na końcu korytarza.

– Tu będzie wasza sala żołnierska. Możesz sobie wybrać wóz[3]. Powiedziawszy to, szybko się oddalił.

Izba żołnierska była wielka, podłużna, z niewielkimi oknami. Grube mury pomalowane zostały na biało. Podłogę pokrywały deski, pomalowane olejną farbą na kolor brązowy – mocno wydeptane żołnierskimi nogami. Przez całą długość

sali, pod ścianą, stały piętrowe łózka, zasłane ciemnymi kocami. Twarde sienniki i poduszki wypchane słomą, obleczone były w sprane i mocno już pofatygowane poszewki. Wąskie szafki między łózkami z trudem mieściły żołnierski rynsztunek. Sala powoli zappełniała się, ponieważ poborowi dopiero zjeżdżali się do tych wielkich białych koszar, opustoszałych, nieuporządkowanych jeszcze po odejściu do rezerwy żołnierzy starego rocznika, którzy opuścili je, pozostawiając po sobie niebываły bałagan.

Wojtek usiadł na taborecie i rozejrzał się wokoło. Poza jego łóżkiem w pokoju było jeszcze dziewięć innych. Przy co drugim stała metalowa szafka. Pięć łóżek było już zagospodarowanych. A więc jednak są tu starzy żołnierze – pomyślał ze zgrozą. Nie miał jednak czasu na dalsze rozważania na ten temat, ponieważ do pokoju wpadło pięciu zdyszanych, wystraszonych żołnierzy. Rozsiedli się na taboretach obok wozów.

– Zdejmuj szybko te rzeczy z wozu, bo jak wpadnie kapral, to będziesz miał ciepło – powiedział jeden z nich.

– To gdzie mam to położyć? – spytał.

– Na razie daj to pod wóz, później się rozpakujesz – odpowiedział.

– Są jeszcze jakieś wolne szafki?

– Jedna szafka jest przewidziana dla dwóch osób. Ta jest moja, możesz dać tu swoje rzeczy.

– Dzięki, długo już tu służycie? – spytał.

– Jesteśmy tu od wczoraj – odparł Bartek.

A więc nie ma tu dziadków[4], dobre i to. Nie zdążył jednak zadać następnego pytania, gdyż na korytarzu rozbrzmiał donośny głos kaprała.

– Kompania w dwuszeregu na korytarzu zbiórka!

– Ja też mam iść? – spytał Wojtek, pędzących do drzwi rekrutów.

– Też – odrzyknął Bartek. – Pozapinaj tylko wszystkie guziki, weź pas i czapkę.

Więcej cennych rad nie zdążył mu już przekazać, gdyż właśnie zniknął za drzwiami. Nie pozostawało nic innego, jak tylko wybiec za nimi. Widocznie tempo wyjścia na zbiórkę było niezadowalające, gdyż zaraz po wybiegnięciu na korytarz, posypały się następujące komendy:

– KOMPANIA ROZEJŚĆ SIĘ, PRZYGOTOWANIE DO ZBIÓRKI CZAS PIĘĆ SEKUND. KOMPANIA W DWUSZEREKU NA KORYTARZU ZBIÓRKA!

Drugie podejście było już nieco lepsze, ale kaprała, podoficera dyżurnego i tak nie zadowoliło. Po trzecim wyjściu udało się wojsku pozostać na korytarzu nieco dłużej. – Równaj w prawo! – padła komenda.

Cała kompania zaczęła się nieznacznie przesuwać w różne strony. Kapral podszedł do jednego z żołnierzy, u którego coś widać mu się nie spodobało, bo zaraz rozległ się jego głośny krzyk:

– Jak kurwa stoisz?! Nie umiesz ustawić się w dwuszeregu?! Do cholery, ile razy mam to powtarzać, żebyście w końcu się nauczyli?! – ROZEJŚĆ SIĘ!

– O co mu chodziło? – spytał kolegę stojącego obok.

Nie zdążył mu jednak udzielić odpowiedzi, gdyż znowu, na złamanie karku, musieli pędzić na korytarz. Tym razem się udało. Nie przegonił ich już po raz piąty do izb żołnierskich.

– Do środka łącz! W lewo zwrot! Biegiem, przed blokiem zbiórka! – syptały się komendy jedna po drugiej.

Podczas zbiórki, przed blokiem koszarowym, Wojtek miał okazję po raz pierwszy przyjrzeć się kompani w komplecie. Było ich wszystkich ponad stu.

Zaczął się proces przerabiania poborowych na żołnierzy. Przed frontem kompanii stanął jej szef, starszy sierżant Józef Błaszka i w krótkich żołnierskich słowach objaśniał co, to znaczy być żołnierzem...

– Jesteście teraz w wojsku, a być żołnierzem to znaczy... nie myśleć! Myślenie macie pozostawić koniom, bo mają większe od was łby i przede wszystkim jaja!

Sierżant chodził spieniony przed frontem kompanii i spoglądał spod opadającego daszka czapki na dwa szeregi wyprostowanych poborowych.

– Od tej chwili – kontynuował. – ...myślenie przejmują za was podoficerowie i im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej będzie dla was, dla plutonu, kompanii i całego wojska. Gdy podoficer będzie twierdził, że na drzewach rosnących wokół koszar, liście nie są zielone tylko czarne, to znaczy, że te liście są czarne... i koniec rozmowy. Kto będzie miał problem, żeby zrozumieć ten prosty fakt, będzie miał w woju przesrane, a już szczególnie u podoficerów. A mieć u nas przesrane, to znaczy brak przepustek, służby poza kolejnością, sprzątanie rejonów i inne nieciekawe sprawy, o których się sami wkrótce przekonacie. Więc nawet jeśli macie ukończone studia i kilka fakultetów, to morda w kubel i przytakiwać. Tu jest wojsko, a nie przedszkole i tu trzeba wypełniać rozkazy, a nie próbować robić użytek z głowy i z tego, co jest w jej środku. My i tak wiemy, że macie tam tylko sieczkę. Szkoła was tego nie nauczyła, ale daję wam słowo, że tutaj opanujecie tę czynność w sposób zadowalający.

– Słuchajcie, z jakich stron wy jesteście? – zwrócił się nagle do stojącego w pierwszym szeregu poborowego.

– Urodziłem się i mieszkam na stałe w Krakowie.

– A więc mieszczuch, lebiega i inteligent. Widzicie, ta między nami różnica, że ja jestem z wielkopolskiej wsi, zatem dobry żołnierz, a wy, zblazowany krakus, nigdy nim nie będziecie. Wy sobie pewnie różnie o mnie myślicie, co? A wiecie wy, że ja marnując się w tym pułku, muszę jeszcze patrzeć na takich, jak wy zgnilców?

Myślicie, że przyjemnie mi wam to mówić? Przerwał na chwilę, zaczerpnął powietrza, udając, że nie dostrzega poirytowanych spojrzeń ze strony stojących kaprała, których pozbawił ich ulubionych fraz, uświadamiających młodym żołnierzom, jak mają się zachowywać przez następne kilkanaście miesięcy.

– Wasz pobyt w jednostce, przez najbliższe tygodnie, będzie ograniczał się do następujących czynności: pobudka, ścielenie łóżek, robienie porządków, jedzenie, nauka piosenek marszowych, musztra... Trochę ćwiczeń fizycznych i zwiększona koordynacja ruchów, która nikomu jeszcze nie zaszkodziła... I tak będzie do wieczora, a później będziecie mieli wolne... Czyli capstrzyk i spanie z rączkami na kołderce. Przypominam, że wszystko robicie na rozkaz swoich starszych kolegów.

[1] Opis dotyczy miasta powiatowego łobez, położonego nad rzeką Regą w województwie zachodniopomorskim. Przyp. wł.

[2] Capstrzyk – to wojskowy termin oznaczający wieczorny sygnał dany przez orkiestrę lub trąbkę, który informuje żołnierzy o końcu dnia służby i nakazuje powrót do koszar oraz przygotowanie się do snu. [przyp. red.]

[3] Wóz – w żołnierskim żargonie to łóżko. Przyp. wł.

[4] W żargonie wojskowym dziadki – to żołnierze „starego rocznika”, czyli tacy, którzy odbyli już większość służby zasadniczej i są blisko jej końca. [przyp. red.]

W domach z dziurawki

Agnieszka Modrzejewska

Ta opowieść tak długo domagała się ujścia, że chodziła za mną niczym cień, sączyła się do ucha, szturchała pod żebro, kłuła w serce - aż wreszcie znalazła strumień wypowiedzi i zawędrowała tutaj. Strumieniu - płynięciu zatem ku brzegom.

Kiedy zamieszkaliśmy tam z Chrupciem, jak pieścił mnie zwracałam się do synka, gdy mi jeszcze na to pozwalał, trwały wakacje. Wyjątkowo deszczowe i zimne było lato tamtego roku.

Kiedy babcia Chrupcia była w lepszej formie mówiła: To mieszkanie jest wyjątkowo akustyczne i rzeczywiście słyszeć było rozmowy i dźwięki dochodzące od sąsiadów. A teraz, gdy nie była już w pełni sobą, mówiła: Te głosy to przez dziurawkę.

Pan Bolesław z parteru potwierdził, że blok z oszczędności zbudowano z cegły dziurawki, jak za komuny, i wszystko się niesie. Przez takie mury dźwięk się przesącza.

Chrupiek nie czuł się w tym domu dobrze, a już na pewno nie bezpiecznie, choć był rezolutnym, prawie ośmioletnim chłopcem, tracił tam odwagę i rezon, przerażały go dźwięki i lustra, które otaczały nas zewsząd. Były w każdym pomieszczeniu poza kuchnią, wyzierały z każdej szafy. Chrupcio mówił, że czuje się przez nie, jakby był podwójny. Rozumiałam go, bo również nie lubiłam co krok przeglądać się we własnym odbiciu. Ileż trzeba nabierać narcyzmu i megalomanii, by stawiać temu czoła.

Syn lubił spać przy uchylonym oknie i włączonej lampce nocnej. Tylko wtedy czuł się komfortowo i bezpiecznie, ale niestety w obliczu tego, że dom stał zaledwie kilkaset metrów od rzeki, nocne naloty komarów nie ustawały. Chrupcio był dzieckiem bardzo wrażliwym i gdy wpadały przez okno owady:

pszczoły, osy, trzmiele, a nawet szerszenie - wszystkie chciał napoić i wypuścić. Przy nim nie miała prawa stać się im żadna krzywda. Nawet komary mogliśmy ganiać tylko wtedy, gdy Chrupcio siedział akurat w wannie, niepomny toczącej się walki. Niestety, w domu dziadków nie czuł się na tyle swobodnie i pewnie, by kąpać się sam - właściwie nie opuszczał mnie na krok. Dwie noce pod rząd komarzyska cięły przeokrutnie, nie wydobywając z siebie charakterystycznego bzyku. Były sprytne, Chrupcio empatyczny, a ja bezradna. Synek mówił: One mnie gryzą, bo jestem dzieckiem i mam świeżą krew. Twoja mamusiu, jest już pewnie zakurzona.

Miał rację - moja krew, moja dusza i całe moje wnętrze były już solidnie zakurzone. Bo ludziom i rzeczom zakurzają się nie tylko zewnątrz.

Wreszcie powiedziałam: Tak dalej być nie może! Ty jesteś rycerzem, a ja twoim giermkim, który musi zadbać o zdrowy, spokojny sen, więc powinniśmy pokonać wroga. Poszukaliśmy packi, ale rycerz wciąż nie był pewny, więc giermek czynił swą powinność dopiero, gdy rycerz zapadał w sen.

Nie tylko Chrupkowi trzeba było pomóc. Przybyliśmy tam, żeby pomóc babci, co okazało się znacznie trudniejsze niż początkowo zakładaliśmy. Babcia chodziła wyłącznie po domu i tylko wspierając się laską czy kulą. Niestety mylił jej się dzień z nocą i czasem wstawiała np. o trzeciej, systematycznie budząc mnie, a od czasu do czasu także wnuka, który słysząc stukot drewnianej laski o panele w sypialni i płytki w holu, mówił:

- Boję się, mamusiu. To pewnie stary pirat z

drewnianą nogą, wraca z tawerny.

- Nie, synku, to tylko babcia, podpierając się laską, idzie do łazienki - uspokajałam.

- To na pewno pirat - powtarzał cichutko Chrupcio, wciąż wtulając się we mnie.

Po kilku takich nocnych pobudkach wydawało mi się, że sama powoli tracę tam zmysły, rozmywa się granica między snem a jawą i zaczynam wierzyć w nocną przemianę mojej matki w pirata (bynajmniej nie drogowego).

Pewnego wieczoru, gdy szykowałam kolację, przybiegł do kuchni wystraszony Chrupcio. Mamo, mammo, boję się, słyszałam śmiech czarownicy. Oglądał wtedy bajkę na tablecie, więc pomyślałam, że stamtąd płyną jego lęki. Złożyłam to na karb internetowej opowieści, po czym przytuliłam, pocieszyłam, zapomniałam.

Upłynęły jakieś dwa, może trzy tygodnie, oboje zupełnie już o tym incydencie zapomnieliśmy, gdy nagle o świtaniu, gdzieś pewnie koło piątej rano obudził mnie wrzask mew, ich krzyk zdawał się rozdzierać brzask, a potem usłyszałam ten mewi głos, który syn trafnie określił śmiechem czarownicy. Od razu wiedziałam, że to było to. Już nie zasnęłam. To było naprawdę przerażające.

Chrupcio często znajdował pod naszą poduszką pilota od babcinego telewizora i odnosił go systematycznie, aż któregoś dnia powiedział: No git. Dobra kryjówka, najlepsza dla kogoś, kto nigdy nie chce oglądać własnego telewizora.

Może miał rację, a może sęk w tym, że babcia sama już nie była pewna, czego chce, a czego nie.

Mimo że w naszym pokoju był tylko ruter i modem, co rano, tak koło piątej trzydzieści, coś pikało zupełnie jak elektroniczny zegarek, który w latach 80-tych dostawało się na komunię. Pikało tak przez jakieś trzydzieści sekund, po czym samoczynnie ucichało.

Ten dom skrywał wiele tajemnic.

Jego klamki, zarówno okienne jak i drzwiowe,

wydawały charakterystyczny dźwięk, takie frut jak w starym zamczysku, co spotykało się z lękiem Chrupcia.

- A co będzie z babcią, kiedy wrócimy do naszego domku? Kto się wtedy będzie nią opiekował? - zapytał pewnego dnia z troską w głosie Chrupcio.

- Przyjedzie wujek Mateusz, brat babci - odpowiedziałam.

- To jej młodszy brat? - dopytywał dalej Chrupcio.

- Nie, jest dwa lata starszy - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Myślałam, że jest od niej młodszy - roztrząsał tę kwestię syn.

Wszystkie spostrzeżenia dziecka są zawsze trafne i szczere, jak w „Nowych szatach cesarza”, jedynie my dorośli boimy się wyrażać je na głos, jakby mogły sprowadzić jakąś klątwę.

Stukot laski każdorazowo obwieszczał nadejście babci bez względu na porę. Mamrotała też coś o głosach z dziurawki.

W dzień również nie sposób było odespać, ponieważ na dole mieściła się knajpa, w której już od rana tłukli mięso na kotlety, co dziurawka chętnie niosła tonem ku górze.

Matka próbując wybierać cyfry na pilocie, sądziła, że trzyma telefon, krzyczała więc do niego: Hallo, hallo... i denerwowała się, że wciąż brak sygnału.

Takie były pierwsze symptomy, sygnały... Codziennie rano zastawałam niedomkniętą lodówkę, choć nie mam pojęcia, po co się z nią szarpała, skoro samodzielnie nie była już nawet w stanie posmarować kromki masłem. Czasem robiła tam kipisz, ściskając: kaszanki, pasztetowe i kiełbasy tak mocno, że cała ta gęsta breja wystrzeliwała z pękającego flaka, brudząc sąsiednie półki. Kochała to, im bałagan bardziej się rozgaszczał i rozprzestrzeniał, tym zdawała się szczęśliwsza.

Robiłam kolacje, obiady i śniadania - te ostatnie zwykle dwa, bo po pierwszym i lekach zapadała w drzemkę, zapominając, że już jadła, i budziła się z ochotą na drugie. Mimo to skradanie się do lodówki i strzelenie z wędlin, nie ustawało.

Może szukała wyjścia, drzwi, nowej możliwości, skoro te wejściowe były zamknięte na uparty ciężki zamek, zaryglowane. Może chciała wyjść przez lodówkę do innego świata, żeby poszukać innej siebie, tej w lepszej formie, w lepszej komitywie i zespoleniu ze sobą. Ale przez lodówkę wymyka się chyba tylko dusza i z pewnością nie jest to ten rodzaj lodówki.

W domowej robiła straszne spustoszenie, co wędlinom wychodziło bokiem. Wyłącznie szynkom się upiekło, bo tych istnienia nigdy nie zaakceptowała - ignorowała je, dzięki czemu my mieliśmy co jeść.

Rozkwitała tylko w jednym momencie, gdy ktoś do niej zadzwonił lub gdy czasem jej udało się do kogoś. Większość znajomych i część rodziny zablokowała jej numer, ponieważ nie odróżniając dnia od nocy, na pogaduszki zbierało jej się między północą a drugą, czasem o czwartej czy piątej rano. A ludzie chodzą przecież do pracy, mają dzieci, masę własnych kłopotów, chcą żyć, bez cudzego balastu.

W dodatku dwa dyżurne tematy, na które bez ustanku mogła się wypowiadać, nie chcąc z nich zbaczać, to: sekcja zwłok jej męża oraz jego pogrzeb.

Dla osób, które dwie czy trzy godziny później musiały wstać do pracy, stawało się to nie do zniesienia. W zasadzie dla każdego takim było.

Dwa lata później tematem wiodącym stała się jej choroba, choć grono telefonicznych odbiorców znacznie już zawężyło swój krąg. Opowiadała więc ludziom z urzędów i banków, jakie znakomite czyni postępy, jak pomogła jej szpitalna rehabilitacja, i jak znacząca jest poprawa, której nikt z nas nie dostrzegął. To było myślenie życzeniowe.

I myślenie cyfrowe, bo wciąż świetnie pamiętała: daty urodzenia, pesele, dawki leków, a nawet niektóre numery kont. Ale nie miała pojęcia ani z której strony jej bloku jest furtka do wyjścia, ani do której krawcowej zaniósła (przed chorobą) spodnie do skrócenia, ani też u którego optyka zamówiła wcześniej okulary. Skarpet założonych w sobotę nie chciała zdjąć jeszcze w czwartek. Ubrania, bieliznę - dzienną i nocną - wszystko zakładała tył na przód, i całe jej życie właściwie zaczęło iść odwrotnie.

Znakomicie pamiętała dawne zdarzenia: historie z dzieciństwa przychodziły w trymiga, podobnie te ze szkoły czy młodości, a wczorajsze jakby zupełnie uleciały.

- Ta Z się rozwiodła - mówiła przejęta, o którejś z serialowych aktorek.

- Skąd wiesz? - pytałam, mając nadzieję, że zapamiętała świeżą wiadomość z Internetu, do którego od czasu do czasu próbowała jeszcze zaglądać.

Ale nie. Z dziurawki - odpowiedziała, jakby źródło wiedzy płynącej ze starych murów było czymś najoczywistszym na świecie.

Po czym, jak gdyby nigdy nic, oznajmiała, że życie jest kruche, więc trzeba zmienić beneficjenta polisy z niej na mnie, a nawet, że dzwoniła już do ubezpieczyciela, który ma zjawić się w poniedziałek. I o dziwo przyszedł.

Nie umiała zrobić sobie kanapki ani zaparzyć herbaty, ale wezwać pielęgniarkę czy prawnika, owszem. Nie potrafiła się samodzielnie umyć ani ubrać, ale gdy miała lepszy dzień, robiła przelew za czynsz. Jak to możliwe?! Może to dlatego, że przez ćwierć wieku pracowała jako księgowa i cyfry wdarały się do jej pamięci, zapisując najbardziej trwale.

Pewnie w mózgu też jest taka dziurawka, która przepuszcza jak przez sito tylko te informacje, które chce.



Wieża Babel

Andrzej Frosa

Motto: „Pomyślcie więc o kimś, kto będzie musiał umrzeć w pułapce”

– Albert Camus „Dżuma”.

Pierwszy plakat przedstawiał pustą butelkę z zaciśniętym kapslem. Na dole widniał napis: Socrealizm. Drugi plakat nosił tytuł „Walka trwa” i przedstawiał walkę duszy chłopca – człowieka pracy, przeciwko drugiej jego duszy – duszy chłopca posiadacza. Zakonnik postanowił wyjść. Wykład przestał go zajmować. Chciał odetchnąć, побыć sam. Wydawało mu się, że oddycha skradzionym powietrzem. Ostatnio coraz częściej zastanawiał się nad swoimi wyborami. Fascynacja sztuką minęła. Zasady socrealizmu zniknęły. Zanurzenie w wolność. To pozostawiał innym. Lubił wieczorne spacerować. Czas kiedy był sam.

Czasami wyobrażał sobie Lenina na szczycie wieży Babel, jak przemawia. Mówi, że materia nie ma początku ani końca. Bóg jest kompleksem idei zrodzonych przez ucisk klasowy. Rewolucja musi trwać wiecznie. Kapuściński o tym pisał. O tynku zdartym kulami karabinów. O zapachu krwi i pomarańczy. O cesarzu, który rozpoczynał dzień od słuchania donosów.

Dlaczego ludzie chcieli zbudować wieżę Babel? Miasto przeciw Bogu.

Kilka lat temu napisał list. O braku wiary, pracy, socjalizmie. Był pełen zapału i miał dobre chęci.

Potem Urząd ds. Wyznań. Potem... Kilka tygodni temu stworzył Samodzielną Niezależną Parafię Kościoła Rzymskokatolickiego. Forma przejściowa pomiędzy wiarą a socjalizmem. Ogłoszona przez uczniów profesora Nakao. Nie potrzebował wiary, ale zaczynał odczuwać ciężar kłamstwa. Martwił się i rozważał, co będzie dalej.

Roa Bastos napisał książkę o dyktatorze Para-

gwaju, który przykuł łańcuchem meteoryt do nogi biurka za to, że ten był uciekinierem z kosmosu. Przekonać meteoryt do zeznań. Co by zeznał? Co wymyślił?

Jak buduje się wieżę Babel? Miasto pełne światła, które określa walka klas. Zaplanowany habitat dla homo nudus, który chce się ukryć. Uciec. Który się boi. Ma się bać. Miasto hierarchicznego obrazu władzy. Centrum i jego peryferie. Szum maszyn do pisania powielających wydarzenia: te dawne i te z dziś. Doskonałe oko nadzorcy śledzące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Urządzenie dyscyplinujące. Panotykon. Panotykon zbudowany z ludzi, widm, pseudonimów.

*

Spowiedź odbyła się gwałtownie. Zakonnik wyszedł z konfesjonatu. Wrócił na plebanie.

Wieczór. Lubił „Sceny dziecięce” Schumann. Dziecko zainteresowane światem, zasypia nie

rozumiejąc wszystkich odpowiedzi, barw, wrażeń. O czym marzy? A Schumann? Usiadł przy biurku. Napisał to, czego dowiedział się podczas spowiedzi. Kopertę włożył między książki.

*

- Tu jest wszystko – powiedział zakonnik. – Zaczyna mnie to wszystko nudzić.

- Nie przesadzaj – odparł oficer.

Przekazał kopertę z pieniędzmi. Spotkali się jak zwykle tam, gdzie nie było ludzi.

- To cię zaczyna nudzić czy nużyć? – zapytał oficer.

Przeglądał się teraz uważnie swojemu rozmówcy. Nie widział na jego twarzy oznak rozgoryczenia.

- Nudzić – odparł po dłuższym namyśle zakonnik.

- Co chciałbyś robić? Zawsze interesowała cię archeologia.

Milczeli przez chwilę.

- Już nie należysz do samego siebie, do kościoła. Należysz do nas.

*

Gorąca noc. Skrzyżowanie dróg. Przystanek. Mur okalający z drugiej strony jakiś dziedziniec.

Dzień będzie upalny. Tablica z kilkoma na-

zwami miejscowości i znak. Autobus miał przyjechać rano.

Spóźnił się. Wszystko jest żółto – brązowo – czerwone. Szary kubeł na śmieci. Kiedyś zielona ławka.

Mozart by tu nie pasował – pomyślał zakonnik. Autobus powoli ruszył. W końcu. To w górę, to w dół - jakby wszyscy mieli wyspać się przez okna.

- Oni nigdy nic nie mówią – zaczęli kierowca.

Pielgrzymi. Prawie wszyscy jechali do niewielkiego klasztoru na rekolekcje. Zakonnik miał szare, zmęczone oczy. W rękach trzymał różaniec. Bez przerwy się modlił.

O czarcim synu, co go księży gospodyni wychowała

Beata Kępińska

Dawno, dawno temu żył sobie w Nowej Słupi, która leży u podnóża Łysej Góry, pewien chłopak. Nie miał ojca ani matki, a wychowała go gospodyni miejscowego księdza. To ona, w zimny i ciemny poranek trzynastego listopada, znalazła porzuconego na progu plebanii dzieciaka. Niemowlę owinięte było w brudne szmaty i skórę z jakiegoś czarnego, kudłatego zwierzęcia - ni to psa, ni wilka. Niektórzy gadali nawet, że była to czarcia skórka, bo ponoć pachniała siarką i mocno grzała, dlatego dzieciak ani nie zsiniał z zimna, ani nawet nie dostał kataru. Ale kto by tam w takie rzeczy wierzył - żaden czart przecież swojej skóry człowiekowi po dobroci by nie oddał.

Nie wierzyła w te głupoty także służąca na plebanii Agata, ani tym bardziej leciwy ksiądz proboszcz. Zawołali więc organistę i ochrztili zaraz małego znajdę, na-

dając mu chrześcijańskie imię Antoni. Mały rzucał się i krzyczał, jakby go obdzierano ze skóry, gdy go kapłan polewał wodą święconą. Organista aż się wzdygnął i nie chciał znaleźć dłużej trzymać na rękach. Agata jednak pomyślała, że biedne dziecko doświadczywszy w nocy okropnego zimna na kamiennych schodach, boi się teraz chłodnej wody i trzeba czasu, aby zapomniało o tym, co przeżyło.

Była samotna, bo męża jej zabili Moskale, a troje dzieci zabrała zaraza już we wczesnym dzieciństwie, zajęła się więc maluchem troskliwie i otoczyła go ścią matczyną miłością.

Chłopak miał wilczy apetyt, ale na plebanii mleka, jaj, a nawet mięsa nie brakowało, rósł zatem jak na drożdżach, był zdrowy, silny i śliczny. Włosy miał czarniutkie i kręcone, a oczy bystre, świecące jak dwa wę-

gielki. Agata dogadzała mu we wszystkim, rozpieszczała i nigdy nie karciała.

Chłopczyka lubił też ksiądz proboszcz za śmiałość, ciekawość świata i wyjątkową rezolucję. Mały Antek szybko nauczył się składać litery, śpiewać pobożne pieśni, a nawet służyć do mszy. Wszystko wskazywało na to, że choć smyk był z niego psotny, to z czasem pewnie się ustakuje i zostanie księdzem. O tym przynajmniej marzyła jego przybrana matka, mając nadzieję na spokojną i dostatnią starość u jego boku.

Ale mały znalazł wyrósł na krnąbrnego wyrostka, a potem, gdy już sypnęły mu się pod nosem wąsy, stał się utrapieniem pocziwej Agaty. Do żadnej roboty się nie garnał. W karczmie znany był jako największy zabijaka, który za pannami tylko lata. Napsuł ich co niemiara. Jedne musiały potem szybko za byle jaką pokrakę się wydawać, inne przez niego do rzeki, gdzie najgłębiej, z rozpaczki skakały lub w stawie topiły jakieś zawiniątka. Antek nic sobie z tego nie robił, bo nie potrafił pokochać żadnej dziewczyny. Kamratom od kielicha zwierzał się, że marzy mu się taka, co na miotle lata i zna zioła, które dają szatańską moc w miłości i takie zapamiętanie, że człowiek prawie o śmierć się ociera. Słuchały tych jego wynurzeń podpite chłopcy i podśmiewały się na boku. Żaden z nich nie myślał, żeby umierać w objęciach swojej Kaśki czy Mańki. Wystarczyło, że ona jęczała i zapewniała go, że jest w siódmym niebie.

Ksiądz grzmiał z ambony, że w parafii diabeł harcuje i przepowiadał, że Pan Bóg spuści na wiernych wielką karę, jeśli się nie opamiętają. Tymczasem to pod bokiem proboszcza diabeł o roziskrzonych oczach i loczkach, jakie mają aniołki wymalowane na suficie w klasztorze na Świętym Krzyżu, bałamucał panny i co bardziej urodne mężatki, obiecując im niestworzone rzeczy i fundując na jarmarku pięknie haftowane chusty oraz czerwone jak krople krwi korale. Skąd brał na to pieniądze, nie wiadomo. Ludzie jednak zaczęli przebąkiwać, jakoby przystał do bandy zbójów, którzy w jaskini w

Łagowie mieli swoją kryjówkę. Może tak było, a może nie. Faktem jest, że coraz rzadziej widywano go za dnia w karczmie lub na Rynku Nowej Słupi. Sypiał w dzień, a nocami podobno wyprawiał się na wierzch Łysej Góry, żeby tam wreszcie napotkać tę swoją wymarzoną czarownicę. Tak przynajmniej zapewniał swoich kamratów, którzy chcieli go jak dawniej na tańce i gorzałkę wieczorami wyciągnąć.

Tymczasem coraz częściej zdarzało się, że w okolicznych kościołach ginęły cenne wota z ołtarzy i datki na biednych, które ludzie wrzucali do skarbonki stojących pod figurą świętego Antoniego. Szeptano, że to wszystko sprawka zbójów z Łagowa, a w Nowej Słupi dodawano, że pewnie i wychowanka pocziwej Agaty. Coraz głośniejsze też ludziska gadali, że ten znalazł widocznie jest synem samego czarta i czarownicy, skoro ani chrzest święty, ani miłość przybranej matki nie zdołały zmienić jego piekielnej natury. Agata nie chciała jednak wierzyć w te oskarżenia i zawsze obstawała za nim. Czasem nawet coś tam ukryła i skłamała, żeby odsunąć odeń wszelkie podejrzenia.

I tak to trwało do czasu, aż któregoś nocy rabuś włamał się do kościoła w Nowej Słupi i zastał tam pogrążonego w modlitwie księdza proboszcza. Zbój miał zasłoniętą twarz, ale kapłan po sylwetce, głosie i ubraniu rozpoznał w nim wychowankę swojej gospodyni i wykrzyknął jego imię. Przerażony Antek, niewiele myśląc, chwycił stojącą w bocznej nawie gipsową figurę swojego patrona i wyrzucił ją z całej siły w głowę sędziwego księdza. Kawałki gipsu posypały się na kamienną posadzkę, a wśród nich padł także zboczony krwią proboszcz. Zbójca w pierwszej chwili chciał uciec, lecz w mig się opamiętał. Upewniwszy się, że jego ofiara nie oddycha, z zimną krwią dokończył rabunek. Rozzuchwalony poważił się nawet otworzyć tabernakulum. Wyrzuciwszy bez czci komunikanty, wsadził kielich, patenę i piękną cenną monstrancję

do swego brudnego worka. Na koniec jeszcze wpadł do zakrystii, by do łupów dołożyć stojący tam antałek mszalnego wina.

Gdy wrócił do domu, głuchawa Agata smacznie jeszcze spała. Wsunął więc zdobycz pod jej łóżko, będąc pewnym, że jest to najbezpieczniejsze miejsce w całym domu. Nikt bowiem w jej izbie nie będzie szukał skradzionych w kościele przedmiotów, a coraz bardziej niedołężna staruszka, nie schylała się już tak, żeby mogła dostrzec jakieś bure zawiniątko pod zwisającym nisko siennikiem. Przeliczył się jednak niecnota, gdyż pobożna Agata ledwie otworzyła oczy, wzięła do rąk różaniec i zaczęła odmawiać swoje poranne pacierze. Jak zwykle najbardziej gorąco modliła się o poprawę życia i szczęście swojego Antosia. Gdy jednak wyszeptala jego imię, różaniec nagle wypadł jej ze spracowanych, koślawych palców i wpadł pod łóżko.

Bardzo źle się czuła, lecz nie chciała wołać i budzić chłopaka, który w jej mniemaniu spędził noc na hulankach z pannami. Miała dla jego młodego wieku wiele wyrozumiałości. Spuściła więc zdrętwiałe nogi z siennika, a potem, padłszy na glinianą polepę, jęła swoim sękatym kijem wygarniać wszystko, co było pod łóżkiem. Zanim jednak trafiła na różaniec, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, wyciągnęła spory tłumoczek, z którego z brzękiem wyleciały drobne monety, a potem także bransolety, sznury perełek i prawdziwych koralików, które co niedziela widywała w swoim kościele pod obrazem Matki Boskiej. Na koniec z brudnej szmaty wydobyła przepięknie błyszczącą, misternie wyrobioną w złocie i srebrze monstrancję oraz naczynia liturgiczne.

- O ja nieszczęsna! – krzyknęła z wielkiej rozpaczy. - Jakże to się stało, że wychowałam takiego zbója?! Zaprawdę musi to być czarcie szczenię! Niech go zatem Lucyfer zabierze do siebie, bo ja już nie mam siły, żeby go zmienić – załkała żałośnie i nagle pociemniało jej w oczach, a potem zabrakło tchu. Zdążyła jeszcze westchnąć do Michała Archanioła, który opiekuje się umierającymi i oddała ducha Panu.

Niektórzy mówili, że to niemożliwe, aby dobra Agata w swej ostatniej godzinie wykrzykiwała diabelskie imię, ale piegowata Róża, która ją odwiedzała w chorobie, strawę przynosiła i poprawiała poduszki, zaklinała się na wszystko, że takie właśnie słowa słyszała, gdy rankiem stała pod oknem Agacinej izdebki i chciała dostać się do chałupy. Drzwi były jednak zawarte od środka na zasuwę, więc nie mogła zapytać chorej ani o samopoczucie, ani o powód tak wielkiego wzburzenia. A kiedy w południe przysłała ponownie z obiadem, Agata leżała już nieżywa na swoim łóżku. Dolną szczękę miała podwiązaną chustką i powieki przyciśnięte miedziakami, a u jej węgłowia paliła się gromnica. Wokół kłęzczało kilka sąsiadek i odmawiało pacierze, żeby Agata nie zbłądziła w drodze do Nieba i żeby święty Piotr szedł już z kluczami otworzyć jej bramę.

Wśród modlących znajdował się również Antek, ale nie wydawał się on Róży zbytby poruszony śmiercią przybranej matki. Owszem, wzdychał i zawodził bardzo głośno, lecz czy miał suche i strzelały nimi niespokojnie na wszystkie strony. Baby bowiem pomiędzy modlitwami przekazywały sobie szeptem wieść, jaka straszna rzecz miała miejsce tej nocy w ich kościele. Nie mogły się nadziwić, cóż to za trąf, że w tym samym czasie śmierć zabrała starego proboszcza i jego gospodynię. Antek, udając, że dopiero dotarła do niego wieść o rabunku i zabiciu księdza, zaczął nagle z płaczem opowiadać kobietom, jak wyglądały ostatnie chwile życia Agaty.

- Spałem sobie umęczony po robocie przy sianie, aż tu nagle obudził mnie krzyk matuli: Antośku, ksiądz wzywa na pomoc! Leć, ratuj kościół, bo zbójce przyszli i rabują – mówił, naśladując trzęsący się głos Agaty i mocno przy tym gestykulując.

- Pomyślałem, że majaczy z gorączki. Matula ledwie stała na nogach i za serce się trzymała, nie mogłem zostawić jej samej.

Tłumaczyłem, że to tylko zły sen, naparzyłem ziółek, zrobiłem kompres. Skąd mogłem wiedzieć, że ta święta kobieta ma jasnowidzenie. Ziółka zadziały i usnęła, a ja czuwałem przy niej aż do świtu. Potem zdrzemnęło mi się i wtedy ona cichutko pomała. Gdybym to ja wiedział, że tam ksiądz i kościół są w potrzebie, to przecie bym poleciał bronić. I ludzi bym skrzyknął – przekonywał.

Ksiądz i Agata zostali pochowani tego samego dnia, tyle że każde w inny sposób. Proboszcza pożegnało w kościele wielu księży z sąsiednich parafii i nawet sam prałat przyjechał. A potem trumnę okrytą kirem i całą w kwiatkach złożono na furmankę, aby powieźć do Rakowa, skąd pochodził zmarły. Agatę zaś w lichej trumience ponieśli sąsiedzi i zakopali obok jej męża i dzieci, już jakby za cmentarzem, na wzgórzu, skąd roztaczał się piękny widok na okolicę, a zwłaszcza na Łysą Górę, której szczyt tego dnia tonął w kłębach wełnistych mgieł.

Na niedzielę do parafii w Nowej Słupi zjechał już nowy duszpasterz, młodszy i jakby mniej w dobroć ludzkiej natury wierzący. A wcześniej jeszcze przybyli policmajstrzy, żeby rozpytać ludzi o tę fatalną noc. Nikt nic konkretnego nie potrafił powiedzieć, choć wielu wskazywało wychowanka księżej gospodyni, jako najbardziej podejrzanego z całej wsi. Antek czuł, że grunt mu się pali pod nogami, więc postanowił cichcem opuścić Nową Słupię i udać się do Krakowa, albo i dalej, gdzie nikt o nic nie będzie go pytał i gdzie łatwiej będzie spieniężyć kościelne precjoza. Wyszedł z chałupy wieczorową porą i nie udał się na gościniec, lecz w stronę lasu. Miał bowiem plan, by leśnymi drogami podejść jak najbliżej Kielc, gdzie go już mała kto mógł rozpoznać, a dalej to już, jak się tam uda: trochę pieszo, a trochę może przygodnymi furmankami.

Wszedł na Drogę Królewską, na której, jak mu się zdawało, znał każdy kamień, nie bał się więc, że mógłby zbłądzić lub napotkać jakąś niespodziewaną przeszkodę. Gdy tak szedł, rozmyślając o swoim przy-

szłym wygodnym, bogatym życiu w dużym mieście, usłyszał nagle dzwon klasztorny ze Świętego Krzyża i pomyślał sobie, że tam to dopiero muszą być bogate wota i skarby pełne pieniędzy pozostawianych przez licznych pielgrzymów przybywających do tego sławnego miejsca od wieków. Zaraz też jakieś lichy podszeptnęło mu, że niezbyt odległy klasztor Świętej Katarzyny także ma niemałe bogactwa, a mniszki zapewne łatwo będzie ograbić. I zaraz zaczął knuć, jak to przebierze się za żebraka i będzie udawał paralityka, by bez podejrzeń móc usiąść w przedsionku świątyni, poobserwować najpierw klasztorne zwyczaje i w szczegółach zaplanować kolejny swój rozbój.

Szedł tak zajęty swoimi niecnymi zamysłami, że nie zauważył nawet, kiedy zboczył z głównej drogi i poszedł wijącą się stromo pod górę ścieżką. Gęsta mgła zasnuła bowiem szczyt Łysej Góry. Wyszedł spod osłony wysokich, rozłożystych jodeł i znalazł się na gołoborzu, usypanym ze skalnych odłamów, jakimi przed wiekami diabły rzucały w kościół, by go zniszczyć. Wlaź na jeden z wysokich głazów i jął oczy wytężyć, gdzie mu teraz trzeba iść. Spostrzegł w pobliżu coś na kształt łuny świetlistej. Pewnie to światła klasztorne rozmyły się w tej mgle – pomyślał i ostrożnie udał się w tamtą stronę.

Kiedy znalazł się bliżej, zobaczył, że to płonące na polanie ognisko, wokół którego uwijały się jakieś gibkie i zwinne postacie. Skradając się, podszedł do nich i o mało nie krzyknął z radości. Słyszał bowiem piękny, choć nieco dziki, śpiew i zobaczył kilka cudownie zgrabnych, półnagich kobiet, które tańczyły, wyginając w jakimś niezwykłym zapamiętaniu swoje wspaniałe ciała. Nad ogniskiem wisiał kocioł, z którego uchodziła aromatyczna para, a zapach ten był wprost oszałamiający. Kiedy doleciał do nozdrzy Antka, chłopak natychmiast poczuł jego działanie. Wstąpiła weń wielka moc i odwaga. Choć w blasku ogniska zauwa-

żył szereg opartych o drzewa ogromnych, rozczapierzonychmioteli i w mig zrozumiał, że właśnie trafił na sabat czarownic, to nie uląkł się ani trochę. Przeciwnie, opanowała go przemożna chęć włączenia się w tę dziką zabawę i zakosztowania rozpusty z czarownicami.

Skoczył więc z jakąś zwierzęcą zwinnością pomiędzy czarownice, zawył jak wilk, błysnął oczyma i białymi zębami w uśmiechu, a potem zaczął z nimi hulać, obłapiając to tę, to znów inną, a każdej szepcząc lubieżne słówka. Wiedźmy, choć zrazu zaskoczone nieco, wkrótce zaczęły okazywać mu swoją przychylność. Wabiły go i jakby nawet rywalizowały o jego względy. Ocierały się o niego jak marcujące kotki, potrzasały wydatnymi pierściami, przybierały nieprzyzwoite pozy. A kiedy podniecony Antek chciał je wszystkie przyciągnąć do siebie, odsłaniały ze śmiechem. Próbował więc pochwycić choćby jedną z nich, ale były nasmarowane czymś tak śliskim, że, niczym węgorze, wyślizgiwały mu się z rąk i podążały za resztą.

Doprowadzony do ostateczności młodzieniec stanął wreszcie tuż obok dogasającego już ogniska i zdjętego z ognia kociałka, po czym zawołał:

- Jeśli teraz któraś z was legnie ze mną i odda mi się tak, jak to robi z samym Lucyferem, to dam jej wielki skarb, który mam w tym mieszk - mówiąc to potrzasał workiem, z którego rozległ się ni to brzęk, ni to jęk. Na to z kręgu pięknych czarownic wystąpiła najpiękniejsza z nich i rzekła z uwodzicielskim uśmiechem:

- Zabawię się z tobą, bo mi się podobasz, a skarbów żadnych nie chcę, gdyż wszystko, czego zapragnę, daje mi sam Lucyfer. Jestem jego najulubieńszą nałożnicą, bo żadna inna nie potrafi tak doskonale spełniać jego zachcianek. Nie mogę jednak obcować z tobą, dopóki nie zanurzysz się w tym naparze, który zetrze z ciebie ludzki zapach. Lucyfer bowiem wyczuwszy zdradę, zabiłby nas oboje. Wskocz zatem do kociałka i zanurz się po

czubek głowy.

Antek, zawsze cwany, przeznorny i chłodny wobec wszystkich niewiast, teraz był w tak wielkiej desperacji, że, niewiele myśląc, wskoczył do nawarzonego przez czarownice ukropu. Jak szybko wpadł do gara, tak szybko z niego wyskoczył. Zaczął latać jak w obłędzie w te i we te po polanie, krzycząc, wyjąc i jęcząc nieludzkim głosem, a czarownice śmiały się zeń szyderczo. Gładka skóra młodzieńca ze śniadej stała się krwawoczerwona, powstawały na niej białe pęcherze, które pękały, a w miejscach tych otwierały się broczące krwią i surowicą rany. Chłopak cierpiał straszliwie. Nie było na nim jednego zdrowego miejsca, a mimo to nie padł na ziemię zemdłony. W szale bólu i wściekłości pochwycił swój worek z monstancją i wrzucił go w żar ogniska. Ogień buchnął pod same niebiosy i, spaliwszy brudną tkaninę, odsłonił żeglującą po granatowym niebie monstancję i pozostałe naczynia. Gdzie poleciały nie wiadomo, może do jakiegoś kościółka w miejscowości, gdzie ludzie żyją ubogo, lecz po bożemu.

A Antoni nie umarł, bo jako czarci syn nie może zaznać śmierci, ale jako ludzkie dziecko czuje ból. Nie pokazuje się ludziom, bo wygląda strasznie, a nikt nigdy nie zdoła go już wyleczyć. Do dziś włóczy się gdzieś po Puszczy Jodłowej. Przygarnęły go zwierzęta, od nich nauczył się, co jeść i jak przetrwać w lesie. One liżą mu rany, co powoduje, że robią się strupy i rozpoczyna się gojenie. Wtedy jednak Antek odczuwa okropne swędzenie i zaczyna czochrać się o pnie drzew, powodując nowe rany i cierpienie zaczyna się od nowa.

Jeśli czasem, będąc w lesie w okolicy Świętego Krzyża, usłyszycie jęki lub zobaczycie ni to zwierzę, ni człowieka, szorującego swą parszywą skórą o korę drzew - przeżegnawszy się, uciekajcie szybko, bo to oszukany przez czarownice syn samego diabła.



Ciuciubabka

Dorota Czubowska

Jest piękne wiosenne popołudnie. Słyszę śpiew ukochanych kosów, czuję zapach bzu, majowe słońce pieści moją twarz, bose stopy rozkosznie dotykają miękkiej trawy. Łączę się cała z sobą, z naturą i z moją córką. Biegam za nią jak oszalała po ogrodzie. Endorfiny działają. Czuję się jak dziecko.

- Aniu, no pokaż się, Aniu!

- Stara, ślepa ciuciubabka po omacku chodzi, szuka pocziwego dziecka, co ją oswobodzi. Ciuciubabko, chodź tu bliżej, bardzo cię prosimy, zgadnij kto to, powiedz, kto to, to cię wnet zwolnimy! - śpiewa radośnie Ania.

- Aniu, gdzie jesteś?

- Szukaj mnie mamusi, szukaj, łap mnie! - chichocze.

- Córeczko, gdzie jesteś?! Halo! Aniu? - wołam.

- Ciuciubabko, szukaj swego pocziwego dziecka!

- Mam cię córeczko, złapałam i nie wypuszczę już. Moje pocziwe, cudowne dziecko. Nigdy cię nie opuszczę, rozumiesz? Nigdy. Zawsze będę przy tobie. Kocham cię. Aniu? Gdzie biegniesz? Aniu, stój! Aniu, nie odchodź! Proszę cię, nie opuszczaj mnie. Aniu! - krzyczę z całych sił.

Przez własny krzyk obudziłam się w środku nocy. Znów. Moje ciało jest złane potem. Dyszę. Serce rozhuśtane. Piżama cała mokra. Nie mogę złapać oddechu. Duszę się. Znów.

- Kolejny koszmar sen... Kiedy to się skończy? - pomyślałam, biorąc przepisane przez lekarza tabletki. Aby upewnić się, że powinnam ich użyć, znów czytam ulotkę: „stosować w stanach lęku oraz niepokoju”.

- Dlaczego Aniu? Dlaczego? - pytam.

Łzy lecą mi po policzkach. Jak każdej nocy. „Lek działa przeciwnie, uspokajająco, nasennie oraz niweluje uczucie zagrożenia” - czytam dalej. Biorę, upewniwszy się, że nadal go potrzebuję.

- Wciąż towarzyszy mi to uczucie zagrożenia. Żaden lek go nie zniweluje. Wszystko się wali... Mój cały świat. Zawalił się. Mój świat. Moja Ania... - powtarzałam w kółko, zasypiając. Odcięło mnie. Ktoś zgasił mi w głowie światło.

13 maja 2024

-Wiecie, że dziś Międzynarodowy Dzień Opiekuna Medycznego? Jak skończę ogólniak, to chcę iść w tym kierunku. Moja mama nim jest. To moja bohaterka. Wkłada w swoją pracę całe serce. Opiekuje się chorymi, niesamodzielnymi, starszymi ludźmi. Chciałabym, tak jak ona, pomagać innym. A wy? Co chcecie robić po maturze?

- Anka, no nie pierdol. Serio chcesz myć komuś dupę i zmieniać pampersy

-? 🤡

- LOL

- 🤡

- Napisz, ile razy dziennie twoja matka myje komuś dupę?

- Spadaj.

- LOL

- Chcę być youtuberem, w miesiąc zarobię więcej kasy niż twoja matka przez rok.

- Co, nie powiesz nam? Dawid chciał się do niej umówić. Może jemu też umyje?

Telefon wypadł mi z ręki. Łzy ściekały po twarzy i jedna za drugą kapąły na stół. Podniosłam telefon drżącymi rękami i

czytałam dalej to, co działa się na klasowym WhatsAppie Ani:

20 czerwca 2024

-Anka wygląda jak gruba, ruda świnia z tymi swoimi włosami i nadwagą.
-Dawno się tu nie odzywała.
-Chyba chodzi na praktyki do swojej matki i myje dupy staruchom.
-Chce pomagać ludziom. Ale beka.
-A co, jak ktoś się zesrał?
-No świnia w chlewie. Ja pierdolę, ale jazda.

15 lipca 2024

-Widziałam Ankę, jaka z niej gruba świnia.
- Jak się za siebie nie weźmie, to nikt jej nawet kijem nie dotknie.
-I jeszcze te jej rude włosy, lepiej niech je sobie, kurwa, ufarbuje.
-Jakbym tak wyglądała, to chyba bym się zabiła.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Nie wierzę - pomodliłam się na głos w kościele. Nie pamiętam, kiedy ostatnio to robiłam, —kiedy czułam tak silną potrzebę modlitwy. Kościół był pusty. Wypełniony jedynie zapachem kadzidła. Kolana wbijały mi się w drewniany klęcznik. Bolały. Jak moja głowa od tych wszystkich myśli. Co ja tu robię? Po co się modłę i do kogo? Przecież nie wierzę w Boga.
- Przepraszam, przepraszam — zawołała, siedząca z tyłu, siwiuteńka staruszka. - Usłyszałam, jak pięknie się pani modli. Chce pani różaniec? Bóg na pewno pani wysłucha. Za taką żarliwą modlitwą, to na pewno. A może razem odmówimy koronkę

do miłosierdzia bożego? Proszę, to mój różaniec.

- Ojcze Przedwieczny, ofiaruję Ci ciało i krew, duszę i bóstwo najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata...

- Proszę przestać! Co pani robi? - krzyknęłam z całych sił, aż staruszka stanęła na baczność.
- Żadnej koronki miłosierdzia! Nic mu już nie ofiaruję, o nic nie będę błagać. Rozumie pani? Za grzechy nasze i całego świata?! Jakie grzechy? Moja córka popełniła samobójstwo. Nie żyje. Moje jedyne dziecko. Moje światło. Miała przed sobą całe życie. Rozumie pani? Gdzie ten Bóg? Nie widzi, jak dzieci zabijają dzieci? Gdzie, no gdzie on jest? Moje serce krwawi. Nie ma Boga, rozumie pani?! Nie ma! - krzyknęłam i z płaczem wybiegłam z kościoła.

Moje serce zostało złamane, gdy straciłam swoje dziecko. Dziecko, które miało przed sobą całe życie, pełne marzeń, nadziei, planów i pasji. Dziecko, które kochało życie, kochało mnie, kochało świat, który je otaczał, mimo że nie zawsze potrafiło w nim znaleźć swoje miejsce. Było wyjątkowe, miało w sobie ogrom: miłości, czułości, energii. Przynosiło uśmiech i radość wszystkim, którzy je znali. I mimo że starałam się być obok, próbowałam chronić, nie zauważyłam, jak bardzo cierpiało w ciszy—moja siostra przerwała czytanie posta na Facebooku i wybuchnęła płaczem.

— Ta kobieta przeżywa dokładnie to samo, co ja. Też byłam obok. Kochałam Anię całym sercem, chroniłam, a mimo to nie zauważyłam, jak bardzo cierpi w ciszy. Choć jej słowa sprawiły, że serce zaczęło mi krwawić, choć mnie wzruszyły, nie poleciała mi ani jedna łza. Ja już nie mam czym płakać... Rany, jak ta kobieta to pięknie napisała, ile ma w sobie siły. Jeszcze... Czytaj proszę dalej — powiedziałam spokojnym, opanowanym głosem.

Hejt — te straszne słowa, które

*potrafią zniszczyć, zabić radość, odebrać wiarę w siebie. Nie zauważyłam, jak bardzo one raniły moje dziecko, jak bardzo te wirtualne ciosy przenikały do jej wrażliwej duszy. Były momenty, gdy wracała do domu z cichym, smutnym spojrzeniem. Czasami próbowałam ją pocieszyć, mówiłam, że wszystko będzie dobrze, że nie warto zwracać uwagi na złośliwe słowa, że to tylko internetowa iluzja. Ale to nie wystarczyło. Te słowa, które miały być tylko chwilowym bólem, stawały się coraz cięższe. W rzeczywistości wywoływały w niej wątpliwości, poczucie samotności, bezsilności. Żadne słowa pocieszenia nie były w stanie ukoić tego bólu, który był jak kamień, który powoli zatapiał moje dziecko w ciemności. Nikt nie widział, jak bardzo cierpiało. Nikt nie rozumiał, jak silny wpływ na młodą psychikę może mieć hejt. Słowa, które miały tylko zranić, w końcu stały się przyczyną czegoś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. Zostałam wstrząśnięta wiadomością, która zmieniła moje życie na zawsze. Moje dziecko już nie wróci. Pozostaje tylko pustka, niezrozumiała cisza, której nie potrafię wypełnić — skończyła czytać moja siostra. Przytuliłyśmy się mocno i zalałyśmy łzami. Płakałyśmy i płakałyśmy.
- Musimy coś z tym zrobić. Nie tylko moją córkę zabił hejt. Skontaktuję się z tą kobietą. Dla Ani - wyszeptalam siostrze do ucha.*

Dziś 13 maja, mamy rok 2025, sztuczna inteligencja wyręcza nas niemal w każdym aspekcie życia, tymczasem ich praca jest niezastąpiona. Dzień w dzień, ramię w ramię stają do wspólnej pracy, w której centrum znajduje się pacjent. Ich wsparcie jest bezcenne, a pomoc przywraca wiarę w człowieka.

Troska o chorego i jego godność - to ich codzienna rzeczywistość. A uśmiech pacjenta jest najlepszym dowodem na ich zaangażowanie.

Drodzy! Z okazji Międzynarodowego Dnia Opiekuna Medycznego przyjmijcie serdeczne życzenia: wielu sukcesów,

satysfakcji z pracy i szacunku, na jaki zasługuje wasza praca! — powiedzieli w radiu.

Dziś minął rok od jej śmierci. Znów jest piękne wiosenne popołudnie. Znów słyszę śpiew ukochanych kosów i czuję zapach bzu. Majowe słońce pieści moją twarz, bose stopy dotykają miękkiej trawy, ale ogród nie jest już taki sam. Dookoła bezlitosna pustka. Nie potrafię jej wypełnić. Nic nie czuję. Nie ma endorfin. I tylko myśli biegają jak oszalałe w mojej głowie. Wciąż tyle pytań bez odpowiedzi.

-Stara, ślepa ciuciubabka po omacku chodzi, szuka pocziwego dziecka, co ją oswobodzi. Ciuciubabko, chodź tu bliżej, bardzo cię prosimy, zgadnij kto to, powiedz, kto to, to cię wnet zwolnimy! — wyszeptalam jednym tchem. Po czym wyciągnęłam z koperty jej list do mnie i przeczytałam fragment, który czytam dzień w dzień, słowo w słowo:

Przepraszam mam, ale już nie mam siły. Wybacz mi, że tak kończę. Przez nich nie chce mi się żyć. Czuję strach. Dlaczego mnie tak nienawidzą? Wyśmiewają. Co ja im zrobiłam? Nie mogłaś mi pomóc. Dziękuję Ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jesteś moją bohaterką. Kocham Cię mam. Moja najlepsza na świecie ciuciubabko. Twoja Ania

Słońce nadal pieści moją twarz. Dyszę. Serce łopocze. Nie mogę złapać oddechu. Duszę się. Życie to jedna wielka ciuciubabka.



Droga do Raju

Paweł Jaszczuk

Ostry sygnał karetki wjeżdżającej na OIOM, wyrwa mnie ze snu. Zapalam lampkę, lecz gaszę ją natychmiast, orientując się, że na ściennym zegarze dochodzi dopiero trzecia. Ciemność otacza mnie ze wszystkich stron. Leżę w szpitalnej izolatce i nie pamiętam, co mi się śniło. Wiem tylko, że dzisiaj czeka mnie operacja. Doktor zapewnił, że to rutynowy zabieg, a pielęgniarka oddziałowa stwierdziła, że nie ma się czego bać. Staram się na nowo zasnąć, ale sen nie wraca. Kiedy byłem małym chłopcem, przykładałem pięści do oczu, szeptałem jakieś zaklęcia, po których momentalnie zapadałem w sen. Próbuję znowu zastosować tę starą sztuczkę. Zaciskam palcami kciuki, przykładam je do powiek, lecz nie pamiętam zaklęć. Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje. Widzę tylko pod powiekami taniec pomarańczowych iskier, podobnych do tych, które wylatywały z komina starej odlewni żeliwa w Morągu. Oglądaliśmy je wiele razy z moim bratem Piotrkim, nie mogąc się na nie napatrzeć. Teraz podobne iskry wirują w mojej głowie coraz szybciej i raptem gasną. Widzę po chwili małego chłopca wspinającego się po drewnianym płocie na drzewo morwy. Poznaje spodniki na szelkach, usmarowaną bawełnianą bluzkę i znoszone sandaalki. To ja. Zginam gałąź, zwisam głową w dół i sięgam ręką po czarne owoce, które smakują jak dojrzałe jeżyny. Sok ścieka mi po policzkach, skleja rzęsy, ale wciąż mi mało. Jak głodny ptak, przeskakuję z gałęzi na gałąź, łykając soczyste morwy. Brat robi to samo. Bujamy się na gałęziach, lecz w końcu, obsztorcowani przez wychowawczynię, zeskakujemy na ziemię i dołączamy do dzieci bawiących się w berka.

Staram się przywołać najdawniejsze wspomnienia z dzieciństwa, jednak nie potrafię znaleźć pierwszego obrazu. Może był nim kasztan, którego gałęzie dotykały okien na drugim piętrze kamienicy, w której niegdyś mieszkaliśmy. W maju przysztrażały go gęste, białe kwiatostany. Gdy otwieram okno wyobraźni, znów

wyczuwam ich intensywny zapach i słyszę brzęczenie pszczoł oraz trzmieli, siadających na miododajnych wiechach. Dalej za rozłożystym drzewem rozpościerała się łąka, na której łaciata koza zapamiętała skubała trawę, kręcąc się wokół metalowego palika dotąd, aż nie potrafiła się uwolnić z łańcucha. Moje wspomnienia przyspieszają. Widzę tę samą łąkę, lecz zamiast kozy, obok metalowego śmietnika, mój pies Mops płaszczy się na ziemi. Przestraszył się hycła, który go osaczył. Mężczyzna szybkim, wyćwiczonym ruchem zarzuca pętlę na szyję Mopsa i ciągnie go w stronę wozu. Nasz kundel charczy i sika pod siebie. Przerażeni krzyczymy z Piotrkim przez okno, a naszym wołaniom wtórują bezpańskie psy zamknięte w klatkach. Zaalarmowany ojciec wpada do naszego pokoju, wychyla się i obrzuca rakarza stekiem wyzwisk. Bluźnierstwa odnoszą skutek. Hycel luzuje pętlę, uwalnia więźnia, po czym wsadza na wóz, zacina konia batem i odjeżdża, szukać w naszym miasteczku kolejnych ofiar.

Jakby było mało tych okropności, przed moimi oczami wyświetla się kolejne zdarzenie. Miałem wtedy nie więcej niż sześć lat, gdy zaciekawiony obserwowałem naszego sąsiada, siedzącego przy ognisku na odwróconej skrzynce i palącego papierosa. W pewnej chwili sąsiad wrzucił niedopałek do ognia i wyjął obcęgami spomiędzy szczap rozgrzany do czerwoności stalowy drut. Potem szybko nachylił się nad zamkniętym koszem i wyciągnął z niego małe, wijące się stworzenie – szczura. Przydeptał kaloszem jego głowę, a potem metodycznie wypalił mu oczy i wypuścił na wolność. Przeraził wisk okaleczonego zwierzęcia dalej wwierca mi się w uszy. Nie mogłem ochłonąć, byłem sparaliżowany ze strachu, jak mój pies złapany przez rakarza. Chciałem odejść, lecz ojciec mojego kolegi wziął mnie delikatnie za rękę i uśmiechając się, powiedział, że to nauczka

dla innych szczurów, a ślepak ma ich raz na zawsze wystraszyć.

Niechciany obrazek pamięci znika, gdy przejeżdża kolejna karetką na sygnale. Zastygam, nasłuchuję. Ze szpitalnego korytarza dobiegają czyjeś kroki. Ktoś wsiada do windy. Słyszę zgrzyt zamykanych drzwi. Winda odjeżdża. Gapię się w okno. Pada deszcz. Na rozmazanej szybie pulsują rozmyte światła telewizyjnej wieży. Oddycham ciężko. Kręci mi się w głowie, czuję tępy ból w kręgosłupie i może stąd biorą się te przerażające wspomnienia, których nie umiem wymazać z pamięci. Czyżbym nigdy nie mógł się ich pozbyć? Przecież w moim dzieciństwie nie brakowało miłych chwil. Dobrze pamiętam furmankę ciągniętą przez gniadego perszerona. Podkowy kłaskały na bruku, krzesząc iskry. Na koźle siedział nabzdryngolony furman i krzyczał na cały głos, że stare szmaty i butelki skupuje. Gdy wóz zatrzymał się na wprost naszej kamienicy przy Pułaskiego, ja z moim bratem obejrzelśmy klejnoty ogiera zwisające mu do kolan, a potem jak na komendę pobiegliśmy do domu po stare ubrania oraz kilkanaście butelek po oleju i wódce. Woźnica oglądał nasz towar. Kręcił głową, upierał się, że to za mało, lecz w końcu dał nam na odczepnego czerwoną piłęczkę wypchaną trocinami i blaszanego kapiszonowca, z którego zrobiliśmy użytek, bawiąc się z chłopakami w wojnę.

Nie miałem więcej niż siedem lat, gdy przed naszą dwupiętrową kamienicą zatrzymała się garbata warszawa. Samochody były wtedy w moim mieście rzadkością, więc nie zastanawiając się długo, zakradłem się od tyłu do auta i, niezauważony przez kierowcę, wskoczyłem na zderzak. Chciałem się tylko kawałek przejechać. Samochód ruszył, a ja jechałem uczepiony zderzaka, upajając się prędkością. Moja radość szybko się skończyła. Byłem przerażony. Samochód pędził coraz szybciej, a gdy na łuku nieco zwolnił, zeskoczyłem, uderzając kolanami o bruk. Leżałem na ulicy, otrzymując kolejną bolesną lekcję. Do tej porażki nie mogłem się nikomu przyznać – ani rodzicom, ani bratu, ani siostrze Maryli.

Na naszym podwórku nie brakowało eksytujących zabaw, a prowodyrów było wielu.

Pamiętam, chociażby nasze zimowe polowanie. Każdy z naszej paczki zabrał ze sobą własnoręcznie zrobiony łuk oraz pęk strzał z gwoździami. Mielśmy zamiar ustrzelić zająca albo kuropatwę i pochwalić się łupami przed rodzicami. Wyszliśmy w tajemniczą ścieżką między chlewikami i skierowaliśmy się za tory kolejowe. Brnęliśmy przez śnieżne zasy, sięgające kolan. Rozglądaliśmy się, lecz na polu zasypanym śniegiem nie było widać szaraków ani kuropatw – ich ślady zasypał śnieg. Kierowaliśmy się w stronę lasu widocznego na horyzoncie, bo tylko tam mogły się kryć szaraki. Szliśmy coraz wolniej, mocno już przemarznięci, lecz żaden z nas nie chciał okazać się tchórzem i pierwszy się poddać. Zmierzchało. Mróz tężał. Kiedy las był już niemal na wyciągnięcie ręki, usłyszeliśmy za sobą głośnie wołania. Obróciliśmy się. Od strony miasta zbliżała się do nas grupka dorosłych. Pobytyskiwały światła latarek. Byliśmy zawiedzeni, że nasi rodzice przerwali naszą zimową wyprawę, a jeszcze większą pretensję mieliśmy z bratem do siostry, Marysi, że zdradziła im tajemnicę, gdzie poszliśmy.

Była noc, gdy wróciliśmy do domu. Ledwie przekroczyliśmy próg, mama nalała do miski zimnej wody i kazała nam zanurzyć w niej przemarznięte nogi. Pamiętam, że zimna woda z kranu parzyła nas w stopy i że syceliśmy z Piotrkim, a Marysia mówiła, że to za karę. Potem mama natarła smalcem nasze ciało, przebrała nas w ciepłe piżamki, a ojciec nagrzał kotłdrę o kaflowy piec, przykrył nas i momentalnie zapadliśmy w sen.

Leżę teraz w szpitalnym łóżku i, gdy bezskutecznie próbuję zasnąć, w mojej pamięci ożywa inna scena z dzieciństwa. Jest ciepły jesienny dzień, gdy siedzimy przy ognisku na łące i pieczemy w żarze kartofle. Wyciągamy je z popiołu patykami i zjadamy się nimi, chociaż są jeszcze twarde. Nagle z sąsiedniego podwórka przybiega jakiś chłopak i pyta nas, czy wiemy, że na torach do Żabiego Rogu pociąg rozjechał krowę. Gasimy ognisko, sikając do niego, a potem biegniemy za barakami, obok stawu, w którym topi się

małe kocięta, zobaczyć, co się stało. Gdy docieramy do semafora, naszym oczom ukazuje się makabryczny widok: zwłoki krowy są rozciągnięte na długości kilkuset metrów. Podkłady kolejowe, tłuczeń i chwasty pokrywała czerwona maź. Krowia głowa z ułamanym rogiem leży w rowie, a nogi są obcięte i porzucane po skarpach. Dorośli przeganiają nas. Właścicielka krowy płacze. Pojawia się służba ochrony kolei i każe nam zmykać. Wracamy na podwórko, komentując zdarzenie. Przechwalamy się, kto widział więcej flaków i krwi. Po drodze zrywamy gałęzie głogu. Siadamy na murku przed kamienicą. Jemy cierpkie owoce i plujemy pestkami na trawę.

Niespodziewanie slajd z rozjechaną krową znikną i pojawia się następny. Idę na pierwszomajowy pochód na cmentarz żołnierzy radzieckich. Widzę, jak łopoczą czerwone sztandary. Gra wojskowa orkiestra, ludzie śpiewają patriotyczne pieśni. Nudzimy się z bratem, a na dodatek bołą nas nogi. Obietnica lodów waniliowych, które ma nam kupić ojciec, na krótko studzi nasze narzekania. W końcu męcząca uroczystość kończy się pod trybuną honorową. Tłum śpiewa:

*Wyklęty, powstań ludu ziemi!
Powstańcie, których dręczy głód!
Myśl nowa blaski promiennemi
Dziś wiedzie nas na bój, na trud.¹*

Pieśń cichnie. Pytamy ojca, dlaczego lud ziemi jest wyklęty, ale odpowiada nam jakoś wykrętnie i nic z tego nie rozumiemy. Dostajemy w końcu obiecane lody, lecz zamiast do domu idziemy jeszcze dalej, na ludowy festyn na drugi koniec miasta, na stadion Huraganu. Tam zabawa trwa w najlepsze. Jedni skaczą w workach na wyścigi, inni przeciągają linę. Ktoś próbuje się wspiąć po butelkę wina na drewniany słup wysmarowany smalcem. Na rzutni dla dyskoboli ustawia się długa kolejka przy ciężarówce z brezentową budą. Sprzedawczyni w białym fartuchu i czepku na głowie sprzedaje

kiełbasę, bułki, piwo i oranżadę.

Obraz majowego święta rozpływa się, a klatki wspomnień znowu mieszają się w mojej głowie, jak pocięta filmowa klisza. Nic nie pamiętam z pierwszego dnia w szkole, widocznie byłem zaferowany tą podniosłą uroczystością. Przypominam sobie za to boisko przed szkołą, biegnię i skocznę do skoków w dal i wzwyż, na której niefortunnie skacząc przez sznurek, zaplątałem się i przewróciłem stalowy słup, który złamał mi nogę. Pamiętam jeszcze wielką aulę ze sceną teatralną na ostatnim piętrze. W auli przeciwskąłem się między drewnianymi schodami i wchodziłem pod scenę, gdzie mleczne światło wpadało przez niewielkie okienka pokryte pajęczynami. Tam była moja kryjówka, w której słuchałem deklamowanych wierszy, podniesionych głosów nauczycieli, dudnienia drewnianej podłogi, gdy deski ugiwały się pod rówieśnikami tańczącymi krakowiaka. Czasem wydaje mi się, że wciąż tkwię pod tą sceną w starej auli ponemieckiej szkoły i nasłuchuję odgłosów dzwonka na lekcję oraz rozmów kolegów i koleżanek, których nazwisk już nie pamiętam.

Niedługo zacznie się obchód. Przekręcą się na drugi bok bezskutecznie próbując zasnąć i wtedy pod powiekami pojawia się cel moich dziecięcych wypraw na rowerze – droga do Raju. Jest wrześnie, a może październikowe popołudnie. Kasztany w brązowych łupinkach leżą na popękanych asfalcie. Hamuję, zsiadam z rowerka i opieram go o pień drzewa. Napełniam kieszenie, połyскуjącymi w słońcu skarbami. Mogę już wracać do domu, ale coś mnie zatrzymuje. Słyszę metaliczny odgłos – to posiwały na skroniach mężczyzna klepie na polnym kamieniu kosę. Nie potrafię się ruszyć. Zbliżyłem się do niego ostrożnie. Mężczyzna nie zauważył mnie, wciąż jest pochłonięty swoją pracą. Po kilku minutach przestaje klepać kosę. Podnosi głowę, spogląda na mnie. „Chcesz spróbować?” – pyta, wyciągając rękę z młotkiem. Nie wiem, dlaczego odmawiam. Wystraszony wsiadam na rowerek i pędzę, ile sił w nogach, do domu.

Dziura w ścianie z karton-gipsu

Anna Szrymska

Byłam w domu dziecka.

Moje dzieci są z domu dziecka.

Myślę o domu dziecka jak o moim brzuchu, z którego wyszły moje dzieci. Mój brzuch był piętrowym budynkiem o barwie brudnej kości słoniowej, wpadał na wysokości parteru w pomarańcz i zieleń. Mój brzuch wyłonił się po remoncie dawnego żłobka. Był pełen migracji, składał się z ludzi wewnętrznych i zewnętrznych; dzieci i dorosłych.

W domu dziecka jest jak w żłobku, przedszkolu i szkole jednocześnie. Przedział wiekowy od zera z hakiem do dwunastu, trzynastu lat. Dzieci z gładkim licem, bez trądziku, te mniejsze ze zmarszczkami. Trądzik miały czasem odwiedzające matki i ojcowie.

Widziałam kobietę, wytatuowaną sztuką tatuażu, w różowych, welurowych spodniach dresowych i t-shircie z grafiką. Żółte włosy, rzadkie, z widocznymi odrostami. Typała na mnie spod oka. Przyszła ze swoją matką, grubą babą obracającą biodrami przy każdym kroku w prawo, w lewo. Chciałam być miłą, z zupełnie nieznanego mi powodu.

Och, nie będę taka nieoczywista; oczywiście, że chciałam jej pokazać, że jesteśmy sobie równe. Zajęła siedzisko przy piaskownicy obok małego chłopca, natomiast drugi, którego odwiedziła, skakał na trampolinie. Zagałam:

- Ile synek ma lat?

Spojrzała na mnie podejrzliwie, a nawet z jakąś odrazą (na mnie? z odrazą?, gdy ja przyjechałam dzieci adoptować, a ona, pozbawiona praw rodzicielskich, odwiedzała raz w tygodniu, czasem raz na dwa tygodnie, bo zdarzało się jej zapomnieć). O zgrozo, gapiła mi się w oczy z gniewem. Może ja z takimi gadać nie umiałam.

- Dwa lata.

- O, to mój prawie trzy. No proszę.

Uśmiechnęłam się, choć w duchu kręciłam głowę z nieokreślonym poczuciem porażki. Ona odwróciła się do starszego syna:

- Masz ciastka, poczęstuj kolegów. Nie jedz

sam.

Nie bądź samolubny - wybrzmiało.

Chłopiec podszedł do dzieci, także do moich, i poczęstował ciastkami. Ja smakołyków do dzielenia się, nie dałam, ponieważ liczyłam na to, że chłopcy będą spędzać czas z nami, a nie biegać po dzieciach z ciastkami. Do tej pory nie wiem, która z nas miała rację. Innego dnia przechodziłam obok gabinetu dyrektora. Niesamowita sprawa z tym domem dziecka. Po każdym przyjeździe tam, pierwsze co robiłam, to biegłam do łazienki, wysikać się. Raz czy dwa rzuciłam do moich dzieci:

- Zaczekajcie, muszę do łazienki!

Usłyszałam od starszego syna:

- Jedyńka czy dwójka?

Potem mu powiedziałam, że nie wypada tak mówić, a już na pewno nie na głos. On ultra wrażliwy, tak bardzo chciał nam się przypodobać, że obiecał, choć nie oczekiwałam tego, że już nigdy, ale to przenigdy, tak się nie odezwie. Mój syn chciał, byśmy go polubili. Dosyć, że był przekonany o tym, iż trafił do domu dziecka dlatego, że przyprowadził do domu psa z pchłami, i te pchły obeszły mieszkanie, rodzinę. Zabrali go, jego wina, jego wielka wina.

Kolejne pół roku mówiliśmy mu z mężem:

- To nie twoja wina.

I naprawdę chciałam wierzyć, że skoro już tyle razy to powiedziałam, to siadło. Intuicja podpowiadała mi jednak, że nie siadło, ale jest o krok do przodu.

Wracając do sytuacji... Biegłam do łazienki, minęłam gabinet dyrektora. Słyszałam, jak kobieta tłumaczyła mu coś nerwowo. Dobiegło zza drzwi:

- Jakim prawem nie przekazano mi, że było zakończenie roku szkolnego syna? Na jaką matkę ja wyszłam?!

- Proszę pani, nie ma potrzeby się unosić.

- Dopiero teraz dowiaduję się, że było zakoń-

¹ Międzynarodówka, pieśń rewolucyjna, słowa: Eugène

Pottier

czenie roku szkolnego!

Wychodząc, dostrzegłam, że kobieta trzymała za rękę małą dziewczynkę, która patrzyła to na matkę, to na dyrektora. Jej oczy błędziły jak wahadło w metronomie, niemal słyszałam stuk, stuk.

- Trzeba było zapytać syna, to by powiedział o zakończeniu roku. Trzeba go było odwiedzić. Zresztą, można łatwo sprawdzić, kiedy jest zakończenie roku...

- Wy macie mnie wspierać! – kobieta przerwała dyrektorowi.

Skojarzyłam wtedy, że mamy drugą połowę lipca. Kobieta dopiero teraz zorientowała się, że było zakończenie roku szkolnego.

My byliśmy na zakończeniu roku syna. Pozналиśmy go dziesięć do dwunastu dni wcześniej. Jego ulubiona ciocia z domu dziecka powiedziała nam:

- Przyjedźcie państwo, Adasia nikt nie odwiedza, nikt z nim nigdy nie był w szkole, zrobicie mu niespodziankę.

- A co jeśli przyjdą rodzice biologiczni? Nie możemy się z nimi spotkać...

Ciocia, jak dobra dusza z powieści Dickensa, pokręciła głowę z wątlm uśmiechem i smutkiem w oczach.

– Nie przyjdą, nie martwcie się. Nie przyjdą.

Bałam się, że jednak będą. Ciężko komuś wytłumaczyć, że bywają sytuacje niezręczne, ale niezręczność w tych okolicznościach, nie oddaje w pełni powagi i daleko idących skutków takiego spotkania.

Nie przyszli.

Adaś, gdy nas zobaczył, otworzył usta ze zdziwienia. Rzucił się w ramiona.

- Nikt nigdy nie przyszedł, tylko ciocia Anielcia!

Trzymał nas kurczowo za ręce, tulił dłonie do policzka. W klasie powiedział:

- Usiądziecie koło mnie?

Wychowawczyni podziękowała nam, że jesteśmy, bo Adaś dotąd zawsze był sam. Nie mogliśmy usiąść obok, to strefa dzieci. Stanęliśmy więc z innymi rodzicami z tyłu, a Adaś odwracał się i mówił przez całą klasę:

- Sprawdzam, czy jesteście!

Wysyłał buziaki i formował ręce w serce.

Jedna z kobiet odezwała się do nas:

- Macie państwo wspinały kontakt z synem. Znaliśmy się od dziesięciu do dwunastu dni. Przed dziesięcioma czy dwunastoma dniami ciocia Anielcia powiedziała Adasiowi:

- Jutro po szkole przyjadą pani i pan. Chcą zostać waszymi rodzicami i myślimy, że ty i twój braciszek jesteście dla nich, a oni dla was.

- Ale ja mam mamę i tatę – powiedział Adaś zgodnie z prawdą.

- Wiem Adasiu, ale do nich już nie wrócisz... A to są wspaniali ludzie. Polubicie się.

Adaś nie spał przez całą noc.

- Mamo, ja wtedy całą noc myślałem i myślałem: czy was polubię, czy nie? Czy mi się spodobać, czy nie? Bardzo się stresowałem. Przez całą noc miałem otwarte oczy. Podobno zasnąłem o dwudziestej drugiej.

Biedak całą noc się zamartwiał. Po pierwszym spotkaniu powiedział:

- Pozwalam wam przyjechać drugi raz.

I tak na wyraźne przyzwolenie zaczęliśmy jeździć.

Przyjechaliśmy do Adasia i jego brata pewnej niedzieli. Z domu dziecka wzięli nas na izbę wytrzeźwień. Powiedzieli:

- Adaś potrafi być kochany, ale wymaga dużo, dużo pracy.

Ktoś inny wtrącił ogrom.

– Muszą państwo być świadomi tego, że on ma dużo nagromadzonych emocji, agresji, nerwy. Okropne nerwy. Wczoraj nie chciał położyć się spać, zdenerwował się i nogą zrobił dziurę w ścianie.

-Z karton-gipsu - tłumaczę.

- Proszę go także zapytać, jak mnie nazwał. Jedna z cioć kręciła głowę z dezaprobatą. - Niech sam powie.

Podeszliśmy do Adasia. Wstydził się podnieść na nas oczy. Dwie ciocie stały nad nami w oczekiwaniu na opierdół życia syna. Przytuliśmy go i wytłumaczyliśmy, dlaczego niszczanie cudzego mienia jest niewłaściwe.

- Obiecujemy ci – schyliłam się, patrzyłam mu w oczy, trzymałam za małą, białą rączkę – że będziemy z tobą pracować nad emocjami, bo wiemy, że jest ci trudno.

- Mamo, pomóżcie mi się nie złościć. Nie lubię siebie takiego – mówił Adaś cichutko. Nachy-

liliśmy się bardziej, by go usłyszeć.

– Nauczcie mnie panować nad złością.

- Zaopiekujemy się tobą i pomożemy ci.

Ciocie poszły sobie, przedstawienie skończono, a sztuka marna. Na spacerze z Adasiem i jego bratem zapytałam go, jak nazwał ciocię.

- Wiedźmą.

- To dobre słowo, czy niedobre?

- Niedobre.

- A ono kogoś obraża?

- Chciałem ją obrazić, bo mnie wkurzyła, kazała mi iść spać tak wcześnie.

- Czy uważasz, że można ciocię przeprosić?

- Tak.

Na koniec spotkania podeszliśmy do wyzwanej cioci i Adaś przemówił:

- Ciociu, przemyślałem to, jak cię nazwałem i bardzo cię przepraszam.

- A mówiłeś rodzicom, jak mnie nazwałeś?

- Wiedźmą.

- Nie tylko wiedźmą.

- I podłą kurwą – przyznał Adaś, spuszczając wzrok na podłogę.

Było w tym coś tak absurdalnego, że zachciało mi się śmiać. Nie wiem, jaką siłą - wolą czy jakąś inną - powstrzymałam się. W samochodzie za to rżałam jak koń. Na usprawiedliwienie dodam, że mąż też, a on jest złotym człowiekiem.

W pewnym momencie dyrektor domu dziecka zezwolił nam na zabieranie dzieci poza placówkę. Organiczna ulga. Przede wszystkim z powodu innych podopiecznych placówki.

Gdy zaczęliśmy odwiedzać chłopców, dzieci wychylały się ze swoich nerek i obserwowały nas... To było najdokładniejsze badanie empiryczne w historii świata. Dzieci odpowiadały przed sobą na fundamentalne pytania: kim są ci dorośli, dlaczego mianują się rodzicami adopcyjnymi, dlaczego wybrali Adasia i Marcinka, co Adaś i Marcinek takiego w sobie mają. Dla nas – pierwsze odnotowane przez uczone dzieci stwierdzenie – Adaś i Marcinek są przeciętni.

I najważniejsze: jak sprawić, by oni także mnie zabrali ze sobą do domu?

Odbываły się przygotowania: uczesanie

pierwsza klasa, czysty ciuch i but, czyste buzie, pokaz umiejętności – akrobatyka, rysunek, oratorstwo, wiedza, śpiew, zdolności przywódcze, foremki z piasku. Kompetencje twarde i miękkie. Blondyni, bruneci, rudzi, dziewczynki i chłopcy. Solo bądź z rodzeństwem. Pamiętam, jak oglądałam kiedyś amerykański film, w którym ichniejszy ośrodek zorganizował piknik rodziców adopcyjnych z dziećmi. Przyszli rodzice poznawali dzieci i wybierali spośród nich. Dobrze, że w polskim systemie, co do zasady, rodziców do dziecka dopasowuje ośrodek adopcyjny. W przeciwnym wypadku doszłabym do punktu, po przekroczeniu, którego jest bezdenne szaleństwo, otchłań kryteriów, a potem życie przeobrażone w ciągłe zastanawianie się: czy to jest nasze dziecko, czy tamto, które zostawiliśmy w piaskownicy, albo przy drabinie; spalenie intuicji; niewiedzone sny z twarzami dzieci, które nigdy nie dorosną.

Dwunastoletni Przemek, w okrągłych okularach, przypominał mi Harry'ego Pottera, z pierwszej okładki książki wydanej w Polsce.

- Proszę pani – pewny siebie, buńczucznie zadarł nos do góry – a gdyby pani tak i mnie wzięła ze sobą, co? Ja nie sprawiam problemów. Mnie tu nikt nie odwiedza.

- Och, wiesz... Nie my o tym decydujemy.

- A kto decyduje?

Zamyśliłam się.

– Dyrektor. Na ciebie też na pewno czeka jakaś rodzina.

- Ee, co pani, takiego starucha to nikt nie chce.

- Na pewno jest inaczej...

Całkowicie niezdarne, bez wiary we własne słowa, próbowałam w ciągu jednej sekundy zrozumieć siebie, jego i problem wszystkich dzieci w pieczy zastępczej.

Widziałam z daleka, że rysuje coś kredą na betonie.

- Podejdzie tu pani? – zawołał mnie.

Podeszłam. Przemek pokazał rysunek.

– Tu jesteście wy, Adaś, Marcinek i ja. Widzicie? Możemy być rodziną.

- Przemku... - zaczęłam znowu i było to w tak chory sposób nie do sformułowania dla takiego adopcyjnego laika jak ja.

- Naprawdę nie możemy cię zabrać. Bardzo mi przykro. Możemy tylko dwójkę dzieci.

Przemek zmaszał ręką Marcinka.

- Widzi pani, teraz jest dwóch.

Zgroza mnie przejęła, przeraziłam się. On zabije moje dziecko, byleby być z nami. Gdyż ja, w swojej tępotcie, sformułowałam to nieprzemyślanie.

- Nie, Przemku - powiedziałam stanowczo. - To musi być Marcinek i Adaś. Nie możemy cię wziąć.

- Ja porozmawiam z wujkiem. Chłopiec miał na myśli dyrektora. - Załatwię temat.

Przez miesiąc, kiedy jeździliśmy do chłopców, bałam się telefonu, że Przemek zrobił coś Marcinkowi. I nie byłam powściągliwa w wyobrażeniach.

Później dowiedziałam się, że dwa lata wcześniej Przemek trafił do rodziny zastępczej, ale były tam też inne dzieci, a on potrzebował całej uwagi tylko dla siebie, poświęcenia mu się, podkreślenia jego obecności i istotności. Rodzina go odstawiła pod bramę, tak nam powiedział Adaś, dodając:

- Nie wykorzystał swojej szansy. Jego wina. Wiedzieliśmy, że to nie są słowa Adasia, lecz zasłyszane gdzieś od dorosłych.

Kiedyś na placu zabaw, na terenie domu, dziecka Adaś krzyczał:

- Moi rodzice przyjechali! Zobaczcie, tu są!

Jedna z cioc zwróciła mu uwagę, by się nami nie chwalił, bo innym dzieciom jest z tego powodu przykro.

- Oj, muszą państwo popracować nad jego empatią.

Adaś po takich wyprawach z nami poza placówkę nie chciał wracać do domu dziecka. Pytał, kiedy go zabierzemy do domu i dlaczego nie teraz? A także kto decyduje?

Czy my też jesteśmy tak ułomni jak rodzice biologiczni, którzy obiecywali, obiecywali i na nic się te słowa zdały?

Zapierał się o bramę, że nie wejdzie, zostanie, nie chce.

- Weźcie mnie ze sobą!

A nam się serce krajało, bo odstawialiśmy synów do domu dziecka, jak pożyczone dzieci. Więż między nami a chłopcami dopiero kiełkowała, ale wbiliśmy sobie do głowy, że to nasze dzieci, a na miłość przyjdzie czas... To jak małżeństwo z rozsądku. Gdy odstawiliśmy raz chłopców do placówki, na Adasia czekała pielęgniarka.

- Mielicie być maksymalnie do osiemnastej, a jest piętnaście po - skarciła nas. - Specjalnie czekałam na chłopca, bo muszę mu zmierzyć puls i ciśnienie.

- Przepraszam, zapomnieliśmy się...

Pielęgniarka kręciła głową.

- Pożegnaj się z rodzicami, Adasiu.

Adaś przytulił nas.

Uścisk rodzinny! We czwórkę ściskaliśmy się tak długo, aż brakowało nam tchu i śmialiśmy się. Poszliśmy na piętro, by zostawić Marcinka pod opieką cioc, Adasia przejęła już pielęgniarka. Gdy wracaliśmy, Adaś siedział na krześle z opaską uciskową i wyciągał do nas rękę.

- Rodzice, zostańcie...

Podbiegłam do niego i już niemal ją chwyciłam, otarłam się o koniuszki palców, gdy pielęgniarka, niczym demon doświadczenia, stanęła między nami.

- Państwo już jadą, daleko macie do domu, my sobie z Adasiem poradzimy.

Buziaki z daleka, serca zza siedmiu gór, życzenia i zawołania, że wrócimy do nich, a ostatecznie po nich.

I do domu - sto dwadzieścia kilometrów, do pracy kolejnego dnia, i po pracy trasa ta sama, tyle że odwrócona, sto dwadzieścia kilometrów, i potem sto dwadzieścia kilometrów, i... tak po sto dwadzieścia kilometrów.

To było upalne lato. Już nie wiedziałam, co zakładać na podróż, by nie wyjść potem z mokrym tyłkiem. Samochód miał pseudoskózaną tapicerkę i szlag go trafił po dwóch pierwszych wizytach u chłopców. Podobno wada fabryczna.

- Z tego powodu są pozwы zbiorowe w

Niemczech i we Francji, to nie moja wina - tłumaczyłam każdemu, kto zwracał mi uwagę, że nie wymieniłam oleju w silniku. Samochód był mój. Fakt, zapomniało mi się, ale pozwы zbiorowe zostały złożone i bardzo wierzę w to, że uzupełnienie oleju w silniku na nic by się zdało, koniec, basta.

Byliśmy u chłopców w sumie pięcioma samochodami, w tym trzema pożyczonymi. Adaś nie mógł połapać się w samochodach, tyle ich było. I nawet raz zapytał:

- Jesteście bogaci?

- Nie, po prostu tak się złożyło, że możemy od kogoś pożyczyć samochód.

- Chyba musicie być bogaci.

I co? I nic, to całe bogactwo Adaś miał w głębokim poważaniu. To była uwaga na zasadzie: patrzcie, lata mucha koło ucha.

- A macie już jakieś dzieci? - zapytał Adaś innym razem.

- Nie mamy. I dlatego, że ich nie mamy, zgłosiliśmy się do ośrodka adopcyjnego.

- O rany.

W jeden z bardzo gorących dni zabraliśmy chłopców na lody. Mąż usiadł z nimi na rozstawionych na zewnątrz leżakach, ja kupowałam kręcone w budce. Były jeszcze dwie inne rodziny, zającące zimne przysmaki. Jedna z nich miała ze sobą psa. Słyszę za plecami głos Adasia:

- Jaki piękny piesek. Jak się wabi? A wie pani, że mój tata kiedyś, jak był zły, specjalnie przejechał podobnego pieska i go zabił.

Odwrociłam się i zobaczyłam twarz męża, z której odpłynęły wszystkie kolory i karzący wzrok ludzi, którzy wydali werdykt co do jego morderczych skłonności. Zawinęliśmy się stamtąd.

Kilka miesięcy później, podczas wizyty u psychologa, Adaś powiedział:

- Mój tata kiedyś wziął krzesło i bił nim mamę po plecach i po głowie, aż krzesło pękło i nogi odleciały.

Trauma naszego syna była istotna, a męża urojona. Zapytał Adasia, czy wytłumaczył psycholog, że chodziło o ojca biologicznego.

- No nie, mówiłem tylko, że tata - odpowiedział Adaś.

- Przecież ona wie, że nie chodzi o ciebie - próbowałam go uspokoić i przewracałam oczami.

Cały tydzień chodził wokół Adasia i przypominał mu, żeby powiedział pani psycholog, że chodziło mu o ojca biologicznego.

- Daj spokój - mówiłam. - Gdyby uznała, że to miało miejsce u nas, zawiadomiłaby policję. Przesadzasz.

Na kolejną wizytę u psycholożki mąż jednak pojechał z Adasiem osobiście, wciąż mając potrzebę wytłumaczenia jej, że nie bił mnie krzesłem po głowie i plecach.

- Spokojnie, domyśliłam się - uśmiechnęła się pani psycholog, by dodać mu otuchy.

Musieliśmy wreszcie nastąpić dzień, w którym przyjechaliśmy po chłopców, a nie do nich, a rzeczywistość ujawniła swój smak. Był gorzki i mdlący, a jednocześnie nowy i kwaśny. Niepodobny do żadnego.

Poprzedniego dnia chłopcy mieli pożegnalną kolację. Spakowaliśmy ich. Współlokator z pokoju Adasia płakał.

- Jest mu smutno, bo wyjeżdżam na zawsze, a on tu musi zostać - wyjaśnił Adaś.

Jedna z cioc pobiegła przytulić osamotnionego chłopca.

Pojechaliśmy do domu na zawsze. Według Adasia był dom dziecka, dom babci Manii, dom rodziców biologicznych, całe mnóstwo domów i dom na zawsze - czyli jego.

Kilka miesięcy później dom na zawsze został w jego ustach po prostu domem, co było dobrym znakiem, bo przyzwyczajeniem. Adaś wpadł w rutynę, a nam spadł kamień z serca, przy czym trzecie oko musi zostać otwarte.

Byliśmy w domu dziecka, jesteśmy z Domu Dziecka, domy dziecka stoją z pozostającymi w nich współlokatorami i zagipsowaną dziurą w ścianie.

Czarny kot

Ewa Niezgoda-Gierszewska

Nie umiem powiedzieć, czy tamtego dnia czarny kot przebiegł mi drogę. Szłam parkiem wśród jesiennych, kolorowych drzew i marzyłam o pierwszej miłości. Miałam wtedy szesnaście lat. Dawne dzieje, choć wydaje się, że minął zaledwie dzień. Ten dzień, a raczej wieczór, to początek zawikłanej historii, którą ciężko wyrazić słowami i przełać na papier. Jednak spróbuję.

Jak przystało na początek, był on bardzo długi, zanim pierwszy raz ... odważyłam się spojrzeć mu w oczy. Ich błękit i głębia mnie urzekły. Zakochałam się. Platoniczna, potem realna, miłość wypełniała kolejne dni aż do wyznania. To on uczynił pierwszy krok przy szumie morskich fal. Byłam szczęśliwa. Ktoś mnie pokochał. Zaczęły się najpiękniejsze chwile w moim nastoletnim życiu. Pierwsze wspólne wakacje, pierwszy pocałunek. Tak, od pocałunku wszystko się zaczyna. Najpierw niewinnie, delikatnie. I ta niewinność trwała bardzo długo.

Ale tak czysta miłość nie ma prawa przetrwać. Coś musi ją zabrudzić, popsuć. Jednak zanim to się stało, minęło sześć długich lat. Przez ten czas byliśmy ze sobą bezgranicznie związani, lecz, jak się później okazało, tylko uściskiem dłoni. Wystarczył lekki podmuch niepewności, silniejszy wiatr, jedna osoba – inna, nowa, aby rozerwać dłonie. Związek runął. Walił się z hukiem większym nawet

i głośniejszym niż mur berliński. Nie ma bowiem straszniejszego huku od łamiącego się serca, które zostało zranione. Znów przy szumie morskich fal.

Ale teraz one zamilkły, jakby nie chciały się przyznać, że kiedykolwiek były świadkami początku tej historii. Kiedy spaceruję wzdłuż tego samego wybrzeża, patrzą na mnie. Wypinają kocie grzbiety, jakby wiedziały, co czyha za klifem.

Nie boję się już niczego. Moje serce odbudowała prawdziwa miłość, dojrzała, bez zbędnych słów, obietnic. Zbudowana nie na piasku, a na twardym gruncie. Ten grunt to fundament bożej łaski w postaci małżeństwa.

Nie umiem powiedzieć, czy tamtego dnia czarny kot przebiegł mi drogę, ale wiem, że teraz nie przebiegł jej na pewno.



Oczy uroczone

Irena Nyczaj

Nie wiadomo, jakim sposobem Sylwek znalazł się wśród nas na obozie jeździeckim. Było to niezrozumiałe, bo jak się później okazało – jeździł słabo, a obóz był przeznaczony dla zaawansowanych.

Przyjechał dwa, może trzy dni później, co wprowadziło trochę zamieszania w ustalony porządek. Trzeba było jakoś wcisnąć jeszcze jedno polowe łóżko do izby i tak już bardzo zatłoczonej, w której poczesne miejsce zajmował ogromny kaflowy piec.

Na turnusie znajdowało się dziesięć osób – same dziewczęta. Dyrektor stada ogierów nie był tym, najpewniej, zachwycony, lecz kiedy stwierdził, że jeździmy nieźle, uspokoił się i chyba nawet nas zaakceptował. A jednak przyjazd Sylwka wyraźnie go ucieszył.

Od razu pierwszego wieczoru nowy kolega mówił dużo i barwnie o sobie i swojej ostatniej pasji – jeździectwie. Studiował matematykę, ale nie dawała mu ona pełnej satysfakcji. Wciąż szukał czegoś nowego dla siebie. Od pewnego czasu oddawał się muzyce – grał na gitarze i trochę śpiewał. Roztaczał przed nami niespokojne wizje tajemnic, które przeczuwał, choć jeszcze żadnej nie posiadał.

– Konie... Są wspaniałe, nieodgadnione, piękne. Trzeba je ujarzmić, narzucać im swoją wolę, trzeba...

– Konie trzeba kochać. Kochać i szanować – powiedziałam półgłosem.

Sylwek spojrzał na mnie. Błysnął zębami w uśmiechu, a oczy... Oczy jego zwęziły się, niepodobna było określić ich koloru. Piwne? Szare? Chyba szare.

– Kochać? Kochać można człowieka! Konia trzeba złamać, ujarzmić, dziewczyno!

W piecu zahuczało, za oknem zawył czarny

wiatr. Naciągnęłam sweter na ramiona. Sylwek zapatrzył się w czerwone wnętrze popielnika. Syknęło skrami. Zmrużył oczy, a mnie przejął dreszcz.

Na drugi dzień rano poszliśmy do stajni. Nowego kolegę przydzielono do opieki nad młodymi ogierami. Tam też pracowałam ja i dwie koleżanki. Sylwek od razu zjednął sobie koniuszego i masztalerza, którzy – choć traktowali nas uprzejmie – wyraźnie dawali do zrozumienia, co myślą o babach zajmujących się jeździectwem. Sylwka od razu zaprosili na wódkę.

Stajenny przydzielił mu cztery konie do obrządku. I gdy Sylwek miał już wejść do boksu, trzymając zgrzebło i szczotkę, ogier nagle się zatrząsł i zatańczył. Rozległ się kwik, niepodobny do końskiego rżenia. Mój koń zastrzygł uszami, zatupał niespokojnie i dmuchnął mi w twarz gorącym oddechem.

Spojrzałam ponad jego grzbietem. Sylwek stał w miejscu i patrzył na konia, który prychał, a z przylepionymi do głowy uszami wyglądał groźnie. Chłopak odwrócił się raptem i wyszedł ze stajni. Widziałam, jak palił papierosa i kopał butem tający, brudny śnieg.

Siodłaliśmy właśnie konie przed wyjazdem w teren. Sylwek dostał jednego z najspokojniejszych, ponieważ, no, wiadomo... I naraz ten pocziwy, stary wałach zaczął się dziwnie zachowywać. Pochrapując niespokojnie, cofał się, szarpał wodze, a chłopak, patrząc mu w oczy, uspokajał go głosem. I gdy wyciągnął rękę, by poklepać konia, ten stanął dęba; niedopięte siodło zsunęło mu się pod brzuch, co doszczętnie go rozsier-

dziło. Wyrwał się, odsadził ogon i, wierząc raz po raz zadnimi nogami, rzucił się przed siebie na oślep. Pośliznął się i zarył w błotnistym śniegu. Ledwo dał się złapać stajennym. Osiodłali go wreszcie i Sylwek, z niewyraźną miną, znalazł się na grzbiecie wierchowca.

– Nie trza kuniowi patrzeć w oczy. Nijaka gadzina tego nie lubi – pouczał masztalerz, pan Gienek.

A Sylwek roześmiał się tylko i popatrzył na niego jakoś dziwnie, lekko odchylając głowę na bok. Jego oczy – jak u Lermontowskiego Pieczorina, tak mi się nagle skojarzył bohater niedawno czytanej lektury – nie brały udziału w uśmiechu. I jak w tamtym opisie, który wrył mi się w pamięć, miały ten sam stalowy kolor i lekkie zwężenie tęczy. To skojarzenie uderzyło mnie nagle teraz, gdy siedział w siodle prosto, zbyt mocno ściskając konia, który przestępując z nogi na nogę, usiłował wyciągnąć wodze z mocnych rąk jeźdźcy.

Koniuszy dał hasło, ruszyliśmy stępą.

Wróciliśmy z tej jazdy zmęczone i podeńwowane. Chyba wszystkie czułyśmy natarczywą obecność intruza wśród nas. A Sylwek skrzył się humorem, nucił coś zdejmując siodło.

Wprowadziliśmy parujące i zmęczone konie do boksów. Sylwek został przed stajnią na papierosa. Wyraźnie ociągał się z wejściem do boksu, unikał moich pytających spojrzeń, więc oczyściłam i swojego wierchowca i jego wałacha.

Któregoś dnia piękny kary ogier przerwał ciszę stajni, wypełnioną tylko miarowymi oddechami i odgłosami żucia... Znowu usłyszałam przejmujący kwik i nagły tupot kopyt. Znowu rzut ciała do tyłu, przysiad na zadzie, rozpaczliwe miotanie szyją. Na szczęście łańcuch i skórzana szleja wytrzymały.

Sylwek uspokajał konia. Zobaczyłam drżenie końskiej skóry i niespokojny błysk oczu.

Chłopak wyszedł ze stajni. Koń jeszcze przez jakiś czas oglądał się nerwowo, drżał, pochrapywał.

Pochłonięta na przemian obrzadzaniem i jazdami, niewiele miałam czasu na rozmyślanie. Zresztą nie paliłam się do tego, będąc ciągle w ruchu, czując fizyczne zmęczenie. Ale niejednokrotnie ogarniały mnie dziwne myśli. Odpędzałam je, bo wydawały mi się przesadne, a nawet chwilami śmieszne i egzaltowane. Otóż wydawało mi się, że nasz kolega, jedyny mężczyzna w babskiej grupie, świadomie dąży do jakiegoś niezwykłego, może nawet tragicznego zdarzenia. Dlaczego? A przy tym miałam sny, w których jego oczy, zamiast żrenic, miały stalowe ostrza i z łopotem skrzydeł, niczym husaria, waliły się na mnie ze wszystkich stron. Budziłam się złana potem. Te sny były wprost niesamowite – eskadra uskrzydłonych stalowych oczu, które atakowały...

Mijały dni. Już prawie przestałam myśleć o Sylwku i jego oczach. Już mi się nawet przestały śnić. Aż pewnego ranka inny ogier... Sylwek ledwo zdążył uskoknąć pod ścianę, gdy koń rzucił się nagle, szarpnął głową. Skórzany kantar pękł, a koń w niezgrabnych podskokach, objając boki o wąskie drzwi, wpadł do sąsiedniego pomieszczenia. Była to siodlarnia. Ogier – znalazłszy się w nieznanym sobie, ciasnym i mrocznym wnętrzu – podjął walkę z atakującymi go zewsząd siodłami, uzdami, jeździeckimi butami. Stajenni wyprowadzili go stamtąd nie bez trudu. Koń miał pokiereszowaną, krwawiącą pierś i zardrapania na nogach. Przybiegli koniuszy i masztalerz. Zwierzę zostało uwiązane i opatrzone.

Nikt nie udowodnił Sylwkowi winy, nikt też chyba nie zwrócił uwagi na niepokojące następstwa zdarzeń. Koniuszy jednak przeniósł Sylwka do opieki nad żrebackami, co ten odebrał jako niemal

degradację i policzek.. Magda – dziewczyna bezpośrednia, o niewyparzonym języku – śmiejąc się, nazwała go przedszkolanką. Spiorunował ją wzrokiem. Przycichła. Chłopak zacisnął pięści.

Praca Sylwka tylko z pozoru była lżejsza i mniej odpowiedzialna od naszej. Żrebacki całą noc hasały luzem po dużym pomieszczeniu stajennym, aż wreszcie, zmęczone, zasypiały. Rano do obowiązków opiekuna należało powiązanie ich przy odpowiednich stanowiskach, oznaczonych imionami żrebackiej młodzieży, a także oczyszczenie i nakarmienie zwierząt. Nie było to – wbrew pozorom – wdzięczne zajęcie, bo żrebacki, choć bez wątplenia urocze, były ruchliwe, rozbrykane i nieraz dosięgały opiekuna małymi kopytami. Po kilku dniach tej pracy Sylwek wydawał się jednak bardzo zadowolony. Nigdy nie pytał o nasze ogierzy, nie przychodził do nas i w ogóle stał się odludkiem. Przestał mówić o koniach, o nic nie pytał i – w przeciwieństwie do wcześniejszego zachowania – nie dzielił się już żadnymi uwagami. Byliśmy z tego nawet zadowolone. Nasze konie wyraźnie się uspokoiły.

Obok pomieszczenia, w którym stały żrebacki, w małym boksie rezydował niemłody kuc – ogier o imieniu Filon. Słynął z nieposkromionego, wręcz złośliwego charakteru i z tego, że nie dał się nikomu dosiąść. Wielu uczestników cyklicznie organizowanych w stadninie studenckich obozów jeździeckich próbowało; zakładano się, jak zwykle, o pół litra. Stajenni mieli więc zapewniony trunek, bo każdy, kto ujrzał Filona, przyjmował zakład z uśmiechem – może i podejrzewając jakąś niespodziankę, ale zawsze będąc pewnym swego. I każdy przegrywał. Nawet się jeździec nie obejrzał, gdy niewielki, zadziorny koń jednym, nieoczekiwanym skokiem zrzucał zdziwionego chojraka.

Sylwek nie darzył Filona sympatią,

bo zaraz po przyjeździe dał się nabrać na ten numer, dostarczając stajennym godzinnej rozrywki i butelki, którą później wspólnie rozpili.

Z ich opowiadań dowiedział się nieco więcej o charakternym małym rycerzu. Kasztanowaty kuc islandzki – osobiwość i duma stadniny – na ogół był spokojny, ale od czasu do czasu wstępował w niego Zły. Nie pozwalał wtedy przystąpić do siebie, kulił uszy, lekko ugiął tylną nogę – i każdy domyślał się, co to znaczy.

Byłyśmy zaaferowane codziennym porannym obrzędkiem. Czyściłam ostatniego z moich ogierów, który wyjątkowo to lubił; chwilami przerywał nawet poszukiwanie owsa wśród sieczki i – przestając żuć – wsłuchiwał się w delikatne drapanie zgrzebła. Potem, westchnąwszy, zaczynał na powrót pracować wydmuchiwać sieczkę.

Wtem do mojej świadomości wdarło się niewytłumaczalne uczucie niepokoju. Z niedowierzaniem skonstatowałam, że po prostu się boję. Ale czego? Nie umiałam tego określić. Szybko i niedokładnie pociągałam szczotką po końskim zadzie. Jeszcze tylne nogi. I wtedy... Koń rzucił się raptownie, zatańczył, przygniatając mnie do ściany. Jego ciężkie kopyto wgniotło moją nogę w miękką – na szczęście – podściółkę. Zaczęłam się szarpać, odpychać konia, który, miotając się w niewielkim boksie, coraz groźniej napierał, przyciskając mnie do ściany. Przez falę bólu i strachu, przez obraz śmierci zobaczyłam te same, uskrzydłone, lecące na mnie ostrzami skalpeli – stalowe oczy Sylwka. Wbiłam zgrzebło w koński bok i rzuciłam się im naprzeciw.

Tracę rozum? Co się ze mną dzieje?

Postanowiłam w końcu przestać myśleć o prześladowających mnie – już nie tylko w sennych koszmarach – oczach Sylwka. Pomyślałam nawet, że być może

moje przemęczenie letnią sesją na uczelni, z kilkoma dość poważnymi egzaminami, powoduje takie odreagowanie. Koleżanki traktowały Sylwka normalnie, a nawet widziały w nim kogoś godnego zainteresowania. Jednak on nie dawał się nikomu okiełznać. Zdawał się być zaprzątnięty czymś nierealnym i nie zwracał uwagi na oczywiste sygnały – zaloty.

Wzięłam się jeszcze ostrzej do pracy. Ochoczo pomagałam przy czyszczeniu uprzęży, porządkowaniu stajni i podwórza. Nie uszło to uwadze koleżanek, które zaczęły mi dokuczać, lecz nie reagowałam. Praca rozpraszała moje myśli, a czas miałam wypełniony od rana do nocy.

Pewnego chmurnego popołudnia porządkowałam obejście. Przedburzowe powietrze ciążyło, a pot strużkami ściekał mi po plecach. Nagle kątem oka zauważyłam, że pod belką przekreślającą poprzecznice otwarte drzwi stajni przeciska się – bez większego trudu – kuc Filon. Nawet nie zdążyłam się zastanowić, jak zdołał się uwolnić, gdy już wypadł galopem na rozległe podwórze.

Odurzony wolnością, Filon zatrzymał się wpierw, rozejrzał czupurnie, potrząsnął gęstą, konopiastą grzywą, zarżał buńczucznie, a dopiero potem zaczął brykać i podskakiwać jak młody żrebak. Jego długi, bujny ogon falował w galopie, a pod skórą widać było imponujące umięśnienie – teraz, w swobodnym ruchu, wyraźnie widoczne, na co dzień zdawało się niemal niepozorne. Zadziwiła mnie jego energia i ujawniona siła. Ten niewielki koń potrafi bez wysiłku nieść ciężar dorosłego człowieka. Oczywiście – jeśli tylko chce.

Nikt, jak się wydawało, nie wiedział o tym zdarzeniu, a ja – oczarowana niezwykłym widokiem – stałam bez ruchu.

I wtedy, niespodzianie, napatoczył się Sylwek, jakby wyrósł spod ziemi. Zaczął nawo-

tywać kuca, a do mnie krzyknął: – Pomóż mi go złapać! Urwał mi się, piorun ognisty! Ugryzł i chciał kopnąć!

Ruszyliśmy w kierunku konia z rozłożonymi szeroko rękami, jakbyśmy chcieli objąć. Śmiać mi się chciało, bo po prostu... zaganialiśmy go jak kurę. Filon obejrzał się, obrzucił nas wzrokiem, położył uszy po sobie i rzucił się na Sylwka. Nigdy nie widziałam takiego zachowania u konia – bardziej przypominało atakującego psa. Wyszczrzył zęby... Sylwek stanął jak wryty, a Filon pędził w jego stronę.

Krzyknęłam:

– Uciekaj! – i chłopak posłuchał. Odwrócił się i zaczął biec.

Filon cwałował za nim. Dogonił. Zamknęłam oczy, ale tylko na chwilę. Kuc wymierzył pyskiem cios w plecy biegnącego, popchnął go. Sylwek przyspieszył, koń nie ustępował. I tak biegli: najpierw człowiek, a za nim mały koń następujący mu dosłownie na pięty i popychający co chwilę uderzeniami masywnej głowy. Zdałam sobie sprawę, że właściwie wygląda to komicznie. Koń go przecież wygania....

Kuc przepędził Sylwka aż do bramy odgraniczającej teren stadniny od pól i drogi. Gdy zdyszany chłopak wypadł za nią, konik zatrzymał się, zarżał, zatupał małymi kopytami, po czym odwrócił się i spokojnym truchtem powrócił do stadniny.



Pięć kotów Witkacego

Krystian Kajewski

Następnie znajduję dane, dokumenty, w których wpisano pięć kocich imion wraz z ich zdjęciami, a także cechami artystycznymi: rudy Rimbaud, fioletowy Verlaine, biały Baudelaire, Musset w barwie mango i wreszcie amarantowy Apollinaire.

Koty rozmawiają ze sobą co noc.

Bardzo lubię te kocie pogaduszki.

Apollinaire patrzy bezdennie w przestrzeń.

Jeśli coś idzie nie tak, patrzy tylko zdumionymi oczami. Jego oczy pełne są smutnych gwiazd. W piasku są martwe ryby i kamienie, które Apollinaire zakopuje w sobie tylko znany cel. Rysuje pazurami na piasku kocie kaligrama: Różę Wiatrów, Kocią Kotyskę, klepsydrę. Jego wąsy są zazwyczaj nastroszone.

Uśmiecha się. Od ucha do ucha śledzia. Śledzie są ambrozją Apollinera.

Apollinaire jest kochliwym kotem i zawsze spada na cztery łapy. Ma poza tym dziewięć żyć i niezliczoną ilość kocich kochanek. Co prawda, żadna z nich nie chce go na stałe, ale Apollinaire ceni sobie regułę, że Życie jest zmienne jak Euryp.

Mruga do mnie. Mruczy.

Tak jest zawsze. Światło pali się wszędzie. A te przekłete koty tarmoszą porwany Tezeuszowi kłębek wełny przez cały, rozedrgany nicością Labirynt. Rosencrantz i Guildenstern w kocich pyskach.

Egzemplarze „Cats” i „Kotów” Eliota. I Witkacy, ten boski idiota. Półczłowiek – Półkot.

Potem poszłam do jego pokoju i nawet nie zauważyłam, że za mną wszedł Baudelaire.

Jakie by to było dobroczynne wino!

Witkacy, jego pięć kotów i ja.

Można patrzeć na drogę pod dwojakim kątem widzenia. Punkt widzenia zależy od miejsca śledzenia, a ja pamiętam, że Witkacy żuł wtedy ziarna gorczycy. Koty, perfekcyjnie rozłożone we wszystkich możliwych miejscach, wyglądały jak antyczne monstra.

Taką lampą jest nasza jaźń. Wydaje mi się, że koty idą gęsiego w kierunku kaganka, a może krużganka. Krucyfiks spada ze ściany. Koty odnoszą rany. Liżą swoje pokraczne łapki, patrząc na miskę pełną mleczka.

Przyszłość znają bogowie, koty kręcą się w kółko. Witkacy wyjmuję z puszek tuńczyka i dzieli jego kawałki między kolejne kocie pyski. Pięć pysków połyka wszystko.

Fundament wczesnej prozy pisarza jest jawnie naturalistyczny, więc między tomem Zoli a puszką tuńczyka, Witkacy komponuje w głowie i przenosi na papier swą pierwszą powieść „622 upadki Bunga”.

Wydarzenia w Wołczynie, runięcie Murów Jerycha, śmierć ukochanej matki – wszystkie te piętna, głęboko odcisnęły się na psychice Witkacego, co miałam okazję odczuwać na własnej skórze. Atmosfera napięcia przeżyła się tak często, jak kocie grzbiety.

Niebo i ziemia, nie przesadzam, niebo i ziemia, widoczne jak na dłoni, runęły na łeb, na szyję, i nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zemdlałam. Kiedy się obudziłam, Staś siedział nade mną, patrząc na mnie tym swoim troskliwym wzrokiem, który przypominał mi spojrzenie pełne miłości, jakim darzyła mnie za swego życia Mama. Koty, które stały w różnych miejscach apartamentu, również wpatrzone były we mnie jak w przenajświętszy obrazek.

W 1917 r. oboje ciągle przeżywalismy wojenno-rewolucyjną traumę.

Talent literacki Witkacego dawał o sobie znać w umiejętności żywego kształtowania postaci i zdarzeń, a ja nauczyłam się tego, podczytując porozrzucane wszędzie rękopisy.

W treść utworu wprowadził pisarz najważniejsze realia polityczne tego okresu: wszystkie wojny, a także exodus pięciu kotów z domu niewoli do Macondo.

Zrozumienie rodzi przebaczenie. W tej chwili zrozumiałam i przebaczyłam.

Kocham tylko Witkacego. Tak jak trzydzieści lat później powie Elizabeth Taylor o Richardzie Burtonie; kochałam tylko jego.

Właściwie pisać zaczęłam dość wcześniej – przyznaję, pod jego wpływem.

We wspomnieniach – snach idziemy przez spalone miasta. Krew spływa po mankietach koszuli Witkacego, a ja wiem się na jego szyi.

Wspomnienie pierwsze.

W Bronowicach pod Puławami. Wracaliśmy ze spotkania autorskiego. Był z nami tym razem Verlaine, który rzucił się na pawie w parku. Zakończyło się na tym, że kot obszarpał z piór te biedne ptaszyska.

Do redakcji Życia wbiegliśmy rażnym krokiem. Witkacy walnął pięścią w stół redaktora, który nazwał jego książkę kupę gówna. W istocie, redaktor, chcąc nie chcąc, musiał odszczekać wszystko na łamach pisma. Okazało się, że książki nawet nie czytał, a po przeczytaniu zdanie swoje radykalnie zmienił. Od tej pory, gdy spotykał Witkacego w mieście, przechodził na drugą stronę ulicy, a gdy spotykali się w Wenecji, wpadał w kanał.

Dar ukazywania odpowiedniego czasu i miejsca swoim przyjaciółom i wrogom imponował mi do tego stopnia, że zakochałam się w jego metodach i sprawdzałam je potem na własny użytek ze zmiennym szczęściem.

Gromada zapaleńców, my i naszych, że tak to ujmę, pięć kotów.

Stary świat stacza się ku nieuchronnej zagładzie. Krew, ogień, śmierć.

Dobro moje jest dobrem narodu, naród mój to wszy i pchły. Naród mój to plugawe robactwo. Naród mój to szczyna i kał. Naród mój to zgniłe mięcho – mówiąc to spojrzałam w jego błękitne oczy, przypominałam sobie siebie sprzed lat, stanął przede mną duch mojej matki, mówiąc to, przeczuwałam katastrofalny koniec, jak Kasandra obserwo wałam wnętrze rozpalonej supernowej, jak Giordano Bruno własnym językiem, dolce still nuovo, dotykałam języków ognia, gdy strumień bezkształtnej nicości zmroził moją

krew. Uśmiechnęłam się. Płatki róży wypełniły moje żyły życiem.

MIASTA

Bukareszt – u bukinisty kupuję książkę o mojej Mamie. Witkacy mi ją polecił. Leci my nad dachami.

Sztokholm – jemy sztokfiske w tawernie portowej. Ta wefna się pruje – mówi Witkacy, a ja budzę się ze snu w Labiryncie, w ciemnościach, w których łapiemy szerszenie jak Nabokov motyle. Na boku mam motyla. Na lewym pośladku wytatuowałam sobie pazia królowej. Jestem królową nocy. Już nic mnie nie zaskoczy. Zaczynam rozumieć okres burzy i naporu. Czytam dzieła Witkacego, rozluźniona, uwolniona od obojętności, nie po śmierci matki, strachu. Wszyscy umrzemy – mówi do mnie Mama we śnie – ale śmierć nie jest końcem. Rozpruwa się tylko nić, która nas łączyła, i jesteśmy od siebie oddzieleni bardziej niż kiedykolwiek.

Budapeszt – ta psia buda trzęsie się kiedy lądujemy samolotem AIR DUDA tuż nad Balatonem. Z daleka widzimy już jezioro, ale to nie Budapeszt, to przyciągająca jak magnes, Bydgoszcz.

Grunty orne

Orka na ugorze

Ora et labora

Il faut toujours travailler

W pewnej chwili, kiedy Witkacy budzi mnie ze snu pod Drzewem Życia, zauważam, że Musset, nasz trzeci kot, je mango. Jest to o tyle trudne do zauważenia, że Musset jest barwy mango, stąd wygląda, jakby zaledwie lizał sobie łapę.

To korzystne, dobrze się składa, że mam Witkacego. Tak samo jak źle, że nie mam już Mamy. A na dodatek te koty. Żartuję z nimi. Kocham je. Są takie miłe, takie wspa niałe. Tylko ze mną jest coś nie tak, od odejścia Mamy straciłam samą siebie. Czuję, jak moje serce przestaje bić. Boję się tego, że pewnego dnia zostanę poetką. Że moja poezja będzie czytana i nagradzana, że dosta-

nę Nobla. Albo, że w przypiływie szaleństwa podam Witkacemu sałatkę jarzynową. Albo, że Rimbaud spadnie z Czomolungmy i się zabije, a mnie to rozweseli. Teraz patrzę w lustro i widzę swoją kocią mordkę.

Palę. Moja mordka wydłuża się jak papieros. Wydłuża się w nieskończoność. Nazywam się Virginia Woolf i jestem, wilczycą, tfu, jestem kocią. A może jestem wampirzycą? A może mnie nie ma. Patrzę na swoje kocie łapki i sterczący ogon. Kobieta – kot. Kocica, może pantera. Pantera z wiersza Rilkego. Kocim krokiem przechodząca po trupach Lady Makbet. Matka Teresa od kotów. Kocia koty ska pięciu kotów Witkacego.

MATKA TERESA OD KOTÓW

Gdyby Witkacy miał pieniądze i nie mieszkał tam, gdzie mieszka, nie przysiadłabym się do niego ani na chwilę, ale nie miał pieniędzy, tak się czasami zdarza, siedział sam przy stoliku i dopijał ostatnią szklankę wina. Przysiadłam się do niego, bo miał smutną minę straceńca, a ja uwielbiam straceńców. Jak każda femme fatale, kocham mężczyzn słabych tą wewnętrzzną siłą.

Biedaczysko! Anioł i trup. Tak bardzo od niego cuchnęło niemocą. Uwielbiam takie podstępny, więc podeszłam do niego i wtedy wszystkie światła zapłonęły nad nami. Bo ja jestem Anioł, a On jest trup.

Był to jeden z owych szarych, deszczowych dni, w których wydawało się, że Bóg stworzył świat na potrzeby powodzi. Wsiadliśmy do taksówki, która wydała nam się okrętem Santa Maria. Witkacy Kolumbem, a ja Colombią.

Wyniosłe topole nadawały płaskiemu krajobrazowi charakter pewnego uduchowienia i w pewnym momencie samochód zatrzymał się z piskiem opon, przed przechodzącym przez środek ulicy kotem, który nie uciekł, tylko zastygł w miejscu. Witkacy wyszedł i wziął go w ramiona, a następnie przyniósł wprost na moje kolana, mówiąc: Ten kot ma kolor mango. Nazwę go Musset. Muszę go tak nazwać, bo kiedy przechodził przez ulicę, przypominał sobie „Spowiedź

dziecięcia wieku” de Musseta i otwierając tę powieść zdanie: „Żeby napisać książkę, trzeba najpierw coś przeżyć”. Kot mrugnął do mnie perskim okiem, a ja pogładziłam palcami jego wibrysy. Wibrowaliśmy wspólnie jak astronauta w kosmicznej kapsule. Ja, kot, Witkacy i kierowca o twarzy tapira.

Mamy przecież źródło pieniędzy – pomyślałam nazajutrz patrząc na piętrzące się rękopisy, na których siedziały cztery pozostałe koty Witkacego: amarantowy Apollinaire, biały Baudelaire, rudym Rimbaud i fioleto wy Verlaine, którego Witkacy nazywał: Pauvre Lelian.

Spojrzałam na koty, które kręciły się niespokojnie. Nagle jakiś szczególnie dudniący dźwięk przerwał ciszę. Podniosłam wzrok: Witkacy zasnął. We śnie jego głos był jeszcze bardziej donośny – może nawet zbyt donośny, gdyż chrapanie wstrząsało całym pokojem. Koty mocniej zwinęły się w kłębek. W powietrzu unosiła się lekka woń spalenizny. Podniosłam z dywanu cygaro gospodarza. Co teraz robić? Czekać, aż Witkacy się zbudzi, czy też uciec po cichu?

SPRAWA POSUWA SIĘ NAPRZÓD

Kiedy Witkacy mówił: Zostaw to mnie – mówił to oczywiście szczerze. Ale to doprawdy męczące, że jeśli gdziekolwiekkolwiek szwankuje, on, a nie kto inny, musi ratować sytuację. Tymczasem sytuacja wymykała się w błyskawicznym tempie spod kontroli. Ogień zajął sandały Witkacego. Wylałam na nie wiadro. Poskutkowało. Sandały, co prawda nie ocalały, ale ogień nie przeniósł się na żaden gorejący krzew.

– Ach, co się stało? – zapytał zbudzony zamieszaniem Witkacy – co się stało z moimi sandałami? Nigdzie nie mogę ich znaleźć! I skąd ten śwąd? Znowu spaliłaś ryż?

Innym razem Witkacy leżał w wannie bez ruchu, rozkoszując się kąpielą. Weszłam do tej wielkiej wanny jak do jaskini i zanurkowałam między jego nogami. Poczuł to w tej samej chwili, w której ja poczułam, że jestem szczęśliwa.

Wytworna młoda dama z głową nie od

parady – Diabeł ubiera się u Prady – Panna z mokrą głową – po wszystkim wyszłam z wanny zupełnie naga, a Witkacy wbił we mnie te oszalałe ślepie, tak jak antyczni wojownicy wbijali miecze w serca barbarzyńców. Był barbarzyńcą z tą szaloną wizją ludzkości w obłędzie. Obłądnie we mnie zakochany, zamotany jak kłębek nici w łapach kotów, które gdzieś obok toczyły te motki wełny, jak skarabeusze kule gnoju.

Przypominam sobie, że mieliśmy gorzkie gody. Połknęłam granat i wybuchła we mnie miłość do tego straceńca. I nawet jeśli wszystko stracone, mamy siebie – powtarzałam sobie, a on konsekwentnie sprowadzał mnie na ziemię, mówiąc, że siebie stracimy również prędzej czy później. Potem czytał mi Williama Blake'a : „Zaślubiny Nieba i Piekła”, zwracając uwagę na każde słowo, a ja przenosiłam się wraz z nim na drugą stronę tęczy.

Twierdzą, że Witkacy to wariat, ale on powtarza za Dalim, w całym tym beczasie, robiąc dobrą minę do złej gry, że od wariata odróżnia go tylko to, że nie jest wariatem, a ja chyba zupełnie zwariowałam, szumi mi w głowie jak jakiejś pradawnej małpie, przypominam sobie, co mówił Srila Prabhada, ale chwilę potem zapominam, bo pięć kotów Witkacego zagląda przez okno, podpatrując nas w trakcie zezwierzecenia, potem robię Witkacemu lody waniliowe, on naśladuje mnie, a ja wyznaję mu miłość, której on nie odrzuca, a nawet którą podziela.

Pewna siła przyciągająca była nieodzowna - jak powiadał Dante.

To świadczy, jak bardzo swego czasu liczyła się dla nas poezja. Mówię ci, Czytelniku Paskudniku, że dzisiejsza poezja polska nie istnieje. Jest już tylko poezja kreolska, a owego czasu Witkacy czytał rozłożoną na moich kolanach Biblię i pokrojonego w paski jak zeberka Blake'a i Mallarme'ego na przemian, a potem Prousta i Joyce'a, a w chwilach radośniejszych to i nawet Johna Galsworthy'ego, „Nowoczesną komedię”, „Sagę rodu Forsytów”, a w naszym ogrodzie kwitły forsycje i róże i sforsowawszy się aż nadto, musiałam

odpocząć.

– Mój ojciec – opowiadał – nauczył mnie wszystkiego.

– Proszę w takim razie usiąść!

Witkacy siadał posłusznie, a ja brałam do ręki snop światła i z cudacznie refleksyjną miną, dosiadałam go jak dżokej dzikiego konia. Tak, być może byłam kurwą Witkacego. I co z tego?

Obserwuję czasami, jak muszki owocówki obchodzą blat stołu.

Prawdziwie obywatelska zasługa. Zasuwaają po tym stole jak samochody po torze wyścigowym w Monte Carlo. Czasami chciałabym być mrówką. I umrzeć pod butem Witkacego. Chciałabym umrzeć z miłości, jak w tej piosence. Chciałabym umrzeć. Tak jak moja Mama. Żeby zobaczyć się z Nią, bo nie widziałam Jej już cztery lata, tyle minęło od Jej śmierci, kiedy to rano, w piękny majowy poranek, wyszła z domu i już do niego nie wróciła. Miała atak serca. Odeszła w jednej chwili. Mrówki obchodzą blat stołu. Myślę o tym, jak tam, w ciemnym grobie, mrówki wychodzą z ust mojej ukochanej matki.

Witkacy zdjął nogę z krzesła i pochylił nogę ku Mussetowi.

– Lubię patrzeć, jak Musset je mango – podał mu miękką miąższ – mam wtedy wrażenie, że zlewa się z otoczeniem. Ty w ogóle czytałaś „Spowiedź dziecięcia stulecia”? Niedawno Boy podesłał mi świeżo przetłumaczony egzemplarz. Rimbaud powiedział o de Mussecie, że jego forma jest licha jak mosiężny lichtarz.

W tej chwili wszedł Rimbaud i jakby na potwierdzenie, skinął rudym łbem.

Pokój, w którym się znajdowaliśmy, wypełniały ogromne półki wypełnione po brzegi książkami, a koty przechadzały się po tych wszystkich woluminach ze zręcznością linoskoczków uprawiających swe figury tuż nad przepaścią.

Otóż, jako się rzekło, kobyłka u płota, a kot, jeśli nawet spadnie, to na cztery łapy. Obserwując tę kocią olimpiadę, patrzyłam jednocześnie tęsknym wzrokiem przez otwarte okno. Na samym czubku oliwkowe-

go drzewa, które jakimś cudem urosło w tym chłodnym klimacie, siedziała sobie sroka, w której dziobie dostrzegłam diament. Spojrzałam na swoją kolię i zauważyłam brak jednego kamyczka.

Przyczynę, dla której w mojej koliai brakowało, powiedzmy to sobie wprost, fałszywego diamentu, mogłam już teraz uznać za wiadomą. Spojrzałam zatem tylko na Verlaine'a, biedactwo skulone w kącie, a ten, jakby odgadując moje myśli, mój kaprys rozpieszczonej dziewczyny Witkacego, w jednej chwili zerwał się i poszybował, jakby to był lotokot, a nie zwykły rudzielec, na koronę drzewa i dosłownie wyszarpał sroce – złodziejce moją własność z gardła.

– Przyjeżdżają oboje w piątek - Witkacy wyrwał mnie z zamyślenia.

– Wcale nie jestem pewna, czy chcę ich widzieć - wiedziałam, że chodzi o Malinowskiego

z matką. Ta para działała mi na nerwy, ale Witkacy uwielbiał Malinowskiego i jego nadopiekuńczą matkę, która może i była sympatyczna, ale za bardzo przypominała mi o mojej, której śmierci nie mogłam przeboleć, a patrzeć z bliska na szczęście dwojga, nie mając już szans na własne, czyż to nie są właśnie zaślubiny Nieba z Piekłem?

Witkacy, urodzony metafizyk, przejrzał moje myśli.

Wypiwszy herbatę otworzył kopertę z listem i odczytał adres: – Victoria Station- Papua Nowa Gwinea. Zamknął kopertę.

Teraz, kiedy koperta była zamknięta, jednocześnie klamka zapadła. Piątek nastąpił nazajutrz. Dwukółka o kształcie delfina wynurzyła się przed naszymi zdumionymi oczyma, jak swego czasu z morskich odmetów wynurzył się młodzieniec Arion, na dwóch delfinich grzbietach.

Zauważyłam, że wszystko w tym koszmarnym i jednocześnie cudownym śnie pasowało do siebie jak ulał. Muchy owocówki obchodzące blat stołu. Musset muskający mordkę mango. Malinowscy próbujący wpuścić nas w maliny. Morda Witkacego przypominająca dzban malin. Malinowy chruśniak,

w którym leżał Leśmian, licząc pięć kotów Witkacego: A jak Apollinaire, amarantowe, B – Baudealaire, białe, M – mango mordka Musseta, R – rudy rydz Rimbaud, wreszcie fioletowe V – Verlaine, pauvre Lelian.

Kawy i cygar nie zabrakło. Malinowski miał miłą minę.

– Musisz tu znów przyjechać.

II

Czy oni tu byli, czy to też mi się tylko śniło? Czy to wszystko nie jest jakimś przerażającym lejem, w który wpadłam jak jakiś robak, kokonem, w którym śnię martwa, welonem Mai nakryta, wstęgą położoną na moich zamkniętych oczach? Czy to wszystko nie jest tylko projekcją mojego umysłu, który jest wszystkim? A może mnie nie ma? Może nie ma nic? Może to wszystko to nic?

Rzecz dziwna, jak dziwny jest ten świat.

Do Parku! Pod Drzewo Poznania. Raz jeszcze zerwać jabłko grzechu. Podpatrzeć, jak trzy czarownice: Kłoto, Lachezis i Atropos snują moją nić w Labiryncie. Trzy Parki parkujące pod gwiazdami Wehikuł Czasu. Czasu, który niszczy wszystko.

III

Małe duszki przeszłości

Cudowny dzień! Dzień, w którym zrozumiałam, że nic nie rozumiem. Umrę i zniknę. Istoty nie przeniknę. Jakie cudowne są ściany Labiryntu! Białko ścinające się na patelni. Canellones et frutti di mare.

Ciekawostką jest, że nie mogę znowu spać.

Niestety, po co mi serce? Może jednak mam to serce mieć i tak po prostu kochać te pieprzone koty i Witkacego. Witkacy ma kota. Ala ma kota.

Po co mi serce? Może jednak warto je mieć i tak po prostu kochać te pieprzone koty i Witkacego. Tylko, że ja od dawna nie mam serca. Po co mi serce? I to pytanie zadaję sobie, jakby było refrenem jakiejś magicznej piosenki? Po co mi serce? A jeśli bym je sobie, ot tak, wyrwała z piersi? Wyrwała je sobie z piersi jak u dentysty ząb? Czy wtedy umrę cała?

Wszystko jest tu nowe. Czasami rozpoznaję fragmenty dawnej poezji, jak palimpsesty. To pomaga mi trwać w tym obłędzie. W tej walce mojej duszy z materią. Jeśli jedno i drugie istnieje. Jeśli istnieje cokolwiek poza mną. Jeśli jestem. Jestem głodna. Zjem zupe. Z ciecierzycy. Jak Egipcjanie. Podobno Egipcjanie jedli ciecierzycę i czcili koty. Podobno koty są odwieczne. Jak myszy i ludzie.

I to jest miłe. Myślenie o miłych rzeczach sprawia mi przyjemność. Myśl słodziutka jak ananasowy krem, jak mamałyga.

I Labirynty. Zamek z piasku i krwi. Nie ma dla mnie miejsca w Niebie. Kochanie, zabiłam. Kości zostały rzucone. Kości zostały zjedzone. Zjadłam wszystko. Mam krew na ustach. Także na brodzie.

I nigdy nie myśl, że zabawnie jest żyć, bo coś złego czai się w półmroku. Żebyś nie zabłądził, zostawiłam ci mój własny sen. Skąd się to wszystko bierze w mojej głowie, te okrutne myśli?

IV

Dopisałam dalszą część.

Ale końcówka to katastrofa. Łatwiej tańczyć, kiedy już poumierają wszyscy. Nie mogę znowu spać. Trudno jest spać morderczynie. Ale te mordercze myśli wypełniają moją kocią głowę. Moja głowa pełna jest krwi. Jest jak czerwony balon, który zaraz pęknie. I wyskoczą z niego martwi bliźniacy Montgolfier. W tych śmiesznych ciuchach z epoki rewolucji francuskiej. A potem zetnę im głowy. Bo mam w sobie mordercze myśli wobec całego świata. I będę grać w piłkę głową Witkacego.

GUILLAUME APOLLINAIR

Pierwszy kot Witkacego. Gwiazda rocka i poeta w stanie czystym. Witkacy znalazł go w worku porzuconym nad Wołgą. Jego amaran-towa maść przywodzi na myśl krew przelaną.

CHARLES BAUDELAIRE

Kot Witkacego od kwietnia 1914, kiedy to w Sarajewie zabito arcyksięcia kotów Ferdynanda, ten biały jak mleko kotek, wtedy maluteńki, spadł w ramiona Witkacego do-

śłownie z nieba, a właściwie z dachu. Dachowiec czystej krwi i arcyksiążę poetów. Mówi się, że zamknięta w nim dusza francuskiego dandysa, wielbiciela opium i absyntu, cierpi istne męki i katusze. Śpi na oryginalnym, paryskim wydaniu Les fleurs du mal, sygnowanym jeszcze jako Les fleurs du sin.

ALFRED DE MUSSET

Pierwszy kot Witkacego, którego poznałam, na ulicy, w deszczu. Czułam się wtedy jak Holly Golightly. Musset ma barwę mango i jest przemiły. Ma także skłonność do psikusów. Kiedyś próbował zjeść laskę dynamitu, bo myślał, że to laska kielbasy krakowskiej. Ma za to u mnie szanse na Nobla. I to jego właśnie zamierzam ocalić z planowanej pożogi. Musset musi żyć, żeby ją opowiedzieć, wymruczeć.

ARTHUR RIMBAUD

Spadł na głowę Witkacego w lutym 1914, w chwili gdy ten siedział w zakopiańskiej knajpie, popijając piwo pszeniczne. Rudy Rimbaud skacze przez ogień i ma na swej kociej mordce brodawki. Nienawidzą go wszystkie inne koty, bo jest psuozabawą. Potrafi spaść WTEM NAGLE NIESPODZIANIE z płonącej stodoły na płonące stogi siana i roznieść płomienie na całą wieś, nawet na całe Zakopane. Po takim płomiennym rajdzie Zakopane wygląda na Zapalone.

PAUL VERLAINE

Kot Witkacego od lutego do kwietnia 1914, kiedy to wyszedł z domu i nie wrócił. Pauvre Lelian. Bardzo za nim tęsknimy. Czasami wydaje mi się, że go widuję gdzieś na polnej drodze.

NIE WYDAMY TEJ KSIĄŻKI

Przykro nam, ale nie wydamy tej książki i zamierzamy zrezygnować ze współpracy. Takie słowa odczytałam na początku listu, który przyszedł do mnie wraz z moim ma-

szynopisem, z Wydawnictwa, którego nazwy nawet nie pamiętam. Odpisałam: Pierdolicie się, osły! Wydam tę książkę gdzie indziej.

Z PAPIEROSEM W USTACH

Australijskie wydanie „Pięciu kotów Witkacego” miało rysunkową okładkę przedstawiającą na froncie mnie palącą papierosa, a całą piątkę kotów i Witkacego na rewersie. Sama to wszystko narysowałam pod wpływem impulsu, dbając o zachowanie barw: amaran-towy Apollinaire, biały Baudelaire, Musset – mango, rudy Rimbaud i fioletowy Verlaine. Fryzurę Witkacego wzorowałam na fryzurze Pana Kleksa.

Ukryć swoją tożsamość

Jedna z najbardziej nietypowych kompozycji w moim dorobku została jednak doceniona na szeregu interdyscyplinarnych festiwali poświęconych popularyzacji sztuki Witkacego, od Słupska po Sydney. W Australii nawet wystawiono moje „Koty” na scenie.

Jak w pysk strzelił

To książka, nieksiążka. Istne arcydzieło. Opus magnum, magnetycznie wciągająca – pisali krytycy po obu stronach Oceanu.

WKURZENIE

Przełom roku 1916 i 1917 nie należał do szczególnie szczęśliwych okresów dla mnie. Najpierw umarła moja matka, a potem Witkacy mnie opuścił.

Ciosy, jakie otrzymałam, nie okazały się jednak śmiertelne. Całą swoją rozpacz i ból postanowiłam przelać na papier mache, tworząc z mojego bólu i rozpacz: papierowych bohaterów, laleczki voodoo, organoleptyczne origami. Doskonając się w sztuce przelewania z pustego w próżne, miałam wrażenie, że staję się kimś innym, że zaczynam rozumieć własny obłęd, że dzięki temu zrozumieniu będę mogła wkrótce stanąć na nogi i zacząć żyć bez lęku. Nie wspominając o tym, że obecne we mnie od zawsze przekonanie o własnej wielkości, nie tylko nie zniknęło, ale wręcz się spotęgowało. Przekułam moje wkurzenie w wewnętrzne

olśnienie. Sprawiałam, że z pyłu powstał diament.

Pisz dalej, pisz dalej - mówią do mnie dajmoniony i strzygi. Witkacy nie ma takiego talentu jak Ty. Nikt go nie ma. Tylko ty możesz otworzyć wszystkie pieprzone bramy w jednej chwili siłą swego absurdałnego rozpędu. Przeciąć ten węzeł gordyjski.

Utworem, którym otworzyłam Puskę Pandory, było właśnie „Pięć kotów Witkacego”. Niektórzy myślą, że jestem psychicznie chora i wszystko to wymyśliłam, że nie kochałam tego wariata i że nie umiem pisać, a opowieść tę podyktowałam Autorowi Widmo.

GRZEBIEŃ SPRĘŻYNOWY

Mam złe wieści. Witkacy nie żyje. Wypisawszy treść telegramu, całkiem spokojnie dopiłam trzecią kawę. Zapaliłam kolejnego papierosa. W owych czasach kawa i papierosy pozwalały mi zgeometryzować lęk. Dzięki tym używkom, mogłam patrzeć bez większych emocji na ciało Witkacego. Koty patrzyły na nie równie beznamiętnie. Apollinaire atakował szczura, Baudelaire pochylał się nad bożą krówką, a Musset muskał mango.

Jeśli jednak taka jest prawda, pojawia się pytanie, dlaczego ją ukryto, a świat dowiedział się o śmierci Witkacego dopiero w środę. Bo to, że Witkacy nie żyje, jest pewne jak amen w pacierzu. Jest martwy.

Baudelaire, biedny Baudelaire, cały w tym kwiatostanie grzechozła, w kostiumie kota w butach, szurający ogonem wokół ze-włoku Witkacego, swego Pana. Amen. Baudelaire, książę ociemniałych kotów, poetyka maść nicości, bawi się teraz grzebieniem sprężynowym, stoszy swoje kocie włosy na podobieństwo Stroszka, jest w strasznym stanie, jakby kończył się jego koci świat, jakby rozpaczliwie tęsknił za kocią kołyską, za zbombardowanym Dreznem, za rzeźnią numer pięć, Baudelaire, w buduarze kociej tęsknoty, bawiący się kłębkami krwi.

GEJZERY KRWI

Historia rozwijała się równolegle. Odnalazłam Otchłań. Koty wskoczyły do Czarnej Dziury, aby ratować Witkacego, który zagubił się w czasoprzestrzeni. Zaparkowałam.

ŻELAZNA DAMA

Co się stało z Witkacym i jego pięcioma kotami? Co się ze mną stało, co się ze mnie zrobiło? Czy ja przeobrażam się we własne przekleństwo? Kto wyciągnie mnie z tego snu? Z tego szaleństwa? Jaka to melodia? Marsz pogrzebowy?

Hiphopowcy

Wiem przecie, że to wszystko kłamstwa, rojenia mojej przysadki mózgowej, że wszystko jest w mózgu, a mnie przeszczepiono mózg małpy, że jestem monstrum, a ty jesteś marzeniem.

Nagle wpada Witkacy... mówi do mnie kotku, gasi lampę, nazywa mnie pieśzczotliwie ścierwem, tarmosi mnie za włosy, boję się, boję się bardzo, muszę ci powiedzieć, jak bardzo się boję, że wszyscy umrzemy, i chociaż nie wiem, kim jestem, zdecydowałam się napisać tę hiphopową piosenkę, ta piosenka pisana jest dla pieniędzy, z nędzy, a ja jestem jeno nędzną myszą, którą pożarło pięć kotów.

Fe, nie jestem żadną pierdoloną myszą! Wszystko jest szarym mirażem.

Bardzo nam przykro, ale wszystko jest na ostrzu noża, a może wszystko jest snem wariata. Może powinnam pójść do doktora. Może jestem psychicznie chora?

Kotki uśmiechają się kokieterijnie i sprawiają takie wrażenie, że:

– Dziękuję, Witkacy podaje mi herbatę. Koty przemieszczają się z jednego kąta pokoju w drugi. Musset muska mango, tuż pod kandelabrem. Karmię go tymi owocami codziennie. Sprawia mi przyjemność patrzeć, jak Apollinaire odgryza głowę kolejnemu śledziowi w śmietanie, jak Baudelaire obgryza bryzgające krwistą czerwienią płatki róż, jak Rimbaud łapczywie rozsypuje popiół z kominka po całej kuchni, wreszcie jak biedny Verlaine, pauvre Lelian, lepi z chleba maleńkie kulki, by bawić się nimi.

Wpadliśmy w sam największy wir... wewnątrz wulkanu.

Coście tak gęby porozdziawiali? Czemu chcecie mi zamknąć usta? Czemu nie dajecie wiary mojej opowieści? To wszystko magia. Na dnie mojego serca jest zamek z kart. Kantuję. W środku pieczary gnije martwy smok. Smocze zęby zbiera do bawełnianej torby Kadmos.

– A ty idź, proszę, nie szarpicie mnie za włosy, mam takie słabe serce. Patrzę i widzę wokół znowu czarne słońce. Czy możesz sobie wyobrazić, że to wszystko ze mnie wyłazi. Każda litera, każdy kwant. Patrzę na ciebie, mamusiu.

Zdrowia, tylko zdrowia mi potrzeba, aby wypełnić misję. Muszę spisać te wszystkie głosy wychodzące ze mnie. Te wszystkie blu blu blu i te wszystkie da da da, całą tę postdadaistyczną muzykę sfer, tę kocia, szatańską muzykę. One też ją słyszą teraz. Verlaine nastawia wibrysy, jakby chciał zaśpiewać. Nade wszystko muzykę, żeby nie powiedzieć gędźby. Słyszysz te dajmoniony od lat, czuję jak moją czaszkę rozrywa snop światła, jak pulsuje.

W powietrzu unosi się zapach spalonego pierza i spirytusu. Znowu za dużo wypiliśmy wczoraj.

Z ZAPISKÓW SEKRETNÝCH WITKACEGO

Jestem człowiekiem poważnym, mimo iż czasami zachowuję się niepoważnie. Uważam, że robienie dobrej miny do złej gry, to nie moja rozrywka. Postanowiłem poszukiwać. Nie wiem właściwie, czego szukam.

Czy pamiętasz upojną tę pieśń....?

Odczytuję to, co napisałem, i chcę pisać dalej, ale wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Dzień dobry, Stanisławie Ignacy! Proszę mnie przyjąć na korepetycje. Chciałabym się ukulturalniać u pana. Z panem. Przez pana. Przepraszam za zamieszanie, ale jestem taka pomieszana.

Mnie w palcach opowiadania Czechowa.

– Pani czyta Czechowa?

– Często czytam Czechowa.

Schody, po których zaprowadziłem tę dziewczynę do pokoju na poddaszu, były jeszcze mokre. Matka dopiero co je umyła. Dziewczyna o mało co się nie poślizgnęła, ale jakoś daliśmy radę wejść na górę. Kiedy weszliśmy do pokoju, wydarło się z niej gromkie: – Nigdy w życiu nie widziałam tylu książek. Ma Pan Czechowa?

Pokazałem jej trzy tomy: Opowiadania, Dramaty i Sachalin. Sięgnęła właśnie po „Wyspę Sachalin”.

Tylko Czechow zwrócił uwagę dziewczyny. Była w nim zakochana. Inne książki i inni autorzy w ogóle jej nie interesowali. Spytała, ile książek napisał Czechow?

– Nie tak znowu wiele – odpowiedziałem.

– Chciałabym je wszystkie przeczytać.

– Możesz je sobie wziąć. Są twoje. Jedną wzięła w dłoń, a pozostałe dwie schowała do torebki. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dziękuję Panu.

– Czemu Czechow? - zapytałem.

– To mój najlepszy przyjaciel. U nas w domu była tylko ta książka. Wskazała na tom, który przyniosła ze sobą. „Święta noc i opowiadania”. On tak wspaniale pisze o życiu. Jakby wszystko wiedział, jakby znał każdy szczegół mojej duszy.

INTRYG

Doktor Szelestow, mój psychiatra, twierdzi, że powinnam sobie wypisać cele na kartce.

Przypuszczam, że mój świat zbudowany cały z marzeń, jest tym lepszym światem. To świat, w którym jesteś ty, Mamo. W którym szare dni zamieniłam na sny, a Niebo ze mną płacze ze szczęścia. Wierzę, że zobaczę cię choć raz. Ten raz, na zawsze, poza czasem i przestrzenią. W Niebie, które czyste jak krew, zbudowane jest z piasku i mgły. Tam gdzie nie ma nic i gdzie jest już wszystko.

Należy raczej przejąć pałeczkę, zanim będzie za późno. Śpieszmy się chwycić dzień,

zanim stanie się paskiewiczowską, bezkresną nocą. Nocą, która pali moje palce do krwi. Wyświechtaną nocą poetów.

Witkacy, wszystko jest cacy. Nie oddychaj już. Ostatni oddech, gdy twoje koty śnią o nicości, o czarnym pyłe gwiazd.

I znowu jestem sama w tych czterech ścianach. Próbując wypić piwo, którego nawarzyłam.

– Jakby ci to wytłumaczyć...

– Zapomniałem, jak tam jest.

Witkacy budzi się i wyrzywa mnie ze snu.

– Śniła mi się Rosja. Jechaliśmy w wagonie Kolei Transsyberyjskiej, jak Cendrars i jego mała Żanna. Żal mi ciebie, kotku, jesteś taka smutna. Bzik tropikalny, tak zwana ludzkość znajduje się w obłędzie, a kobiety na skraju załamania nerwowego. Tymczasem wróg u bram, rewolucja pożera własne dzieci.

Gdyby kazano mi wybierać jedno z dwojga: Matkę czy Witkacego, wybrałabym Matkę. On o tym wiedział, choć nie powiedziałam mu tego. Patrzył teraz na mnie.

Witkacy lubił swego przyjaciela, Malinowskiego, którego ja z całego serca nienawidziłam. Przystawiał się kiedyś do mnie. Postawił mi drinka z pałeczką, curraçao. Potem podglądał mnie, jak kąpałam się w Jeziorze Bodeńskim.

Ma przyjechać z matką. Muszę coś wymyślić, żeby to odwołać.

- Nie, nawet o tym nie myśl. Malinowski z matką tym razem będą nieodwołalnie naszymi gośćmi już jutro, a gość w dom, Bóg w dom! Mnie ta myśl podnieca, moja droga! Wiem, że nie przepadasz za Bronisławem, ale nie zabraniaj mi się z nim widywać!

Twarz miał purpurową i mokrą od potu. Obejrzał się na mnie. Uśmiechnęłam się, robiąc dobrą minę.

Już świtało, przez okno widać było, jak rozpałała się zorza poranna. Ranek był słoneczny. Wyszliśmy do ogrodu angielskiego przez ogród francuski. Witkacy, mimo wszystko, tryskał humorem. Jak ja, lubił robić dobrą minę. Zjedliśmy śniadanie, patrząc sobie w oczy, sycąc się słońcem, jak wszystkie ranne ptaszki.

Dlaczego to robię? Dlaczego piszę, patrząc jak Witkacy maluje wieżycę – sowę? Piszę, bo to łagodzi mój egzystencjalny ból, goi tę roztraskaną ranę, która nie może się przecież zabiłnić błoną podłości, piszę, bo mam wrażenie, że z każdym słowem, odkrywam niewidzialną zasłonę. Storę, która skrywa tajemniczą historię. Sens mojego, a także twojego życia, Czytelniku Paskudniku! Mam chyba prawo wierzyć własnym oczom? Mogę chyba zaufać Ręce Farbiarza. Za każdym razem, kiedy stawiam te znaczki na papierze, te hieroglify, czuję się jak w jednym ciele Champolion – Chefren – Cheops.

ZGNIŁA INTELIGENCJA

Straciłam go z oczu w czerwcu. Wyłynął z Malinowskim na Triobrandy, studiować życie seksualne dzikich. Wziął ze sobą Rimbaud. Pozostałe koty zostały ze mną.

Tyle się pisało o zgniłej inteligencji. A ja miałam nieprzyjemność zetknąć się z tym środowiskiem osobiście. Banda miernot, beztalencia żyjące z ciężko wyłudzonych dotacji. Grafomani grający grantami na giełdzie nazwisk. Wszystkie te poetki z genem zaczadzenia feminizmem. I ci poeci bez jaj. Slamerzy, boomerzy, perz. Rzeczpospolita pospolita.

TRYLIONER

Jedno tylko małe ale: recytują wiersze. Te wiersze nie są pierwszej jakości. Są objawem marazmu zgniłej inteligencji. Wszystkie są do siebie podobne. Nie można się nimi ani przejąć, ani też nie należy się nimi przejmować. Te wiersze są szare i nijakie. Bez osobowości. Kopiuje – wklej. Bez ostrza. Bez wyrazistości. Wiersze wege w wersji bezglutenowej. Wiersze – mamaługi. Wiersze – mąka krupczatka. Z tej mąki chleba nie będzie. Z tej poezji nie będzie pereł.

CZŁOWIEK WE FRAKU

Teatr Operowy Zimina. Zimno mi, trylioner skrada się za mną jak trylobit za Wehikułem Czasu, trybisz to? Czarna mgła snuje się nad Moskwą i Paryżem. W Paryżu jemy mule, Witkacy znów zamula, że Chwistek, ten chły-

stek, przewartościował już tezy Spinozy. Dwikozy. Jemy dżem jagodowy.

Wszystkie spojrzenia skupiają się na żółtych butach Witkacego, który wita się z człowiekiem we fraku. Okazuje się, że to Marcel Proust. W poszukiwaniu straconego combru, rzucam się pod stół, gdzie żółte buty Witkacego lśnią sosem curry.

Proust przemawia do mnie po francusku, a ja umiem tylko po rusku. Ruga mnie wzrokiem ta paryska foka. Macza magdalenkę w winie, Chateau coś tam, i klnie siarczyście, sacre bleu! Nie wytrzymuję i wymiotuję: wino, camembert, na jego frak. Ten wyfraczony, wywleka mi od wywłok.

O wiele ciekawsza od fraka była twarz jego właściciela.

Ejże! Ośmielam się zwrócić ponownie do obrażonego Prousta. Jego morda francuska lśni od pomady do wąsów. W istocie wyglądają te wąsy jak wibrysy.

Proust woli chłopców. To już wiem. Witkacy mnie już uświadomił. Czekam, zgaszę światło i powiem to najdobitniejsze ze słów: KONIEC. To jest moje ostatnie słowo. Tak napisze za jakiś czas B.S. Johnson na karteczce, a potem podetnie sobie żyły. Żeby żyć wiecznie. Czy chciałabym żyć wiecznie?

Kiedy się jednak zaczyna, gasimy światło.

Nigdy! Nigdy nie zapomnę jego twarzy, płonącej ogniem zapamiętania, twarzy Empedoklesa we wnętrzu Etny, twarzy tak bardzo mi bliskiej, twarzy, której nigdy już chyba nie ujrzę, chyba że wynurzy się ona z grobu, jego zamkniętych na wieki wieków powiek, jego świszczącego oddechu, jego palców, jego ramion, jego oczu wpatrzonych we mnie, jakbym była jego dzieckiem, jego twarzy zaś nade wszystko, tej twarzy, która nigdy się już nie zdarzy, w cudacznym korowodzie jednostkowych istnień, niemytych dusz, wydartych na chwilę nicości.

– Nic nie widać – powiedziałam pewnego razu, przymierzając czarne okulary.

Witkacy zdjął mi je z oczu i założył na swoje, mówiąc:

– Po zdjęciu czarnych okularów, ten świat

przerażający jest tym bardziej.

Zapach dłoni Witkacego – to jego zamaszyste ego – i cała ta erotyka z mojego poplamionego krwią miesięczną dziennika – honey moon – moje uda – jego ramiona – tak bardzo cię chcę – tak bardzo mnie potrzebujesz – otwarte okno – skaczemy w dół przepaści – na rany kładę okład z czarnej maści.

Dotknęłam ostrożnie czoła Witkacego. Lśniło.

Jaka szkoda, że nie można zatrzymać czasu tu i teraz – pomyślałam i uśmiechnęłam się do siebie w lustrze. Skłamałam.

I oto nareszcie widzę miłe sercu elektryczne żarówki! Żar z rozgrzanego pieca bucha. Wewnątrz mojego serca czy mojej duszy wszechogarniająca miłość, ogromny ocean, otchłań, która obejmuje wszystko na zawsze. Moje ciało jest trumną. Twoje ciało jest trumną. Za chwilę będziemy wolni. Spójrz w moje oczy po raz ostatni na zawsze, stuck in the middle. Wszystko jasne. Wewnątrz moich oczu jest jaskinia platońska. Widzę wszystko oczyma wyobraźni. Nie można już jaśniej. Wszystko lśni jak na ostrzu noża.

Zaczęłam czytać wieczorami – Witkacego wartki nurt. Mirt, Lete. Czy nie widzisz, że cię czytam w myślach? – mówię do tego wariata, kiedy znowu smaży zegarek na patelni, trzymając strusie jajo w swej ogromnej dłoni. – Auden powiada, że należy obcować z Cieniami.

– Niczego innego nie robię przez całe moje życie!

Rzucam mu się na szyję. Witkacemu, nie Audenowi. Jak pętla.

*

– Proszę powiedzieć Witkacemu, że go podziwiam.

– Kim pan jest?

– Michaił Afansjewicz Bułhakow.

– To pan pisze tę dziwną książkę o diable w Moskwie?

– Była pani kiedyś w Moskwie?

– Tak, przejazdem, własnym moskwiczem.

– Jesteśmy w Polsce. Mówmy o Polsce, proszę.

– Polska jest przeklęta.

– Boże! Jak to przeklęta?

– Polska przepadnie w odmętach.

Intrygi... Podskoki... Bułgakow w szapoklaku, w bryczesach, w łazience, na kuchennym blacie, w trakcie scysji, w małowniczych okolicznościach, przez całą noc w jego ramionach, a potem śniadanie mistrzów, mistrzowskie pocałunki, płonące rękopisy, ogień w kominku, obłok w spodniach, Musset muskający mango, Bułhakow popijający z bukłaka, moje czarne włosy zmierzwił, uśmiech na werandzie, powrót do Witkacego, miłość w czasach zarazy, markizy, poczucie odnalezienia, poczucie zagubienia, kiedy obudziłam się rano, otworzyłam okno i chciałam wyskoczyć, chciałam wyskoczyć z siebie, chciałam się unicestwić, pastwiły się nade mną rozmaite lęki.

– U – unicestwić, uratować.

– Obejdę się. Otworzę okno.

– Kiedy otworzą się Drzwi Percepcji, wszystko ukaże się takim, jakim jest

NIESKOŃCZONYM.

– Mocne wino, och, mocne – uśmiechnęłam się, nie umarłam. Po nocy spędzonej z Bułhakowem.

Po chwili wahania podszedł do mnie Witkacy i powiedział mi na ucho od śledzia:

– Śledziłem was, nie myśl, że nic nie wiem.

Spojrzałam w jego oczy jak w studnię artestyjską i spytałam:

– Kręci cię to?

– Odczep się ode mnie!

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Na zawsze razem.

Rzuciłam weń pustym kieliszkiem po winie. Moja wina.

STRASZNY DZIEŃ

Lustrzana kabina spadła w dół, kieliszek trafił Witkacego w skroń, raniąc do krwi, ten zaś upadł na podłogę, jak rażony piorunem. Zawołałam Bułhakowa.

Jezusie Nazareński! – wrzasnął Bułhakow.

Głowa Witkacego cała we krwi.

Przed drzwiami z napisem Doktor ustawiła się zatem cała nasza trójka: Bułhakow, ja i Witkacy z zabandażowaną głową, któ-

ry wyglądał jak Apollinaire na tym słynnym zdjęciu po trepanacji czaszki. Doktor zalecił stosować okłady i polecił witriol.

Podniosłam się z krzesła, jaki piękny to będzie widok. Ciemny granat i co? Połknęłam go z pestkami.

Byłam w stanie opisać, co jeszcze na mnie czeka, a może w twojej głowie jest coś, co o mnie ci opowie, a jeśli nie, to nie zawaham się wysadzić się gdzieś daleko stąd.

Zadzwoiłam do matki, ale głuchy telefon przypomni mi, że nie żyje. Zrobiło mi się cholernie smutno i poczułam się bardzo samotna. Była dla mnie wszystkim, więc wszystko się skończyło wraz z jej śmiercią, w którą ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć.

Wiolonczela kameralnie.

Miałam wrażenie, że pęknie mi głowa. Chciałam do mamy. Chciałam, żeby to wszystko zniknęło, żeby przyszła mama. I chciałam, żeby wiolonczelistka przestała grać, ale ta się na mnie uwzięła i ledwie skończyła Bolero, zaczęła Orion. No to ja ją szur smyczkiem, aż zrobiła stage diving.

Dziękuję. Już mi lepiej, ulżyłam sobie. Czasami jest mi lepiej, gdy ulżę sobie w ten sposób. Chciałabym wmówić w siebie, iż w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego. Toniemy w odmętach nicości. Na zawsze. Codziennie powtarzaliśmy ten sam skowyt. Ja – kobieta i on – mężczyzna:

- Sam przeciw wszystkim.
- Ale i tu zachodzi trudność.
- Ty i ja, ja i ty, ty to ja to ty.
- Ty – Witkacy.
- A ty cacy!
- Nasza miłość jest tak piękna, że aż nie do zniesienia.
- Chodźmy coś zjeść!
- Chodźmy się czegoś napić!
- Chodźmy do łóżka!
- W porządku, kochanie.
- Wiem o tym.

I szliśmy coś zjeść, czegoś się napić, a potem do łóżka. Aż do zrzygania się tym wszystkim.

- Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.
- Pójdę po wino. O czym chcesz rozma-

wiać?

- O nas. O mnie. O tobie.
- O nas? O mnie o tobie?
- Możesz liczyć na mnie...
- Nie w tym rzecz. Nie jestem szczęśliwa.
- Może powinnaś napisać o tym wiersz albo piosenkę.
- Żarty sobie stroisz?
- Mówię poważnie: cierpienie to paliwo.
- Paliwo, tak?
- Powiedzmy.
- Byłoby ci dobrze, gdybyś cierpiał?
- Może gdybym cierpiał za miliony.
- Nie podoba mi się, że obracasz to w żart.
- Jesteś za bardzo usztetywniona. Może powinnaś się rozluźnić?
- Wygląda na to, że nie wiesz nawet o czym mówię.
- To też możliwe. Nie obchodzi mnie to.

Czy się pan nie skaleczył? – spytałam go innym razem, gdy stukał młotkiem w ścianę i nagle zaczął ssać kciuk jak dziecko.

- Nic się nie stało. Wszystko pod kontrolą.
- Mogę zobaczyć?

Pokazał mi środkowy palec.

– Nie ten.

Wyciągnął kciuk. Po skończonej robocie poszliśmy na lunch. Jedliśmy owoce morza; langusty, krewetki, kraby, omutki.

Już czas – pomyślałam.

– Czy ty mnie kochasz?

Mało się nie udławił małżem. Przetarł małżowiny uszne.

– Kocham cię w kapeluszu i berecie.

Sukinkot. Nigdy nie zachowywał należytej powagi. Kabotyn. Ale czy ja go wciąż kocham? Czy kiedykolwiek go kochałam? I co to właściwie znaczy kochać? A przede wszystkim, czy to takie istotne. Przecież i tak umrzemy. Przecież i tak za chwilę umrzemy. Więc jakie to ma znaczenie, czy go kocham, skoro umrzemy?

Witkacy nic nie odpowiedział. Ale, zdaje się, czytał w moich myślach.

Z bystrością człowieka genialnego namaścił mnie pan Dickens.

Kapelusz gdzieś się zapodział.

Niemożliwe, bez kapelusza ani rusz.

Witkacy kazał nakryć do stołu. Mama Malinowskiego przypominała mi moją. Muchy owocówki obchodziły blat stołu. Stałam z boku, przyglądając się, jak służba podaje pieczone. W końcu wszyscy usiedliśmy. Zaczęła się konwersacja:

- Triobrandy są pewnie niezmiernie gorące – zaczęłam.
- Życie seksualne dzikich mnie podnieca – rzekł Bronisław.
- Broneczku! Tak nie wypada. Zjedz lepiej zrazy.
- Zaraz, mamusiu!
- to... może ... rolmopsa?
- Dziękuję bardzo, uwielbiam śledzie.
- Bismarck cenil je bardziej niż Kulturkampf.
- Czy kultura triobrandzka jest w istocie kulturą krwawą?

Może brandy? Te podroby są przepyszne. Proszę poczęstować się ponczem.

- Łączę wyrazy szacunku. Nie mieliśmy pojęcia, że zostaniemy tak wspaniale przyjęci.
- Pracuję teraz nad czystą formą, czystej?
- Czysta forma jest w stanie przeistoczyć ducha.

– Spiritus movens.

– Małpa i duch.

– Co u Huxleya?

– Gorycz.

– O, mój Boże!

– Proszę nie skaleczyć się nożem.

– Rana jest dotkliwa, nie może się zabiżnić. W dżungli dziki siekł mnie maczetą.

– Ledwo uniknęłam śmierci.

– Miałem wtedy wizję.

– Europa gnije od środka.

– Zaleje nas horda dzikich.

– Jesteśmy w potrzasku.

– Zażywałem ostatnio pejotl, sok z meksykańskiego kaktusa.

– Meskalina, pisał o tym Huxley.

– A wcześniej Blake:

Kiedy otworzą się Wrota Percepcji, wszystko ukaże się takim, jakim jest NIESKOŃCZONYM.

Pani Malinowskiej bynajmniej nie było nieprzyjemnie, że chłopcy, jak ich nazywała, za-

jęli się tą swoją mową trawą, ale trwała w tej dyspacji na zasadzie batyskafu zanurzonego wraz z ciałem Piccarda, jej syna, w odmętach Rowu Mariańskiego. Spokojnie obserwowała nerwowe zamieszanie, z całą dumą matki, która stoi na straży bezpieczeństwa swego genialnego syna, nawet jeśli cały świat stanąć miał niebawem na głowie.

– Na żądanie Dodsona i Fogga.

– Cofnięto mi umowę na wydanie książki.

– Jestem niewypłacalny. Nie mogę cię wspomóc.

– Te cholerne dzieła nigdy nie trafią do ludzkości!

– Nie martw się. Ludzkość się bez nich obejdzie.

– Tak zwana ludzkość jest w obłądzie.

– Spal to wszystko!

Ukazanie się pana Witkacego w nadzwyczajnych okolicznościach.

Witkacy pędził ulicami, rozrzucając rękopisy na wiatr, to na chodnikach, to w parkach, a zanim pięć antycznych kotów: amarantowy Apollinaire, biały Baudelaire, Musset mango, rudy Rimbaud i fioletowy Verlaine.

Nie zważając na przeszkody biegł nie zatrzymując się ani na chwilę.

Po tej decyzji Malinowski wziął kapelusz, zgiął go w palcach, i cisnął go wprost w kałużę, co spotkało się z piorunującym wzrokiem jego przewrażliwionej matki. Kolacja została oficjalnie przerwana. Posłałam Malinowskim w pokoju na poddaszu i wysłałam za Witkacym na wirydarz, widziałam, jak obłąkany miotał się sam ze sobą. Zrobiło mi się go najzwyczajniej żal, podeszłam do niego i położyłam mu rękę na czole.

Rudy Rimbaud, fioletowy Verlaine, biały Baudelaire, Musset w barwie mango i wreszcie amarantowy Apollinaire czuwały u wezgłowia Witkacego przez całą noc. Pięć kotów i ja.



Rozpoczęcie

Maciej Skomorowski

– „*L'archi-écriture, cette écriture en général, est la condition de possibilité de toute inscription*”,
J. Derrida, *De la grammatologie*

1.

Krajobraz to preludium. Zanim znak wyrazi myśl, zanim myśl będzie gotowa do wyrażenia w ciele – istnieje krajobraz: kilka drzew, ziemia raczej pustynna lub ulegająca pustynnieniu, piaskowa i sypka, a w niej najdalszej oddali zapach i poszum morza, dalej ledwo dostrzegalne fale łamiące się na długo przed miejscem zwanym słusznie i wcale nie konwencjonalnie brzegiem. I słońce, bardzo jasne, nad krajobrazem, choć stanowiące jego integralny moment, więcej niż dopełnienie. – Teraz musimy wiedzieć tylko dwie rzeczy. Nigdy nas tam nie było. Po wtóre: przeżywamy wzruszenie na widok krajobrazu; emocje są tym, co obserwujemy.

2.

Żadne zwierzę nie potrafi zaprzeczyć swojej naturze, jedynie człowiek posiadał tę przebiegłą umiejętność. Rozum. Ulice miasteczka wypełnione pustymi sercami ludzi, którzy mają puste ręce i pusto przechodzą, idą, donikąd, bo już są tu, gdzie mieli być. Przychodzą do pustki, która wiernie przyjmuje ich komplementarność w jedności niczego. Widać stąd wielki płat krajobrazu miasta, gromadzącego według swojej przepisanej funkcji owe pustki, stanowiące także jego płatną ofertę. Ale to dobrze. Sytuację sprzyjającą zawsze anomalnemu początkowi myśli jest pustka właśnie, rozbiegane oczy, jeszcze niewpatrzone – puste z początku rytuały, które w miarę ich spełniania w niewyobrażalny sposób rodzą ciepło, słowo

i ciepło, słowo drugie w odpowiedzi – gwarancję, że pierwsze słowo dotrze tam, gdzie zamierzało. Następne.

3.

Widać też czas, jeśli wspiąć się nieco wyżej. Gdy pierwsze słowo zdążyło przebrzmieć, wyczerpać swoją intencję i wejść w oczekiwanie na następną okazję, kiedy będzie mogło się pokazać jako czyjeś, a ktoś kto wypowie słowo zdoła stać się każdym innym powiernikiem słowa – czas zacznie naliczać lata domagające się powrotów. Bowiem minie czas, ale nie minie zupełnie. Będzie nadal. Czas będzie zdeponowany w kształcie pojawiającym się we śnie za dnia i w nocy, a słowa, których przypadkowo został świadkiem, staną się rzeczą sztuk plastycznych z ich barbarzyństwem wobec czasu, czyli jego uśmierceniem w nieruchomości barwy i kształtu. Lecz obraz to również przyczynek dla nowych słów, więc artysta nie popełnia kosmicznej zbrodni, tym bardziej, że jego dzieło ma własny czas, jest obliczone na wieczne trwanie i ruch wokół niego, więc nowa wieczność, nie przypominająca żadnej dotychczasowej, nie będzie, nie będzie martwa.

4.

Czas, nadal przedwstępny, aby powiedzieć o twarzach. Twarze z absolutną pewnością pojawiają się i będą wymagały ujęcia, czyli krótkiego postawienia naprzeciw twarzy mówiącej o sobie Ja. Twarze gubią słowa przy każdym spotkaniu. Mówią. Milczą. Dziecko

np. jest zainteresowane nosem rodzica. W ten sposób po raz pierwszy dociera do twarzy, nie posiadając jeszcze twarzy własnej. Twarz milczy, ponieważ mówi lub też dlatego, że wypowiedziała słowa już kiedyś. To najwyższa nieobojętność. To więcej niż dobrany, wyszukany znak, wyraz, ekspresja słowa. Oto twarz – nie jest twoja. W przestrzeni ulicy miasta rysują się nieskończone linie, łączące szybciej niż świetlny promień twarze, czyniąc z nich pary. Inna relacja nie jest możliwa. Milczące twarze, po których ściekają krople deszczu, to ładunek błyskawicy roztrząskującej czas, dzień, miasto. Wtedy słowo wydaje się zbędne, mogłoby nie istnieć. A jednak – nie wiemy dlaczego – pada: Przepraszam. Obiecuję. Nie zawiodę Cię. Poślij mnie.

5.

A ta wąska ścieżka nie oznacza zbłądzenia. Nie jest też szlakiem alternatywnym, nie jest skrótem, nie jest też gorszą drogą. Jest właściwą przestrzenią przemieszczania się. Zwierzęta pierzchają lub podchodzą zaciękawione, ponieważ ślady są rozpoznawalne – one potrafią je przetłumaczyć na język działania. Pierzchają lub podchodzą. Ścieżka ich jest dziełem. Można by iść dalej, gdyby zapach, z jakiego są jej proste i zakręty, był dla nas wyczuwalny.

Pozwalamy sobie na obozowisko, w nie najdalszej oddali słysząc morze, gdy się rozbijamy. Tylko tak: mogliśmy zbłądzić, że ścieżką było wszystko w porządku. W końcu pożywiamy się. Zwierzęta tego nie lubią przy nas. Patrzymy na krajobraz inny od miejskiego. Zaprzeczyliśmy naturze. I nie spotka nas żadna kara. Ścieżka będzie istnieć, wieść także jutro. Jutro jest dzień wymarszu. Wąż i sarna wspaniałomyślnie obchodzą nas z daleka. Kilka drzew, które nazwaliśmy, czyni świat wspólnym. Taka jest nasza natura – panowanie.

6.

Pytamy, czy tak było zawsze, to znaczy, czy szliśmy tą ścieżką, przez to miasto, każdy niosąc swoją twarz, czekając na deszcz, mówiąc. Odpowiadamy z niezachwianą pewnością idąc dalej, krążąc wokół elementów, czasu, idąc naprzeciw, idąc w. Milczenie umożliwia pytanie, życie i odpowiedź, kiedy idziemy w stronę niezajętą i otwartą. I to jest zwykłe. Dlatego rytuał nie ma dostępu do dnia, dlatego nie potrzeba rytuału dla naszego przemarszu. Preludium krajobrazu wcale się nie skończyło. Stopy bołą, ślady mają swój zapach. Ale jesteśmy tu, gdzie wszystko się rozpoczyna, jest wydarzeniem rozpoczynania, pełnym i doskonałym początkiem. Genezę, która nie pyta o swoje następne co, gdyż każde coś już w niej się mieści. Każde podjęcie na nowo, zapoczątkowanie, każdy krok wyznacza kierunek, którego spełnieniem jest tęsknota za niemożliwym dotarciem na skraj. Skraj, czyli tam, gdzie zaczęliśmy. Tam, gdzie oko, ręka i usta zostawiły: widok, narzędzie, słowo. Mówimy o sobie ludzie.



Droga do domu

Urszula Kalecińska-Kucik

Basia szła dość szybko, ale chciałaby jeszcze szybciej, tak, żeby ta straszna droga już się skończyła. Mrok na dobre przytwardził się do grubych pni drzew i czał się za krzewami, którymi gęsto utkane było poszycie lasu. Skąd one się tu wzięły? Przecież tak niedawno sosny rosły daleko od siebie, a teraz nieprzyzwyczajenie oplatają się ramionami - w dodatku z natrętnymi brzożami, których tu wcale nie było.

O mamo, dlaczego musiałaś mnie wezwać właśnie teraz? Co się takiego stało, że ja muszę po nocy iść przez ten koszmarny las - myślała rozgoryczona. Raz po raz potykała się o wystające korzenie i przerażała ją odgłos rozniciatanych szyszek, którymi obficie zasypana była leśna ścieżka. Wtuliła głowę w kołnierz, skurczyła się, jakby jej ciało próbowało znaleźć wyjście z tej sytuacji, tworząc mniejszą powierzchnię do zauważenia dla czających się zewsząd oczu, które jej wyobraźnia czuła na każdym centymetrze ciała. Ba, nawet jej włosy, które tak starannie zakręciła, wyprostowały się, może od wilgoci, a może zdrętwiały ze strachu.

O mamo, czemu nie wyprowadziłaś się do miasta, czemu dalej mieszkasz w tej wsi, która jest na końcu świata? - zadawała retoryczne pytania, szukając winnego sytuacji, w jakiej się znalazła. Basia od wielu lat mieszkała w wymarzonej miejscowości, miała mieszkanie, ciekawą pracę, dawno nie była tu na wsi, czasem tylko mama do niej dzwoniła. A teraz, nie wiedząc czemu, musiała wziąć aż dwa dni urlopu.

Było jej zimno w głowę, ale bała się założyć kaptur, bo w nim gorzej się słyszy, a chciała wyteńczyć słuch do granic możliwości, a nawet niemożliwości. Strach, który odczuwała, był tak lepki, że stworzył w gardle gulę, którą musiała co rusz przełykać, choć bez większego skutku.

Nagle stanęła jak wryta. Musi się stać niewidzialna, rozpuścić, nie może poruszyć nawet koniuszkiem palca. Myśli pokryły się gęsią skórą. To coś nie może jej zauważyć,

a wyraźnie usłyszała łamanie gałązek, szelest liści i odgłos kroków - ale nie wiedziała, czy ludzkich, czy zwierzęcych. Zdała sobie sprawę, że nie jest aż tak ciemno, żeby pozostała niezauważona - tym bardziej, że drzewa niebezpiecznie się jakoś porozsuwały od siebie. Wydała przytłumiony okrzyk, gdy nagle na ścieżce przecinającej drogę stanął rostry mężczyzna.

- Proszę się nie bać, bardzo proszę, ja mieszkam w tej wiosce, której zabudowania są tuż za zakrętem, a pani dokąd idzie?

Szczękając wciąż jeszcze zębami i z duszą, która okrzakiem siedziała na jej ramieniu, wyszeptwała: do pani Grzelakowej, do mamy.

- O, Basiu, nie poznałem. Nie widziałem cię tyle lat. Ale już był czas, żebyś przyjechała - najwyższy czas.

- Wiesz może, czy nie jest chora? - zapytała, domyślając się w nim sąsiada i zarazem szkolnego kolegi.

- Zaraz sama zobaczysz - odpowiedział krótko - i kolejne paręset metrów pokonali już prawie w milczeniu. Dom mamy, a właściwie stara pochylna chatka, był pierwszy od lasu. Basia już z daleka widziała smugi światła przesączające się przez suche liście, światła zapewne od żarówki zamontowanej na ganku. Kiedy podeszli bliżej, sąsiad dyskretnie się oddalił. Gdy Basia weszła w krąg jasnego światła, dostrzegła ją mama, a ona mamę. Starsza pani stała na ganku, nie wiadomo jak długo, bez płaszcza, a nawet bez chustki na głowie, w jakichś dwóch nałożonych na siebie, znoszonych, dziurawych swetrach. Zaczęła radośnie podskakiwać, klaskać w dłonie i wesoło, choć niewyraźnie, wykrzykiwać: - Basiu, Basieńko, jak dobrze, że już wróciłaś ze szkoły, mamusia ugotowała obiad, już pewnie wszystko wystygło, tak długo czekałam.

Basia bezradnie usiadła na ławce w ganku. Próg, który miała teraz przekroczyć, nie był tylko progiem domu; zdawał się być przeszkodą nie do pokonania.



Opowiadania z tamtych lat

Isabella Degen

Trzynastego - szczęśliwy dzień

Feliks był prostym, skromnym człowiekiem, nie miał łatwego życia, pracował ciężko i za marne pieniądze. Do tego wszystkiego utrzymywał chorą, niepracującą żonę.

Otworzył kolejną puszkę piwa i czekał na specjalne losowanie lotka. Marzył, że może wreszcie skończą się ich problemy i nie będzie musiał się martwić, z czego zapłacić czynsz i czy wystarczy im na życie. Dzisiaj - trzynastego kwietnia - były jego urodziny, więc może tym razem szczęście się do niego uśmiechnie. Przez lata grał na różnych loteriach, totka puszczał co tydzień, a nadzieja i wiara w łut szczęścia nigdy go nie opuszczały. Wierzył, że kiedyś przyjdzie ten wielki dzień wygranej. Co sobotę, oczekując na losowanie, marzył o tym, co kupi za te pieniądze: - może dom... lepiej mieszkanie... i pięknego mercedesa... albo najlepiej samochód kempingowy, aby móc podróżować. Najważniejsze, że nie będzie musiał pracować, no i małżonka zapewni byt, jakiego pragnęła. Jego wizja szczęścia zataczała coraz szersze kręgi marzeń.

I oto nadszedł moment losowania numerów, bęben kręcił się, piłeczki stukwały tę samą pieśń: *szczęście, szczęście, przyjdź dziś do mnie...* Feliks z biciem serca notował na skrawku gazety numery, mając przeczucie, że właśnie dzisiaj cyfry będą trafnie wytypowane.

Ręce mu się trzęsły, gdy trzymał kupon totka, oczom nie dowierzał, bowiem wszystkie liczby się zgadzały. Nie posiadał się ze szczęścia. W poniedziałek pojedzie do stolicy do Centrali Gier Liczbowych, stanie przed urzędnikiem i położy mu na stole kupon. Gorączkowo zaczął przygotowywać swój czarny neseser, który kupił przed laty właśnie po to, aby kiedyś odebrać w nim wygraną.

W poniedziałek z bijącym sercem wjeżdżał

windą na trzynaste piętro, na którym mieściła się Centrala Gier Liczbowych. Wszedł do pokoju, za biurkiem siedział nadęty urzędnik. Feliks z dumą położył mu na biurku kupon i dowód osobisty.

- To ja jestem tym jedynym szczęściarzem - powiedział z widoczną dumą. Urzędnik uśmiechnął się i spojrzał zza okularów.

- Tak, tak, wybraniec losu - skwitował.

Wypełnił jakiś papier i podał do podpisu, po czym wstał, otworzył kasę pancerną i wyjął siedem milionów złotych.

- Życzę panu szczęścia! - powiedział i uściśnął dłoń Feliksa.

Ten, nie przeliczając nawet banknotów, pakował wszystkie do nesesera, musiał je upychać, bo tyle tego było, że nie chciało się tam zmieścić... upychał, upychał, upychał, aż spocił się i zasapał...

Zmęczony tym wysiłkiem obudził się... otworzył oczy, siedział spocony w fotelu przed telewizorem, z całej siły ścisnął pustą i zgniecioną puszkę po piwie...

Nie chciał uwierzyć, że to był tylko sen.

Ostatnia droga

Mroźny, styczniowy, słoneczny dzień na pustym cmentarzu. Pomyliłam godziny i przyszedłam na pogrzeb o ponad godzinę za wcześnie. Spacerowałam, choć zimno przenikało do kości, a poza cmentarną kaplicą nie było innego schronienia. W niej także było zimno, ale przynajmniej jakoś przytulniej. Na podeście stała piękna urna z prochami Rycha, dookoła niej wieńce i kwiaty. Usiadłam w ostatniej ławce, myśląc o nim, wspominałam czasy, kiedy był moim wykładowcą. Odszedł tak nagle, nawet nie zdążył się pożegnać z przyjaciółmi. Umarł w marszu codzienności.

Byliśmy umówieni na spotkanie to-

warzyskie, a tymczasem ja jestem tu, on tam, a za chwilę wtargnie tu tłum jego uczniów i przyjaciół.

Od ceremonii dzieliła mnie jeszcze cała godzina, więc cieszyłam się, że mogę z nim porozmawiać sam na sam.

Nagle weszła kobieta, pracownica cmentarza, i zwróciła mi uwagę, że jestem tu za wcześnie. Powiedziałam, że specjalnie przyszłam tak wcześnie, aby pożegnać zmarłego. Nie była zadowolona z mojej odpowiedzi.

Z korytarza dochodziła rozmowa, ale nie słyszałam słów...

Drzwi otworzyły się i zobaczyłam dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał w dłoniach metalową kapsułę, drugi poprosił mnie o opuszczenie kaplicy, ponieważ chcą przesypać spopielone ciało do urny. Już zamierałam wyjść, gdy w tym momencie do kaplicy wtargnął tłum ludzi. Mężczyźni wycofali się do biura. Usłyszałam tylko słowa: przesypiemy potem.

Pogrzeb był uroczysty: z rytuałami, przemówieniami, przyszła setka ludzi, można było zgubić się w tym tłumie. Podczas pogrzebu miałam świadomość tego, że prochy Rycha stoją w biurze i nie dawało mi to spokoju. Miałam ochotę krzyknąć na cały głos: – Ludzie ta urna jest pusta, lecz nie miałam odwagi, głównie ze względu na jego rodzinę. Dotrwałam do końca ceremonii, ale świadomość posiadania tej tajemnicy była obciążająca.

Wróciłam do kaplicy i zajrzałam przez szklaną szybę w drzwiach do biura, metalowa kapsuła stała dalej na biurku. Urzędniczka natychmiast wyszła, spojrzała na mnie nieprzyjaźnie i powiedziała: – *Pani jeszcze tutaj? Pogrzeb już się skończył...*

Chciałam coś odpowiedzieć, ale zabrakło mi słów...

Ludzie powoli opuszczali cmentarz, grób zasypano, położono wieńce i kwiaty. Robiło się coraz bardziej pusto. Biuro też już zamknięto – razem z prochami Rycha.

Dziwny był to pogrzeb, piękny, ale bez prochów zmarłego...

Nagi człowiek

Od lat mówili o nim – nagi Jörg, podobno miał alergię na tekstylia. Latem chodził nago i boso, zimą nago i w sandałach. Zawsze nosił ze sobą walkmana i miał słuchawki na uszach.

Był kawalerem w średnim wieku, normalny człowiek nie jakiś zboczeniec, miał nawet przyjaciółkę, która go często odwiedzała. Na Facebooku zdarzało mu się komentować swoje przygody z ludźmi. Mieszkańcy dzielnicy traktowali go pobłażliwie, choć byli i tacy, którzy przyglądali mu się, robiąc głupie uwagi lub omijając szerokim łukiem. Ci, którzy od lat znali Jörga, nie dziwili się, widząc go, uprawiającego nago jogging.

- Twardy typ – mówili o nim. Nawet gdy temperatura spadała poniżej zera, on wybiegał nago na przebieżki. Na zakupy do pobliskiego sklepu również chodził tak, jak go Bozia stworzyła.

Przez lata wrósł w folklor dzielnicy Sachsenhausen, należał do Frankfurtu tak samo jak ratusz Romer czy rzeka Men. Nawet w książkach i przewodnikach wspominano o nim jako o curiosum tego miasta. Dla tych, którzy czuli się zgorszeni jego widokiem, posiadał urzędowe zezwolenie na chodzenie nago – ze względów... jak wiadomo, zdrowotnych.

Sam o sobie mówił: *Dlaczego mam żyć i być taki jak wszyscy? Jestem inny i taki pozostanę.*

Od pewnego czasu słuch o nim zaginął. Nikt nie wie, gdzie jest ani czy się wyprowadził. W dzielnicy Sachsenhausen ludzie się o niego niepokoją, mówią: *To był miły i niegroźny wariat.*

Może Jörg wyleczył się z alergii i zmienił swój styl życia na tekstylny? A może już znudziło mu się być obiektem publicznego zainteresowania...

Kto wie... ludzie przecież się zmieniają.

Kamyczki

Paweł Słójkowski

- Adaś, buty.
 - Co z nimi?
 - Zdejmij. Wszyscy chodzą boso.
 - Mam brzydkie stopy.
 - Nie marudź, zdejmuj.
 - Zdejmuj, tata! – Józio uczeplił się jego adidasów jak szczeniak, ciągnął i warczał.
 - Puszczaj, wściekły psie, zdejmę to. Poddaję się!
 Potknął się i upadł na tyłek, cały czas się śmiejąc. Jedną ręką przerzucił chłopca przez plecy tak, że mały mógł chwycić z ziemi mech. Drugą rozsznurował buty i ściągnął je ze stóp. Była to miła ulga po kilku godzinach jazdy.
 - Może wystąpić przeładowanie energią, jeżeli pocujesz się źle, wyjdź natychmiast z kręgu – czytała na głos Agnieszka. – Przestroga dla osób silnie zestresowanych życiem, a prowadzących samochód. Po kąpieli w energii kręgów należy co najmniej godzinę odpocząć poza kręgami, na parkingu. Mózg zostaje zresetowany i jest w stanie głębokiej relaksacji. Pojawiają się wtedy obrazy jakby z innego świata.
 - Ze świata, w którym mamy po dwadzieścia lat i nie znamy słowa osteopata?
 - Z chęcią zobaczę, jak twój mózg jest resetowany. Jesteś z tych silnie zestresowanych życiem – zaakcentowała ostatnie trzy słowa.
 - Mam na wyżywieniu dwie słodkie gęby, za dużo pracy, za mało ambicji, jeszcze dwadzieścia lat kredytu i spuchnięte stopy starej baby. Dziwisz się?
 Adam postawił Józia na ziemi i narzucił mu na ramiona swój plecak.
 - Józef, misja. Pilnuj tego jak oka w głowie.
 - Jak czego? – mały rozdziawił usta w szczerbatym uśmiechu.
 - Tak, żebyś miał go, kiedy skończę resetować swój mózg.
 Chodził naokoło kręgu, coraz bliżej środka,

stawiał stopy na kamieniach z porostami, których nigdy nie widział, na małych igiełkach w zimnym piasku, dotykając miękkiego mchu, omijając wystające spod ziemi korzenie. Trupie kolana – tak na nie mówił, kiedy był w wieku Józia. Przerazały go, ale to było kiedyś.

Z zewnątrz krąg tworzyły prostokątne kamienne płyty, w środku głazy – niektóre wielkości pięści, inne jego głowy. Wyglądały tak, jakby ogromna dłoń wysypała je w jedno miejsce z jakąś dziwną czułością. Położył się twarzą do ziemi i zamknął oczy. Nie musiał zastanawiać się nawet sekundy, żeby wiedzieć, gdzie jest północ. Jego ciało dopasowało się do kamieni, wlewało się między nie i parło głębiej w dół. Czuł, że coś jest pod nim, schowane głęboko, pod piachem, glebą, kamieniami. Pod tym, co było jeszcze niżej, ukryte, bezkształtne i nieporuszone. Nie myślał o niczym i nie był. Oddychał tak, jak naokoło niego oddychał las.

- Adam, hej. Halo – głos wyrwał go z odrętwienia.

Otworzył oczy i podniósł głowę do góry. Agnieszka kucnęła przed nim.

- Józio gdzieś polazł. Zasnąłeś?

- Jak? Leżałem tu minutę.

- Bardziej piętnaście.

- Dobra, spokojnie. Pewnie jest przy następnym kręgu.

Zebrał się z ziemi, wziął ją za rękę i poszli. Józio stał przed wieżą z ułożonych jeden na drugim kamieni. Na najwyższym leżało kilka przedmiotów – długopis, zapalniczka, breloczek do kluczy, rozpoczęta paczka gum do żucia. Kilka metrów dalej stała starsza kobieta. Na głowie miała słomkowy kapełusz, podpierając się kijkami. Mówiła coś i pokazywała na kamienie. Józio patrzył i nie rozumiał. Język brzmiał jak niemiecki. Adam

widział już w okolicy kilku turystów z tego kraju. Pomachał jej i uśmiechnął się.

- Entschuldigung - powiedział.

Znał przeprosiny w kilku językach – a od kiedy był ojcem, to słowo przydawało się jeszcze częściej. Wziął Józia na barana i ruszyli z powrotem. Kobieta coś jeszcze mówiła, ale Adam tylko się odwrócił, posłał jej uśmiech i ruszył dalej.

- Mam nadzieję, że nie chciała złożyć z niego ofiary - rzucił, a Agnieszka wbiła mu łokieć w żebra.

- Jezu, Adam. Co się stało z twoją twarzą?

To były pierwsze słowa, które usłyszał. Nie tyle wynurzył się z nieświadomości, co został brutalnie wypluty na brzeg. Rzadko coś mu się śniło, ale tym razem wrażenie, że wypadł z czarnej pustki, było silniejsze niż zwykle. Czuł, że nie odespał jeszcze wyjazdu.

- O co ci chodzi? - mruknął, przecierając oczy. Dotyk zabolał, ale orzeźwił lepiej niż mocna kawa, od której zwykle zaczynał dzień. Zerwał się z łóżka i ruszył do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze. Boże.

Obmył twarz wodą i spojrzał jeszcze raz. Agnieszka stanęła w drzwiach łazienki. Adam bezgłośnie ułożył usta, przeciągając przekleństwo. Józio wciąż spał.

- Co to jest? - szepnęła do niego.

- Nie jestem dermatologiem, ale ostatnio wyglądałem tak w liceum. Chociaż chyba nawet wtedy było lepiej.

Lewe oko było spuchnięte i czerwone, brew wyglądała, jakby coś próbowało wydostać się spod skóry. Na brodzie i policzku miał dwa zaognione i swędzące czerwone ślady.

- Zobaczysz, czy nie ma jakiegoś lekarza? Muszę się umyć.

- Zobaczysz, zobaczysz. Nie dotykaj tego.

- Za dwie godziny masz Wieczorka. Idź, przynajmniej da ci zwolnienie.

- Tego wariata? Każe mi moczyć się w ziołach albo kłaść na golacha na głazach w środku lasu. A nie, czekaj, to już przecież robiłem.

- Rany, nie zaczynaj znowu. Podobało ci się.

- Połóż się w kamiennym kręgu, będzie fajnie. Tylko głową na wschód, bo inaczej porwą cię złe duchy - mruczał sobie pod nosem, naśladując głos Agnieszki. Ostrożnie włożył głowę pod lejącą się z góry wodę.

- Na północ, głupku.

- No tak, to pewnie przez to. Plaga czyraków z pogańskiego piekła. Babka na parkingu mówiła, że to miejsce szczególnej energii. Wrócę tam i złożę reklamację.

Adam nie mógł wiele poradzić na to, co działo się z jego skórą, postanowił więc kontynuować poranek tak, jakby nic się nie wydarzyło. Józio początkowo patrzył na niego podejrzliwie, ale na rowerze szybko o tym zapomniał. Wjeżdżali pod górkę, pięciolatek zaciskał dłonie na kamyczkach, które zawsze zabierali spod bloku.

- Szybciej, tata! - krzyczał mu w plecy. Na tym etapie Adam zawsze udawał, że kończą mu się siły. Potem przyspieszał, wjeżdżając z nową energią na most, którym przejeżdżali przez Wisłę. Teraz wcale nie udawał. Płuca paliły żywym ogniem, opierał się ciężko na kierownicy i dyszał.

Na moście co kilka metrów czuł delikatne poruszenie roweru, kiedy Józio rzucał kamyczkami do rzeki.

- Pach, pach - mówił, kiedy kolejne pociski zmierzały w stronę wody. Czasem udawał, że to rybki, czasem granaty w jakiejś krwawej wojnie.

- Józe, nie poleć tylko za tymi kamyczkami. Dzisiaj nie mogę pływać. Przestraszyłbym ryby w rzece.

Józio zaśmiał się i klepnął go w plecy. Adam lubił to, że nie musiał specjalnie się starać, żeby go rozbawić. Małe rączki dobierały się do jego plecaka.

- Nie szukaj tam niczego. Nie ma słodyczy przed przedszkolem.

Pod koniec drogi przez most chłopiec zamachnął się naprawdę mocno, tak, że Adam zachwiał się na rowerze.

- To był jakiś wielki kamień, Józiu?

- Największy. Ważył z milion ton.

- Ma je pan od dzisiejszego ranka?

Adam znał to spojrzenie. Wiedział, kiedy ktoś patrzy na niego jak na idiotę. Nie miał żadnego asa w rękawie, którym mógłby trafić do doktora Wieczorka.

- Tak. Kiedy się kładłem, nie było nawet śladu.

- Nic nie bolało, nie swędziało. A kiedy się pan kładł?

- Koło dwudziestej trzeciej.

- W niedzielę?

- Jeśli wczoraj była niedziela, to tak.

Lekarz podrapał się po resztkach włosów i palcem poprawił okulary.

- To zastanawiające - rzucił Wieczorek, dotykając palcem krosty na jego żebrach.

- Wygląda trochę jak półpasiec, ale jest za bardzo rozsiany. Za dużo też tego jak na liszaja, coś grzybicznego nie powstałoby tak szybko. Dam panu skierowanie do dermatologa i przepiszę maść. Jeśli będzie gorzej, proszę przestać ją brać.

- Może być gorzej?

Wieczorek spojrzał na niego, poprawił okulary i usiadł przy biurku.

- Nawet pan sobie nie wyobraża.

- Jak się czujesz?

Podniósł się z łóżka i popatrzył na Agnieszkę, która właśnie skończyła usypiać Józia. Większość dnia spędził w półśnie. Swędziało go całe ciało, a maść pomogła mniej więcej tak, jak benzyna przy gaszeniu pożaru. Kiedy Aga odbierała Józia z przedszkola, zepsuł się samochód. Przejechał sto metrów i zgasł. Przegląd zrobili niecały miesiąc temu, chcąc wyjechać na wakacje ze spokojną głową.

- Mocny kandydat do najgorszego dnia w życiu. A wy?

- Jak jeszcze raz będę musiała czytać skrzata, to zwariuję. Ale przynajmniej szybko zasnął. Potrzebujesz czegoś? Prześpię się dziś na kanapie.

- Co stało się z „w zdrowiu i chorobie”?

- Wszystko zależy od choroby. Wołaj mnie, jakbyś czegoś potrzebował.

Tej nocy obudził go Józio. Agnieszka miała mocny sen, więc wstawanie do małego było jego zajęciem. Wołał jak zawsze, przeciągłym, zlanym w jedno słowo: MAMATA-TAAAA. Wstał, poszedł do syna i przysiadł w nogach łóżka.

- Co tam, mały?

- Skrzat.

- Nie żartuj, nie będę czytał w środku nocy.

- Jest tutaj - szepnął. Wyciągnął rękę i palcem wskazał na szafę.

Adam podniósł wzrok, ale nic nie zobaczył. Zapalił stojącą na szafce lampkę. Nic. Na podłodze leżała książka, otwarta na ilustracji ze skrzatem opierającym się o łóżko nad śpiącym dzieckiem.

Skrzat podchodzi na palcach do łóżek dzieci, długo tam stoi i patrzy.

O, gdyby tak zbudzić się chciały, rozmawiałbym z nimi po skrzaciu, szepcząc w języku, który by rozumiały. Ale dzieci nocą tylko śpią...

I skrzat wymyka się po cichu, ostrożnie stawiając stopy.

Nie znosił tej książki.

- Chodź, zaprowadzę cię do mamy. Zobacz, nic tu nie ma - powiedział Adam, całkiem już rozbudzony. Otworzył szafę, przesunął wiszące kurtki. Mała dłoń zacisnęła się mocniej na jego palcach.

Józio poczłapał do salonu, położył się obok Agnieszki, przytulił się i zamknął oczy. Adam wrócił do łóżka, schował się pod kołdrą i zasnął. Śniło mu się, że leży przysypany ziemią, czuł, jak słońce ogrzewa mu

nogi, ale kiedy tam spojrział, zobaczył ko-
rzenie. Kolana trupa. Przebudził się. Gdzieś
na ulicy szczekał pies. Ktoś wpisał kod do
domofonu, a potem wjechał windą na górę.
Lodówka szumiała usypiająco. Za oknem ze-
rwał się wiatr. Gdzieś daleko przejechała ka-
retka. W pokoju Józia bardzo cicho zaskrzy-
piały drzwi szafy.

Apokaliptyczny tydzień trwał. Nie było tak,
że nie udawały się rzeczy, które mogły się
nie udać. W ruinę obracało się wszystko,
czego dotknął. Jątrzące się rany swędziały
nieznośnie, dokuczał mu brzuch, ćmiła gło-
wa, jakby coś znalazło się w środku i rozpy-
chało czaszkę od środka. Listę dolegliwości
uzupełniał ukruszony ząb i przytrzaśnięte
drzwiami palce. Starał się trzymać z dala od
noży i innych niebezpiecznych narzędzi.

Samochód był w naprawie, ale mechanik nie
potrafił dokładnie powiedzieć, co właściwie
się stało. W rowerze trzeba było wymienić
koło, w mieszkaniu pralkę, która odmówiła
posłuszeństwa. Po prezentacji, którą przy-
gotowywał do pracy, nie został nawet ślad.
Przedłużył zwolnienie i zrobił to, co zrobiłby
każdy odpowiedzialny człowiek w jego sytu-
acji - przestał odbierać telefony i czytać ma-
ile. Wydawało mu się, że utknął w jednym,
koszmarnym dniu.

W piątkowy wieczór otworzył piwo, wziął
łyka, resztę nalał do szklanki. Miał zapytać
Agnieszkę, czy też chce, ale w tym momen-
cie szkło pękło mu w dłoni. Wyrzucił wszyst-
ko do zlewu, opłukał rękę pod kranem i owi-
nął ją ścierką. Szybko przeszła czerwienią.

- Jestem przeklęty - stwierdził. - Aga, serio.
Można mieć zły dzień. Dwa dni, może trzy - w
porządku. Ale to, co się dzieje, to coś więcej
niż pech. Wyglądam, jakbym przeniósł się w
czasie z epidemii czarnej śmierci, wszystko
wali się w gruzy. Jakby w każdej sekundzie
coś nade mną wisało. Rower, samochód,
pralka, portfel, który zgubiłem, dokumenty
i karty, znikające dokumenty z komputera?

Wiem, że miałem to zrobione, wiem, gdzie
było. Boję się wyjść z domu, ale boję się też
w nim być. Jakbym cały czas czuł czyjś od-
dech na plecach. Wszystko, czego dotknę,
zamienia się w gówno. Jak dodasz dwa do
dwóch, wyjdzie książkowa definicja klą-
twy. Ty tego nie czujesz, Aga?

- Czuję, że coś się wydarzyło. Widzę, że coś
złego się z tobą dzieje, Adam. Może...

- To te obsrane kręgi. Przecież to się idealnie
zgadza. Coś musiało się stać. Chryste, jesz-
cze to, pieprzona wisienka na torcie.

Kopnął leżący na ziemi plecak, o który się
potknął. Zabolało tak, że prawie krzyknął,
łapiąc się za stopę. Przedmiot trafił w pie-
karnik, na grubym szkłe pojawiło się nie-
wielkie pęknięcie. Z plecaka, który leżał te-
raz na podłodze, wypadł kamień. Niewielki,
płaski kamień. Nie musieli długo patrzeć,
żeby zrozumieć, skąd go znają.

- Adam, zabrałeś go stamtąd?

- Ja? A niby po co miałbym przywozić do
domu kamienie?

Aga schowała twarz w dłoniach i powie-
działa coś przez palce. Adam nie usłyszał,
ale nie musiał. Jeśli nie zrobiło tego żadne z
nich, podejrzany był tylko jeden.

- Nie czytałem nic głępszego, od kiedy wy-
rzucili mnie z grupy totalnej biologii na fejs-
ie. W sumie, gdybym opisał tę sytuację, na
pewno znaleźliby niezły konflikt...

- Myślałam, że widziałeś ją już tam, wisi-
ała na drzewie. Dziwiłam się, że nie skomento-
wałeś.

- Znasz mnie. Na pewno bym sobie tego nie
odmówił.

Patrzyli razem w telefon. Znaleźli zdjęcie
kartki, która była przyklejona do jednego
z drzew przy kręgach. Po tym, jak zabrała
stamtąd jeden kamień, jej życie zaczęło
walić się w gruzy, co było dość dokładnie
opisane.

- Ona zrobiła to świadomie. A ja... przecież

to nawet nie ja go wzięłem.

- Wolałbyś, żeby to stało się Józiovi? - pioru-
nowała go wzrokiem.

- Jezu, nie, ale... no nie powiedziałbym, że to
sprawiedliwe.

- Przynajmniej wiesz, co musisz zrobić.

Wszystko było tak absurdalne, że Adam miał
wrażenie, że zwariuje. Pożyczył samochód od
teścia, a kamień położył na siedzeniu pasaże-
ra. Miał wrażenie, że noc zapadła, kiedy tylko
znalazł się na trasie. W radiu przeskakiwał
ze stacji na stację, szukając czegośkolwiek, co
mogło go zająć chociaż na chwilę. Choć lubił
jeździć sam, tym razem było inaczej.

Niecodzienny pasażer wypełniał sobą prze-
strzeń. Adamowi zdawało się, że jeśli tylko
spojrzy w lusterko, spotka się wzrokiem... z
kimś. Z czymś. Nie chciał tego sprawdzać. Cze-
kał na moment, w którym samochód rozkra-
czy się na środku autostrady albo zatrzyma go
policja. Ale nic się nie działo. Prowadził spo-
kojnie, auto połykało kolejne kilometry. Uczu-
cie niepokoju było gdzieś z tyłu, towarzyszyło
mu jak wierny, ale natarczywy przyjaciel.

Podkręcił radio i docisnął gaz. Mógł powta-
rzać sobie, że jest dorosłym typem, który
nie wierzy w te bzdury, ale był tutaj, wioząc
dwieście kilometrów przez noc kawałek skały.
Trudno było z tym polemizować.

Zaczął denerwować się dopiero, kiedy skręcił
z głównej drogi. Pamiętał, że dojazd był fa-
talny, ale jazda w nocy przez wertepy i piach
przebiła najgorsze obawy. Musiało mocno
padać i dwa razy prawie zakopał się w błocie.
Jakieś zwierzę przebiegło mu kilka metrów
przed maską i zniknęło między drzewami.
Parking był pusty, a niewielkie stoisko, przy
którym można było kupić pamiątki, zamknię-
te na cztery spusty. Nie chciał tu być.

Zgarnął kamień do plecaka, włączył latarkę
w telefonie i wyszedł. Ciepłe letnie noce się
skończyły, było chłodno i nieprzyjemnie, z
każdym oddechem w powietrze leciał kłęb

pary. Starał się nie myśleć. W ogóle. Gdyby
był z Agnieszką, rzuciłby, że to jego natural-
ny stan. Gdyby był z Agnieszką i Józefem,
mówiłby różne głupie rzeczy. I nie bałby
się, choćby tylko po to, żeby oni się nie bali.
Wiedział, że jest tchórzem, a otaczająca go
ciemność, dojmująca cisza i nieprzyjemny
ciężar w plecaku - uświadomiły mu to jesz-
cze mocniej. Gdzieś z boku, w gęstwinie,
trzasnęła gałąź. Chciał tylko jednego - od-
wrócić się i biec, ale wyobraził sobie, jak
drzewa za jego plecami zamykają mu dro-
gę. Bał się obejrzeć.

Przed oczami zamajaczył mu pierwszy
krąg. Nie musiałby nawet używać latarki -
na polance było zdecydowanie jaśniej, ale
to wcale go nie uspokajało. Światło księży-
ca sprawiało, że kamienie błyszczwały upior-
nie. Nie było sensu iść dalej. Zdjął plecak
z ramion, otworzył go i poczuł w dłoniach
ciężar, którego nigdy nie powinien czuć,
który nie był stworzony do tego, by trzyma-
ły go ludzkie ręce. Uklęknął na brzegu krę-
gu i odłożył go.

Pach, pach - dobiegł go głos gdzieś spośród
drzew za jego plecami. Przypominał głos
Józia, ale było w nim coś obcego. Po plecach
Adama przebiegł dreszcz. Za bardzo się
bał, żeby się odwrócić.

Telefon padł. Las ożył. Adam słyszał kroki,
słyszał, jak ruszają się drzewa, jak grzecho-
czą kamienie, a korzenie przesuwają się
pod nim. Nie potrzebował już światła, nie
potrzebował drogi powrotnej.

Pach, pach - usłyszał znowu. To i jeszcze
śmiech, na który inne głosy odpowiedziały
jak echo. Nieprzyzwyczajone do tego, by
mówić tym językiem, który ludzie rozumie-
ją.

Adam rozumiał. I rozumiał też, że kamień,
który teraz leżał przed nim, nie był jedy-
nym, który stąd zabrali. Pach, pach - jak
mówił Józio, rzucając go do Wisły z mostu.
Pewnie ważył z milion ton, pomyślał, kiedy
wszystko wokół gasło i rozpyływało się.



Pomarlisko

Natalia Owsiana-Bilska

Światło sunie po suchej belce – usuwa się w cień. Jasny krąg latarki zatrzymuje się na szybie okna. Na śniegu przed domem krople krwi. Wygląda, jakby śnieg krwawił. Wilki są blisko. Wyczuwa je niemal tak namacalnie, jak żywicę rozcieraną w palcach. Śmierć też tak rozciera, rozmazuje, chowa w zagłębieniach. A ona, jak żywica, nie daje się zetrzeć. Zostawia na powierzchni parujący, kleisty ślad.

Tak naprawdę to nigdy nie wiadomo, kto jest drapieżnikiem, a kto ofiarą. Kto zadaje cios, a kto przyjmuje. Biegając po kole życia, łowca staje się ofiarą, a ofiara łowcą, bo zacierają się granice. Ktoś musi zginąć, żeby przeżyć mógł ktoś. Tak jest w świecie zwierząt. Natura wyznacza pewien naturalny cykl. Ludzie boją się zwierząt, a przecież to właśnie zwierzęta mają jasne reguły, nie ludzie. Więc kogo należy się bać?

Józef od zawsze bardziej rozumiał zwierzęta niż ludzi. Mieszkańcy wioski, natomiast, mówili, że Józef rozmawia ze zmarłymi, bo sam jest na wpół martwy. On sam przyjmował to z naturalnym spokojem, jak ktoś, kto przegrał zbyt wiele, żeby żyć. Jego duży stary dom stał na wzniesieniu, nazywanym, nieco na wyrost, wzgórzem. Otaczał go las, z którego czasem podobno dochodziły dziwne jęki. Nazywano go Lasem Potępionych. Miejscowi przezornie trzymali się od niego z daleka. Mówiono, że zarówno Las Potępionych jak i Wzgórze Umarłych, na którym mieszkał Józef, zostały potępione i przeklęte. Przez kogo i dlaczego? Prawdę znali tylko niektórzy, ale ci, co ją znają, zwykle siedzą cicho. Może dlatego, że kłamcy krzyczą najgłośniej.

Wilki były blisko. Wyczuwał je. Z pysków kapłała im krew, kiedy dotarli do wzgórza. Otaczał dom opiekuńczym kręgiem. Światło latarki sunęło po ich niewyraźnych w mroku sylwetkach, przeczesywało sierść. Po oczach rozpoznawał zamiary i ostrzeżenia. Krąg był domknięty, a to oznaczało bezpieczeństwo i spokój tej nocy. Mógł wrócić do domu, który pachniał drewnem świeżo wystruganej trumny. Na dzisiaj wszystko skończone. Mógł położyć się spać i tym razem zasnąć spokojnie. Wyłączył latarkę. Zgasił światło. Pozwolił ciemności wirować pod powiekami, pochłaniać go i usypiać napiętą czujność. Wilki tej nocy też były czujne. To wystarczyło. Na razie. Bo gdzieś w tle tego spokoju i nocnej ciszy czaił się strach. Był jak echo dawnych kroków. Czasami nie było wiadomo, czy to strach. Las Potępionych wciągał ludzi. Szczęście mieli ci, których wypłukał po jakimś czasie, bywało, że zmiętych i obłąkanych, ale żywych.

Józef codziennie ryzykował swoje pół-życie, wchodząc w mgłę.

– Dokąd ty w ogóle jedziesz?! – krzyczała wzburzona Matylda.

– Jeszcze nie wiem – odparła z pozornym spokojem jej siostra Julia. Z całych sił zaciskała dłoń na kierownicy.

– Wiesz, że nie ujdzie ci to na sucho? – drążyła Matylda.

– Bo co? Postraszysz mnie tatusiem?! Miałaś go dla siebie przez dziewiętnaście lat! Dla mnie był jedynie niedzielny ojcem. Wpadał tylko na chwilę, żeby przekupić mnie zabawką. Zaraz potem zwiijał się do ciebie i twojej matki. A teraz jeszcze to...

– Zwolnij! – Matylda patrzyła z przerażeniem, jak jej przyrodnia siostra z furią dociska pedał gazu. Minęły wioski, sunęły gładkim asfaltem po drodze prowadzącej przez pola. Jechały tak już od kilku godzin. Julia odebrała Matyldę z imprezy i pech chciał, że zobaczyła ją i Antka – razem.

Wsadziła ją do samochodu. Roztrzaskała jej telefon, wyrzucając go przez okno, i zamiast odwiedzić Matyldę do domu, jak przykazał jej ojciec, wiozła ją, skuloną w krótkiej cekinowej sukience, nie wiadomo dokąd.

– Jesteś stuknięta! – Matylda spojrzała zimno na Julię, tę wielce zdolną i doskonale się zapowiadającą prawniczkę, która siedziała dumnie i sztywno w tym swoim bezosobowym garniturze i patrzyła w skupieniu przed siebie. Przez lata niewiele o sobie wiedziały. Spotykały się jedynie na uroczystościach organizowanych przez ojca, głównie jego urodzinach. Robiły to wyłącznie dla niego. Miłość do ojca była jedynym łączącym je uczuciem, ale niewystarczającym, by mogły się polubić.

– Zwolnij! – powtórzyła Matylda, gdy w pełnym pędzie wjechały w mgłę. Po obu stronach szosy niewyraźnie majaczyły nieliczne domy, a zaraz za nimi zieleń drzew.

– Nie mogę!

– Co?

– Nie mogę zwolnić! – powtórzyła piskliwie Julia, której głosem zawładnęła panika.

W tym samym momencie rozległ się potężny huk. Samochód zniósł je na drugą stronę jezdni, a następnie stoczył się kamiennym zboczem w dół.

Gdyby pewnego dnia zginęły w wypadku żona i córka, Józef załamałby się. Tego był pewien. Pamiętał o tym codziennie od pięciu lat. Każdego dnia, patrząc po przebudzeniu na zdjęcie, uświadamiał sobie, że nie byłby w stanie bez nich żyć i nie byłby w stanie znieść ich

śmierci, ale wiedział też, że dopóki nie zobaczy ich ciał, nie uwierzy, że nie żyją. Pięć lat temu jechali tutaj razem. Do tego domu na wzgórzu, który jego żona znalazła w gazecie. Koniecznie chciała w nim zamieszkać, choć artykuł przestrzegał, że miejsce jest przeklęte. To ona prowadziła samochód. Nagle po prostu z impetem wjechała w drzewo. Kiedy się ocknęła, w samochodzie nie było nikogo poza nią. Przeszukała pół lasu, choć do wypadku doszło na samym jego skraju. Okoliczni mieszkańcy mówili, że las wciąga, że bezpowrotnie giną w nim ludzie. Wtedy jeszcze w to nie wierzył. Mieszkając w tym dużym starym domu na górze, każdego dnia wyczekiwał powrotu żony i córki. Był pewien, że w końcu wrócą. Co jakiś czas wybierał się też do lasu i szukał ich. Wracał po kilku godzinach, choć wydawało mu się, że minęła wieczność. Każdego dnia mierzył się ze śmiercią. Dotykał jej. Oddychał nią. Z przeklętego lasu wycinał drzewa, z których robił trumny i woził je do miasteczka. Często te trumny pozostawały puste, bo ci, którzy mieli w nich leżeć, ginęli w lesie. Józef jako jedyny wracał z lasu żywy. Czasem niosąc na rękach bezwładne ciało kogoś, kto się w nim zgubił i zmarł. Kiedy tu jechali, jego żona mówiła, że wrosną w to miejsce. W ten las wrosną jak drzewa, bo są ludźmi natury, a nie miejskiego zgiełku. Teraz czuł, że jest odwrotnie i że to las wrastał w niego. Z każdym dniem coraz bardziej zapuszczał korzenie w jego świadomości. Może dlatego od czasu wypadku nie było w nim już miejsca na pustkę.

Wyszedł przed dom. Natychmiast zapadł się w śnieg po kolana. Mimo że padało całą noc, na śniegu wciąż widniało wyraźne czerwone miejsce. Krew nie zakrzepła. Zdawało mu się, że jest wciąż płynna i żywa jak czas.

Korki. To przez nie Łukasz spóźnił się do

szpitala. Wyszedł z samochodu i zapadł się w śnieg, który osypał się z dachu. Zdenerwowany z mokrymi nogawkami, przekroczył próg, by za chwilę cofnąć się na zewnątrz. Co to jest? Spojrzał na zabrudzony czerwienią śnieg. Krew? Świeża czerwień była także na jego nogawce. Co u licha? Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Popędził do środka z jakimś lękiem, który tłukł mu się w piersi. W holu wpadł na pielęgniarkę.

– Doktorze! Dobrze, że doktor jeszcze jest. Nasz pacjent się wybudził. Nie musiał pytać, który. Wiedział.

Kiedy wszedł do sali, mężczyzna leżący na łóżku wpatrywał się w sufit. Nadal był pogrążony we śnie, choć przecież otworzył oczy. Ekscytacja pielęgniarki była przedwczesna. Jeszcze za wcześnie, by się cieszyć i za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić. Taki absurd. Potrzeba czasu, by cokolwiek powiedzieć o jego stanie. Potrzeba też czasu, by pacjent doszedł do siebie. A jednocześnie czas działa tutaj na jego niekorzyść. Czas jaki spędził w śpiączce. Trudno to wyjaśnić rodzinie, która czeka na informację o wybudzeniu. Na razie nie można nic powiedzieć. Coś drgnęło, ale to wciąż za mało. Dlatego na razie nic im nie powie. Wezwie rodzinę, gdy zyska pewność. Sam przecież też na to czekał. Może dlatego, że był jednym z nielicznych lekarzy, którzy wierzyli...

Wiara była siłą napędową jego życia. Zdaje się, że jedyną. To dla niej Józef walczył. Budził się. Pracował i wyruszał w niebezpieczny Las Potępionych. Miejsco, w której mieszkał, nazywano Pomarliskiem. Może dlatego, że niewielką wieś zamieszkiwali głównie starzy ludzie. A może ze względu na Józefa, który z żywych drzew robił martwe trumny. A może po prostu ze względu na bliskość Lasu Potępionych. Józef spakował trumny i ruszył do miasta. W takich momentach zapominał o tym, że jest martwy. Z przyzwyczajenia żył pozostałą mu połową

życia. Był znużony. Mijając senne miasteczko, przecierał oczy z niewyspania. Walczył z wszechobecną sennością. Gładki asfalt uciekał spod kół. Domy przytulone niemal do siebie, szarzały w spokojnym poranku. To miejsce pachniało zastością. Taki zapach roztacza zaduch lat. Tutaj dni wpadają jak w studnię, rozbijają się o siebie i tworzą kręgi. Tutaj pogrzeby odbywają się częściej niż chrzciny, dlatego Józef miał mnóstwo pracy. Zaparkował samochód przy jednym z domów. Dwóch mężczyzn pomogło mu wyjąć drewnianą trumnę i wnieść po schodach. Ułożyli ją na podwyższeniu. Józef zapytał, gdzie jest ciało. Kobiety poprowadziły go do pomieszczenia z wanną. Leżała w niej naga młoda kobieta. Pochylił się, żeby ją wyciągnąć. A wtedy ona otworzyła oczy. Kobieta wyszła z wanny, przeszła boso, zostawiając na płytkach mokre ślady, a następnie wspięła się na podwyższenie i weszła do trumny. Ułożyła się w niej, jakby układała się do snu, a następnie powiedziała:

– Już czas... Józefie, już czas.

– Co? Co ona powiedziała? – zapytał Józef oszołomiony.

– Kto? – zdziwiła się jedna z trzech kobiet stojących przy trumnie.

– Ona! – Józef wskazał kobietę w trumnie, ale zauważył nagle, że w trumnie leży mężczyzna, a młoda naga kobieta stoi za plecami zgromadzonych przy trumnie.

– Już czas... – powtórzyła, a następnie powoli plaskając mokrymi stopami, dotarła do drzwi. Otworzyła je i wyszła.

Józef pobiegł za nią. Wsiadł do samochodu i ruszył. Kobieta szła poboczem. Co jakiś czas oglądała się za siebie, sprawdzając, czy Józef ruszył jej śladem. Skręciła w polną drożkę, zasypaną ziemią i piaskiem. Józef zatrzymał samochód i szedł za nią. Mokre czarne włosy kobiety sięgały jej pasa. Widział, jak suną po nich krople wody, płyną przez dolną część pleców, poprzez pośladki i uda aż do kostek. Piękna młoda kobieta z Lasu Potępionych.

Czuł, że właśnie tam go prowadzi. Kiedy piaszczysta polna droga rozwijała się powoli w miękką dywan: mchu, liści i szyszek, Józef zyskał pewność.

Kobieta odwróciła się w jego stronę i szepnęła:

– Otwórz oczy. Józefie, spójrz na mnie. Nie zamykaj oczu...

Poczuł, że oślepia go jasne okrągłe światło. Ukłuło go wąskim strumieniem ciepło, jak gdyby strumień światła słonecznego, ale to nie to. To coś innego. Jakby światło płynące z jej spojrzenia, gdy w końcu przystanęła między drzewami. Po czym zniknęła, jakby się rozpuściła. Józef wszedł głębiej w las. W zarośla, które najwyraźniej wskazywała tamta kobieta. Gałęzie raniły mu ręce, gdy przedzierał się przez gęstwinę. Z daleka coś połyskiwało w słabym słońcu. Odbijało światło... Podchodząc bliżej zauważył, że to lusterko samochodowe. Wisi smętnie na gałęzi. Zapatrzył się na nie, zdumiony. Stał na świeżym, mokrym kopcu ziemi, gdy nagle poczuł, że stopy nie mają oparcia, podeszwy butów ślizgają się, a ziemia usuwa się spod nich w przepaść, którą zauważył dopiero teraz. Chwycił się gałęzi mocnego drzewa i schodził powoli w dół. Na dnie wbity pionowo w ziemię stał samochód. Taki sam, jakim przyjechał wtedy do miasteczka z żoną i córeczką, ale to przecież niemożliwe. To nie to miejsce, gdzie zdarzył się tamten wypadek. Poczuł, jak ze strachu miękną mu kolana. Bał się podejść bliżej. W jego klatce piersiowej strach trzepotał skrzydłami jak ptak. Czy we wnętrzu samochodu znajdzie ciało? Czy będą tam jego żona i córeczka? Zsunął się niżej. Ziemia w tym miejscu była miękka jak masło. Dlatego maska samochodu wbiła się w nią tak mocno. Zajrzał przez spękaną przednią szybę do wnętrza. Zauważył niewielką damską torebkę, czarną ze złotym paskiem, ale nikogo nie było w środku. Jego żona nosiła ogromne bezkształtne torebki jak worki, w których

mieściło się mnóstwo rzeczy. Przy dziecku musiała być praktyczna. Kobieta, która podróżowała tym samochodem, wracała chyba z jakiejś imprezy. Może z eleganckiego przyjęcia? Tylko jakim cudem dotarła aż do Pomarliska? Jakim sposobem znalazła się w Lesie Potępionych? – pomyślał, a następnie zaśmiał się sam ze swojej naiwności. No tak. Przecież Las Potępionych wzywa do siebie ludzi. Karmi się nimi. Więzi ich w sobie niczym w szklanej butelce, w której tracą oddech, a w kółko odtwarzany lęk sprawia, że giną także zmysły, woła walki i po prostu oni sami. Las Potępionych jest odbiciem najgłębszych lęków. Sprowadza tutaj ludzi zagubionych, takich, którzy nie radzą sobie ze swoimi mrocznymi zakamarkami. W tej walce zwyciężą tylko ci, którzy są naprawdę silni. Albo tacy - jak Józef - którzy nie mają już nic do stracenia. Co stało się z ciałem kobiety? Czy może ona jednak żyje? Jechała sama? Czy w samochodzie było dziecko? Nie widać fotelika. Żadnych zabawek, dziecięcych akcesoriów. Tylko mała czarna torebka. Kobieta z taką torebką nie mogła chyba wieść dziecka... Nie wiadomo, jak długo ten samochód tutaj stoi. Las Potępionych bardzo szybko przysysa rzeczy pozostawione przez swoje ofiary, porasta je mchem i gałęziami. Józef postanowił iść za głosem swojej intuicji. Wydostał się z głębi zapadliska. Wspiął się po stromym nasypie z ziemi, trzymając się gałęzi. Szedł wolno, namyślając się nad każdym krokiem. Poranny śnieg stopniał już pod wpływem słonecznych promieni. Gdzieś tam leżały jeszcze miękkie, puchate jak wata wyspy śnieżne. Patrzył na ziemię, przysypaną igliwiami i liśćmi. Czuł, że tam może czekać na niego jakaś wskazówka. Las szumiał niespokojnie. Drzewa nad nim kołysały się pod wpływem wiatru jak zapałki. Coś chrupnęło pod jego ciężkim butem. Pochylił się. Na ziemi leżał częściowo przysypany mchem złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie serca. Wokół

łańcuszka kilka czarnych, splątanych włosów. Kilka kropel krwi. Krew nie zakrzepła jeszcze, a więc kobieta z samochodu żyje. Chwycił łańcuszek i schował go do kieszeni spodni. To właśnie ten łańcuszek wskaże mu drogę. A krew na nim zaprowadzi go do właścicielki.

— I co my teraz zrobimy? Co my zrobimy?! — lamentowała Matylda.

— Zamknij się wreszcie! Bo cię zabiję! — Julia zamachnęła się na siostrę, ale w ostatniej chwili zatrzymała cios tuż przy jej policzku.

Podziałało. Matylda szła w milczeniu, co jakiś czas patrząc z przerażeniem na Julię. Julia wyszła z samochodu bez szwanku. Matylda trzymała dłoń na policzku, a przez palce przepływała wolną strużką jasna i ciepła krew.

— Musimy cię opatrzeć — powiedziała już spokojnie, spoglądając na Matyldę.

— Nie histeryzuj, bo mogło być gorzej. Musimy tylko znaleźć drogę do jakiejś cywilizacji. — Zgubiłam łańcuszek — Matylda chwyciła się za szyję.

— Jaki znowu łańcuszek? — zniecierpliwiła się jej starsza siostra.

— Z zawieszką w kształcie serca. Było w niej moje zdjęcie z tatą.

— No jasne. Zdjęcie z tatusiem — odparła Julia.

— Z moim facetem też zrobiłaś sobie zdjęcie, zanim pozwoleś, by włożył ci rękę w majtki?! — Dlaczego winisz za to tylko mnie?!

— Bo to były twoje majtki! — głos Julii się załamał.

— Ale jego dłonie... Daj spokój, Julia. Chwila słabości i tyle. Nie dramatyzuj.

— Nie ma dla ciebie żadnej świętości! Kradniesz ojców i narzeczonych...

— I kto tutaj histeryzuje — westchnęła teatralnie Matylda. — Ojca sobie nie wybrałam. To on wybrał mnie. A raczej moją matkę. Ja byłam skutkiem ubocznym tej decyzji.

— Wiedziałaś, że chcemy się z Antkiem pobrać.

— Kobieto! Ocknij się — odparła Matylda protekcjonalnie. — To facet cię zdradził, nie ja! Ja ci tylko oddałam przysługę, pokazując jaki jest naprawdę.

Julia spojrzała na siostrę z nienawiścią. Przyrodnia, ale jednak siostra. Może by się to wszystko jakoś poukładało, gdyby nie jej kolejna zdrada. Julia co prawda pojechała po Matyldę na prośbę ojca, ale miała też nadzieję na jakieś chociażby poprawne stosunki z młodszą siostrą. Kiedy zobaczyła dłoń swojego narzeczonego, błędnie po ciele Matyldy, wściekła się. Nie widzieli jej, więc jak gdyby nigdy nic cofnęła się do samochodu i zadzwoniła na komórkę Matyldy, jednocześnie obserwując ich z bezpiecznej odległości. Matylda odsunęła się od Antki i sięgnęła po telefon, który wibrował jej w torebce. Przewróciła oczami. Odebrała. Ale dopiero gdy pożegnała się z Antkiem, wsiadła do samochodu Julii. Zupełnie nieświadoma jej szalonego planu, by zawieźć ją jak najdalej i porzucić gdzieś na poboczu. Bez telefonu. A teraz obie znalazły się tu. W miejscu tak odległym od domu i tak bardzo odrealnionym, że zdawał się trwać poza granicami rzeczywistości.

Spojrzała na Matyldę, która kurczyła się z zimna w swoim krótkim futerku, z nogami w cienkich rajstopach. Nie był to strój na tułaczkę po nieznanym zimowym lesie. Śnieg stopniał co prawda, a słońce wędrowało ciepło między drzewami, lecz nadal czuło się chłód styczniowego dnia. Julia miała na sobie swój typowy strój służbowy. Jako prawniczka dostosowała się do męskiego towarzystwa. Nosiła męską marynarkę, białą koszulę zapiętą pod szyję i czarne luźne spodnie z wysokim stanem. Nosiła krótką blond fryzurę. I tylko czerwona szminka na ustach zaznaczała jej kobiecość. Lubiła męski styl, który stanowił kontrast dla jej delikatnej szczupłej twarzy i dużych niebieskich oczu. Uważała, że tylko w ten spo-

sób będzie szanowana w męskim środowisku. Zrosła się z tym przekonaniem tak bardzo, że poza pracą nosiła to samo. Nie sądziła, że jej ukochany upadnie tak nisko, by wpadać w sieć rozpieszczonej małolaty w mini.

— O czym myślisz? — zapytała Matylda zniechęca.

— O tym, że jesteś dziwką — odparła na to Julia i spojrzała na Matyldę ze wstrętem, jak na robak, którego należy zniszczyć.

— Dziwki też mają jakieś uczucia... Boli mnie policzek.

— Oczywiście! Księżniczka Matylda jak zwykle skupiona na sobie! Mnie też boli! I to nie tylko to, co zrobiłaś z moim facetem! Jestem poobijana i obolała.

— A co jeśli ja go kocham? — Matylda spojrzała wymownie na Julię.

— Ty? Kochasz tylko siebie, rozpieszczony bachorze! Mogłabym cię zabić! — Julia zacisnęła pięści.

— Nie zrobisz tego. Jesteś słaba. Ciebie nawet nie ma. Jesteś bezkształtna. Nic dziwnego, że facet nie chciał cię więcej w swoim łóżku. Ani dotykać ani przytulać, bo rozłazisz się jak budry. Nie masz charakteru.

— Ty suko! — Julia zamachnęła się, lecz Matylda tym razem przytrzymała jej dłoń. Spojrzała na nią kpiąco i powiedziała:

— Za cienka jesteś, wiesz? Dlatego ojciec woli mnie. Choćbyś stała na rżęsach, żaden facet nie wytrwa przy tobie długo. Zawsze prędzej czy później trafi do mnie. A ja się nim z rozkoszą zaopiekuję.

Matylda zaśmiała się złośliwie, jak wariatka. Julia spojrzała w jej oczy, w których było coś bardzo niepokojącego, iskrzyło się jak ogień. Coś dziwnego działo się w tym lesie - coś, co podsycalo w niej gniew i żal. Czuła w głowie zamęt. Przymknęła powieki, bo obezwładniło ją nagłe wyczerpanie. Czuła na policzku zimne krople. To deszcz opadał wolno, pojedynczymi kroplami na jej twarz. Otworzyła oczy. Wokół było ciemno. Leżała na ziemi. Szyszki wbijały

się jej w plecy. To chyba niemożliwe, żeby tu zasnęła? Chłód wbijał się w jej ciało jak szpilki. Przenikał przez materiał grubego płaszcza i marynarki.

— Matylda? — zapytała słabo. — Matylda, gdzie jesteś? Sięgnęła do kieszeni marynarki, ukrytej pod grubym czarnym płaszczem. Zawsze miała w niej dwa długopisy z latarką. Taki gadżet zakupiony w sklepie „Wszystko po pięć”, okazał się po raz kolejny bardzo przydatnym narzędziem. Uruchomiła latarkę prostym kliknięciem. Cienkie niebieskie światło rozcinało ciemność. Zakreśliła się wokół własnej osi.

— Matylda! — krzyknęła rozpaczliwie, lecz wokół pohukiwał jedynie las.

Nagle tuż nad swoją głową usłyszała skrzypnięcie. Coś było na drzewie. Coś się na nim huśtało. Poczuła ruch, jakby coś śmignęło jej koło ucha. Spojrzała w górę i krzyknęła głośno, rozpaczliwie jak ranione zwierzę. Nad jej głową na gałęzi wisało ciało. Przesunęła po nim latarkę i nie miała już wątpliwości, do kogo należą popychane przez wiatr nogi w cienkich rajstopach. To była Matylda. Sznur wokół jej szyi był mocno zaciśnięty. Czarne długie włosy zakrywały jej twarz do połowy. Szeroko otwarte oczy bez żadnego wyrazu, bez życia, utkwione w pustkę. Wiatr bujał jej ciałem w przód i w tył. Julia cofała się krok po kroku od tego miejsca aż wpadła na coś. Odwróciła się i zauważyła, że wpadła na smętnie wiszące ciało Matyldy.

Czuła, że za chwilę zwariuje. Ciało Matyldy wisało tuż przed nią, a jednocześnie miała je za swoimi plecami. Słyszała w głowie własny głos. Krzyczała do Matyldy: Mogłabym cię zabić! Obracała się wokół własnej osi. Z każdej strony kłuło ją puste spojrzenie szarych oczu. W głowie miała tylko jedną myśl. Uciec stąd. Uciec jak najdalej.

Ziemia pod jej stopami ugięła się jak z gumy. Biegła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Wszędzie słyszała to skrzypienie ciężkiej gałęzi. W głowie jej huczało. W dłoniach miała coś szorstkiego. Spojrzała na nie i zawyla jak wilk. Trzymała w dłoniach białe płótno na samym środku przesiąknięte krwią. Rzuciła je przed siebie, a ono z wiatrem przykleiło się jej do twarzy. Czuła na niej metaliczny zapach krwi i brudnej tkaniny. Zrzuciła je z twarzy i przetarła dłonią krew z czoła i policzków.

Zgrzana i zziębnięta w końcu uciekła z tego miejsca. Spojrzała przed siebie. W oddali zobaczyła stary drewniany dom. Albo szopę na narzędzia. W oknach paliło się światło. Postanowiła się tam schronić. Jeśli tylko właściciele jej na to pozwolą. Na miękkich nogach dobiegła do drzwi. Uderzyła w nie energicznie pięścią. Nikt nie otwierał. Uderzyła jeszcze raz i jeszcze. Załomotała mocniej. Czuła niepokój, jakby ktoś ją gonił, jakby przed kimś uciekała, choć sama nie wiedziała przed kim. Kto zrobił to jej siostrze? Czy ją też czeka ten sam los? I jakim cudem zasnęła tak mocno, że nie słyszała, co działo się z Matyldą? Była pewna, że minęła zaledwie chwila. Kiedy usłyszała za sobą kroki, nie odwracając się, wpadła do oświetlonego domu. A następnie oparła się o drzwi plecami. Nasłuchiwała. Kroki na zewnątrz ucichły. Ktoś chyba przystanął. Albo tylko jej się zdawało... Korytarz domu był pusty. Rozległy jak sala zamkowa. Z czerwonym dywanem pod stopami i mosiężnymi kinkietami na ścianach. Niepozorny drewniany domek skrywał wewnątrz jak w pałacu. Przeszła przez korytarz do oświetlonego salonu ze stołem pośrodku i kominkiem w rogu. Stół nakryty był białym obrusem. Wokół niego krzątała się mała dziewczynka w błękitnej sukience z niebieską wstążką na długich jasnych włosach. Śpiewała wesolutko i układała na stole talerze. Przy kominku na bujanym fotelu siedział starszy mężczyzna, paląc fajkę. Idylliczny obrazek jak z książki dla dzieci. A jednak Julia wciąż czuła niepokój. Spięta się jak kot gotowy do skoku.

Józef biegł przez las. Czuł, że jest blisko czegoś, że coś się odmieni. Przełamię monotonię jego życia. Mimo ciemnego, złowrogo lasu czuł w sobie moc, by uratować nie tylko tamtą kobietę z wypadku, ale i siebie. Swoją rodzinę. Gdy nagle potknął się o coś i upadł. To kamień. To tylko zwykły kamień ze śladami świeżej krwi... Podniósł się. Zerwał się wiatr i deszcz gęsto nawadniał ziemię. Ściana wody opadała pionowo na jego włosy i twarz. Przez tę wilgotną błonę dostrzegł niewielki drewniany dom. Właśnie wchodziła do niego jakaś kobieta. Krótka obcięta blondynka. Trzasnęły ciężkie drzwi. Józef przystanął wpatrzony w dom. Zastanawiał się, czy jest prawdziwy, czy stanowi tylko część jego wyobraźni. Nie miał odwagi podejść bliżej, kiedy usłyszał wycie wilka. Czyżby? Tak. To dobry znak. Wilki to dobre duchy. To dusze zmarłych zaklęte w ciało zwierzęcia. Zawsze stanowią gwarancję bezpieczeństwa. Wskazują drogę. Pomagają dotrzeć do celu. Często stały wokół jego domu na wzgórzu. A sama ich obecność była kojąca. Trzeba tam wejść.

Stał przed drewnianymi schodami. Wszedł po nich na górę. Unosił się z nich kurz. Zapach zbutwiałych desek. Dom był stary i zniszczony. W oknach zamiast zasłon, stare szmaty. Brakowało w nich szyb. Lodowaty wiatr przemykał po pokojach. Z sufitu wiszały gęste nici pajęczyny. W nosie czuł kurz. Kichnął. I w tym samym momencie usłyszał głos, dochodzący z dołu:

– Kto tu jest?

Zszedł po schodach i oniemiał, gdy zobaczył małą dziewczynkę w błękitnej sukience. Na jasnych włosach miała wielką kokardę.

– Córeczko! – krzyknął i podbiegł, by ją przytulić, ale uciekła. Biegł za nią długim wąskim korytarzem. Potknął się o próg i wpadł do dużego jasnego pomieszczenia. Była w nim dziewczynka bardzo podobna

do jego córeczki, ale to nie ona. Ubrana w błękitną sukienkę, układała talerze na stole, przy którym siedziała młoda, krótko ostrzyżona blondynka. Na twarzy miała ślady krwi.

Dziewczynka zaprosiła ją do stołu. Z białej wazy nalała zupę do jej talerza, lecz gdy Julia się pochyliła, zobaczyła w swoim talerzu wijące się, różowe ciała tłustych robaków. Julia siedziała jak skamieniała, gdy do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Może to ojciec dziwnej dziewczynki. Przyglądał się jej przez chwilę. Zobaczyła zawód w jego spojrzeniu. Następnie przeniósł spojrzenie na Julię. Mężczyzna był podobny do jej ojca. Biło z niego ciepło i spokój. Miał na sobie grubą, rozpiętą kurtkę, a pod nią flanelową koszulę. Kiedy zbliżył się do stołu, poczuła, że pachnie drewnem. Dziewczynka zaprosiła go do stołu. Tak jak przed chwilą Julię. Nalała mu tej samej szarej brei, w której wiły się robaki. Julia patrzyła, jak mężczyzna uśmiecha się do dziewczynki. Chwyta łyżkę i zanurza ją w zupie. A następnie zjada z apetytem. Zemdlilo ją na ten widok. Rozejrzała się po pokoju. Ze ścian odchodziła tapeta – biała w czerwone róże. Nie zauważyła tego wcześniej. Pod tapetą było coś czerwonego, lało się po ścianach jak krew. Do pokoju weszła jakaś kobieta o długich ciemnych włosach i szarych oczach. Ubrana w długą, czerwoną suknię wieczorową. Piękna i niezwykle podobna do Matyldy. Matylda nie żyje – przypomniała sobie nagle ze strachem. Nie były żyte, ale to może zadziałać na jej niekorzyść... Co jeśli ją znajdą i pomyślą, że to Julia ją zabiła? Wykrzykiwała, że ją zabije. Czy na pewno nikt tego nie słyszał? Las wydawał się dziki, nietknięty ludzką obecnością, ale skąd w takim razie wziął się ten dom? I ci, którzy powiesili Matyldę? Julia starała się zawsze wszystko racjonalizować. Szukała rozwiązań. Matylda była postrzelona i nieprzewidywalna. Ale wczorajszej nocy

coś się zmieniło. To Julia zareagowała impulsywnie. Porywając młodszą siostrę. To Julia prowadziła samochód i to ona chciała porzucić Matyldę. Wszystko było na opak jak w szalonym śnie. Czuła, że wbrew sobie musi dostosować się do reguł panujących w tym lesie. A dom jest jego częścią. Mężczyzna jedzący zupę spojrzał na nią poważnie. Zdawał się przemawiać do niej wzrokiem. To chyba właśnie jego spojrzenie mówiło, że to naczelną zasadą tego miejsca, w jakim oboje się znaleźli to – niczemu się nie dziwić. Dostosować się i przetrwać. Wzięła do ręki łyżkę i choć skręcała ją z obrzydzenia, zbliżyła ją do ust. Otworzyła je i przełknęła odrobinę obrzydliwej brei, starając się nie czuć smaku. Kobieta w wieczorowej sukni, łudząco podobna do Matyldy, usiadła przy stole obok faceta we flanelowej koszuli. Dziewczynka obok kobiety. Mężczyzna kończył jedzenie zupy. Kobieta i dziewczynka patrzyły na Julię szklanym wzrokiem. Nic nie mówiły, nie poruszały się. Tkwiły nieruchomo zapatrzane w nią. Mężczyzna siedzący przy kominku niewzruszenie palił fajkę, jakby nic go tutaj nie dotyczyło. Julia widziała tylko jego profil obrysowany cieniem. Ogień w kominku migotał spokojnie. Ze ścian zsuwały się i rolowały jasne tapety w różyczki. Coś czerwonego, przypominającego krew spływało ze ścian ciepłym strumieniem. Julia czuła się tak, jakby siedziała na tłuczonym szkłe. Bała się poruszyć. Bała się odezwać. Spojrzenie faceta we flanelowej koszuli mówiło wyraźnie, że powinna odgrywać swoją rolę. Dostosować się. Nie wychylać się poza przyjętą w tym momencie ciszę. Przetrwać.

Matylda czuła, że się dusi, że brakuje jej tchu, że za chwilę umrze. Tak po prostu. Tu i teraz. Choć nie bardzo wiedziała, gdzie jest to tu i teraz. I co się z nią dzieje. W jej świadomości błysnęła myśl: przetrwać, za

wszelką cenę przetrwać. W gardle miała coś miękkiego. Rozpierało się w niej jak piana. Gęsta maź zalegała w jej płucach. Kłufa jak szpilka. Może to resztki powietrza? Czy tak się umiera przez uduszenie? Tylko co lub kto ją dusi? Czuła, że obręcz zwalnia uścisk i że ona sama spada z wysokości. Otworzyła powieki. Leżała w lesie. Rozpaczliwie łąpała powietrze. Złapała się za szyję. Nic jej nie uciskało. Chyba wszystko było w porządku. Dostrzegła, że w lewej ręce trzyma kamień. Dłoń miała tak mocno zaciśniętą, że nie mogła jej rozprostować. W końcu udało jej się wypuścić go z dłoni. Uniosła się na łokciach. Rozejrzała się po lesie. Gdzie jest Julia? Pamiętała, że miały wypadek. Szukały drogi do cywilizacji. Chciały poszukać pomocy. Julia krzyczała, że ją zabije. Była wściekła. Czy to ona próbowała ją udusić? – Julia! – krzyknęła wściekle w szarą przestrzeń zapadającego zmierzchu, lecz Julia nie odpowiedziała.

Las szumiał jak wcześniej. Jakiś czarny ptak przeleciał tuż nad jej głową. Zrobiło się przeraźliwie zimno. Cud, że tutaj nie zamarzła. Rajstopy miała brudne i podarte. Zresztą i tak nie stanowiły żadnej ochrony przed chłodem. Była słaba, z trudem jeszcze łąpała oddech. Usiadła na kolanach i, próbując się podnieść, zaparła się ręką o ziemię, ale to nie była ziemia, lecz coś dziwnego, przerażającego w dotyku. Odskokczyła przerażona. Miała przed sobą kopiec złożony ze zbutwiałych liści. Wystawał spod niego fragment materiału. Pociągnęła za niego, ale był dziwnie ciężki. I wtedy zauważyła, że materiał to po prostu rękaw zakończony szczupłą, bladą dłonią ze złotym pierścieniem, i z całą pewnością był to pierścienek zaręczynowy jej siostry. Rzuciła się rozgarniać obrzydliwie miękki kopiec liści, z którego dobywał się okropny zapach. Wtedy zobaczyła ciało swojej siostry. Julia miała szeroko rozwarłe powieki. Matylda przyglądała się im z fascynacją. Jej włosy ubrudzone były krwią. Rana na głowie. Matylda spojrzała na swoją dłoń, na której zastygła krew. W tej dło-

ni dosłownie przed chwilą zaciskała kamień. Czy to możliwe, że to właśnie ten kamień wylądował na głowie jej martwej siostry? Czy ją zabiła? Może Julia ją dusiła, a Matylda próbowała się bronić...? Dlaczego nic z tego nie pamięta? Wpatrywała się w nieruchome ciało Julii. W jej twarz, na której zastygło zdumienie.

Nie mogła znieść otwartych szeroko oczu. Potrząsała ciałem siostry, jakby to mogło przywrócić jej życie. Pomyślała, że samej siebie nie zna. Jeśli to ona zabiła Julię... Spojrzała na miejsce, gdzie zostawiła kamień, lecz już go tam nie było. Dziwne. Z trudem podniosła się z kolan. Wciąż była słaba, jakby odurzona. Otrzeptała się z grudek ziemi i resztek leśnej ściółki, która porosła jej sukienkę, w czasie, którego Matylda nie była świadoma. Bez Julii czuła się tak bardzo bezradna. Nie lubiła jej. Działała jej na nerwy pedantyczność i doskonały chłód siostry, ale nagle okazało się, że bez niej nie potrafi sobie poradzić w tym obcym miejscu. Nie wiedziała, w którą stronę się ruszyć i jak wydostać z tego przekłętogo lasu! Odniosła wrażenie, że jest obserwowana, że z każdej strony czyha na nią zło. Ledwie o tym pomyślała, tuż nad jej głową pojawiły się nietoperze, których zawsze bardzo się bała. Choć w tym momencie nie była pewna, czy bardziej boi się nietoperzy, czy tego, co stało się z jej siostrą. Usłyszała jęk. Niewyraźny głos zawodzący i wzywający pomocy. Głos był kobiecy, podobny brzmieniem do głosu Julii. Ale ona była martwa, więc co to?

– Kto tu jest?! – krzyknęła niepewnie. Ton głosu dodawał jej odwagi. Zawodzenie nasiliło się i zwielokrotniło. Chór głosów odpowiedział jej niewyraźnym piskiem. Usłyszała też trzaśnięcie drzwi, których przecież nigdzie tutaj nie było. Szła wolno przed siebie, oddalając się od ciała i próbując uciec od zawodzących głosów.

– Zabiłaś ją – szepnął ktoś przy jej uchu.

Obejrzała się za siebie gwałtownie, próbując dostrzec cokolwiek w ciemności. Nie było nikogo, kto mógłby wypowiedzieć te słowa. Jedynie nietoperze, których bliska obecność przyprowadziła ją o dreszcze.

Doskwierało jej zimno i głód. Próbowała przyspieszyć kroku. Potknęła się jednak i upadła. Poczuła wokół siebie ruch i nagłą falę przyjemnego ciepła. Mimo że z ciemnego nieba padał drobny śnieg, który topniał na jej długich czarnych włosach i twarzy. Ktoś był obok. Podniosła się niepewnie, a kolejna fala lęku sprawiła, że niemal wrosła w ziemię. Stała przed drewnianym domem, który otaczały wilki. Te wilki otaczały także ją.

Czuła się jak w bańce mydlanej i obawiała się, że jakkolwiek ruch może tę bańkę przerwać. A to wywoływało lęk. W pokoju było ciepło, kominek roztaczał je wokół. Zrobiło jej się nawet błogo, gdy zmarzniete dłonie zaczęły odzyskiwać krążenie. Przymknęła oczy.

– Nie wolno ci zasypiać – powiedział mężczyzna siedzący naprzeciwko. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w jednym pomieszczeniu. I to go zdradziło. Ton głosu i wyraz twarzy powiedziały Julii, że mężczyzna pochodzi z zewnątrz. Z jakiegoś powodu zna to miejsce, ale nie jest częścią lasu i tego dziwnego domu. A to dawało jakąś nadzieję na powrót do normalnego świata. Normalnego życia. Tylko... czy powrót do normalnego życia bez Matyldy jest możliwy? Ojciec się załamał. A ona? Julia? Jakoś nie umiała sobie tego wszystkiego wyobrazić. Jej młodsza siostra nie żyje. Gówniara znowu znalazła się w centrum uwagi. Julia była zła na samą siebie, ale łatwiej było zrzucić tę złość na siostrę. Cały czas obwiniała też Matyldę o brak ojca w jej życiu. O to, że jedynie bywał częścią jej dzieciństwa, lecz nie stanowił w nim stałego i trwałego elementu. Czuła się przez niego porzucona na rzecz nowej rodziny, a przede wszystkim nowej córki.

Tylko jak długo można pielęgnować w sobie dawne żale? I rzucać winę na przyrodną siostrę? Ojciec nie mieszkał z nią i jej matką, ale przecież przyjeżdżał. Starał się zapewne zachować jakąś równowagę. Pozostaje jeszcze zdrada Matyldy, która wczorajszy wieczór spędziła z jej narzeczonym, ale to było tak bardzo odległe, jakby działo się w innym życiu.

– Musisz mi pomóc się stąd wydostać – szepnęła Julia do mężczyzny, który w tym samym momencie wstał z fotela i podszedł do niej.

– Tata? – zdziwiła się widząc jego twarz, lecz on ją zignorował.

Podszedł do dziewczynki. Pogłaskał ją po głowie. Nagle poczuła się mocno związana z dziewczynką. Wtedy Julia zrozumiała, że dziecko jest nią samą. Czy to możliwe, że dziewczynka jest nią? Mężczyzna był jakiś mroczny. Głaskał dziewczynkę po włosach, ale w oczach miał zło. Narastała w nim wściekłość. Sięgnął po nóż, leżący na stole, i jednym szybkim ruchem ostrza podciął gardło dziewczynce. Zabił ją. Tak po prostu. Krew na ścianach wydobywała się spod zrolowanej tapety i zalewała pokój kaskadą gęstej czerwieni. Chlupotała pod stopami przerażonej Julii. To nie dzieje się naprawdę! To przecież niemożliwe – powtarzała sobie w myślach, gdy kobieta w czerwonej wieczorowej sukni weszła na stół i zawisła nagle z sufitu. Julia widziała pętlę na jej szyi. Wstała. Weszła na stół i przecięła pętlę. A wtedy kobieta spadła, lecz okazało się, że jest już martwa.

– Zabiłaś swoją siostrę, Julio – przemówił do niej mroczny mężczyzna, do złudzenia podobny do jej ojca - lecz przecież to nie mógł być on! Kobieta nie mogła być Matyldą. Dziewczynka nie mogła być Julią z przeszłości. To wszystko absurd.

Nagle usłyszała trzaśnięcie drzwi. Do pokoju ktoś wszedł, ale z jakiegoś powodu nie mogła dostrzec kto. Postać zbliżyła się do niej. I... Była to Matylda! Julia po raz pierwszy w życiu rzuciła się na szyję młodszej siostrze.

– Ty żyjesz – powiedziała Matylda ze zdziwieniem i ulgą w głosie, zupełnie do niej niepodobną.

– Ty też! – odpowiedziała jej Julia.

I wtedy mroczny mężczyzna zbliżył się do nich z nożem w dłoni.

– Obie już nie żyjecie. Nie ma was. Nie należycie do tego świata. Jesteście martwe. Wbił nóż w klatkę piersiową Matyldy, następnie wyrwał ostrze i zanurzył je w ciele Julii.

Józef niczego nie zrobił, by uratować obie kobiety. Po prostu stał i patrzył. Cekał. Nagle zrozumiał, że tylko tak może im pomóc. I że tutaj jego rola się kończy. Wyszedł przed dom. Na śniegu były plamy krwi. Wilki otaczały dom zamkniętym kręgiem. To wilki przywołały tutaj Matyldę. Z całą pewnością. I choć na pewno bała się ich, weszła do tego domu. Józef spojrzał za siebie. Drewniany dom płonął. A on stał po kostki w śniegu i wciąż czekał, aż wreszcie ujrzy swoją żonę i dziecko. Ktoś powiedział:

– Już czas. Józefie, obudź się dla nas. Już czas.

Spojrzał przed siebie. Las Potępionych tonął w gęstej mgle. Wszedł w nią. Przez mgłę przeciskał się jasny promień światła. Raził oczy. Mrużył je więc. Przemykał. Aż w końcu zniknął po drugiej stronie. A Las Potępionych trwał w swoim odwiecznym szumie.

Łukasz był zmęczony. To była ciężka operacja, ale już po wszystkim. Udało się. Julia niedługo się wybudzi. Jej siostra Matylda mimo że się obudziła, wciąż jest nieco nieprzytomna. Opowiada coś o lesie. I o śmierci Julii. To pewnie efekt narkozy. Minie jakiś czas, nim dojdzie do siebie. Ojciec siedział przy niej przez całą noc. Łukasz przeszedł przez całą długość korytarza i zajrzał do sali, w której od dwóch lat leżał Józef pogrążony w śpiączce. Dziś rano się z niej wybudził. Od razu zapytał o żonę i córkę. Obie wezwane siedziały teraz przy jego łóżku. Józef najwyraźniej trwał w przekonaniu, że jego żona i córka jechały z nim samochodem. Powtarzał, że musi je odnaleźć. On też wspominał coś o lesie i wilkach. Może śnił o własnym domku letniskowym. Jego żona mówiła, że kupili go kilka lat temu. To do niego Józef jechał w tamtej feralnej nocy, gdy jego samochód wpadł w poślizg i wbił się w drzewo. Cud, że wyszedł z tego cało. Spędził dwa lata w śpiączce, ale Łukasz zawsze wierzył, że uda mu się z niej wydostać. Łukasz wierzył w swoich pacjentów. Nawet tych na wpółmartwych. Jego babcia wierzyła, że istnieje stan pomiędzy życiem a śmiercią, taki stan zawieszenia. Świat, do którego trafiają też ludzie w śpiączce. Nazywała ten świat Pomarliskiem... Może dlatego postanowił zostać lekarzem? I pomagać tym uwięzionym w Pomarlisku wracać do żywych?

Długim szpitalnym korytarzem przebiegła mała dziewczynka w błękitnej sukience. Odwróciła się za siebie i uśmiechnęła do Łukasza, po czym zniknęła. Młody lekarz pomyślał, że koniecznie musi się przespać, bo przecież małe dziewczynki nie znikają tak po prostu. Wszystko można racjonalnie wytłumaczyć, prawda?



Płonąca żyrafa

Iwona Ochodek- Szpak

*

Akryl o średnicy 20 cm malowała wiosną. Za oknem kamienicy przy Bednarskiej przekwitały magnolie. Fuksję, turkus, kobalt, fiolet nanosiła na płótno opuszkami palców. Nuciała przy tym melodię, która mogła być fragmentem z Niemena. Twarz dziewczyny to pierwszy obraz malowany po śmierci Maćka. Zamiast pastylek długie godziny twarzą w twarz ze sztalugą.

Mieszkanie przy Bednarskiej mieściło się na pierwszym piętrze, należało do Kociewskich, warszawskich architektów, właścicieli jamnika i kotki. Malwa otrzymała je w spadku.

Kociewscy zmarli dzień po dniu. W środę Aniela, w czwartek Zygmunt. Sąsiadki mówiły wtedy, że ludzie, którzy naprawdę się kochają, umierają po sobie.

*

W pokoju rozgaszczwał się wieczór. Atramentową poświatą okrywał ramiona malarki, portret dziewczyny w wianuszkach z kwiatów i z łzą na policzku. Przypominała boginkę morską Amfitrytę, córkę Okeanosa i Tetydy, przedstawianą z muszelką w kształcie rogu. Malwa zbierała muszelki, nazywała je maleńkimi wachlarzami wszechświata. Pejzaż dzieciństwa, plaża w Chałupach, pocztówka zapisana na zielono, zapach pianki do opalania, ręcznik z delfinem. Sensualna retrospekcja koita w chwilach jak te.

*

Maćka poznała na spływie kajakowym w Czorsztynie. Nie wymawiał er, nosił za długi sweter. Zakochała się od razu. Z nim kupowała modrą kapustę, zmieniała

wycieraczki, dziergała aniołki. Zabawa w dom trwała dziesięć lat. Proza poetycka z pamięcią o datach urodzin i kupnie karmy dla psa.

Dramaty przydarzają się innym - myślała, patrząc na śpiącego Maćka. Jeszcze pożyjemy! Tyle miejsc do odwiedzenia, tyle filmów do obejrzenia - szeptała.

Łączyła ich miłość do zapachu drukarskiej farby, dlatego Zoli, Hrabala, Flauberta nie odłożyli na później.

*

Wierzyła w motalizmanów. Przyszywała do plecaka frędzelki i ruszała w Tatry, by zmyć z siebie miejski kurz. Zerwać kalendarze dni koślawych, pijanych, nie takich, o jakich piszą w poradnikach. Wiedziała, że szczęścia można się nauczyć jak wzoru na pole trójkąta.

Od śmierci Maćka minęło pół roku. Sześć miesięcy patrzenia za siebie. Pakowania pudeł z płytami, koszulami, które w nucie podstawy wciąż miały tytoń. Lekcji kaligrafii z wzoru na pole trójkąta.

*

Lubiła pistacjowe lody, wykonywane rzemieślniczym sposobem, barwione bazylią.

W Szczecinie, gdzie przed wojną stał pomnik Amfitryty, sprzedawano takie lody. Przy stolikach

z białego ratanu siadywali przechodnie, patrzyli w stronę życia. Kobieta z parasolką, mężczyzna w kraciastej marynarce, dziewczynka z futerałem na skrzypce. Scenografia miasta, pejzaż z żyrafą, szuflady okien i drzwi.

Bruk zdeptany milionem stóp. Kalosze lub japonki, nie ma to znaczenia, niosą biografię, plątają wątki. Epicko, że hej!

Ślady na piasku i kręgi na wodzie jak u Staffa.

*

Komunizm płonął ostatkiem czerwoności, gdy decydowała o wyborze zawodu. Papier toaletowy stawał się bielszy, litery zaczęto zapisywać atramentem granatowym jak mundury policjantów.

Naród, w którym świętość z łajdactwem mieszała się jak w blenderze, wybierał wolność. Zakładał białe skarpetki do czarnych mokasynów, handlował z cinkciarzem, przytulał panienkę marynarza, stawiał pomniki. Posąg Amfitryty zaprojektował Kociewski. Kiedy umierał, nad Warszawą szalała burza.

*

Akryl o średnicy 20 cm sprzedała jesienią. Za oknem kamienicy przy Bednarskiej przekwitały astry. Powiesiłam go w miejscu, gdzie wcześniej wisiło zdjęcie Maćka.

*

Maga była siostrą Malwy, aktorką, która dzisiaj obchodzi urodziny. Wypija butelkę wina, patrząc w oczy żyrafie. Zapala papierosa. Stróżki dymu unoszą się nad głową. Znaczą ornamenty w kąciu ust. W białej sukience stoi przed lustrem. Pantofle z pruneli trzyma w dłoni. Uczy się roli.

Nie jestem Emmą. Chciałam nią być. Mój różany bukiet zamienił się w popielate motyle.

Wieczorem zagra w monodramie. Przed wejściem do teatru upuści torebkę. Nie zauważy, że lusterko poturla się do kałuży.

*

Na ścianie w garderobie są ślady papilarne z fluidu i maski. Różowe jest miasto w Indiach, w którym małpy zjadają turystom kanapki. Białe jak synogarlica z gałązką. Niebieskie jak ikonka elektronicznej poczty. Papierowe, plastikowe, z gipsu. Maga powtarza monolog. *Gryzę wargi i katharsis. Ja manekin. Wierzę!* Przechyla głowę w kierunku żyrafy. Na drugim planie też płaci się klakierom.

*

W miejscu, gdzie wcześniej wisiał akryl o średnicy 20 cm, wieszam reprodukcję *Płonącej żyrafy*, zabraną z mieszkania Kociewskich przy Bednarskiej w Warszawie.

M.



Urodzony w getcie Część IV

Maciej Ossian Kozakiewicz

rozdział VII

Coraz cieplejsze dni pojawiały się w życiu Kubusia, a on wypełniał je zabawą z kolegami na podwórku albo towarzyszył babci na zakupach. Wędrował z pustą siatką w stronę Placu Wolnica, gdzie stały stragany, także te z warzywami, na których można było kupić: ziemniaki, marchewkę, pomidory, ogórki i wiele innych. No i najważniejsze. Znowu będzie mógł popatrzeć z mostu na Wisłę. Wędrówka na nogach miała wiele zalet. W każdej chwili mogli się zatrzymać i podziwiać płynące statki i barki.

- Dokąd one wszystkie płyną? - zaciekał się chłopiec.

- Statki płyną pewnie do przystani na bulwarze, a potem do Tyńca – babcia wskazała ręką

w stronę Wawelu - albo w drugą stronę, z towarami do innych miast – dodała, wskazując przeciwny kierunek.

- Daleko są te inne miasta?

- Daleko Kubusiu, nawet nad morzem.

Chodźmy już, bo muszę zdążyć z obiadem, zanim twoja mama wróci z pracy.

Na Placu Wolnica stały w kilku rzędach stragany z warzywami, serem, pieczywem i słodyczami, a przekupki wychwalały głośno swój towar. W innym rzędzie stali górale z baraniami skórą, góralskimi kierpcami, bundzem i oscypkami.

Babcia robiła zakupy i z pełnymi siatkami pomaszzerowali z powrotem. Po drodze znowu była Wisła i mały przystanek na moście.

- Odpocznijmy chwilę, ciężkie te siatki – sapnęła kobiecina.

Kubuś chłonał widoki. Odprowadzał wzrokiem barkę, aż zniknęła za przesłami

następnego mostu, a z przeciwnej strony właśnie nadpływała kolejna, zostawiając za sobą ślad w postaci dwóch rozchodzących się fal.

Za mostem skręcili w lewo, na ulicę Przy Moście i weszli w labirynt uliczek prowadzących na skróty na Rynek Podgórski, a potem dalej - na Rękawkę.

Kuba zastanawiał się, dlaczego Szymon się nie pojawia. A może pierścien nie działa w drugą stronę i przez własną głupotę odciął sobie drogę do niego? Ile to już dni minęło od ich ostatniego spotkania? Trzy, o ile dobrze policzył. A może przyszli do niego hitlerowcy na kolejną rewizję i znaleźli pierścienek? Przemknęła mu też przez głowę myśl, że Szymek wykorzystuje pierścien po swojemu i pojawia się tam, gdzie on chce. Możliwości było kilka.

Weszli z babcią na podwórko.

- Dzisiaj zrobię łazanki z kapustą, idź się trochę pobawić w piasku.

Babcia zniknęła w domku, a Kuba usiadł pod marszałek i smętnie popatrzył na kamienicę. Nie wierzył, że Szymon mógłby chcieć go oszukać, coś się musiało stać, a on nie mógł tego sprawdzić. Oczami wyobraźni widział, jak na podwórko wjeżdżają czarne ciężarówki i hitlerowcy wypędzają wszystkich z mieszkań. Każą im wejść na pakę, a potem odjeżdżają z nimi w stronę Płaszowa.

Jak ci się nudzi, to chodź do domu, pomożesz mi przy robieniu ciasta! - usłyszał głos babci. Powoli powłókł się do mieszkania i zamyślony usiadł na taborecie przy stole w kuchni. Patrzył, jak z białego kopczyka mąki i żółtka, złocistego niczym zachodzące słońce, powstaje pulchne, kremowe ciasto, które ląduje na boku stolnicy, a kawałek dostaje się pod drewniany wałek.

- I po co ich tam wywożać?
 Babcia przerwała wałkowanie ciasta i popatrzyła na wnuka.
 - Kto kogo wywozi, Kubusiu?
 - No... hitlerowcy Żydów.
 Drewniany wałek wrócił z powrotem do pracy, a Kubie wydawało się, że z większą energią. W milczeniu ciasto przybierało kształt dużej wyspy, która pod wpływem kilku zręcznych cięć nożem zamieniała się na kilkucentymetrowej szerokości paski, a potem przyszła kolej na niewielkie kwadraciki.
 Kuba czekał cierpliwie, czuł, że babcia zaraz zacznie mówić, i nie pomylił się.
 Od kilku dni ciągle pytasz o starsze rzeczy. Sama przeżyłam koszmar wojny i nikomu tego nie życzę. Kto ci mówił o tym wszystkim? Nie lepiej zając się zabawą na podwórku albo rysowaniem?
 Kuba nic nie odpowiedział. Wyszedł przed domek i zobaczył siedzącego na piasku Szymona, który rozglądał się po podwórku z przerażeniem pomieszanym ze zdziwieniem.
 - Jesteś wreszcie - ucieszył się. - Długo cię nie było.
 - Tu mieszkasz? – Szymon wskazał głową na domek Kubę.
 - Tak, to moje mieszkanie.
 - Ale przecież tu były stajnie.
 - A teraz jest mój dom.
 - A co z hitlerowcami? Często tu przychodzą?
 - Oj Szymek, już nie ma wojny, możesz być spokojny, chodźmy na ulicę, to sam zobaczysz.
 - Masz coś do jedzenia?
 - Poczekaj tu chwilę, zaraz ci przyniosę. Kuba pobiegł do domu.
 Wpadł do kuchni, w której babcia nadal przygotowywała łazanki. Całe mieszkanie pachniało gotowaną kiszoną kapustą.
 - Babciu, możesz mi ukroić dwie kromki chleba?
 - Zgłodniałeś? A może poczekasz na obiad?
 - Teraz bym coś zjadł.
 - Ale masz apetyt. No dobrze, zaraz ci ukroję. Z czym chcesz?

Kuba podrapał się po głowie.
 - Może z... - rozejrzał się po kuchni, szukając pomocy na półkach - z białym serem?
 Cierpliwie poczekał na kanapki.
 Na podwórku patrzył cierpliwie, jak Szymek pochłania je w błyskawicznym tempie.
 - O matko, ale dobre. Nie pamiętam, kiedy jadłem ser - uśmiechnął się.
 - Masz pierścień? To daj mi go, teraz będzie moja kolej.
 Szymon pogrzebał w kieszeni.
 - Masz. Jak to się dzieje, że nas przenosi?
 - Nie mam pojęcia - Kuba wzruszył ramionami. – A co z mamą, zdrowieje?
 - Lekarstwa pomogły - uśmiechnął się. - Pobawimy się?
 - Może pójdziemy na Krzemionki i puścimy latawca?
 - A możemy tam iść?
 - Oj! Szymek, teraz już nikt nie może nam niczego zabronić. Musisz jednak pamiętać, że oprócz mnie nikt cię nie widzi, tak samo jak u ciebie, tylko ty mnie widzisz i nikt inny.
 - No racja, nie mogę się do tego przyzwyczaić.
 Zrobiony przez Kubę latawiec składał się z dwóch złożonych na krzyż deseczek i kolorowej bibułki. Był prosty, ale najważniejsze, że latał.
 Starsi koledzy z kamienicy robili duże latawce skrzynkowe, ale to przekraczało możliwości Kubusia. Swoją też skonstruował z pomocą babci.
 Teraz przyszła kolej na przetestowanie go w powietrzu.
 - Babciu, idę na Krzemionki – zawołał przed wejściem do domku.
 Wziął z werandy wiszący na gwoździu latawiec i poszedł ścieżką za garażami. Krzemionki to była wolność. Tam chłopcy z pobliskich kamienic spotykali się i organizowali sobie czas po swojemu.

Wystarczył kawałek zielonej trawy i niewielkie wystające z ziemi białe skałki, żeby ruszyła fantazja. Skały zamieniały się w kryjówki, a trawiasty kawałek łąki w boisko piłkarskie. Czasami wystające skały były celem podczas strzelania z procy albo z łuku. No i rzecz niebagatelna: z tej wysokości rozciągała się panorama całego miasta, a w czerwcu zbierały się tu dzieci z okolicznych podwórek, żeby podziwiać wianki i pokazy sztucznych ogni, który odbywał się pod Wawelem, a z Krzemionek widać go było najpiękniej.
 Od tej chwili zaczynało się lato, dla chłopców chodzących do szkoły, pierwsza oznaka nadchodzących wakacji i jeszcze większej wolności.
 Tam też były warunki do puszczenia latawców. Nie raz Kuba zazdrościł kolegom ich dopracowanych do ostatniego szczegółu modeli. Najbardziej podobały mu się latawce skrzynkowe. Gdy się wzniosły do góry, na tle niebieskiego nieba wyglądały jak kolorowe kostki do gry.
 Kuba z Szymkiem poszli na łąkę aż pod kościół św. Benedykta. Tam były najlepsze warunki do przetestowania ich modelu latawca.
 Już przy trzeciej próbie czerwono-żółta powietrzna zabawka wzbiła się w lazurowe niebo i zaczął wznosić coraz wyżej i wyżej, aż stała się małym, kolorowym klejnocikiem wśród białych chmur.
 Obaj chłopcy zadarli głowy i obserwowali lot. Latawiec był tak wysoko, że trzymający go na uwięzi sznurek był niewidoczny i wydawało się, że latawiec żyje własnym życiem.
 Kuba przywiązał sznurek do pnia niewielkiej brzozy, położył się na wznak i patrzył w niebo.
 - Czy tu można żyć bezpiecznie? – usłyszał głos Szymka.
 - Nic ci nie grozi – uspokajał go Kuba.
 - To dlaczego ja muszę żyć tam?
 To pytanie było zbyt trudne dla Kubę.

Pomyślał, że każdy gdzieś żyje, ale nie wiedział, dlaczego jedni mieszkają tu, a inni gdzie indziej.
 On sam też urodził się w małym, przylepionym do muru domku, który kiedyś był stajnią, a nie w kilkupokojowym mieszkaniu, w którym każdy miał swój azyl do życia.
 Czy zazdrościł tego kolegom? Raczej nie. Jego dom był jak wyspa, na której mieszkali wszyscy, których darzył największym uczuciem. Pomimo przeciekającej werandy i corocznych pozimowych zacieków na suficie w pokoju, tu był jego azyl. Nie potrafił wyobrazić sobie życia w innym mieszkaniu, choć przecież odwiedzał dziadka Włodka w kamienicy przy Traugutta czy ciocię Zosię, która mieszkała w domu z ogrodem - bardzo lubił tam przebywać, wśród kotów i oswojonego gawrona. Zawsze jednak wracał do swojej maleńkiej chatki na podwórku.
 - Nie wiem Szymku, widocznie tak już musi być.
 Szymon usiadł na trawie i bezmyślnie rzucał małymi kamykami w pobliski pień drzewa.
 - Zazdroszczę ci, wiesz? Nie pamiętam, kiedy siedziałem tak bez troski i nie myślałem o niczym.
 Kuba nic nie odpowiedział. Zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił zapraszając go. Chciał jak najlepiej, ale czy zawsze, gdy chcemy dobrze, tak wychodzi?
 Wszystko zależy, jak na to popatrzymy. Każdy z nas rodzi się egoistą i zawsze najpierw myśli o sobie.
 Popatrzył na mikroskopijny latawiec, który wyglądał teraz, jak wysoko szybujący ptak. Ach, gdyby tak móc na jakiś czas zmienić się w orła - westchnął w myślach. Ptaków nie obchodzą granice, narodowości, nie interesuje ich, czy jest wojna czy pokój. Dalej szybują po niebie i z wysokości patrzą na cały świat. Pewnie dziwią się

istotom, które chodzą na dwóch nogach - zastanawiają się, jak żyją i co robią. Przeniósł wzrok na zamyślonego Szymona. Zaczynał rozumieć jego problemy i zmartwienia. Kraków, w którym żył jego kolega, był szary, smutny i niebezpieczny. Chciał coś zrobić, żeby wyrwać go z czarnych myśli. Żałował, że Szymon nie urodził się tu, w świecie bez wojny. Wstał z trawy i zaczął powoli związać linkę. Latawiec posłusznie zbliżał się do chłopców.

- Chodźmy na rynek, pokarmić gołębie – zaproponował Kuba, który starał się, jak mógł, żeby Szymon choć na chwilę zapomniał o swoim trudnym życiu tam. Wydawało mu się, że czasami osiągał cel, ale i tak widział w oczach przyjaciela lęk i obawę. Mimo że w tym świecie był niewidoczny, bał się.

Na rynku, jak zwykle, było trochę ludzi. Siedzieli na ławkach, czytali gazety, rozmawiali. Jakąś kobieta z dziewczynką w ich wieku karmiła gołębie, ktoś inny uczył swojego synka jeździć na rowerze. Tu życie toczyło się normalnym rytmem. Szymon z zaciekawieniem patrzył w kierunku bramy, która w jego świecie oddzielała getto od reszty miasta.

- Chodźmy na Józefa - powiedział nagle Szymon. - Chcę zobaczyć mój dom.

- Byłem tam niedawno z dziadkiem, nic ciekawego.

- Jak to nic ciekawego? To mój dom, tam się urodziłem. To chyba wystarczający powód. Kuba tylko westchnął.

- Dlaczego was stamtąd wyrzucili? – spytał, gdy przechodzili przez most na Wiśle.

- Wszystkich wyrzucili z Kazimierza i kazali mieszkać za Wisłą. Na naszym miejscu mieszkają Niemcy. Tate mówił, że nasze mieszkanie było atrakcyjne.

- Jakże?

- No, lepsze od innych. W zamian dali nam to na strychu – westchnął. - Tam miałem swój pokój, a Tate chodził codziennie do synagogi.

Żyliśmy zwyczajnie, nikomu nie wadząc. Mówiąc to, Szymon z zainteresowaniem obserwował wystawy sklepowe. Doszli do Placu Wolnica, na którym powitały ich wszechobecne gołębie i wysoka wieża kościoła Bożego Ciała. Poszli wzdłuż murów kościelnych i skręcili w ulicę Józefa.

- To moja ulica - na twarzy Szymona pojawił się uśmiech.

Stanęli przed jedną z kamienic. Była szara i zniszczona. Okna i drzwi miała zabite deskami, a farba z niegdyś zielonych drzwi odchodziła płatami.

Szymon zadarł głowę i popatrzył na dziury po oknach.

- Tam mieszkaliśmy – powiedział, wskazując ręką na pierwsze piętro. - Co oni zrobili z moim domem?

Ostatnie słowa wypowiedział szeptem. Kuba milczał. Stał na ulicy z zadartą głową.

- A ty, czego tu szukasz, smarkaczu? - usłyszał nagle za sobą. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył tylko guziki starej, znoszonej marynarki. Jej właściciel był starszym, siwym mężczyzną z siwą brodą i patrzył na niego z góry groźnym wzrokiem.

- Gdzie twój koledzy? - kontynuował mężczyzna. - Znowu coś kombinujecie? Wynocha mi stąd! Ta rudera to nie plac zabaw! Znowu coś się stanie i będzie nieszczęście jak kilka dni temu!

- Ale ja tylko patrzę - bąknął Kuba.

- Każdy niby tylko patrzy, uciekaj stąd smarkaczu, niczego tu nie znajdziesz! Szymon mógł być tylko biernym obserwatorem tego zdarzenia, ale jego zdziwiona mina dużo mówiła.

Kuba powoli zaczął się wycofywać, a mężczyzna odprowadzał go wzrokiem, aż zniknął za rogiem.

- Czego on chciał?

Kuba wzruszył ramionami.

- Nie wiem, może nie lubi dzieci. Chodźmy stąd, już widziałeś swoją kamienicę.

- Musimy tu jeszcze kiedyś wrócić,

chciałbym wejść do środka.

- Jak chcesz wejść do środka, skoro drzwi są zabite deskami.

- Coś wymyślimy. A teraz chodźmy, czas wracać do domu, długo mnie nie było i Tate będzie się martwił.

- Nawet nie zauważy – uspokajał Kuba. - Tak to działa... Łap pierścione.

- Kubuś, chodź na obiad, łazanki wystygną - usłyszał głos babci.

- Już idę.

Rozdział VIII

Ostatnie dni były przesiąknięte deszczem. Lało przez cały czas. Biedna babcia nie nadążała z podstawianiem misek i miednicy pod ciekący daszek werandy. Deski podłogi coraz bardziej się wypaczały.

Znudzony Kuba siedział z kredkami przed pustą kartką i zastanawiał się, co dzisiaj narysować. Bezmyślnie patrzył na kartkę. Jej biel go przyciągała i jednocześnie prowokowała do jakiegoś działania. Chciał ją pokryć kolorowymi plamami i kreskami, które w rezultacie przemówią obrazem, który teraz siedział gdzieś głęboko w jego mózgu. Zawsze lubił ten etap. Jeszcze nic nie było na kartce. Który kolor wybrać? Od tej decyzji zależał cały obrazek. Jak weźmie czerwoną, to kolejne elementy muszą do tego koloru pasować. Czarną narzuci całą atmosferę, będzie ciemno i tajemniczo. Jak wybierze zieloną, to pewnie powstanie wiosenna albo letnia łąka z kolorowymi plamami kwiatów. Tym razem postanowił zdać się na przypadek. Zamknął oczy i sięgnął do pudełka. Po chwili z ciekawością spojrzął na wynik swojego eksperymentu. W ręce trzymał dwa kolory: czarny i brązowy. Co spowodowało, że akurat te? Przypadek? - pomyślał.

Od czasu znalezienia pierścionka przestał wierzyć w istnienie przypadków. Przecież po coś go znalazł. Wiedział po co. Żeby spotkać Szymona i zobaczyć, kto

mieszkał w tej kamienicy. Tamten świat bardzo go intrygował.

Wziął czarną kredkę i zrobił kilka kresek, potem zmienił na brązową, niebieską i czerwoną. Rysował tak zapamiętałe, że nawet nie zauważył stojącej za jego plecami babci, która z ciekawością obserwowała ten proces tworzenia.

Na kartce pojawiły się czarne i brązowe postaci. Były na pierwszym planie, a za nimi klęczały i leżały pod butami żołnierzy o wiele mniejsze, namalowane delikatnym kolorem.

- Czy ty musisz rysować takie straszne rzeczy? - zaniepokoiła się kobieta.

- Babciu, to samo mi się tak narysowało.

- Co ty wygadujesz? Jak mogło samo się narysować?

- Nie wiem, po prostu się rysowało.

- Przecież to wojna.

- Wiem.

- I mówisz to z takim spokojem?

Kuba nie odpowiedział. Czuł, że ten rysunek w jakiś sposób nawiązuje do czasu, w którym spotykał się z Szymonem. Coś mu kazało to narysować. Czy to był znak? Od momentu kiedy znalazł ten pierścionek, jego życie się zmieniło. Może nie było tego widać na zewnątrz, bo dalej wszyscy traktowali go jak małego chłopca, którego życie kręciło się wokół podwórka, góry wysypanego w kącie piasku, klocków i kilku plastikowych modeli samochodów, ale on sam czuł i widział świat już inaczej. Otaczający go współcześni ludzie przestali go obchodzić jak dawniej. Nie leciał już na każde zawołanie kolegów, aż wreszcie dali mu spokój.

- Babciu zrób mi dwie kromki chleba, jestem głodny - zmienił temat.

- Z czym chcesz? Jest ser, ogórek, kiełbasa, ryba wędzona...

- Z serem i rybą.

Począł, aż babcia przygotowuje kanapki. Jedną wziął do ręki, a druga powędrowała

do kieszeni spodni.
Kuba nie zjawił się, jak zawsze, w przedpokoju Szymona, tylko przed wejściem do kamienicy, tam, gdzie w czasie deszczu tworzyła się największa kałuża.
Tu nie padało i była noc.
Co spowodowało, że właśnie tam się znalazł?
Na podwórku stał czarny samochód, o którym kiedyś opowiadał Szymon, a w nim siedziało dwóch żołnierzy z odbezpieczonymi karabinami. Mówili coś do siebie i patrzyli w okna kamienicy.
Na pierwszym piętrze usłyszał jakieś stłumione krzyki. Ostrożnie wszedł po skrzypiących schodach na pierwsze piętro.
Drzwi do obu mieszkań były otwarte i świeciło się w nich światło. Zobaczył jakichś ubranych w ciemne płaszcze mężczyzn.
Coś krzyczeli na siedzących przy stole, a dwóch z nich zrzuciło na podłogę zawartość kuchennego kredensu.
Pobiegł do mieszkania Szymka i wszedł do przedpokoju. Tu też było trzech wysokich mężczyzn w długich szarych płaszcach.
Dwóch stało przy drzwiach, a trzeci wyciągał książki z pótek, przewracał kilka kartek i rzucał na ziemię.
Szymon i jego rodzice siedzieli bez ruchu przy stole i patrzyli na obrus. Nie reagowali na spadające książki, zrzucone obrazy czy zerwaną firanę.
- Powiesz wreszcie, gdzie ukryłeś kosztowności? - mężczyzna podszedł do pana Stolzmana i podniósł go za kłapy.
- Nie mam pieniędzy - szepnął.
Nagle otworzyły się drzwi na korytarz i stanął w nich wysoki oficer. Miał blond włosy i jasnoniebieskie oczy, którymi zlustrował mieszkanie. Na mundur miał narzucony czarny, skórzany płaszcz, a jego wysokie, czarne oficerki i kilka metalowych odznaczeń błyszczało w świetle żarówki.
Na widok oficera mężczyzna w szarym płaszczu zasalutował, po czym chwycił koniec obrusa leżącego na stole i pociągnął

z całej siły. Leżące na stole naczynia pospadały z brzękiem na podłogę. Oficer zrobił kilka kroków, rozdeptując jedzenie, a następnie tylko kiwnął głową i bez słowa wyszedł.
Pierwszy na podłogę rzucił się Szymon i zaczął zbierać resztki jedzenia. Ojciec odwrócił się do okna, jakby nie chciał patrzeć na tę scenę. Tylko mama Szymka nadal siedziała przy stole ze spuszczoną głową.
Kuba nie wiedział, jak zareagować. Po raz pierwszy w życiu poczuł strach przed nieznanym. Nie mógł zrozumieć wielu rzeczy - na przykład tego, czego hitlerowcy chcą od mieszkańców kamienicy, dlaczego wchodzi do mieszkań bez pukania i robią bałagan. Wynoszą też różne przedmioty, jakby należały do nich.
Nie przerywając swojej czynności, Szymon podniósł głowę i popatrzył na niego smutnym wzrokiem. Oprócz smutku Kuba dostrzegł minę kolegi, która pokazywała skrywaną zazdrość i zrobiło mu się wstyd.
Rodzice Szymka dalej tkwili w bezruchu. Mama przy stole, ojciec odwrócony tyłem i patrzący gdzieś w dal.
Kuba cofnął się do przedpokoju i czekał. W ręce przez cały czas trzymał kanapki z serem i rybą. Już wiedział, dlaczego jego przyjaciel był głodny. Odechciało mu się zabawy. Ale z drugiej strony, Szymon był przecież takim samym chłopcem jak on.
Zabawa drejdem, klockami czy autami sprawiała mu taką samą przyjemność jak innym chłopcom, którzy tak jak Kuba żyli poza gettem, w normalnych domach, bez strachu o każdy kolejny dzień.
Widać było, że Szymon tęskni za normalnością codziennego życia. Wreszcie wyszedł z pokoju.
- Już wiesz, czego się codziennie boimy - popatrzył na przyjaciela.
Kuba wyciągnął rękę z kanapkami.
- Pamiętałeś - ucieszył się, ale z jego twarzy zaraz zniknął wyraz radości, który zastąpił

smutek i strach. - Jakoś nie jestem głodny.
- To weź na potem, kto powiedział, że musisz od razu to zjeść.
Szymon kiwnął głową.
- Przynosisz mi jedzenie, a ja się martwię, że tylko ja je mogę jeść. Nie mogę się podzielić z rodzicami, bo oni go nie widzą.
- Ale za to jak zjesz, to masz siłę, żeby im pomagać. Często przychodzą...?
- Oni? Bardzo nieregularnie, zdarzało się, że robili rewizję codziennie, ale był czas, że nie pokazywali się przez kilka dni.
- Co to za ludzie w tych szarych płaszcach? To chyba nie są Niemcy?
- Są jeszcze gorsi. To Żydzi, tak jak my. Przeszli na stronę wroga, bo im dobrze zapłacono, a teraz się rządzą. Przychodzą do mieszkania, rozwalają wszystko, bo potrzebują pieniędzy na swoje uciechy. Właśnie byłeś świadkiem takiego nalotu. Szymon wziął ostrożnie kanapki, jakby były największym skarbem, i schował je do kieszeni.
- Będą na później, ech! Chętnie bym zniknął z tego świata i zamieszkał tam, gdzie ty. Jak widzę rodziców po takim nalocie, to mi się wszystkiego odechciewa.
Kuba popatrzył w głąb pokoju. Pani Stolzman nadal siedziała przy pustym stole ze spuszczoną głową, a ojciec Szymona wciąż stał przy oknie. Jego wzrok błędził gdzieś poza horyzontem, jakby tam upatrywał nadziei. Gdzieś tam, na szczycie zielonych pagórków, zwanych Krzemionkami, było już inne życie, które mógł rozpoznać po zawsze oświetlonych oknach w kamienicach i willach.
Szymon po cichu zamknął drzwi.
- W takich sytuacjach wolę ich zostawić samych - szepnął. - Wiem, że dużo przede mną ukrywają, bo jestem dzieckiem, ale nie wiedzą, że dużo widzę i czuję. Machnął ręką.
- Niedawno podsłuchiłem, jak tate rozmawiał ze znajomym, który powiedział, że i tak wszystkich nas prędzej czy później

wykończą w Płaszowie, więc czy to nie obojętne, co się wokół nas dzieje? Nie będziemy leżeć tam, gdzie nasi przodkowie, w bet chaim. Dużo bym dał, żeby jeszcze tam pójść na groby dziadków.
- Bet chaim? - podchwycił Kuba. - A gdzie to jest?
- Dom Życia, po waszemu cmentarz.
- To chodźmy - w dłoni Kuby błysnął pierścione.
Znaleźli się na głównej alejce cmentarza. Po obu jej stronach stały w rzędach kamienne macewy. Jedne miały zwieńczenie półkolistę, inne trójkątne, a na niektórych leżały niewielkie kamienie. Przednie ściany pokryte były dziwnymi, nieznanymi Kubie znakami. Cały cmentarz tonął w zieleni, bluszcz oplatał pnie dębów i buków i opłatał niektóre groby, jakby je chciał zasłonić przed światem.
Na przeciwko stał jednopiętrowy dom modlitw. Było cicho i pusto. Szymon poprowadził Kubę przez labirynt alejek. Mijali rzędy macew. Stały ciche i nieme - świadkowie minionych czasów. Niektóre groby były bardzo stare i zaniedbane, ale prawie na każdym leżał kamyk, znak, że ktoś tu był i pamięta o zmarłym.
Kuba przypatrzył się niektórym. Oprócz imion i nazwisk były widoczne jakieś wykute w kamieniu wizerunki: rąk, dzbanów, książek czy narzędzi.
- Wiesz, co oznaczają te znaki?
- Wiem - odpowiedział Szymon, dumny, że może się pochwalić swoją wiedzą. - Popatrz na ten, tu ręce są w geście błogosławieństwa, taki symbol jest umieszczany na grobach kohenów, kapłanów, którzy mogli błogosławić, oni byli z rodu Aarona.
Podszedł do innego nagrobka.
- Tu jest wyrzeźbiony dzban, a to oznacza, że ten człowiek jest potomkiem rodu

Lewiego. Do nich należało obmywanie rąk kapłanom przed błogosławieństwem. O, a tam mamy książki, to są groby uczonych w Torze i biegle w piśmiennictwie religijnym.

Tu leżą moi przodkowie – wskazał z dumą jeden z grobowców. – Mój tata też jest uczonym w Torze.

Nagle spochmurniał.

- Nie wiem, gdzie my będziemy leżeć. Krążą plotki, że kogo zabiorą do Płaszowa, ten już nie wraca.

Kuba nie wiedział, co odpowiedzieć, zaczął mu się też udzielać nastrój Szymona.

Przypomniał sobie rysunek, który zaczął rysować w domu przy maszynie. Stwierdził, że jego rysowanie ma pewnie związek z tym, co przeżywa tu, w świecie Szymona. Pojawiające się na kartce czarne postaci symbolizowały hitlerowców, a te pod ich stopami... Czyżby narysował Płaszów?

Szymon podniósł ze ścieżki mały kamyczek, położył go na macewie i wzorem dorosłych oddał kilka ukłonów. Kuba, nie chcąc urazić przyjaciela, zaczął robić to samo.

- Bo pamięć o zmarłych jest bardzo ważna – powiedział Szymon, kiedy już przestał oddawać cześć przodkom. – Oni to widzą tam, z góry. To tak, jakbyśmy z nimi rozmawiali. Tata mówi, że czasami odpowiadają nam na pytania, tylko nie wszyscy potrafią słuchać. Pamiętam jak przez mgłę tamten czas, gdy jeszcze żyli dziadkowie. Siadaliśmy wszyscy w czasie szabasu przy jednym stole i słuchałem wyjaśnień treści Tory. Tata wtedy mówił, że mam słuchać, bo kiedyś sam będę uczonym w piśmie.

- Pewnie będziesz, masz mądrego ojca.

- Chciałbym, ale coraz mniej w to wierzę. Zamilkł na chwilę, jakby się głęboko nad czymś zamyślił.

- Wiesz - zaczął znowu. – Chciałbym być raczej taki, jak mój dziadek. Podobno wnuki bardziej upodabniają się do

swoich dziadków niż do rodziców, a mój dziadek był rabinem i ja też chciałbym nim zostać. Mój dziadek był mądry i dobry, często opowiadał mi różne historie. Postanowiłem, że gdy sam będę dziadkiem, to też będę swojemu wnukowi opowiadał i tłumaczył mądrości Tory. Bo w Torze, gdy mądrze szukasz, znajdziesz wszystko, co pomoże ci żyć.

Popatrzył na jedną z macew, na której był wyrzeźbiony wizerunek kilku książek. Kątem oka zauważył, że na sąsiednich macewach oprócz książek są jeszcze korony i pięcioramienne świeczniki.

- W tej części cmentarza są pochowani sami rabini.

Zerwał się wiatr, zaszeleścił liśćmi na drzewach. Kilka baraszkujących po alejach wiewiórek uciekło w popłochu na wyższe gałęzie. Na ich widok uśmiech zagościł na poważnej twarzy Kuby. Przypomniał sobie spacer z dziadkiem na Plantach, kiedyś siedzieli na ławce i obserwowali razem wiewiórki. Pewnego dnia dziadek przyniósł orzechy w papierowej torebce, a Kuba rzucał im po jednym na ścieżkę, żeby podeszły bliżej. Jedna nawet wskoczyła na ławkę i porwała orzech z oparcia.

- Chyba będzie padać - Kuba zadął głowę i spojrzał na prześwitujące przez korony drzew niebo. - Musimy wracać - zarządził.

- Mam ochotę pójść na Kazimierz, to przecież niedaleko.

- Wiesz, że tam nie możesz?!

- I co z tego?! - Szymek wzruszył ramionami. – Już mi obojętne, czy mnie złapią na Józefa czy na Szerokiej, albo czy przyjdą do mieszkania. Wszędzie jest tak samo.

- Nie mów tak! Nie wygląda na to, żeby was wyrzucili z kamienicy, nie po to kazali się wam tam przeprowadzić - Kuba sam nie wierzył w to, co mówi.

- Jesteś dobrym przyjacielem - uśmiechnął się Szymon. - Nigdy takiego nie miałem.

Ale przyjaciel jest też po to, żeby mówić prawdę, nawet tę najstraszliwszą. Chcę jeszcze zobaczyć moją dzielnicę, tam gdzie się urodziłem.

Odwrocił się i skierował do wyjścia.

- Szymon!

Udawał, że nie słyszy i pewnym krokiem szedł w kierunku bramy cmentarnej. Zaczął kropić wiosenny, majowy deszcz, krople spadały na liście, a potem spływały na groby i alejki.

Wyszli na ulicę. Kuba odruchowo spojrzał, czy nie ma żołnierzy, ale ulica była pusta.

Szymon jak w transie maszerował w kierunku Starowiśnej. Tam na pewno spotka hitlerowców, chodzili po ulicach i legitymowali każdego.

Doszli do wylotu Miodowej i weszli w tłum spieszących w obu kierunkach ludzi, cywilów i wojskowych. Uciekali przed coraz bardziej padającym deszczem.

Szymon odważnie wyszedł na ulicę i skierował się w stronę Szerokiej do jednego z warsztatów krawieckich. Prawdopodobnie znał byłego właściciela i naiwnie myślał, że może się tam schować. Ale warsztatu już nie było, drzwi zastał zamknięte, a na rogu stał żołnierz i znudzonym wzrokiem obserwował zalaną deszczem ulicę. W ręce trzymał jabłko i od czasu do czasu odgryzał kawałek.

Zobaczył Szymona i jego ręka zamartała w drodze do ust. Zdziwionym wzrokiem obrzucił chłopca. Dobłą chwilę stali naprzeciw siebie.

- Junge, chodź – odezwał się łamaną polszczyzną i kiwnął na Szymka. Wyciągnął rękę z odgryzionym jabłkiem.

Kuba mógł tylko obserwować całe zdarzenie. Szymon powoli podszedł do żołnierza.

Nieufnie patrzył mu w oczy. Jabłko, jak w zwolnionym tempie przeszło z ręki do ręki.

- Essen – na twarzy żołnierza pojawił się uśmiech – Jude?

Szymon nieznacznie kiwnął głową.

Dopiero teraz dotarło do Kuby, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego przyjaciel. Każdy Niemiec mógł bezkarnie zastrzelić Żyda, którego spotkał poza granicami getta. Jednak ten był inny, uśmiech nie schodził z jego twarzy. Ręką pokazał boczną uliczkę.

- Auf diese Weise gehen¹ – po krótkim namyśle sięgnął do kieszeni i wyciągnął połamaną tabliczkę czekolady.

- Nehmen Sie, wenn Sie hungrig sind² – mówiąc to rozejrzał się dookoła, jakby się czegoś bał.

- Gehen schon, leicht!³

Szymon chyba zrozumiał, wziął czekoladę i nie oglądając się za siebie, pognął w zaułki Kazimierza. Zatrzymał się dopiero przed swoją kamienicą.

- Ale miałeś szczęście – wydyszał Kuba. – A teraz lepiej chodź do domu, nie kuśmy już dzisiaj więcej losu.

Przekradali się bocznymi uliczkami, co chwilę chowając się w bramach. Przy moście Kuba nie wytrzymał.

- Złap mnie za rękę – wyciągnął pierścień i zamknął oczy, po chwili znaleźli się na podwórku.

Było ciche i puste.

- Przyjdź znowu – uśmiechnął się do Kuby.

Chłopiec znalazł się z powrotem przy maszynie do szycia.

- Powiesz mi wreszcie, skąd ci się biorą takie pomysły Kubusiu? – usłyszał głos babci zza kotary. – A może namalujesz coś dla mnie?

- A co chcesz?

- Może być słoneczna łąka z kolorowymi kwiatkami?



1. Idź tamtędy.

2. Weź, pewnie jesteś głodny.

3. Idź już, szybko.

Różowy rowerek

Joanna Nowocien

Teresa nie chciała mieć dziecka. Studia, praca, doktorat i kariera zawsze były na pierwszym miejscu.

– Jest nam dobrze we dwoje – mówiła, kiedy wspominałem o dziecku.

To ja zachowywałem się jak niespełniona matka. Zaglądałem do wózków, zagadywałem maluchy na spacerach, zazdrościłem ojcom trzymającym pociechy za rączkę.

I stało się. Zanim Teresa zrobiła test ciążowy – już wiedziałem. Gdy oznajmiła mi przerażonym głosem: Jestem w ciąży, miałas już imię. Wybłagałem, żeby nie podjęła jakiejś nieodwracalnej decyzji, po prostu wymodliłem cię dla siebie.

Teresa obnosiła się ze swoją brzemienną łaskawością na każdym kroku. Obwiniła mnie o poranne wymioty, obrzęki na nogach i wybuchy na Słońcu. Była wściekła, że nie może już tyle pracować, ale wciąż zostawała po godzinach w instytucie. Nie dbała o dietę, wracała obolała i narzekająca. Powtarzała: Ta TWOJA ciąża jest okropna, kiedy ten koszmar się wreszcie skończy? A ja podtykałem jej witaminki, masowałem stopy, podawałem kolacje. Byłem jej bezgranicznie wdzięczny, że da mi ciebie. Cierpiała. Ale lubiła chwile, kiedy po wieczornej kąpieli nakrywałem ją troskliwie, całowałem brzuszek na dobranoc, grałem na gitarze i recytowałem wiersze. Z kapryśną minką twierdziła, że już jest zazdrosna o maleństwo. Nie protestowała, kiedy oznajmiłem, że będę przy porodzie.

– Wreszcie przejmiesz sobie to jajo jak pingwin cesarski, mój ty cesarzu – żartowała. Któregoś wieczoru postawiła warunki:

– NIE karmię piersią, NIE wstaję w nocy, NIE biorę urlopu wychowawczego – pójdziesz na tacierzyński. No i oczywiście kupisz mi

wymarzoną tojotkę – chyba zasługuję na odrobinę luksusu po TYM WSZYSTKIM?! Zgodziłem się. Wynegocjowałem jedynie, że piersią będzie karmić przez trzy miesiące, dla zdrowia dziecka.

Oboje dobrze zarabialiśmy. Mieliśmy willę za miastem po moich rodzicach i piękny ogród, o który dbał pan Stanisław. Pokoik dziecięcy urządziłem sam. Z radością biegałem po zakupy. Każdy drobiazg – każdą zabawkę, ubranko dla ciebie – przynosiłem jak zdobycz.

W przeddzień terminu porodu przyśniłaś mi się. Jechałaś do mnie na różowym rowerku.

– Tatusiu jadę już do ciebie – zawołałaś z radosnym uśmiechem.

Zerwałem się o świcie, spakowałem rzeczy i oznajmiłem Teresie:

– Ubieraj się, jedziemy do szpitala. Dzisiaj rodzimy.

– Ale przecież jeszcze za wcześnie, nic się nie zaczęło – zaprotestowała zdziwiona, ale zaraz dodała:

– Wiem, wiem jasnowidzu, za chwilę będę gotowa.

Lekarz, podając mi zawiniątko, oznajmił: Macie piękną, zdrową córeczkę.

Teresa sarkastycznie skwitowała: Jeszcze się napatrzę, po czym opadła na poduszkę. Świat przestał istnieć, a raczej został podporządkowany twojej małej osobce – wreszcie byłaś tylko moja! Przeobraziłem się w niańkę, kucharkę, pielęgniarkę, gosposię i Mikołaja. A ty rosłaś, rosłaś, mądrzałaś i ... uwielbiałaś mnie.

Teresa wracała coraz później z pracy i coraz częściej oznajmiała, że wyjeżdża na kilkudniowe delegację. Zdarzało się, że

nie widywaliśmy się całymi dniami. Miałem żal, że nie interesuje się dzieckiem. Tobie to nie przeszkadzało, nie byłaś z mamą tak bardzo związana emocjonalnie jak ze mną. – Tatku, mam cię całuskiego dla siebie, ale będzie zabawa – wołałaś. A kręcone kitki podskakiwały radośnie.

W sobotę jak zwykle pojechałem na większe zakupy, a moje królewny oglądały razem bajkę. Nie wiem, jak to się stało, chyba zbyt szybko spieszyłem się do domu, do ciebie, i za mocno nacisnąłem gaz. Samochód roztrzaskał się o drzewo. Szkoda, lubiłem go, był wygodny i niezastąpiony do wspólnych wypadów.

Wróciłem do domu, ale nie odzywałaś się do mnie, nie chciałaś się bawić. Byłaś smutna, płakałaś i wołałaś: Chcę do taty! A przecież byłem w twoim pokoju. Ciężko zachorowałaś, więc Teresa została w domu na zwolnieniu lekarskim. Czuwałem przy tobie całymi dniami, bo miałaś wysoką gorączkę, ale nie mogłem ci pomóc. Znajomy lekarz zabierając cię do szpitala, powiedział cicho do płaczącej Teresy: Zrobimy, co w naszej mocy.

Chciałbym pocieszyć was obie, ale nie potrafię wydobyć głosu, a dłonie przenikają przez wszystko. Czuję się dziwnie – jakbym był duchem?

Dziś miałem piękny sen. Znowu jechałaś do mnie na różowym rowerku.

– Tatusiu jadę już do ciebie – zawołałaś z radosnym uśmiechem. TUTAJ też będziemy się wspaniale bawić – pomyślałem.

...w pęknięciu słońca
pachniesz nową obietnicą
wyczekiwaniem nienarodzonego
przenikasz krzyk
i stawiasz stopy na wierszach

w rozpadlinie czasu
twój różowy rowerek
wyrasta świeżymi pędami...

Koszmarne zjawisko

Lucyna Siemińska

Siedzieliśmy w Barze Wczorajszego Dnia, kołyszając się na bujanych fotelach obitych brązowym skajem imitującym naturalną skórę. Z założenia miało być przytulnie, komfortowo i ekologicznie. Naturalnie. Wszyscy byliśmy naturalni. Z głośników płynęła spokojna muzyka. Światło dyskretnie pełzało po ścianach i po butelkach równo ustawionych na półkach. Z metalowych uchwytych zwisały kieliszki, umocowane czaszą w dół. Lustra powieliły asortyment, dodawały przestrzeni, igrały ze światłem. Zmierchało.

Wczorajszy Dzień poprawił wiązanie nie-skazitelnie czystego fartucha, białego w czarne paski, i nerwowo potarł wąsy. Było jakoś dziwnie, inaczej niż wczoraj. Nikt się nie odzywał, za to wszyscy pili zdecydowanie więcej. Deszcz polewał ostro, już czwartą kolejkę, ulubionej przez wszystkich malinówki. Z przeraźliwym zgrzytem z zegara wydostała się kukółka i zachrypniętym głosem oznajmiła dziesiątą, po czym zniknęła, niezgrabnie kołyszając się na boki.

Noc poprawiła kruczoczarne włosy. Niechętnie podniosła się z fotela, ciężko przy tym wzdychając.

– Teraz moja kolej. Pójdę się trochę przewietrzyć. Poza tym chyba potrzebuję odrobiny samotności – zabrała ze sobą kieliszek malinówki i wyszła na taras. Drzwi trzasnęły za nią głucho.

Nie zdążyliśmy odwrócić wzroku, kiedy do baru weszło, a dokładniej wtoczyło się Koszmarne Zjawisko, obładowane laptopem, rzutnikiem i flipchartem. Energicznie zabrało się do podłączania kabli, potem mazakiem kreśliło tabelę szybkimi ruchami.

– Witam wszystkich – rzuciło pośpiesznie. – Niestety nie mam dla was dobrych wiadomości. Kosmodyrekcja przeprowadziła

badania aktywności w marcu. Wyniki są wysoce niezadowalające. Statystycznie w tym miesiącu wszystkiego brakowało. Opady deszczu osiągnęły zaledwie sześćdziesiąt procent w stosunku do oczekiwań. Słońce wciąż ukrywało się za chmurami i stąd tylko siedem dni z pełnym nasłonecznieniem. Księżyc jakby w ogóle zapomniał o swoich obowiązkach, a Noc spóźniła się notorycznie. Nie wspomnę już o Burzy, która w ogóle nie grzmiała. Ani razu. Ludzie się skarżą, wiosna daleko w polu, a wędrownie ptaki nie wiedzą, czy mają wracać, czy nie.

Czerwony mazak złowieszczo pukał w tablicę. Pojawiały się liczby, wprawdzie realne, ale dalekie od oczekiwań. Rzutnik cicho buczał. Bezlitosne wykresy nakładały się jeden na drugi. Czasem znikwały w cieniu Koszmarnego Zjawiska, które przesuwano się raz w jedną, raz w drugą stronę tuż przed skoncentrowanym snopem światła.

– Tak dalej być nie może. Jutro mamy ostatni dzień kwietnia i tylko siedemdziesiąt procent wykonania planu. Za mało pracy, a za dużo... – tu Koszmarne Zjawisko nachyliło się nad kieliszkiem Burzy i demonstracyjnie pociągnęło nosem. – Za dużo malinówki! Co zamierzacie zrobić, aby poprawić wyniki?

– Będę jutro grzmieć – nieśmiało odezwała się Burza, czując się wywołana do odpowiedzi.

– Fiu, fiuuu – zagwizdał Wiatr, ale szybko ucichł pod spojrzeniem Koszmarnego Zjawiska.

– Gwiazdeczko?

Gwiazdeczka wzdygnęła się i gwałtownie odłożyła lusterko, w którym cały czas się przeglądała.

– Oczywiście zabłysnę. Spadnę i znowu wzleczę, i spadnę... – wyszeptwała.

Słońko skuliło promienie, głośno siorbnęło

malinówkę z kieliszka, odkaslnęło i zadeklarowało świecenie bardziej intensywne. Deszcz tylko beknął. Noc za oknem udawała, że w ogóle niczego nie słyszy. W końcu była na posterunku.

Koszmarne Zjawisko utkwiono oczy we Wczorajszym Dniu. Biedny barman starał się ciętym zasłonić cały zapas butelek z ulubionym przez wszystkich sokiem malinowym. W końcu schylił się pod ladę, wyjątkowo usilnie czegoś szukając.

– No dobrze. Zatem wiemy, co nas jutro czeka. Do roboty i życzę sukcesów. Oczekuję pełnej realizacji planów! A teraz idźcie już spać!

To rzekłszy, Koszmarne Zjawisko zniknęło z całym sprzętem tak szybko, jak się pojawiło. Siedzieliśmy w milczeniu, bez humorów. Czar wieczoru prysł. Wczorajszy Dzień wypętlzył za lady.

– Idę się odlać – bez skrępowania rzucił Deszcz, po czym wyszedł na dwór i już nie wrócił.

Wychodziliśmy chyłkiem jeden po drugim, wykręcając się naprędce wymyślonymi obowiązkami. Do świtu pozostało pięć godzin. Swoją drogą, szczęśliwy ten Świt. Niczego nie słyszał, niczego nie widział, bo od dawna głośno chrapał na poddaszu we własnym łóżku.

Kolejny dzień, jak można było przewidzieć, nie należał do łatwych. Bar Wczorajszego Dnia świecił pustkami. Tylko Noc miarowo kołysała się w fotelu, tkając z mgiełnych nici Drogę Mleczną. Musiała być dłuższa niż zwykle. O wiele dłuższa. Czasem, niby przypadkiem, gubiła oczka, robiła większe pętelki, albo chaotycznie przesłakiwała do kolejnych rzędów. Zyskiwała cenne, dodatkowe centymetry, niestety kosztem jakości. Założyła, że Wielki Wóz i tak nie będzie jechał po Drodze Mlecznej. Zresztą uprzedzi go o złej nawierzchni.

Księżyc, przy stoliku koło okna, szczypał się po twarzy, aż mocno spuchła.

– Dobrze, dobrze, znakomicie – mruczał, oglądając się w lusterku. – Już jest większa! Okrągłutka! Idealna!

Wczorajszy Dzień szykował kieliszki i malinówkę. Wzdrygnął się, kiedy spojrzał w okno.

– Szaleństwo. Czyste szaleństwo. Nic dobrego z tego nie wyniknie – mruczał, wycierając blat papierowym ręcznikiem.

Pierwsza do baru wpadła Burza. Wciąż grzmiała i błyskała piorunami, które przesłakiwały samoistnie między pasmami jej rudych włosów.

– Podwójną malinówkę! – wrzasnęła gromko i huknęła pięścią w stół. – Proszę! Szybko, bo zwarcie mam na stykach i czuję, że cała stoję w ogniu!

– Tylko nie to! Burzo! Bo spalisz wszystko! – Wczorajszy Dzień podbiegł z tacą.

Wypiła jednym haustem.

– Jeszcze! Jeszcze raz to samo!

Kiedy ugasiła pragnienie, rozejrzała się wkoło. Na widok Księżyca oniemiała z wrażenia.

– Matko jedyna! Dobrze się czujesz? Może to nadciśnienie... Jesteś taki, no, bardzo spuchnięty.

Uśmiechnął się, ucieszony z wywołanego efektu.

– Sto procent normy – odparł z dumą.

Do baru wtoczyło się Słońko na wyprostowanych jak druty promykach. Wyglądem przypominało wielkie młyńskie koło w ferworze pracy. Buchało żarem i raziło światłem, nie mogąc sobie nigdzie znaleźć miejsca. Toczyło się wkoło baru i toczyło, wreszcie zziąbane opadło na fotel, wypalając w nim dziurę pokaźnych rozmiarów.

Wczorajszy Dzień chwycił się za głowę i pewnie cała historia źle by się skończyła, gdyby w drzwiach nie pojawił się Deszcz, przemoczony do suchej nitki, ociekający, chlupoczący wodą na wszystkie strony.

– Witajcie! – bryznął kroplami w stronę Słonka, gasząc je z sykiem.

– Wielkie dzięki – Słonko przyglądało rozmyte promienie. – Co za ulga!

Noc zwinęła w rulon niedokończoną Drogę Mleczną. Wzięła Księżyc pod rękę i poszli razem na dyżur. Punktualnie, jak tylko zachrypnięta kukułka po raz dziesiąty wysunęła się z zegara. Zaraz się zresztą schowała, usłyszawszy przerażające:

– Wiuuu, wiuuu! Hu! Ha! Buuu! Uuuu!

Zakotysało kieliszkami, zatrzęsło zegarem, włosy stanęły dęba. Wiatr z impetem wpadł przez okno, tłukąc szyby, wywracając stoły i fotele. Wybiegł przez drzwi, znowu wskoczył oknem. Nie mogąc się zatrzymać, wskoczył na ladę i obracał wokół własnej osi. Stopniowo wytracał prędkość, aż w końcu westchnął cicho i zastygł w bezruchu.

Nagle drzwi uchyliły się, potem zamknęły i znów się uchyliły. Dziwne, nikt nie wchodził. – Co tam? – dostatecznie już zniesmaczony i wyraźnie niezadowolony z nowych ekscesów, Wczorajszy Dzień skierował się w tamtą stronę. Wyrżał na zewnątrz.

Tuż za progiem leżała Gwiazdeczka. Odychała ciężko. Na przemian rozbłyskała i gasła. Wczorajszy Dzień wziął ją na ręce i wniósł do środka.

– Miejsce, zróbcie miejsce! – krzyknął.

Zsunęliśmy fotele, a on delikatnie ułożył na nich Gwiazdeczkę. Wyglądała okropnie. Miała połamane rogi i zamknięte, podkrążone oczy.

– Malinówki! – krzyknął Wiatr. – Dajcie jej malinówki.

Deszcz polał w kieliszki. Chwyciliśmy za nie wszyscy.

– Pij, Gwiazdeczko! To cię wzmocni.

Wczorajszy Dzień starał się, jak mógł, aby wypić choć kilka kropel malinowego soku. Powoli odzyskiwała siły. Burza prostowała jej połamane rogi, podklejała pęknięcia super plastrami z gwarancją szybkiego zrośnięcia. Gwiazdeczka westchnęła.

– Wznosiłam się i spadałam. Raz po raz. Chyba z tysiąc razy. Czekałam później na

przystanku przy Drodze Mlecznej. Aż w końcu nadjechał Wielki Wóz. Linia trzynasta. Myślałam, że podwiezie mnie tutaj. Ale na Drodze Mlecznej były jakieś dziury i wyboje. Noc biegła w naszą stronę, machała rękami, coś krzyczała. Nie słyszałam, bo Wiatr wył jak opętany. Potem Wielki Wóz zderzył się z przeogromnym Księżycem i rozpadł na drobne gwiazdy, a ja spadłam na ziemię i połamałam rogi. Po mgiełnych strzępach wspierałam się aż tu. Jestem wykończona.

– Biedactwo! – wzruszył się Wiatr.

Powoli wszystko wracało do normy. Za sprawą malinówki odzyskiwaliśmy siły. Wracał dobry humor. Wczorajszy Dzień krzątał się po barze, próbując przywrócić jako taki porządek. W kieszeni brzęknął sms.

– Słuchajcie: „Gratuluję. Sto procent normy. Pozdrawiam.”

Wybuchnęliśmy śmiechem i wznieśliśmy toast. Na zdrowie. Za przyjaźń. Za nas. Wkrótce dołączyła również Noc z Księżycem, tym razem chudziutkim jak rogalik.

Gdzieś w dole stary Jan łatał dach od stodoły.

– Oj, panie sąsiedzie, co to się wczoraj działo z tą pogodą! Mówię panu, Sodoma i Gomora! Wszystko naraz. Pomieszanie z popłątaniem. Myślałem, że to koniec świata. Na sam koniec łupnęło coś, o tutaj. Jakby spadająca gwiazda czy coś? I mówię panu, nie chciałbym więcej czegoś takiego przeżyć.

– Oj, tak – pokiwał siwą głowę Józef, podając mu gwoździe. – Nawet Reksio próbował schować się w mysia dziurę, a żona nie wyciągnęła głowy spod poduszki. Jakoś tak nienormalnie.

– Koszmarne zjawisko! Brrr...



To nic takiego, rybko

Marcin Mielcarek

Pamiętam, że poznałem ją w bibliotece uniwersyteckiej. Był wyjątkowo upalny dzień i być może dlatego schroniłem się na dłużej pomiędzy zakurzonymi, pograżonymi w osobliwym cieniu i ciszy, regałami. Pamiętam nawet w co była ubrana i jak jej gęste, ciemne włosy opadały kaskadą na ramiona. Nie dostrzegłem jej od razu, ale wydaje mi się, że robiła to samo co ja, czyli chowała się przed skwarem. Siedziałem cicho przy biurku i przyglądałem się jej, obserwując, jak udaje, że szuka czegoś na półkach. Chyba przekonała mnie jej pograżona w zadumie mina i ten ciekawy wyraz twarzy – wyglądającej jak słodki, dojrzwały owoc. Jej bursztynowe oczy miały w sobie coś przyciągającego. Tak samo jak gładkie ruchy podobne do smukłej brzozy targanej wiatrem. Nagle zrozumiałem, że muszę ją poznać. Podeszedłem więc i zapytałem, czy mogę jej jakoś pomóc. To co działo się później, wyglądało jak śmieszny pokaz naiwności, ale zadziało.

– Mam na imię Malina – powiedziała.

Od razu spodobało mi się to imię. Lubiłem je wymawiać, mieć na języku.

Oczywiście oboje stwierdziliśmy po kilku dniach, że spotkało nas coś dziwnie przyjemnego.

– Przecież ludzie dzisiaj w ten sposób się już nie poznają – stwierdziła.

Uważała to raczej za zabawne, a ja za łabędzi śpiew prawdziwych uczuć. Oczywiście w dłuższej perspektywie chodziło o miłość, ale wstrzymywałem się z tak poważną deklaracją. Ona robiła to szybko, chyba zbyt szybko.

Wcześniej jednak zdradziła mi jeszcze, że pracuje dorywczo w kawiarni.

Minął miesiąc. Było to chyba nasze piąte czy szóste wyjście na miasto, robiło się poważnie i najpewniej uznała, że jest mi winna prawdę. Kiedy wypowiadała te słowa, widziałem w jej oczach niepewność, być może nawet strach, który wtedy wydawał mi się autentycz-

ny i niewinny. Teraz wiem, że potrafiła doskonale kłamać.

– Pracuję na kamerce w sieci.

– Nie rozumiem.

– No wiesz... pokazuję swoje ciało, filmy, zdjęcia. W pewnym sensie sprzedaję siebie.

– A twarz?

– Twarzy nie pokazuję.

Przypatrywałem się jej dosyć długo, studiowałem wyraz jej twarzy, szukałem czegoś, czego ostatecznie nie znalazłem. W końcu powiedziałem, że nie ma to dla mnie znaczenia. W tamtym momencie nie przemawiał przeze mnie rozsądek. Byłem nią tak zafascynowany, że zignorowałem oczywistą prawdę. Prawdę o tym, że to nie może się udać.

– Ale mogłabyś przestać, gdybym cię o to poprosił? – zapytałem naiwnie.

– Jeśli byś tego chciał – odpowiedziała powoli. – Musisz jednak zrozumieć, że tylko dzięki temu mogę sobie pozwolić na studia.

– Rozumiem.

Być może powinienem już wtedy postawić sprawę inaczej. Teraz, po wszystkim, często o tym myślę. Wydaje mi się jednak, że miała przygotowaną odpowiedź na każdą ewentualność, a na każde moje słowo kilka własnych, wcześniej przemyślanych. Wyrachowanie, którym od samego początku cechowała się Malina, wychwyciłem znacznie później.

– Myślałam, że mnie rozumiesz – brzmiałyby jej słowa.

Obecnie zastanawiam się również nad tym, ile było takich jak ja, to znaczy ilu przede mną. Takich, którzy zdążyli powiedzieć nie, zanim ich głowę zatruło emocjonalne zaangażowanie. Nigdy jej o to nie spytałem, ale ona też nie pytała mnie o

kobiety z przeszłości, więc trzeba było uznać, że jesteśmy kwita. Wpadłem w nią po uszy i bardzo długo taki stan wydawał mi się błogosławieństwem. Właściwie gdyby nie to, że sama mi powiedziała, co robi, pewnie nigdy bym się nie dowiedział – ani nawet nie domyślił.

Oczywiście do czasu, w którym mielibyśmy razem zamieszkać. Nie rozmawialiśmy na ten temat, nie widziałem sensu, aby go drążyć. Było to jak pewna choroba, której symptomy pozostawały ukryte. Wiedziałem o niej, ale póki trwała w uśpieniu, trzeba było uznawać, że wszystko jest w porządku. Poza tym cichym rakiem nasza relacja miała się jak każdej innej młodej pary. Po okresie niedającej się zaspokoić fascynacji, przyszła przyjemna stagnacja, pewność, że znalazło się kogoś, na kim można opierać kolejny dzień. Studiowaliśmy, pracowaliśmy, chodziliśmy na spacer, do kina, czasami nawet teatru, odwiedzaliśmy wieczorami restauracje i zwyklesze lokale, jeździliśmy nad blisko leżące morze, gdzie leżeliśmy całymi dniami na plaży. Kiedy się kochaliśmy, było to intensywne i nasze. Nazywała mnie rybka. Nie wiedziałem dlaczego, ale lubiłem, kiedy to robiła. Biorąc to wszystko jako całość, czasami wydawało mi się, że jej zajęcie w sieci było tylko słabym, mało śmiesznym żartem.

– Podoba ci się mój nos, rybko? – zapytała mnie któryś raz z kolei.

– Podoba.

– Kłamiesz, rybko.

– Cała mi się podobasz.

– Ale mi chodzi o nos. Zobacz. Jest za długi i lekko krzywy.

– Podoba mi się.

– Kiedyś go sobie zoperuję, zobaczysz.

Nos był jej największą bolączką i co jakiś czas musiałem wysłuchiwać, jaki jest okropny. A mnie naprawdę się podobał, ale to chyba nie miało dla niej znaczenia. Czasami wydawało mi się, że moje zdanie niewiele znaczy. Choćby w przypadku radzenia się mnie w kwestii własnych poczyną.

– Rybko, myślisz, że to dobry pomysł, abym zaczęła pokazywać się w masce? – zapytała, siadając mi na kolanach. – Wiesz, do tej pory

pokazywałam się tylko do szyi i myślę, że to był błąd.

– Wolałbym, żeby zostało tak, jak jest – odparłem.

– Ale to nic takiego, rybko – rzuciła i pocałowała mnie w usta, chcąc mnie zmiękczyć. – Nie jestem przekonany.

– Słuchaj, właściwie to ja już od kilku dni nagrywam z maską na twarzy i powiem ci, że zwiększyła się oglądalność.

Wychodziło więc na to, że często wcale nie pytała mnie o zdanie, a raczej informowała o swoich decyzjach i poczynaniach. Być może w ten sposób łatwiej jej było się ze mną komunikować.

Pół roku później, w okresie świątecznym postanowiliśmy poznać swoich rodziców. Zdecydowaliśmy, że łatwiej będzie, jeśli najpierw pojedziemy do niej.

– Rodzice wiedzą z czego się utrzymujesz? – zapytałem w aucie.

– Zwariowałeś? – odparła oburzona. – Nikt nie ma o tym pojęcia i niech tak zostanie. Nawet moja siostra bliźniaczka nic nie wie. Cholerna z niej świętoszka. Uwierzysz, że ona nadal chodzi co niedzielę do kościoła? Ojcu się to oczywiście podoba...

Malina nie pochodziła z bogatej rodziny, ich poniemiecki dom, który dziadek zajął jako wysiedleniec ze wschodu, wymagał gruntownego remontu. Ojciec był łysawym, konkretnym mężczyzną, pracującym ciężko jako magazynier. Miał mocno prawicowe poglądy, szczycił się, że w jego rodzinie znalazło się kilku żołnierzy AK. Matka natomiast, sprzątaczką w gminnym urzędzie, była przyjemną w obyciu brunetką. Córką bardzo ją przypominała i uznałem, że jeżeli Malina zestarzeje się w podobny sposób, będę zadowolony.

Nie wiem, czy spodobałem się jej rodzicom, ale z całą pewnością jej ojciec nie mógł powiedzieć o mnie złego słowa, skoro razem się upiliśmy i razem zasnęliśmy na jednej kanapie. Śpiewał też piosenkę z „Czterech pancernych”, ale ja tylko czasami i z grzeczności się dołączałem, nie

będąc na tym wychowanym.

– Rybko, musiałeś tyle wypić? – zapytała retorycznie Malina, kładąc mnie do łóżka w pokoju brata, który przebywał w wojsku.

Przygotowała mi świeżą pościel, uchyliła okno, a nawet zrobiła gorącej herbaty. Czuję się zaopiekowany i powiedziałem, że ją kocham. Nie był to wyjątkowy, pierwszy raz, ale wtedy szczególnie to zapamiętałem.

Malina miała też siostrę bliźniaczkę, którą dopiero wtedy udało mi się poznać, bo dziewczyna studiowała w innym mieście. Obie były po matce brunetkami, ale główną cechą ich podobieństwa stanowiła data urodzenia. Polubiłem ją, chociaż wydawała mi się zbyt skromna, brakowało jej pewności siebie – w ubiorze, postawie, słowach.

– To przez Malinę – zażartowała. – Już w brzuchu musiałam ustępować jej miejsca, pokarmu i tlenu. Poza tym przyszła na świat siedem minut wcześniej. Od zawsze więc uważała, że więcej jej się należy.

Siostry przekomarzały się w ten sposób przez cały nasz pobyt, chociaż zauważyłem, że Malina ma się za trochę lepszą. Kiedy opuszczaliśmy ich rodzinny dom, poczułem lekkie ukłucie żalu.

W moje rodzinne strony pojechaliśmy w drugi dzień świąt. To była długa, męcząca trasa, głównie ze względu na padający śnieg i oblodzony asfalt. Malina wzięła całą blachę ciasta, które upiekła jej siostra.

– Powiemy, że to ja upiekłam – stwierdziła.

Siostra odziedziczyła dar do pieczenia i gotowania po matce. Malina nie bardzo. Mimo to przystałem na takie małe oszustwo. Wiedziałem, że chce sprawić dobre wrażenie.

– Podoba mi się – powiedziała krótko moja matka. – Jest bystra i ładna.

– Czym się będzie zajmować? – zapytał ojciec.

– Studiuję pedagogikę – odparłem. – Może zostanie przedszkolanką.

Matka zamknęła się z nią później w pokoju na całą godzinę. Nie miałem pojęcia o czym rozmawiały i do dzisiaj nie wiem.

Jedynego wspólnego Sylwestra spędziliśmy w towarzystwie jej znajomych. Nie

przepadałem za nimi, wydawali się zbyt głośni i jacyś roztrzępani, szczególnie nie przepadałem za jej przyjaciółką, Elwirą. Znały się od dziecka i wynajmowały razem duże mieszkanie w centrum, za które w większości płaciła Elwira. Nawet w połowie nie była tak ładna jak Malina, ale posiadała w sobie pewnego rodzaju przebojowość, którą przekształcała w zwyczajną wulgarność. Często zmieniała partnerów i miała o sobie wysokie mniemanie. Zajmowała się tym samym co Malina, to znaczy było to jej główne zajęcie, robione na znacznie większą skalę. Ani się jej spodobałem, ani nie – ze wzajemnością, oczywiście. Wydaje mi się jednak, że miała zły wpływ na Malinę, ale nie mogłem nic na to poradzić. Znały się przecież znacznie dłużej.

– Rybko, co sądzisz o mojej Elwi? – zapytała mnie następnego dnia.

– Jest ciekawą osobą – powiedziałem oszczędnie.

– To Elwira przekonała mnie do tego, że w sieci leży łatwy pieniądź – wyznała.

– Tak myślałem.

Sęk w tym, że owe pieniądze wcale nie były łatwe i nie było ich dużo. Doprowadzało to Malinę do aktów frustracji.

Ja studiowałem i dużo pracowałem, mieszkałem w akademiku, dlatego to, co zarobiłem, wystarczało mi na długo. Malina jednak wciąż narzekała na finanse. Już jakiś czas wcześniej rzuciła w ogóle pracę w kawiarni i zaczęła skupiać się wyłącznie na tym, co robiła w sieci. Powiedziała mi, że powinna zacząć się w tym kierunku rozwijać, opowiadała o możliwościach, które niosła ze sobą sieć. Czuję, że to Elwira ją tak nakręcała.

– Słuchaj, kochanie – powiedziałem podczas któregoś wspólnego śniadania na mieście. – Może dasz sobie z tym spokój i znajdziesz jakąś spokojną, zwyczajną pracę?

Ja od dobrych kilku miesięcy pracowałem dla pewnego małżeństwa, posiadającego firmę, która zajmowała się

badaniami społecznymi i marketingowymi. Prowadziłem dla nich przeróżne audyty, zajmowałem się robieniem ankiet i badań. Ponoć miałem naturalny dar do rozmowy z ludźmi. Zaproponowałem Malinie, że mogę spróbować z nimi pogadać na temat jej ewentualnego zatrudnienia.

– Rybko, rozmawiałam z Elwirą i doszliśmy do wniosku, że muszę dać z siebie więcej, jeżeli chcę zacząć zarabiać tak poważnie jak ona – odparła. – To znaczy?

– Muszę poszerzyć grono odbiorców, pozakładać konta na różnych platformach. Teraz jestem ograniczona. Wiesz, Elwira na przykład za pomocą Tindera przyciąga fanów na swojego OnlyFansa. Poza tym Instagram i Tik-Tok. A nawet filmy na YouTube promujące moją osobę.

– No... nie wiem.

– Elwira uważa, że gdy tylko pokażę swoją twarz, to zacznę zarabiać nawet więcej niż ona. Musisz spieniężyć ten dziubek – żartuje.

– Malina, kochanie, nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Zrozum, rybko, że to łatwy sposób na zarobek.

Tamtego dnia chyba po raz pierwszy się pokłóciliśmy. To znaczy ona się uruchomiła, ja byłem bierny.

Wieczorem jednak pogodiliśmy się i wyszliśmy nawet do kina. Nie rozmawialiśmy już o tym. Wiedziałem, że i tak robi, co będzie chciała. Nie czułem się z tym dobrze, ale niewiele mogłem zrobić. Byłem tylko jej chłopakiem, obecnym partnerem, przecież nawet ze sobą nie mieszkaliśmy.

Często widywaliśmy się z jej znajomymi, ale ona tylko raz zgodziła się wyjść na miasto z moimi kolegami. Jeden z nich miał dziewczynę, która wydawała się sympatyczna, dlatego pomyślałem, że może się polubią. Poszliśmy do jakiegoś niedrogiego baru, w którym przesiadywali głównie studenci. Siedzieliśmy przed lokalem, na drewnianych ławach, pod parasolami. Piwo było lekko rozwodnione, ale nie przeszkadzało mi to. Malina jednak, chociaż z początku udawała zainteresowanie grupą, szybko zaczęła traktować ich z nieukrywaną pogardą.

– Rybko, nie spodobał mi się twój znajomy – skwitowała, kiedy byliśmy już tylko we dwójkę.

– Te tematy i żarty, po prostu tragedia. Są dorośli, a zachowują się jak wyrośnięte dzieciaki. Czym oni się w ogóle zajmują, poza całodobowym przesiadywaniem nad grami?

– Są w porządku – odparłem, ale już nie słuchała.

– A ta dziewczyna... Dziwna. Widziałeś w ogóle, jak się pomalowała? I ten strój: wyświechtana bluza i spodnie jak u faceta. Gdyby schudła z dziesięć kilogramów, na pewno by sobie tym pomogła.

– Myślę, że jest sympatyczna.

– Rybko, nie wychodźmy z nimi nigdy więcej, proszę.

Życie toczyło się swoim tempem – studia i praca. Było nam całkiem dobrze, zaczęliśmy nawet częściej rozmawiać o jakichś konkretnych. Zapytała mnie na przykład, czy chciałbym mieć dzieci.

– Z tobą całą gromadkę – powiedziałem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Ale spójrz, rybko, gdzie niby miałabym tę całą gromadkę pomieścić?! – żartowała.

Pokazała mi swój brzuch, swoje biodra. Malina była szczupła, jej talia wąska. Zbliżyłem się do niej i zacząłem całować jej skórę pod pępkiem. Była gładka i ciepła. Zaapragnałem jej i poszliśmy do łóżka.

– Gdyby te dzieci miały jeszcze twoją ogromną głowę, rybko – zażartowała znów, kiedy obejmowaliśmy się nadzy. – Jak niby miałabym je wypchnąć?

– Jesteś silną kobietą – odparłem. – Myślę, że dałabyś radę.

Nie potrafiłem tego wszystkiego oczywiście zrozumieć. Miałem Malinę, taką jak w czasie tych szczerych rozmów o przyszłości, moją własną, roześmianą, piękną. I była jeszcze ta druga Malina, ta, o której niewiele wiedziałem, bo wiedza ta sprawiła by mi jedynie ogromny ból. Najgorsze było to, że nie miałem pojęcia, która z nich jest prawdziwa. Może żadna...?

Przez następny miesiąc z przeróżnych przyczyn widywaliśmy się rzadziej. Kiedy jednak przyszedł marzec, Malina za-

pytała mnie, czy dobrym pomysłem jest, abyśmy razem zamieszkali. Nie znaleźliśmy się przecież nawet roku, ale powiedziałem, że chcę z nią zamieszkać. Było to finansowe wyzwanie, ale uznałem, że jakoś to będzie. Wynajęliśmy dwupokojowe mieszkanie na osiedlu z wielkiej płyty. Nie było zbyt ładne. Poświęciliśmy cały weekend, aby je wspólnie odświeżyć. Obraz, na którym w popołudniowym słońcu zobaczyłem Malinę, jeżdżącą po ścianie białym wałkiem ze skupieniem twarzy, zapadł mi w pamięć. Uznałem, że jestem naprawdę szczęśliwy.

Dopiero jakieś dwa tygodnie po przeprowadzce dowiedziałem się, że głównym motywem był zakup nowego mieszkania przez Elwirę. Malina musiała się po prostu gdzieś podziać. Nie uznałem wtedy, że było w tym coś złego. Czasami życie wymusza na nas podejmowanie decyzji, które pozwalają nam robić krok na przód.

Nie miałem pojęcia, jak szedł cały ten interes Maliny, ale było kilka symptomów, które wskazywały, że chyba dobrze. Dziewczyna zamawiała całe kartony przeróżnych, niemal jednorazowych ubrań z Chin.

– Rybko, nie martw się, są bardzo tanie – tłumaczyła.

– A co z ekologią? Ponoć fast fashion to rak.

– Nie rozśmieszaj mnie.

Poza tym w naszej sypialni stała cała aparatura – stojak, kamera, pierścieniowa lampa z szerokim zakresem barw. Znalazłem też erotyczne gadżety, które zupełnie mnie nie ciekawiły. Dotarło jednak do mnie, że całe te sesje muszą odbywać się właśnie w naszej sypialni, w naszym łóżku.

– Rybko, daj spokój, przecież to oczywiste – rzuciła, jakbym zapytał o coś naprawdę głupiego. Poza tym Malina niemal na okrągło gapiała się w swój telefon – niedawno sprawiliśmy jej flagowy model topowej marki, z aparatem mającym te różne ważne funkcje. Tłumaczyła, że musi być na bieżąco. Wiedziałem też, że prowadzi te swoje profile, ale nie miałem pojęcia, jaka była tego skala. W pewnym sensie bałem się tej wiedzy i dlatego postanowiłem na nic nie zaglądać. Miałem ochotę, jasne, ale jeszcze silniejszą

wolę.

Któregoś dnia wróciłem wcześniej i zapomniałem ją o tym uprzedzić. Wszedłem do mieszkania, kiedy ona była w trakcie swojej sesji. Przez uchylone drzwi dojrzałem akt samorozkoszy, zarezerwowany nie dla mnie, a dla tych, którzy mieli ochotę zapłacić. Poczułem ukłucie żalu, chciałem się wycofać, ale ona jakoś mnie zauważyła. Poszedłem do łazienki i wziąłem prysznic. Ukryłem się. Kilka chwil później stanęła w drzwiach w samych tylko pończochach. Makijaż, który miała na twarzy był wyzywający, rozmazany. Usta powiększyła purpurą.

– Podobam ci się taka? – zapytała.

Spojrzałem na jej nagie piersi, wklęsły brzuch, wygolony wzgórek. Odparłem, że tak. Zaśmiała się wtedy i także weszła pod prysznic. Czułem jednak pewnego rodzaju niesmak.

W czerwcu zrobiliśmy sobie krótki wypad nad polskie morze. Malina wykupiła nam pięciodniowy pobyt w jednym z najdroższych hoteli w Międzyzdrojach. Nie zapytałem, skąd ma na to pieniądze, bo już od dłuższego czasu przestała narzekać na ich brak. Powiem szczerze, że nigdy nie myślałem o takich luksusach, wydawały mi się totalnie zbędne. Przez wszystkie te dni, chociaż zadowolony, czułem się trochę nieswojo. Malina wydawała się skupiać głównie na materiałach do sieci – wybierała drogie restauracje, modne miejsca i odpowiednie kadry. Musiałem robić jej zdjęcia w skąpym bikini od Gucciego. Nie podobało mi się to, ale nic nie mówiłem. Nie odezwałem się nawet wtedy, kiedy bardzo ubodły mnie jej słowa na temat naszego auta. Podczas jazdy Malina powiedziała:

– Rybko, musimy wymienić tego grata na coś nowszego.

Sama nie posiadała prawa jazdy.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo jest stary i źle wygląda.

– Ale ja lubię to auto.

Co prawda moje volvo było już wiekowe i zaczynało miejscami korodować, ale nie stać mnie było na nowy samochód, nie na tym etapie życia. Kiedy byliśmy już blisko hotelu, Malina kazała mi zaparkować na płatnym parkingu, jakieś dwieście metrów od hotelu. Zrozumiałem, że wstydzi się podjechać bliżej takim kiepskim samochodem. Musiałem tachać dwie walizki naszych ubrań, w pełnym słońcu. Walizki oczywiście też były markowe, kupione specjalnie na wyjazd. W środku znajdowały się najdroższe ciuchy, jakie miała – mnie też kupiła trochę takich rzeczy.

– Bardzo ci w nich ładnie, rybko – zapewniała.

– Wcale ich nie potrzebuję.

– Ale ja potrzebuję, żebyś wyglądał ładnie.

Kiedy wróciliśmy, z ulgą powitałem próg naszych wynajmowanych czterech ścian. Malina jednak wydawała się niespokojna. Coś zdecydowanie ją gryzło.

Dopiero po dwóch tygodniach postanowiła się przede mną otworzyć. Ale nasza rozmowa nie przebiegła zbyt dobrze. Nie wiedziałem też, czy poszła po jej myśli, bo choć były łzy i krzyki, wydawało mi się, że właśnie na to liczyła. Grała w coś, na coś. Być może chodziło jej o to, aby między nami w końcu wszystko umarło. Już od jakiegoś czasu wydawało mi się, że stanowię dla niej balast.

Zaczęła od tłumaczenia mi swoich planów na przyszłość, planów związanych z kreacją swojej postaci w sieci. Wszystko opierała na argumentach pieniędzy. Pokazała mi swoje dwa konta, przelewy, wszystko. Wychodziło na to, że zaczęła zarabiać niczym prawnik albo lekarz. Potem zapewniała mnie o tym, ile dla niej znaczą. Mówiła dużo o naszej miłości, przedstawiała mgliste wizje wspólnego życia, budowy domu pod miastem, wiecznych podróży i finalnie gromadki dzieci. Wspomniła też o wymarzonej ślubie. Wszystko, co mówiła, było jednak tylko fasadą, próbą zmiękczenia mojego serca. Tak naprawdę chodziło o coś, na co nie mogłem się po prostu zgodzić. Oświadczyła mi, że pewien bogaty mężczyzna z Warszawy zaproponował jej wyjazd do Hiszpanii na kilka dni. Bardzo mu się spodobała i chciała

zapłacić ogromne pieniądze za to, aby tam z nim pojechała. Miała być to szansa na jej rozwój. Tłumaczyła, że poza nią ma jechać jeszcze kilka innych dziewczyn, w tym również Elwira. Zarzekała się, że chodzi tylko o biznes.

Długo siedziałem w ciszy, patrząc na nią. Zrozumiałem nagle, że owe blaski w jej bursztynowych oczach, który kiedyś dostrzegłem i który tak mnie omotał, przysłał. Pewnie przysłał już dawno temu, ale fakt ten umknął mi albo nie chciałem go dostrzec.

– Nie – powiedziałem tylko. – Nie zgadzam się na żaden wyjazd.

– Rybko, przecież od samego początku wiedziałeś, co robię, wiedziałeś, że jest to dla mnie ważne. Jesteśmy razem od roku, a ty się nagle obudziłeś? Na co liczyłeś, co? Że mnie zmienisz?

– Pewnie tak.

Krzyczała. Padło wiele nieprzyjemnych słów pod moim adresem. Wyciągnęła wiele spraw, które ponoć ją bolały. Ja niczego więcej nie powiedziałem, słuchałem tylko z kamienną twarzą, nie dałem po sobie niczego poznać. Czułem się jednak kruchy i pusty jak gliniane naczynie. Rozbity.

– Jadę do Elwiry, możesz na mnie nie czekać – zakończyła po czym zabrała trochę rzeczy i wyszła z mieszkania.

Tej nocy zostałem sam.

Wieczorem się upiłem i po raz pierwszy postanowiłem zobaczyć, czym dokładnie zajmuje się w sieci Malina. Być może oszczędziłbym sobie tego wszystkiego, gdybym znacznie wcześniej przejrzał na oczy. Ściągnąłem w końcu z gardła zimne palce trupa, które do tej pory zaciskały się niczym irracjonalny strach. Nie było trudno ją znaleźć, posiadała już naprawdę duże zasięgi. Wykupiłem nawet dostęp do jednej ze stron, aby mieć wgląd do ekskluzywnych materiałów. Na jednym, jedynym filmie wytrzymałem mniej niż minutę. Potem wyłączyłem to wszystko i długo siedziałem w totalnych ciemnościach, w ciszy

przygniatającej smutkiem. Właściwie nie wiedziałem, co czuję. Było tego zbyt wiele.

Na drugi dzień po prostu się rozstaliśmy. Pojawiła się koło południa. Nie było już nawet udawanych łez, nie było płomiennych słów, aktów rejtanizmu. Przestała nazywać mnie rybka. Chłód gnieźdzący się między tymi ścianami przenikał mnie do szpiku.

– Wiesz, wydaje mi się, że nie byliśmy sobie pisani – wyjaśniła. – Ja potrzebuje kogoś, kto będzie mnie wspierał, rozumiał, doradzał. A ty... Po prostu chcemy od życia czegoś zupełnie innego.

– Powiedz mi, czego ty chcesz, Malina? Czego tak naprawdę oczekujesz?

Zamiast mi odpowiedzieć, stwierdziła, że powinienem być wdzięczny za czas, który ze mną spędziła.

– Nawet nie wiesz, ile wiadomości dostaję codziennie od mężczyzn, którzy zrobiliby wszystko, aby ze mną być – powiedziała wyniośle. – Mogłabym przebierać, codziennie mieć kogoś innego. Jestem wyjątkowa, ale ty nigdy tego nie doceniałeś. Sam przyznaj, że nigdy na mnie nie zasługiwałeś. Że trafiło ci się jak ślepej kurze.

– Jasne, nie zasługiwałem na ciebie – rzuciłem zobojętniały.

Nie chciałem dłużej tam być, przebywać w jej obecności. Spakowałem się i życzyłem powodzenia w tym, cokolwiek będzie robiła. Ona nie życzyła mi niczego, wpatrywała się tylko martwo w ścianę. Wychodząc, miałem ochotę objąć ją po raz ostatni, na pożegnanie. Wiedziałem jednak, że nie miało by to sensu. Wyszedłem i nigdy więcej już ze sobą nie rozmawialiśmy.

Wróciłem do akademika, udało mi się nawet odzyskać swój dawny pokój. Zostały mi jeszcze dwa lata studiów. W pracy byli ze mnie zadowoleni, twierdzili nawet, że powinienem pomyśleć o założeniu własnej działalności w tej branży. Traktowałem tych ludzi z szacunkiem, trochę nawet jak przyjaciół, ale nie powiedziałem o sytuacji z Maliną. Rodzice natomiast przyjęli moje rozstanie obojętnie, matka powiedziała nawet:

– Od razu wiedziałam, że to nie jest kobieta dla

ciebie.

– To czemu wcześniej twierdziłaś inaczej?

– Jesteś moim synem, nie chciałam cię ranić.

Tylko raz widziałem Malinę na mieście, jakieś dwa miesiące później. W galerii handlowej. Ona mnie nie zobaczyła, a może udawała, że nie widzi. Zrobiła sobie operację nosa, o którym tyle mówiła. Była w towarzystwie jakiegoś wysokiego, dobrze zbudowanego faceta. Wyglądał na takiego przy kasie, miał gdzieś pod czterdziestkę. Później, znacznie później, dowiedziałem się przypadkiem, że wyjechała do Warszawy robić karierę. Życzyłem jej oczywiście jak najlepiej.

Teraz, rok później, poznałem inną dziewczynę, nawet podobną do Maliny. Tym razem jednak nie w bibliotece. Właściwie staram się tam nie chodzić, nawet jeśli muszę.

Ma na imię Nina i studiuje weterynarię. Tego wieczora dopiero po raz drugi ją gdzieś zabieram, właściwie wybrałem jakiś film w kinie, a później się zobaczy. Nie wiem o niej jeszcze zbyt wiele. Wydaje się być miłą i ułożoną, empatyczną. Chciałaby uratować wszystkie bezdomne koty i psy. Kiedy mówi, jej usta poruszają się jakoś tak przyjemnie. Niczego sobie rzecz jasna nie wyobrażam i niczego nie planuję. Wciąż jeszcze myślę o Malinie i o tym, co było. Wciąż czuję, jakby mi coś odebrano.



W załodze karetki pogotowia

Marek Pietrzykowski

Stalowa Wola, grudzień 1981, stan wojenny

Dla nas, a zwłaszcza dla mojej żony Grażyny, jest to bardzo trudny czas, bowiem spodziewamy się dziecka. Kupienie czegokolwiek w Stalowej Woli wymaga nie lada zabiegów i nieziemskich kombinacji. Przed świętami wybieram się na zakupy z listą sporządzoną mi przez Grażynę. Najważniejszym jej punktem są drożdże, wszystko ma być pełnopłatne na 100%, bez żadnych zniżek, ale problem polega na tym, że pomimo pełnej odpłatności, nic nie można kupić. Sprzedawczyni w sklepie PSS „Społem” przy ul. Komisji Edukacji Narodowej z miną świeżo nagrodzonej gwiazdy filmowej oznajmiła mi, że powinienem wiedzieć, iż drożdże były wczoraj. Jak widać, z tą wiedzą jestem do tyłu.

To już moje kolejne złe doświadczenie z tego sklepu. Niedawno władze miasta wpadły na pomysł, aby brakujące towary sprzedawać po godz.16-tej, gdy pracownicy Huty Stalowa Wola będą po pracy. Może to w teorii i niegłupie, ale wykonanie fatalne. Jak zwykle diabeł tkwi w szczegółach. Sklep pełen jest klientów i bawiących się dzieci, których bez opieki matki nie zostawią przecież samych w domu. Rejwach nie do opisania. Bywa, że i bez deszczu dzieci się nudzą. Aktorki zaczynają ważyć towary dopiero po 16-tej. Wcześniej były zajęte obsługą tyłojentów na zapleczu sklepu. Szczęk nożyczek, wycinanki z kartek żywnościowych lądują w stoikach. Dziesiątki par oczu ludzi stłoczonych w sklepie śledzi w napięciu misterium sprzedaży. Kalkulatory w głowach przeliczają, starczy dla mnie, czy nie? Czy znowu odejdziemy z pustymi rękami?

Jakby nie patrzeć, nie wyobrażam sobie Świąt Bożego Narodzenia bez babek i słonej

bułki, które pamiętam od zawsze z domu w Krakowie. Grażyna pielęgnuje krakowskie zwyczaje z nadzwyczajną starannością i pietyzmem. W prezencie ślubnym dostała od mojej babci Marii jej zapisany ręcznie zeszyt z przepisami kulinarnymi. Są w nim kaligraficznie spisane różne stare przepisy, ilości jaj podane w kopach, masło w funtach. Od dziecka służyłem jako siła fizyczna do pomocy w kuchni. Nieraz babcia nie mogła się pogodzić z tym, że wyrabiałem ciasto dwoma rękami lub, o zgrozo, ucierałem masę do tortu w lewą stronę. Było minęło, ale poszanowanie dla świątecznych zwyczajów mam w sobie, i jestem szczęściarzem, że mogę śmiało powiedzieć, iż mamy je wspólnie z Grażyną.

Trudno sobie wyobrazić święta bez domowych wypieków, a więc dobrze byłoby mieć drożdże. Wyszedłem z domu, ale drożdży nigdzie nie udało mi się upolować, musiałem zacząć je zdobywać w inny sposób, jako tyłojent. Trafiam do piekarni w Rozwadowie. Wiem, że nie mam co pytać od frontu, w sklepie. Czas są takie, że bez kombinacji i znajomości nie można nawet kupić drożdży - i to w najbardziej pożądanym czasie, czyli przed świętami. Ostrożnie zaglądam od zaplecza piekarni. Widzę wielkie kadzie maszyn do wyrabiania ciasta, zaskakujące swoimi wymiarami, i czuję ten charakterystyczny drożdżowy zapach unoszący się w powietrzu. Widok twarzy bladych od mąki, roznegliżowanych do pasa piekarzy - tworzy dziwne połącze-

nie piekarni, młyna i plaża. Istne poplątanie z pomieszaniem. Wsuwam nieśmiało głowę przez drzwi, usiłując zagać coś na początek. To takie klasyczne działania rozpoznawczo - zaczepne, mające usprawiedliwić jakoś moją obecność na tyłach piekarni i pozwolić zorientować się, jak skutecznie zagadać, żeby wyjść z drożdżami. Czas, w którym się zjawiłem, okazuje się nietrafiony lub używając współczesnego języka, niefortunny. Właściciel piekarni nie jest zainteresowany rozmową. Życie właśnie mu się niespodziewanie skomplikowało, gdy szlag trafił maszynę do wyrabiania ciasta. Jestem dla niego namolnym intruzem, który zawraca głowę w najmniej oczekiwanym momencie. Czuję, że powinienem się szybko i skutecznie wynieść. Robię dokładnie odwrotnie i proponuję pomoc w naprawieniu maszyny za walutę, którą ma być duża paczka drożdży. Po jego twarzy widzę, że rozmowa zacznie się kleić. Zdejmuję kurtkę, pytam o narzędzia i zaczynam rozbebeszać maszynę do wyrabiania ciasta.

Po niemal dwóch godzinach wychodzę z piekarni, zostawiając za sobą zadowolonego piekarza i sprawną mieszkarkę. W ręce mam wielką paczkę drożdży, z którą wracam do domu. To cały mój zarobek, z którego jestem więcej niż bardzo dumny i szczęśliwy. W drzwiach wita mnie Grażyna, zdenerwowana tym, że przepadłem bez wieści wychodząc tylko po drożdże. Zdaję sobie sprawę, że młodym ludziom, którym współcześnie już od czasów ząbkowania dawane są komórki zamiast grzechotek, trudno będzie to zrozumieć. Sam przecież wielokrotnie bywając teraz w sklepie, gdy zapominam, co miałem kupić, dzwonię. A gdy przypadkiem okaże się, że nie wziąłem ze sobą komórki, schodzę bardziej na ziemię i wracam do czasów słusznie minionych.

Pamiętam, że trudno mi było zrozumieć, kiedy rodzice opowiadali o sytuacjach z woj-

ny, gdy ktoś wychodząc po papierosy do kiosku naprzeciwno, nigdy nie wracał. Nie porównuję absolutnie stanu wojennego do tragedii prawdziwej wojny, którą znam jedynie z historii, literatury, filmu i opowiadań naszej mamy Anny, żołnierza AK, ale ta codzienność stanu wojennego, poprzedzonego wieloma latami chwilowych braków w zaopatrzeniu, jak to przewrotnie nazywała partyjna propaganda, była jednak prawdziwą zmurą codziennego życia - nie tylko zresztą w Stalowej Woli. Kupienie mięsa, paliwa, zaspokojenie skromnych elementarnych życiowych potrzeb, to nasze codienne upodlenie. Piszę o życiu, którego byłem zwykłym uczestnikiem, wraz z innymi.

Stan Grażyny oraz chęć wyręczenia i zaoszczędzenia jej dodatkowych zmar-twień był dla mnie stanem wyższej konieczności. Któregoś dnia żona rozpląkała się, nie mając co do garnka włożyć. Po nocnych czuwaniach pod sklepem mięsnym, kiedy w mroźne grudniowe noce w Stalowej przed sklepami płonęły ogniska, nie przynosiłem do domu niczego poza zapachem dymu na kurtce. Wtedy mocno postanowiłem, że czas najwyższy zadziałać inaczej. Sceny z filmów wojennych, m.in. z „Zakazanych piosenek”, oraz wspomnienia z dzieciństwa na Floriańskiej, gdzie zjawiał się desant mięsny ze wsi w osobie Pani Zającowej, podpowiadały kierunek działań.

Dobrze, że jesteście otoczeni żywymi sąsiadami, którym możemy zaufać. Rozmawiam z Zenkami. Jako lekarze mają większe od nas możliwości i rozeznanie: co, z kim i za ile. Obiecują, że pomogą. Nie wypytuję ich o szczegóły, ale widzę, że są mocno osadzeni w temacie. Należy działać niezwykle dyskretnie i nadzwyczaj ostrożnie. W paragrafach

stanu wojennego, o których codziennie będą w „Dzienniku Telewizyjnym” prezerterzy w mundurach, nie ma dnia, żeby nie było czegoś o handlu mięsem i grożących za to karach.

Po kilku dniach Zenkowie zapraszają mnie na spotkanie konspiracyjne pod tytułem: świniobicie. Impreza ma być troszku grupowa, bo na całą świnkę po prostu nas nie stać. Niecałe dwa lata pracujemy w HSW i nasze inżynierskie pensje nie pozwalają na taki wydatek. Dowiaduję się, że na zdarzenie zostanie dowieziony i mam mieć przy sobie określoną ilość gotówki. Mam też nie zadawać pytań. Pomyślano o wszelkich aspektach dochowania tajemnicy.

Następnego dnia o wczesnoporannej godzinie pod nasz blok ma podjechać karetka pogotowia. Z kierowcą mam się przywitać w ściśle określony sposób, a mianowicie: Dzień dobry panie Fellini. To jest nasze umówione hasło, które potwierdzi kierowcy, że wszedł ten człowiek, który wsiąść powinien; nie żaden inny. Karetka przyjeżdża na czas, witam się umówionym hasłem, kierowca i sanitariusz w jednej osobie, słowem Pan Fellini, zaprasza do samochodu i wiezie mnie w kierunku Sandomierza. Dokąd dokładnie nie wiem, bo i po co. O nic nie pytam, bo i nie wypada, a zresztą i tak pewnie niczego więcej przed imprezą bym się nie dowiedział. Zapowiada się ciekawie. Jedziemy sobie, nie rozmawiając zbyt dużo. Ja głównie słucham - co na co dzień raczej się nie zdarza, ponieważ jestem gadułą. Kierowca co chwilę dokładnie się rozgląda na lewo i prawo, głowa kręci się na jego szyi jak u pilota agro. W międzyczasie kierowca wydukał kilka słów o sobie. Wiozący mnie w nieznane kurier, ma po prostu na imię Felek. Jest sanitariuszem w Pogotowiu w Stalowej Woli, a Fellinim przezywają go koledzy.

W pewnym momencie z głośnika radiotelefonu karetki, odzywa się ruska mowa. Nie

jakieś tam pojedyncze słowa, ale całe zdania i to wypowiedane w żołnierskim stylu. Pytam więc, szczerze zdziwiony i zaskoczony, tak po naszymu - znaczy po polsku:

- Panie Felku, a skąd, tu Ruskie? Dlaczego się odezwały w radiotelefonie?

Na co Felek:

- Panie, to pan nic nie wie? Przecież ich wokół Stalowej jest tylu, co nas.

Mój przewodnik, który codziennie, o różnych porach dnia i nocy, objeżdża stalowowskie przysiółki karetką pogotowia, recytuje jak z pamięci:

- Panie! W Zaleszanach, za taką a taką stodołą, stacjonują. Padają precyzyjnie podawane pozycje dyslokacji ruskich oddziałów wojskowych, otaczających Stalową Wolę, jak na oficera szpicy zwiadu przystało. Pan Felek jest rzeczywiście doskonale zorientowany i mógłby być pomocny, gdyby np. trzeba było pozycje wroga nanieść na mapę.

Zjeżdżamy z głównej drogi i zbliżamy się karetką do jakiegoś gospodarstwa, z którego gospodarze wychodzą nam naprzeciw. O żadnych konwenansach, przedstawianach nie ma mowy. Pada chłodne dzień dobry, bez oznak zaufania do mojej osoby - i to wszystko.

Felek zasypuje gospodarzy wiązanką pytań:

-Wrzątek nagotowany? Wanienska drewniana jest?

Z pytań orientuję się, że Felek będzie dzisiaj grał pierwsze skrzypce w jednoosobowej orkiestrze - role: kata, rzeźnika i masarza, nie mylić z masażystą. Okazuje się, że z nami - jako wyposażenie karetki - przyjechała duża, profesjonalna, elektryczna maszynka do mięsa i zestaw lejków do napychania kiełbas. Mamy też bogaty zestaw jelit. Może się przydać, gdyby przypadkiem przyszło opatrywać postrzał brzucha. Wszystkie te szpeje

wyjmuje Felek na moich oczach ze schowków karetki.

Kłapoucha blondynka, nieświadoma ostatnich chwil życia, biega po obejściu, ogłaszając swoją obecność głośnym kwiczeniem. Może pacjentkę zmylił widok karetki i biały kitel sanitariusza-kierowcy, może chce mu wyjawic swoje dolegliwości, a może jest po prostu zaskoczona wizytą służby zdrowia.

Felek staje jej na drodze z siekierą w ręku. Siekiera jest miejscowa i nie pochodzi z torby medycznej wyposażenia karetki. Narzędzie pewnie nie jest sterylne.

Fellini zadaje ofierze cios siekierą w głowę! Trzonek łamie się z trzaskiem! Zwierzę kwiczy niemiłosiernie i dalej biega jak oszalała po obejściu. Gospodarze i kat usiłują je dopaść. Patrząc na te sceny, staram się być jak najdalej, ale mimo to domyślam się ich przebiegu. Wprawdzie jeść trzeba (wegetarianinem nie jestem), ale dotychczas jedzona kiełbasa nie kojarzyła mi się nigdy ze śmiercią zwierzęcia. Udaję, że nie słyszę docinków gospodarzy w stylu: Ależ te miastowe cholernie wrażliwe! Drewniana wanienska jest już w użyciu, a po wrzącej kąpieli sznur w stodole, przeprowadzony przez bloczek u belki, jest mocno naprężony. Sceny i zapachy na pewno nie z mojej bajki i chętnie bym stamtąd uciekł, gdyby nie konspiracyjny cel, który mnie przywiódł w to utajnione miejsce.

Mija godzina za godziną, zapada zimowy wczesny zmrok. Maszynka warczy, świnka już przebrana. Udaje: a to węża wychodzącego z maszynki do mięsa, a to kawior w ubranku kaszanki. Salcesony gotują się w wielkim kotle, w którym zazwyczaj gotowała się pasza dla dzisiejszej ofiary. Wyroby już rozdzielone pomiędzy uczestników tego

konspiracyjnego spotkania, kasa zmieniała właścicieli. Denatka w odmienionych postaciach spoczywa w miednicy i zajmuje miejsce pod kocem na noszach. A nosze, jak nie trudno się domyślić, w karetcie. Fellini, jak na sławnego reżysera przystało, przed drogą powrotną wręcza mi biały kitel i przedstawia scenariusz powrotu pacjentki do domu. Tak białe i sterylne wyelegantowani towarzyszymy blondynce w jej ostatniej drodze. Jakoś mi smutno i przykro. Polędwiczki, podobno przysmak każdego świniobicia, podawane wprost z patelni, wcale mi nie smakowały. Ledwo je przełknąłem, bo byłem po prostu bardzo głodny. Pocieszam się myślą, że nie wszystkie interwencje medyczne zespołów pogotowia kończą się uratowaniem życia pacjenta.

To nie był głupi pomysł, aby pacjentka wróciła do domu na noszach. Nasz blok przy ul. Wojska Polskiego ma 10 pięter i kilka klatek, a w każdej z nich wiele okien, w których widzowie mogliby się podzielić swoimi obserwacjami z tymi, których wiedzy wolelibyśmy uniknąć.

Sanitariusze szybkim krokiem wnoszą pacjentkę do bloku. Chora jest przykryta po samą głowę, czemu akurat trudno się dziwić, wszak koc na noszach lichutko cienki, a mróz pod wieczór trzyma siarczysty. Śnieg głośno skrzypi pod stopami załogi karetki pogotowia.



Drugi koniec

Wojciech Kopacz

Lubię wybierać – jeśli oczywiście mam taką możliwość – ostatnie wagony w pociągu. Najważniejsze dzieje się z przodu, cały ów (wcale nie daremny) sprzęg i usił. A ja potrzebuję dystansu, optymalnego punktu obserwacyjnego. Siedząc na końcu składu, dobrze wszak widać lokomotywę, gdy oczywiście pociąg jest wystarczająco długi, tak że na zakrętach dostrzec można całą tę kolejową pielgrzymkę, niestrudzenie zmierzającą do swojej Mekki w postaci końcowej destynacji - krańcowej stacji, położonej na drugim końcu kraju.

- Ruszam w górę mapy – oświadczyłem uroczyście moim znajomym, siedząc już w bezprzedziałowym Intercity.

Odpowiedź na pytanie, co mnie tak przyciąga, co tak nęci zmysły, że wracam ciągle w te rejony, podążam - jak by to ujęła propaganda komunistyczna – szlakiem Krzywoustego czy innych Piastów, nigdy nie jest oczywista. Tym razem próbuję zapełnić swoją wewnętrzną, międzykomórkową pustkę bezkresem popegeerowskich budynków, poniemieckich kamienic, przydworcowych murowanych wież ciśnień, starych przytorowych hydrantów... Próbuję odtwarzać sobie te sceny z historii – najpierw – to była jeszcze Republika Weimarska – i Niemcy próbowali wznieść pas obronnych fortyfikacji na terenie Pomern, czyli obecnie mniej więcej Pomorza Zachodniego. Zaczęło się snucie planów, analiza uwarunkowań topograficznych i cały ten znój, a potem – przyszedł w końcu 1933 rok. I wtedy z defensywy postanowiono przejść w ofensywę. Opowiedziane to bez głębi, ale tylko na tyle jestem w stanie sobie to ukonstytuować w umyśle, gdy czytam o minionym. Co innego, gdy widzi się efekty tych militarnych poczynąń. Bo władze Rzeszy wybrały sobie w latach 30. Pojezierze Pomorskie, by tam wznieść swoją bazę wojskową. Niedostępna, w pobliżu niby-stepu i dziś nie jest łatwą do

osiągnięcia. Najpierw pociąg do Szczecinka, potem bus Ewangelickiego Związku Braterskiego zmierzający do celu, któremu na imię Gross Born, Борне-Сулиново lub też – Borne Sulinowo.

Ów truizm, że nazizm i komunizm zbytnio się od siebie nie różnią, wydawał się najdobitniej wybrzmiewać właśnie tam, niczym echo spomiędzy ruin, skrzywionych sylwetek betonowo-marmurowych konstrukcji. Dom Oficera, położony nad Jeziorem Pile, nad którym górowała rzeźba polującej Diany (ta akurat zdołała przetrwać pożar z 2010 roku) najpierw służył za kasyno Wehrmachtowi, potem stacjonowała tam Armia Czerwona. I nagle, gdy tak stałem na popękanych płytach chodnikowych, na ogromnym niby-dziedzińcu, wyobrazić sobie mogłem istotę roku 1938, gdy sam Fuhrer przybył tam podobno z wizytą. To był ten czas, kiedy machina zbrodniczego systemu działała już w zatrważającym tempie, a w Europie zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki nadchodzącego konfliktu. Choć jeszcze w sierpniu, kiedy to Wódz nazistów przybył do Bornego, w czasie między anshlussem Austrii a konferencją monachijską, można się było łudzić, że świat uniknie pożogi. Na razie jednak nikt nie słuchał żadnej Kasandry, a zmysły wojskowych mąciły przepych, galanteria, kontredanse na zdobionych, błyszczących parkietach Domu Oficera i mistrz retoryki, przemawiający tam, gdzie dziś znajdują się li tylko gruz oraz chwasty. Może była tam gdzieś jakaś łoża, balkon – tam, gdzie widzę te zwisające strzępki betonowych okrucichów, zawieszone na nitce stalowych mocowań, powoli spływające w dół, rozciągając mocowanie do granic możliwości, tak że wydaje się, iż cała zbrojeniowa konstrukcja zaraz się rozpadnie, tym razem nie z udziałem flory ani fauny, lecz wiatrów smagających nadjeziorny brzeg Gross Born.

Spoglądam w górę na zwęglone rusztowania u sufitu i słyszę, jakby powtarzane wraz z podmuchami frazy: Ein Volk, Ein Reich, Ein Fuhrer, potem widzę, jak gałęzie drzew falują w inną stronę. I nagle przed oczyma ukazują się nowe malowidła, ktoś coś mówi o rewolucji proletariatu, są gieorgiejewki, krasiwje dziewczuszki... Aż w końcu żywioł ustaje. Zostaje tylko śpiew ptaków i bulgocące wody na brzegu jeziora. Wszak nad Pilem, lokalnym jeziorem, dało się słyszeć symfonię ptaków. Co jakiś czas zdarzały się nieopodał, wyremontowane budynki, spółdzielnie mieszkaniowe ukryte w zieleni rosnących na bielcowych glebach: sosen, świerków i jodeł. Jednak roślinność zdawała się wciąż górować nad betonem, próbując odzyskać co swoje, odbić terytorium z pomocą zastępów krzewnych i brzozowych, które maszerowały po dachówkach, a których członków-korzeni z upływem dekad przybywało. Tak jakby tamto miasto na zawsze już miało być znaczeniowo związane z wojskowością – najpierw niemiecką, potem sowiecką, a w końcu – roślinną. I owa ostatnia z armii wydaje się tu panoszyć najbardziej i trwać najdłużej, choć i ją może w końcu czekać kres. Wciąż jednak dominują lasy i coś, co przypomina step, niczym na poligonie atomowym w Semipałatyńsku, gdzie spostrzegam ten bezkres, patrząc na stare spichlerze, które jednak bardziej przywodzą na myśl bloki mieszkalne niż koszary wojskowe. Imaginacja podsuwa różne frapujące wytwory: dostrzegam tam w oddali, jak Erwin Rommel i Afrika Korps przedostają się przez nubijskie piaszczyste wzgórza; rolę piasków pustynnych pełnią jednak chabry oraz wysoko rosnące i wszechobecne trawy. I nie wiem, czy to północna Afryka czy Kazachstan, choć GPS wskazuje jasno, iż spaceruję po zachodniopomorskich bezdrożach. Lokalni oczywiście już dawno zobojętnieli na ową erozję, tak jak się przyzwyczajają do straty, efemeryczności naszego otoczenia, rozptywania się obrazów w nicości, a może w próżni, która jednak całkowitą nicością się nie wydaje, bo wciąż

działa tam siła ciężkości dnia codziennego; miejscowi po prostu żyją, jak nakazują konwenanse, rozmawiają ze sobą żywiołowo w busie, którym jadą ze Szczecinka, dyskutują o tych samych perturbacjach, które mogliby napotkać osiemset, tysiąc czy dwa tysiące kilometrów stąd. Gdy wracam z Bornego, spotykam chłopaka, nieco młodszego ode mnie, który rozmawia z kimś, kto zdawał się być jego nauczycielką lub sąsiadką.

- I co, Piotrek, jedziesz do cywilizacji? – pyta go.

Ten tylko skwapliwie przytakuje.

A jednak jest w Gross Born, tam na Pojezierzu, jakaś cywilizacja. Cywilizacja przemian, dopasowywania się do chwili, próby uchwycenia - w tych posępnych niekiedy kadrach prowincji - piękna życia, prozaicznego szczęścia. Kto może wszak przewidzieć, co tu jeszcze nastąpi?



Pajac i pies

Przemysław Znojek

Zapach kadzidła unosił się w mieszkaniu. Widmo starszej kobiety przechodziło z pokoju do pokoju, trzymając w ręku atrybut przypominający jako żywo lampę naftową, ta dymiła zapachem ostrym, pochłaniającym inne, dominującym nad nimi - ciężkie piżmo z nutą naftaliny wdarło się do poszczególnych pomieszczeń, dając świadectwo, że ona wciąż tu jest. Niestety nikt z dorosłych nie wyczuł tego zapachu, przyzwyczajeni do tego, czym pachnie dom, lokatorzy pozostawali niewzruszeni w swoich minimalistycznych światach, tylko on jeden czuł jej obecność. Mimo chorych i wciąż zatkaných zatok wchłonał woń dobrze znaną w czasie, gdy otwierał wielkie pudło z ozdobami na choinkę. Kwadratowy, papierowy karton, w którym znajdował się kiedyś odtwarzacz kaset VHS, przywieziony z Niemiec pod koniec lat 80. XX wieku. Symbol dobrobytu i powodzenia. Porównywalny z pierwszym łykiem coca-coli z lat 70., powiew zachodu w środkowo-wschodniej Europie. Pudełko pełne bibelotów świątecznych każdego roku stawało się dlań pirackim skarbem. Wciąż na nowo odkrywał w nim ozdoby - te nowsze, zgodne z panującymi wówczas trendami świątecznymi, jak i te starsze, naznaczone zębem czasu. Zatapiając się w świat plastikowy i szklany, odnajdywał także ten pluszowy, częstokroć zdarty, odrapany; a poszarzałe pudło zdawało się nie mieć dna, mieściło bowiem niezliczone ilości różnych materiałów. Zachęcony wkładał do niego rękę, która chowała się w papierowej powierzchni aż po bark. W ten sposób grzebał w nim, wykonując ręką ruchy przypominające te podczas pływania. Zapewne rzuciłby się na tę głęboką świąteczną wodę, gdyby nie fakt, iż z sąsia-

dującej z pokojem kuchni usłyszał wyraźny głos: Szymek, do mycia!

Niechętnie przerwał dotychczasową penetrację. Po trzecim wezwaniu udał się jednak w kierunku łazienki, żeby odbyć wieczorny rytuał, przyspieszający sen. Gdy wrócił do pomieszczenia, karton był zamknięty i jedynie słabe światło biurkowej lampki rozjaśniało nieco ciemność nocy. Przebrany w piżamę, od razu wskoczył pod puchową kołdrę, owinął się nią szczelnie, aż po same uszy, wykonał jeszcze dwa niezależne od ciała drgania, po czym zasnął.

We śnie do niego przysła, pokój na nowo wypełnił się wonią kadzidła.

Kolejny wieczór spędził na tym samym - zanurzaniu się w wypełnione po brzegi pudełko i przebieraniu wśród choinkowych zabawek. Trafiał na prawdziwe skarby - trofea w postaci ozdób świątecznych: te najstarsze, a zarazem najbardziej pociągające, budziły w umyśle dziewięcioletniego dziecka pewien rodzaj niepokoju. Jedną z nich bez wątpienia stanowił pies wykonany z pluszu. Zwierzę przypominało jamnika - z długim tułowiem i ogonem, oklapniętymi uszami, a także dziwnie zakrzywionym, spiczastym nosem. Głowa zabawki wykonana została z małej, szarej, okrągłej bombki, na którą ktoś przykleił koślawy nos oraz parę niebieskich oczu, najprawdopodobniej stworzonych z filcu. Pies wyglądał trochę niechlujnie, być może to przez wzgląd na czas powstania zabawki. Przyglądał mu się długo, przedstawiając ozdobę bezpośrednio pod żółte światło biurkowej lampki, by po analizie z powrotem zapakować ją do pudełka. Powtórzył ten manewr raz jeszcze, tym

razem z drugą, odrębną zabawką - plastikowym pajacem. Geometryczna ozdoba, która składała się z jednego trójkąta - czerwony kapelusz, kuli - imitującej tułów postaci oraz odwróconego trójkąta, przypominającego odnóża-nogi. Całość pomalowana została szaro-srebrną farbą, nie wliczając dwóch milimetrowych kropek czarnych służących za oczy postaci. Trzymał ozdobę bardzo blisko światła lampki, obracając ją w dłoni, po czym wrzucił w głąb otwartego wieka kartonu. Wrócił do ulubionej czynności, nurkowania ręką wśród sztucznych materiałów o różnych kształtach, gdy poczuł, że szczypie go skóra. Wynurzył rękę, a na przedramieniu dostrzegł czerwoną, lśniąca plamę. Wystraszył się, zaczął krzyczeć i płakać.

Do łazienki, natychmiast trzeba to przemyć wodą utlenioną - usłyszał głos z kuchni.

Na świeżej, na szczęście nie głębokiej, ranie, utworzyła się warstwa białej piany. Wtedy zaczęło mocniej szczypać, zagryzł wargi, żeby nie krzyczeć, całą swoją złość wyładowywał teraz na ustach. Najważniejsze, że krew już nie leci, chociaż niewiele jej było. Agraftka cię tak urządziła, mówi się, żebyś nie wkładał tam całej ręki, a jak trafisz na szkło...

Nie słuchał, zajął się wdychaniem pociągającej woni, znów czuł ten charakterystyczny zapach. Gdy wrócił do pokoju, rzucił się na łóżko, wślizgnął niczym zwinny zaskroniec pod kołdrę, a potem usłyszał już tylko mechaniczne:

Dobranoc.

Dobrej nocy jednak nie uświadczył, nie mógł zasnąć, kręcąc się z boku na bok, w wilgotnej od potu pościeli. Kiedy już sen miał nadejść, przekraczał właśnie próg pokoju, usłyszał dźwięk, który kazał mu się podnieść. Z papierowego pudełka dochodziło wyraźne pukanie, wieko delikatnie unosiło się ku górze, jednak nie zostało otwarte. Podszedł na kolanach bliżej kartonu, przy-

łożył do niego ucho i czekał. Zaczął drgać, gdy jeszcze wyraźniej słyszał odgłos pukania w wieko, tak zbliżony do pukania w drzwi. I tak jak przed każdym niezapowiedzianym gościem, zastanawiał się, czy otworzyć, czy może przeczekać kłopotliwy moment, udając, że nikogo nie ma w domu. Wewnętrzna walkę wygrała jednak ciekawość. Powoli i z pietyzmem podniósł papierowe wieko pudełka do góry, mimowolnie odsunął się od niego raczkując. Ku zdumieniu dziecka z wnętrza wyszła postać do złudzenia przypominająca zabawkę psa, gigantycznych rozmiarów, mogła mieć nawet około dwóch metrów wysokości, ponieważ czubkiem głowy ocierała się o sufit pokoju. Jęknął niepokojąco, zdając sobie sprawę z wagi swojego czynu.

Ileż można pukać! - warknął pies.

Oszołomione dziecko nawet nie próbowało odpowiedzieć, tym bardziej, że za chwilę z kartonu wyskoczyła druga postać - pajac, który wymiarowo zbliżony był do wzrostu dziecka.

Co się gapisz!?! - odparował na wstępie.

Ładnie to tak, świecić nam po oczach, ładnie? - zapytał wzburzony.

Wtedy postać psa chwyciła chłopca, a uścisk nie wydawał się psi, wręcz przeciwnie, jego siła przypominała raczej niedźwiedzia. Złapał nieprzytomne dziecko wpół, niczym zabawkę i skierował się w stronę biurka. Odpalił lampkę stojącą na hebanowym biurku, a głowę dziecka przystawił bezpośrednio pod żółte światło. Trzymał w ten sposób, dopóki rozgrzana żarówka nie zaczęła drażnić skóry na czole. Gdy miał pewność, że poparzyła skórę, puścił bezwładne ciało prosto na podłogę, złożoną z drewnianego, ciemnego parkietu. Niezapowiedziani goście urządzili sobie zwiedzanie pozostałych pomieszczeń, przy tym poruszali się w sposób tak pokraczny, że kwestię czasu stanowił fakt, kiedy obudzą innych domowników. Ock-

nał się, co prawda, ból głowy rozsadzał mu czaszkę, obudził się, czując, że leży w kałuży, na szczęście, nie była to krew, a mocz, widocznie ze strachu nie wytrzymał. Zdziwił się, że leży na podłodze, czyżby spadł z łóżka, nawet jeśli, nie znalazłby się w drugim rogu pokoju. Prawdopodobnie kolejny raz miał halucynacje, zmiana leków dała o sobie znać w nieubłagany sposób. Powoli podniósł się z parkietu, zdecydował, że musi iść do kuchni, musi się napić wody, ponieważ czuł, że dopadło go odwodnienie. Nie zapalił światła w pokoju, przeszedł szybko do kuchni, kierował się prosto do brudnobiałej lodówki, za nią schowana została zgrzewka wody mineralnej. Znajdując się na wysokości żyrandola, poczuł, że o coś zaczepił - ewidentnie niezidentyfikowany obiekt odbił się od jego obręczy barkowej. Cofnął się pod ścianę, gdzie znajdował się włącznik światła. Wymacał go w absolutnej ciemności, dotknął, a wtedy blask jasnego światła oślepił go. Przyłożył przedramię do oczu, nic nie widział, musiał przyzwyczaić wzrok do sztucznego blasku. Zmrużył oczy maksymalnie jak tylko potrafił, wtedy zobaczył przed sobą przerażający obraz. Na przewodach od żyrandola wisił bezwładnie starszy mężczyzna, jego oczy przypominały rybie - były wyłupiaste i puste, część języka przygryziona została przez dolną i górną szczękę. Wydał z siebie przejmujący krzyk, niczym dzikie zwierzę, bał się kolejnych ruchów po mieszkaniu, nie chciał widzieć kolejnych ofiar złożonych ze współlokatorów. Bezradny oparł się o ścianę, kucając przy niej. W tym momencie poczuł znany zapach piżma i naftaliny, pojawiło się widmo nawiedzające dom. Mara, o wizerunku starszej kobiety, niosąca przed sobą atrybut przypominający lampę naftową, od której roznosiła się wyczuwalna woń. Pochyliła się nad nim, przytulając mocno. Otwarte usta przemawiały do dziecka, jednak on nie potrafił odczytać znaczenia słów,

nie słyszał ich, a może nie rozumiał. Otulony niewidzialną ręką, usłyszał tylko najpierw jeden, a potem drugi krótki dźwięk dzwonka do drzwi. Wtem zerwał się na równe nogi, nie zapytał kto tam, po prostu otworzył drzwi na oścież. A przed sobą, w progu mieszkania, ujrzał sylwetkę mężczyzny - sąsiada z wyższej kondygnacji, pocziwego pana w okularach, który poza nałogiem palenia papierosów, nie skarżył się na nic i na nikogo. Sąsiad zapytał pojeźdźcą:

Wszystko w porządku? Słyszałem krzyki. Nie potrafił wydusić z siebie ani słowa, stał przerażony i drżący.

Choć, idziemy na górę, nie możesz zostać tu sam, jesteś jeszcze za mały.

Chwycił wyciągniętą dłoń mężczyzny, przechodząc przez próg mieszkania, na klatce schodowej delikatnie świeciła żarówka, wkręcona miesiąc temu - widać było po jej blasku, że to już jej ostatnie chwile.

Rano wszystko wróci do normy, nie będziesz sam - powtarzał sąsiad w uspokajającym tonie. Przeszli po dwóch blokach schodów, docierając do mieszkania na wyższym piętrze. Mężczyzna wyciągnął pęk kluczy, jeden z nich włożył do metalowego zamka i przekręcił z łoskotem. Drzwi otworzyły się, sąsiad wszedł pierwszy, za nim podążało blade i wystraszone dziecko. Starszy mężczyzna nacisnął włącznik światła, stając tyłem w progu pokoju nazywanego buńczucznie salonem.

Zobacz, tutaj ci nic nie grozi.

Za nim na dwóch drewnianych fotelach siedzieli naprzeciwko siebie: gigantyczny pluszowy pies i geometryczny pajac.



Uwierzcie wariatowi

Joanna Storczevska-Segieta

Wodorki mojego oddechu drażniły powietrze. Myślałem, z płaczącą zazdrością, że ja także chciałbym pofrunąć, oddalić się od siebie...

Stałem jak słup pod budynkiem Izby Lekarskiej. Wyrzucili mnie za niestosowne zachowanie wobec profesora Marabuta. Ten przemądry człowiek egzaminował moją córkę na studiach z psychologii stosowanej, a mnie cztery razy zamykał w psychiatryku. Miałem do niego sprawę, a ponieważ znaliśmy swoje dobre i złe strony, wczoraj odważyłem się pójść do jego willi. Nie był zadowolony, chociaż ja byłem miły - a nie zawsze tak mam. Powiedział, że dla zdrowia psychicznego w domu nie rozmawia o sprawach zawodowych. Umówiliśmy się rano w gmachu Izby Lekarskiej. Na koniec jeszcze spytał: Panie Janku, leki pan bierze regularnie?, a ja kiwnąłem bez konkretów. Machnął ręką.

I dziś pojawiłem się na omówienie ważnej życiowej próby, a on znów - że nie ma czasu. Pytam więc, gdzie ma to przynieść. Zrobił się zły i nie odpowiedział. Trudno, moją uprzejmość to przerosło. Nazwałem to chamsko innym słowem - też na „ce - ha” - i ochroniarz wyprowadził mnie na zimno.

O 14.00 wszedłem jeszcze raz do środka budynku, tym razem bez mówienia prawdy. I-co za fart - lekarze właśnie skończyli naradę. Profesor Marabut idzie do mnie, kiwając w poziomie głową, a za nim inne fartuchy. Czuję, że Izba Lekarska właśnie wyprosiła za drzwi mój wniosek o uwolnienie ze mnie ludzkiego odruchu.

- Proszę pana, ze względu na chorobę nie możemy zrealizować pańskiej prośby - profesor Marabut mówi do mnie, ale patrzy na stojących za nim.

→ Jaką chorobę? - pytam i dorzucam na bezdźwięcznym marginesie pytania parę kurew i chujowin. Fartuchy już dogadują się

wzrokiem, jak najlepiej wmówić mi niepo czytalność.

- Panie Janku, to, że objawy się wycofały, wcale nie znaczy, że pan jest całkiem zdrowy. Schizofrenia wraca. To pańska córka musiałaby podpisać zgodę na pobranie organów od pana, głównie serca, na czym wyjątkowo panu zależy. A to też dopiero po śmierci.

→ Ja pierdole, co za biuro - gnoju pieprzony już nie powiem.

- Takie buty.

Rozchodzą się bez wzruszeń, a ja zostaję sam - z krzywdą mojej nieuleczonej córeczki. Ona potrzebuje sprawnego serca. To, które nosi, włóknienie.

Stoję przed piękną aleją prowadzącą do Izby Lekarskiej. Ptasek skacze przy moich nogach bez popłochu. Świeci słońce. Jest ciepło mimo październikowych mgieł.

Nic się nie liczy.

*

Dlaczego kilka lat temu żona Jan-ka poszła w cały świat? Bo nie wytrzymała już wizyt Pana Młodego i wyskoków Zimy, o Gumisiu nie wspominając. Te psychiczne cienie piły krew całej rodziny. Dzieci siniały za wersalką, żona bladła z widelcem ukrytym pod pachą na wypadek ataku. Naprzeciwko nich - Jan z mrokiem świadomości.

Zima, ja nie mam ci nic do oddania. Spierdalać z tym nożem! - Janek charknął flegmą w przerażone oczy żony, a Zima ani drgnęła. Jeśli jest się żoną, trzeba to rozumieć i znosić. Ale można przestać nią być.

Zanim Jan uwierzył w chorobę, minęły długie miesiące, bo - jak prawie każdy schizofrenik - tracił czas na dogadywanie się z nowymi. A porozumiewanie polegało na tym, że wyzywał wszystkich troje. Jak zginać to w walce. Pewnego dnia dzielił Gumisia deską klozetową, która czekała

na montaż.

Znowu pachniała za trzy stowy? - wrzeszczał i wyrzucał pieniądze z portfela w stronę zaleknionej córki, aż w końcu porwał ten plastikowy fragment klozetu i wałnął nim szesnastoletnią Anetkę. Dziewczyna w tym dniu miała iść na imprezę, więc chciała podobać się chłopakom. A tu - podbite oko i złamany nos. Wtedy wreszcie zabrali nienormalnego do swoich, do Toszka. Tam wadliwa natura przeszła chemiczną kwarantannę.

Po okresie rewitalizacyjnym Jan wrócił do innego domu - do obozu nienawiści. Syn nienawidził wstydzić się za rodzinnego debila, żona i córka nienawidziły strachu przed nim. I stało się coś niespodziewanego. Żona Janka uciekła. Zadziałał instynkt i to zrozumiałe, ale dlaczego zostawiła z wariatem dzieci? Anetka z miłości do mamy przekreśliła tatę na zawsze. Przemek ożenił się przed maturą i wyprowadził z domu.

Mimo tego, że po szpitalu Jan czuł się dobrze, to silniej rozumiał te zmiany w uczuciach. Zdrowy cierpiał naprawdę. Doszedł do wniosku, że bez lekarstw był szczęśliwszy. Miał wtedy z kim pogadać, powalczyć o siebie. Czy to Pan Młody, czy Zima. Tylko Gumisia już nie chciał znać. Gumisia, który ciągle chciał forsy na nowe dziewczęce fanaberie...

*

Noc. Dawniej nie znośłem nocy. Budzili mnie, żeby męczyć do rana. Pokój zmieniał się w salę tortur. Pan Młody rzucał krawatem, sugerując, że powinienem dopasować pętelkę do haka. Ten zmyślony przygłup był skrócony do szyi, niczym ja w dniu ślubu. Też nie miałem wtedy głowy, tylko testosteron. Po co mi była głowa. O wszystkim decydowała jej, he, wielka pani. Nigdy nie widziałem twarzy Pana Młodego, ale zawsze miałem wrażenie, że to moja gęba do niego pasuje. Zima z kolei siadała ogromnym cielskiem na brzegu parapetu i, patrząc na mnie - pożałuj Boże - szydziła: - Żona pakuje ci się w świat.

- Przez was się pakuje!

- Taaa? A co myśmy jej? Synowi też coś przez nas? - błyskała zębami, znalezionymi w śmietniku.

Chwalił się, że przygarnął tę częśćkę człowieka, żeby nie marnować życia.

- Chłopak chce się wyprowadzić, bo nie ma poczucia humoru. Dałbyś mu trochę zdrowych przerzutów na chorą naturę. Wiesz jaki jest sztywny w towarzystwie. Dajże dziecku uśmiech! - zjadliwym rechem podnosiła aplauz.

- Jak?

- A zabij się na wesoło. Tak, żeby się uśmieał.

- Co proponujesz?

- Umrzyj z wyszczerzonym ryjem.

I zaczęła mnie gilgotać pod stopami. Nie cierpię takich zabaw, ale pozwalałem, niech się nacieszy. Potem zaczęło się to przeciągać. Ja jej przestań, a ona jak będę chciała. Śmiałem się, choć już mnie to nie śmieszyło. Potem przepona już mi nie wytrzymała. Cztery godziny intensywnego chichrania - prawie umarłem. W ostatniej chwili Przemek wpadł do pokoju. Widok ojca spoconego jak prosię, na bezdechu, przeraził chłopaka. Krzyczał: paliłeś?! paliłeś trawsko?! i wywracał szuflady. Szukał nie tego demona. W końcu podał mi jakiś psychotrop. Kiedy doszedłem do siebie, omamy ustały. Została przykreść, że mój syn, który wydarł mnie złemu, nadal jest smutnym młodym człowiekiem w imię psychicznie chorego ojca.

*

Po rozmowie z niezycielwym Marabutem Jan pojechał do lasu odbiepieczyć pewne plany. Iglaste sanatorium przyjęło go sokiem żywicznym, mapą grzybobrań, wycieczek z leśnikiem. Ale ukłonił się zapamiętaniu, odsuwając błogostan, bo tym razem szukał innych doznań. Przyjechał do syna ciemności.

Na krańcach drzewostanu, przy przystanku, na którym autobus zatrzymuje się tylko w południe i o północy, stał jednorodzinny domek. Czworobok w stanie cięż-

kim. Dziury po ceglach, rupiecie domowego sprzętu i gruz. Drzwi otworem, okna wybite. Luksus dla szmaciarzy. W tej chatce, którą kiedyś otaczała aura mchu i paproci, zamordowano pięcioosobową rodzinę. Nikt nie wie, co się stało. Całe dochodzenie to jeden wielki domysł. Najprawdopodobniej przyszedł obcy, najprawdopodobniej chciał kasę i nie dostał, więc szarpnął z pniaka siekierę i zmienił leśną rodzinę w surowe mięso. Potem wystraszył się siebie, wypił kwas i zdechł jak pies - mówili ludzie. Leżał na kłapie kompostownika. Świadkiem masakry był tylko ten stary dom.

Jan przyjechał tutaj, bo tu żyła śmierć. A on chciał wiedzieć na jej temat jak najwięcej. Teraz chce umrzeć, ale tak, żeby Anetka na tym skorzystała. Niechby mu było wolno pomóc własnemu dziecku! Od miesiąca nie brał lekarstw, żeby oddać zdrowe serce chorej córce.

Patrzył przez wybite okno w zielony las - niskie runo, słabe poszycie, drzewa wysokie. Iglasty mur. Ziemska przyroda i nic. Ani powidoku trupowiska, ani paranormalnych nut, żadnego pozazmysłowego dyskursu. Zamknął oczy do śpiewania internetowej piosenki... „Jest tyle sposobów by umrzeć”... I nie mógł sobie przypomnieć słów, w których byłaby ukryta wskazówka. Tylko ten źle tłumaczony refren... „dumb ways to die”...

*

Odwiedziny syna. Przemek puka pięć razy - pauza - dwa. Znowu przyjechał bez mojego wnuka. Nie pytam, ponieważ dyżur ma zawsze to samo kłamstwo: Kamilek ma katarek. Duparek - dopowiadają moje myśli urażone.

Przemek łasuje wzrokiem kuchnię. Zatrzymał oczy na pudełku z apteką. Nie mam czego się bać - ogłosiłem, że leków brać nie będę. Chcę się uwolnić od wolności. Chcę znów być czubkiem. Po tej stronie świata wszystko co nienormalne jest przynajmniej zgodne z zasadami. Zasadami anormalności. Wracajcie do mnie, demony!

- Tato, widziałem się z Marabutem - syn patrzy na mnie z wysokości swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Zaciął usta i czeka, aż zacznę odpowiadać na zawieszane pytanie. Nie będę się gówniarzowi spowiadał, że muszę ratować córkę.

- Przecież Aneta nie potrzebuje żadnej operacji - jednak pociągnął rozmowę sam. - Jest zdrowa. Studiuje. Będzie psychiatrą - tłumaczy z udziałem rąk.

Nic się nie odzywam. Tylko ja wiem, że serce mojej Anetki to ugnity ogryzek uczuć do ojca. Że tylko przeszczerp mojej miłości może nam pomóc. Nawet jeśli mnie już nie będzie...

Znów siedzimy bez słów. On zaczyna trochę o Kamilku. Wzruszam się. Poszedłbym z wnuczką do dinoparku, na basen piłkowy, na karuzelę... To z dziećmi przeżywa się najwięcej dobrego.

Pukanie inne. Poczwórny dwutakt pięścią. Anetka. Otwieram drzwi. Jej impet uderza mnie drewnianym skrzydłem. Moja córka wnosi mebel - krzesło z podłokietnikami i nie tylko. Są tu paski do przypięcia, do przybicia rąk. Przy nogach dubel kajdan. Anetka popycha mnie w to więzienie. Boże, jaki ja jestem słaby. Wpadam na siedzisko jak worek kartofli.

- Nienawidzę cię, ty wstrętny psycholu. Zdechniesz na tym tronie!

Przemek oddała swój autorytet w sprawie siostry. Poszedł w kąt i maleje. Jest już wypłoszonym zajęcem. Ja z pokorą pozwalam córce przypinać się do krzyża. Z jej klatki piersiowej wylatują zadry serduszka.

Pobiegła do ubikacji. Mocuje się z czymś, coś wyrывa... Przemek patrzy w moje oczy i wreszcie rozumie chorego psychicznie ojca.

*

Pokój Anety jest dość widny, mimo że okna bardzo wysoko. Tak musi być - bezpiecznie. W końcu to izolotka. Aneta poleży w szpitalu, aż wygoi guza

losu. Jeszcze nie ma diagnozy: czy to załamanie nerwowe, czy ojcowizna. Przemek jej nie odwiedza. Liczy, że siostra zapomni, kto zadzwonił na 112, gdy urządziła tacie krzesło. Profesor Marabut, ze względu na dobre oceny Anety z psychologii stosowanej, załatwia jej działanie w afekcie. Jan po paru razach ciężką deską klozetową jest w śpiączce. Wydaje się nieżywy. Ale to tylko behawioralna gra. Słysząc w oddechu nieprzerwany monolog:

- Gumiś walnął mnie tą dechą i krzyknął: zemsta!!! Wiem za co. Jęknąłem, że biorę winę na siebie, tylko niech przestanie. I nagle wpadli lekarze, policjanci, nawet straż. Powykręcali diabelstwo i nie wiem, co później. Po całej sprawie podszedł do mnie Pan Młody i pierwszy raz przytulił. Powiedział, że Zima nie żyje. Że teraz tylko on będzie się mną opiekował. Na chwilę wyrosła mu głowa. Boże, jaki podobny do Przemka...

Z bieli powstajesz...

Joanna Storczevska-Segieta

Granica. Słowo, które razi prądem. W jej dźwięku tkwi pierwsza linia samoobrony. Cienka czy fest – każda oddziela, odróżnia, definiuje. Wbrew zawartemu w intencji ograniczaniu daje przestrzeń i nietykalność. Ludzkie mapy mają wiele takich progów, takich marginesów. Oddzielają nimi chcieć od musieć. Ale bywają też granice trudne, dziwne, bardziej homo niż sapiens. O takiej granicy jest historia Uśki, smutnej szesnastolatki, wiedzionej przez życie triadą: proszę, dziękuję, przepraszam oraz regulaminem oczekiwań. Przeważnie zgięta w pół, stale winna lub wdzięczna, chora na skoliozę godności. Tak wymyśliła ją sobie mama jeszcze przed narodzinami i tak ulepiła. Wykorzystała moment, kiedy dusza dziewczynki była biała jak skrzydło anioła. Ciągłe ją prostowała, kierowała mową i uczynkiem. Nazywanie jej aniołkiem miało w tym pomóc. Wryć w podświadomość zakaz buntu, bo aniołki nie krzyczą. W drugiej klasie liceum Usia zrozumiała, że skończył się anielski tlen ogłupiający i nie

ma czym oddychać. Że nie oddycha, tylko łapie powietrze, żeby wyartykułować kolejne przepraszam. Wbrew regulaminowi, a w zgodzie z naturą, zaczęła wypowiadać posłuszeństwo. We wprowadzeniu zmian pomógł jej przypadek. Któregoś dnia wzięła z book-crossingowego stolika w bibliotece książkę Betty B., londyńskiej psycholożki. Zauroczył ją tytuł „Powiedz prawdę lusterku”. I tak znalazła swego duchowego opiekuna. Autorka tłumaczyła języki ludzkich zachowań miękko, ale konkretnie. „Stawiać granice nie oznacza budowania muru”. Dorzucała własne historie, to znów pożyczła cudze i robiła z nich happening. Można było być wiedzmem lub aktorem, w zależności od tego ile odwagi cywilnej udało się skroplić podczas jej lekcji. Kiedy poszło w świat, że Betty B. będzie prowadziła światowe warsztaty z elementami jogi i medytacji w Paryżu, a nauczyciel wuefu i jednocześnie trener siatkówki, którą Uśka ćwiczyła od dwóch lat, obiecał

znaleźć sponsora dla swojej dziewczęcej drużyny, żeby mogła wziąć udział w szkoleniu i podbudować swoją sportową psychę, płakała ze szczęścia i przerażenia, bo w grę wchodził tylko lot samolotem. A rodzicielka wyuczyła ją lęku przestworzy. Samoloty są dla kaskaderów. Trudność potęgował fakt, że to matka musiała wyrazić zgodę na wyjazd nieletniej i dać na podróż dwieście złotych. Wiadomo było, że najpierw powie: Po co ci to? Nudzisz się? Ja ci zajęcie załatwię. Ale dodała jeszcze: I ten samolot potrzebny, żebyś się zabiła. Tego było już za wiele. Usia, najdelikatniej jak się dało, ale jednak, odpowiedziała, że ma dość straszenia. I od razu przeprosiła za swój wybuszek, żeby nie zablokowano dwustu złotych i zgody, jeszcze przed konsultacją decyzji z innymi matkami.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest zaplątana w relacji z matką, a przez to w kontaktach z ludźmi. Nie wszyscy zasługiwali na jej przepraszam, nie wszyscy tego oczekiwali. Zadowalanie świata było dokuczliwe i poniżające, a na granicy honoru stał rodzony wróg i tylko Betty B. mogła go osłabić.

- Ja ci mówię, zginiesz w tym samolocie. Wszyscy giną – słyszała kilka razy każdego dnia i coraz mocniej bała się lecieć, ale też coraz mocniej tego chciała. Sprawę rozwiązał przypadek. Któregoś dnia Uśka, a właściwie jej koleżanka Maszewska, zostawiła na parapecie korytarza siedem papierków po gumach do żucia i narobiło się bałaganu. Dozorczyńni nie pracowała po południu, więc nie mogła widzieć sprawcy. Rano odnalazła to śmietnisko i wylała swą złość do ucha pierwszej spotkanej lokatorki. Była nią matka Uśki, która poprzedniego dnia zwróciła uwagę na gumę w ustach córki i ogromne balony wydychywane przez szesnastolatkę, czego nie omieszkła skomentować słowami, że w jej wieku nie wypada tak się błażnić.

Pokojarzyła fakty i już krytyczna mowa czekała na Usię po powrocie ze szkoły. Mimo dojrzewającego buntu, lecz w imię zgody na wyjazd i pieprzone dwieście złotych, dziewczyna postanowiła ostatni raz to zrobić – przeprosić szefową klatki schodowej. Ale już wieczorem dopadła ją grypa jelitowa i szarpała trzy dni. Po tym czasie matka przypomniła o zaległej rozmowie z dozorczynią. Niestety, tym razem jelitówka grasowała w organizmie sprzątajacej, jak donosiły sąsiadki. Mamusia, mimo to, nie popuściła lejców, aby poczucie winy nie za bardzo rozeszło się po kościach. Młoda była już wykończona. Chciała jak najszybciej przeprosić za ten papierkowy grzech, ale dozorczyńni nie wracała do pracy. Po dwóch tygodniach w końcu się zjawiła. Była nie do poznania. Błada, chuda, rozpacz. Długo wychodziła z pomieszczenia, gdzie trzymała wiadra i szmaty. Uśka czekała, patrząc na zegarek, jak zbliża się ósma, myśląc, że za chwilę fizyka z wychowawcą, na którą się spóźni, za co też będzie musiała przeprosić. Na szczęście dozorczyńni wyszła z wiadrem wody i spojrzała na nią.

- Co?

- Dzień dobry. Jakies trzy tygodnie temu zdarzyła się nieprzyjemna sytuacja.

- Nieprzyjemna sytuacja? A co jest bardziej nieprzyjemnego niż to, że mój malutki wnuczek kona odwodniony, bo zaraziłam go jelitówką, ja – babcia... – krzykliwy głos był słony od łez, gorzki pretensjami do siebie, do każdego.

- Ale ja wtedy byłam z koleżanką na klatce, bo deszcz padał...

- Słyszysz, co ja do ciebie mówię?! – krzyk przeszedł w ryk.

- I ja te papierki tu zostawiłam! – Usia też podniosła głos, aż zapiszczała, bo chciała mieć z głowy, zadowolić matkę, dostać forsy i lecieć.

- Zmiataj, gówniario, nie masz za grosz

wyczucia – sprzątająca przerwała ten skowyt, lejąc wodę z wiadra pod nogi dziewczyny. Spodnie mokre do kolan. Buty całkiem. Starsza kobieta we łzach rzuciła jeszcze w Uškę mokrą szmatą. Młoda nadal nie przeprosiła. A musiała. Muszę - szeptała sobie... Ale jeśli przeprosi, druga ściera wylądować na jej twarzy albo bluzie, a wtedy spóźni się jeszcze na matkę. Na zebraniu to wyjdzie i matka znów zleci jej się kajać. Usta wygiął skurcz i już nic więcej nie mogła powiedzieć.

Poszła do szkoły. Zdążyła na matkę. Poszła mokra, bo w domu była matka. Skłębaby wszystko - brak przeprosin, wygląd, kolejną detonacją dozorczyń. Co za dzień... Wieczorem młoda zamknęła się w pokoju. Myślała o niewykonanym zadaniu. Napisła na kartce: „Nie przeprosiłam sprzątaczkę”. Pod spodem – drugi raz to samo. Do końca strony. Zdań przybywało. Robiła sobie karę. Takie samoupodlenie miało zmobilizować ją do walki przeciwko sobie. Gdzieś w połowie kartki, zupełnie tego nie planując, napisała: „Nie przeproszę sprzątaczkę”. Przyjrzała się temu. Jak bardzo nie pasowało do głosu powyższego tłumy. Nie przeproszę? Nigdy tego nie zrobię? Nigdy – podszeptowała sobie irracjonalnie, a przed oczyma wyskoczyła jej scena z wiadrem. Drugie zdanie: Nie przeproszę sprzątaczkę. Zapisła dwa zeszyty, około sześćdziesięciu kartek. Uwolniła nie. Zablockowała manipulację. A gdybym była lesbą jak Kinga, to też musiałabym przeproszać? A może będę? Mama wyrzuci mnie z domu i będę wolna!

Temat współczesny poszukiwanie tożsamości płciowej miał odpowiednią popularność. Nie trzeba było się go bać. Uška wyszukała rzadko używany numer telefonu: - Kinga, mam do ciebie sprawę. Na drugi dzień Kinga zapukała do drzwi, które otworzyła matka Uški.

- Dzień dobry, przyszłam po moją duszycz-

kę.

Matka zbladła na widok najślawniejszej na osiedlu lesbijki. Tej lesbijki, która nie przeprosza za to, kim jest.

- A dlaczego?

- Bo jest siódma czterdzieści pięć i zaraz mamy wuef.

- Wychodzę już! – Usia przesunęła matkę.

- Uleńko – matka ze strachu osłodziła imię córki. – Zaczekaj chwilę...

- Weź, mam – cmoknęła Kingę w usta. – Gnamy do szkoły.

Znów będę musiała przeproszać.

Matka zablokowała się, znieruchomiła.

Teraz wszyscy zobaczą, że jej córka to lesbijka. Odmieniec, dziwoląg. Podbiegła do okna, szpiegowsko uchyliła roletę.

Boże, idą tak blisko siebie, że dotykają się rękawami. Nie, tak być nie może, Uška musi się opamiętać. Jest normalna, zdrowa. Wszystkie badania w porządku. A jeśli nie?

Dom zamilkł na całe popołudnie. Żaden telewizor, komputer, tylko światło tabletu w rękach dziewczyny. Nie było rozkazów i wywiadów. Młoda zyskała spokój. Nie cierpiała Kingi, ale w tym dniu była niezastąpiona.

- Pomyślałam, Uleńko – zaczęła przy kolacji matka - że taka fachowa terapia w Paryżu dobrze ci zrobi. Ty jesteś taka zagubiona, niepewna... Leć, przecież nie będziesz tam wieki, a poza tym samolot, to nie pocisk armatni – zaniosta się czymś między łapaniem powietrza, a zapaścią krtani.

Usia przytaknęła z niezaangażowanym w rozmowę uśmiechem. Taki obrót sprawy... ***

Licealny wyjazd siatkarek na warsztaty wybitnej psycholożki doszedł do skutku. Poleciały całą grupą do Paryża usłyszeć przynajmniej jedną życiową mądrość, która prowadzi suchą stopą przez ocean fatalnych horoskopów, czarnych myśli,

smutków i niemych rozpaczy. Każda z dziewczyn wiozła w sobie takie miejsce, do którego trzeba przyłożyć plaster z właściwych słów. Nauczyciel naiwnie wierzył, że wszystkim chodzi o sportowe sukcesy. A tu szło o trudniejsze rozgrywki.

Dzień powrotu siatkarek. Kinga nie grała w siatkówkę, więc na pierwszych dwóch godzinach wychowania fizycznego spała w najlepsze, bo według planu wycieczki wuefista miał nie dotrzeć z lotniska w Paryżu do pracy na czas. Uciszyła budzik, głowę wsunęła pod poduszkę. Ledwo zamknęła oczy, telefon wyrwał ją z puchowego ciepła wrzaskliwą muzyką.

- Uška? Skąd ty dzwonisz? – wychrapała zdenerwowana.

- Nie wiem skąd, ale muszę ci coś opowiedzieć – Usia była bardzo podekscytowana.

- Jesteśmy parą? Jak tak, to możesz, a jak nie, to spadać, chcę spać...

- Czekaj, to ważne... Poleciałam na spotkanie z Betty B.

- No wiem

- Było rewelacyjnie

- I? – poganiała Kinga.

- I wiem, że można żyć bez ograniczania, ciągłego wstydu i wyrzutów sumienia.

Najważniejsze to szanować samego siebie. Nawet lęki to chora projekcja. Tak bardzo boję się latać, a podczas lotu w ogóle o tym nie myślałam. Byleby spotkać Betty B.

Dopiero dzisiaj, gdy już zbieraliśmy się na lotnisko, miałam jakieś dziwne urojenia.

Może dlatego, że padał deszcz i pogoda nie sprzyjała. Kiedy wylecieliśmy na wolną przestrzeń, zrobiła się burza, zaczęło nami szarpać. Samolot opadł, wleciał w budynki, normalnie w miasto runął. Skry leciały jak z ogniska, jakby się palił i wtedy urwał mi się film! – krzyczał głos z telefonu.

Kinga wywietrzała ze snu, głową stanęła na baczność.

- To gdzie teraz jesteś?

W głośniku słyszał było delikatny łopot,

jakby motyle skrzydła.

- W jakimś bardzo jasnym pomieszczeniu – mówiła ścisłym głosem. - Obudziłam się tutaj. Ani śladu po katastrofie. Jest spokojnie i biało. Są tu pasażerowie mojego samolotu – siedzą, rozmawiają, piją herbatę. Nie widzę naszych dziewczyn, to jedyne zmartwienie – po plecach Kingi dreszcze tropiły prawdę.

- Chciałam podziękować kapitanowi za to, że wszystko się udało. Miałam dla niego dwieście złotych i bilet. Chciałam mu to dać, ale on mówi, że nie ma za co dziękować, że to jego obowiązek. Odszedł i nie wziął nic. A wiesz co najdziwniejsze?

- Nie wiem, bo to wszystko jest porąbane i straszne.

- Już nie boję się latać – zupełnie! Pokonałam siebie. Betty B. dokonała we mnie cudu. Zerwała te ograniczenia jednym prostym poleceniem: Nie bój się, przesun granicę lęku o jeden głębszy oddech. Nagle słowa Urszuli zaczęły brzmieć w całym pokoju, już i tak wypełnionym narastającą paniką. Ze ścian, z sufitu, z pogłosem...

- Nie boję się latać. Zobacz, jak rozkładam skrzydła! Nie boję się latać, bo jestem aniołem! Tu jest biało od aniołów! Myśmy wszyscy zginęli, Kinga! Czy to moja wina? Bo się bałam? Czy ja znów powinnam przeprosić?

Kinga skoczyła na łóżko w pełni obudzona. Co za koszmar... Na telefonie migał sms od Maszewskiej. Wiesz już, co się stało?

Nie wiedziała. Miała tylko zły sen.



Psie zwierzenia

Krzysztof T. Dąbrowski

- Wiesz – Azorek zwierzał się Burkowi. - Mój pan to straszny dziwak. Często woła aport i rzuca badylem. A ja się wtedy zastanawiam, o jaki port mu chodzi, ten do USB, czy taki dla statków?

- Faktycznie, niepokojące. I co robisz?
- A co mam robić, póki żarcie daje, to mu przynoszę tego badyla.
- A co on na to? - dociekał Burek.
- No cieszy się jak idiota.
- To faktycznie idiota.
- A wczoraj, to już w ogóle – zaskamlał Azorek. - Powiedział, że coś mu się udało załatwić psim śwędem.
- O na wielką kość, na dodatek chamidło!
- Co mam robić?
- Pogryź gumową piłeczkę, żeby za dużo o tym nie myśleć.

Mistrzowskie posunięcia

Krzysztof T. Dąbrowski

Jeszcze niedawno sterczałem przed drzwiami ludzkiej jadłodajni i zastanawiałem się, skąd wytrzasnąć ten cudowny plastikowy prostokąt, za który dają tu jedzenie, a teraz...

Dzięki temu, że przygarnęła mnie taka jedna ludzia i dzięki mojemu wrodzonemu cwaniactwu, ustawiłem się do końca życia.

Aby się odwdziżyć i jednocześnie polepszyć swój byt, zeswatałem ją z producentem psich przekąsek.

Jak? Po prostu nasikałem mu do buta.

Tak go przeproszała, że aż umówili się na randkę.

A ja w bonusie dostałem jeszcze miłość mego życia – okazało się, że zeswatany ludź ma piękną chihuahue o słodkim pyszczku.

Ale są też minusy – non stop jemy przekąski. Brakuje mi kości...

Dumająca owca

Krzysztof T. Dąbrowski

Trawa była soczysta jak nigdy dotąd.

Stado owiec wcinało ją ze smakiem.

Tylko jedna stała, wyglądając, jakby zbaraniała.

- Co jest? Co tak dumasz? - druga zaniepokoiła się stanem koleżanki.

- A nic, zastanawiam się tylko, co to będzie, jak już zjemy całą trawę.

- No jak to co, zaczniemy chrupać las – odparła owca i wróciła do zajadania się trawą.

Ale jej koleżanka nadal intensywnie się nad czymś zastanawiała.

- Coś jeszcze cię trapi? - druga w końcu nie wytrzymała.

- Popatrz. Wszystko wszędzie jest płaskie...

- I?...

- Cóż, czasami mi się wydaje, że Ziemia jest płaska.

- Phi, może być nawet w kształcie rogalika, byleby tylko było co zajadać.



List do...

Mirosława Stojak

Jesteś mi potrzebna taka jaka jesteś. Nie inna. Ani lepsza, ani gorsza. Właśnie taka: wrażliwa, może nawet nadwrażliwa, delikatna, czuła. Czysta jak woda źródłana. Niezmacona, ciągle świeża i jasna. Płynąca między kwiecistymi łąkami, zielonymi dolinami i ośnieżonymi górami.

Jesteś piękna jak kwiaty - wszystkie, bo Ty stanowisz wielki bukiet różnych zapachów, kolorów i tchnień. Płacząca, zalewająca się łzami, bo gdzieś tam spotkało kogoś nie-szczęście, bo czyjaś krzywda boli Cię tak mocno, jakby była Twoja. Nie zgadzasz się z nią, walczysz, cierpisz. Zamykasz się w bólu, zaskorupiasz i nie ma Cię przez chwilę. Ta chwila to Twój bunt, to niezgoda na to wszystkim co rani. I Ty musisz pomyśleć o tym w samotności, z dala od ludzi i świata.

Jesteś piękna, bo dobra, i to ono taką Cię czyni. Poznałam w swoim życiu wiele osób, różnych. Zawsze wybierałam te szczególnie wrażliwe, bo takie upiększają świat, bo widzą i czują więcej niż przeciętny człowiek. Ty taka jesteś. My takie jesteśmy.

A kiedy patrzę w Twoje piękne oczy, widzę w nich tysiące trosk o wszystko i wszystkich. Tysiące nadziei i szlachetnych uczynków. Bo Tobie nie potrzeba wiele do życia, potrzebujesz jedynie trochę miłości i zrozumienia. Kochasz dawać. No i książki są blisko Ciebie – tak, one są Ci niezbędne. Bez nich świat byłby nieciekawym, szarym, ponurym i nie Twój. Kwiaty tak mają. Cieszą oczy i serca innych, zachwycają urodą, rozsiewają cudne zapachy, zdobią wszystkie ogrody świata i nic nie biorą w zamian, nic dla siebie. Są jak muzyka i słodka

poezja, płynące w harmonii, po horyzont, w poszukiwaniu dobra i piękna.

Jesteś różą, czerwoną. To kwiat miłości: szlachetny i dumny. Najpiękniejszy ze

wszystkich.

Lecz Ty nie masz kolców, bo jesteś zbyt delikatna, by krzywdzić i zadawać ból. To niemożliwe i niepodobne do Ciebie. Ty nawet muszce wskażesz drogę, by zdołała uciec przed intruzem-

pająkiem, płoszysz ptaki, gdy w pobliżu widzisz skradającego się kota, a biedronkom otwierasz

szeroko okno, by mogły pofrunąć dalej, jak najdalej od złych ludzi...

To Ciebie niejednokrotnie skrzywdzono, ale Ty nigdy się nie uskarżasz, bo wrażliwi ludzie

nie myślą o sobie. Oni nie potrafią walczyć ze złem, przyjmują ciosy na swoje barki i skuleni w kąciku cierpią pochlipując cichutko...

Jesteś mi potrzebna taka jaka jesteś. Nie inna. Taką Cię pokochałam, taką podziwiam. I bardzo Ci dziękuję, że zaszczycasz mnie swoim towarzystwem, obecnością i myślami. Te nasze

wspólne chwile, gdy jedziemy na koniec Polski do teatru, gdy czekamy na pociąg w poczekalni w Kutnie, są jak puszyste pączki, które uwielbiam i zawsze zajadam z wielkim apetytem. Mam

nadzieję, że tak będzie dopóty, dopóki siły mi pozwolą na nasze wspólne podróżowanie - to dalsze i bliższe. Bo ja zawsze czekam na Ciebie i dobry Teatr.

Jestem szczęściarą, powtarzam to wszędzie i często, bo uśmiechnął się do mnie los, spotykam ludzi nietuzinkowych, wyjątkowych, takich - którzy obdarzyli mnie swoim zaufaniem,

zobaczyli we mnie dobrego człowieka, zechcieli spędzić ze mną trochę czasu, przekazując mi

wartości, które sobie bardzo cenię. Tobie

dziękuję, że pomimo różnicy wieku jaka nas dzieli, byłaś i jesteś blisko mnie, nawet bardzo blisko i wspólnie tworzyliśmy i tworzymy kulturę przez duże K. Ci którzy

nas znają, będą wiedzieli o jakiej kulturze mówię. Dziękuję Ci za każdą poświęconą mi chwilę, za Twoją wrażliwość i każdą Twoją łzę, którą poczułam na moim policzku. Dziękuję, że jesteś.

Nie widziałem ptaków

Mirosława Stojak

Nasza wioska była niewielka i spokojna. Usytuowana w niecce, otoczona lasami. Żyło nas tu kilkanaście rodzin, z dala od siebie. Resztę – kawał ziemi zawłaszczyli potem Niemcy, by stworzyć na niej piekło na ziemi.

Każdy prowadził swoje gospodarstwo, spotykaliśmy się jedynie w niedzielę na mszy. Ot, spokojna wieś, w której dało się żyć. Sielsko, z dala od hałasów i problemów, gdyby jeszcze nie ta wojna.

Nagle wszystko się zmieniło. Nasze dotąd ciche i spokojne życie już takim nie było. Drogą w tę i z powrotem przejeżdżały samochody i motory niemieckie, nawet ciężarówki załadowane drutem kolczastym i innymi materiałami. Ruch i rejwach jak jasna cholera. Potem nagle zaczęła działać kolej. Gdy Niemcy ją uruchomili, mówiono, że zaczęły przyjeżdżać całe transporty ludzi, ale nikt nie dawał temu wiary.

Byłem ciekaw, co się tam naprawdę dzieje, ale ojciec dawał mi po nosie i mówił, żebym nie wścibiał go, gdzie nie trzeba.

Od jakiegoś czasu trawił nas niepokój. Czuć było swąd. Ludzie mówili, że czuć go już z daleka. I że pochodzi stamtąd – wskazywali ręką na miejsce oddalone od nas o 30 kilometrów, w którym Niemcy wyrabiają jakieś brewerie. Ale co dokładnie się tam wyrabia, tego nie wiedział nikt, choć byli tacy, co się domyślali.

- Przecież to smród spalonego ciała – mówił

szeptem mój ojciec do matki a ona robiła wielkie oczy.

Gdy byłem małym chłopcem, babka przypalała mi kurzajki. Dobrze pamiętałem ten smród, był właśnie taki. Identyczny. Gdy zawiął wiatr albo robiło się mroźniej, wtedy swąd się nasilał. Wdzierał się w nozdrza, gardło i w oczy. Nie sposób było oddychać, a z oczu leciały łzy.

Próbowałem wstrzymywać oddech, nawet ćwiczyłem nocą wdechy i wydechy, ale gryzący dym wciskał się na siłę do krtani i dławki.

Najpierw zbierało mi się na wymioty, biegłem więc za szopę i puszczałem pawia. Z czasem jednak organizm przyzwyczaił się do smrodu.

Nawet ptaki, całymi chmurami, uciekały w chmury. Kryły się przed tym smrodem, a gdy i tam je dosięgał, leciały wyżej i wyżej, unosząc się nad chmurami w poszukiwaniu schronienia.

Nie było już słychać śpiewu skowronka z samego ranna, ani potem kosa czy dzięcioła. Wszystkie ptaki ucichły, jakby je ktoś wystrzelał albo jakby wszystkie nagle udusił odór.

Podobno kurzajki znikają raz na zawsze, gdy się je wypali. Obalam tę tezę, nie jest prawdziwa, na moich dłoniach pojawiły

się znowu, gdy tylko poczułem ten smród w powietrzu. Nie mogłem na nie patrzeć.

Nieraz stojąc na środku szosy patrzyłem w kierunku miejsca, w którym urządzono obóz zagłady. Od taty słyszałem, że przetrzymują tam Żydów, ale tak że ludzi innych narodowości. Żydów jednak było najwięcej.

Ciągle snułem domysły, skąd bierze się ten niezidentyfikowany smród, który jest tak silny i niewiarygodnie mdły, że prowadzi aż do wymiotów.

Byłem 15-letnim chłopakiem, a ten obraz prześladował mnie przez wiele lat po wojnie, właściwie prześladowa nawet jeszcze do dziś. Ciągle stoi przed moimi oczami. Pojechaliśmy z ojcem zawieźć kartofle. Ojciec przykazał mi, abym się nie odzywał, tylko wykonywał jego polecenia.

Zobaczyłem ludzi w pasiastych ubraniach. Byli chudzi i wyglądali jak kościotrupy. Ich widok wstrząsnął mną tak bardzo, że zaparło mi dech i odebrało mowę. Patrzyłem i patrzyłem, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyłem. Pomyślałem nawet, że to jakieś przewidzenie. Ojciec szturchnął mnie, abym ruszył się z miejsca i rozładował wóz. Dygałem z workiem na plecach w pośpiechu, ciągle nie wierząc, że to co ujrzałem, jest jawą. Spieszyłem się, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce.

Po chwili niemiecki oficer wyglądający bardzo groźnie, mocno wyprostowany z pejczem w ręce, wyciągnął banknoty i podał je mojemu ojcu, a ten szybko schował pieniądze do kieszeni, aby nikt tego nie zobaczył. Ukłonił się nisko, dziękując za zapłatę.

- Nie przeliczysz, żeby sprawdzić czy się zgadza, nein? - zapytał hardo Nie-

miec.

- Na pewno się zgadza, proszę pana – odpowiedział ojciec, lekko wystraszony.

- Porządek musi być Josef, przelicz jetzt – nalegał oficer.

Ojciec szybko przeliczył, chociaż wiem, że tak naprawdę nie liczył, tylko przekładał papierki. Ręce mu się trzęsły jak galareta. Powiedział:

- Tak, tak zgadza się. Bardzo dziękuję.

- To jetzt możecie już jechać. Raus – zrobił dłonią ruch mówiący, że mamy się czym prędzej wynosić.

Moja matka była prostą kobietą, ale ona także podejrzewała, że w obozie dzieje się coś złego. Kiedy pytała, czy coś widziałem albo słyszałem, odpowiadałem, jak kazał tata, że nic nie wiem, bo nie patrzyłem.

Wiedziałem jedno, wokół obozu nie było ani jednego ptaka. Rzuciło mi się to w oczy. Przecież tam zawsze były ich tysiące. Siadały na drzewach, latały nad polami, tańczyły na niebie. Cieszyły się pięknem naszych krajobrazów, wolnością i swobodą. Gdzie podziały się ptaki? Może ten smród, który przeszywał powietrze, sprawił, że padały jak grad. Niczym spopielone kule, ciężkie padały na mech w lesie, przesiąknięty ludzkim cierpieniem, ludzką krwią. Nie widziałem ptaków.

Tarnina

Mirosława Stojak

Obniża ciśnienie tętnicze krwi, zwiększa szczelność naczyń krwionośnych, a poza tym chroni przed powstawaniem zakrzepów. Jej taniny charakteryzują się działaniem antybakteryjnym oraz przeciwzapalnym.

Jakież było moje zaskoczenie, kiedy zobaczyłam całe jej połacie na cmentarzu żydowskim w Żychlinie. Ale zaczęłam od początku...

Dzień był piękny. Słońce wyszło jak na zamówienie, choć to przecież dopiero początek marca. W trawie żółte i fioletowe krokusiki wynurzające się z głębi ziemi, rozśpiewane ptaki skryte jeszcze w gałęziach drzew i zeszłoroczne owoce tarniny na szarych krzakach.

Podróż tę planowałam od wielu lat, chciałam poznać miasto, w którym często bywał, u swojej rodziny, mój przyjaciel - wrocławski Żyd Ariel. Swego czasu spędzał tam wakacje i święta.

Dziś mieszka w nim pan Henryk, lokalny pasjonat historii, wielce zasłużony dla swojej małej ojczyzny, wraz ze swoją żoną - panią Agnieszką, która z racji tego, że mąż jest trochę unieruchomiony po przebytym udarze, przejęła nieco pałeczkę. Jednak to pan Henryk wie wszystko o swoim mieście, którego historię zna jak mało kto. To taki szperacz i poszukiwacz przekopujący wszystkie możliwe archiwa i biblioteki. Człowiek orkiestra. Oboje skromni ponad miarę. Są godni uhonorowania za to, co robią dla regionu.

Spacerując z panią Agnieszką, idziemy powoli, jako emeryci mamy czas, nigdzie nie musimy się spieszyć, a ja chcę

wczuć się w czasy powojenne, kiedy przyjechał tu mój bohater. Gdy pisałam swoje opowiadanie pod tytułem: „Dwie butelki wódki” na podstawie wspomnień Ariela, starałam się wyobrazić sobie, jak wyglądał wówczas Żychlin, a teraz konfrontuję moje wyobrażenia z rzeczywistością. Słysząc szurgot naszych nóg, dobrze, że choć nie słysząc, jak wali mi serce, a wali jak młot.

Pierwsze kroki kierujemy na cmentarz żydowski, miejsce które zostało upamiętnione przez władze miasta i mieszkańców, gdzie postawiono pomniki z macew, i do którego przyjeżdżają także potomkowie żychlińskich Żydów, by oddać im cześć i pamięć. Przyczyniło się do tego zapewne wiele osób, nie sposób wymienić wszystkich, ale zawsze trzeba pamiętać, że działania zainicjował właśnie pan Henryk, bez którego nic by się nie zadziało.

Zza płotu oszczekuje nas wilczur, na ścieżce wita nas skubiąca trawę koza. Wchodzimy na teren cmentarza. W ciszy wisi ciężar...

Słyszę głosy ludzi, mówią wszyscy naraz, każdy chce coś opowiedzieć o sobie, płaczą dzieci wołające swoich rodziców, młodzież chce stąd uciec do parku, gdzie przed wojną spacerowali wśród zieleni. Są tam ci z małego i z wielkiego getta, którym nie udało się ocalić życia... Pewne miejsce, w którym nie chce rosnąć tarnina, mówi, że tam leżą zamordowani...

Oglądamy pomniki, i choć nie znam hebrajskiego, mogę się domyślić, co jest na nich napisane. Drżą mi dłonie, czuję, że łzy napływają do oczu. Chciałabym krzyknąć, że to nie mogło się wydarzyć; ale dobrze wiem, że to tylko pobożne życzenie wrocławskiej dziewczyny, która nie zgadza się na przemoc, walczy o zachowanie pamięci

o ludziach, którzy tu kiedyś żyli, tworzyli dobro tego miasta i regionu, byli prawymi obywatelami tutejszej społeczności... i mocno wszystko, co się tu stało - przeżywa.

Widzę tarninę, dużo, krzaki są wysokie i choć obecnie jeszcze szare i bez owoców, to te chaszcze są dla mnie symbolem. Czego? Sama nie wiem, bo ich właściwości i autentyczne zastosowanie nijak się mają do tego, co spotyka się na cmentarzach. Śmierć, a w tym wypadku także morderstwa jakich dokonali Niemcy na Żydach, to dwie zatrważające informacje. Tarnina jest sucha, kolczasta, wygląda, jakby broniła tych wszystkich leżących tutaj ludzi, mówiąc: To jest ich miejsce, pozwólcie, by spoczywali tu w spokoju, to jest ich miejsce...

Rozmawiam w ciszy z moim bohaterem. Pytam Ariela, jak zapamiętał to miasto? Czy przychodził na cmentarz przed wojną z mamą albo z siostrami, by położyć kamień na grobie ciotki czy wuja? Wyobrażam sobie wiele macew i trawę wokół miejsca, gdzie Niemcy stworzyli podczas wojny getto, a gdzie dziś stoją bloki z płyty.

Pani Agnieszka to kopalnia wiedzy, choć broni się mówiąc, że nie wie nawet połowy tego, co jej mąż. A jednak potrafi opowiedzieć historie starych domów, kamienic i miejsc. Dowiadujemy się, gdzie mieszkały rodziny żydowskie i gdzie mieściła się żydowska szkoła. Idziemy obejrzeć piękny pałacowy dom, w którym znajduje się dziś biblioteka i gdzie wisi wielka tablica z informacją o człowieku, który ratował Żydów, narażając siebie i swoją rodzinę. To pan Stanisław Szuldrzyński.

Miasto jest rozległe, obecnie w trakcie przebudowy. Nie zauważam starych ruder, rozwalających się domów. Wygląda schludnie. Gospodarz bardzo

się stara. Na rynku piękny kościół, którego historię zna także pani Agnieszka. Opowiada nam o tym. Pokazuje stare domy, które mogą mieć po sto i więcej lat, a które obecnie odrestaurowane, skrywają głęboko swoją przeszłość. My rozszyfrowujemy ich historię po starych okiennicach, bramach i drzwiach.

Żychlin – sentymentalnie myślę, że Ariel musiał lubić tu przyjeżdżać, w końcu tu mieszkała jego żydowska rodzina, tu miał kolegów i koleżanki. Chodzili modlić się do synagogi i patrzyli na bociany przysiadające na słomianych dachach chałup...

Do miasta przyjechaliśmy pociągiem. Do centrum mieliśmy 5 kilometrów, nie wiedząc nawet, że kursuje autobus i to właśnie w godzinach przyjazdów PKP. Ale my lubimy spacerować, a poza tym chciałam rozejrzeć się po okolicy, spojrzeć na drogi i pola. Ariel przecież także szedł pieszo w 1945 roku, mijał te same widoki i krajobrazy. Myślę, że niewiele zmieniło się od tamtego czasu.

Synagoga. Na jej widok moje serce zamarło. To tak, jakby zobaczyć człowieka w agonii. Ściany podparte belami, obdłubana czasem i niechęcią ludzi, w strzępach, wołająca o pomoc. Ale jej wołanie jest nadaremne, wszyscy czekają tylko, by wyprowadzić jej pogrzeb. Ludzie, ona jeszcze jest, ona świadczy, że żyło tu, do wybuchu II wojny światowej, 50% Żydów, a może nawet więcej... Wokół domy, chaty, przybudówki, które żyją ostatkami sił, które jak ta synagoga pamiętają czasy świetności, ale dziś są zapomniane przez ludzi i boga...

Jest mi smutno, bo oczami wyobraźni widzę dawnych mieszkańców w czarnych chałatach, z jarmułkami na głowach, modlących się i śpiewających psalmy. Słyszę, jak mężczyźni odmawiają kadsz za zmarłych. Tylu ich było, nie został nikt.

Pocieszające jest to, że burmistrz miasta

z takimi ludźmi jak pan Henryk i jego żona oraz z innymi społecznikami i radnymi pamiętają, przekazują swoją wiedzę zainteresowanym, w tym przede wszystkim młodzieży. To ważne!

A potem gościmy w domu naszych przesympatycznych znajomych. Pani domu podejmuje nas przepyszny obiad. Z panem Henrykiem witamy się jak z dobrym znajomym. Przecież od dwudziestu lat rozmawiamy ze sobą przez telefon i mam wrażenie, że to nie pierwsze nasze spotkanie. Jestem pełna podziwu dla jego pasji i determinacji. Pan Henryk ciągle uparcie drąży i zgłębia wiedzę historyczną dotyczącą swojego miasta. I pomimo że choroba go zmogła, to po trzech latach walki z nią, znowu jest aktywny, znowu go wszędzie pełno, co jest radością nie tylko dla rodziny, ale też dla wszystkich przyjaciół i znajomych. I ja cieszę się bardzo, a kiedy widzę, jak nadąża za nowinkami wirtualnymi, wiem, że jest dobrze. Pan Henryk rozmawia ze sztuczną inteligencją. Pani Kasia (AI) na jego zapytanie odpowiada, że mamy dziś piękny dzień i wspinał się spotkanie, a obiad jaki nam zaserwowała żona, jest zdrowy i przepyszny.

Na dworzec znów chcemy wracać pieszo, mamy siły i chęci, ale pani Agnieszka protestuje. Zapowiada, że pojedziemy jeszcze taką trasą, by można było zobaczyć dom pewnej kobiety, Żydówki, która przeżyła

wojnę i mieszka w Stanach. Odwiedza Żychlin pomimo swojego podeszłego wieku. Dom jest co prawda w nieładzie i gdzieś sypie się tynk, ale stanowi historię tego miasta. Jest nadzieja, że zostanie wykorzystany i nie popadnie w ruinę. Mijamy jeszcze jeden pałacyk, optymistyczne jest to, że trwa w nim już remont.

I na koniec rampa: - Stąd Niemcy wywozili żychlińskich Żydów do Chełmna nad Nerem – mówi nasza przewodniczka.

Tak, w tamtejszym niemieckim obozie zagłady zostali zamordowani rodzice i trzy siostry mojego Ariela. Tam wywożono także Żydów z Włocławka i okolic. Kiedy tam jestem, moje serce drży jak osika.

Podziękowaniom nie ma końca. Jestem szczęśliwa, że krąg moich przyjaciół się powiększył, że nareszcie zobaczyłam człowieka, którego głos był mi tak dobrze znany od dawna, i który wykonał piękną aranżację do mojego opowiadania o dwóch butelkach wódki. Tylko wtedy nie wiedziałam jeszcze, że w Żychlinie rośnie tak wiele tarniny.

Propaganda szeptana

Mirosława Stojak

W latach pięćdziesiątych panował terror stalinowski, a w sześćdziesiątych zamordyzm. Ja, będący wtedy małym chłopcem, doskonale pamiętam tamte czasy. Komuna kwitła i miała się coraz lepiej. Gomułka rządził, krzyczał o równości społecznej i o tym, że trzeba wyrzucić Żydów z Polski. Jego telewizyjne wystąpienia głośiły, że tylko socjalistyczna Polska i przyjaźń polsko-radziecka mogą dać nam szczęście i całkowitą niezależność od imperialistycznego wroga. Były przesiąknięte soczystym propagandowym złem i nietolerancją.

Szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej systematycznie i miarowo się rozrastały, tylko mój tata nie chciał do niej wstąpić. Praca była dla wszystkich, dług narodowy rósł, ale w ogólnym społecznym przekonaniu za socjalizmu żyło się dobrze i dostatnio – tak powiadali najczęściej ci, którzy na polityce się nie znali.

Całe rodziny jeździły na wczasy, by kolektywnie czerpać radość ze wspólnego wypoczynku. Na tych co pracować nie chcieli, czekały Żuławy, bo obiboków należy tępić, gdyż są wrogami partii i narodu – tak głośiły komunistyczne hasła.

Mój tata, który walczył z Niemcem za wolność Polski, nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nie za taką wolność rozlewał krew, nie o taką ojczyznę walczył. Na ogół jednak siedział cicho, pracował, by zarobić na chleb dla rodziny, ale czasem po pracy dla rozluźnienia kości szedł do osiedlowego baru na piwo i wdawał się, całkiem niepotrzebnie, w rozmowy o polityce. A wiadomo, przy piwku i papierosie język się rozkręca. Tata negatywnie wypowiadał się

o Polsce socjalistycznej, z żalem mówił, że komunizm, jaki chcą zakorzenić w Polsce, to samo zło i niesprawiedliwość. Jedni mu przytakiwali, inni kładli palec na ustach, pokazując, żeby się nie rozgadawał, bo nie wiadomo, kto słucha i co z tym zrobi.

Cicho sza, wróg nie śpi. I rzeczywiście tak było, ludzie donosili na siebie, sąsiad na sąsiada, wszędzie pełno tajniaków.

Następnego dnia pod blok podjechała ciężarówka. Szara i wielka. Wysoczyło z niej trzech osiłków w płaszczach z podniesionymi kołnierzami. Już dobrze było wiadomo, kim są. Jeden, ten największy, zwałisty jak dąb, walił do drzwi naszego mieszkania. Tata mył się w łazience, brat jeszcze spał, a ja jadłem śniadanie, bo miałem pójść z mamą na zakupy.

- Kto to taki nerwowy od rana – dziwiła się mama podchodząc do drzwi.

Gdy je otworzyła, od razu zorientowała się kto to taki. Wystraszyła się na dobre, a intruzi bez zaproszenia wtłoczyli się do środka. Mama nerwowo i głośno reagowała, że nachodzą od samego rana uczciwych obywateli, na co oni pokazali jakiś papier. Tata wynurzył się z łazienki i już go mieli.

Nasze mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Jeden zajmowałem ja z bratem, drugi należał do rodziców. Tata często siadał do stołu tuż przy oknie, gdzie było najwięcej światła i czytał gazetę. Tego dnia miał przed sobą swoje klasery ze znaczkami, które namiętnie zbierał od kilku lat i z których był bardzo dumny. Kosztowały go dużo zachodu i pieniędzy. Przyglądał im się długo, jakby chciał je zapamiętać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Pomyślałem

tylko, że też chciałbym mieć takie.

UB osiągnęło swój cel. Przestraszyli go, może nawet złamali, w każdym razie sprawili, że siedział cicho jak mysz pod miotłą. Kiedy go wreszcie wypuścili na wolność, wrócił do domu w zakrwawionej koszuli, a mama płakała. Nigdy nie opowiadał, co mu robili, jakimi sposobami zmuszali do mówienia, ale ja po tej zakrwawionej odzieży już wszystko wiedziałem.

Taty nie było w domu trzy miesiące. Mama ciągle gdzieś wychodziła i wracała zapłakana. Naradzała się ze swoją siostrą po cichu, tak byśmy niczego nie słyszeli. Kiedy pytałem, gdzie jest tata, mówiła szeptem, że wyjechał w delegację. Nie drażyłem tematu, jak w delegację to w delegację. Tęskniłem za nim.

A potem nagle mama zabrała mnie i brata do sądu. Brat miał się mną opiekować, gdy ona zniknęła gdzieś na trzecim piętrze wielkiego gmachu. Jednak pobiegłem za nią. W pewnej sali, do której drzwi były otwarte na oścież, ujrzałem tatę siedzącego na ławce przy ścianie między dwoma milicjantami. Był blady, wystraszony, jak nie mój tata. Spojrzał na mnie smutno, a ja zatrzymałem się kilka kroków przed nim i patrzyłem jak na święty obraz. Po chwili tata wyciągnął z kieszeni trzy orzechy włoskie i podał mi je. Nic nie mówiąc zbiegłem po schodach na dół, gdzie czekał na mnie mój starszy brat.

Tego dnia tata wyszedł z domu i przepadł na pół dnia. Pod pachą niósł klasery. Wrócił bez znaczków. Na stole położył kilka banknotów, po czym nic nie mówiąc, podszedł do mamy i pocałował ją w czoło. Widziałem w ich oczach wielki smutek i żal, tak jakby tracili kawałek swojego życia. Po latach dowiedziałem się, że mieliśmy dług. Mama zaciągała

pożyczki na adwokatów, by ratować męża. Była dzielną kobietą. To dzięki jej zaradności i determinacji występki taty uznano za czyn mało szkodliwy i po trzech miesiącach przebywania w areszcie śledczym, wypuszczono winowajcę na wolność.

W niedzielę chodziłem z tatą do parku. Mama przeważnie gotowała wtedy rosół, a brat był zajęty składaniem modeli. Byłem dumny z taty-bohatera, bo takim go widziałem, który trzymał mnie za rękę i wypowiadał nazwy drzew rosnących w naszym parku. Którejś jesiennej niedzieli znowu spacerowaliśmy, tym razem nasłuchując śpiewu ptaków. Żegnały się z nami, przed odlotem za ocean. W oddali zobaczyliśmy idącego w naszym kierunku mężczyznę w długim skórzanym płaszczu, z kapeluszem na głowie. Im bardziej zbliżaliśmy się do niego, tym bardziej tata go rozpoznawał. Minawszy owego człowieka, powiedział: To ten co mnie bił, ubek jeden. A ja jeszcze mocniej przycisnąłem dłoń taty, dając mu do zrozumienia, jak bardzo go kocham.

Dziś oglądam moje znaczki. Pierwszy znaczek z całej wielkiej serii Wodzowie datuje się na rok 1945... Mam też kilkaset z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.



Dziewczyna z agencji

Sławomir Bączkowski

Właściwie to sam nie wiem, kiedy zacząłem zwracać uwagę na dziewczynę z agencji ubezpieczeniowej. Najpewniej kiedyś podczas spaceru po prostu spojrzałem w bok do wnętrza przeszklonego pawilonu i dostrzegłem ją siedzącą przed ekranem komputera. Z początku zerkąłem w jej kierunku jakby od niechcienia, ale po kilku dniach musiałem w duchu przyznać, iż nie jest to zwykła dystrakcja. Jeszcze zanim doszedłem do pawilonu, lekko zwracałem głowę w kierunku okna i zwalniałem kroku, nie chcąc zmarnować choćby ułamka sekundy kontaktu wzrokowego. Na tym etapie był to jedynie kontakt z wnętrzem biura.

Przez następne dwa dni agencyjny fotel okupowała jakaś inna kobieta, w najmniejszym nawet stopniu nie wzbudzająca mojego zainteresowania. Było wprost przeciwnie – jej bezczelne uzurpatorstwo sprawiło, że zalała mnie fala wściekłości. Jednocześnie nieco się zaniepokoiłem: co, jeśli to był ostatni dzień pracy dziewczyny i nasze spojrzenia już nigdy się nie skrzyżują? Czyżbym miał liczyć tylko na jakieś przypadkowe spotkanie? Ponura perspektywa. Drugie wyjaśnienie jej nieobecności zdawało się jeszcze bardziej nie do zniesienia: być może moja wzrokowa natarczywość na tyle ją przeraziła, że poprosiła o przeniesienie do innego oddziału... Sobota i niedziela upłynęły mi na smutnych rozmyślaniach. Rozwahałem nawet definitywne porzucenie ulubionej trasy spacerowej, żeby tylko nie przechodzić obok pawilonu agencji.

Jednak w poniedziałek rano już nie pamiętałem o przykrych weekendowych dywagacjach i jak zwykle po śniadaniu zacząłem zakładać buty z myślą o spacerze. Właściwie to nie mogłem się doczekać dzie-

siątej i niecierpliwie zerkąłem na wiszący w kuchni zegar. Przed klatką natknąłem się na naszego hałaśliwego listonosza.

- Uszanowanie panu! – wykrzyknął przyjaźnie i podał mi rękę.

Poczytałem to za dobry znak. Szybko przeszedłem przez tory, nieco zwalniając na widok budynku agencji. Jeszcze kilka kroków i już łapczywie zaglądałem do wnętrza niewielkiego biura. Była tam! Pochylona stuknęła w klawiaturę komputera. Nagle, jakby wiedzona tajemnym impulsem, podniosła głowę. Prawie się zatrzymałem. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę i nagle na jej ustach wykwitł delikatny uśmiech. Nie myliłem się! Trwało to zaledwie sekundę, ale całkowicie zrekompensowało długie godziny męczących rozmyślań. Minąłem pawilon na sztywnych nogach i przez chwilę rozważyłem powrót przed okno biura. Na szczęście tego nie zrobiłem. Żarliwe zaangażowanie od groteski dzieli tylko jeden mały krocze! Poszedłem przed siebie i zatraciłem się w labiryncie uliczek willowej dzielnicy. Ten jej uśmiech wprowadzał nowy wymiar – przestałem być anonimową kurtką migającą w oknie. Stałem się człowiekiem. Zawięzła się w i ę ż. Choć najbardziej ulotna z ulotnych, jednak zaistniała i w związku z tym można było przystąpić do jej umacniania.

Następnego dnia już z daleka zobaczyłem tę drugą kobietę myjącą okna pawilonu, więc natychmiast skierowałem kroki w przeciwnym kierunku. Poszedłem do opustoszałego o tej porze parku. Było za wcześnie na opiekunki z dziećmi, więc upajałem się ciszą i próbowałem ułożyć plan działań. W żaden sposób nie mogłem się jednak skoncentrować, bo wszelkie próby okiełznania panoszących się emocji zwykle

przypominają tresurę watahy wygłodniałych wilków. Na wysokości wysepki z figurą Matki Boskiej porzuciłem dalekosiężne plany i zdecydowałem się działać spontanicznie. Wiedziałem tylko jedno – za wszelką ceną muszę się spotkać z tą dziewczyną i najlepiej będzie zaczepić ją rano w drodze do agencji.

Przez całą noc męczyły mnie jakieś majaki. Najpierw śniły mi się gadające sarkofagi, coś jak plotkująca Krypta Kapucynów, potem byłem zamknięty w jakimś a p a r a c i e i nie mogłem oddychać. Krzyczałem do pielęgniarki: Niech mnie pani wypuści! Wreszcie się obudziłem. Spowijała mnie wilgotna od potu kołdra.

Przed dziesiątą przedarłem się przez całuny mżawki i zająłem stanowisko na początku uliczki, przy której stał pawilon agencji. Bacznie obserwowałem wszystkich przechodniów i parkujące w pobliżu samochody. Minęła godzina otwarcia biura, ale nikt się nie zjawił. Deszcz zaczął lać strumieniami. Po dziesięciu minutach podjechał nieco sfatygowany nissan i wyskoczyła z niego szczupła kobieta z kapturem na głowie. Podbiegła do drzwi pawilonu i po krótkiej szarpaninie z zamkiem wbiegła do środka. Wściekle błysnęły jarzeniówki.

Stałem jeszcze chwilę w deszczu i nagle podjąłem decyzję: teraz! Zaskoczę ją w czasie wieszania kurtki, odwróci się nieco przestraszona, ale zaraz obdarzy mnie tym swoim nieziemskim uśmiechem. Usiądziemy przy jej biurku, może zaproponuje filiżankę herbaty... Od słowa do słowa... Delikatnie dotknę opuszkami palców jej smukłej dłoni...

Wbiegłem do pawilonu i z hukiem zamknąłem za sobą drzwi. Przemoczona postać odwróciła się gwałtownie i zdecydowanym ruchem zdarta kaptur. To nie była ona!

- Jeszcze nieczynne! – rzuciła kobieta. Stałem w milczeniu.

- Czy nie będzie dziś tamtej drugiej pani? – wydusiłem z siebie.

Kobieta przyglądała mi się z przestachem.

- Kogo?

- Dziewczyny, blondynki... Zwykle siedzi tam w głębi.

Instynktownie cofnęła się o krok i dotknęła dłonią biurka.

- Nikt taki tu nie pracuje. Sama prowadzę agencję.

- To nieprawda!

- Proszę wyjść, bo zadzwonię po policję. – powiedziała z napięciem w głosie.

Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem po raz ostatni omiotłem wzrokiem wnętrze biura i wyszedłem z pawilonu. Deszcz nie dawał za wygraną. Ciemne chmury snuły się po niebie jak wielkie, złowieszcze sterowce.

Muzyka wiatru

Sławomir Bączkowski

Miasteczko powitało Zbyszka potężnym podmuchem suchego, prawie mroźnego wiatru. Żółte, liście na peronie zawirowały dziko i odleciały w kierunku zapyziałego kiosku. Przez chwilę wydawało mu się, że był jedynym pasażerem wysiadającym na stacji Mieleszów, ale w odległej części peronu wypatrzył jeszcze jakąś zgiętą w pół staruszkę. Rozejrzał się nieco nieporadnie, dostrzegł wyjście do miasta i już zdecydowanie ruszył w tamtym kierunku. Wyszedł na opustoszałą, pogrążającą się już w październikowym mroku ulicę. Staruszka z peronu gdzieś się zapodziała. Zbyszek sięgnął po portfel i wydobyl pogniecioną kartkę z adresem domu, w którym miał nadzieję mieszkać przez jakiś czas. Przeczytał nazwę ulicy i numer. Była to czynność zupełnie zbędna, bo już od dłuższego czasu znał te informacje na pamięć. Wyciągnięcie kartki było czynnością rytualną, podyktowaną okolicznościami. Trzymając ją w ręku rozejrzał się jeszcze raz. Nagły podmuch prawie wyrwał skrawek papieru z ręki. Zza pokrytego liszajem wilgoci rogu kamienicy wyszedł jakiś człowiek.

- Przepraszam, jak dojdę do ulicy Bednarskiej? – spytał Zbyszek uprzejmym tonem. Człowiek w beznadziejnie szarym płaszczu podniósł głowę i obojętnie spojrzął na pytającego. Miał oczy bez wyrazu i szczecinę kilkunastu zarostu kielkującą na brodzie.

- Bednarska. – przechodzień powtórzył jakby bezwiednie. – O, panie, daleka droga. To zupełne odludzie.

Zbyszek zaszepił się. Miał nadzieję, że będzie mieszkał w jakiejś ruchliwej okolicy. Po wielu latach spędzonych w dużym mieście był przyzwyczajony do gwaru ulicznego, perkoczących samochodów, nawoływań sprzedawców z bazaru i jęku syren pobliskiej fa-

bryki.

- Odludzie – teraz z kolei on powtórzył za przechodniem. – No trudno. Niech pan powie, w którym kierunku mam iść.

- I tak pan nie trafisz. Chodźmy razem. Poprowadzę do zakładu. Mieszkam tam niedaleko. Stamtąd już prosta droga, ale cholernie daleko.

Słowa nieznajomego były trochę niepokojące. Zbyszek dopiero teraz uważniej na niego popatrzył, jakby chciał z wyglądu odczytać intencje. Na nic się to nie zdało. Przechodzień był nikim i każdym. Opisem z portretu pamięciowego. Definitywnym ujęciem przeciętnego, szarego człowieka z małego miasteczka.

- No dobrze – zgodził się w końcu Zbyszek. Poszli dalej razem, coraz częściej kuląc się pod naporem wzmagającego się wiatru. Wąziutka ulica z kanionem odrapanych domów doprowadziła ich do rozległego placu, po którym hulał wichur. Jakież stare gazety i zatłuszczone papiery co chwila wzbijały się w powietrze. Ogromne, ponure drzewisko stojące po środku straszło bezlistnymi konarami.

Przeszli przez plac i zagłębili się w istny labirynt cuchnących uliczek. Nieznajomy nie odzywał się. Szedł przed siebie jak automat z nisko pochyloną głową. W końcu Zbyszek przemówił.

- Wie pan, nie sądziłem, że to miasteczko jest aż tak rozległe. Idziemy już z pół godziny, a końca nie widać tym uliczkom.

- Jeszcze chwila – powiedział lakonicznie przechodzień. Najwyraźniej nie był rozmownym człowiekiem.

Rzeczywiście, po kilku minutach dotarli do jakiegoś wysokiego muru z czerwonej cegły. Było już prawie zupełnie ciemno. Za murem

majaczyły niewyraźne kształty – jakby konwulsyjnie poskręcane grube rury, jakieś kominy i wieżyczki. Nagle mur się skończył i zobaczyli ponury masyw fabryki. Nie było tam bramy czy szlabanu. Po prostu koniec ścian, sprawiający wrażenie jakby budowniczym w pewnym momencie odechciało się budowania. Fabryka była pogrążona w całkowitej ciemności. Jedynymi odgłosem był świst wiatru między budynkami i sapanie idących mężczyzn.

- W nocy nie pracują?

Pytanie było raczej retoryczne w kontekście wygaszonych świateł i braku śladów jakiegokolwiek aktywności.

- Nie. I w dzień też nie. – odpowiedział enigmatycznie nieznajomy.

Minęli fabrykę i doszli do skrzyżowania. Zbyszek nie dopytywał się już o zakład, który nie funkcjonuje ani w dzień, ani w nocy. W końcu zatrzymali się.

- Pójdiesz pan prosto, tamtędy. – wskazał ginącą w mroku drogę. – Cały czas prosto. Bednarska przecina tę szosę za jakieś pół kilometra. Tam jest tylko kilka domów.

- Bardzo panu dziękuję. To było naprawdę uprzejme z pana strony. Ale nie widzę tu żadnych kamienic. Gdzie pan mieszka?

Pytanie porwał zimny wiatr. Zbyszek przestał wpatrywać się w gęstniejący mrok i odwrócił się w kierunku nieznajomego. Uprzejmy przechodzień zniknął. Wichur wzmagął się.

Jak na przedmieście, to było tam wyjątkowo pusto. Szedł i szedł, ale nigdzie nie dostrzegał choćby mdłego światełka sączącego się zza firanki. Rozglądał się trochę ciekawie, trochę trwożnie. Drzewa rosnące po obu stronach drogi wyciągały ku niemu nagie konary. Czasami wydawało się, że buszujący między nimi wiatr ożywia je. Co kilkanaście kroków rozpoznawał czarną sylwetkę człowieka czającego się za pnem. Mijając drzewo stwierdzał, że to nie napastnik, ale dziwne bulwiaste naro-

śla wydzielające cuchnący śluz. Czym prędzej odskakiwał od tej obrzydliwości i szedł dalej.

Wreszcie zobaczył w oddali wątłe drgające światełko. Podeszedł bliżej i dostrzegł wąską uliczkę przecinającą szosę, którą podążał. Bliżej skrzyżowania odczytał napis na zardzewiałej tabliczce przytwierdzonej do słupa: BEDNARSKA. Światełko wydostawało się z okna domku, który stał między dwoma identycznymi chatkami, teraz pogrążonymi w całkowitej ciemności. Wreszcie, bardzo już wyczerpany i spoczyny, dotarł do drzwi i zastukał. Przez chwilę z domu nie dochodził żaden dźwięk. Potem usłyszał ciężkie, szurające kroki. Drzwi otworzył starzec w długiej nocnej koszuli. Spojrzał pytająco na przybysza. Gęsta siwa broda była zmierzwiona. Lewe oko uporczywie uciekało gdzieś za głowę.

- Dobry wieczór, panu. – nieśmiało zaczął Zbyszek – Moje nazwisko Cichoński. Zbigniew Cichoński. Czy pan Galew?

- Zgadza się, młody człowieku. – głos starca był zachrypnięty, nieprzyjemny. Zbyszek dośłyszał w nim jakąś znajomą nutę. – To pan jest tym nowym nauczycielem?

- Tak, od jutra zaczynam. Dostałem ten adres z wydziału oświaty. Rozumiem, że będę mógł tu mieszkać?

- Oczywiście, proszę do środka. Zrobię panu kolację. Może napije się pan ze mną kielicha? Nieźle chyba pana przewiało.

- Bardzo dziękuję. Prawdę mówiąc chyba się nawet podziękuję. No i jestem wściekle głodny.

Zbyszek zdjął buty i kurtkę. Weszli ze starym do dość dużego pokoju. Pod ścianą stało wielkie czarne pianino z piętrzącym się stosem pożółkłych nut. Wszędzie porozrzucone były książki, wszystkie z identycznymi brązowymi okładkami. Pod oknem dostrzegł zdezelowany tapczan nakryty wypłowiałą kapą. Stary wyszedł z pokoju. Po

chwili pojawił się młody chłopak, najwyżej dwunastoletni. W jednym ręku niósł bochen chleba, a w drugim stój ze smalcem.

- Niech pan się posili. Proszę. – położył przed Zbyszkiem chleb i stój. – Zaraz przyniosę nóż.

Chłopak wyszedł z pomieszczenia. Zbyszek odniósł wrażenie, że i w tym małym rozpoznaje coś znajomego. Nie głos, ale raczej wyraz twarzy, oczu. Po chwili wszedł stary z kieliszkami i butelką czystej wódki.

- No, zaraz się rozgrzejemy. Ale, ale, zapomniałem przynieść noża. Zaraz pójde.

- Niech pan siedzi. Wnuczek zaraz przyniesie.

Stary spojrzął na Zbyszka jakoś dziwnie.

- Wnuczek... – powiedział cicho. – Lepiej jak sam pójde.

Wyszedł człapiąc rozchodzonymi kapciami. Nie minęło kilka sekund, a w drzwiach pojawił się chłopak z nożem.

- Już jestem. Smacznego życzę panu. – powiedział wesoło.

- Widzisz, a dziadek też poszedł po nóż. – Zbyszek uśmiechnął się i sięgnął po bochen chleba.

- Dziadek! – wykrzyknął chłopak i wybiegł z pokoju.

Zbyszek nic z tego nie rozumiał. Ukroił sobie solidną kromkę chleba i odkręcił stój. Sięgnął nożem do środka i wbił jego koniec w białą masę. Uniósł nóż i zamartł z przerażenia. Zamiast smalcu na końcu wita się gruba biała larwa. Natychmiast przypomniał sobie znenawidzone wyprawy wędkarskie z ojcem i nagłym ruchem rzucił nóż na podłogę. Odskokczył od stołu, przewracając stój. Stał przez kilkanaście sekund, a potem ostrożnie schylił się i zerknął. Pod stołem leżał nóż z odrobiną smalcu na koniuszku. Obok na podłodze rozmazało się jeszcze trochę białej masy. Ani śladu larwy. Postawił słoik i podniósł nóż. Odechciało mu się jeść. Właśnie w tym momencie wszedł starzec.

- Widzę, że apetycik dopisuje. – wskazał na połówkę bochenka.

Zbyszek nie wierzył własnym oczom. Chłopak przyniósł cały bochenek, a on odkroił ledwie jedną kromkę.

- No to możemy się napić. – stary sprawnie napełnił oba kieliszki. Unieśli je i szybko przechylili. Zbyszek poczuł piczenie w pustym żołądku.

- Jeszcze po jednym?

- Chyba już nie. Chciałbym się położyć. Jestem trochę zmęczony po podróży.

- Oczywiście. Zaraz zaprowadzę pana do pokoju. Na pewno się panu spodoba.

Poszli na górę chybottliwymi schodkami. Pokój zrobił na Zbyszku przygnębiające wrażenie. Umeblowany był więcej niż skromnie – proste łóżko i szafa na ubrania. Zerknął przez okno. Wiatr bezlitośnie tarmosił konarami rosnącego przy domu drzewa. Stary chrząknął i cofnął się w kierunku drzwi.

- No to dobrej nocy. Jutro budzę pana raniutko, bo pewnie lekcje od ósmej.

- Zgadza się. Bardzo dziękuję i dobranoc.

Kilka minut później Zbyszek już leżał w pościeli, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w okno. Dom pogrążył się w całkowitej ciszy. Starzec i wnuczek chyba już poszli spać. Nagle wiatr się wzmógł, potężny podmuch uderzył w ścianę domu, a przez szpary w oknie przedostał się świst. Wiatr ucichł na chwilę, ale świszczący gwizd trwał nadal. Po chwili stał się mniej intensywny, zmienił barwę. Zbyszek mógłby przysiąc, że słyszy aksamitny dźwięk fletu. Z początku jednostajna melodia zaczęła swoje meandry i wkrótce wyłoniła się przepiękna kantylena. Trudno było ocenić kto i kiedy skomponował ten niezwykły utwór, bo linia melodyczna zdawała ewoluować, choć jej główny temat cały czas wypływał na powierzchnię. Po kilku minutach melodia ucichła. Zbyszek z wypiekami na twarzy poderwał się z łóżka i szeroko otworzył okno. Znowu rozległ się dźwięk fletu. Do pokoju wpadał z całym im-

petem mroźny wiatr, ale jemu to nie przeszkadzało. Stał w otwartym oknie i słuchał. Po kilku chwilach melodia rozplynęła się w wyciu wichru.

Zbyszek narzucił na siebie koszulę i w kapciach zbiegł na dół. Przystanął na chwilę. Zza zamkniętych drzwi dużego pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Ostrożnie nacisnął klamkę i zerknął do środka. Nie było tam nikogo. Wszedł też do drugiego pomieszczenia, które, jak sądził, zajmował wnuczek. Pokój był pusty. Sprawdził w małej kuchence i w cuchnącej łazience. W domu był sam.

Pobiegł do sieni i szarpnął za klamkę. Z początku myślał, że drzwi są zamknięte, ale szybko zorientował się, że to napór wichury uniemożliwia mu ich otwarcie. Naparł całym ciałem. Potężny, mroźny podmuch wtargnął do domostwa. Zbyszek wyszedł na zewnątrz. Cały świat wirował pchany wichrem. Tumany liści unosiły się i opadały, gałęzie wyginały się konwulsyjnie. Nagle posłyszał ją. W oddali, ledwie słyszalna, ale była. Ruszył przed siebie. Po kilku minutach melodia stała się głośniejsza. Bez wątpienia był to dźwięk fletu.

Zbyszek nie wiedział dokąd idzie. Kantylena to znikała, to rozbrzmiewała na nowo. Mijał jakieś bajorka, w oddali zamaczył zagajnik. Daleko domki i zabudowania gospodarcze. Nagle drogę zagroził mu czarny nurt rzeki. Melodia już gasła, jakby grający odchodził w dal, zostawiając go samego, porzuconego nad brzegiem. Wszedł w spieniony mrok. Był już kilka kroków od brzegu, gdy targnęło nim bolesne przecucie. Odwrócił się. W oddali z mroku wyłaniały się zarysy trzech postaci. Nad brzegiem stał starzec i jego wnuczek. Obok nich nieznajomy, który doprowadził go do fabryki. Trzy osoby były przez moment razem, a potem weszły jedna w drugą i stały się jednością. Zjawa zadrgała i rozplynęła się w mroku. Dźwięk fletu

był ledwie słyszalny. Zbyszek popatrzył w mroczną toń i ruszył przed siebie.

*

Galew przyszedł do szkoły przed siódmą i czekał na korytarzu. Za piętnaście ósma zjawił się dyrektor. Zaprosił gościa do swojego gabinetu i wskazał fotel.

- Panie dyrektorze, czekałem wczoraj cały dzień na tego nauczyciela. Przyjechał jeden pociąg, potem drugi. Ze stacji do mnie pięć minut drogi. Nie ma go do tej pory.

Dyrektor nieco się zafrasował. Nie przewidywał żadnych zastępstw. Liczył, że pan Cichoński zacznie pracę od dziś.

- Widocznie coś go zatrzymało. Wszystko się...

Rozległ się ostry dzwonek telefonu. Dyrektor przerwał i podniósł słuchawkę. W miarę jak słuchał, jego rysy tężały. Na koniec powiedział tylko

„Rozumiem. Dziękuję”. Słuchawka ciężko spoczęła na widełkach.

- Pan Cichoński nie będzie u pana mieszkał. – powiedział, patrząc Galewowi prosto w oczy. – Właśnie wyłowili jego zwłoki z rzeki, tam, gdzie przed wojną stała fabryka.

Podróż sentymentalna

Sławomir Bączkowski

Pomysł zabrania matki do Turobina, gdzie się urodziła i spędziła swoją młodość, narodził się spontanicznie, ale na decyzję niewątpliwie miały wpływ wspomnienia, które ostatnio regularnie snuł jej sędziwy brat Zbyszek podczas ich codziennych rozmów telefonicznych. Od pewnego czasu zdawał się mówić tylko o tej roztoczańskiej miejscinie i po wymianie rytualnych uwag dotyczących pogody lub menu obiadowego, natychmiast zaczynał nużącą gawędę, jakby ów temat stanowił rodzaj magnesu przyciągającego wszystkie jego myśli. Matka była tym zniecierpliwiona, bo znała jego opowieści na pamięć, ale ciągłe przywoływanie znajomych miejsc i ludzi najwyraźniej i ją skłaniało do jakichś refleksji, bo któregoś dnia przypadkiem zobaczyłem jak ogląda stary album z czarnobiałymi zdjęciami.

- Chodź! – powiedziała widząc, że obserwuję ją przez szparę w drzwiach. – Usiądź koło mnie. – zachęcająco poklepała koc rozpostarty na jej wąskiej wersalce, której nie chciała rozkładać do spania mimo, że już kilkakrotnie w nocy z niej spadła.

Posłusznie usiadłem i natychmiast poczułem zapach starości, jaki unosił się w jej pokoiku. Nie było w tym olfaktorycznym doznaniu nic przykrego, ale człowiek natychmiast tęsknie spoglądał w kierunku szczerlnie zaryglowanego okna. Wszystko w jej klitce było przesiąknięte tym zapachem, będącym mieszaną kurzu, odorku leciwych pałt, woni pomarszczonego ciała i odległych wspomnień.

- To jest tak zwana Manierz... - powiedziała z dumą w głosie i wskazała artretycznym palcem na fotografię wielkiego dołu. Na jego obrzeżach siedziała cała chmara rozradowanych dziewczyn w starodawnych strojach gimnastycznych. Jedna z nich nosiła na sobie zwyczajne ubranie. Od razu pozna-

łem matkę, która na zdjęciu była podlotkiem z pewnością wierzącym jeszcze, że życie to spacer w słońcu.

- To ty! – stuknąłem palcem w zdjęcie. Staruszka popatrzyła na mnie zdumiona.

- Skąd wiesz?

- Aż tak bardzo się nie zmieniłaś...

- Akurat! – zaprzeczyła i odruchowo przygłodziła włosy.

- Ale dlaczego jako jedyna nie masz na sobie spodenek gimnastycznych?

Zastanowiła się przez moment, jakby nasłuchiwała głosów tych dziewczyn z fotografii. Chyba w końcu coś jej odpowiedziały, bo zamruwała energicznie oczami i z siatki zmarszczek uwolnił się szeroki uśmiech.

- Bo ja wtedy nie mogłam ćwiczyć. – odpowiedziała pewnie i już wiedziałem, że otwierają się wrota opowieści. – Byłam po operacji wyrostka.

- To w tamtych czasach ludzie też mieli wyrostki? – zapytałem niewinnie.

- Nie żartuj! – obruszyła się – Byłam bardzo chora. Musieli mnie operować aż w Lublinie. Pamiętam, że leżała ze mną staruszka i pielęgniarki dla żartu położyły jej w nogach noworodka.

- Co ty opowiadasz?! To koszmarnie.

- Ona też się potem z tego śmiała. Wtedy było inaczej...

Pokiwałem głową z niedowierzaniem. Matka przerzuciła kolejną stronę albumu. Teraz patrzyło na nas kilkoro roześmianych nastolatków. Stali na jakimś moście opierając się o balustradę. Trzy dziewczyny, w tym i ona, były ubrane w rozkloszowane spódnice, chłopcy porozpinali koszule, bo pewnie było bardzo gorąco. Wakacyjny luz? Fotografia emanowała spokojem niedzielnego popołudnia, które ciągnie się w nieskończoność i pęcznieje od nudy. Niemal słyszałem odgłosy koników polnych dochodzące z pobliskiej łąki. Przed chałupami z pewnością siedzieli

gospodarze i pustym wzrokiem wpatrywali się w drogę wyłożoną kocimi łbami. Powietrze falowało od gorąca.

- Koledzy i koleżanki ze szkoły... - powiedziała matka i nagle jej oczy przesłoniła błonka łez. – Ten to Mietek, mówiliśmy na niego Siwy. Ciekawe co się z nimi dzieje? Czy żyją?

Dokonałem w myślach szybkiej kalkulacji. Nawet jeśli byli młodszy od matki, to i tak teraz już dobrze po siedemdziesiątce.

- A co to za rzeka? – spytałem, żeby zmienić temat, bo czułem, że staruszka za chwilę rozklei się na dobre.

- Por. Płynie przez Turobin. W czasie okupacji musieliśmy się przez nią przeprawić na Załawcze łodzią. Uciekaliśmy przed Niemcami.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł i choć szanse na jego realizację były znikome, to jednak postanowiłem podzielić się nim z matką.

- Co byś powiedziała na wycieczkę do Turobina? – wypaliłem.

Na twarzy staruszki odmalowało się zdumienie zmieszane z lękiem. Nie licząc sporadycznych wizyt w pobliskim kościele i w spożywczym, właściwie nigdzie już nie wychodziła.

- Zbyszek tak bardzo chciałby tam pojechać... - zaczęła jakby potrzebowała przywołać brata, żeby wyrazić własną tęsknotę. - Zbyszka nie zabierzemy, bo Szczecin nam nie po drodze. Moglibyśmy wyjechać już jutro.

- Znajomy pokazał mi w telefonie taką mapę, – ciągnęła, jakby nie dosłyszała, co powiedziałem. – Na której wszystko widać: kościół, rynek, nawet kapliczkę i nasz stary dom z tym małym okienkiem nad masarnią... To okienko ciągle mi się śni. Zamilkła i zdawała się wpatrywać w przeszłość. Może znowu stała się małą dziewczynką z warkoczami i bawiła się na podwórku rodzinnego domu?

- Chciałabyś tam pojechać? – zapytałam wprost.

Odpowiedziała bez zastanowienia:

- Tak! Ostatnio byłam w Turobinie chyba pięćdziesiąt lat temu...

Zaskoczyła mnie ta jej natychmiastowa zgoda. Matka zawsze dość niechętnie odnosiła się do jakichkolwiek nowych inicjatyw, bo burzyły jej odwieczny porządek rzeczy.

- Możemy wyruszyć już jutro. – zaproponowałem. Myślałem, że się nie zgodzi, że będzie odwlekała.

- Dobrze! – niemal wykrzyknęła rozradowana. – Tylko muszę jeszcze upiec kurczaka na drogę.

Nie skomentowałem tego, chociaż pieczony kurczak nie wydawał mi się idealnym prowiantem na podróż. Jak to jeść? Gdzie umyć lepiące się od tłuszczu ręce?

- A co zrobisz z kosiarką? – zapytała niespodziewanie.

Zastanowiłem się przez moment. Na tylnym siedzeniu woziłem kosiarkę do trawy, której używałem na działce. Nie miałem gdzie jej trzymać, więc wszędzie ze mną jeździła.

- Kosiarka pojedzie z nami. – zawyrokowałem.

Wieczorem tego samego dnia w całym mieszkaniu czuć było zniewalający aromat pieczonego kurczaka. Matka była w swoim żywiole i bez przerwy trajkotała o wyjeździe.

- Jak myślisz? Powiedzieć Zbyszkowi?

Zastanowiłem się.

- Chyba nie ma potrzeby. – odpowiedziałem po namyśle. – Będzie mu przykro, że sam nie może pojechać. Nie rozsiewaj żalu.

- Masz rację. Nie powiem mu. Ale będzie jutro dzwonił, więc muszę coś wymyślić, bo jak mnie dłużej nie będzie w domu, to gotów zawiadomić policję.

Następnego dnia byliśmy na nogach już od czwartej.

- Zrobię ci kanapkę. – zaproponowała matka.

- Nic nie będę jadł. Tak rano nie mogę... – wydałem z siebie jęk.

- To parówki. – nie składała bronii.

Tylko westchnąłem.

- Kupimy coś po drodze. – odpowiedziałem kompromisowo.

- Szkoda pieniędzy.

Westchnąłem drugi raz. Opór był daremny.
- Dobrze. Zrób mi małą kanapkę.

Zesliśmy do auta przed piątą i pojechaliśmy w kierunku lubelskiej szosy. Wtedy jeszcze nie miałem nawigacji, więc co chwila patrzyłem na mapę. Po drodze kilka razy zmyliłem drogę, ale mimo to udało mi się dojechać do Turobina w trzy godziny. Kiedy zobaczyliśmy drogowskaz z nazwą tego mitycznego miasteczka, zerknąłem na matkę. Wpatrywała się z napięciem w szarą wstęgę szosy i wydawała się nieco przestraszona.

- I jak? Wszystko dobrze? – zapytałem.

- Nie wiem. – odpowiedziała z rozbijającą szczerością.

Nie miałem czasu na dalszą analizę jej reakcji, bo już po chwili przejechaliśmy przez most i zza zakrętu wyłoniła się przysadzista sylwetka kościoła pod wezwaniem św. Dominika. Zaparkowaliśmy w bocznej uliczce i poszliśmy w kierunku renesansowej budowli. Matka w nabożnym skupieniu oglądała fasadę świątyni, potem nacisnęła klamkę drzwi wejściowych i uradowana weszła do wnętrza. Z trudem przyklękła przed ołtarzem. Musiałem jej pomóc przy wstawaniu.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – usłyszeliśmy mocny, męski głos dochodzący z bocznej nawy. Natychmiast rozpoznaliśmy proboszcza, którego zdjęcia czasem pojawiały się w parafialnym piśmie, które prenumerował mój brat.

- Na wieki wieków amen. – odpowiedziała matka i nie wiedząc czemu pochyliła głowę.

- Nie widziałem was tu wcześniej... – zagaił kapłan, bo pewnie mu się zdawało, że musi coś powiedzieć.

- Księżu proboszczu, my aż z Warszawy...

No, niezupełnie, pomyślałem, ale pominąłem to milczeniem.

- I co was sprowadza do Turobina? – dopytywał się gospodarz świątyni.

- Proszę księdza! – matka zaczęła z przejęciem. – Ja byłam chrzczona w tym kościele. O Puchalach ksiądz słyszał? Mieli masarnię i restaurację, mieszkaliśmy na Szczepce-

skiej... Ostatnio byłam tu pięćdziesiąt lat temu.

- Oj, to bardzo dawno. Wtedy jeszcze mnie tu nie było. Niech się pani rozejrzy. – podprowadził nas do nawy głównej jakby był przewodnikiem wycieczki. – Kościół jest zbudowany w stylu renesansu lubelskiego. Tu mamy ołtarz z barokowymi obrazami, chyba od Bernardynów z Radecznicy.

Matka posłusznie patrzyła to na obrazy, to na sufitowe sztukaterie, kiwała głową przed rzeźbami i płytami nagrobnymi, ale było dla mnie jasne, że wszystkie te informacje są jej zbędne i pewnie wołałaby po prostu się pomodlić. Na szczęście wykład proboszcza nie trwał zbyt długo.

- No to ja już muszę iść. Z Bogiem! Nie będę jeszcze zamykał, żeby państwo się trochę rozejrzeli.

Po chwili już go nie było. Przysiedliśmy przed ołtarzem. Wnętrze świątyni rozświetlało mdłe światło poranka.

- Idziemy? – zapytałem wprost.

- Tak! – matka podniosła się z trudem. – Najpierw na rynek, tam są sklepy. Kupię w piekarni świeży chleb. Zaraz obok był mięsny, może dostaniemy dobrego schabu?

Wyszliśmy z kościoła. Do rynku nie było daleko. Miasteczko budziło się do życia, na ulicach było sporo ludzi. Matka rozglądała się ciekawie, ale miałem wrażenie, że jest rozczarowana.

- Tak tu inaczej... – szeptała. – Przecież tego parku nie było.

Rozglądała się na wszystkie strony, wpatrując się intensywnie w twarze mijanych osób. Może wyobrażała sobie, że natychmiast po przyjeździe otoczy ją grupka kolegów i koleżanek ze szkoły i razem miło spędzą czas? Ludzie mijali nas obojętnie, każdy gdzieś się spieszył. W pewnej chwili przystanęliśmy bezradni. I nagle matka złapała za rękaw przechodzącego staruszka. Ten zatrzymał się zdumiony, popatrzył na nią bystrym wzrokiem i twarz mu się rozjaśniła:

- Zosia!!! – wykrzyknął.

- Mieciu! To naprawdę ty!

Starszy pan odszedł od nas dwa kroki i bacz-

nie zlustrował matkę. Zauważyłem, że na wierzchu jego dłoni tkwi kaniula dożylna. Dopiero wtedy zarejestrowałem jego nienaturalną bladłość i wyblakłe spojrzenie często znamionujące chorobę. Potem znowu się zbliżył, wziął matkę w ramiona i mocno przytulił.

- Ile to lat się nie widzieliśmy! – powiedział – Pięćdziesiąt?

- Pewnie tak. Wiesz, Mieciu, ostatnio oglądałam album i tam było takie zdjęcie – stoimy na moście: ty, jakiś chłopak, dwie dziewczyny i ja. Nijak nie mogę sobie przypomnieć...

- Miło było was zobaczyć! – odrzekł, jakby wcale nie usłyszał ostatnich słów. – Ale muszę już lecieć do przychodni, bo mi przepadnie kolejka. Cześć!

I po prostu poszedł w swoją stronę, nawet się nie obejrzawszy. Matka patrzyła za nim zdumiona.

- I co teraz? – postanowiłem natychmiast przerwać tę nieprzyjemną sytuację.

- Teraz... pójdziemy do sklepu... – odpowiedziała z ociąganiem. – Kupimy chrupiących rogalików i chleb! Tam jest piekarnia! – wskazała ręką szłydy po drugiej stronie parku.

Ruszyła pewnym krokiem w tamtym kierunku, ale kiedy byliśmy już całkiem blisko, stanęła jak wryta.

- Chemiczny! – powiedziała z niedowierzaniem.

- Chemiczny. – powtórzyłem jak automat. Nagle zachciało mi się wracać do domu.

- Obok jest mięsny. Przynajmniej kupimy świeżego schabu. – Nie rezygnowała, choć minę miała już bardzo niewyraźną.

Przeszliśmy tam, ale zostałem na zewnątrz, bo niebo wreszcie się przetało i zza chmur nieśmiało wyjrzało słońce. Zmrużyłem oczy i delektowałem się ciepłymi podmuchami wiatru. Po chwili matka wróciła z pustymi rękami.

- Nie ma schabu. Jeszcze nie dowieźli z Zamościa. Z Zamościa! – powtórzyła oburzona.

Przez chwilę stała niezdecydowana.

- Wracamy. Jeszcze tylko zjemy kurczaka i

jedziemy do domu. – zawyrokowała w końcu. Byłem zdziwiony, że nie chce obejrzeć swojego rodzinnego domu. Może i to okazałoby się kolejnym rozczarowaniem, którego chciała uniknąć?

Poczępaliśmy z powrotem do auta. Wnętrze było już rozgrzane. Matka odwinęła mięso z folii aluminiowej i podała mi udko. Palce natychmiast zaczęły mi się lepić. Wcale nie byłem głodny, ale nie chciałem jej robić przykrości. Na dziś miała dosyć frustracji. Zjadłem, wytarłem palce chustką, ale i tak zostawiły na kierownicy tłuste ślady.

- Zatrzymaj się przy moście. – poprosiła, kiedy ruszyłem spod kościoła. – Chcę jeszcze popatrzeć na rzekę.

Zrobiłem jak kazała, ale to, co zobaczyliśmy po wyjściu z auta tylko dopełniło czarę goryczy. Zamiast rzeki przez łąkę przepływała jakaś smętna strużka bardziej przypominająca rów melioracyjny.

- I przez to musieliście się przeprowadzić w czasie okupacji? – zapytałem z niedowierzaniem.

Matka tylko pokręciła głową.

- Jedźmy już! – rzuciła i stanowczym krokiem poszła w kierunku samochodu.

Po powrocie wcale nie komentowaliśmy naszej spontanicznej wizyty w Turobinie. Zachowywaliśmy się jakbyśmy nigdzie nie wyjeżdżali. W tej kwestii było między nami milczące porozumienie. Jednak kilka tygodni później okoliczności sprawiły, że siłą rzeczy wróciliśmy myślami do tej nieudanej podróży sentymentalnej. Którejś niedzieli wpadł do nas mój brat z najnowszym numerem Dominika. Matka wzięła od niego czasopismo i jak zwykle zaczęła je przeglądać z umiarkowanym zaciekawieniem. Tak naprawdę nie było tam dla niej niczego interesującego, bo pismo koncentrowało się głównie na hermetycznych sprawach miejscowej parafii.

- Słuchajcie! – wykrzyknęła nagle wpatrując się w ostatnią stronę, gdzie zwykle zamieszczano nekrologi. – Siwy Mietek nie żyje! Ale jeszcze zdążyłam się z nim uściskać!

W półmroku czai się dzieciństwo

Sławomir Bączkowski

Zamek przy skrzynce na listy jak zwykle się zaciął. Tak było od wieków i nikogo to nie obchodziło, mimo iż przed wyciągnięciem przesyłek każdy z mieszkańców bloku musiał się nieźle namęczyć. Przechodzący obok patrzyli na takiego delikwenta ze współczuciem i kiwali głowami. Czasem, w przelocie, dochodziło do wymiany gniewnych uwag:

- Kiedy wreszcie ktoś zrobi z tym porządek?!

- Właśnie! Należałoby to zgłosić do spółdzielni!

W końcu udało mu się przekręcić kluczyk i skrzypnęły blaszane drzwiczki. W środku leżały jakieś pstrokate ulotki. Nauczony doświadczeniem dokładnie je przejrzał i między reklamami znalazł list z ZUSu zaadresowany do matki. Patrzył na podłużną kopertę jak na jakiś artefakt ujawniony podczas wykopalisk archeologicznych. Co oni jeszcze chcą? - pomyślał. Emerytura przestała przychodzić już kilka miesięcy temu. Może to po prostu informacja o tym doniosłym wydarzeniu? Schował kopertę do toby i próbował zamknąć skrzynkę, ale znowu nie był w stanie przekręcić kluczyka. Nagle usłyszał, że ktoś idzie po schodach, bardzo powoli, drobiąc krociki. Na pierwszym, ginącym w ciemności podeście pojawiła się drobna sylwetka sąsiadki spod ósemki, pani Reginy. Jakiś czas temu jej córka w rozmowie z nim skarżyła się, że matka zaczyna zapominać różne rzeczy i mylić imiona. Wszystko wskazywało na to, że demencja już wystrzeliła z bloków startowych. Zdziwiło go, że wypuścili ją samą z mieszkania, od razu też dostrzegł, że jest w szlafroku i w kapciach.

Sąsiadka spojrzała na niego jak na przedmiot, ale w jej oczach pojawił się błysk. Rozpoznała go.

- O! Pan Robert! - powiedziała drżącym głosem.

- To ja. - potwierdził nie wiadomo, po co - We własnej osobie. - dodał już zupełnie bez sensu.

- Jak mamusia? - pani Regina zmrużyła oczy i zaczęła mu się bacznie przyglądać. - Ostatnio do mnie nie zagląda, a wypitybyśmy po piwku...

Zastanowił się, czy jest sens mówić jej o wszystkim. I czemu niby miałoby to służyć? Niech sobie żyje spokojnie w bańce nieświadomości.

- Mama ostatnio nie wychodzi, bo bołą ją plecy. - wyrzucił z siebie kłamstwo i zdziwił się, że przyszło mu to tak łatwo. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej i podejrzewał, że jest to związane z procesem starzenia. Przemknęło mu nawet przez myśl zdanie, że etyka to oszukiwanie samego siebie. Kto to powiedział? Nowosielski?

- Mam taki krem w żółtej tubce. - sąsiadka przywołała go do rzeczywistości. - Mogę mamie pożyczyć, ale zostało go tylko trochę. Niech sobie kupi. Nazywa się jakoś na „o” czy na „n”...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz gdzieś trzasnęły drzwi i ktoś zaczął szybko zbiegać po schodach. Też w kapciach. Na podeście pojawiła się rozczochrana kobieta w średnim wieku. Po chwili ją rozpoznał - to była córka pani Reginy. Mieszkała z matką i dyskretnie traciła najlepsze lata życia.

- Mamo! Dlaczego wyszłaś sama? - skarciła staruszkę - Tyle razy była o tym mowa!

- Nie będziesz mi dyktowała, co mam robić. - odpowiedziała pani Regina z szelmowskim uśmiechem.

- Chodź! - córka wzięła ją delikatnie pod rękę. Staruszka potulnie poddała się jej woli. Zaczął iść za nimi. Niespiesznie, krok za kro-

kiem. Pasek od szlafroka pani Reginy wysunął się niepostrzeżenie i wił się po schodach jak różowy, egzotyczny wąż.

Wreszcie doczłapali do swoich drzwi.

- Proszę pozdrowić mamę. - poprosiła sąsiadka. Jej córka mrugnęła do niego porozumiewawczo. Młodzi często łapią starych w siatki kłamstw i niedomówień. Dla ich dobra, ma się rozumieć...

- Oczywiście. - obiecał z uśmiechem. - Życzę pani zdrowia.

- I żółty krem!

- Tak. Będę pamiętała.

Zniknęły w drzwiach swojego schludnego, smutnego mieszkanka przesiąkniętego staropanieństwem. Poszukał w torbie kluczy. Włożył największy w otwór zamka i przekręcił. Zamykał na raz, bo zawsze uważał, że nie ma sensu zamykać na dwa, zważywszy na rachityczność wszystkich tych zabezpieczeń. Przeważała to jedynie uspokojenie sumienia i w niczym nie pomaga. Co się ma zdarzyć i tak się zdarzy. Zresztą, w mieszkaniu nie było nic cennego: tylko stare meble, archaiczny telewizor i sterty książek. I jeszcze coś, ale akurat tego żaden złodziej nie pożałował: matczyzny zapach, który jednak z dnia na dzień zanikał jak pamięć o niej. Na prostopadłej ścianie zaraz przy zamku zobaczył otarcie. Obracany przez lata pęk kluczy pozostawił swoje głębokie znamię. Pomyślał, że być może i ojciec miał w tym swój udział. Klucz głośno szcęknął i ten odwieczny dźwięk przywołał czasy, kiedy jeszcze wszystko było, jak trzeba.

W mieszkaniu panowała niczym niezmącona cisza. Zapalił lampę w przedpokoju, ale jej mdłe światło nie było w stanie rozproszyc nagromadzonego w kątach mroku, bo kłosz był bardzo zakurzony. Założył kapcie, czekające na niego jak żołnierze na warcie i od razu wszedł do dużego pokoju. Zerknął na szary, milczący masyw osiedla za nasypem kolejki. Rozświetlone okna układały się w dziwne wzory. Kiedyś, dawno temu wymyślił sobie, że układy zapalonych świa-

teł tworzą litery, za pomocą których osiedle chce mu coś powiedzieć...

Położył się na zapadniętej wersalce i patrzył na zarysy dobrze znanych mebli, tonących już w szarówce listopadowego popołudnia. Za oknem majaczył komin ceglanego domu naprzeciwko. Jak zwykle wyobraził sobie, że jest małym chłopcem. Z jakiegoś powodu leży w gęstniejącym mroku, a z kuchni dochodzą swojskie odgłosy matczynej krzątany. Ojciec pewnie, jak zwykle, czyta Szwejkę w kibelku. Przymknął oczy i mógłby przysiąc, że usłyszał szcęknięcie garnków i dreptanie suki, której z jakiegoś powodu nigdy nie obcinano pazurów.

Nagle rozdzwonił się telefon. Jego nieprzyjemny dźwięk brutalnie rozciął błonę ciszy spowijającą mieszkanie.

- Słucham? - rzucił zirytowany.

W słuchawce słuchać było tylko delikatny szum, jakby ten ktoś po drugiej stronie nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Tu Bożenka z Tykocina. Można z panią Krysią? - usłyszał w końcu słaby głosik.

I znowu ten sam dylemat i identyczna refleksja: po co jej ta wiedza? Niech Krysia nadal żyje, niech chodzi na targ, niech się krząta w mieszkaniu...

- Pani Krysia wyjechała na kilka dni do brata. - powiedział i natychmiast zdał sobie sprawę, że źle to rozegrał: kupił sobie za mało czasu.

- To ja zadzwonię za tydzień.

„Za tydzień to będzie zepsuty telefon” - pomyślał.

- Oczywiście. Bardzo proszę.

Połączenie zostało przerwane i w słuchawce zapanowała głucha cisza, która zawsze wzbudzała w nim niepokój. Wyobrażał sobie, że w takich momentach powstaje na łączach swoista próżnia, którą z miejsca anektuje coś przerażającego, acz nie dającego się opisać zwykłym ludzkim językiem. Należało wtedy jak najszybciej położyć słuchawkę i tak też zrobił. Wrócił na kanapę i ponownie zaczął kontemplować szarówkę, z wolna przekształcającą się w pełnoobjawo-

wy mrok. Nagle aż się wzdrygnął, bo zdało mu się, że matka woła go z kuchni. Wyteżył słuch. Tak! Teraz wyraźnie usłyszał:

- Wstawić ci parówki? - jej głos dochodził z bardzo daleka, jakby ta kuchnia znajdowała się na innym piętrze. Zupełnie innym, do którego on jeszcze nie miał dostępu.

- A co to? On rączek nie ma? - ojciec odezwał się z przedpokoju. Musiał się czaić gdzieś w mroku między łazienką a kuchnią.

- Miałeś jechać na CPN. - matka zignorowała jego uwagę.

- Pewnie kolejka albo wcale nie ma benzyny.

- Będziesz coś jadł? Ugotować ci jajka na twardo?

- A nastaw, dobra kobieto. - przystał na propozycję i jego głos zaniknął, jakby ktoś gwałtownie przekręcił potencjometr.

Z napięciem wpatrywał się w czerń przedpokoju, lada moment spodziewając się ujrzeć sylwetkę ojca wyłaniającą się z mroku. Pewnie miałby w ręku wystrzępioną Lalkę albo Przygody dobrego wojaka Szwejka. Wertował te książki w nieskończoność i znał je na pamięć. Może w niezmiennych fabułach szukał spokoju, którego tak bardzo potrzebował? Książki nigdy go nie zawiodły, ale z biegiem lat ograniczył ich ilość, w czym przypominał starych pianistów, których repertuar kurczy się na starość do najukochańszych dzieł. Tak więc zawsze był Szwejk albo Lalka. Ojciec traktował czasem te dzieła jak księgi liturgiczne – nie czytał ich od deski do deski, bo ciągłość zdarzeń nie miała już dlań znaczenia. Częściej zaglądał do nich, jakby odczytywał rytualne fragmenty w jakimś sobie tylko znanym obrządku.

Nastuchiwał dalszego ciągu konwersacji między rodzicami, ale na darmo. W mieszkaniu znowu zapanowała cisza, a może cały czas tam zalegała?

- Mamo! - chciał krzyknąć, ale wydał z siebie jedynie coś na kształt stłumionego jęku i sam przed sobą zawstydził się tego dźwię-

ku.

Odwrócił się na drugi bok i wtulił głowę w poduszki obite szorstkim materiałem. Pachniały przeszłością. Nagle przypomniał sobie zabawne zdarzenie sprzed kilku dziesięcioleci. Był wtedy małym chłopcem zafascynowanym przyrodą, a w szczególności gadami. Podczas spaceru po lesie znalazł młodego zaskronca i zabrał go do domu. Rodzice nie byli zachwyceni, ale uprosił ich, żeby wąż został. Z pomocą ojca urządził terrarium. Karcił gada żywymi żabami i traszkami pozyskiwanymi z pobliskiej glinianki. Wiedział, że te ostatnie są pod ochroną, ale nic sobie z tego nie robił. Wprost przeciwnie – widok powoli pożeranej traszki wywoływał u niego dreszcz niezdrowej ekscytacji. Przyzwyczaił zaskronca do swojego dotyku i gad chętnie owijał się wokół jego ręki, delektując się ciepłem ludzkiego ciała. Pewnej soboty bawił się z węzem na kanapie, kiedy matka przypomniała sobie, że mieli iść razem do kościoła. Popędzany, ubrał się pośpiesznie i dopiero kiedy stał pod amboną, przypomniał sobie, że zaskroniec został w dużym pokoju! Jego przerażenie było na tyle autentyczne, że matka pozwoliła mu pobiec do domu przez zakończeniem nabożeństwa. Wszedł do mieszkania i zamarł. Ojciec leżał na kanapie i pochrapywał. Wąż musiał wcisnąć się głęboko w szczelinę między poduszkami. I tak sobie razem leżeli. Przez kilka minut tylko patrzył na śpiącego ojca, gorączkowo szukając rozwiązania problemu. Potem po prostu zaczął głośno tupać w nadziei, że hałasy go zbudzą, a wtedy z pewnością od razu pójdzie do łazienki. I tak też się stało! Ojciec głośno chrapnął, otworzył oczy i zapytał: Już wróciliście? Potem zgodnie z przewidywaniami poszedł do łazienki. Wąż rzeczywiście leżał rozciągnięty wzdłuż szczeliny między poduszkami!

To była ta sama kanapa, choć teraz przypominała ponton, z którego częściowo uszło powietrze. Coś tam w środku popękało ze starości, odpadły jakieś śruby, materiał

obiciowy w niektórych miejscach całkiem się przetarł. Ale trwała, bo przedmioty często żyją dłużej niż ludzie. Żywe tkanki obumierają, a metal czy kamień trwają... Odychał przez nos. Pozwalał, żeby powietrze wnikało w niego głęboko, a razem z nim to, co unosiło się tu wszędzie: niespokojne duchy rodziców, woń starych ubrań w szafach, kurz pokrywający całunem scenę ostatniej matczynej krzątanimy... Poleżał tak jeszcze

przez kilka minut, potem niespiesznie wstał i sięgnął po leżący na ławie telefon. Wybrał numer.

- Dzień dobry. Jaworski z tej strony. Rezygnuję ze sprzedaży. Proszę wycofać mieszkanie z oferty... Tak, jestem pewien... Trudno... Do widzenia.

Wrócił na kanapę i wreszcie zasnął w poczuciu, że podjął właściwą decyzję.

Zatrzymać tę chwilę na zawsze

Sławomir Bączkowski

Powietrze było jeszcze mroźne po nocy, ale ostre słońce szybko je ogrzewało, przy okazji zamieniając las po obu stronach drogi w istny skarbiec skrzący się tysiącami kropelek. Szli trzymając się za ręce jakby byli nastolatkami, szczebiotali, co chwila całując się i przytulając. Rozglądali się, desperacko szukając miejsc znanych sprzed trzydziestu lat, kiedy to jako licealiści przyjechali do tej górskiej miejscowości po raz pierwszy. I po raz pierwszy w pełni doświadczyli tu rozkoszy bycia razem, co wytworzyło między nimi więź tak silną, iż nawet wieloletnia rozłąka nie była w stanie jej zaszkodzić. Wprost przeciwnie - teraz mieli wrażenie, ba, pewnością, że ich uczucie jest po stokroć silniejsze i dojrzałe.

Doszli do wartkiego strumyka i przystanęli, jak urzeczeni wpatrując się w mknącą po kamieniach, krystalicznie czystą wodę.

- To jest ten pamiętny strumyk! - powiedziała Hanka.

- Ten sam, w którym się kąpałaś, co pozostało we mnie niezatarte wrażenie... - dodał, patrząc na nią z pojaśnioną twarzą.

- ...niczym syrena w morskiej pianie! - roześmiała się. - O, Boże! Bez przesady.

Minęli mostek i po chwili doszli do miejsca, z którego widać było zapierającą dech pano-

ramę gór. Przystanęli i patrzyli w milczeniu.

- Kotku! - Hanka przerwała w końcu ciszę i mocniej ścisnęła jego rękę.

- Jesteśmy tu!

- Mamy to!!! Jezu, jak mi jest dobrze! - spojrzała na niego roześmianymi oczami. - Mam ochotę po prostu krzyczeć!

Pocałowała go w policzek, odbiegła rozdowana jak mała dziewczynka i stanęła bez ruchu zwróciwszy twarz ku słońcu. Przytknęła oczy, a on patrząc na nią pomyślał wtedy, że ma przed sobą najszczęśliwszego człowieka na świecie. Chciał jej zrobić zdjęcie, ale zdecydował się na filmik, który potem latami oglądał w nieskończoność, bełkocząc w pijackim zamroczeniu sobie tylko zrozumiałe słowa. Znał każde ujęcie, każdą klatkę. Powiększał kadry, wpatrywał się zamglonym od ginu wzrokiem w iskry szczęścia i rozbawienia zastygłe w jej oczach na wieczność. Setny, tysięczny raz wyobrażał sobie ten jej pocałunek, niemal czuł na skórze muśnięcie jej ust i delikatny zapach kremu.

Stali tak przez kilka minut, radując się swoim szczęściem, potem przeszli szosą do pnącej się w górę ścieżki, gdzie zaczynał się tak zwany Szlak Wspomnień wiodący do Krzyża Zakochanych, który obrali sobie za pierw-

szy cel swojej górskiej wędrówki. Poranne mgły powoli rozptyływały się w krystalicznym powietrzu, a wszędobylskie promienie słońca złociły kobierce z opadłych liści. Wszystko dookoła skrzyło się tysiącami refleksów. Smukłe pnie drzew miały dziwną szarą barwę i rzucały długie cienie, których rytm zdawał się współgrać w kontrapunkcie z zalewającym las światłem. Nieco już zmęczeni zatrzymali się na niewielkiej polance. Hanka położyła kurtkę na jakiejś kłodzie i usiadła.

- Ale tu pięknie! – powiedziała, rozglądając się dookoła z zachwytem.

Przysiadł koło niej i spojrzał w górę na korony drzew odcinające się od ciemnobłękitnego nieba, na którym próżno było szukać jakichkolwiek chmur.

- Najlepsza pogoda, jaką można sobie wyobrazić... – mruknął i oparł głowę na jej ramieniu.

- Kochasz mnie? – spytała nagle w tak dobrze znany mu sposób.

- Bardzo, kotku.

Siedzieli jeszcze kilka minut w milczeniu.

- Chyba tak wygląda raj... – zaczęła szepce, ale zaraz ucichła.

Zamyślił się wsłuchany w nieprzeniknioną ciszę lasu. Poszybował myślami ku ich pierwszej wizycie w tej górskiej miejscinie przed trzydziestoma laty. Byli wtedy tacy inni! Po dziecinnemu bezrefleksyjni, odurzeni wolnością po długich miesiącach rodzicielskiej kontroli, kiedy to tuląc się w jego blokowej klitce musieli odskakiwać od siebie jak oparzeni na dźwięk kroków w przedpokoju. Pamiętał, że pierwszego dnia w górskiej chatce Hanka była przegnębiona, tęskniła za domem i zdawała się zupełnie nieprzystępna. Czuł się bardzo rozczarowany, bo przed wyjazdem wyobrażał sobie Bóg wie co. Pierwszej nocy po prostu powiedziała „dobranoc” i odwróciła się do niego plecami. Jednak już następnego ranka kochali się namiętnie, po raz pierwszy tak naprawdę poznając

mapy swoich ciał. Dopiero koło południa wyszli na spacer i właśnie wtedy przyplątał się do nich łaciaty kundelek, który wytrwale wędrował z nimi przez kolejne dni...

- O czym myślisz? – głos Hanki wyrwał go z zamyślenia.

- O nas. O naszym pierwszym wyjeździe.

- Ja też czasami wracam do tego pamięcią...

- przyznała szeptem. – Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi.

- Dlaczego to wszystko musiało się skończyć? – zapytał, patrząc przed siebie, jakby oczekiwał odpowiedzi od rządów pni.

- Kotku, daj spokój. – W jej głosie słychać było znużenie. – Tyle razy była o tym mowa. Nie udźwignęliśmy choroby twojego ojca. Zamknąłeś się w sobie, odgradziłeś się swoim bólem, a ja musiałam zostać na zewnątrz. Poczułam się odepchnięta...

- Tak... – westchnął – To była moja wina.

- Nie było w tym niczyjej winy. Po prostu fatalny zbieg okoliczności. To nas przerosło. Zamilkli oboje, przypatrując się dzięciołowi, który wczepił się pazurkami w konar pobliskiego drzewa i zaczął miarowo uderzać w niego dziobem. Hanka wstała i energicznie otrzepała spodnie.

- Idziemy! – zarządziła.

Po pół godzinie doszli do otoczonej drewnianym płotkiem kapliczki z umęczonym Chrystusem, bolejącą Maryją i Janem Ewangelistą. Popatrzył w półprzymknięte oczy konającego na krzyżu. Hanka czytała historię kapliczki na tablicy informacyjnej.

- Wiesz, że postawiła tę kapliczkę dziewczyna z Bielska, która tu wypoczywała. Poznała w Brennej chłopca, ale rodzice go nie akceptowali. Właśnie tu spotkali się po raz ostatni... – relacjonowała mu przeczytane informacje.

- Wzruszające. – mruknął i spojrzał na dziesiątki zawieszonych pod tablicą kłódek. – Ludzie to wszędzie muszą te kłódki wieszać! – warknął zirytowany.

- Kotku...

Niespiesznie poszli dalej. Nagle usłyszeli

gwałtowny szelest w zaroślach. Hanka natychmiast przywarła do niego i wpatrywała się z niepokojem w krzaki. Przygarnął ją mocniej.

- Nie bój się. To pewnie dzik. Zaraz sobie pójdzie. – uspokajał ją. Przypomniawszy sobie, że tak samo tuliła się do niego przed trzydziestoma laty, kiedy podczas wędrówki dotarli do ponurej szopy i w żartach zagroził, że ją tam zamknie. Zawsze miewał sadystyczne skłonności, ale obracał to w żart. Przytuliła się.

- Przy tobie czuję się taka bezpieczna. – wyszeptowała – Powiedz, że już zawsze będziemy razem.

- A jak sobie to inaczej wyobrażasz? – zapytał z uśmiechem. – Przecież ja żyć bez ciebie nie mogę.

- Ale ja odejdę z tego świata pierwsza, do brze? Nie umiałabym być bez ciebie.

- Co za pierdoły!

- Albo razem...

- Przestań, proszę!

Uśmiechnęła się i przywarła do niego całym ciałem. Poczuł zapach jej włosów, który zawsze przyprawiał go o zawrót głowy.

- Kocham cię. – wyszeptowała.

Przygarnął ją mocniej. Potem nagle wyswobodziła się z jego uścisku i popatrzyła dookoła

- Która godzina? – zapytała nieco trwożnie.

- Chyba już robi się ciemno...

- Dochodzi czwarta.

- Kotku, chodźmy, bo zmrok nas dopadnie.

Poszli najpierw wśród drzew, między którymi migało miodowe światło powoli zachodzącego słońca. Po pewnym czasie wyszli na niewielką polanę i stanęli bez ruchu urzeczeni nieziemskim widokiem morza mgły pełzającej w dolinach po obu stronach wzniesienia.

- Boże, jakie to piękne! – wykrzyknęła Hanka.

- Nieziemskie!

Przeszli jeszcze kawałek i dostrzegli w od-

dali wieżę widokową. Słońce zdawało się tonąć w białych oparach. Wszystko dookoła pływało w oceanie rozświetlonej mgły. Hanka przyspieszyła kroku.

- To będzie widok! – powiedziała zdyszana.

Wieża była bardzo wysoka. Popatrzył na ostatni podest i lekko zadrżał.

- Jesteś pewna, że chcesz tam wejść? – zapytał niepewnym głosem.

- Kotku! Co to będą za zdjęcia!

Zaczęli mozolną wspinaczkę. Schodki były wąskie i bardzo śliskie. Zawsze miał lęk wysokości i starał się nie patrzeć pod nogi. Hanka wspinała się jak w transie. W końcu stanęli pod samym dachem i rozejrzeli się z zapartym tchem.

- Bajka! – powiedział i zrobił zdjęcie doliny zasłanej mgłą. Hanka w milczeniu, nieco sztywnym krokiem odeszła do przeciwległej barierki.

- Patrz! – wskazała na coś za jego plecami. – Musisz to sfotografować!

Odwrócił się i zaczął uważnie patrzeć na panoramę gór.

- Ale co? – zapytał i odwrócił się w jej kierunku.

Zamarł.

Hanka stała na poręczy, wpatrując się jak za hipnotyzowana w rubinowe słońce.

- Boże, jaka jestem szczęśliwa! – wykrzyknęła.

- Zejdź! – ryknął i poczuł rozlewającą się po całym ciele panikę.

- Chcę zatrzymać tę chwilę na zawsze! – ostatnie słowa Hanki poszybowały w dolinę. Pochyliła się do przodu i skoczyła w gęstniejącą mgłę.

- Nie!!! – jego głos brzmiał jak skowyt śmiertelnie zranionego zwierzęcia. Wrzask odbił się echem od ścian lasu, ale zaraz potem zapanowała cisza. Mgła otuliła już wszystko.



Chwytaki

Waldemar Jagliński

(część I)

Kiedy tylko ocknął się i otworzył oczy, długie palce stóp, oplatające konar niskiego drzewa, rozluźniły się jak na komendę, a wiatr uniósł go gwałtownie i poniósł na rdzawych skrzydłach, w podmuchu wypełnionym skalnym pyłem. Kierunek był właściwy, obudzony Pik właśnie tam zamierzał ruszyć, aby kontynuować poszukiwania żony i syna. Należało jednak skorzystać z własnych skrzydeł i manewrować lub hamować, gdyż zdawanie się na przypadek niejednego mieszkańca tej krainy sprowadziło już przed czarne oblicze śmierci. Wystarczyło spojrzeć wokół: ostre skały albo przysadziste, kolczaste krzewy smagane twardym miałem zostały ukształtowane przez częste huragany, szarpiące ów mroczny świat, przez większość tubylców nazywany po prostu Ziemią Wiatru. Pejzaż śmierdzał więc katem.

Jako chwytał Pik odpoczywał zazwyczaj za jakąś naturalną osłoną lub za ruinami rozmaitych budowli. Głównie tych przedwojennych. Wtedy oczywiście pęd powietrza nie był na tyle silny, aby oderwać go od ścian czy krzewu, nawet po przebudzeniu, gdy organizm rozluźniał palce stóp. Kiedy brązowa sierść, pokrywająca jego niemal kuliste ciało, unosiła się samoistnie, chwytał odczuwał chłód. To zapewniało głębszy oddech i przypominało o konieczności polowania, celem dostarczenia organizmowi energii. Prastarych cykli nie można było zmienić. Jako lotnik z kolei Pik wyposażony był w parę niedużych, lecz mocnych skrzydeł, pozwalających walczyć z niejednym huraganem. Jako kogut zaś Pik bił się jeszcze niedawno z innymi chwytakami, z agresywnym szczepem z zagród Brunatnych, który zniszczył wiele domów w drodze do ziem

szczepu Pika. Wrogie koguty przybyły z Krainy Wód przecinając wiatr skierowany ku Równinom. Kierunek ten nie był łatwy - często należało manewrować, walcząc z bocznymi podmuchami - ale Brunatni zapragnęli niewolników, zwłaszcza kur. Dostali je po zażartej walce - między innymi z Pikiem i młodymi wojownikami - po bitwie zakończonej zabiciem przywódcy zagrody. Związane kury szarpały się, poranieni i zmęczeni obrońcy patrzyli z ukrycia, gotowi jednak do ostatecznego starcia i odbicia swoich. A huragan wzmacniał się i porywał mniejsze elementy zniszczonych dachów i ścian. Porwał również żonę i synka Pika, skępowanych sznurami z traw porastających Krainę Wód. Wróg wycofał się z pozostałymi niewolnikami, zostawiając przy życiu nielicznych, ale nieustępliwych. Rozsądek podpowiadał, że nawet tak silny podmuch nie powinien zanieść nikogo poza granice świata chwytaków, czyli tam, gdzie istniał tylko wielki chłód. Na tajemniczą wciąż Ziemię Ciemności, siedzibę skalnych demonów niosących śmierć. Do świata przeciwnego Ziemi Światła, która istniała po drugiej stronie Ziemi Wiatru. Na ciepły albo nawet rozpalony skraj owej ziemi rozmaite szczepy chwytaków organizowały pielgrzymki połączone ze składaniem zwierzęcych ofiar. Dawano je bogu nazywanemu Ogniem, który - w przekonaniu wielu - przenikał nie tylko jasny, czerwony świat, lecz stworzył mieszkańców Równiny, Krainy Wód oraz innych ziem wyposażając ich w mózgi wysyłające promienie. Wierzono, iż tylko ów bóg wiedział, kiedy wystrzelił pierwszy promień z mózgu chwyta. Był on zapewne zielony, łowiecki. Jedno zaś pozostawało pewne: w tamtej chwili chwytały stały się panami Ziemi Wiatru. Ofiarując zwierzęta, oczekiwano przede

wszystkim, że bóg mieszkający w ognistym blasku da chwytakom więcej ciepła i światła. Mijały kolejne cykle, przemijały pielgrzymki, lecz nic się nie zmieniało. Równina i inne ziemie, niesąsiadujące z Ziemią Światła, pozostawały w mrocznej atmosferze. Nawet wtedy, gdy milczącemu bogu ofiarowano kury, a potem młodych wojowników. Wielu tubylców uwierzyło we własne siły. Należał do nich Pik.

Wojny na Ziemi Wiatru były tak naturalne jak sen, polowania czy zapładnianie kur. Jak prastare cykle. I tylko nielicznym przeszkadzały coraz bardziej, ale nikt z nich nie znał recepty na zmniejszenie koguciej agresji. Nie było przepisu na dłuższy pokój, który mógłby zaowocować ogólnym rozwojem społeczności chwytaków. Kuliste istoty miałyby wówczas szansę zainicjować szerszą kulturę, zwłaszcza duchową. Wykorzystałyby wtedy swoje niezwykle silne mózgi. Tymczasem zamieszkiwały proste domy zbudowane z niedużych, odciętych fragmentów skał i gałęzi nielicznych drzew, a od każdej niemal pobudki słuchały rad lokalnych przywódców. A ci zazwyczaj ogłaszali nowe wojny, nie potrafiąc oprzeć się własnej naturze, pokusie zniszczenia sąsiadów, zajęcia ich ziem i wyniesienia swoich gniazd ponad inne. Potem, wśród rdzawego pyłu niesionego wiatrem, rozbłyskiwały czerwone promienie śmierci, wysyłane z jasnożółtych kogucich oczu.

* * *

Lecąc z wiatrem albo na jego rdzawych skrzydłach, Pik zauważył, że ostatnie wojny musiały być naprawdę zażarte. wysyłane z jasnożółtych kogucich oczu. Na rudawej Równinie, przemykającej pod nim coraz szybciej, nie widział bowiem żadnego chwyta. Żadnych szczepów! Z obawą pomyślał o żonie i synu, którzy, jak zapewne wiele innych kur i kurczaków, mogli gdzieś przypadkowo przyziemić. Wtedy również mogli być zaatakowani przez koguty, napadające na

rozmaite gniazda. Między wysokimi brzoźkami skał sterczały na razie tylko ruiny domostw albo leżały jeszcze gałęzie z dachów. Młody kogut odczuwał żal i tęsknotę, chociaż od czasu do czasu dominował chłód wywołany rosnącym głodem. Przed oczami miał wciąż ciepłe spojrzenie żony, które zdecydowało kiedyś o jego wyborze, i drobną, żółtawą postać drżącego synka. Rozglądając się z nadzieją, w górze dostrzegł jedynie grupkę smukłych szybowników. Zwolnił walcząc z wiatrem i namierzając najmniejszą z potencjalnych ofiar. Jednak aby zapolować, musiał zwiększyć szybkość i oczywiście wznieść się, wykorzystując prądy powietrzne. Aby zaś nie stać się ofiarą Szarego Lotnika, powinien był uważać. Dość szybko udało mu się wyprzedzić ptaki i odwrócić się do nich tak, aby dobrze je widzieć. Niesiony coraz chłodniejszym powiewem, Pik uniósł myślami włosy futra, odsłaniając miniatury ssawki pokarmowe. Potem skupił się wyłącznie na ofierze i wysłał zielony promień myśliwego. Szybownik przypominający bociana zaklekotał żałośnie, pochwycony w łowieckie sidła. Promień trzymał go blisko Pika, gdy pozostałe ptaki odleciały w popłochu. Mózg Pika wysłał tymczasem żółty promień dezintegracyjny, a ciało szybownika, trzymane w sidłach, zaczęło zamieniać się w szarawy obłok substancji odżywczych. Chwytał pożywiał się wciągając pokarm przez ssawki skórne rozmieszczone pomiędzy włosami futra oraz między małymi dyszami oddechowymi i filtrami przeciwpylowymi. Znaczną część szybownika Pik postanowił zostawić w naturalnej formie i przenieść ją w rejony o zimnym klimacie. Tam, gdzie zaczynała się już Ziemia Ciemności. Gdzie wciąż miał nadzieję odnaleźć żywą rodzinę.

Wiatr słabł, co zresztą Pik przeżył już kiedyś, gdy uczestniczył w wyprawie wojennej przeciwko dalekiej, lecz silnej zagrodzie. Przeciwko stu trzydziestu skalnym gniaz-

dom! Jak na Równinę z mrocznej Ziemi Wiatru, było to duże skupisko chwytałów. Przyciągało jednak możliwością pozyskania zapłodnionych jaj, z których zrodziliby się wyjątkowi wojownicy. Rude koguty znane od dawna. Żołnierze z pierwszego szeregu! Gdyby udało się zdobyć wspomniane jaja, po stu cyklach zagroda Pika dostałaby silne wsparcie i nabrałaby znaczenia. Wiatr sprzyjał, lecz wyprawa ta zakończyła się niepowodzeniem. Małe grupy chwytałów agresora, zdziękowane przez obrońców i odarte z dumy oraz futer, stopniowo powracały do domów. Pik długo nie mógł pogodzić się z klęską i w końcu poparł Radę Starszych, która zarządziła zmianę zagrodowego przywódcy.

Tymczasem skupił się na skracaniu promienia – sideł. Zielony, świetlisty łącznik małał z każdym oddechem. Pik czekał. Gdy chwycił już mocniej pozostałość szybownika, poczuł silne uderzenie z góry, a potem przeszywający ból pleców. Wypuścił zdobycz. Atakującym był Szary Lotnik! Ogromny ptak pochwycił w szpony ciało zaskoczzonego koguta i poleciał wzdłuż granicy Równiny i Krainy Chłodu przecinając wiatr na wysokości Wysokich Skał. Pik szarpnął się przerażony, uwięziony w potężnych pazurach. Nadaremnie. Nadzieja na ocalenie i odnalezienie rodziny słabła z każdym oddechem. Chwilami tracił przytomność. Odzyskując ją, widział żonę skrępowaną przez wrogów i unoszoną przez silny wiatr. Pik zobaczył pełne bólu spojrzenie związanej z nim istoty i matki, a potem nieporadne próby pochwycenia skrępowanego synka. Tak dobrze zapamiętał głębokie cierpienie istoty, która miała pozostać niewolnicą i poddawać się woli brunatnych, wrogich kogutów... Pik walczył, choć zdawało się to beznadziejne. Może właśnie dlatego udało mu się w końcu obrócić ciało na tyle, że dostrzegł duży, ciemnoszary tułów lecącego

drapieżnika. Ostatkiem sił wysłał czerwony, bojowy promień. Szary Lotnik zakwilił przeraźliwie, szpony rozluźniły się, a Pik zaczął spadać szarpany huraganem.

* * *

Gry zapanował nad lotem, w rdzawych, rozciągniętych chmurach pyłu dostrzegł niedawnego napastnika, który spadał bezwładnie w stronę ostrych skał. Drapieżnik nie miał sporego fragmentu tułowia – rozpadł się on pod promieniem Pika na niewidoczne cząsteczki rozwiane zapewne przez wiatr. Chwytał tymczasem zniżył lot, zobaczył bowiem coś, co przerażyło go dogłębnie: na brzytwach wysokich, odchylonych, rudawych wzniesień leżały dwa ciała inteligentnych tubylców! Jedno na pewno należało do kurczaka...

- Ko, odezwij się! – Pik wysłał żonie rozpaczliwą myśl, wierząc wciąż, że ona wyśle mu swoją. Że żyje gdzieś dalej, tuląc synka. Że zdołała jakoś zrzucić więzy i wystrzelić kurzy, zielony promień. Sidła łowieckie, pozwalające ostatecznie przetrwać. Ko milczała.

Pik uchwycił się pnia złamanego drzewa, aby bliżej przyjrzeć się ofiarom mrocznej natury Ziemi Wiatru. Potwierdziły się jego obawy: na ostrych fragmentach skalnych na zawsze pozostała jego rodzina! Płynny ustrojowe rozlały się, barwiąc czerwono-twarde podłoże. Pik zamknął powoli duże, jasno-żółte oczy i trwał tak przez dłuższy czas, nie wiedząc, co począć. Jak na przyspieszonym filmie zobaczył obrazy przeszłości: pierwsze czułości, gdy błoniastym skrzydłem przytulał przyszłą żonę, jasnobrązowe jajo pękające w gorącym oczekiwaniu rodziców, pierwszy lot synka asekurowany przez szczęśliwego ojca, ciepłe spojrzenia żony...

Targany żalem i rozpaczą, Pik zaczął z wolna odczuwać wściekłość, a potem nienawiść. Otworzył oczy, puścił złamany pień i wzbił się gwałtownie w szalejące powietrze. Myślał już tylko o zemście, o zabijaniu Brunatnych! Obierając kierunek lotu, przeciął

wiatr prąc w stronę dalekiej Krainy Wód. Ledwie nabrał wysokości walcząc z bocznym naporem powietrza, gdy dostrzegł w dole grupę chwytałów. To byli Brunatni! Być może nawet oddział wojskowy, który uczestniczył w ataku na zagrodę Pika. Koguty pożywiały się czymś na powierzchni Równiny. Błyskały zielone promienie łowieckie, rozpalały się żółte dezintegratory...Wiele wskazywało na to, że brunatne koguty dopadły grupkę niedużych, równinnych nicieni. Zwierzęta te często zamierały, upodabniając się do oderwanych gałązek, lecz chwytały ten fortel.

Pik uderzył na wroga, schodząc ostro, niemal pionowo. Zajęci konsumpcją Brunatni nawet nie spojrzeli w rudawe niebo. Pierwszy z nich rozpadł się w całości, a cząsteczki jego ciała rozwiął porywisty wiatr. Dwóch kolejnych zginęło, tracąc górne części niemal kulistych organizmów. Pik zawahał się, schodząc do drugiego ataku: przeciwnicy wystali już czerwone promienie, na szczęście niecelne. Było ich jednak zbyt wielu. Pik wzniósł się wysoko i ruszył do Krainy Wód. Nienawiść wciąż w nim płonęła.

* * *

Mijały prastare cykle. Uparty lotnik polował, spał i walczył z coraz cieplejszym powietrzem, znosząc jego boczne podmuchy, które spychały go z właściwej drogi. Tak naprawdę nigdy nie był w krainie Brunatnych, leżącej dość blisko Ziemi Światła. Słyszał o niej od starszych chwytałów. Ich myśli obrazowały świat nieprzyjaciół. Był on odmienny od tego, który znał Pik i jego rówieśnicy. Na Równinie można było znaleźć nieduże zbiorniki wodne. Stanowiły one bardzo cenny element ziem danej zagrody. Nieraz toczyły się o nie wojny. Brunatni dysponowali jednak znacznie większymi jeziorami, wokół których wrosły trawy i drzewa pokryte gęstym listowiem, odpornym na powiewy. Mroczny

świat tamtych chwytałów, bez jakichkolwiek ofiar, otrzymywał więcej światła albo bożego blasku. I ten wystarczał aby zaistniała tam bujna roślinność. Wszystkie znane Pikowi najazdy na tamte ziemie kończyły się jednak niepowodzeniem.

Ale młody chwytał myślał przede wszystkim o zemście. Przecinając wiatr nie zobaczył jednak innych Brunatnych. Za to dostrzegł coś, co widział już kilka razy, gdy wiatr znacznie ustawał i przestrzeń nad chwytałem nie była rdzawa od unoszonych, drobnych skał. Wtedy to ponad Pikiem rozciągał się półmrok, w którym tkwiło mrowie jasnych punktów. Przesłaniały je nieco promienie boga Ognia, a wielu starszych chwytałów mówiło o innym bogu. Nazywano go Białym Grzmotem. Ten rzucał skałami półmroku, które jaśniały i huczały zanim uderzyły w Ziemię Wiatru. Wierzone, że współdziała on z bogiem Ognia i zabija czasem wybranych z różnych powodów mieszkańców Równiny oraz innych krain. Jedną z bożych skał dostrzegł Pik w drodze do ziem szczepu Brunatnych. Ta była jednak wyjątkowo duża, podłużna i nie tak jasna jak wszystkie inne pojawiające się dotąd w życiu Pika. Niespodziewanie huczący pocisk Ognia rozjarzył się, a potem eksplodował, rozrzucając tysiące ognistych odłamków. Podmuchał powietrza cisnął Pikiem w kierunku odległych już Wysokich Skał. Kogut leciał bezwładnie, chwilami tracąc przytomność. Uderzenie w ziemię zatrzymało go daleko od niecodziennej eksplozji. Poturbowany i zły, wbrew wszelkim bogom, postanowił kontynuować lot. Musiał się zemścić na Brunatnych!

* * *

Po wejściu w atmosferę terminatora, a przede wszystkim w chmury gęstego pyłu, odnotowano zaburzenia w pracy rozmaitych systemów. Najgorsze jednak okazały się awarie silników hamujących, głównych kapsuł ratowniczych osłoniętych jedynie częściowo i tarczy czołowej. Wrzecionowały

statek rozgrzewał się tak szybko, że żegnający się z życiem ludzie wysłali na Ziemię rozpaczliwy korytarzowy sygnał o fiasku wyprawy i wystrzelili tylko małą szalupę z robotem badawczym na pokładzie. A przecież tak długo czekano na tę podróż! Tak bardzo cieszone się z odkrycia skrótów galaktycznych! I przede wszystkim ze znalezienia pierwszej inteligencji pozaziemskiej. Inteligencji jakże niezwyklej, początkowo niedostrzeganej. Inteligencji, z którą łączono wielkie nadzieje.

Planeta Proxima Centauri b obserwowana była od dawna. Nieco większa od Ziemi, nie obracała się wokół własnej osi. Wiadomo było więc, że życie mogło tam zaistnieć między dniem a nocą. I rzeczywiście tak było. Przed statkiem załogowym wysłano automaty. Jednak tylko jednemu z nich udało się pokonać korytarz i wylądować w terminatorze planetarnym. Po krótkich, lecz ważnych badaniach nad chwytakami, prowadzonych z pewnej odległości i w kamuflażu, automat wysłał raport na statek i na Ziemię. Potem uległ awarii, poddając się rdzawemu pyłowi.

Tymczasem klęska wyprawy nastąpiła niemal w ostatniej chwili! Załoga ogromnego statku ginęła, całą nadzieję pokładając w sztucznej inteligencji. A ta, wybierając kamuflaż, przyziemiła w pobliżu niedużej grupy brunatnych chwytaków.

* * *

System odpowiedzialny za emisję dźwięków, okazał się w tym przypadku zbyt au-

tonomiczny. W powietrzu terminatora rozległo się krótkie powitanie:

- Drodzy tubylcy, przybywam w pokoju i pozdrawiam was serdecznie!

Dla grupy wojowniczych kogutów skała wydająca dziwne popiskiwanie była aż nadto podejrzana! Od razu znalazła się w grupie niebezpiecznych dziwów albo demonicznych tworów. Tak, czy inaczej, sprowokowała obronę, a właściwie – atak.

Sztuczna inteligencja, sterująca modułem badawczo – kontaktowym, nie wzięła pod uwagę prawdziwej natury chwytaków i dlatego wyłączyła pole ochronne. Czerwone, bojowe promienie tubylców uderzyły w obcego. W ułamku sekundy zamienił się on w szarawą chmurę cząsteczek, którą rozwiął wiatr.

Zadowolone z siebie brunatne koguty nie mogły oczywiście wiedzieć, że skały demonów w rozmaitych rozmiarach, pojawiają się jeszcze w ich wietrznym świecie.

Niewidzialni

Waldemar Jagliński

Poranek

Wielkie Skrzydła jak mosty między gwiazd światami – syn Ojca Niebieskiego tworzy barwne domy. Myśl Przedwieczna chłód ściany zdoła nadziejami, aby pewniej mógł kroczyć zraniony lub chromy. Lecz Skrzydła dumę karmią, a pokorę gniołą, gdy trzeba się ukłonić najmłodszemu z braci. Świat człowieka, choć piękny, zamienia się w błoto i gwiazda z prochu wzięta nad tym błotem świeci. Moc bez świtu i zmroku nie znosi odmowy i wystawia rycerza, Najwierniejsze Skrzydła. Ten ukłonił się bratu, pomoc nieść gotowy, bo niskie życie prochu nigdy mu nie zbrzydło.

Bój

W Światłości, niedostępnej dla zjadaczy chleba, stanęły wrogie armie, rozmaite Skrzydła. To sfery wielkich książąt i mieszkańcy Nieba od eonów znoszący niebieskie prawidła. Zawisły wrogie wojska nad Niebieską Wieżą, nad kręgami barwnymi, domem nad domami. A najwyższe domeny do Tronu należą – tam Ojciec czasem siada, by władać bytami. A największy buntownik, który opluł człeka, gdy Ojca nie posłuchał i nie schylił głowy, na czele dumnych braci w blasku zbroi czekał na resztę swych legionów i oręża mowę. Stańto przy nim wielu, czując smak wolności i w pogardzie wciąż mając wartość pierwszych ludzi, choć Ojciec duszę stworzył, a nie tylko kości! I w pracy Architekta mocno się natrudził. Przywódca buntu Skrzydeł bardzo pragnął władzy, chciał być czasu światłością i rządzić duszami. Podobne sobie duchy w Niebiosach zgromadził, odrzucając poznanie Pana nad panami. Wierzył w moc swego miecza, który niszczył gwiazdy, kiedy świecić nie chciały lub słabo świeciły. Wierzył w swoje zwycięstwo jak buntownik każdy,

gdy już myśli uparte wierzyć pozwoliły.
 Miał na imię Lucyfer i chciał być Zaraniem,
 nowym światłem i panem na Najwyższym Tronie.
 Wiedział już kto wśród Skrzydeł przeciw niemu stanie.
 Kto, jak gniew Najwyższego, ponad wojskiem płonie!
 To archanioł ognisty, najwierniejszy z wiernych,
 rycerz Panu oddany, wódz legionów Nieba.
 Każdy, kto przed nim stanął, wyglądał mizernie,
 lecz ambitny Lucyfer szans swoich nie grzebał.
 Zebrał liczne oddziały, odwagę tysięcy,
 buta duchów nieczystych zawrzała jak lawa!
 Był ich wodzem, ich księciem. Czy można chcieć więcej?
 Załśnił miecz w czarnej dłoni jak nowa buława.
 Obok wzniosł się Abaddon, który kruszył światy
 jednym gestem, oddechem, kaprysem serafo,
 za nim – ciemny Lewiatan w odory bogaty,
 pierwsze gniazdo zgnilizny i śmierci parafa,
 wojownicy z orszaku i bracia Uzzela,
 cherubiny o młodych, lecz smolistych twarzach.
 Trony z lewej Astaroth mocnym głosem wspierał
 i opinię o wrogach zjadliwie wyrażał.
 Tu – żołnierze Balama, tam – Moce Beliala,
 wrze i huczy rebelia, grozi wojskom Nieba.
 Lecz żaden biały rycerz od tego nie zmałał
 i pozostał przy wodzu, tak, jak było trzeba.
 Najwierniejszy syn Pana to Michał, archanioł,
 czysty ogień i twierdza, grom z najwyższej sfery,
 lecz kohorta demonów w walce go porani,
 a Belial albo Balam pozbawią maniery.
 Głos gwiazdy strącający w Niebie się rozlega,
 a chmary Ciemnych Skrzydeł ruszają do boju.
 To rozkaz Lucyfera do wojska dobiega
 i siłą wolnej woli kończy czas pokoju.
 Czarna klinga uderza, kruszy manipuły,
 giną biali żołnierze w strzaskanych kirysach!
 Seraf miażdży kohorty, napina muskuły
 i jak chmura burzowa nad wrogiem zawisa.
 Strach pada na anioły, płoną ich szeregi
 trawione ogniem księcia, wodza potępionych,
 drżą podstawy kosmosu, słabnie światło Węgi,
 Alf, Spicy, Syriusza i Atrii spłonionej.
 Nie potrzeba Uzzela, Beliala, Balama,
 by Lucyfer zuchwały rozbił Jasną Armię!
 Chociaż dzielnie walczyła, rósł niebieski dramat,
 a seraf ogniem tchnący, parł na nią bezkarnie.

Wyrósł przed nim Rafael, błysnął miecz srebrzysty,
 ranny księżę zaryczał, lecz wykonał cięcie:
 świat zadrżał, zawirował w błękicie wieczystym,
 padł anioł poraniony, kręcąc się na pięcie.
 Spojrzał księżę do góry, słysząc Abaddona –
 ten niszczyciel największy jęczał ledwie żywy!
 Pod ciosami Michała seraf niemal konał,
 archanioł był zmęczony, lecz nieustępliwy.
 Abaddon znieruchomiał, zawisł w niebieskości,
 Michał spadał jak sokół, zranił Lewiatana,
 Belialowi połamał najdrobniejsze kości,
 a Uzzel oraz Balam porzucili pana
 i błagali o litość ognistego wodza!
 Widząc siłę Michała, Jasna Armia wstała,
 choć Lucyfer wyniosły poszarpał ją srode.
 Spojrzał demon niejeden, nagle oniemiały
 i wątpić zaczął w księcia, rannego lidera.
 Wielu jednak wierzyło. Twórca gwiazd istoty –
 to on od wieków szukał i uparcie szperał,
 chłonąc wiedzę z archiwów gdzie mądrości dotyk.
 Lecz nad nim duch chciwości do głosu dochodził,
 łokciami się rozpychał i pchał się do góry,
 a Michał pragnął kochać w pokoju powodzi,
 choć wiedział, że nie można wyskoczyć ze skóry!
 Dlatego ruszył pierwszy, niosąc klingę złotą,
 puklerz ze światła tkany i włócznie z wieczności.
 Księżę czekał, lecz wyżej, wśród Skrzydeł łopotu,
 w ogniu walk legionowych, który zabrał kości
 tak wielu wielkich braci ze sfery książęcej.
 Padł Belial, padł Abaddon, Lewiatan zraniony...
 - Czy można czekać dłużej, aby stracić więcej?
 Zwycięstwo w moich rękach! – ryknął rozwścieczony.
 Czarny taran uderzył, twierdza pozostała,
 choć ciosy rebelianta wstrząsnęły Michałem.
 Wszystkie gwiazdy przygaśły i Wieża zadrżała,
 lecz w mocy swej odwiecznej istnieć nie przestała.
 Ruszył znowu Lucyfer, błysnął miecz potężny,
 grom stał się z czarną klingą, zaiskrzyły nieba!
 Wtem – osłabł Biały Rycerz, wódz prawy i mężny.
 Tego Księciu Ciemności właśnie było trzeba!
 Natarł w locie drapieżcy i wysunął szpony,
 gotów szarpać i zabić, unicestwić brata.
 Lecz w istocie Michała ożył duch zielony,
 ten, który zniesie wszystko i rozjaśni lata.
 Wódz Zastępów Niebieskich zyskał nowe siły,

stał się prężny, świetlisty i twardszy od skały.
 Serca białych żołnierzy mocniej wnet zabiły,
 a Smoliste Legiony pierwszy raz zadrżały.
 Płonął gniewem archanioł, wzbudzonym wulkanem.
 Gdy ruszył, biały ogień zalał Lucyfera!
 Poparzony, skurczony, cały w wielkich ranach
 wódz Skrzydeł spadał z Nieba. Lucyfer umierał.

Ziemia

Zadymiona speluna i papieros w ustach,
 myśli trochę stępione piołunówki mocą.
 To ten chudy włóczęga ze spojrzeniem pustym,
 skierowanym na okno wypełnione nocą.
 Ciemność sprzyja wspomnieniom, bo w niej gwiazdy płoną,
 bo tam dawna potęga i książęce życie.
 Z Wielkiej Wieży Niebieskiej kiedyś go strącono.
 Był potężnym serafem i siedział na szczycie.
 Gardził każdym człowiekiem, istotą z niskości,
 siebie czyniąc wysokim i godnym zaszczytów.
 A teraz niski człowiek gruchotał mu kości,
 za nic mając Anioły i hierarchię bytów.
 Wiele wieków minęło, a chudy włóczęga
 znosił nędzne żywoty, skazany na bóle.
 W lichych domach się rodził, po odpadki sięgał
 zawsze, wiedząc, że kiedyś pragnął zostać królem.
 Były chwile rozbłąsków niezwyklej pamięci,
 czas spadania na zawsze wśród Białych zachwyty,
 strata Skrzydeł Kosmicznych, niebieskiej pieczęci,
 śmierć na wietrze niskości i wyjście z niebytu.
 Lecz oto jego wojsko tuż przed nosem staje,
 ci, których poniżono jako rebeliantów!
 Dusz wszelakich przez wieki mogli się tu najeść,
 a te niosą niezwykle, niczym blask brylantów.
 Tak smoliści żołnierze nzebierali mocy,
 która dotrzeć pozwoli aż do Wielkiej Wieży!
 Niewidzialni dla innych, ci synowie nocy
 zdają się być prawdziwi i naprawdę szczerzy.
 Mówią, że jedna dusza wyniesie serafa,
 że oto wódz Smolistych poleci na przedzie.
 Kto jak kto, lecz Lucyfer dobrze to potrafi!
 Poprowadzi swą armię i jej nie zawiedzie.
 Czemu jednak nie wiedział, że wchłonięcie duszy
 Niebo może otworzyć, chociaż brzmi to dziwnie...

Był włóczęgą skazanym na duszy katusze,
 więc myślenie o władzy byłoby naiwne.
 Tak, to prawda i mądrość. Dopiero to widzi!
 Przez wieki pokutował, bał się podnieść głowę.
 Nawet nędzarz największy kopał go i szydził,
 a oto jego armia znowu jest gotowa!
 Kloszard piołun odstawia, wstaje od stolika,
 przed speluną przystaje i szuka ustronia.
 Słyszysz szept koło ucha – słowa dziesiętnika,
 który dostrzegł już kogoś na pobliskich błoniach.
 To młodzieniec chełpliwy, wraca właśnie z baru,
 wierzy w siłę swych ramion i gwizdże wesoło.
 Nagle – widzi włóczęgę, oczy pełne żaru,
 a potem świat wiruje, jakby działał piołun!
 Wreszcie w siebie uwierzył, przywołał naturę,
 zabrał butę człowieka i to mu wystarczy.
 Czuł jak dusza młodzieńca wchodzi w nową skórę,
 zamknął usta z uśmiechem. Miał już swoją tarczę.
 Spojrzał w niebo gwiazdziste, czuł Kosmiczne Skrzydła –
 dusze braci najmłodszych miały wiele mocy!
 Bo niskie życie prochu nie wszystkim obrzydło,
 gdyż z niego pochodzili mędrcy i prorocy.
 Ważna chwila nadeszła, nienawidził ludzi,
 choć dzięki jednej duszy mógł ruszyć ku Wieży!
 Czy zwycięży Michała, który gwiazdy budził?
 Strach odrzucił z łachmanem. I dostał żołnierzy.

Jest sobota

Waldemar Jagliński

Witek Jodłowski obudził się przerażony, zakapturzona postać bez twarzy pojawiła się nagle. Stała na tle podmiejskiego lasu, na kwietnej łące, na której Witek nieraz bywał z rodzicami. Ci zniknęli jednak w dziwny sposób, a tajemnicza postać powoli podnosiła głowę, czerń spod kaptura porażała, była jak kosmiczna próżnia...! Chłopak zaczął uciekać, lecz przewracał się. Droga prowadząca do rodzinnego miasta wydłużała się, była jak guma, a on wstawał z coraz większym wysiłkiem, po czym znowu upadał...

Młody mężczyzna wzdygnął się, podciągnął kołdrę pod brodę i rozejrzał się po pokoju, nie poruszając głową. Budzący się dzień nie ukazywał jednak niczego złego. Ot, kąty jak kąty, jeszcze trochę półmroczne, ale wszystko miało znane kształty. Wstał i ostrożnie ruszył do łazienki. Szybki prysznic obudził go całkowicie, a poranna kawa nastroiła pozytywnie do życia. W końcu była sobota, weekend! Czas ucieczki od biurowej monotonii i od spraw, które coraz mniej go interesowały.

Coraz częściej natomiast czuł jakąś nieokreśloną pustkę i pogłębiający się smutek, chociaż Jacek, mechanik samochodowy z własnym zakładem, był prawdziwym kumplem i potrafił pomóc w codziennych, praktycznych sprawach. To on zaraził go rybkami – sobotnimi wyjazdami z wędką nad pobliskie jezioro. Wprawdzie wypadły te kończyły się w tawernie, w której można było spotkać latające kufle, ale ogólnie było fajnie!

Jeszcze tylko czasami odzywały się w Witku pragnienia sprzed kilku lat, kiedy to napisał ostatni wiersz i próbował stworzyć jakiś szerszy tekst. Mądrzy ludzie

mówią, że nie można od siebie uciec, jednak matka, wtedy już chora na raka, krzywiła się, podobnie zresztą jak ojciec, który zginął w wypadku...Rodzice, walczący o każdy dzień, pragnęli, aby ich jedyny syn zdobył praktyczny zawód i zarobił na życie. Witek więc, wbrew sobie, ruszył z kilkoma kolegami w szeroki świat i zdołał ukończyć studia. Administracja gospodarcza obrzydła mu dogłębnie po roku urzędniczej pracy. Miał wrażenie, że jest jedynie trybikiem w coraz szybciej obracającej się maszynie, że kolejne dni są tylko mgnieniem... Chwilami czuł nawet, że jest po prostu nikim! Tak niestety często bywało, pewnie nie tylko w urzędach. A rodzice? Cóż, w jakimś stopniu mieli rację, bo na początku dwudziestego pierwszego wieku pisarstwo nie było już w cenie. Tym niemniej Witek miał do nich żal.

Okolo dziewiątej był już gotowy do wyjazdu na kolejny połów. Zamknął nieduże mieszkanie, zbiegł z piętra z wędkami i ruszył pieszo krótką ulicą. U jej wylotu mieszkał Jacek, a pobyt w tawernie po rybkach uniemożliwiał jazdę samochodem. To Jacek najczęściej zamawiał taksówkę, Witek stawał więc pierwszą wódkę lub piwo.

* * *

Brama była otwarta. Witek zdziwił się, bo na weekend gospodarz i właściciel zakładu zamykał ją. Jodłowski wzruszył ramionami trochę pogubiony i poszedł w stronę piętrowego domu, zwieńczonego zaniedbanym tarasem. Jak zawsze zadzwonił trzy razy. Odpowiedziało mu milczenie. Nacisnął na klamkę, drzwi były otwarte. Mimo kolejnego zaskoczenia, uśmiechnął się. Jacek wiedział przecież kto i o której przyjdzie, otworzył więc wszystko wcześniej! Przemierzając okazały parter, Witek nie spotkał jednak

kompana, który od kilku lat mieszkał sam. Jacek rozwiódł się, żona zabrała córkę...Witek tymczasem zatrzymał się i rozejrzał: szare, podrapane ściany były prawie puste, a na podłodze leżały jakieś części od naprawianych samochodów. No cóż, porzuty mężczyzna nie dbał o porządek. Dla niego najważniejsze stały się weekendowe wypadki, tawerna i alkohol.

- A rybka lubi pływać! - mówił nieraz wznosząc kolejny kieliszek.

W domu nie było nikogo. Zbiegając z piętra po skrzypiących i chybliwych schodach, Witek stanął jak wryty: w żółtawym wiatrołapie pojawiła się postać z niedawnego snu! Nim zdołał o czymkolwiek pomyśleć, czy cokolwiek zrobić, zobaczył bezdenną czerń, która w niewyjaśniony sposób uniosła ciemny kaptur...

Kierowany rosnącym przerażeniem Witek odruchowo ruszył w prawo, przypominając sobie o tylnym wejściu. Na szczęście było otwarte! Prowadziło do niedużego ogrodu, zaniedbanego jak cała posesja. Uszkodzony płot pokonał w ciągu kilku sekund, a biegnąc po bezludnym mieście, oglądał się. Czuł, że ów zwid podąża za nim jak cień, albo nawet chce go wyprzedzić... Droga wydłużała się, była jak guma... Witek przewrócił się, wstał i znowu biegł. Kiedy upadł po raz drugi, postać bez twarzy stanęła kilka kroków przed nim. Wtedy obudził się i usiadł gwałtownie na łóżku.

* * *

Pijąc poranną kawę, postanowił ostatecznie zerwać kontakt z Jackiem. Tamtemu po prostu nie wyszło, więc niech sam zapija smutki i łąpie te swoje rybki! Witek nigdy nie był wędkarzem, o urzędniku nie wspominając. Z biurem łączyła go jednak pewna urodziwa i zgrabna kobieta. Miała na imię Ania i pisywała do szuflady. A to było już bardzo dużo! Witek rozmawiał z nią coraz częściej, podświadomie pragnąc powrotu do młodościowych zamierzeń.

Ileż to razy obawiano się konfrontacji z samym sobą, własnych słabości, potknięć, które mogłyby stworzyć łańcuch klęsk. Rezygnowano więc z marzeń. Ale on tego nie zrobi! Połączy pracę zawodową z marzeniami. I już w najbliższy poniedziałek, może na przerwie śniadaniowej, podejdzie znowu do Ani, aby porozmawiać o pisaniu. Tak, tak właśnie zrobi.

Wstał, z hałasem odsuwając krzesło. Przez kilka minut przemierzał kuchnię, a potem nieduży pokój. Zastanawiał się, gdzie położył kiedyś zeszyt w szarej, sztywnej okładce, w którym zanotował ostatnie wiersze. Było to wtedy, gdy mama prawie umierała...Życie jego rodziców było pełne wyzwań, walki o każdy dzień, o każdy drobniaczek, przepełnione drogą pod prąd i chwilami zdawało się nonsensem...Witek wzruszył się i wrócił do kuchni. Wtedy usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Gdy odsunął metalową osłonkę judasza, poczuł przenikliwe zimno. Z drugiej strony stała dziwna, przerażająca postać bez twarzy! Witek odskoczył od drzwi jak oparzony i pobiegł do pokoju. Jednym szarpnięciem zerwał firankę i otworzył drzwi balkonowe. To tylko pierwsze piętro...

* * *

Najpierw poczuł ból czoła, potem nosa. Na podłodze pojawiła się krew. Świtało, a on leżał obok łóżka i to już nie mógł być sen.



Spadochron

Woody Fidler

Prędkość samolotu i boczny wiatr powodują, że najpierw robię obrót, podczas którego przez chwilę jestem do góry nogami. Z przerażeniem widzę, że samolot oddala się ode mnie i uświadamiam sobie, że nie ma drogi powrotnej. Patrzę na chmury poniżej, na nieograniczoną przestrzeń i słońce, które świeci niesamowicie mocno, czuję się swobodnie. Tracę poczucie upływającego czasu.

To pewnie koniec emocji. Zaczyna się majestatyczny lot, który wydaje mi się jakoś nieszczerólnie atrakcyjny.

- Boże, co się dzieje?!

Szarpnięcie za klamrę otwierającą czaszę spadochronu nie przynosi spodziewanego efektu. Próbuje ponownie. Bezskutecznie. Krzyk, który wydobywa się z mojego gardła, przeszywa przestrzeń wokół mnie. Zaczynam machać rękami tak, jakbym pływał w wodzie. W ułamku sekundy całe życie staje mi przed oczami... Szczęśliwe dzieciństwo na wsi, ślub z licealną miłością, podróż jachtem na Karaiby, narodziny pierwszego

dziecka...

Przerażony delikatnymi ruchami zmieniam tor lotu. Ponowne szarpnięcie i siła wiatru otwiera spadochron tuż nad ziemią. Czuję klucie w sercu. Tracę przytomność...

Epilog

Josepha Maddocka aresztowano za zabójstwo skoczka spadochronowego. Kończąc sezon polowania na kaczki nad East Lake, niedowidzący Maddock oddał dwa celne strzały w kierunku czarnego obiektu na niebie, który wziął za przelatującą kaczkę.

Syrena

Woody Fidler

Molo jest ulubionym miejscem moich spacerów. Zawsze mam wrażenie, że uda mi się przejść na drugi brzeg, na którym znajdę coś, czego od lat znaleźć nie potrafię. Przygnębienie związane z samotnością ustępuje myśli o potędze natury. Jak dobrze jest chłonać wiatr wiejący od morza. Co za cudowne uczucie, móc wspiąć się na palcach, wychyliwszy się lekko poza barierkę, patrzeć w głąb fal. Nieraz widziałem mewy kołujące nad moją głową. Nawet one mają do czego wracać. Pary zakochanych trzymające się za ręce, rodzice bawiący się ze swoimi dziećmi. Czego więcej może chcieć człowiek spragniony towarzystwa innych.

Nie jestem przystojny. Niezbyt wykształcony. Posada intendenta w firmie produkującej sprzęt gospodarstwa domowego nie daje wielu możliwości do nawiązania nowych znajomości. Koledzy z pracy patrzą dziwnie na człowieka, który na wszelkich firmowych przyjęciach zawsze pojawia się sam. Szerzą się plotki. Ludzie dowcipkują. Nauczyłem się nie zwracać na to uwagi. Staram się po prostu sumiennie wykonywać swoje obowiązki. Koledzy już godzinę przed końcem pracy zaczynają nerwowo spoglądać na zegarki. Siedzą jak na gorących krzesłach, pragnąc siłą woli przyspieszyć wskazówki. Biec jak najszybciej w stronę domu na spotkanie. Byle prędzej do innego człowieka.

Ja zostaję dłużej. Nie mam do kogo wracać. Proszę nawet o dodatkową pracę. Szef obiecuje awans. Pracując dłużej, oddalam przygnębiające myśli. Stan ducha, o którym mówię, stał się stanem permanent-

nym. Straciłem wszelką nadzieję na zmianę. Kiedyś parę lat temu, chciałem dać anons w gazecie: Kawaler, bez nałogów, z własnym M pozna panią... Zabrakło mi jednak odwagi, by zanieść je do biura ogłoszeń. Przestałem próbować.

Wiatr zaczął wiać mocniej. Chmury poczerniały, a lekki deszczyk przenikał przez jego szary prochowiec. Molo opustoszało. Mewy zniknęły tak szybko, że nie zdążył nawet spostrzec kiedy. Samotność stała się nieznośnie bolesna. Postanowił zrobić zakupy w pobliskim supermarkecie i spędzić resztę wieczoru w domu. Omijając kałuże, biegł - byle prędzej, od dławiających go myśli. Dopadłszy drzwi sklepu, szarpnął mocno. Drzwi nie ustąpiły. Nie zdążył. Sklep już zamknięto. Zmęczony, pełen przygnębiającej rezygnacji, poszedł w stronę domu. Szara kamienica, w której mieszkał, stała z dala od głównej ulicy miasta. Droga zajęła mu chwilę. Nie myślał. Chciał jak najszybciej wspiąć się po drewnianych schodach na trzecie piętro, i zatrzaskując drzwi swojego małego mieszkania, zapomnieć o swojej udręce.

Mieszkanie było skromne. Sterty czasopism, których nigdy nie przeczytał, wypełniały każdy kąt jego samotni. Stary telewizor, łóżko z popsutą sprężyną, lodówka Polar. Niczego więcej nie potrzebował. Lubił to miejsce. Czuł się bezpiecznie. Tu nie musiał się nikomu tłumaczyć.

Głód stawał się coraz bardziej dokuczliwy. W lodówce znalazł konserwę Neptun, na stole pół chleba. Resztę, która została po śniadaniu. Niezgrabnie zdrętwiałymi z zim-

na dłońmi zaczął mocować się z blaszaną pokrywką puszek.

Wbity otwieracz powoli rozcinał grubą blachę. Telewizor, który włączył po przyjeździe do domu, zaczął wydawać niepokojące odgłosy. Żarówka nad stołem zaczęła mrugać słabnącym światłem. Wszystko zgasło. O tej porze roku często wyłączali prąd. Był na to przygotowany. W całkowitej ciemności zaczął niezgrabnie dotykać kuchennych sprzętów, szukając świecy, która dałaby mu odrobinę zbawiennego światła.

- Znowu nie możesz czegoś znaleźć. Nigdy nie nauczysz się dbać o porządek? Jak można żyć w takim bałaganie!

Głos dobiegał z wnętrza ciemnej kuchni. Zdezorientowany i zaskoczony czyjąś obecnością, odszukał wreszcie świecę i zapalnik. Ciepły płomień rozświetlił pomieszczenie. Wzrokiem nieprzywykłym do słabego światła szukał właściciela tajemniczego głosu. Kuchnia zdawała się być pusta.

- Rusz się wreszcie i wypuść mnie! Czemu stoisz i nic nie robisz?! Co z ciebie za mężczyzna?! Jak długo mam czekać?

Zdawało się, że głos dobiega z okolic stołu, na którym przygotowywał kolację. Niepewnym krokiem, zbity z tropu czynionymi mu właśnie uwagami, zbliżył się powoli do tego miejsca.

- Czy tobie się wydaje, że mam tu spędzić resztę życia? Bierz się do roboty!

Głos dochodził z wnętrza puszek, którą szykował na kolację. Pełen obaw, ostrożnie dokończył otwierać konserwę. Wewnątrz nie znalazł sardynek. W naczyniu wśród sosu pomidorowego leżała syrena. Jej srebrny, rybi ogon uderzał nerwowo w

wieczko.

- Co się tak patrzysz? Jak ja wyglądam! Kobieta ma prawo wyglądać lepiej! Co ja mam z tym facetem, a przecież mogłam mieć innego!

Stał jak kamień. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Syrena gwałtownym ruchem ogona wzbijała w górę sos, który spadł wprost na jego krawat.

- Co za fleja. Mogłbyś bardziej o siebie zadbać! Myślisz, że będzie mi miło pokazać się z takim brudasem?

Wyciągnął dłonie w kierunku puszek. Chciał uwolnić niespodziewanego gościa.

- Precz z łapami! Chamie. Może najpierw byś je umył? Co za beczelny typ. Nic tylko by leżał i odpoczywał. Zero!

Zrezygnowany opuścił dłonie. Nie czuł już głodu. Wyszedł z kuchni. Nie zmrużył oka. Przez całą noc słyszał utyskiwania i obelgi. Rano, zarzuciwszy płaszcz na ramiona, spakował konserwę do foliowej torby i szybko wyszedł z domu. Droga nad morze nigdy nie trwała krócej. Puste molo oświetlone porannym słońcem przebiegł bez wytchnienia. Mewy nad jego głową skrzęcały charkliwie, upominając się o jedzenie. Pustą puszkę wyrzucił do kosza i zatopiwszy się w swoich myślach, poszedł w kierunku baru mlecznego.

Papuga

Woody Fidler

*

Zadzwoiła do mnie przed tygodniem. Jej ciepły głos zawsze przynosił mi ukojenie. Nawet w chwilach zwątpienia w nasz związek czekałem na jej szeleszczące, przepętnione ciepłem i pocieszeniem słowa. Nasza znajomość, choć pełna zawirowań, spowodowanych różnymi oczekiwaniami wobec siebie, rozwijała się i wiodła już trzeci rok. Nigdy wcześniej nie miałem w swojej bliskości kobiety tak długo. Może tylko matkę, ale na to przecież wpływu nie miałem. Obie zresztą nie dawały mi zbyt wiele swobody. Wypełniały nawet najwęższą szczelinę mojego życia. Ciekawe jak bardzo byłbym nieposklejany, gdyby nie ich skłonność do układania kawałków mojego życia. Kobiety, zresztą, z zapalem dziecka, które przez nieuwagę rozbiło naczynie, zawsze próbowały naprawić coś, czego naprawić się nie da. Może to ich miłość do opieki nad moją kaleką naturą sprawiała, że tak trudno było im się ze mną rozstać. Czy tylko ze mną? Czy w kobiecą naturę nie jest wpisana obawa o świat, który je otacza?

- W przyszły poniedziałek wyjeżdżam do Ustrzyk. Czy mógłbyś się zająć domem? Wiesz, jak nie lubię zostawiać go bez opieki.

**

Jestem przed furtką do jej zaczerowanego ogrodu. Boże, jak ja nie lubię spać poza swoim samczym legowiskiem. Czemu nie poprosiła kogoś innego? Czy ten dowód zaufania nie jest czasami próbą zajęcia mnie czymś podczas jej tygodniowej nieobecności? Czy to jest opieka? Czy to już nieufność? Siedem dni i nocy to niezbyt wygórowana cena za rozluźnienie smyczy wokół mojej szyi. Dzwonię. Chmury nad moją głową zdają się tkwić w bezruchu. Jakby ciekawe czy nowy lokator

da radę pchnąć drzwi do innego świata.

-Jesteś wreszcie! Jak dobrze. Musimy się pośpieszyć. Zamówiłam już taksówkę.

Moje myśli zostały przed domem. Trafiłem w oko cyklonu. Anna biegła jak oszalała. Przed domem rośnie góra bagaży. Stałem się mimowolnym świadkiem tego exodusu. Myślę, że znam jej dom dobrze. Czysty, jakby pozbawiony życia, zawsze wprawiał mnie w bezradność, której nie umiałem opłamać. Szeroki hol wbijał się klinem wprost do salonu, z którego wielkie oszklone drzwi jak spragnione usta otwierały się na zielony ogród. Półki z równo poukładanymi książkami, lustra bez skazy dopełniały obrazu mojego spłoszenia.

-Nie zapomnij o karmieniu zwierząt. Wiesz, ile dla mnie znaczą.

Żółw, papuga, kot i dwa psy - to było znacznie więcej niż mogłem znieść. Jak dam radę? Jak utrzymam tę menażerię w ryzach swojej nieporadności? Całuje mnie czule w usta. Już wiem, że nie mam odwrotu. Jeszcze tylko bagaże, trzask zamykanych drzwi czerwonej taksówki i zostaję w cieniu jej hermetycznego domu. Włóczę się bez celu po nie swoich miejscach. Przeglądam nie swoje książki. Chciałem wypić kawę, ale nie znalazłem cukru. Zawsze mam kłopot z adaptacją w nowej przestrzeni. Spokojnie, wszystko się ułoży - powtarzam sobie bez wiary. Zegar wybija 12.00. Trzeba nakarmić zwierzęta. Na szczęście wiem, gdzie znaleźć karmę. Zaczynam od kota. Je łapczywie, niezrażony moją obecnością. Miło jest patrzeć na to puchate zwierzę, zwinne i szybkie. Żółw, papuga. Jeszcze tylko psy w ogrodzie i czuję się wyczerpany. Dobrze, że mam to już za sobą. Zmęczony, kładę się na sofie. Spragniony odpoczynku i ciekaw informacji, włączam telewizor. Jakaś nadmiernie uma-

lowana blondynka plecie bzdury o balejażu. Przełączam kanały, szukając skrótu wiadomości. Niestety nie mogę trafić na żaden. Cholera, przecież znam co najmniej kilka stacji, które o 13.00 nadają dzienniki. Patrzę na zegar. Dochodzi 10.00. Co jest? Przecież wyraźnie słyszałem dwanaście uderzeń, zanim nakarmiłem zwierzęta. Wszystko przez nerwy i nowe miejsce. Jakoś dobrnąłem do wieczora. Zjem kolację, wezmę ciepłą kąpiel i położę się spać. Tak bardzo chcę odpocząć. Śnić o podróżach, pięknych dziewczynach, o rozgwieżdżonym niebie nad cichą zatoką. Dokładnie taką, jakiej ofertę biura podróży widziałem w jednym z pism w moim domu. Zasypiam. Płynę statkiem, dookoła mnie ocean. Jego błękit jak balsam ogarnia moje ciało. Delfiny, wyskakując z wody, tańczą na falach, dopełniając przyjemności. Syreny na skałach dzwonią łuskami swoich srebrnych płetw. Dźwięk staje się coraz głośniejszy. Pewnie zbliżamy się do przystani, na której obejmą mnie czule swoimi delikatnymi dłońmi. Dzwonienie staje się jednak uporczywie nieznośne. Czuję, jak uszy przeszywa nieznośny ból. Ogarnia mnie złość. Budzę się. Dzwoni telefon. Kto dzwoni w środku nocy? Czy ludziom brak odrobiny przyzwoitości? Zrywam się z łóżka i biegnę jak szalony w stronę holu, gdzie czeka na mnie rozszalały telefon. Potykam się o dywan i czuję, jak moje ciało wygina się w nienaturalnym skręcie. Upadam na twarz. Przeszywający ból w barku tłumi na kilka sekund oddech w mojej piersi. Ostatkiem sił dosięgam słuchawki.

- Halo, kto mówi, halo...

Jednostajny, przeciągły sygnał daje mi do zrozumienia, że się spóźniłem. Wracam do łóżka. Bark pulsuje jak oszalały. Do rana nie zmrózę oka. Telefon dzwoni jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem brak połączenia.

Cały dzisiejszy dzień spędziłem w szpitalu. Następne sześć tygodni spędzę z barkiem i lewą ręką w gipsie. Lekarz powiedział, że prawdopodobnie będzie potrzebna długa rehabilitacja. Wakacje na rajskiej wy-

spie raczej odłożę na przyszły rok. Ledwie żywy kładę się do łóżka. Czuję, jak ogarnia mnie pragnienie odpoczynku. Ciepły koc daje poczucie bezpieczeństwa. Zamykam oczy. Coś jednak jest nie tak. Wyraźnie słyszę uporczywie kapiący kran w kuchni. Wstaję obolały, by zakręcić przedmiot mojej udręki. Kran jednak okazuje się sprawny. Na wszelki wypadek sprawdzam jeszcze te w łazience. Wszystko w porządku. Wracam zrezygnowany do moich marzeń. Mrok daje mi przyjemność i ciszę. Zasypiam. W środku nocy budzi mnie dudnienie rur. Hałas jest tak wielki, że nie sposób zebrać myśli. Nie ma rady. Jutro wezwę hydraulika. Do rana nie zasypiam. Hydraulik przyjdzie po południu. Boję się spojrzeć w lustro. Przewycieżam jednak swój strach i widzę widmo. Dwie nieprzespane noce odcisnęły swoje piętno na mojej twarzy. Podkrążone oczy, zapadnięte policzki. Zarost i ręka w gipsie sprawiają, że wyglądam jak kloszard, a nie jak człowiek, którym byłem dwa dni wcześniej. Słyszę dzwonek do drzwi. Biegnę na spotkanie z fachowcem. Otwieram masywne wrota. Nikogo nie ma. Czuję, jak moje myśli wibrują, a ściany zaczynają pulsować. W głowie kłębią się nierealne wizje. Ktoś podnosi mnie z podłogi. Anioły w białych szatach delikatnie chwytają moje ciało i niosą w stronę światła. Czuję się radośnie lekko. Spazm śmiechu rozcina powietrze.

Po miesiącu Anna odebrała mnie ze szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych. Zamieszkaliśmy razem w jej domu. Żółw zdechł, psy uciekły, a papuga, którą miała tymczasowo pod opieką, wróciła do swojego tresera w cyrku. Ptak odnosi sukcesy na turnie po całej Europie. Podobno nie ma takiego drugiego, który naśladuje tyle dźwięków. Tylko na kota patrzę z nieufnością.



Spis treści

Wstęp	1
Sylwester Kurowski - Wywiad z Tomaszem Raczkiem	3
Sylwetki zapomnianych artystów	
Agnieszka Modrzejewska - Ireneusz Iredyński - czyty bluznierca?	16
Poezja	
Laura ALSzer	28
Danuta Chmielowska	29
Katarzyna Bomba	30
Martyna Antonina Cicha	31
Wojciech Czubatka	32
Beata Ewa Okoń	32
Kasia Dominik	33
Szymon Florczyk	34
Jacek Furmański	35
Piotr Gajda	35
Agata Gołąbek-Polus	36
Waldemar Jagliński	37
Urszula Kalecińska-Kucik	41
Aleksandra Karmelita	42
Katarzyna Anna Koziorowska	44
Sylwester Kurowski	46
Dorota Płoszczyńska	47
Kazimierz Kyrz Jr	48
Ewa Niezgoda-Gierszewska	49
Lidia Izabela Lachowska	50
Sławomir Lega	51
Magdalena Łubkowska	52
Bogdan Stangrodzki	53
Artur Marciniszyn	54
Beata Małgorzata Moniuszko	55
Joanna Nowocień	56
Barbara Orlowski	57
Anna Partyka-Judge	59
Lilianna Pawełekiewicz-Mustafa	60
Łukasz Szaruga	61
Magdalena Pawłowska (sensoreduszy)	62
Amelia Pudzianowska	63
Lucyna Siemińska	64
Iwona Danuta Startek	64
Urszula Stępień-Daszkiewicz	66
Dorota Szawdzianiec	68
Katarzyna Zając	70
Z cyklu: Przestrzeń Metaksy	
Grzegorz Misiak - Rozmowa z malarzem Krzysztofem Cieślakiem	72
Esej	
Walentyna Karwowska	75
Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)	78
Mirosława Stojak	81

cykl: Wącham czas	
Agnieszka Modrzejewska - Czy media to fabryki emocjonalnej manipulacji?	85

recenzja	
Bożena Ciesielska - Robert Musil „Człowiek bez właściwości”, Warszawa 1971	92
Wojciech Janisio - Recenzja tomiku Anny Czaroszewskiej „Utkana z pieśni i światła”	95

Natalia Chintalian - wywiad z ukraińską pisarką Iren Rozdobudko -	97
---	----

recenzja	
Mirosława Stojak - Portrety osobowościowe Brunona, Juny i Jerzego w książce „Naręczona Schulza” Agaty Tuszyńskiej	102
Mirosława Stojak - Na lipę. Miłości Agnieszki Osieckiej	104
Mirosława Stojak - Na podstawie reportażu Kaliny Błażejowskiej „Bezduśni. Zapomniana zagłada chorych”	106
Marcelina Koncewicz - Zza ekranu – recenzja tomu poetyckiego Małgorzaty Kulisiewicz „Kinoptycznie”	109
Bożena Ciesielska - „I otwarły się drzwi... O bracie Eliaszu medytacje” Ewa Szelburg-Zarembina	110

Na indeksie	
Danuta Sut-Karykowska	112
Jan Chruśliński	116
Agnieszka Modrzejewska	124
Andrzej Frosa	127
Beata Kępińska	128
Dorota Czubowska	133
Paweł Jaszczyk	136
Anna Szrymska	139
Ewa Niezgoda-Gierszewska	144
Irena Nyczaj	145
Krzysztof Kajewski	149
Maciej Skomorowski	162
Urszula Kalecińska-Kucik	164
Isabella Degen	165
Paweł Stójkowski	167
Natalia Owsiana-Bilska	172
Iwona Ochodek-Szpak	183
Maciej Ossian Kozakiewicz	185
Joanna Nowocień	194
Lucyna Siemińska	196
Marcin Mielcarek	199
Marek Pietrzykowski	206
Wojciech Kopacz	210
Przemysław Znojek	212
Joanna Storczevska-Segiet	215
Krzysztof T. Dąbrowski	222
Mirosława Stojak	224
Sławomir Bączkowski	232
Waldemar Jagliński	248
Woody Fidler	260

